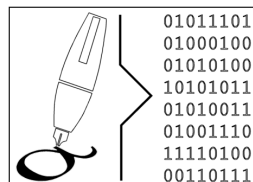


ROBERT JORDAN

Spustoszone Ziemie

piąty tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 2

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

The fires of heaven. Vol. 2

Data wydania polskiego: 1998 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993 r.

ZAKŁAD

Łagodny nocny wietrzyk przeleciał ponad Eianrod i zamarł. Rand, który siedział na kamiennej balustradzie szerokiego płaskiego mostu w samym sercu miasteczka, pomyślał, że pewnie ten wiatr niesie rozgrzane powietrze, ale po okresie spędzonym w Pustkowiu nie potrafił tego ocenić. Ciepły być może, jak na nocną porę, ale nie dość, by trzeba rozpiąć czerwony kaftan. Z przyjemnością patrzył na płynącą pod nim rzekę, na rozigrane cienie, które w księżycowym świetle rzucały na ciemną połyskliwą powierzchnię rozpędzone chmury. Rzeka nigdy nie była szeroka, lecz teraz jej wody płynęły o wiele węższym strumieniem. Siedział i wpatrywał się w jej nurt kierujący się na północ. O zabezpieczenia zadbał wcześniej; otaczały obozowisko Aielów rozbite wokół miasteczka. Sami Aielowie rozstawili straże tak gęsto, że nawet jaskółka nie prześlizgnęłaby się nie zauważona. Mógł poświęcić godzinę, szukając ukojenia w widoku wartko płynącej wody.

Z pewnością tak było lepiej niżli poprzedniej nocy, kiedy to musiał rozkazać Moiraine, żeby wyszła, bo inaczej nie mógłby pobierać nauk od Asmodeana. Zabrała się nawet za przynoszenie mu posiłków i rozmawiała z nim w trakcie ich spożywania, jakby zamierzała wepchnąć mu do głowy wszystko, co wiedziała, zanim dotrą do Cairhien. Nie umiał znieść jej błagań o pozwolenie pozostania — autentycznych błagań — tak jak poprzedniej nocy. W przypadku kobiety pokroju Moiraine takie zachowanie było tak nienaturalne, że aż miał ochotę się zgodzić, byle tylko położyć temu kres. Co najprawdopodobniej stanowiło powód, dla którego tak właśnie postępowała. O wiele lepiej spędzić godzinę na wsłuchiwaniu się w spokojne, miarowe pluskanie rzeki. Jeśli będzie miał szczęście, tej nocy Aes Sedai da mu spokój.

Pasy gliny, szerokości ośmiu, może dziesięciu kroków, które na obu brzegach oddzielały wodę od chwastów, zmieniły się w spękaną skorupę. Podniósł głowę, by spojrzeć na chmury przemykające po tarczy księżyca. Mógł spróbować zmusić je, by uroniły deszcz. Dwie fontanny w miasteczku wyschły, prawie połowa studni nie nadawała się do oczyszczenia z zalegającego w nich pyłu. Niemniej jednak „spróbować” było tu właściwym słowem. Już raz wywołał deszcz; cała sztuka polegała teraz na przypomnieniu sobie, jak tego dokonał. Gdyby mu się udało, to może mógłby wówczas sprawić, by tym razem nie był to potop i nawałnica, która

łomie drzewa.

Asmodean mu nie pomoże; najwyraźniej nieszczególnie znał się na pogodzie. Na każdą rzecz, jakiej ten człowiek go nauczał, przypadły dwie inne, wobec których Asmodean albo wyrzucał ręce w bezradnym geście, albo zwodził go mglistymi obietnicami. Rand uważał kiedyś, że Przekłęci potrafią wszystko, że są wszechwiedzący. Jeśli jednak pozostali byli tacy jak Asmodean, to mieli nie tylko luki w wiedzy, ale również słabe strony. Mogło też w rzeczywistości być tak, iż on wiedział już więcej o pewnych rzeczach niż oni. Niż niektórzy, przynajmniej. Problem polegał na dowiedzeniu się, którzy to są. Semirhage władała pogodą niemalże równie kiepsko jak Asmodean.

Zadygotał, jakby to była noc w Ziemi Trzech Sfer. Asmodean nigdy mu tego nie powiedział. Lepiej słuchać wody i nie myśleć, jeśli tej nocy miał zamiar w ogóle zasnąć.

Podeszła do niego Sulin, z *shoufą* opuszczoną na ramiona, odsłaniającą jej krótkie, siwe włosy, i oparła się o balustradę. Żyłasta Panna była uzbrojona jak do bitwy, w łuk, strzały, włócznie, nóż i skórzaną tarczę. To ona tej nocy dowodziła jego przyboczną strażą. Dwa tuziny innych *Far Dareis Mai* przykucnęło swobodnie na moście, w odległości dziesięciu kroków.

— Dziwna noc — zagaiła. — Grałyśmy w kości, ale ni stąd, ni zowąd, wszystkie, co do jednej, zaczęłyśmy wyrzucać same szóstki.

— Przykro mi — wypalił bez namysłu, za co obrzuciła go osobliwym spojrzaniem. Oczywiście nie miała o niczym pojęcia, nie chwalił się tym wszem i wobec. Zmarszczki, które rozsyłał jako *ta'veren*, rozkładały się na dziwaczne, losowe sposoby. Nawet Aielowie nie chcieliby podejść do niego bliżej niż na dziesięć mil, gdyby wiedzieli choć połowę.

Tego dnia pod trzema Kamiennymi Psami zapadła się ziemia i wpadli do gniazda jadowitych węży, jednakże żadne z kilkunastu ukąszeń nie natrafiło na nic prócz tkaniny. Wiedział, że to on nagina los. Tal Nethin, rymarz, który przeżył Taien, właśnie tego popołudnia potknął się o kamień i skrzył sobie kark, kiedy upadł na równy, porośnięty trawą grunt. Rand bał się, że to też jego dzieło. Ale dla odmiany, Bael i Jheran zakończyli waśń krwi między Shaarad i Goshien, kiedy wspólnie z nimi spożywał popołudniowy posiłek złożony z suszonego mięsa. Nadal nie znosili się wzajemnie i zdawali się nie rozumieć, co właściwie zrobili, ale stało się — przy wymianie ślubowań i przysięg wody jeden przytrzymywał drugiemu kubek podczas picia. Dla Aielów przysięgi wody były bardziej wiążące od wszelkich innych; całe pokolenia być może przeminą, nim Shaarad i Goshien poważą się choćby na wzajemne podkradanie owiec, kóz albo bydła.

Zastanawiał się, czy te przypadkowe efekty kiedykolwiek zadziałają na jego korzyść; być może miało do tego dojść lada chwila. Co jeszcze zdarzyło się tego popołudnia, za co można by było obarczyć go winą, nie wiedział; nigdy nie pytał i wołał o tym nie słyszeć. Baelowie i Jheranowie tylko częściowo nadrabiali za

Talów Nethinów.

— Od wielu dni nie widziałem ani Enaili, ani Adelin — zauważył. Zmiana tematu równie dobra jak każda inna. Te dwie dziewczyny zdawały się szczególnie zazdrosne o swoje miejsca w pełnionej przy nim straży. — Czy może są chore?

Spojrzenie, jakim obdarzyła go Sulin, było bardziej osobliwe od poprzedniego.

— Wróć, kiedy odechce im się zabaw z lalkami, Randzie al'Thor.

Otworzył usta i zaraz je na powrót zamknął. Aielowie byli dziwni — lekcje Aviendhy częstokroć dziwność tę jeszcze dodatkowo uwydatniały, miast ją redukować — ale to zakrawało na jakiś absurd.

— No cóż, powiedz im, że są dorosłymi kobietami i że tak też powinny się zachowywać.

Nawet w nikłym świetle księżycy zauważył, że uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Będzie, jak *Car'a'carn* sobie życzy.

A to niby co miało znaczyć?

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, wydymając wargi w namyśle.

— Nie jadłeś jeszcze tego wieczora. Strawy zostało dość dla każdego, a ty nie napełnisz czyjegoś brzucha, gdy sam będziesz chodził głodny. Jeśli nie będziesz jadł, ludzie będą się martwić, żeś chory. I w końcu rozchorujesz się naprawdę.

Parsknął cichym śmiechem, podobnym do końskiego rżenia. W jednej chwili *Car'a'carn*, w następnej... Jeśli nie pójdzie po coś do jedzenia, Sulin prawdopodobnie sama mu przyniesie. I będzie usiłowała go karmić tak długo, aż nie pęknie.

— Będę jadł. Moiraine leży już pewnie pod kocami.

Jej zdziwione spojrzenie przyniosło mu satysfakcję; tym razem on powiedział coś, czego nie rozumiała.

Kiedy zestawiał stopy na ziemię, usłyszał brzęk podków koni, które zdążyły brukowaną ulicą w stronę mostu. Wszystkie Panny wyprostowały się w okamgnieniu, z zasłoniętymi twarzami i strzałami nasadzonymi na cięciwy. Dłoń Randa instynktownie powędrowała do pasa, ale nie znalazła miecza. Dostatecznie odstręczał Aielów tym, że jeździł konno i trzymał ten przedmiot przy siodle; uznał, że wcale nie musi jeszcze bardziej naruszać ich obyczajów przez przypasywanie znienawidzonego im oręża.

Konie szły stępą. Kiedy się zbliżyły, w otoczeniu eskorty złożonej z pięćdziesięciu Aielów, okazało się, że liczba jeźdźców nie dochodzi nawet do dwudziestu; zgarbione w siodłach sylwetki wyrażały rezygnację i zniechęcenie. Większość nosiła hełmy z szerokim okapem, spod napierśników wystawały bufiaste rękawy pasiastych taireniańskich kaftanów. Dwóch jadących na czele miało zdobnie połączone pancerze, hełmy zdobiły wielkie białe pióropusze, paski na rękawach zaś połyskiwały w świetle księżycy satyną. Dla odmiany sześciu mężczyzn, którzy zamykali tył kawalkady, niżsi i szczuplejsi od Tairenian, byli ubrani w ciemne

kaftany i hełmy w kształcie dzwonów z otworem na twarz; dwaj mieli do pleców przymocowane krótkie laski, z których powiewały niewielkie proporce zwane *con*. Cairhienianie używali tych proporców, by móc odróżnić oficerów od szeregowców w czasie bitwy, a także dla oznakowania osobistej świty danego lorda.

Tairenianie z pióropuszcami wytrzeszczyli na jego widok oczy, wymienili zaskoczone spojrzenia, po czym zsiadli z koni, by uklęknąć przed nim, hełmy wetknąwszy pod pachy. Byli młodzi, niewiele starsi od niego, obaj mieli ciemne bródki przystrzyżone w równy szpic zgodnie z modą obowiązującą wśród taireniańskiej arystokracji. Wgniecenia szpecące napierśniki, złocenia gdzieś górnymi łuszczące się świadczyły, że musieli już gdzieś skrzyżować miecze. Żaden nawet nie spojrzął na otaczających ich Aielów, jakby tamci mieli zniknąć, jeśli się ich zignoruje. Panny odsłoniły twarze, aczkolwiek nadal wyglądały na gotowe przeszyć klęczących włóczniami albo strzałami.

Za Taireniami szedł Rhuarc w towarzystwie szarookiego Aiela, młodszego i nieco odeń wyższego; obaj przystanęli tuż za ich plecami. Mangin wywodził się z Jindo Taardad, zaliczał się do tych, którzy byli w Kamieniu Łzy. To Jindo przyprowadzili jeźdźców.

— Lordzie Smoku — zaczął pulchny, różowolicy lord — oby ma dusza szczała, ale czy oni wzięli cię do niewoli?

Jego towarzysz, któremu odstające uszy i kluchowaty nos, nadawały mimo obecności spiczastej bródki wygląd farmera, nerwowym ruchem odgarniał raz za razem rzadkie włosy z czoła.

— Powiedzieli, że zabierają nas do jakiegoś osobnika, który ma przyjść o Świecie. Do *Car'a'carna*. O ile dobrze zapamiętałem, co mówił mój nauczyciel, to chyba oznacza jednego z wodzów. Wybacz mi, Lordzie Smoku. Jestem Edorion z Domu Selorna, a to Estean z Domu Andiamy.

— A ja jestem Tym Który Przychodzi Ze Świtem — odparł spokojnie Rand. — I *Car'a'carnem*. — Nauczył się już radzić z takimi jak oni: młodymi lordami, którzy spędzali czas na picciu, hazardzie i uganianiu się za kobietami — kiedy przebywał w Kamieniu. Esteanowi oczy omal nie wyskoczyły z orbit; Edorion przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, po czym powoli przytaknął, jakby nagle dostrzegł, że to wszystko ma sens.

— Powstańcie. Kim są wasi cairhieniańscy towarzysze? — Byłoby interesujące poznać Cairhienianina, który nie ucieka co sił w nogach na widok Shaido i w ogóle wszelkich Aielów. Mogli zresztą być pierwszymi poplecznikami, których napotkał w tym kraju, skoro towarzyszyli Edorionowi i Esteanowi. Pod warunkiem, że ojcowie obu Tairenów postąpili zgodnie z jego rozkazami. — Każcie, by wystąpili naprzód.

Estean powstał, mrugając ze zdziwieniem, ale Edorion, niemalże bez chwili wahania, odwrócił się i krzyknął donośnie:

— Meresin! Daricain! Chodźcie tu!

Jakby wołał na psy. Cairhieniańskie sztandary zakołysały się, kiedy wymienieni powoli zsiadli z koni.

— Lordzie Smoku. — Estean zawahał się, oblizując wargi, jakby doskwierało mu pragnienie. — Czyś ty... Czy to ty posłałeś Aielów przeciwko Cairhien?

— Wnoszę, że zaatakowali miasto, czy tak?

Rhuarc przytaknął, zaś Mangin dodał:

— Cairhien jeszcze się broni, jeśli im wierzyć. A w każdym razie broniło się jeszcze trzy dni temu.

Nie należało wątpić, iż jego zdaniem już się nie broni, a tak w ogóle, to że wcale go nie obchodzi los miasta zabójców drzew.

— Nie ja ich posłałem, Esteanie — odrzekł Rand, kiedy dołączyli do nich dwaj Cairhienianie; obaj przyklękli i ściągnęli hełmy, ukazując twarze rówieśników Edoriona i Estean, z włosami wygolonymi w równej linii z uszami i czujnymi ciemnymi oczyma. — Ci, którzy atakują miasto to moi wrogowie, Shaido. Mam zamiar uratować Cairhien, o ile da się w ogóle jeszcze to uczynić:

Zgodnie z procedurą, musiał teraz powiedzieć Cairhienianom, by powstali; czas spędzony wśród Aielów sprawił, że prawie zapomniał o tym obyczaju obowiązującym po tej stronie Grzbietu Świata: kłaniania się i klękania na każdym kroku. Musiał też poprosić o przedstawienie się, i Cairhienianie wzajemnie wymienili swoje nazwiska. Porucznik lord Meresin z Domu Daganreda, płat jego *con* wypełniały faliste, pionowe linie, na przemian czerwone i białe, i porucznik lord Daricain z Domu Annalina, z *con* pokrytym drobnymi, czerwonymi i czarnymi kwadracikami. To, że są lordami, było dla niego zaskoczeniem. Wprawdzie w Cairhien istotnie lordowie dowodzili i kierowali żołnierzami, ale nie golili głów i nie zostawiali sami żołnierzami. A może kiedyś tak było; najwyraźniej wiele się zmieniło ostatnimi czasy.

— Lordzie Smoku. — Meresin zająknął się nieznacznie, kiedy wymówił to miano. Podobnie jak Daricain był bladym, drobnym mężczyzną, o pociągłej twarzy i długim nosie, tyle że nieznacznie lepiej zbudowanym. Żaden z nich nie wyglądał na takiego, który ostatnio porządnie się najadł. Meresin pospiesznie ciągnął dalej, jakby się bał, że mu przerwą. — Lordzie Smoku, Cairhien się utrzyma. Jeszcze kilka dni, może z dziesięć albo dwanaście, ale musisz szybko przybyć mu z pomocą.

— Dlatego właśnie tu przyjechaliśmy — dodał Estean, obrzucając Meresina ponurym spojrzeniem. Obaj Cairhienianie odwzajemnili się tym samym, tyle że ich wyzywające miny były naznaczone rezygnacją. Estean odgarnął pasmo krętych włosów z czoła. — By szukać wsparcia. Grupy konnych posłano we wszystkich kierunkach, Lordzie Smoku. — Drżał mimo potu na skroni, a jego głos stał się przytłumiony, głuchy. — Było nas więcej, kiedy wyruszaliśmy. Widziałem Barrena, jak, krzycząc przeraźliwie, spadał z konia, z włócznią, która przeszyła mu wątpia. Nigdy już nikomu nie podmieni karty. Z chęcią przyjąłbym kubek mocnej

brandy.

Edorion, krzywiąc się, obrócił hełm w orękawiczonych dłoniach.

— Lordzie Smoku, miasto utrzyma się dłużej, ale nawet jeśli ci Aielowie zgodzą się walczyć z tamtymi, to pozostaje jeszcze kwestia, czy dasz radę doprowadzić ich tam na czas? Moim zdaniem dziesięć czy dwanaście dni to szacunek nader śmiały. Po prawdzie, przybyłem dlatego tylko, bo uznałem, że lepiej zginąć od włóczni, niżli dać się wziąć żywcem, kiedy tamci pokonają mury. Miasto pęka w szwach od uchodźców, którzy umknęli Aielom; nie zostało w nim ni psa, ni gołębia, i nie wątpię, że niebawem zabraknie także szczurów. Jedyna z tego korzyść jest taka, że odkąd ten Couladin oblega mury, ewidentnie nikt się specjalnie nie przejmuje tym, kto przejmie Tron Słońca.

— Drugiego dnia wezwał nas, abyśmy się poddali Temu Który Przychodzi Ze Świtem — wtrącił Daricain, za co został zganiony ostrym spojrzeniem ze strony Edoriona.

— Couladin zabawia się jeńcami — dorzucił Estean. — Poza zasięgiem strzały, ale widzi to każdy, kto wejdzie na mury. Słysząc też ich przeraźliwe krzyki. Oby ma dusza szczeła w Światłości, nie wiem, czy on próbuje nas złamać, czy też po prostu to lubi. Czasami pozwalają wieśniakom biec w stronę miasta, kiedy już są prawie bezpieczni, szpikują ich strzałami. Aczkolwiek w samym Cairhien jest bezpiecznie. To zwykli wieśniacy, ale... — Zawiesił głos i z trudem przełknął ślinę, jakby właśnie sobie przypomniał, jakie jest zdanie Randa odnośnie „zwykłych wieśniaków”. Rand spojrział tylko na niego, ale on aż się skurczył, a potem wybąkał coś pod nosem na temat brandy.

W to chwilowe milczenie wkroczył Edorion.

— Lordzie Smoku, chodzi o to, że miasto utrzyma się do czasu twego przybycia, o ile przybędziesz szybko. My odeprzemy tylko pierwszy atak, Foregate bowiem stanęło w ogniu...

— Płomienie ogarnęły niemalże całe miasto — wtrącił Estean. Foregate, przypomniał sobie Rand, odrębne miasto otaczające mury Cairhien, było zasadniczo całe zbudowane z drewna. — Gdyby nie rzeka, byłaby to prawdziwa pożoga.

Drugi Tairenianin ciągnął swoje, wchodząc mu w słowa:

— ...jednakże lord Meilan dobrze zaplanował obronę, zaś Cairhienianie jak dotąd zdają się mieć mocne charaktery. — Dosięgły go krzywe spojrzenia ze strony Meresina i Daricaina, których albo nie zauważał, albo udawał, że nie zauważa. — Siedem dni, jeśli szczęście dopisze, najwyżej osiem. Gdybyś mógł...

Wydało się, że wraz z ciężkim westchnieniem z pulchnej sylwetki Edoriona uszło powietrze.

— Nie widziałem ani jednego konia — powiedział, jakby do siebie. — Aielowie nie jeżdżą konno. Żadną miarą nie dasz rady przemieścić pieszych na czas.

— Ile to potrwa? — Rand spytał Rhuarka.

— Siedem dni — padła odpowiedź. Mangin przytaknął, Estean zaś roześmiał się.

— Oby szczęła ma dusza, nam tyleż samo zabrało, by dotrzeć tutaj. Jeśli uważacie, że uda wam się pokonać tę drogę w takim samym czasie pieszo, to musicie być chyba... — Nagle świadom utkwionych w nim oczu Aiela, Estean odgarnął włosy z twarzy. — Znajdzie się jaka brandy w tej miejscinie? — mruknął.

— Nie idzie o to, jak szybko my pokonamy tę drogę — rzekł cicho Rand — tylko jak szybko wy tego dokonacie, jeśli każecie zsiąść z koni części waszych ludzi i wykorzystacie je jako zapasowe wierzchowce. Chcę, by Meilan i Cairhien wiedzieli, że pomoc jest w drodze. Jednakże ten, kto pojedzie, musi być pewien, że będzie umiał trzymać język za zębami, jeśli pojmą go Shaido. Nie jest moim życzeniem, by Couladin dowiedział się więcej, niż jest w stanie się dowiedzieć na własną rękę.

Estean zrobił się jeszcze bledszy niż Cairhienianie.

Meresin i Daricain jednocześnie padli na kolana, każdy pochwycił jedną z dłoni Randa do ucałowania. Pozwolił im, z całą cierpliwością, na jaką go było stać; jedna z tych rad Moiraine, w których kryła się odrobina zdrowego rozsądku, mówiła, że nie należy obrażać obyczajów innych, jakkolwiek by nie były dziwne albo nawet odstręczające, chyba że wydawałoby się to absolutnie konieczne, ale nawet wtedy należało dwa razy się nad tym zastanowić.

— Pojedziemy, Lordzie Smoku — obiecał Meresin. — Dziękuję ci, Lordzie Smoku. Dziękuję ci. Pod Światłością ślubuję, że umrę pierwszej, niżli zdradzę bodaj jedno słowo komuś innemu prócz mego ojca albo Wysokiego Lorda Meilana.

— Oby los był ci łaskaw, Lordzie Smoku — dodał drugi. — Oby los był ci łaskaw, a Światłość wiecznie oświecała. Jestem twój aż do śmierci.

Rand pozwolił jeszcze Meresinowi powiedzieć, że i on jest jego, zanim zdecydowanym ruchem schował ręce za plecami i kazał im powstać. Nie podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyli. Edorion odnosił się do nich jak do psów, ale ci mężczyźni nie powinni na nikogo tak spoglądać, jakby rzeczywiście byli psami wpatrzonymi w swego pana.

Edorion zrobił głęboki wdech, wydymając przy tym różowe policzki, i powoli wypuścił powietrze.

— Sądzę, że skoro udało mi się dostać tutaj w jednym kawałku, to uda się i wrócić. Lordzie Smoku, wybaczone, jeśli cię urażę, ale czy poważny byłbyś się na zakład w wysokości, powiedzmy, tysiąca złotych koron, że naprawę pokonacie taki szmat drogi w siedem dni?

Rand wytrzeszczył na niego oczy. Ten człowiek był równie paskudny jak Mat.

— Nie mam nawet stu koron w srebrze, nie mówiąc już o tysiącu w...

Wtrąciła się Sulin.

— On je ma, Tairenianinie — oznajmiła stanowczym głosem. — Przyjmie twój zakład, jeśli podniesiesz stawkę do dziesięciu tysięcy.

Edorion roześmiał się.

— Zgoda, kobieto. Zakład wart każdego miedziaka, nawet jeśli przegram. Jak się nad tym zastanowić, to jeśli wygram, i tak zapewne nie przeżyję, żeby wziąć swoje. Meresin, Daricain, chodźcie. — Również to zabrzmiało tak, jakby przywoływał psy do nogi. — Jedziemy.

Rand zaczekał, aż cała trójka wykona swoje ukłony i zacznie zawracać konie, i dopiero wtedy natarł na siwowłosą Pannę.

— Co to niby miało znaczyć, że ja mam tysiąc złotych koron? W życiu nie widziałem tysiąca koron, nie mówiąc już o dziesięciu tysiącach.

Panny wymieniły takie spojrzenia, jakby był umysłowo chory; podobnie Rhuarc i Mangin.

— Piąta część skarbu, który znajdował się w Kamieniu Łzy, należy do tych, którzy zdobyli Kamień, i zostanie zabrana, kiedy będą mogli go wynieść. — Sulin powiedziała to takim tonem, jakim się przemawia do dziecka, gdy się mu objaśnia najprostsze sprawy codziennego życia. — Jako wodzowi i dowodzącemu podczas bitwy jedna dziesiąta tej jednej piątej należy się tobie. Łza poddała się tobie jako wodzowi na mocy prawa triumfu, a zatem jedna dziesiąta Łzy również przypada tobie. A poza tym sam powiedziałeś, że możemy wziąć sobie jedną piątą z tych ziem jako... podatek, tak to nazwałeś. — Z trudem przypomniała sobie słowo; Aielowie nie znali podatków. — Jako *Car'a'carnowi* należy ci się również dziesiąta część tego.

Rand potrząsnął głową. Podczas wszystkich swoich rozmów z Aviendhą ani razu nie pomyślał, by zapytać, czy ta jedna piąta dotyczy również jego; nie był Aielem, *Car'a'carn* czy nie, i to wszystko nie wydawało się mieć z nim nic wspólnego. Cóż, być może nie był to podatek, ale mógłby to zużytkować w taki sam sposób, w jaki królowie wykorzystywali podatki. Niestety, nie było to dla niego jasne. Będzie musiał spytać Moiraine; tę jedyną rzecz przeoczyła w wykładach. Być może uznała, iż jest to tak oczywiste, że sam będzie wiedział.

Elayne by wiedziała, na co wydaje się podatki; z pewnością korzystanie z jej rad było o wiele bardziej zabawne niż z rad Moiraine. Pożałował, że nie ma pojęcia, gdzie ona jest. Prawdopodobnie nadal w Tanchico; poza ciągłym strumieniem życzliwości Egwene przekazywała mu niewiele więcej. Żałował, że nie może usadzić Elayne i kazać jej wyjaśnić treści tamtych dwóch listów. Czy Panny Włóznicy, czy Dziedziczka Tronu Andoru, wszystkie kobiety były jednako dziwne. Z wyjątkiem być może Min. Ona śmiała się z niego, ale jej nigdy nie podejrzewał, że mówi jakimś obcym językiem. Teraz nie śmiałaby się. Jeśli ją jeszcze kiedyś spotka, to pewnie pobiegnie sto mil, byle tylko uciec przed Smokiem Odrodzonym.

Edorion kazał wszystkim swoim ludziom zsiąść z koni, po czym zabrał jednego z ich wierzchowców, pozostałe zaś, łącznie z koniem Esteara, połączył w jeden szereg za pomocą wodzy. Bez wątpienia oszczędzał swojego na ostatni bieg przez kordon Shaido. Meresin i Daricain zrobili to samo ze swoimi ludźmi. Oznaczało

to wprawdzie, że Cairhienianom przypadną po dwa wierzchowce na głowę, ale jakoś nikt nie pomyślał, że mogliby wziąć przynajmniej jednego konia od Tairenian. Hałaśliwie wyruszyli na zachód pod eskortą Jindo.

Estean, bardzo dbając, by na nikogo nie spojrzeć, zaczął się chyłkiem oddalać w stronę żołnierzy, którzy otoczeni przez Aielów, czekali niespokojnie u stóp mostu. Mangin złapał go za rękaw w czerwone paski.

— Ty nam możesz opowiedzieć o sytuacji w środku Cairhien, mieszkańcu mokradeł.

Mężczyzna o kluchowatej twarzy miał taką minę, jakby lada chwila miał zemdleć.

— Jestem pewien, że opowie o wszystkim, jeśli tylko poprosicie — powiedział ostrym tonem Rand, specjalnie podkreślając ostatnie słowo.

— Będą do nich kierowane tylko prośby — rzekł Rhuarc, ujmując Tairenianina pod drugie ramię. Razem z Manginem zdawali się więzić między sobą znacznie niższego od nich mężczyznę.

— Zgoda, trzeba ostrzec obrońców miasta, Randzie al'Thor — ciągnął Rhuarc — ale powinniśmy też wysłać zwiadowców. Biegiem dotrą do Cairhien równie prędko jak ludzie na koniach, po czym wyjdą nam naprzeciw, by poinformować, jak Couladin rozmieścił Shaido.

Rand czuł na sobie wzrok Panien, ale patrzył prosto na Rhuarka.

— Wędrowcy Burzy? — zaproponował.

— *Sha'mad Conde* — zgodził się Rhuarc. Razem z Manginem obrócili Esteaną, prawie podnosząc go w górę, i ruszyli w stronę pozostałych żołnierzy.

— Pytajcie! — krzyknął w ślad za nimi Rand. — On jest waszym sojusznikiem i moim suzerenem. — Nie miał pojęcia, czy na pewno Estean jest tym ostatnim — kolejna rzecz, o którą należało zapytać Moiraine — ani nawet, czy tak naprawdę jest sojusznikiem. Jego ojciec, Wysoki Lord Torean, dość się naspiśkował przeciwko niemu, on jednak nie zamierzał dopuścić do stosowania metod godnych Couladina.

Rhuarc odwrócił głowę i przytaknął.

— Dobrze się opiekujesz swym ludem, Randzie al'Thor. — Głos Sulin był płaski jak dobrze zheblowana deszczułka.

— Staram się — odparł. Nie zamierzał dać się złapać na przynętę. Część tych, którzy udawali się na zwiady między Shaido, mieli nie powrócić i to wszystko. — Myślę, że poproszę teraz o coś do zjedzenia. A potem trochę się prześpię.

Do północy brakowało nie więcej niż dwie godziny, a wschód słońca następował wcześniej o tej porze roku. Panny poszły jego śladem, czujnie obserwując cienie, jakby spodziewały się ataku; ich dłonie migotały mową gestów. Ale Aielowie zawsze spodziewali się ataku.

ODLEGŁE ŚNIEGI

Ulice Eianrod zbiegały się prostopadle, tam, gdzie to było konieczne, przecinając wzgórza, w których ponadto wytyczono równe kamienne tarasy. Kamienne budynki kryte łupkiem miały kanciaste kształty, jakby składały się z samych pionowych linii. Eianrod nie padło z rąk Couladina; nie było już w nim żywej duszy, kiedy przewaliły się przezeń hordy Shaido. Niemniej jednak na miejscu wielu domostw pozostały tylko zwęglone belki i puste skorupy ruin; w większości były to przestronne, trzypiętrowe marmurowe budowle z balkonami, które, jak wyjaśniła Moiraine, należały kiedyś do kupców. Połamane meble i podarte tkaniny zaśmiecały ulice, razem z potłuczonymi naczyniami i odłamkami szyb z okien, butami nie do pary, narzędziami i zabawkami.

Do podpaleń dochodziło kilkakrotnie — tyle Rand sam umiał wymiarkować na podstawie poczerńiałych krokwi i woni sadzy zawisłej w powietrzu, Lan natomiast potrafił odtworzyć przebieg bitew, podczas których miasto było zdobywane albo odbijane przez najrozmaitsze Domy walczące o Tron Słońca, najprawdopodobniej, aczkolwiek sądząc po wyglądzie ulic, na samym końcu Eianrod opanowali bandyci. Wiele band włóczących się po całym Cairhien nie nawiązywało sojuszy z nikim i z niczym prócz złota.

Do jednego z tych kupieckich domów, stojącego na większym z dwóch placów miasteczka, zdążył właśnie Rand; budowlę stanowiły trzy kwadratowe piętra z szarego marmuru, o monumentalnych balkonach i szerokich schodach, z grubymi, kanciastymi poręczami, które wyglądały na milczącą fontannę z zakurzonym, owalnym zbiornikiem. Okazja, by znowu przespać się w łóżku, była zbyt kusząca, by z niej zrezygnować, poza tym miał nadzieję, że Aviendha postanowi zostać w namiocie; w jego namiocie albo Mądrych, nie obchodziło go to, byle tylko nie musiał zasypiać wsłuchany w odległy o kilka kroków oddech. Ostatnimi czasy zaczęło mu się wręcz wydawać, że słyszy bicie jej serca nawet wtedy, gdy wcale nie obejmował *saidina*. Zresztą podjął środki ostrożności na wypadek, gdyby jednak nie trzymała się z dala od niego,

Panny zatrzymały się obok schodów, część pobiegła na tył budynku, żeby zajęć stanowiska z wszystkich stron. Obawiał się, że spróbują zadeklarować go jako Dach Panien, choćby na tę jedną noc, dlatego więc, gdy tylko wybrał ten budy-

nek, jeden z nielicznych w mieście posiadający solidny dach i większość szyb w oknach, powiedział Sulin, że on deklaruje go jako Dach Braci Winnej Jagody. Do środka nie mógł wejść nikt, kto nie napił się z Winnej Jagody w Polu Emonda. Sądząc po spojrzeniu, jakim go obdarzyła, wiedziała bardzo dobrze, co się za tym kryje, niemniej jednak żadna z Panien nie weszła za nim przez szerokie drzwi, skonstruowane jakby z samych wąskich, pionowych paneli.

Przestronne pokoje we wnętrzu budynku były puste, mimo to odziani w biel *gai'shain* rozestali dla siebie koce w szerokim holu wejściowym z wysokim sklepieniem zdobionym w prosty wzór z kwadratów. Pozostawienie *gai'shain* za drzwiami domu wykraczało poza jego możliwości, nawet jeśli tego chciał, podobnie jak pozbycie się Moiraine, o ile ta nie zdecydowała spać gdzie indziej. Mógł do woli rozkazywać, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano; zawsze potrafiła zmusić Panny, by ją przepuściły, i zawsze trzeba jej było wydać bezpośredni rozkaz, że ma odejść.

Gai'shain, mężczyźni i kobiety, powstali zwinnie, jeszcze zanim zamknął za sobą drzwi. Nie zamierzali pójść spać, dopóki on nie pójdzie, a część czuwała na zmianę, na wypadek, gdyby zażyczył sobie czegoś w środku nocy. Próbował im nakazać, by tego nie robili, ale powiedzenie *gai'shain*, że mają nie służyć tak, jak dyktował obyczaj, przypominało kopanie beli wełny: każde wgniecenie znikało, ledwie odjąłeś stopę. Odprawił ich machnięciem ręki i wspiał się po marmurowych schodach. *Gai'shain* zgromadzili dla niego trochę mebli, w tym łóżko i dwa materace wypchane pierzem; nie mógł się już doczekać, kiedy się umyje i . . .

Otworzył drzwi sypialni i stanął jak wryty. Aviendha postanowiła jednak nie zostawać w namiocie. Ze szmatką w jednym ręku i kostką żółtego mydła w drugim, stała obok umywalni, wyposażonej w popękana misę i dzban z dwu różnych kompletów. Nie miała na sobie ubrania. Wyglądała na równie oślepiają jak on, na równie niezdolną do wykonania ruchu.

— Ja. . . — Urwała, by przełknąć ślinę, a spojrzenie wielkich zielonych oczu zawisło na jego twarzy. — Nie umiałam znaleźć łaźni parowej w tym. . . mieście, więc pomyślałam sobie, że wypróbuję waszą metodę. . . — Jej ciało, mimo, że silnie umięśnione, odznaczało się jednak miękkością linii; cała lśniła od wilgoci. Nigdy nie wyobrażał sobie, że może mieć tak długie nogi.

— Myślałam, że zostaniesz dłużej na moście. Ja. . . — Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy; przepętnione paniką oczy zogromniały. — Ja nie zrobiłam tego specjalnie, wcale nie chciałam, żebyś mnie zobaczył! Muszę uciec od ciebie. Najdalej jak się da! Muszę!

Znienacka w powietrzu obok niej pojawiła się połyskliwa, pionowa linia. Rozszerzała się, wirując wokół własnej osi, aż powstała z niej brama. Do wnętrza pokoju wpadł podmuch lodowatego wiatru, niosącego gęste płaty śniegu.

— Muszę uciec! — załkała i pomknęła w sam środek śnieżycy.

Brama, wirując, zaczęła się natychmiast ścieśniać, ale Rand bez namysłu prze-

niósł Moc, blokując ją w połowie poprzedniej szerokości. Nie wiedział, co zrobił ani jak, był natomiast pewien, że to brama do Podróżowania, o którym opowiadał mu Asmodean i którego nie potrafił go nauczyć. Nie było czasu na myślenie. Aviendha, dokądkolwiek uciekła, weszła całkiem naga w samo serce zimowej burzy. Rand podwiązał utkane przez siebie sploty, jednocześnie zrywając wszystkie koce z łóżka, po czym rzucił je na jej ubranie i siennik. Zgarnawszy razem koce, ubrania i dywaniki, skoczył za nią zaledwie kilka chwil później.

W nocnym powietrzu wypełnionym wirującą bielą skrzeczał lodowaty wiatr. Otulony w Pustkę, mimo to poczuł przeszywający go zimny dreszcz. Z trudem wyodrębniał kształty rozrzucone w ciemności; drzewa, jak mu się zdawało. Nie czuł żadnych woni, tylko przeraźliwy ziąb. Przed nim, w oddali, poruszyła się jakaś sylwetka, zamazana przez mrok i śnieżną zawieruchę; byłby ją przeoczył, gdyby nie wyostrzony dzięki Pustce wzrok. Aviendha biegła co sił w nogach. Brnął za nią po omacku, po kolana w śniegu, przyciskając opasły toból do piersi.

— Aviendha! Stój! — Obawiał się, że wycie wiatru zagłuszy jego wołanie, ale ona usłyszała. I zaczęła biec jeszcze szybciej. Dobył reszty sił i pognął za nią, potykając się i przewracając w śniegu, który, coraz głębszy, oblepiał jego buty. Ślady pozostawione przez bose stopy szybko ginęły pod białym kożuchem. Jeśli straci ją z oczu w takiej...

— Stójże, ty głupia kobieto! Chcesz się zabić? — Brzmienie jego głosu zdawało się ją podcinać niczym bicz, bo biegła coraz szybciej.

Brnął uparcie, to padając, to niezdarnie podnosząc się na nogi, powalany na ziemię podmuchami porywistego wiatru, potykając się o zaspy śniegu i wpadając na drzewa. Nie mógł spuścić jej z oczu. Wdzięczny był przynajmniej, że w tym lesie, czy cokolwiek to było, drzewa rosły w dużych odstępach.

Odrzucał kolejne pomysły pomykające przez Pustkę. Mógł spróbować odegnąć tę burzę — i być może w wyniku tego zamienić powietrze w lód. Osłona z Powietrza przed padającym śniegiem na nic się nie przyda, bo i tak było go dość pod stopami. Mógł wytopić dla siebie ścieżkę za pomocą Ognia — ale ugrzęzłby w błocie. Chyba że...

Przeniósł Moc i śnieg przed nim stopniał na przestrzeni pasa szerokości piędzi, który rozwijał się przed nim w miarę jak biegł. Dzięki unoszącej się parze spadające płatki znikwały na wysokości stopy nad piaszczystą glebą. Czuł bijące od niej ciepło przez podeszwy butów. Całe jego ciało, od głowy prawie po same kostki, trzęsło się od chłodu przenikającego do kości; stopy zaś pociły się i wzdrgały przed rozgrzaną ziemią. Ale już ją doganiał. Jeszcze pięć minut i...

Nagle, niewyraźna sylwetka, którą cały czas gonił, zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

Nie odrywając oczu od miejsca, w którym ją widział po raz ostami, biegł najszybciej, jak potrafił. Nagle zaczął rozbrzgiwać lodowatą wodę zalewającą mu kostki, wpadł w nią aż po kolana. Przed nim topniejący śnieg odkrywał coraz

większe połacie gruntu, skraj lodu zaś powoli się cofał. Ponad czarną wodą nie unosiła się para. Potok czy rzeka, za dużo było tej wody, by ogrzać choć trochę jej wartki nurt ilością przenoszanej Mocy. Aviendha musiała wbiec na lód, który zapadł się pod nią. Nie uratuje jej, jeśli będzie próbował w tym brodzić. Przepelniony *saidinem* ledwie zauważał zimno, a mimo to bez opamiętania szczykał zębami.

Cofając się do brzegu, z wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie, jak mu się zdawało, wpadła Aviendha, przenosił strumienie Ognia na wciąż jeszcze nagi grunt, w sporej odległości od potoku, aż wreszcie piasek stopniał, scalił się i zaiskrzył bielą. Nawet podczas takiej burzy pozostanie przez jakiś czas gorący. Postawił na śniegu, tuż obok piasku tobót — jej życie będzie zależało od ponownego odnalezienia koców i dywaników — a potem przebrnął przez głęboką biel do wytopionej ścieżki i legł na niej płasko. Powoli wpełzał na pokryty śniegiem lód.

Przenikliwy wiatr, przed którym kaftan w ogóle go nie chronił, przewiał go na wskroś. Ręce miał zdrętwiałe, stopy zaś pełne życia; przestał dygotać, tylko czasem wstrząsał nim dreszcz. Lodowato spokojny we wnętrzu Pustki, wiedział, co się dzieje; w Dwu Rzekach zdarzały się zadymki śnieżne, może nawet tak paskudne jak ta. Jego ciało poddawało się powoli. Jeśli szybko nie znajdzie źródła ciepła, to będzie mógł spokojnie patrzeć z Pustki na własną śmierć. Ale jeśli on umrze, to umrze również Aviendha. O ile już nie umarła.

Poczuł raczej, niż usłyszał trzask lodu pod własnym ciężarem. Szukające po omacku dłonie wpadły w wodę. To było to miejsce, ale przez wirujący dookoła śnieg ledwie co widział. Młócił rękoma, szukał, pluskając odrętwiałymi palcami. Jedna ręka uderzyła o coś na krawędzi lodu, więc rozkazał palcom się zatrzymać, a wtedy chwycił w garść zamarnięte włosy.

„Trzeba ją wyciągnąć”.

Włókł ją, czołgając się w tył. Całkiem bezwładna, powoli wysuwała się z wody.

„Nieważne, jeśli lód ją podrapie. Lepsze to, niż gdyby miała zamarznąć na śmierć albo utonąć”.

W tył.

„Ruszaj się. Jak przestaniesz, to ona umrze. Ruszaj się, a żebyś szczył!”

Pełził. Podciągając się nogami, zapierając jedną ręką. Drugą wczepił we włosy Aviendhy; nie było czasu, żeby jakoś lepiej ją złapać; ona i tak nic nie czuje.

„Za długo wszystko przychodziło ci łatwo. Lordowie klękali, *gai'shain* biegali, żeby przynieść ci wina, a Moiraine robiła, co jej kazano”.

W tył.

„Czas wreszcie coś z sobą zrobić, dopóki jeszcze można. Ruszaj się, ty przekłety, parchaty kozisynu! Ruszaj się!”

Nagle zabolaty go stopy; ból pełził w górę nóg. Obejrzał się dopiero po chwili, a potem przeturlał na parującą łachę stopionego piasku. Smugi dymu unoszące się

znad tego miejsca, w którym jego spodnie zaczęły się tlić, rozwiął wiatr.

Sięgnął po omacku po tobołek; owinął Aviendhę od stóp do głów wszystkim, co w nim było — kocami, narzutami z legowiska, szatami. Każde dodatkowe okrycie mogło mieć znaczenie. Dziewczyna miała zamknięte oczy i nie ruszała się. Odsunął koce, żeby przyłożyć ucho do jej piersi. Serce biło tak wolno, że nie był pewien, czy naprawdę je słyszy. Nawet cztery koce i pół tuzina dywaników nie wystarczało, a nie mógł przenieść ciepła w ciało tak jak w ziemię; nawet gdyby bardzo zwężył strumień, prędzej by ją zabił, niż ogrzał. Mimo burzy czuł splot; za pomocą którego zablokował bramę, oddalony o jakąś milę, może dwie. Jeśli spróbuje nieść ją tak daleko, nie przeżyje żadne z nich. Potrzebowali schronienia i to właśnie w tym miejscu.

Przeniósł strumienie Powietrza i śnieg zaczął sunąć ponad ziemią, pod wiatr, gromadząc się w postaci grubych, solidnych zasp o grubości trzech kroków, które zamknęły krąg, pozostawiając otwór wejściowy; budowla wznosiła się coraz wyżej, śnieg zbrylał się, aż wreszcie, szklisty jak lód, zasklepił ją dostatecznie wysoko, by można było w środku stanąć. Wziął Aviendhę na ręce i, zataczając się, wpadł do środka, tkając i wiążąc roztańczone płomienie w kątach schronienia, żeby je oświetlić, przenosząc śnieg, żeby zamknąć otwór wejściowy.

Zrobiło się cieplej, kiedy odciął drogę podmuchom wiatru, ale to nie wystarczało. Za pomocą sztuczki, której nauczył go Asmodean, splótł Powietrze z Ogniem i wokół nich zrobiło się jeszcze cieplej. Nie odważył się podwiązać splotu; gdyby zasnął, mógłby się rozrosnąć i stopić chatę. Płomienie, skoro już o tym mowa, były niemal równie niebezpieczne, by je pozostawiać bez dozoru, ale śmiertelnie zmęczony i przemarznięty do szpiku kości nie dałby rady utrzymać więcej niż jeden splot.

Podczas tego budowania grunt wewnątrz oczyścił się; ukazała się naga piaszczysta gleba, pokryta z rzadka zbrązowiałymi liśćmi, których nie rozpoznawał, oraz niskimi, uschłymi i sparchaciałymi chwastami, równie mu obcymi. Uwolniony splot, który ocieplał powietrze, lekko odmroził grunt, po czym zaczął tkać ad nowa. Dzięki temu splotowi mógł delikatnie ułożyć Aviendhę, zamiast ją brutalnie upuścić.

Wsunął rękę pod koce, wyczuł policzek, ramię. Po twarzy dziewczyny ściekały strumyczki wody z odmarzających włosów. On był zimny, ona natomiast lodowata. Potrzebowała jak najwięcej ciepła, każdej drobiny, jaką mógł pozyskać, ale mimo to nie odważył się jeszcze mocniej rozgrzać powietrza. Na ścianach już i tak połyskiwała cieniutka warstewka topniejącego śniegu. Nie czuł się zmarznięty, miał w sobie więcej ciepła niż ona.

Rozebrał się do naga i wsunął pod koce obok niej, układając na zewnątrz mokre ubranie; mogło się przydać do zatrzymania ciepła ciała. Zmysły, uwrażliwione przez Pustkę i *saidina*, syciły się dotykiem jej ciała. W porównaniu z jej skórą jedwab wydawałby się szorstki...

„Nie myśl!”

Odgarnął wilgotne włosy z jej twarzy. Źle, że ich nie osuszył, ale woda nie była już taka zimna, a zresztą nie miał czym się posłużyć z wyjątkiem koców lub ubrań. Jej oczy pozostawały zamknięte, ale klatka piersiowa nieznacznie drgnęła. Głowa spoczywała na jego ramieniu, wtulona w jego pierś. Równie dobrze mogła by spać, gdyby w dotyku nie była jak wcielenie zimy. Taka spokojna; ani trochę zła. Taka piękna.

„Przestań myśleć!”

Surowy rozkaz, który dotarł zza skorupy Pustki.

„Mów do niej”.

Próbował mówić o pierwszej lepszej sprawie, jaka przyszła mu do głowy, o Elayne i zamieszanu, jakie wywołały oba jej listy, ale to szybko przywołało w Pustkę myśli o złotowłosej Dziedziczce Tronu Andor, o całowaniu się z nią w odludnych zakamarkach Kamienia.

„Nie myśl o pocałunkach, głupcze!”

Przerzucił się na Min. O niej nigdy nie myślał w taki sposób. Cóż, kilka snów nie mogło się liczyć. Min spoliczkowała by go, gdyby kiedykolwiek spróbował ją pocałować, albo wyśmiała i nazwała wełnianogłowym. Tyle że mówienie o jakiegokolwiek kobiecie przypominało mu, że oto trzyma w objęciach taką, która nie ma na sobie ubrania. Przepełniony Mocą czuł jej zapach, czuł każdy cal jej ciała tak wyraźnie, jakby wiodł dłońmi. . . Pustka zadrzała.

„Światłości, starsz się tylko ją ogrzać! Wyprowadźże myśli z chlewa, człowieku!”

Starając się więc o niej nie myśleć, opowiadał o swoich nadziejach związanych z Cairhien, o przywróceniu pokoju i położeniu kresu klęsce głodu, o poprowadzeniu za sobą narodów bez rozlewu krwi. Ale ten wątek też żył własnym życiem, przywołując na myśl drogę, która nieuchronnie wiodła ku Shayol Ghul, gdzie musiał zmierzyć się z Czarnym i zginąć, jeśli Proroctwa mówiły prawdę. Wyrażanie nadziei na to, że może jednak przeżyje, zakrawało na tchórzostwo. Aielowie nie znali tchórzostwa; najgorszy z nich był odważny jak lew.

— Pęknięcie Świata zabiło słabych — przypomniał sobie słowa Baela — a Ziemia Trzech Sfer zabiła tchórzów.

Zaczął opowiadać o miejscu, w którym się znaleźli, dokąd ich ściągnęła swą nagłą, bezsensowną ucieczką. Miejsce odludne i takie obce, i do tego ten śnieg. . . Bezsensowna ucieczka. Szaleństwo! Wiedział jednak, że była to ucieczka przed nim. Uciekła przed nim. . . Jak ona musi go nienawidzić, skoro wołała to zrobić, zamiast zwyczajnie poprosić, by wyszedł i pozwolił jej się umyć w samotności.

— Powinienem był zapukać. (Do drzwi własnej sypialni?) — Wiem, że nie chcesz przebywać w moim towarzystwie. Wcale nie musisz. Wrócisz do namiotów Mądrych, czegokolwiek by żądały, cokolwiek by mówiły. Już nigdy więcej nie będziesz musiała się do mnie zbliżać. A jeśli się zbliżysz, to ja. . . to ja cie

odeśle. — Skąd to wahanie w tym momencie? Odnosiła się do niego z gniewem, pełna złości wtedy, gdy była przytomna, i była taka chłodna, obca, gdy spała...

— To było wariactwo. Mogłaś się zabić.

Znowu gładził ją po włosach; nie potrafił przestać.

— Jak jeszcze raz zrobisz coś tak zwariowanego, to skręcę ci kark. Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie, jak ja będę tęsknił za twoim oddechem w nocy? — Tęsknił? Ona go tym doprowadzała do szaleństwa! To on jest szalony. Musi z tym skończyć. — Odejdiesz i to wszystko, nawet gdybym musiał odesłać cię do Rhuidean. Mądre nie będą się mogły sprzeciwić, jeśli przemówię jako *Car'a'carn*. Już więcej nie będziesz musiała przede mną uciekać.

Drgnęła i ręka, którą mimo woli ją gładził, zastygła nagle. Poczul, że zrobiła się ciepła. Bardzo ciepła. Powinien okryć się przyzwoicie jednym z koców i odsunąć się. Otworzyła oczy, czyste i ciemnozielone, wpatrzone w niego z powagą z odległości niecałej stopy. Nie wyglądała na zdziwioną, że go widzi i nie wyrwała się. Odjął ręce od jej ciała, zaczął się odsuwać, a ona uchwyciła garść jego włosów w bolesnym uścisku. Gdyby się poruszył, prawdopodobnie by mu je wyrwała. Nie dała mu szansy, by mógł cokolwiek wytłumaczyć.

— Obiecałam mojej prawie-siostrze, że będę cię pilnować. — Wydawała się mówić także do siebie, nie tylko do niego, niskim, pozbawionym emocji głosem. — Uciekałam przed tobą najszybciej, jak umiałam, żeby ochronić swój honor. Ale ty mnie dopadłeś nawet tutaj. Pierścienie nie kłamią, a ja już dłużej nie mogę uciekać. — Jej głos nabrał stanowczości. — Nie będę już więcej uciekała.

Rand próbował ją spytać, co miała na myśli, jednocześnie starając się wyplątać jej palce z włosów, ale ona chwyciła jeszcze jedną garść z drugiej strony i przyciągnęła jego usta do swoich. To był koniec wszelkiej racjonalnej myśli; Pustka rozleciała się na kawałki, *saidin* umknął. Wiedział, że nawet gdyby chciał, to i tak nie umiałby się powstrzymać, zresztą taka chęć wcale nie przychodziła mu do głowy, a ona najwyraźniej też tego nie chciała. W rzeczy samej, ostatnia spójna myśl, jaka przyszła mu do głowy, była taka, że chyba jej nie powstrzyma.

Dużo później — dwie godziny, może trzy; nie bardzo był pewien — leżał na dywanikach, nakryty kocami, z dłońmi podłożonymi pod głowę, wpatrzony w Aviendhę, która badała śliskie, białe ściany. Trzymały zaskakującą ilość ciepła; nie musiał na powrót przywierać do *saidina*, żeby zagrozić drogę zimnu albo ogrzać powietrze. Przy wstawaniu przeczesła tylko włosy palcami i paradowała przed nim, zupełnie nie zawstydzona nagością. Co prawda było trochę za późno na wstyd, i to z powodu czegoś tak nieznaczącego jak brak ubrania. Kiedy wywlekał ją z wody, bał się, że ją porani, ale teraz zauważył, że miała na ciele mniej zadrapań niż on i zdawały się wcale nie szpecić jej urody.

— Co to jest? — spytała.

— Śnieg. — Wyjaśnił pojęcie śniegu najlepiej jak umiał, ale ona tylko potrząsała głową, trochę ze zdziwienia, a trochę nie dowierzając. Dla kogoś, kto wy-

chowal się w Pustkowiu, zamarznięta woda spadająca z nieba musiała być czymś równie niemożliwym jak fruwanie. Wyglądało na to, że w Pustkowiu śnieg spadł dopiero wtedy, gdy on to sprawił.

Nie potrafił powstrzymać westchnienia żalu, kiedy zaczęła wkładać bieliznę.

— Mądre mogą nas ożenić, zaraz jak wrócimy. — Nadal wyczuwał splot, dzięki któremu brama była wciąż otwarta.

Ciemnoruda głowa Aviendhy wyskoczyła z otworu w koszuli; dziewczyna patrzyła na niego spokojnie. Nie wrogo, ale też nie przyjaźnie. Stanowczo.

— Na jakiej podstawie uważasz, że jakiś mężczyzna miałby prawo prosić mnie o to? A poza tym należysz przecież do Elayne.

Otworzył usta ze zdziwienia.

— Aviendha, przecież my właśnie... My dwoje... Światłości, musimy się teraz pobrać. Choć ja wcale nie robię tego, bo muszę — dodał pośpiesznie. — Ja tego chcę. — Wcale nie był tego pewien. Wydawało mu się, że być może ją kocha, ale wydawało mu się, że kocha również Elayne. I z jakiegoś powodu stale wracał myślami do Min.

„Jesteś takim samym rozpustnikiem jak Mat”.

Ale przynajmniej raz mógł uczynić coś słusznego dlatego, że to było słuszne.

Pociągnęła pogardliwie nosem i obmacała pończochy, by sprawdzić, czy są suche, po czym usiadła, żeby je włożyć.

— Egwene opowiadała mi o waszych obyczajach małżeńskich w Dwu Rzekach.

— Chcesz poczekać rok? — spytał z niedowierzaniem.

— Rok? A tak, właśnie o tym mówię.

Nigdy dotąd nie zwracał uwagi na to, ile nogi pokazuje kobieta przy wciąganiu pończochy; dziwne, wydało mu się to takie podniecające, mimo że przed chwilą widział ją zupełnie naga, spoconą i... Musiał się mocno skupić, żeby jej słuchać.

— Egwene opowiadała mi, że zamierzała poprosić swą matkę, by ta pozwoliła jej poślubić ciebie, ale zanim o tym w ogóle wspomniała, matka powiedziała, że będzie musiała odczekać cały rok, nawet jeśli zaplecie włosy w warkocz. — Aviendha skrzywiła się, jedno z kolan trzymała niemal pod brodą. — Czy tak to właśnie jest? Mówiła, że dziewczynie nie wolno splatać włosów, dopóki nie dorośnie do małżeństwa. Czy ty w ogóle rozumiesz, o czym ja mówię? Wyglądasz jak tamta... ryba... którą Moiraine złowiła w rzece.

W Pustkowiu nie było żadnych ryb; Aielowie znali je jedynie z książek.

— Jasne, że tak — odparł. Równie dobrze mógł być głuchy i ślepy, nic z tego nie rozumiał. Wierząc się pod kocami, starał się mówić pewnym głosem. — W każdym razie... Cóż, obyczaje bywają skomplikowane, a ja nie jestem pewien, o których ty mówisz.

Przez chwilę patrzyła na niego podejrzliwie, ale obyczaje samych Aielów były tak pogmatwane, że uwierzyła mu. W Dwu Rzekach młodzi prowadzali się

razem przez rok, a jeśli się okazało, że mają się ku sobie, następowały zrękowiny, a wreszcie małżeństwo; tak wyglądał ten obyczaj. Ubierała się, mówiąc dalej.

— Chodziło mi o to, że w ciągu tego roku dziewczyna prosi o pozwolenie swoją matkę, a także Wiedzącą. Nie mogę powiedzieć, bym to rozumiała. — Biała bluzka, którą właśnie wciągała przez głowę, na moment stłumiła jej słowa. — Jeśli ona go chce, a jest dostatecznie dorosła do zamążpójścia, to po co jej pozwolenie? Ale ty to rozumiesz? Zgodnie z moimi obyczajami — ton jej głosu mówił, że tylko one się liczą — to ja powinnam cię poprosić, a ja tego nie uczynię. Wedle waszych obyczajów — pokręciła głowę, zapinając pasek — nie otrzymałam zgody od mojej matki. A ty, jak przypuszczam, potrzebowałbyś zgody ojca? Czy też twojego ojca-brata, jako że twój ojciec nie żyje. Nie mamy tych pozwoleń, więc nie możemy się pobrać. — Złożyła chustę i obwiązała nią czoło.

— Rozumiem — powiedział osłabłym głosem. Każdy chłopak w Dwu Rzekach, który prosił swego ojca o taką zgodę, dopraszał się jednocześnie, by go porządnie wytargano za uszy. Kiedy sobie przypominał tych, którzy jak durnie zamartwiali się, że ktoś, obojętnie kto, dowie się, co oni robili z dziewczyną, którą zamierzali poślubić... Przypominał sobie nawet, jak to Nynaeve przyłapała Kimry Lewin i Bara Dowtry'ego na stryszku z sianem ojca Bara. Kimry nosiła włosy splecione w warkocz od pięciu lat, ale kiedy Nynaeve z nią się rozprawiła, sprawę przejęła pani Lewin. Koło Kobiet omal nie obdarło wówczas ze skóry biednej Kimry, a to i tak było nic w porównaniu z tym, co robiły z nią podczas tego miesiąca, który ich zdaniem był najkrótszym przyzwoitym czasem czekania na wesele. Ukradkiem żartowano, ale tylko tam, gdzie to nie mogło dotrzeć do Koła Kobiet, że ani Bar, ani Kimry nie byli w stanie siadać podczas pierwszego tygodnia ich małżeństwa.

— Kiedy mnie się zdaje, że Egwene nie mogła znać wszystkich obyczajów mężczyzn — ciągnął. — Kobiety nie wiedzą wszystkiego. Bo widzisz, ja to wszystko zacząłem, więc musimy się pobrać. Pozwolenie nie jest w takim przypadku ważne.

— Ty to zacząłeś? — Jej prychnięcie było złośliwe i znaczące. Kobiety z Pustkowie, z Andoru, skądkolwiek, posługiwały się tego typu dźwiękami niczym kijami, którymi poszturchiwały albo obijały człowieka. — To zresztą nieważne, bo przecież wyznajemy obyczaje Aielów. To się więcej nie powtórzy, Randzie al'Thor.

Był zaskoczony — i zadowolony — że słyszy żal w jej głosie, kiedy kontynuowała:

— Należysz do prawie-siostry mojej prawie-siostry. Mnie obowiązuje *toh* względem Elayne, ale to nie jest twoja sprawa. Masz zamiar leżeć tutaj całą wieczność? Słyszałam, że mężczyźni robią się po tym leniwi, ale przecież klany będą niebawem gotowe do porannego wymarszu. Musisz tam być. — Nagle przez jej twarz przebiegł skurcz przerażenia, aż ukłękła zatrwożona. — O ile możemy wró-

cić. Nie jestem pewna, czy pamiętam, w jaki sposób zrobiłam tę dziurę, Randzie al'Thor. Musisz poszukać naszej drogi powrotnej.

Odparł, że zablokował jej bramę i że nadal ją czuje. Aviendzie wyraźnie ulżyło, uśmiechnęła się nawet do niego. I stawało się coraz bardziej oczywiste, kiedy poprawiała pończochy i spódnice, że nie ma zamiaru się odwrócić, gdy on będzie się ubierał.

— Wet za wet — mruknął po dłuższej chwili i wygramolił się spod koców.

Usiłował być równie nonszalancki jak ona przedtem, co bynajmniej nie okazało się łatwe. Czuł na sobie jej wzrok niczym dotyk, nawet kiedy się od niej odwracał. I doprawdy, po co stwierdzenie, że ma ładne pośladki; on nie powiedział przecież ani słowa o tym, co jemu się u niej podoba. Zrobiła to chyba tylko po to, żeby się zaczerwienił. Kobiety nie patrzą przecież na mężczyzn w taki sposób.

„I nie proszą o zgodę swych matek, żeby...?”

Dotarło do niego, że życie z Aviendhą nie będzie wcale takie łatwe.

KRÓTKA WŁÓCZNIA

Wywiązała się drobna sprzeczka. Mimo iż na zewnątrz wciąż jeszcze szalała burza, mogli spróbować wrócić do bramy, okryci kocami i dywanikami. Aviendha zaczęła je dzielić, a on tymczasem ujął *saidina*, napełniając się życiem i śmiercią, stopionym ogniem i płynnym lodem.

— Podziel je równo — przykazał. Wiedział, że mówi głosem zimnym, bez emocji. Asmodean zapewnił go, że kiedyś to pokona, ale jak dotąd mu się nie udało.

Spojrzała na niego zdumiona, ale rzekła jedynie:

— Ciebie jest więcej do okrycia — i robiła dalej to samo, co przedtem.

Nie było sensu się kłócić. Na podstawie doświadczeń, zarówno tych pierwszych, zdobywanych jeszcze w Polu Emonda, jak i ostatnich, które dały mu Panny, wiedział, że jeśli kobieta postanowi coś zrobić dla mężczyzny, to tylko związawszy, można by ją powstrzymać, zwłaszcza jeśli to coś by wymagało z jej strony poświęcenia. Niespodziankę natomiast przyniósł fakt, że wcale nie była przy tym zgryźliwa, nie powiedziała, że jest miękkim mieszkańcem mokradeł, choć podejrzewał, że to dokładnie miała na myśli. Może to wszystko, co się wydarzyło, przyniesie coś więcej niż miłe wspomnienia.

Uplótszy strumień Ognia grubości palca, wyciął zarys drzwi w jednej ze ścian, poszerzając szczelinę na szczycie. O dziwo, zaświeciło przez nią światło dnia. Wypuściwszy *saidina*, wymienił zaskoczone spojrzenia z Aviendhą. Wiedział, że stracił poczucie czasu — „Straciłeś poczucie całego roku” — ale nie mogli być tam aż tak długo. Gdziekolwiek się znajdowali, byli bardzo daleko od Cairhien.

Pchnął blok, ale ten poddał się dopiero wtedy, gdy oparł się o niego plecami, wbił pięty w podłoże i z całej siły naparł na mur. W momencie, kiedy przyszło mu do głowy, że prawdopodobnie mógł to osiągnąć o wiele łatwiej dzięki Mocy, blok wypadł na zewnątrz, pociągając go za sobą w zimny, jasny dzień. Leżał na plecach wsparty o śnieg, który nadbudował się wokół chaty, z głową na zewnątrz. Wokół wznosiły się kopce, jakieś gładkie zaspasy otaczające rosnące w dużych odległościach karłowate drzewa, których gatunków nie znał, inne być może okrywały krzaki albo duże głązy.

Otworzył usta. . . i zapomniał, co chciał powiedzieć, bowiem nad nim, na wysokości niecałych pięćdziesięciu stóp, przeleciał skórzasty, szary kształt, znacznie większy od konia, na wolno bijących, szeroko rozstawionych skrzydłach, z wydatnym, rogowatym pyskiem, szponiastymi łapami i cienkim, jaszczurczym ogonem wlokącym się z tyłu. Powiódł za nim wzrokiem, śledząc stwora w locie, dopóki ten nie zniknął za drzewami. Jego grzbietu dosiadało dwoje ludzi; mimo szat z kapturami było oczywiste, że obserwują teren z góry. Gdyby z otworu wystawało coś więcej niż tylko jego głowa, gdyby nie znajdował się bezpośrednio pod tym stworzeniem, z całą pewnością by go zobaczyli.

— Zostaw koce — powiedział, schowawszy się do środka. Opowiedział jej, co zobaczył. — Może byli usposobieni przyjaźnie, może nie, ale wolałbym się raczej nie dowiadywać, — Nie był w każdym razie pewien, czy chce spotkać ludzi, którzy dosiadają czegoś takiego. O ile to w ogóle byli ludzie. — Przekradniemy się do bramy. Tak szybko jak się da, ale musimy być bardzo ostrożni.

O dziwo, wcale się nie sprzeczała. Kiedy skomentował ten fakt w trakcie, gdy pomagał jej się wspiąć na lodowy blok — to też było dziwne, że przyjęła jego rękę bez przynajmniej wściekłego spojrzenia — powiedziała:

— Ja się nie sprzecam, kiedy mówisz do rzeczy, Randzie al'Thor.

Był innego zdania.

Otoczający ich teren rozciągał się płasko pod głęboką okrywą śniegu, ale na zachodzie wznosił się pokryty bielą łańcuch górski, z ostrymi szczytami spowitymi w chmury. Bez trudu zorientował się, że są położone na zachodzie, wschodziło bowiem słońce. Sponad oceanu wynurzyła się już połowa jego złotej kuli. Rozglądał się zdziwiony po okolicy. Łąd opadał ukośnie, dzięki czemu widział fale, które rozбивały się burzliwą fontanną o usłane głazami wybrzeże oddalone od nich o połowę mili. Na wschód rozciągał się ocean, bez końca, aż po horyzont i słońce. Był teraz pewien, choć śnieg już na to wskazywał, że nie znaleźli się w żadnej ze znanych krain.

Całkiem oszołomiona Aviendha zagapiła się na spienione, gniewnie fale, a kiedy do niej dotarło, co to takiego, spojrzała na niego z dezaprobatą. Mogła nigdy w życiu nie widzieć oceanu, ale widziała mapy.

Marsz w śniegu sprawiał jej, z powodu długich spódnic, więcej trudności niż jemu, a i on ledwie brnął, niekiedy zapadając się po pas. Zachnęła się, kiedy wzięła ją w ramiona, a zielone oczy rzuciły mu ostre spojrzenie.

— Musimy iść szybciej, a ty przez te spódnice strasznie się wleciesz — powiedział jej. Gniew w oczach przygasł, ale nie objęła go za szyję, na co po części liczył. Zamiast tego splotła dłonie i przybrała pełen cierpliwości wyraz twarzy. I odrobinę nadąsany. Wcale się nie zmieniła, pomimo tego, co między nimi się wydarzyło. Nie potrafił pojąć, co miało to oznaczać.

Mógł wytopić ścieżkę przez śnieg, jak to zrobił podczas burzy, ale gdyby zjawiono się jeszcze jedno z tych latających stworzeń, wówczas taki oczyszczony pas

doprowadziłby je prosto do nich. Po jego prawej stronie, w sporej odległości, przedreptał lis, o białej sierści z wyjątkiem czarnej plamki na puszystym ogonie, czujnie mierząc ich wzrokiem. Niekiedy na śniegu pojawiały się ślady króliczych łapek, rozmazane tam, gdzie zwierzęta dawały susy, a raz zobaczył odciski łap jakiegoś kota, który musiał być wielkości lamparta. Może były i jeszcze większe, może to byli jacyś nielotni krewniacy skórzastego stwora. W każdym razie nie miał ochoty na spotkanie z nimi. Istniała szansa, że ci... lotnicy... uznają pozostawioną przez niego bruzdę za ślady jakiegoś zwierzęcia.

Nadal brnął od drzewa do drzewa, żałując, że nie ma ich więcej i że nie rosną bliżej siebie. Oczywiście gdyby tak było, mógłby dla odmiany nie znaleźć Aviendhy podczas tej burzy — chrząknęła, spoglądając na niego krzywo, a on znowu poluźnił objęcia — ale teraz z pewnością przydałby się gęstszy las. Ale właśnie dlatego, że pełził, zobaczył tamtych pierwszy.

W odległości mniejszej niż pięćdziesiąt kroków, tuż przy bramie — czuł utrzymujący ją splot — stało czterech jeźdźców i ponad dwudziestu pieszych. Na koniach siedziały same kobiety, wszystkie odziane w długie i grube, podbite futrem płaszcze; dwie nosiły srebrne bransolety na lewym przegubie, połączone długą smyczą z tego samego, połyskliwego metalu z lśniącym kołnierzem na szyi stojącej na śniegu kobiety odzianej na szaro, ale bez płaszcza. Stojący mężczyźni ubrani byli w ciemne skóry i zbroje pomalowane na zielono i złoto, z nakładającymi się płytkami na piersiach, zewnątrz ramion i przodach ud. Zielono-złote chwasty zdobiły ich włócznie, długie tarcze były pomalowane na takie same barwy, hełmy zaś, niemal całkowicie zasłaniające twarze, przypominały głowy ogromnych insektów. Jeden z nich był oficerem; nie miał ani włócznie, ani tarczy, ale za to na plecach nosił zakrzywiony, obosieczny miecz. Płytki błyszczącej zbroi obrzeżone były srebrem, cienkie zaś, zielone pióra, podobne do macek, potęgowały wrażenie wywoływane przez pomalowany hełm. Rand wiedział teraz, gdzie się razem z Aviendhą znaleźli. Już kiedyś widział taką zbroję. I kobiety w takich obręczach.

Usadowiłszy Aviendhę za pniem drzewa, które wyglądało jak powykręcana wiatrem sosna, lecz jego pień był gładki i szary, przetykany pasemkami czerni, wskazał ich ręką, ona zaś milcząco przytaknęła.

— Te dwie kobiety na smyczach potrafią przenosić — szepnął. — Czy potrafisz je zablokować? — Po chwili dodał: — Nie obejmuj jeszcze Źródła. One są więźniarkami, ale mogą ostrzec inne, a nawet jeśli tego nie uczynią, to kobiety w bransoletach mogą się zorientować, że tamte cię wyczuły.

Spojrzała na niego dziwnie, ale nie zaczęła się dopytywać, skąd on o tym wszystkim wie. Rand wiedział, że takie pytania padną później.

— Te kobiety w bransoletach też potrafią przenosić — odparła równie cicho. — Ale to się dziwnie wyczuwa. Słabo. Jakby nigdy tego nie ćwiczyły. Nie pojmuję, jak to możliwe.

Rand pojął. *Damane* były tymi, od których wymagano umiejętności przenoszenia. Jeśli te dwie kobiety prześlizgnęły się jakoś przez seanchańską sieć i zamiast *damane* zostały *sul'dam*, to z pewnością nigdy się nie odważą ujawnić. Wiedział o nich niewiele, ale orientował się, że zatajenie takich umiejętności nie było łatwe, bowiem Seanchanie testowali wszystkie kobiety podczas tych lat, kiedy mogły zdradzić pierwsze oznaki tych zdolności.

— Czy możesz osłonić tarczą wszystkie cztery?

Spojrzała na niego zadowolona i pewna siebie.

— Oczywiście. Egwene nauczyła mnie władania kilkoma splotami równocześnie. Mogę je zablokować, związać i owinąć w sploty Powietrza, zanim się zorientują, co się dzieje. — Uśmiezek satysfakcji trochę przybladł. — Jestem dostatecznie szybka, żeby poradzić sobie z nimi, a także z końmi, ale pozostają jeszcze ci mężczyźni, zanim zdążę sprowadzić pomoc. Jeśli któryś ucieknie... Na pewno potrafią rzucać tymi włócznieami bardzo daleko, a jeśli któraś przyszpili cię do ziemi... — Przez chwilę coś mruzczała pod nosem, jakby zła na siebie, że nie potrafi dokończyć zdania. Wreszcie spojrzała na niego wzrokiem przepelnionym wściekłością, jakiej jeszcze nigdy u niej nie widział. — Egwene opowiadała mi o Uzdrawianiu, ale ona wie mało, a ja jeszcze mniej.

Czemu ona się teraz tak złości?

„Lepiej próbować zrozumieć słońce niż kobietę” — pomyślał z goryczą. Tak mu powiedział Thom Merrilin i była to szczerą prawdą.

— Ty się zajmij zabezpieczeniem tych kobiet tarczami — przykazał jej. — Ja zajmę się resztą. Ale nie zaczynaj, zanim nie dotknę twojej ręki.

Widział, że jej zdaniem są to przechwałki, ale nie musiał rozszczeptać splotów, tylko utkać jeden skomplikowany splot Powietrza, którym przywiąże im ręce do boków, a także unieruchomi nogi, końskie i ludzkie. Zrobił głęboki wdech, chwycił *saidina*, dotknął jej ramienia i przeniósł Moc.

Od strony Seanchan podniosły się okrzyki zaskoczenia. Powinien był pomyśleć również o kneblach, ale może uda im się przejść przez bramę, zanim tamci ściągną czyjąś uwagę. Nie wypuszczając Źródła, chwycił Aviendhę za rękę i prawie powłókł ją po śniegu, ignorując opryskliwe oświadczenie, że da radę pójść sama. Musieli się przecież spieszyć, a w ten sposób przynajmniej torował drogę przez zaspę.

Seanchanie ucichli, wpatrzeni wytrzeszczonymi oczyma, jak on i Aviendha obchodzą ich w koło. Dwie kobiety, te które nie były *sul'dam*, odrzuciły kaptury z głów i szamotały się ze splotem. Rand trzymał go tylko zamiast związać; musiał i tak go puścić, kiedy będzie odchodził, z tego prostego względu, że nawet Seanchanina nie pozostawiłby związanego na śniegu. Gdyby nie zamarli na śmierć, to pozostawały jeszcze te wielkie koty, których ślady zauważył. Tam, gdzie jest jeden, musiało być ich więcej.

Brama wciąż istniała, ale zamiast prowadzić do wnętrza izby w Eianrod, pa-

nowała za nią nieprzejrzysta szarość. Poza tym wydawała się węższa, niż zapamiętał. Co gorsza, dostrzegł splot tej szarości. Została utkana z *saidina*. Przez Pustkę przemknęła wściekła myśl. Nie umiał orzec, po co ona tam jest, ale mogła być pułapką, zastawioną na każdego, kto chciałby przejść przez bramę, utkaną przez jednego z Przeklętych. Przez Asmodeana, jak podejrzewał; gdyby udało mu się schwytać i oddać Randa pozostałym, wówczas być może odzyskałby swoje miejsce wśród nich. Jednak pozostanie po tej stronie bramy nie wchodziło w rachubę. Gdyby tylko Aviendha przypomniawszy sobie, jak ją utkała, mogłaby wówczas otworzyć inną; w przeciwnym razie będą musieli skorzystać z tej, nawet jeśli miała okazać się pułapką.

Jedna z dosiadających koni kobiet, o surowej twarzy, z wyhaftowanym na piersi szarego płaszcza czarnym krukiem na tle prostej wieży, ciemnymi oczyma, zdawała się wwiercać mu w czaszkę. Druga, młodsza, o jaśniejszej karnacji i niższa, za to bardziej władcza, nosiła na zielonym płaszczu łeb srebrnego jelenia. Szczupłe palce w rękawiczkach zdawały się zbyt długie. Rand przypuszczał — na podstawie wygolonych skroni — że te długie palce są zakończone długimi paznokciami, bez wątpienia polakierowanymi, będące oznaką seanchańskiej arystokracji. Żołnierze byli całkowicie usztywnieni, ale niebieskie oczy oficera połyskiwały groźnie za szczękami owadziego hełmu, zaś obleczone w rękawice palce wiły się, daremnie starając się dosięgnąć miecza.

Rand specjalnie się nimi nie przejmował, ale nie chciał zostawiać za sobą *damane*. Przynajmniej mógł dać im szansę ucieczki. Co prawda patrzyły na niego przerażone jak na dziką bestię z obnażonymi kłami, ale ostatecznie to nie one zdecydowały, że chcą być więźniarkami traktowanymi niewiele lepiej niż zwierzęta domowe. Przyłożył dłoń do obręczy tej, która stała najbliżej i poczuł wstrząs, od którego omal nie sparaliżowało mu ręki; Pustka dygotała krótką chwilę, a *saidin* zawrzał wściekle niczym tamta burza śnieżna tysiącokrotnie zwielokrotniona. Krótkie, jasne włosy *damane* zafalowały, kiedy zwinęła się konwulsyjnie pod wpływem jego dotyku, przeraźliwie przy tym krzycząc, zaś połączona z nią *sul'dam* poblądła nagle i głośno krzyknęła. Obie by upadły, gdyby nie więzy z Powietrza.

— Ty spróbuj — powiedział do Aviendhy, masując dłoń. — Kobieta na pewno może tego dotknąć bezpiecznie. Nie mam pojęcia, jak to rozpiąć. — To wyglądało jak jedna całość, jakimś sposobem połączona, zupełnie jak obroża ze smyczą. — Skoro dało się założyć, to powinno dać się zdjąć.

Te kilka chwil i tak nie pomoże w tym, co stało się z bramą. Czy to dzieło Asmodeana?

Aviendha potrząsnęła głową, ale zaczęła majstrować przy obręczy kobiety.

— Mocno trzyma — warknęła, kiedy *damane*, bladolica dziewczyna, szesnasto-, może siedemnastoletnia, usiłowała się jej wyrwać. O ile uwiązane na smyczy kobiety patrzyły na Randa jak na dzikie zwierzę, to w Aviendhę wpatrywały się jak w ucieleśniony koszmar.

— Ona jest *marath'damane* — wyłkała blada dziewczyna. — Niech pani uratuje Seri! Błagam! Niech pani uratuje Seri!

Druga *damane*, starsza, z matczynym wyrazem twarzy, zaczęła niepoohamowanie szlochać. Aviendha spiorunowała Randa tym samym twardym wzrokiem co z jakiegoś powodu dziewczynę, mrużąc coś gniewnie pod nosem i jednocześnie zajmując się obręczą.

— To on, lady Morsa — powiedziała nagle *sul'dam* drugiej *damane*, miękko zaciągając, przez co Rand ledwie ją rozumiał. — Noszę tę bransoletę dostatecznie długo i potrafię orzec, że *marath'damane* nie zrobiła nic więcej prócz zablokowania Jini.

Morsa nie wyglądała na zdziwioną. Spojrzała na Randa i w jej oczach rozbłysło jakby światelko rozpoznania i przerażenia. Wyjaśnienie jej reakcji było tylko jedno.

— Byłaś w Falme — powiedział. Jeśli pójdzie pierwszy, to zostawi za sobą Aviendhę, na chwilę tylko, ale jednak zostawi.

— Byłam. — Arystokratka wyglądała na bliską omdlenia, ale jej powolny, bełkotliwy głos był chłodny i władczy. — Widziałam cię i to, co zrobiłeś.

— Zważ, że tutaj nie robię tego samego. Nie rób mi trudności, a zostawię cię w spokoju. — Nie mógł posłać Aviendhy przodem. Światłość tylko wiedziała, co znajdują za bramą. Gdyby emocje nie były tak odległe, krzywiłby się w ten sam sposób, w jaki ona krzywiła się do tej obręczy. Muszą przejść razem, gotowi stawić czoło wszystkiemu.

— Wiele spraw utrzymuje się w tajemnicy odnośnie tego, co stało się na ziemiach wielkiego Hawkwinga, lady Morsa — powiedziała kobieta o surowej twarzy. Jej ciemne oczy wwierciły się w Morsę jak przedtem w niego. — Chodzą plotki, że Wiecznie Zwycięska Armia poznała smak porażki.

— Czyżbyś doszukiwała się prawdy w plotkach, Jalindin? — spytała Morsa uszczypliwym tonem. — Wszak to Poszukujący, przede wszystkim, winien wiedzieć, kiedy zachować milczenie. Sama Cesarzowa zabroniła mówić o *Corenne*, dopóki sama doń nie wezwie. Jeśli ty... albo ja... będziemy tyle mówić o mieście, w którym wylądowała ekspedycja, wówczas zostaną nam odjęte języki. Być może sprawiłby ci przyjemność pobyt w Wieży Kruków, bez języka? Nawet Słuchacze Prawdy nie słuchaliby, jak wrzeszczysz, błagając o litość, w ogóle nie zwróciliby na ciebie uwagi.

Rand rozumiał nie więcej jak dwa słowa na trzy i to nawet nie z powodu tego dziwnego akcentu. Żałował, że nie ma czasu, by tego posłuchać. *Corenne*. Powrót. Tak właśnie Seanchanie w Falme nazywali swoje usiłowania przejęcia ziem położonych za Oceanem Aryth — tych ziem, na których on żył — które uważali za im należne z urodzenia. Reszta — Poszukujący, Słuchacze, Wieża Kruków — stanowiła zagadkę. Najwyraźniej jednak Powrót został odwołany, przynajmniej na razie. To było warte uwagi.

Brama zwężała się. Może zaledwie o palec. Tylko jego blok sprawiał, że jeszcze była otwarta; już miała się zamknąć, jak tylko Aviendha wypuściła swój splot i nadal próbowała.

— Spiesz się — przykazał Aviendzie, a ona obdarzyła go takim spojrzeniem, że równie dobrze mogłaby cisnąć mu kamieniem między oczy.

— Staram się, Randzie al'Thor — powiedziała, nadal zmagając się z obręczą. Po policzkach Seri ciekły łzy; z jej gardła dobywał się nieustający, cichy lament, jakby kobieta Aiel zamierzała je poderżnąć. — Omal nie zabiłeś tamtych dwóch, a przy okazji być może siebie. Czułam, jak Moc wlewa się w nie gwałtownym potokiem, kiedy dotknąłeś drugiej obręczy. Zostaw więc to mnie, zrobię to, o ile potrafię. — Tłumiąc przekleństwo, spróbowała z boku.

Rand zastanawiał się, czy nie skłonić którejs z *sul'dam* do zdjęcia obręczy — zrobiłyby to; ktoś ostatecznie musiał wiedzieć, jak się je zdejmuje — ale widząc ich zacięte miny, zrozumiał, że musiałby je do tego zmusić. Raczej nie umiałby torturować kobiety, skoro nawet nie potrafił jej skazać na śmierć.

Raz jeszcze z westchnieniem zerknął na szarą pustkę wypełniającą bramę. Jej strumienie zdawały się wplecione w te, które sam utkał; nie mógł przeciąć jednego, nie przecinając drugiego. Przejście przez to mogło uruchomić jakąś pułapkę, a z kolei wycięcie szarości, mogło spowodować zatrzaśnięcie bramy, zanim zdążyliby przez nią przeskoczyć. Byłby to skok na oślepie w Światłość wie co.

Morsa przysłuchiwała się uważnie wszystkim słowom, jakie padły między nim a Aviendhą, i teraz wpatrywała się z namysłem w dwie *sul'dam*, za to Jalindin ani na moment nie oderwała wzroku od twarzy arystokratki.

— Wiele spraw, których nie powinno się ukrywać przed Poszukującymi, utrzymuje się w tajemnicy, lady Morsa — rzekła kobieta o srogim obliczu. — Poszukujący muszą wiedzieć wszystko.

— Zapominasz się, Jalindin — warknęła Morsa, a jej dłoń w rękawicze drgnęła nerwowo; gdyby nie miała rąk przywiązanych do boków, zapewne przetrzęłaby wodze. Mogła tylko przekrzywić głowę, by spojrzeć z góry na drugą kobietę. — Zostałaś do mnie przysłana, ponieważ Sarek patrzy wyżej niż mierzy, ma swoje plany odnośnie Serengady Dai i Tuela, nie wspominając już o tym, co Cesarzowa. . .

Jalindin przerwała jej brutalnie.

— To ty się zapominasz, lady Morsa, jeśli sądzisz, że jesteś dowodem przeciwko Poszukującym Prawdy. Ja sama kazałam przesłuchać córkę i syna Cesarzowej, oby Światłość ją błogosławiła, i z wdzięczności za wyznania, które od nich wyciągnęłam, ona łaskawie. zezwoliła mi spojrzeć na siebie. Sądzisz, że twój pośledni Dom stoi wyżej od dzieci Cesarzowej?

Morsa pozostała wyprostowana, nie miała zresztą większego wyboru, ale twarz jej zszarzała i nerwowo oblizywała wargi.

— Cesarzowa, oby Światłość ją wiecznie opromieniała, wie już dużo więcej,

niżli ja dałabym radę ogarnąć. Nie chciałam dać do zrozumienia. . .

Poszukująca znowu jej przeszkodziła, obracając głowę, by przemówić do żołnierzy, jakby Morsa nie istniała.

— Ta kobieta, Morsa, znajduje się pod kuratelą Poszukujących Prawdy. Zostanie poddana przesłuchaniu, gdy tylko powrócimy do Merinloe. A także te *sul'dam i damane*. Jak się zdaje, one również coś ukryły, czego nie wolno im było.

Na twarzach wymienionych kobiet odmalował się paniczny lęk, ale widok Morsy mógł wystarczyć za nie wszystkie. Z wytrzeszczonymi oczyma, nagle spokorniała, kuliła się na tyle, na ile pozwalały jej więzy, nie wymawiając ani słowa protestu. Wyglądała tak, jakby miała ochotę zacząć krzyczeć, a jednak — milczała. Wzrok Jalindin przeniósł się na Randa.

— Nazwała cię Randem al'Thorem. Jeśli poddasz mi się, zostaniesz dobrze potraktowany, Randzie al'Thor. Nieważne, skąd przybyłeś, nie sądz, że uda ci się zbiec, nawet jeśli nas pozabijas. Odbywają się szeroko zakrojone poszukiwania jakiejś *marath'damane*, która tej nocy przenosiła. — Jej wzrok padł na Aviendhę. — Ciebie też nieuchronnie znajdą i możesz przypadkiem zostać zgładzona. W tym okręgu wybuchł rokosz. Nie wiem, jak traktowani są tacy mężczyźni jak ty w waszym kraju, ale w Seanchan twoje cierpienia mogą zostać złagodzone. Zaś tobie wykorzystanie zdolności przyniesie wielki zaszczyt.

Wyraźnie się obraziła, kiedy ją wyśmiał.

— Nie potrafię cię zabić, ale przysięgam, że już za to powinienem obedrzeć cię ze skóry.

Z pewnością nie musiał się bać, że zostanie poskromiony przez seanchańskie ręce. W Seanchan zabijało się mężczyzn, którzy potrafili przenosić. Bez egzekucji. Organizowano polowanie, podczas którego strzelano do nich bez ostrzeżenia.

Wypełniona szarością brama zrobiła się o kolejny palec węższa, ledwie tak szeroka, by mogli przez nią oboje jednocześnie przejść.

— Zostaw ją, Aviendha. Musimy już iść.

Puściła obręcz Seri i spojrzała na niego z irytacją, ale potem jej wzrok powędrował do bramy i wtedy zadarła spódnicę, by podejść do niego przez śnieg, mrużąc coś pod nosem o zamrzniętej wodzie.

— Bądź gotowa na wszystko — ostrzegł, obejmując ją ramieniem. Powiedział sobie, że muszą być tak blisko siebie, bo inaczej nie zmieszczą się w bramie. Wcale nie dlatego, że tak się jej przyjemnie dotyka. — Nie wiem na co, ale przygotuj się. — Przytaknęła, a wtedy zawołał: — Skacz!

Skoczyli razem w sam środek szarości, przy czym Rand jednocześnie uwolnił splot unieruchamiający Seanchan, by móc po brzegi wypełnić się *saidinem*. . .

. . . i potykając się, wylądowali w jego sypialni w Eianrod, gdzie płonęła lampa, a za oknami panował mrok.

Asmodean siedział pod ścianą na skrzyżowanych nogach. Nie obejmował Źródła, ale Rand na wszelki wypadek i tak wcisnął blok między niego a *saidina*. Na-

dal obejmując ramieniem Aviendhę, przekonał się, że brama zniknęła. Nie, nie zniknęła — nadal widział swoje sploty oraz sploty, które, jego zdaniem, na pewno utkał Asmodean — ale tak to wyglądało, jakby tam już niczego nie było. Nie zatrzymując się, przeciął swój splot i brama nagle pojawiła się, ukazując gwałtownie zwężający się obraz Seanchan, lady Morsy skulonej w siodle, Jalindin wykrzykującej rozkazy. Otwór zatrzasnął się, ale tuż przedtem wdarła się przez niego lanca ozdobiona zielonymi i białymi chwastami. Rand instynktownie przeniósł Powietrze, żeby pochwycić nagle niknący kawał włóczni długości dwóch stóp. Ostrze było zakończone tak gładko, jakby obrobił je rzemieślnik. Dygocząc, cieszył się, że nie próbował usunąć szarej bariery — czymkolwiek była — zanim przez nią przeskoczył.

— Dobrze, że żadna z *sul'dam* w porę nie oprzytomniała — powiedział, biorąc do ręki kikut włóczni — bo inaczej ścigałoby nas coś znacznie gorszego. — Kątem oka obserwował Asmodeana, ale ten tylko siedział, wyglądając nieco niezdrowo. Nie mógł wiedzieć, czy Rand nie zamierza przypadkiem wetknąć mu tej włóczni w gardło.

Aviendha pociągnęła nosem w sposób bardzo znaczący.

— Uważasz, że ja je puściłam? — spytała zapalczywym tonem. Zdecydowanym ruchem odsunęła jego rękę, ale mimo to nie sądził, by ta wściekłość dotyczyła niego. A w każdym razie nie ręki. — Związałam tarcze najsilniej, jak potrafiłam. One są twoimi wrogami, Randzie al'Thor. Nawet te, które nazywasz *damane*, są tylko wiernymi psami, które wołałyby cię zagryźć, niżli odzyskać wolność. Powinieneś być twardy dla wrogów!

Ona ma rację, pomyślał, ważąc w rękach włócznię. Pozostawił za sobą wrogów, z którymi być może będzie musiał któregoś dnia się zmierzyć. Musi się zmienić. Bo inaczej zetrą go na pył, zanim dotrze do Shayol Ghul.

Ni stąd, ni zowąd zaczęła wygładzać spódnice, a jej głos przybrał ton odpowiedni raczej dla swobodnej konwersacji.

— Zauważyłam, żeś jednak nie uratował tej bladolicyj Morsy przed jej przeznaczeniem. Sądząc po sposobie, w jaki na nią patrzyłeś, wydało mi się, że jej duże oczy i krągłe łono przykuły twe oko.

Rand patrzył na nią w zdumieniu, które rozlewało się po otaczającej go Pustce niczym syrop. Równie dobrze mogła oświadczyć, że zupa gotowa. Zachodził w głowę, jak niby miał zobaczyć łono Morsy, ukryte pod podbitym futrem płaszczem.

— Szkoda, że jej nie zabrałem — powiedział. — Żeby przesłuchać na temat Seanchan. Obawiam się, że jeszcze mi przysporzą kłopotów.

Błysk, który na moment pojawił się w jej oku, zgasł. Otworzyła usta, ale nie powiedziała nic, tylko zerknęła na Asmodeana, który podniósł rękę. Doskonale wyczuwał pytania odnośnie Seanchan zawarte w jej spojrzeniu. Na ile ją znał, jak już by raz zaczęła, to nie skończyłaby drążyć, dopóki nie doszukałaby się nawet

tych strzępków wiedzy, których już nawet nie pamiętał. Co wcale nie musiało być takie złe. Innym razem. Najpierw wyciągnie kilka wyjaśnień od Asmodeana. Ma rację. Musi być twardy.

— To było sprytne — powiedziała — z ukryciem tej mojej dziury. Gdyby tu przyszedł jakiś *gai'shain*, wówczas przemaszerowałoby pewnie przez nią tysiąc siostr-włóczni, żeby cię odnaleźć.

Asmodean chrząknął.

— Jedna *gai'shain* rzeczywiście przysłała. Ktoś o imieniu Sulin kazał jej dopilnować, byś się najadł, Lordzie Smoku, więc pozwoliłem sobie jej powiedzieć, że ty i pewna młoda kobieta nie życzyście sobie, by wam przeszkadzano, bo inaczej wniosłaby tu tacę i stwierdziła, że zniknąłeś.

Lekkie przymrużenie oka nie uszło uwagi Randa.

— Co takiego?

— Ona to odebrała równie dziwnie. Wybuchnęła głośnym śmiechem i wybiegła z izby. Kilka minut później pod oknem stanęło chyba z dwadzieścia *Far Dareis Mai*, wszystkie przez dobrą godzinę, a może i dłużej, krzyczały i bębniły włóczniami o tarcze. Muszę powiedzieć, Lordzie Smoku, że nawet mnie zaskoczyły niektóre z wykrzykiwanych przez nie sugestii.

Rand poczuł, że płoną mu policzki — to się stało po drugiej stronie tego cholernego świata, a Panny i tak się dowiedziały! — ale Aviendha tylko zmrużyła oczy.

— Czy jej włosy i oczy były takiej barwy jak moje? — Nie czekała na potaknięcie Asmodeana. — To musiała być moja prawie-siostra, Niella. — Zauważyła zdziwienie na twarzy Randa i zareagowała na nie, zanim zdążył przemówić. — Niella jest tkaczką, nie Panną, i została pojmana pół roku temu przez Panny Chareen podczas napaści na Siedzibę Sulara. Próbowwała mnie namówić, żebym nie brała włóczni w dłonie, i zawsze chciała, żebym kogoś poślubiła. Mam zamiar ją odesłać do Chareen z blizną na brzuchu za każdą, której o tym opowiedziała!

Rand złapał ją za rękę, kiedy zaczęła wychodzić z izby.

— Chcę porozmawiać z Nataelem. Nie sądzę, by do świtu zostało dużo czasu...

— Ze dwie godziny — wtrącił Asmodean

— ... więc przed nami mało snu. Może byś tak zechciała pościelić sobie gdzieś indziej na resztę nocy? Zresztą i tak potrzebujesz nowych koców.

Przytaknęła krótko, po czym wyrwała mu się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Z pewnością nie była zła na to, że się ją wyrzuca z sypialni — niby dlaczego — powiedziała przecież, że między nimi do niczego już nie dojdzie. Cieszył się jednak, że nie jest Niellą.

Podrzucając skróconą włócznię w rękę, zwrócił się twarzą do Asmodeana.

— Dziwne berło, Lordzie Smoku.

— Wystarczy za takowe. — Żeby mu przypominało, że Seanchanie wciąż tam są. Tym razem żałował, że jego głos nie jest jeszcze chłodniejszy niż czyniły go Pustka i *saidin*. Musi być twardy.

— Zanim się zastanowię, czy nie obić cię nim jak owieczkę, zapytam, dlaczego nigdy nie wspomniałeś o tej sztuczce czynienia czegoś niewidzialnym? Gdybym nie zauważył splotów, w ogóle bym nie wiedział, że brama wciąż jeszcze tam jest.

Asmodean przełknął ślinę, wiercąc się niespokojnie, jakby nie wiedział, czy Rand przypadkiem nie zamierza zrealizować swej pogroźki. Rand sam nie był pewien.

— Lordzie Smoku, nigdy nie pytałeś. To sprawa ugięcia światła. Zawsze zadajesz tyle pytań, trudno moment na zmianę tematu. Do tej pory już chyba zrozumiałeś, że całkowicie związałem swój los z twoim. — Podniósł się, oblizując wargi. Tylko do kłeczek. I zaczął mówić, co mu ślina na język przyniosła. — Czułem twoje splatanie... mógł je poczuć każdy w promieniu mili..., nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego... nie wiedziałem, że jeszcze ktoś poza Demandredem potrafi zablokować zamykającą się bramę, może jeszcze Semirhage — i Lews Therin — czułem je, więc przyszedłem, a było mi trudno, kiedy mijalem te Panny... użyłem tej samej sztuczki... wiesz przecież, że jestem twoim człowiekiem. Lordzie Smoku, jestem twoim człowiekiem.

Powtarzał to samo, co mówił tamten Cairhienianin. Gestykulując kikutem włóczni, powiedział:

— Wstań. Nie jesteś psem. — Kiedy jednak Asmodean zaczął się powoli podnosić, przyłożył długie ostrze do gardła mężczyzny. Musiał być twardy. — Od tej pory będziesz mi opowiadał o dwóch rzeczach, o które nie zapytam, za każdym razem, kiedy będziemy rozmawiać. Za każdym razem, pamiętaj. Jeśli uznam, że próbujesz coś przede mną ukryć, to ucieszysz się, jeśli pojmie cię Semirhage.

— Jak rzeczesz, Lordzie Smoku — wyjąkał Asmodean. Wyglądał na gotowego uklonić się i pocałować Randa w rękę.

Chcąc tego uniknąć, Rand ruszył w stronę nie nakrytego kocami łoża i usiadł na lnianym prześcieradle, puchowy materac ugiął się pod nim. Zaciekawiony, oglądał włócznię. Dobry pomysł, żeby zachować ją dla przypomnienia, nawet jeśli nie jako berło. Nie powinien zapominać o Seanchanach, ani o wielu innych rzeczach. Tamte *damane*. Gdyby nie było tam Aviendhy, która im odcięła dostęp do Źródła...

— Bez skutku próbowałeś mi pokazać, jak zablokować tarczą kobietę. Spróbuj mi pokazać, jak unikać splotów, których nie widzę, jak im przeciwdziałać.

Któregoś razu Lanfear przecięła jego sploty tak równo jak nożem.

— To niełatwe, Lordzie Smoku, bez kobiety, na której dałoby się to ćwiczyć.

— Mamy dwie godziny — powiedział chłodno Rand, rozplatając tarczę tamtego. — Postaraj się. Mocno się postaraj.

PROBLEM Z PURPURĄ

Nóż musnął włosy Nynaeve, zanim z głośnym stuknięciem wbił się w deskę, o którą opierała się plecami; wzdygnęła się nerwowo mimo opaski na oczach. Żałowała, że nie ma włosów zaplecionych w przyzwoity warkocz zamiast tych loków spadających luźno na ramiona. Gdyby to ostrze przecięło chociaż jedno pasemko...

„Głupia kobieto — pomyślała z goryczą. — Głupia, głupia kobieto”.

Przez szarfę zawiązaną na oczach widziała tylko cienką kreskę światła na samym dole. Na tle czerni rozpościerającej się za gęstymi fałdami tkaniny wydawała się bardzo jasna. Musiało być jeszcze dość jasno, nawet mimo późnego popołudnia. Ten człowiek z pewnością nie będzie rzucał, jeśli nie będzie dobrze widział. Następne ostrze wbiło się po drugiej stronie głowy; czuła, jak wibruje. Odniosła wrażenie, że niemal otarło się o ucho. Zamierzała zabić Thoma Merri-
lina i Valana Lukę. I być może każdego mężczyznę, którego dopadnie — tak po prostu, dla zasady.

— Gruszki! — krzyknął Luca, jakby nie znajdował się w odległości zaledwie trzydziestu kroków od niej. Musiał pewnie uważać, że dzięki opasce na oczach jest nie tylko ślepa, ale również głucha.

Wymacała sakiewkę przy pasie, wyciągnęła zeń gruszkę i postawiła ją sobie ostrożnie na czubku głowy. Była ślepa. Kompletnie ślepa idiotka! Jeszcze dwie gruszki i ostrożnie rozkrzyżowała ręce między otaczającymi ją nożami, trzymając w każdej po jednym owocu za ogonek. Nastąpiła przerwa. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć Thomowi Merrillinowi, że jeśli ją tylko zadraśnie, to ona...

Łup! Łup! Łup! Noże nadlatywały tak szybko, że byłaby zaskowytała, gdyby jej gardło nie zacisnęło się niczym kułak. W lewym ręku trzymała sam ogonek, druga gruszka, przeszyta na wylot nożem, drżała lekko, a z tej trzeciej, na głowie, sączył się sok prosto na włosy.

Zerwała opaskę i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę Thoma i Luki; obaj szczyrzyli zęby w uśmiechu jak wariaci. Zanim wypowiedziała któreś z wrzących w niej słów, Luca rzekł z podziwem:

— Jesteś niesamowita, Nano. Twoja odwaga jest niesamowita, ale ty jeszcze bardziej. — Skłonił się, zamaszycie wymachując połamami tej idiotycznej peleryny

z czerwonego jedwabiu i przykładając dłoń do serca. — Ten numer będę nazywał „Różą wśród cierni”. Choć szczerze mówiąc, ty jesteś o wiele piękniejsza od zwykłej róży.

— Nie trzeba specjalnej odwagi, żeby stać jak pniak. — Róża? Czyżby? Już ona pokaże mu kolce. Pokaże je obydwóm. — Posłuchaj mnie, Valanie Luca. . .

— Co za odwaga. Nawet nie drgnęłaś. Powiadam ci, ja bym nie miał nerwów do tego, co ty robisz.

Szczera prawda, powiedziała sobie.

— Nie jestem bardziej odważna niż muszę — odparła łagodniejszym tonem. Trudno krzyknąć na człowieka, który ci uparcie powtarza, że jesteś odważna. Z pewnością lepiej słyszeć coś takiego niż ten bełkot o różach. Thom z rozba- wieniem pogładził siwego węża, jakby dosłyszał w tym coś śmiesznego.

— Ta suknia — powiedział Luca, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby. — Wyglądasz cudownie w. . .

— Nie! — warknęła. Właśnie utracił wszystko, co zyskał przed chwilą, tym, że znowu poruszył ten temat. To Clarine uszyła suknię, którą Luca chciał, by nosiła, z jedwabiu barwy jeszcze głębszej purpury niż jego peleryna. Jej zdaniem ten kolor miał ukryć krew, gdyby Thomowi omsknęła się ręka.

— Ależ, Nano, piękno, któremu zagraża niebezpieczeństwo, przyciąga. — W głosie Luki pojawił się śpiewny ton, jakby szeptał jej do ucha pieszczotliwe słowa. — Ściągniesz na siebie wszystkie oczy, wszystkie serca zabiją w obliczu twej urody i odwagi.

— Skoro tak ci się podoba — oświadczyła zdecydowanie — to sam ją sobie noś. — Niezależnie od tego koloru, nie miała zamiaru pokazywać łona publicznie, nawet jeśli Clarine uważała, że to uchodzi. Widziała suknię, w której występowała Latelle, całą pokrytą czarnymi cekinami, z karczkiem, który sięgał do brody. Coś takiego mogłaby włożyć. . . O czymże ona myśli? W ogóle nie miała zamiaru tego robić. Zgodziła się na te ćwiczenia tylko po to, żeby Luca przestał co noc drapać do drzwi wozu, starając się ją namówić do występu.

Temu mężczyźnie nie brakowało zręczności, gdy zachodziła konieczność zmiany tematu.

— Co ci się tutaj stało? — zapytał, nagle nadzwyczaj troskliwy.

Drgnęła, kiedy dotknął spuchniętego oka. Miał tylko pecha, że wybrał ten właśnie temat. Już lepiej by zrobił, gdyby nadal starał się chwalić jej czerwoną suknię.

— Nie spodobało mi się, jak na mnie spojrzęło tego ranka z lusterka, więc je ugryzłam.

Beznamiętny ton i obnażone zęby sprawiły, że Luca gwałtownie cofnął rękę. Sądząc po czujnym błysku w ciemnych oczach, bał się, że znowu będzie gryzła. Thom bez opamiętania gładził węża, czerwony na twarzy z wysiłku, żeby się nie śmiać. Oczywiście wiedział, co się stało. Musiał wiedzieć. I bez wątpienia, kie-

dy ona się tylko oddali, przedstawi Luce swoją wersję wypadków. Mężczyźni nie potrafią się powstrzymać od plotkowania; ten nawyk mają w sobie od urodzenia i w żaden sposób nie dawało się go z nich wyplenić, cokolwiek by kobiety uczyniły.

Ściemniło się o wiele szybciej, niż myślała. Słońce osiadło czerwienią na czubkach drzew.

— Jeśli jeszcze kiedyś spróbujesz to robić bez lepszego światła. . . — warknęła, wygrażając pięścią w stronę Thoma. — Już prawie zmierzcha!

— Jak mniemam — powiedział mężczyzna, unosząc krzaczastą brew — życzyłybyś sobie, bym ominął ten element pokazu, kiedy to ja mam przewiązane oczy.

Żartował oczywiście. Na pewno żartował.

— Jak sobie życzysz, Nano. Od tej pory wyłącznie w jak najlepszym świetle.

Dopiero kiedy odmaszerowała, gniewnie furkocząc spódnicami, dotarło do niej, że właściwie zgodziła się robić te głupie rzeczy. Dała to do zrozumienia w każdym razie. Będą starali się ją do tego zmusić; to było równie pewne jak zachód słońca tego wieczora.

„Głupia, głupia, głupia kobieta!”

Polana, na której oni — albo Thom, przynajmniej, oby szezeł razem z Luką! — odbywali ćwiczenia — znajdowała się w pewnej odległości od obozowiska rozbitego przy drodze wiodącej na północ. Bez wątpienia Luca nie chciał, by zwierzęta się spłoszyły, gdyby Thom wbił któryś z noży w jej serce. Ten człowiek prawdopodobnie nakarmiłby jej trupem lwy. Chciał, żeby nosiła tę suknię wyłącznie dlatego, by podpatrywać to, czego nie miała zamiaru pokazywać nikomu prócz Lana, a niech by on też szezeł, taki sam uparty, głupi mężczyzna. Żałowała, że go tutaj nie ma, bo by mu to powiedziała. Żałowała, że go tutaj nie ma, bo miałyby wtedy pewność, że nic mu nie grozi. Zerwała pierzastą łodygę uschłego psiego fenkuła i jęła nią niczym biczem ścinać korony chwastów, które wybijały przez dywan uschłych liści.

Wedle słów Elayne ostatniej nocy Egwene donosiła o walkach w Cairhien, o utarczkach z bandytami, z Cairhienianami, którzy w każdym Aielu dopatrywali się wroga, z udziałem andorańskich żołnierzy, którzy z kolei usiłowali zagarnąć Tron Słońca dla Morgase. Lan brał w tym udział; za każdym razem, kiedy Moraine spuszczała go z oka, najwyraźniej udawało mu się wplątać w wojowanie, jakby potrafił wyczuć na odległość, gdzie się toczy bój. Nynaeve nigdy przedtem nie przyszło do głowy, że kiedyś zapragnie, by Aes Sedai trzymała Lana na krótkiej smyczy u swego boku.

Tego ranka Elayne była nadal poruszona obecnością żołnierzy jej matki w Cairhien, tym, że walczyli z Aielami Randa, Nynaeve natomiast przejmowała się bandytami. Wedle słów Egwene, jeśli ktoś mógł zidentyfikować skradzioną rzecz w posiadaniu bandyty, jeśli ktoś mógł przysiąc, że widział takiego, jak kogoś za-

bija albo pali choćby szepę, to Rand by go powiesił. Nie dotykał sznura własnymi rękoma, ale to było to samo, i Egwene twierdziła, że patrzył na wszystkie egzekucje z twarzą zimną i twardą niczym gład. Całkiem do niego niepodobne. Był przecież łagodnym chłopcem. Cokolwiek się z nim stało w Pustkowiu, wpłynęło na niego bardzo niekorzystnie.

Cóż, Rand był daleko, a jej problemy — jej i Elayne — dalekie były od rozwiązania. Na północy, w odległości niecałej mili stąd płynęła Eldar, spięta pojedynczym, wysokim kamiennym mostem osadzonym na wysokich, metalowych filarach, które lśniły, nie tknięte nawet plamką rdzy. Pozostałość wcześniejszych czasów, z pewnością, może nawet jakiegoś minionego Wieku. Przeszła się do tego mostu w południe, tuż po tym, jak tu przyjechali, ale po rzece nie pływał ani jeden statek godny swej nazwy. Łodzie wiosłowe, małe łódki rybackie, przedzierające się wzdłuż porośniętych trzcinami brzegów, dziwaczne, wąskie czółna, które pomykały po powierzchni wody popychane przez kłęzących w nich mężczyzn z krótkimi wiosłami, nawet jedna przysadzista barka, wyglądająca jakby często cumowano ją w błocie — jakoś dużo błota widać było na obu jej burtach, częściowo stwardniałego i splekanego, ale to nie dziwiło, skoro mimo pory roku wciąż utrzymywał się upał — nic jednak takiego, co by mogło je przewieźć szybko w dół rzeki, jak chciała. Co bynajmniej nie znaczyło, że już wiedziała, dokąd taki statek miałby je zabrać.

Choćby nie wiem jak łamała sobie głowę, nie mogła sobie przypomnieć nazwy miasteczka, w którym rzekomo zebrały się Błękitne siostry. Uderzyła z wściekłym rozmachem główkę mleczka; wybuchła drobnymi, białymi pyłkami, które po chwili opadły na ziemię. Zresztą już ich tam pewnie nie ma, o ile w ogóle kiedykolwiek były. Ale tylko takim kluczem do bezpiecznego miejsca oprócz Łzy dysponowały. Gdyby tak wreszcie przypomniała sobie tę nazwę.

Jedyną dobrą rzeczą w całej tej wyprawie na północ był fakt, że Elayne przestała wreszcie flirtować z Thomem. Odkąd przyłączyły się do trupy, nie nastąpił ani jeden incydent. Gdyby tak jeszcze Elayne nie udawała, że nic się w ogóle nie zdarzyło. Kiedy poprzedniego dnia Nynaeve pogratulowała dziewczynie opamiętania, ta chłodno odparła:

— Usiłujesz wy badać, czy stanę ci na zawadzie z Thomem, Nynaeve? On jest raczej za stary jak na ciebie, a tak nawiasem mówiąc, byłam naprawdę przekonana, że ty ulokowałeś swe uczucia w kimś innym, no ale jesteś dostatecznie dorosła, by sama decydować za siebie. Lubię Thoma, tak samo, jak on mnie, jak mi się zdaje. On jest dla mnie jak drugi ojciec. Jeśli chcesz z nim flirtować, masz moje pozwolenie. Ale doprawdy myślałam, że jesteś bardziej stała w uczuciach.

Luca zamierzał rankiem przepłynąć przez rzekę, a Samara, miasteczko położone po drugiej stronie, w Ghealdan, bynajmniej nie zaliczała się do wymarzonych miejsc pobytu. Luca spędził tam większość dnia od ich przybycia do Samary, załatwiając miejsce, gdzie mógłby się rozbić ze swoim pokazem. Przejmował się

tylko tym, że wiele innych menażerii przybyło wcześniej od niego i że nie jest jedynym, który występuje z czymś więcej prócz zwierząt. Dlatego właśnie coraz bardziej nalegał, żeby pozwoliła Thomowi rzucać w nią nożami. Miała szczęście, że nie zażyczył sobie, by jednocześnie spacerowała wraz z Elayne po linie. Ten człowiek zdawał się uważać, że na całym świecie najważniejszą rzeczą jest to, by jego pokaz okazał się świetniejszy od innych. Ona sama natomiast niepokoiła się faktem, że w Samarze rezydował Prorok, że tłum jego wyznawców całkowicie wypełnił miasto i wylewał się zeń do otaczających go namiotów, chatek i szałasów, które stworzyły rodzaj drugiego miasta przerastającego niezbyt pokaźne rozmiary Samary. Otaczał ją wysoki, kamienny mur, większość budynków też była z kamienia, w tym wiele trzypiętrowych i większość dachów pokrywał łupek albo dachówka, nie zaś strzecha.

Po tej stronie Eldar nie było lepiej. Minęli trzy obozowiska Białych Płaszczy, zanim dotarli do miejsca popasu, setki białych namiotów ustawionych w równych szeregach, a na pewno było znacznie więcej tych, których nie widzieli. Białe Płaszcze po tej stronie rzeki, po drugiej Prorok i być może bunt, który lada chwila mógł wybuchnąć, a ona nie miała pojęcia, ani dokąd się udać, ani też jak się tam dostać, byle tylko nie tym rozklekotanym wozem, który wcale nie przemieszczał się szybciej niż ona pieszo. Żałowała, że nie dała się namówić Elayne na porzucenie powozu. Nie widząc żadnego chwastu, który rósłby dostatecznie blisko, by mogła go zerwać, nie schodząc jednocześnie na pobocze, złamała łodygę fenkuła na pół, potem jeszcze raz, tak że kawałki stały się nie dłuższe od jej dłoni, i cisnęła je na ziemię. Żałowała, że nie może zrobić tego samego z Luką. I Galadem Damodredem — za to, że zmusił je do ucieczki do tego miejsca. I al'Lanem Mandragoranem — za to, że go tu nie ma. Nie żeby go potrzebowała, rzecz jasna. Ale jego obecność stanowiłaby... pociechę.

W obozowisku panowała cisza, wieczorne posiłki warzyły się na niewielkich ogniskach obok wozów. Petra karmiła Lwa z czarną grzywą, wpychając między kraty wielkie kawały mięsa na kiju. Lwice już przykucnęły pospołu nad swoim pożywieniem, pomrukując czasami, gdy ktoś podszedł zbyt blisko klatki. Nynaeve zatrzymała się obok wozu Aludry. Iluminatorka pracowała przy stole opuszczonym z boku jej wozu, używając drewnianego moździerza i tłuczka, coś mamrocząc nad tym, co akurat sporządzała. Trzech braci Chavana uśmiechnęło się zachęcająco do Nynaeve, nakłaniając ją gestami, żeby do nich podeszła. Oprócz Brugha, który nadal rzucał groźne spojrzenia znad swej nabrzmiałej wargi, mimo iż dała mu maść, od której miała mu zejść opuchlizna. Może gdyby pozostałych stłukła równie mocno, usłuchaliby Luki — i co ważniejsze jej! — i zrozumieli, że ona nie życzy sobie ich uśmiechów. Bardzo niedobrze, że pan Valan Luca sam nie postępował wedle własnych zaleceń. Latelle odwróciła się od klatki z niedźwiedziem i lekko się do niej uśmiechnęła, właściwie był to raczej grymas. Nynaeve jednak przypatrywała się przede wszystkim Cerandin, która piłowała tępe pazu-

ry wielkiego, szarego *s'redit* za pomocą czegoś, co przypominało narzędzie do obróbki metalu.

— Ta posługuje się dłońmi i stopami z niezmierną wprawą, nieprawdaż? — powiedziała Aludra. — Nie patrz na mnie tak groźnie, Nano — dodała, otrzepując ręce z kurzu. — Nie jestem twoim wrogiem. Proszę. Musisz wypróbować te nowe ogniste patyczki.

Nynaeve nieufnie przyjęła drewniane pudełko z rąk ciemnowłosej kobiety. Mogła tę bryłkę trzymać bez trudu jedną dłonią, ale na wszelki wypadek użyła obu. — Myślałam, że nazywacie je krzesiwkami.

— Może tak, może nie. Nazwa patyczki do ognia mówi, że to lepsze od krzesiwek. Wygładziłam te małe dziurki, w których osadzone są patyczki, dzięki czemu nie zapalą się już o drewno. Dobry pomysł, nieprawdaż? A te główki to nowa formuła. Czy zechcesz je wypróbować i powiedzieć mi potem, jak je oceniasz?

— Ależ tak, oczywiście. Dziękuję ci.

Nynaeve pospiesznie ruszyła z miejsca, zanim kobieta zdążyła jej wcisnąć jeszcze jedno pudełko. Trzymała je w taki sposób, jakby zaraz miało eksplodować; wcale nie była pewna, czy rzeczywiście to się nie stanie. Aludra zmuszała wszystkich, by wypróbowywali jej krzesiwka albo patyczki do ognia, czy jak tam je postanowiła znowu nazwać. Z pewnością nadawały się do rozpalania ogniska albo lampy. Potrafiły również wybuchać płomieniem, kiedy się potarło te niebieskoszare główki o siebie albo o jakąś inną szorstką powierzchnię. Ona sama wolała krzemień, stal tudzież węgiel przechowywany odpowiednio w skrzynce z piaskiem. Były znacznie bezpieczniejsze.

Juilin dogonił ją, gdy już miała postawić nogę na stopniu wozu, który dzieliła z Elayne; jego wzrok powędrował prosto ku jej podpuchniętemu oku. Spojrzała na niego tak odpychająco, że aż się cofnął i zerwał ten idiotyczny stożkowaty kapelusz z głowy.

— Byłem nad rzeką — powiedział. — W Samarze jest ze stu Białych Płaszczy. Tylko obserwują i są obserwowani równie bacznie przez ghealdańskich żołnierzy. Ale jednego rozpoznałem. To ten młodzieniec, który zasiadał przed Światłem Prawdy w Siendzie.

Uśmiechnęła się, a on pospiesznie zrobił jeszcze jeden krok w tył, czujnie mierząc ją wzrokiem. Galad w Samarze. Tylko tego im brakowało.

— Zawsze przynosisz takie wspaniałe wieści, Juilinie. Trzeba cię było zostawić w Tanchico, albo jeszcze lepiej, na przystani w Łzie. — Nie była sprawiedliwa. Lepiej, że jej powiedział o Galadzie, niż gdyby miała skrócić za jakimś rogiem i wejść prosto na tego człowieka. — Dziękuję ci, Juilin. Przynajmniej wiemy teraz, że musimy się go wystrzegać.

Ze skinieniem głowy, czyli niezbyt właściwą odpowiedzią na tak łaskawe podziękowanie, oddalił się pospiesznie, z powrotem wciskając kapelusz na głowę, jakby się spodziewał, że ona go uderzy. Mężczyźni nie potrafią się zachować.

Wnętrze wozu było znacznie czystsze niż wtedy, kiedy Thom i Juilin go nabyli. Odpadająca płatami farba została zeskrobana — mężczyźni bardzo utyskiwali, że muszą to robić — a szafki i małe stoliki przymocowane do podłogi tak wypastowane, że aż błyszcząca. Niewielki ceglany piecyk z metalowym kominem ani razu nie został użyty — noce były dostatecznie ciepłe, a poza tym, gdyby zaczęli gotować na nim, Thom i Juilin z pewnością by się wykpiłi — ale stanowił dobre miejsce do przechowywania kosztowności, sakiewek i szkatułek z biżuterią. A także sakiewki z wyprawionej skóry, w której mieściła się pieczęć — wepchnęła ją najgłębiej, jak się dało i od tego czasu ani razu nawet nie dotknęła.

Elayne, usadowiona na jednym z wąskich łóżek, schowała coś pod koce, kiedy Nynaeve weszła do środka, ale nim zdążyła zapytać, co to takiego, Elayne wykrzyknęła:

— Twoje oko! Co ci się stało?

Znowu trzeba będzie jej umyć włosy w kurzym pieprzu; u korzeni czarnych pukli pokazywały się już blade plamki złota. Tę operację należało powtarzać co kilka dni.

— Cerandin uderzyła mnie, kiedy nie patrzyłam — odmruknęła Nynaeve. Od wspomnienia smaku gotowanej kociej narecznicy i sproszkowanego liścia mawinii skreślił jej się język. To nie dlatego pozwoliła Elayne udać się na ostatnie spotkanie w *Tel'aran'rhiod*. Wcale nie unikała Egwene. Po prostu większość swoich wypraw do Świata Snów odbywała między umówionymi spotkaniami, więc sprawiedliwie dała Elayne szansę, by też tam mogła pójść. Tak to właśnie było.

Ostrożnie odstawiła pudełko z patyczkami do jednej z szafek, tuż obok dwóch innych. Tamto, które rzeczywiście zajęło się ogniem, już dawno temu zostało wyrzucone.

Nie pojmowała, dlaczego właściwie ukrywa prawdę. Elayne najwyraźniej nie wyszła dotąd z wozu albo już wiedziała. Ona i Juilin byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi w obozie, którzy jeszcze nie mieli o niczym pojęcia, teraz, kiedy Thom z pewnością zdradził Luce wszystkie obrzydliwe szczegóły.

Zrobiwszy głęboki wdech, usiadła na drugim łóżku i zmusiła się, by spojrzeć w oczy Elayne. Coś w tym milczeniu drugiej kobiety mówiło, że ona wie, iż będzie ciąg dalszy.

— Ja... zapytałam Cerandin o *damane* i *sul'dam*. Jestem pewna, że ona wie więcej, niż mówi. — Urwała i czekała, aż Elayne wyjawi swe wątpliwości odnośnie do tego, czy ona rzeczywiście zapytała, a nie raczej zażądała odpowiedzi, powie, że Seanchanka już im wyjawiała wszystko, co wie, że nie miała częstych kontaktów z *damane* albo *sul'dam*. Ale Elayne milczała i Nynaeve zrozumiała, że niepotrzebnie robi sobie nadzieję na odwołanie tego momentu. — Bardzo się uniosła, twierdząc, że nie wie nic więcej, więc nią potrząsnęłam. Naprawdę pozwoliłaś jej na zbyt wiele. Ona mi pogroziła palcem!

A Elayne nadal tylko na nią patrzyła, ledwie mrugając niebieskimi oczyma.

Nynaeve ciągnęła więc dalej, nie odwracając wzroku; na tyle tylko było ją stać.

— Ona... ona mnie w jakiś sposób przerzuciła przez ramię. Wstałam i spoliczkowałam ją, a ona mnie zdzieliła pięścią tak, że aż upadłam. Stąd właśnie to oko. — Równie dobrze mogła dopowiedzieć całą resztę; Elayne i tak niebawem się dowie; lepiej, jeśli to wyjdzie od niej. Aczkolwiek wołałaby już, żeby wyrwano jej język. — Naturalnie nie miałam zamiaru pozwolić na takie traktowanie. Toteż jeszcze trochę się poturbowałyśmy.

Z jej strony tego turbowania niewiele było, tyle tylko, że nie chciała ustąpić. A najbardziej gorzka prawda była taka, że Cerandin przestała w końcu nią miotać i podstępnie podkładać nogi, bo zaczęło to wyglądać jak maltretowanie dziecka. Nynaeve miała tyleż samo szans co dziecko. Żeby chociaż nikt nie patrzył, to mogłaby przenieść Moc; z pewnością była dostatecznie rozżłoszczona. Wołałaby, żeby Cerandin obijała ją pięściami do krwi.

— Potem Latelle dała jej kij. Wiesz przecież, że ta kobieta chce się na mnie zemścić. — Z pewnością nie trzeba było dodawać, że Cerandin cały czas przytrzymywała jej głowę nad buforem wozu. Nikt jej tak nie potraktował od czasu, kiedy miała szesnaście lat i rzuciła dzbankiem pełnym wody w Neysę Ayellin.

— W każdym razie przerwał to Petra. — W samą porę zresztą. Ogromny mężczyzna wziął je obie za kark niczym kocięta. — Cerandin przeprosiła i to wszystko. — Petra zmusił Seanchankę, żeby przeprosiła, to prawda, ale zmusił do tego również Nynaeve, nie zwalniając delikatnego, ale twardego jak żelazo uścisku na jej karku, dopóki tego nie uczyniła. Uderzyła go najsilniej, jak potrafiła, prosto w żołądek, a on nawet nie mrugnął. Miała teraz wrażenie, że lada chwila dłoń też spuchnie. — Doprawdy nie ma co opowiadać. Latelle zapewne będzie chciała wszem i wobec rozgłaszać własną wersję tej historii. Tą kobietą trzeba było potrząsnąć. Nie zbiłam jej nawet w połowie tak mocno, jak powinnam.

Poczuła się lepiej, kiedy już opowiedziała całą prawdę, ale na twarzy Elayne malowało się zwątpienie, na widok którego miała ochotę zmienić temat.

— Co ty tam chowasz? — Wyciągnęła rękę i odgarnęła koc, odsłaniając srebrzystą *a'dam*, którą dostały od Cerandin. — Dlaczego, na Światłość, chcesz to oglądać? A jeśli tak, to czemu chowasz? To obrzydlistwo i ja nie umiem pojąć, jak możesz go dotykać, no, ale to twoja sprawa.

— Nie wymądrzaj się tak — odparła Elayne. Na jej twarzy powoli wykwitał uśmiech, rumieniec podniecenia. — Myślę, że umiałabym taką zrobić.

— Zrobić! — Nynaeve zniżyła głos, w nadziei, że nikt nie przybiegnie sprawdzić, która zabija którą, ale nie złagodziła jego tonu. — Światłości, po co? Lepiej już wykop dół kloaczny. Albo usyp stertę gnoju. Z nich przynajmniej będzie jakiś pożytek.

— Tak właściwie to nie chcę zrobić *a'dam*. — Elayne wyprostowała się, zadzierając podbródek w ten typowy dla niej, odpychający sposób. Wyglądała na urażoną i była lodowato spokojna. — Ale to jest *ter'angreal* i ja odgadłam, jak on

działa. Przecież ty też uczestniczyłaś w co najmniej jednym wykładzie na temat łączenia. *A'dam* łączy dwie kobiety; dlatego właśnie *sul'dam* musi być kobietą, która również potrafi przenosić — Skrzywiła się nieznacznie. — Ale to dziwne połączenie. Inne. Zamiast równego udziału dwóch lub większej liczby kobiet, gdzie jedna wszystkim tylko kieruje, w tym przypadku jedna przejmuje pełną kontrolę. Myślę, że właśnie dlatego *damane* nie może zrobić nic, czego nie chce *sul'dam*. Uważam, że ta smycz jest w ogóle niepotrzebna. Obręcz i bransoleta będą działały bez niej, dokładnie w taki sam sposób.

— Będą działały — powtórzyła oschle Nynaeve. — Bardzo dogłębnie zbadalaś całą sprawę, jak na kogoś, kto nie ma zamiaru zrobić *a'dam*. — Ta kobieta nawet nie raczyła się zaczerwienić. — Do czego miałybyś tę wiedzę spożytkować? Nie mogę rzec, bym się sprzeciwiła, gdybyś nałożyła taką obręcz na kark Elaidy, ale to wcale nie czyni tego mniej obrzydliwym.

— Czy ty nie rozumiesz? — przerwała jej Elayne, u której całe zdenerwowanie zniknęło w podnieceniu i ferworze. Pochyliła się do przodu, by położyć dłoń na kolanie Nynaeve, a oczy aż jej błyszczały, taka była z siebie zadowolona. — To jest *ter'angreal*, Nynaeve. I uważam, że umiem taki zrobić. — Każde słowo wymawiała powoli i zdecydowanie, po czym roześmiała się i dalej już szybko mówiła. — Gdybym rzeczywiście umiała taki zrobić, wówczas mogłabym zrobić również inne. Może nawet potrafię wykonać *angreal* i *sa'angreal*. Od tysięcy lat nikt tego w Wieży nie potrafił! — Wyprostowawszy się, zadrżała i położyła palec na ustach. — Naprawdę nigdy dotąd nie wpadłam na pomysł, by sama coś wykonać. Coś użytecznego. Pamiętam, jak kiedyś przypatrywałam się pewnemu rzemieślnikowi, człowiekowi, który robił krzesła dla Pałacu. Nie były połączone czy zdobnie rzeźbione... były przeznaczone do izb dla służby... ale widziałam dumę w jego oczach. Dumę z tego, co zrobił, dumę z umiejętnie wykonanego dzieła. Myślę, że chciałabym poczuć coś takiego. Och, gdybyśmy tylko wiedziały chociaż część tego, co wiedzą Przekłęci. Oni mają w głowach całą wiedzę o Wieku Legend, a wykorzystują ją, by służyć Cieniowi. Pomyśl, co mogłybyśmy z nią zrobić. Pomyśl, co mogłybyśmy zrobić. — Zrobiła głęboki wdech, opuszczając dłonie na podolek; jej entuzjazm przygasł jedynie nieznacznie. — Cóż, mniejsza o to, ale założę się, że mogłabym odgadnąć, jak zbudowano Biały Most. Budowle jak ze szklanego włókna, a mocniejsze od stali. *A cuendillar* i...

— Zwolnij — powiedziała jej Nynaeve. — Biały Most znajduje się pięćset, może sześćset mil stąd, i jeśli ci się wydaje, że możesz przenieść Moc do pieczęci, to jeszcze raz dobrze się zastanów. Kto wie, co mogłoby się stać? Jest w sakiewce, w piecyku, dopóki nie znajdziemy dla niej jakiegoś bezpieczniejszego miejsca.

Ten zapach Elayne był bardzo dziwny. Nynaeve sama z ochotą — i to jeszcze jaką — posiadałaby choć odrobinę wiedzy Przeklętych, ale kiedy chciała mieć krzesło, to płaciła cieśli. Nigdy nie chciała robić niczego sama, oprócz naparów i maści. Kiedy miała dwanaście lat, jej matka zaprzestała wszelkich starań zmie-

rzających ku nauczeniu jej szycia, stało się bowiem oczywiste, że jej nie obchodzi, czy zrobiła prosty ścieg i nie dawało się jej zmusić, by ją to obchodziło. A co do gotowania. . . Tak naprawdę to uważała siebie za dobrą kucharkę, ale tu szło o to, że ona wiedziała, co jest ważne. Ważne było Uzdrawianie. Byle mężczyzna postawi most i jemu to należy zostawić, tak zwykła mawiać.

— Przez ciebie i tę twoją *a'dam* — ciągnęła — omal nie zapomniałam ci powiedzieć. Juilin wypatrył na drugim brzegu Galada.

— Krew i krwawe popioły — mruknęła Elayne, a kiedy Nynaeve uniosła brwi, dodała bardzo zdecydowanie: — Nie będę wysłuchiwała wykładu na temat mojego języka, Nynaeve. Co zrobimy?

— Myślę, że możemy pozostać na tym brzegu rzeki; Białe Płaszczki wypatrzą nas wtedy i będą się zastanawiać, dlaczego porzuciłyśmy menażerię. Możemy też przejść przez most z nadzieją, że Prorok nie wywoła buntu, a Galad nas nie zadenuncjuje. Albo możemy kupić sobie łódkę i uciec w dół rzeki. Pomysł nie najciekawszy. No i Luca będzie żądał swoich stu marek. W złocie. — Usiłowała się nie krzywić, ale nadal ją to gryzło. — Obiecałaś mu je i przypuszczam, że to nie byłoby uczciwe, gdybyśmy się wymknęły, nie płacąc. — Zrobiłaby to w każdej chwili, gdyby było dokąd uciec.

— Z pewnością nie — przyznała Elayne, wyraźnie zaszokowana. — Ale nie musimy przejmować się Galadem, przynajmniej dopóki trzymamy się blisko menażerii. Galad się do niej nie zbliży. Jego zdaniem zamykanie zwierząt w klatkach to okrucieństwo. Nie ma nic przeciwko polowaniu na nie albo ich zjadaniu, tylko nie lubi, jak je umieszczają w klatkach.

Nynaeve potrząsnęła głową. Prawda była taka, że nawet gdyby istniała jakaś możliwość wyjazdu, to Elayne i tak znalazłaby jakiś powód do zwłoki, choćby tylko jednodniowej. Ta kobieta naprawdę chciała paradować na linie przed innymi ludźmi, a nie tylko pozostałymi członkami trupy. A ona sama prawdopodobnie będzie musiała pozwolić Thomowi, by znowu w nią rzucał nożami.

„Ale nie włożę tej przeklętej sukni!”

— Wynajmiemy pierwszy statek, jaki się tutaj pojawi, dostatecznie duży, by zabrać czworo ludzi — powiedziała. — Handel na rzece nie mógł bez reszty ustać.

— Dobrze byłoby wiedzieć, dokąd się właściwie udajemy. — Głos przyjaciółki brzmiał o wiele zbyt łagodnie. — Wiesz, że mogłybyśmy zwyczajnie pojechać do Łzy. Nie musimy trzymać się menażerii tylko dlatego, że ty. . . — Zawiesiła głos, ale Nynaeve wiedziała, co chciała powiedzieć. Tylko dlatego, że ona jest taka uparta. Tylko dlatego, że jest taka wściekła, bo nie może sobie przypomnieć prostej nazwy, którą postanowiła sobie przypomnieć i pojechać tam, choćby ją to miało zabić. Cóż, wcale nie tak było. Postanowiła odnaleźć te Aes Sedai, które mogły poprzeć Randa, i sprowadzić je do niego, zamiast wlec się do Łzy niczym żałosny uchodźca, który szuka bezpiecznego azylu.

— Przypomnę sobie — oznajmiła chłodno.

„To się kończyło na 'bar'. A może to było 'dar'? 'lar'?”
— Przypomnę sobie, zanim tobie się znudzą popisy na linie.
„Nie włożę tej sukni!”

SREBRNA STRZAŁA

Tego wieczoru kolej na gotowanie przypadała na Elayne, co oznaczało, że żadne danie nie będzie proste, mimo iż jedli na zydlach ustawionych wokół ogniska, przy akompaniamencie świerszczy rozbrzmiewających w otaczającym ich lesie, przerywanym z rzadka cichym, smutnym okrzykiem jakiegoś nocnego ptaka budzącego się wraz z nadchodzącą nocą. Zupa, w postaci galaretki, została podana na zimno, posypana posiekaną, zieloną diablotką. Światłość wiedziała, gdzie ona znalazła diablotkę albo te małe cebulki, które dodała do groszku. Wołowina, pocięta na plasterki tak cienkie, że niemal przezroczyste, została nadziana masą sporządzoną z marchewek, fasolki, szczypiorku i koziego sera, na deser zaś było nawet małe miodowe ciastko.

Wszystko bardzo smakowało, aczkolwiek Elayne ubolewała, że nic nie jest takie, jak powinno, jakby uważała, że może powielić dzieła kucharza z Królewskiego Pałacu w Caemlyn. Nynaeve była przekonana, że ta dziewczyna nie poluje na komplementy. Elayne zwykła zawsze zbywać komplementy i mówić dokładnie, co się nie udało. Thom i Juilin gderali, że wołowiny jest za mało, ale Nynaeve zauważyła, że nie tylko zjedli wszystko co do ostatniego kęsa, ale wyglądali na rozczarowanych, kiedy zniknęło ostatnie ziarno groszku. Kiedy ona gotowała, zawsze udawało im się znaleźć jakiś powód, by jeść przy innym wozie. Kiedy kolację gotował jeden z nich, było pewne, że będzie to gulasz albo mięso z fasolą, z taką ilością suszonych papryczek, że aż język pokrywał się pęcherzami.

Nie jedli sami, rzecz jasna. Zadbął o to Luca, który przyniósł sobie swój zydel i ustawił go tuż obok niej, efektownie rozpościerając czerwoną pelerynę i wyciągając daleko długie nogi, by dobrze ukazywały kostki nad wywróconymi cholewami butów. Przychodził niemal co wieczór. O dziwo, jedyne wieczory, kiedy go brakowało, to były te, gdy ona gotowała.

Zastanawiało doprawdy, że to ona przyciągała jego wzrok, mimo obecności kobiety tak pięknej jak Elayne, ale on oczywiście miał swoje powody. Siedział zdecydowanie za blisko — tego wieczora przesuwiała zydel trzy razy, ale gonił ją, nie roniąc ani słowa, i w ogóle jakby niczego niepomny — i na przemian to porównywał ją do różnych kwiatów, z ujmą dla nich, ignorując podbite oko, którego przeoczyć nie mógł, chyba że był ślepy, to rozwodził się nad tym, jaka to

ona byłaby piękna w czerwonej sukni, dorzucając do tego pochwały na temat jej odwagi. Dwukrotnie zaproponował wspólną przechadzkę przy świetle księżyca, aluzjami tak zawoalowanymi, że nie miała całkowitej pewności, że właśnie o to mu chodzi, dopóki się nad tym nie zastanowiła.

— Ta suknia stanowić będzie idealną oprawę dla twojej odwagi — mruczał jej do ucha — ale nawet nie w ćwierci tak dobrze, jak ty ją sama demonstrujesz, rozkwitłe bowiem nocą lilie łkać będą z zazdrości, kiedy ty przejdiesz się nad oświetloną przez księżyc wodą, a i ja sam też załkam i stanę się bardem, żeby wyśpiewywać pochwały na twoją cześć przy tymże księżycu.

Zamrugła, starając się dojść, co tak naprawdę się za tym kryje. Luca natomiast uznał wyraźnie, że ona trzepocze rzęsami; przypadkiem uderzyła go łokciem w żebra, zanim zdążył skubnąć wargami jej ucho. Przynajmniej taki zdawał się jego zamiar, nawet jeśli teraz kasłał i twierdził, że źle połknął okruch ciastka. Ten mężczyzna był bez wątpienia przystojny — „Przestań!” — i z pewnością miał kształtne łydki — „Co ty wyrabiasz, patrzysz na jego nogi?” — ale chyba ją bierze za bezmózgie cielę. Tak naprawdę to chodziło o wsparcie jego przekłętego pokazu.

Znowu przesunęła zydel, gdy tymczasem on próbował odzyskać oddech; nie mogła go odsunąć zbyt daleko, bo dałaby mu jasno do zrozumienia, że przed nim ucieka, ale trzymała widelec w pogotowiu, na wypadek, gdyby znowu zaczął ją gonić. Thom wpatrywał się w swój talerz, jakby na białej glazurze pozostało coś więcej prócz tłustej plamy. Juilin zagwizdał, fałszywie i niemal bezdźwięcznie, z udawanym zainteresowaniem zaglądając do gasnącego ogniska. Elayne popatrzyła na nią i potrząsnęła głową.

— Doprawdy miło, żeś się do nas przyłączył — powiedziała Nynaeve i wstała. Luca również wstał, ze wzrokiem pełnym nadziei, w jego oczach odbijało się światło ogniska. Ułożyła talerz na talerzu, który on trzymał w ręku. — Jestem pewna, że Thom i Juilin będą wdzięczni za pomoc przy zmywaniu. — Zanim zdążył zareagować zupełnie zaskoczony, zwróciła się do Elayne. — Jest późno i jak sądzę, przez rzekę przeprowiać się będziemy wczesnym rankiem.

— Ma się rozumieć — mruknęła Elayne, z zaledwie cieniem uśmiechu. I postawiła swój talerz na talerzu Nynaeve, zanim weszła w ślad za nią do wozu. Nynaeve miała ochotę ją uściskać. Dopóki tamta nie dodała: — Naprawdę, nie powinnaś tak go ośmielać.

Osadzone w ścianach lampy rozbłysły jaśniejszym światłem.

Nynaeve wsparła pięści o biodra.

— Ja go ośmielam!? Musiałabym chyba dźgać go nożem, żeby ośmielać go jeszcze mniej! — Dla większej emfazy pociągnęła nosem, po czym spojrzała z niezadowolaniem na lampy. — Następnym razem użyj patyczków Aludry. Jeszcze któregoś dnia się zapomnisz i przeniesiesz Moc w miejscu, gdzie nie powinnaś, i dokąd nas to wtedy zawiedzie? Będziemy uciekały co sił w nogach przed

setką ścigających nas Białych Płaszczy.

Niestety, jej uparta do przesady przyjaciółka nie chciała podjąć innej kwestii.

— Może jestem od ciebie młodsza, ale czasami wydaje mi się, że wiem o mężczyznach więcej, niż ty się kiedykolwiek dowiesz. Dla mężczyzny pokroju Valana Luki takie bojaźliwe umykanie jak twoje tego wieczora to tylko dopraszanie się, by cię nadal ścigał. Gdybyś tak mu utarła nosa jak tamtego pierwszego dnia, to może by się poddał. Ty mu nie mówisz, żeby przestał, ty go nawet o to nie prosisz! Stale się do niego uśmiechasz, Nynaeve. Co ten mężczyzna ma sobie niby myśleć? Od wielu dni nie uśmiechałaś się do nikogo!

— Ja staram się okiełznać swój temperament — wybąkała Nynaeve. Wszyscy się skarżyli na jej humory, a teraz, kiedy ona starała się je kontrolować, Elayne na to narzeka! Wcale nie jest taka głupia, by dać się omamić jego komplementom. Z pewnością nie jest taką idiotką. Elayne zaczęła się z niej śmiać, więc zgromiła ją wzrokiem.

— Och, Nynaeve. Nie przytrzymasz słońca, kiedy ono wschodzi. Lini jakby mówiła o tobie.

Nynaeve z wysiłkiem złagodziła wyraz twarzy. Ona też potrafi zapanować nad swoim temperamentem.

„Czy nie dowiodłam tego właśnie?”

Wyciągnęła rękę.

— Pozwól mi wziąć pierścień. On zamierza przeprowić się przez rzekę wczesnym rankiem, a chciałabym jeszcze trochę normalnie pospać, kiedy już skończę.

— Myślałam, że tej nocy to ja pójdę. — Głos Elayne zabarwiła troska. — Nynaeve, wchodzisz do *Tel'aran'rhiod* prawie co noc z wyjątkiem spotkań z Egwene. Tak nawiasem mówiąc, ta Bair zamierza chyba drzeć z tobą koty. Musiałam im tłumaczyć, dlaczego znowu cię tam nie było, i ona twierdzi, że wcale nie potrzebujesz odpoczynku, jednakże tak często tam wchodzisz, że chyba robisz coś źle. — Troska ustąpiła miejsca stanowczości i młodsza kobieta wsparła pięści na biodrach. — Musiałam wysłuchać wykładu przeznaczonego dla ciebie i to wcale nie było przyjemne, zwłaszcza że obok stała Egwene i przytakiwała każdemu słowu. Nie, naprawdę uważam, że tej nocy to ja powinnam. . .

— Proszę, Elayne. — Nynaeve nie opuściła wyciągniętej ręki. — Mam pytania do Birgitte i być może jej odpowiedzi skłonią mnie do wymyślenia dalszych. — Istotnie miała jakieś; zawsze potrafiła wymyślić pytania dla Birgitte. Nie miało to nic wspólnego z unikaniem Egwene i Mądrych. To już tak po prostu wypadało; odwiedzała *Tel'aran'rhiod* tyle razy, bo Elayne zawsze szła na spotkania z Egwene.

Elayne westchnęła, ale wyłowila skręcony, kamienny pierścień zza dekoltu sukni.

— Zapytaj ją raz jeszcze, Nynaeve. Strasznie trudno porozumieć się z Egwene. Ona widziała Birgitte. Nic nie mówi, tylko patrzy na mnie. Robi się jeszcze

gorzej, kiedy się znowu spotykamy po odejściu Mądrych. Ona mogłaby wtedy zapytać, a wciąż tego nie robi i to jest już znacznie cięższe. — Skrzywiła się, kiedy Nynaeve nanizła niewielki *ter'angreal* na skórzany rzemyk oplatający jej szyję, obok ciężkiego pierścienia Lana oraz pierścienia z Wielkim Wężem. — Dlaczego, twoim zdaniem, nie przychodzi z nią wówczas żadna Mądra? W gabinecie Elaidy nie dowiadujemy się specjalnie wielu rzeczy, ale można by pomyśleć, że powinny przynajmniej chcieć zobaczyć Wieżę. Egwene w ogóle nie chce o tym rozmawiać w ich obecności. Kiedy już zahaczę o ten temat, ona patrzy na mnie w taki sposób, jakby chciała mnie uderzyć.

— Uważam, że one wolą za wszelką cenę unikać Wieży. — I w tym przypadku to rzeczywiście było z ich strony mądre. Gdyby nie Uzdrawianie, sama by jej unikała i Aes Sedai również. Ona nie zamierzała zostać Aes Sedai; miała tylko nadzieję, że nauczy się więcej o Uzdrawianiu. I oczywiście, że pomoże Randowi. — To są wolne kobiety, Elayne. Nawet gdyby Wieża nie znalazła się w takim chaosie jak teraz, czy byłoby im w smak, gdyby Aes Sedai włóczyły się po Pustkowiu, żeby je łapać i zabierać do Tar Valon?

— Przypuszczam, że masz rację. — Ton Elayne mówił, że jednak nie rozumie kwestii. Ona uważała Wieżę za coś wspaniałego i nie potrafiła pojąć, jak jakaś kobieta mogłaby unikać Aes Sedai. Związana z Białą Wieżą na zawsze, powiadały, kiedy nakładały ci ten pierścień na palec. I mówiły to serio. A ta głupia dziewczyna w ogóle nie widziała w tym nic dokuczliwego.

Kiedy Elayne pomogła już jej się rozebrać, wyciągnęła się na wąskim łóżku w samej bieliźnie, ziewając. To był długi dzień i dziwiło ją, że można się zmęczyć od samego stania, kiedy ktoś, kogo nie widzisz, rzuca w ciebie nożami. Zamknęła oczy, w jej głowie zaczęły dryfować różne błahe myśli. Elayne twierdziła, że ona ćwiczy, kiedy odgrywała idiotkę na oczach Thoma. Nie żeby ten dumny ojciec i ulubiona córka, których role obecnie przyjęli, wyglądali o wiele mądrzej. Może sama mogłaby poćwiczyć, tylko troszeczkę, z Valanem. No, ależ to dopiero było głupie. Oczy mężczyzn potrafią wodzić na manowce — lepiej, by oczy Lana tego nie robiły! — ale ona dobrze wie, co to nieugiętość. Po prostu nie włoży tej sukni. Naprawdę odslania za dużo.

Niejasno usłyszała jeszcze, jak Elayne mówi:

— Pamiętaj, byś ją znowu zapytała.

I wtedy zmorzył ją sen.

Stała przed wozem, była noc. Księżyc wznosił się wysoko, a dryfujące chmury rzucały cienie na obozowisko. Ćwierkały świerszcze i pokrzykiwały nocne ptaki. Błyszczały oczy lwów obserwujących ją z klatek. Niedźwiedzie o białych pyskach za żelaznymi kratami przypominały śpiące kopczyki. Niemniej jednak przy długim szeregu palików nie było koni, obok wozu Clarine i Petry uwiązanych na

smyczach psów, zaś przestrzeń, po której w świecie jawy krążyły *s'redit*, ziała pustką. Pojęła, że tylko dzikie zwierzęta mają tutaj swoje odbicia, ale niezależnie od tego, co twierdziła Seanchanka, trudno było dać wiarę, że te ogromne, szare stwory przestały być dzikie, bo udomowiono je tak dawno temu.

Nagle zorientowała się, że ma na sobie tę suknię. Barwy ognistej czerwieni, o wiele za mocno opiętą na biodrach, by mogła zasłużyć na miano przyzwoitej, z kwadratowym dekoltem, wyciętym tak głęboko, że Nynaeve miała wrażenie, iż zaraz z niego wypadnie. Nie umiała sobie wyobrazić żadnej kobiety, która by coś takiego przywdziała prócz Berelain. Dla Lana mogłaby. Gdyby byli sami. Myślała o Lanie, kiedy odpływała w sen.

„Myślałam, nieprawdaz?”

W każdym razie nie miała zamiaru dopuścić, by Birgitte zobaczyła ją w czymś takim. Ta kobieta twierdziła, że jest żołnierzem, a im więcej Nynaeve spędzała z nią czasu, tym bardziej do niej docierało, że niektóre z jej opinii — i komentarzy — były równie paskudne jak w przypadku dowolnego mężczyzny. Gorsze. Kombinacja Berelain i tawernowego rozrabiaki. Owe komentarze nie pojawiały się przez cały czas, jednak z pewnością można było ich oczekiwać zawsze, gdy Nynaeve pozwalała sobie na błahe myśli, w wyniku których pojawiała się odziana w coś takiego jak ta suknia. Zmieniła ją na mocną wełnę z Dwu Rzek, ciemną, z prostym szalem, którego nie potrzebowała, z włosami znowu przyzwoicie zaplecionymi, po czym otworzyła usta, żeby przywołać Birgitte.

— Dlaczego się przebrałaś? — spytała kobieta, wychodząc z cieni i wspierając się na srebrnym łuku. Złoty warkocz o skomplikowanym splocie miała przerzucony przez ramię, od łuku i strzał odbijało się światło księżycy. — Pamiętam, kiedyś nosiłam bliźniaczą suknię. Miała tylko przyciągać uwagę, żeby Gaidal mógł się prześlizgnąć... strażnicy faktycznie wytrzeszczyli oczy jak żaby... ale to było zabawne. Zwłaszcza, że później założyłam ją do tańca z nim. On nienawidzi tańca, ale tak się zawzięł, nie chcąc, by jakkolwiek mężczyzna zbliżył się do mnie, że odtńczył ze mną wszystkie tańce. — Birgitte roześmiała się z czułością. — Tamtej nocy wygrałam od niego pięćdziesiąt złotych przy grze w skręta; tak się na mnie gapił, że zupełnie nie zwracał uwagi na swoje płytki. Mężczyźni są osobliwi. Żeby to jeszcze nigdy mnie przedtem nie widział... .

— Tak to już z nimi bywa — wtrąciła sztywno Nynaeve, otulając ramiona szalem.

Zanim jednak zdążyła zadać pytanie, Birgitte powiedziała:

— Znalazłam ją. — I wszelka myśl o pytaniu uciekła.

— Gdzie? Widziałaś ją? Możesz mnie do niej zabrać? Tak, żeby ona mnie nie zobaczyła? — W żołądku Nynaeve zatrzepotał strach, Valan Luca miałby dużo do gadania o jej odwadze, gdyby zobaczył ją teraz, ale była przekonana, że ten strach przemieni się w gniew, kiedy tylko zobaczy Moghedien. — Gdybyś tak zaprowadziła mnie w pobliże... . — Zawiesiła głos, kiedy Birgitte podniosła rękę.

— Raczej mnie nie widziała, bo w przeciwnym przypadku wątpię, czy byłabym tu teraz. — Stanowiła teraz wcielenie powagi; Nynaeve stwierdziła, że znacznie łatwiej być obok niej, kiedy postępowała jak żołnierz. — Mogę na chwilę zaprowadzić cię blisko, jeśli rzeczywiście tego chcesz, ale ona nie jest sama. W każdym razie... Sama zresztą zobaczysz. Musisz być cicho i nie wolno ci podejmować żadnych działań przeciwko Moghedien. Są tam inni Przekłęci. Być może mogłabyś ją zniszczyć, ale czy potrafisz zniszczyć wszystkich pięcioro?

Ściskanie w żołądku Nynaeve przeniosło się do piersi. I zeszło do kolan. Pięcioro. Powinna spytać Birgitte, co widziała albo słyszała i na tym poprzestać. Potem mogłaby wrócić do łóżka i... Ale Birgitte patrzyła na nią. Nie kwestionowała jej odwagi, tylko patrzyła. Gotowa na wszystko, jeśli ona zechce.

— Będę cicho. I nawet nie pomyślę o przenoszeniu. — Nie w obecności pięciorga Przeklętych. W tym momencie zresztą nie przeniosłaby nawet iskierki. Usztyniła kolana, żeby nogi nie ugięły się pod nią. — Kiedy tylko będziesz gotowa.

Birgitte uniosła łuk i położyła dłoń na ramieniu Nynaeve...

... a tej oddech uwiązał w gardle. Stały w pustce, otoczone przez bezkresną czerń, gdzie nie sposób było odróżnić górę od dołu i gdzie upadek w dowolnym kierunku trwałby wieczność. Z uczuciem wirowania w głowie zmusiła się, by spojrzeć w stronę, którą wskazywała Birgitte.

Pod nimi stała Moghedien, również zawieszona w pustce, odziana w czerń niemalże taką samą jak ta, która je otaczała; pochylona, czegoś uważnie słuchała. I równie daleko pod nią, na kawałku połyskliwej, krytej białymi płytkami posadzki, unoszącej się w tej czerni, stały cztery ogromne krzesła z wysokimi oparciami, każde inne. O dziwo, Nynaeve słyszała dokładnie, co mówili siedzący na tych krzesłach, równie dobrze, jakby sama siedziała na jednym z nich.

— ... nigdy dotąd nie byłeś tchórzem — mówiła właśnie słońecznowłosa, pulchna, lecz pełna powabu kobieta — więc czemu teraz zaczynasz się bać? — Odziana, lecz tylko na pozór, w srebrzystoszarą mgłę i roziskrzzone klejnoty, rozpięta się niedbale w krzesło z kości słoniowej, zaprojektowanym tak przemyślnie, że zdawało się stworzone z ciała nagich akrobatów. Czterech wyrzeźbionych mężczyzn unosiło je do góry, a ręce siedzącej spoczywały na grzbietach klęczących kobiet; dwóch mężczyzn i dwie kobiety trzymały białą, jedwabną poduszkę pod jej głową, a nad nią jeszcze inni, powykęceni w kształty, zdaniem Nynaeve, zupełnie nieosiągalne dla ludzkiego ciała. Zaczerwieniła się, kiedy pojęła, że oni wykonują coś więcej niżli tylko akrobatyczne sztuczki.

Zwalisty mężczyzna średniego wzrostu, z siną blizną biegnącą przez twarz i kwadratową, złotą bródką, gniewnie pochylał się do przodu. Jego krzesło było wykonane z ciężkiego drewna, rzeźbionego w kolumny przedstawiające uzbrojonych mężczyzn i konie; odziana w stalową rękawicę pięść ścisnęła błyskawicę na szczycie oparcia. Czerwony kaftan zastępował brak złoceń w krzesle, dzięki

złotym zakrętasom biegnącym przez barki i wzdłuż rękawów.

— Nikt mnie nie nazwie tchórzem — powiedział surowo. — Ale jeśli dalej będziemy postępować tak jak obecnie, to on mi skoczy prosto do gardła.

— Taki był plan od samego początku — odezwał się melodyjny kobiecy głos. Nynaeve nie widziała przemawiającej, ukrytej za górującym nad nią oparciem krzesła, które zdawało się całe ze śnieżnobiałego kamienia i srebra.

Drugi mężczyzna był rostry i przystojny w jakiś mroczny sposób, ze skrzydełkami siwizny na skroniach. Wygodnie rozparty na swym tronie, obracał w dłoniach zdobny, złoty puchar. To było jedyne słowo, jakim dawało się określić ten wysadzany klejnotami mebel; tu i tam przebłyskiwały drobiny złota, ale Nynaeve nie wątpiła, że pod tymi połyskującymi rubinami, szmaragdami i księżycowymi kamieniami kryje się szczere złoto; tron ze względu na swoją masywność sprawiał wrażenie ciężkiego.

— On skupi się na tobie — rzekł tubalnym głosem rostry mężczyzna. — Jeśli zajdzie taka potrzeba, ktoś z jego najbliższego otoczenia zginie, niby to z twojego rozkazu. Przyjdzie wtedy po ciebie. I kiedy zajmie się wyłącznie tobą, my troje, połączeni, pojmy go. Cóż się takiego zmieniło, by miało wpłynąć na realizację planu?

— Nic się nie zmieniło — warknął mężczyzna z blizną. — A już najmniej moje zaufanie do was. Będę uczestniczył w połączeniu albo w tej chwili kończymy ze wszystkim.

Złotowłosa kobieta odrzuciła głowę w tył i roześmiała się.

— Biedny człowieku — zadrwiła, machając w jego stronę upierścienioną dłonią. — Myślisz, że on nie zauważyłby, że jesteś połączony? On ma nauczyciela, pamiętaj. Kiepskiego, ale nie pełnego durnia. Następnym razem poprosisz pewnie o zaproszenie do udziału takiej liczby dziewczątek spod znaku Czarnych Ajah, by krąg liczył więcej niż trzynaście ogniw, dzięki czemu kontrolę nad nim musielibyście przejąć ty albo Rahvin.

— Skoro Rahvin ufa nam do tego stopnia, że godzi się na połączenie, którym kieruje jedno z nas — rzekł melodyjny głos — to i ty mógłbyś okazać równe zaufanie. — Wielki mężczyzna zajrzał do swego pucharu, odziana zaś w mgłę kobieta uśmiechnęła się blado. — Jeśli nie możesz nam zaufać, sądząc, że zwrócimy się przeciwko tobie — ciągnęła niewidoczna kobieta — to w takim razie uwierz, że wzajem będziemy pilnować się zanadto mocno, by to zrobić. Przecież zgodziłeś się na to wszystko, Sammaelu. Dlaczego teraz się wykręcasz?

Nynaeve wzdrygnęła się, kiedy Birgitte dotknęła jej ramienia. . .

. . . i znowu stały wśród wozów, pod księżycem przeświecającym przez chmury. W porównaniu z miejscem, w którym dopiero co były, ta sceneria wyglądała tak zwyczajnie.

— Dlaczego. . . ? — zaczęła Nynaeve i musiała przełknąć ślinę. — Dlaczego nas stamtąd zabrałaś? — Serce jej podskoczyło do gardła. — Czy Moghedien coś

zobaczyła? — Tak była pochłonięta widokiem innych Przeklętych — tego pomieszania obcości i przeciętności — że zapomniała pilnować Moghedien. Westchnęła z ulgą, kiedy Birgitte potrzęsła głową.

— Nie oderwałam od niej wzroku na dłużej niż chwilę, a ona nie poruszyła ani jednym mięśniem. Ja jednak nie lubię tak się wystawiać na pokaz. Mogła przecież spojrzeć w górę, ona albo któreś z pozostałych. . .

Nynaeve owinęła się ciasno szalem, ale i tak nadal dygotała.

— Rahvin i Sammael. — Nie chciała, by jej głos brzmiał tak ochryple. — Czy rozpoznasz pozostałych?

To oczywiście, że ich rozpoznawała; doprawdy głupio sformułowała pytanie, ale to dlatego, że była taka wstrząśnięta.

— Lanfear to ta ukryta za krzesłem. Tą drugą była Graendal. Nie bierz jej za idiotkę przez to, że buja się w krzesle w sposób, na widok którego rumieniłaby się dziewczka uliczna z Senje. Jest przebiegła i używa swych pupilków do rytuałów, które najtwardszego żołnierza, jakiego kiedykolwiek poznałam, zmusiłyby do poprzysięgnięcia celibatu.

— Graendal jest przebiegła — powiedział głos Moghedien — ale nie dość przebiegła.

Birgitte obróciła się błyskawicznie, ze srebrnym łukiem już w pogotowiu, srebrna strzała niemalże pofrunęła do cięciwy — i nagle odrzuciło ją na odległość trzydziestu kroków przez księżycową poświatę, prosto na wóz Nynaeve, z taką siłą, że odbiła się od niego na dalszych pięć i upadła bezwładnie na ziemię.

Nynaeve desperacko sięgnęła po *saidara*. Strach sączył się przez jej gniew, ale gniewu było dość — i ten gniew nadział się na niewidzialny mur dzielący ją od ciepłej łuny Prawdziwego Źródła. Omal nie zawyła. Coś ją chwyciło za stopy, pociągnęło je w tył i oderwało od ziemi; dłonie podskoczyły w górę i wygięły się, aż w pewnym momencie nadgarstki spotkały się nad głową z kostkami nóg. Odzienie przemieniło się w pył, który zsunął się z ciała, a warkocz pociągnął głowę w tył, tak silnie, że zetknęła się niemal z dolną częścią pleców. Jak oszalała usiłowała wyjść ze snu. Bez skutku. Zawisła tak w powietrzu, złamana wpół niczym jakieś zwierzę pochwycone w sieć, z każdym mięśniem naprężonym do granic. Poczowała w sobie spazmy drgań; palce jej drżały słabo, ocierając się o stopy. Miała wrażenie, że jeśli spróbuje poruszyć czymkolwiek, to złamie sobie kręgosłup.

O dziwo, strach się ulotnił, teraz, kiedy było już za późno. Była przekonana, że mogła być dostatecznie szybka, gdyby nie ten paniczny strach, który ją spętał w chwili, kiedy musiała działać. Potrzebowała tylko szansy, by móc położyć ręce na gardle Moghedien.

„Na wiele to się teraz przyda!”

Każdy haust powietrza przemieniał się w łapczywe rżenie.

Moghedien podeszła do miejsca, gdzie Nynaeve mogła ją widzieć, ujętą w drżący trójkąt stworzony z jej własnych rąk. Kobieta, jak na urągowisko, ota-

czała luna *saidara*.

— Detal z krzesła Graendal — zadrwiła Przekłeta. Suknię, podobnie jak Graendal, miała utkaną z mgły; mieniła się wszelkimi jej odmianami, począwszy od czarnych oparów, przez niemalże przezroczystą mgiełkę, a skończywszy na połyskliwym srebrze. Tkanina zmieniała się właściwie cały czas. Nynaeve raz już widziała Moghedien w tej sukni, w Tanchico.

— Sama bym na to nie wpadła, ale Graendel doprawdy potrafi wpłynąć... budująco.

Nynaeve piorunowała ją wzrokiem, ale Moghedien udawała, że tego nie zauważa.

— Ledwie potrafię uwierzyć, że naprawdę przysłaś na mnie zapolować. Czyżbyś poważnie myślała, że mi dorównasz, bo raz ci się poszczęściło i przyłapałaś mnie, kiedy się nie pilnowałam? — Kobieta zaśmiała się uszczypliwie. — Gdybyś tylko wiedziała, ile wysiłku włożyłam w odnalezienie ciebie. A tymczasem ty sama do mnie przysłaś. — Omiotła wzrokiem wozy, przez chwilę przyglądając się lwom i niedźwiedzim, po czym zwróciła się powrotem do Nynaeve. — Menażeria? Czyli że łatwo cię będzie znaleźć, gdybym cię potrzebowała.

— Rób, co potrafisz najgorszego, a żebyś szczęła — warknęła Nynaeve. Na ile potrafiła warknąć. Tak złożona w pół, musiała wyduszać z siebie słowa, jedno po drugim. Nie odważyła się spojrzeć prosto na Birgitte — zwłaszcza, że nie była w stanie dostatecznie obrócić głowy — ale przewracając oczami, pochwycona przez furję i strach, przelotnie ją widziała. Żołądek jej się zaklął, mimo iż tak mocno napięty niczym owcza skóra powieszona do wyschnięcia. Birgitte leżała na ziemi, srebrne strzały wysypały się z kołczana przy pasie, srebrny łuk leżał w odległości piędzi od znieruchomiałej ręki. — Poszczęściło mi się, powiadasz? Gdyby tobie nie udało się podstępnie mnie napaść, to tak bym cię zabiła, że aż byś płakała. Skręciłabym ci kark jak kurczakowi.

Miała tylko jedną szansę, jeśli Birgitte nie żyła, i to nędzną. Tak rozżłościć Moghedien, by ta ją zabiła szybko, w szale wściekłości. Żeby tylko istniał jakiś sposób, by ostrzec Elayne. Jej śmierć musiałaby to załatwić.

— Pamiętasz, jak powiedziałaś, że użyłabyś mnie jako podnóżka przy dosiadanu konia? I jak potem ja powiedziałam, że zrobiłabym to samo z tobą? Po tym, jak już cię zabiłam. Kiedy skomlałaś i błagałaś o życie. Oferowałaś mi wszystko. Jesteś tchórzem bez charakteru! Zawartością nocnego naczynia! Ty kawałku... — Coś gęstego wpełzło jej do ust, rozplaszczając język i rozwierając szczęki.

— Jaka ty jesteś prosta — mruknęła Moghedien. — Wierz mi, jestem dostatecznie zła na ciebie. Raczej nie wykorzystam cię jako podnóżka do wsiadania na konia. — Na widok jej uśmiechu Nynaeve ścierpła skóra. — Myślę, że zmienię cię w konia. Tutaj to jest możliwe. W konia, w mysz, w żabę... — Urwała, czegoś nasłuchując. — ... w świerszcza. I za każdym razem, kiedy przyjdiesz do *Tel'aran'rhiod*, będziesz koniem, dopóki ja tego nie zmienię. Albo ktoś inny, kto

posiada taką samą wiedzę. — Znowu urwała, z niemalże współczującą miną. — Nie, nie chcę ci robić fałszywych nadziei. Jest nas teraz tylko dziewięcioro takich, którzy znają wiązanie i wcale byś nie chciała, żeby zamiast mnie to oni cię pojмали. Będiesz koniem za każdym razem, kiedy cię tu sprowadzę. Dostaniesz własne siodło i uzdę. Mogę ci nawet zapleść grzywę.

Coś omal nie wyszarpnęło warkocza z czaszki Nynaeve.

— Oczywiście nawet wtedy będziesz pamiętała, kim jesteś. Myślę, że ja polubię swoje przejażdżki, a ty niestety nie. — Moghedien zrobiła głęboki wdech; suknia pociemniała i załśniła w bladym świetle; Nynaeve nie mogła być pewna, ale uznała, że to może być kolor świeżej krwi. — Przez ciebie muszę się upodobnić do Semirhage. Dobrze będzie wreszcie z tobą skończyć, bym mogła skierować całą swoją uwagę na ważne sprawy. Czy ta mała, żółtowłosa dziewczka jest z tobą w tej menażerii?

Opuchlizna zniknęła z ust Nynaeve.

— Jestem sama, ty głupia. . . — Ból. Jakby coś ją biło od kostek po ramiona, przy czym wszystkie ciosy łądowały jednocześnie. Przenikliwie zawyla. Znowu. Usiłowała zacisnąć zęby, ale uszy przepełniał jej własny, nie kończący się wrzask. Czekając z rozpaczą na ciąg dalszy, załkała; łzy spłynęły bezwstydnie po policzkach.

— Czy ona jest z tobą? — dopytywała się cierpliwie Moghedien. — Nie marnuj czasu, próbując mnie zmusić, bym cię zabiła. Nie zrobię tego. Przeżyjesz wiele lat, służąc mi. Twoje żalosne raczej umiejętności mogą się przydać, kiedy je odpowiednio podszlifuję. A raczej, kiedy cię wyszkolę. Ale mogę sprawić, byś pomyślała, że to, co właśnie poczułaś, to pieszczota kochanka. A teraz odpowiedz na pytanie.

Nynaeve udało się odzyskać oddech.

— Nie — wyłkała. — Ona uciekła z pewnym mężczyzną, kiedy wyjechałyśmy z Tanchico. Z mężczyzną dostatecznie starym, by mógł być jej dziadkiem, ale miał pieniądze. Doszły nas słuchy o tym, co stało się w Wieży. . . — Była przekonana, że Moghedien musi o tym wiedzieć. . . — I bała się wrócić.

Jej oprawczyni roześmiała się.

— Zachwycająca opowiadka. Nieomal rozumiem teraz, co tak fascynuje Semirhage w łamaniu ducha. Och, dostarczysz mi moc rozrywki, Nynaeve al'Meara. Ale najpierw sprowadzisz do mnie Elayne. Odgradzisz ją tarczą od Źródła, zwiążesz i rzucisz do mych stóp. Wiesz, dlaczego? Bo w *Tel'aran'rhiod* niektóre rzeczy są tak naprawdę silniejsze niż w świecie jawy. Dlatego właśnie będziesz lśniąca białą kłaczą za każdym razem, kiedy cię tutaj sprowadzę. Nie tylko zranienia zabiera się stąd do jawy. Przymus to druga rzecz. Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła przez kilka chwil, zanim zaczniesz uważać, że to twój własny pomysł. Podejrzewam, że ta dziewczyna to twoja przyjaciółka. Ale ty ją sprowadzisz do mnie jak szczeniaka. . .

Moghedien wrzasnęła, kiedy nagle pod jej prawą pierśią wykwitł grot srebrnej strzały.

Nynaeve upadła na ziemię niczym pusty worek. Upadek wybił jej z płuc najmniejszą drobinę oddechu jak cios młotem w brzuch. Zmusiła storturowane płuca do pracy, wysilając się, by oddychać, mimo bólu walcząc o dojście do *saidara*.

Birgitte powstała chwiejnie i wyszperała jeszcze jedną strzałę z kołczana.

— Ruszaj, Nynaeve... — Mamrotała, zamiast krzyżeć. — Uciekaj. — Głowa Birgitte chwiała się, a srebrny łuk drżał, kiedy go podnosiła.

Łuna otaczająca Moghedien rozrastała się, aż w pewnym momencie wydało się, że otacza ją oślepiające słońce.

Noc zasunęła się nad Birgitte niczym fala oceanu, otulając ją w czerń. Kiedy ustąpiła, łuk upadł na puste ubrania, które z kolei rozpadły się. Rozwiały się niczym opadająca mgła, a potem pozostały tylko łuk i strzały, lśniące srebrzyście w świetle księżyca.

Moghedien padła na kolana, ściskając wystające drzewce strzały obiema dłońmi, zaś łuna wokół niej zbladła i zniknęła. Potem zniknęła również ona; tylko srebrna strzała pozostała tam, gdzie była, zabarwiona na ciemno krwią.

Po czasie, który zdawał się trwać wieczność, Nynaeve udało się podźwignąć. Łkając, podczołgała się do łuku Birgitte. Tym razem to nie z bólu toczyły się łzy. Uklękła, całkiem naga, ale w ogóle tym nie przejęta, i wzięła łuk do ręki.

— Tak mi przykro — wyszlochała. — Och, Birgitte, wybacz mi. Birgitte! Zamiast odpowiedzi usłyszała żałobny krzyk jakiegoś nocnego ptaka.

* * *

Liandrin poderwała się na nogi, kiedy drzwi do komnaty Moghedien otworzyły się z trzaskiem i Wybrana wtoczyła się chwiejnie do bawialni, w samej tylko jedwabnej koszuli przesączonej krwią. Chesmal i Temaile podbiegły do niej, każda ujęła pod jedno ramię, żeby ją podtrzymać, ale Liandrin pozostała na swoim miejscu. Pozostałych nie było; być może wyjechały z Amadoru, Liandrin dokładnie nie wiedziała. Moghedien mówiła tylko to, co chciała, by słyszący wiedział, i karała za pytania, które jej się nie podobały.

— Co się stało? — wystękała Temaile.

Krótkie spojrzenie Moghedien mogłoby dosłownie ją zabić.

— Potrafisz trochę Uzdrawiać — powiedziała zduszonym głosem Wybrana do Chesmal. Krew zaplamiła jej wargi, sączyła się z kącika ust coraz silniejszym strumieniem. — Zrób to. Natychmiast, ty głupia!

Ciemnowłosa Ghealdanka nie wahała się z położeniem dłoni na głowie Mo-

ghedien. Liandrin zadrwiła wewnątrz, kiedy Chesmal otoczyła luna; na jej przystojnej twarzy odmalowała się troska, zaś delikatne, lisie rysy Temaile zniekształciła czysta trwoga i przejęcie. Jakież one wierne. Posłuszne niczym psy. Moghedien stanęła na czubkach palców, z głową odrzuconą w tył; oczy miała szeroko otwarte, trzęsła się, oddech bulgotał w jej rozdziawionych ustach, jakby ją kto zanurzył w przerebli.

Po kilku chwilach było po wszystkim. Luna otaczająca Chesmal zniknęła i pięty Moghedien stanęły na dywanie w niebiesko-zielony wzór. Bez wsparcia Temaile byłaby upadła. Jedyne części siły potrzebnej do Uzdrawiania brała się z Mocy; reszta pochodziła od Uzdrawianej osoby. Rana, która spowodowała krwotok, zniknęła, ale Moghedien była z pewnością bardzo osłabiona, jakby przez wiele tygodni leżała w łóżku. Wyciągnęła zza pasa Temaile cienką, jedwabną chustę barwy złota i kości słoniowej, by otrzeć usta, kiedy ta pomagała jej dojść do drzwi sypialni. Słaba i odwrócona plecami.

Liandrin zaatakowała silniej niż kiedykolwiek, całą wiedzą, wykoncypowaną z tego, co tamta wcześniej zrobiła jej.

Jeszcze nie skończyła, gdy *saidar* wypełnił Moghedien niczym powódź. Sonda Liandrin przestała istnieć, kiedy Źródło zostało odgródzone od niej tarczą. Strumienie Powietrza poderwały ją w górę, po czym cisnęły na boazerię ściany z takim impetem, że aż jej zaszczękały zęby. Zawisła tak, z rozkrzyżowanymi rękoma, całkiem bezradna.

Chesmal i Temaile wymieniły zmieszane spojrzenia, jakby nie rozumiały, co się stało. Nadal wspierały Moghedien, kiedy ta podeszła do Liandrin, spokojnie ocierając usta chustką Temaile. Wybrana przeniosła Moc, a krew na jej koszuli szerniała i złuszczyła się, opadając płatami na dywan.

— Ty... ty nie rozumiesz, o Wielka Pani — zaczęła nerwowo Liandrin. — Ja tylko chciałam ci pomóc, żebyś się dobrze wyspała. — Po raz pierwszy w życiu zupełnie się nie przejęła nawrotem pospolitego akcentu. — Ja tylko... — Urwała, dławiąc się własnymi słowami, kiedy strumień Powietrza pochwycił jej język i rozciągnął go za zębami. Pływne oczy wyszły z orbit. Odrobinę więcej nacisku, a...

— Mam go wyrwać? — Moghedien badała jej twarz, ale mówiła jakby do siebie. — Chyba nie. Masz pecha, że przez tę al'Meara zaczęłam rozumować jak Semirhage. W innym przypadku tylko bym cię zabiła. — Nagie zabrała się za zawiązywanie tarczy, której węzeł stawał się coraz bardziej zawiślany, aż w końcu Liandrin całkowicie pogubiła się w tych skrętach i zapętleniach. A on ciągle jeszcze się zasuptywał. — Proszę bardzo — powiedziała w końcu Moghedien tonem satysfakcji. — Będziesz bardzo długo szukała kogoś, kto da radę to rozwikłać. Tyle że nie będziesz miała okazji do tych poszukiwań.

Liandrin zbadała twarz Chesmal i Temaile, szukając oznak współczucia, li-tości, czegokolwiek. Chesmal miała oczy zimne i surowe; Temaile, błyszczące,

przesunęła po wargach czubkiem języka i uśmiechnęła się. Nie był to przyjazny uśmiech.

— Myślałaś, że nauczyłaś się, co to przymus — ciągnęła Moghedien. — Ja nauczę cię trochę więcej.

Liandrin przez chwilę dygotała. Oczy Moghedien wypełniały jej całe pole widzenia, tak jak głos wypełniał uszy, całą głowę.

— Będziesz żyła.

Ta chwila minęła i na twarzy Liandrin wystąpiły paciorki potu, kiedy Wybrana uśmiechnęła się do niej.

— Przymus ma wiele ograniczeń, ale nakaz, by postępować zgodnie z czymś życzeniem, będzie się utrzymywał przez całe życie w najskrytszych głębinach. Będziesz żyła, obojętnie jak gorąco byś nie pragnęła odebrać sobie życia. A będziesz tego pragnęła. Wiele nocy przepłaczesz, tęskniąc za śmiercią.

Splot unieruchamiający język Liandrin zniknął; odczekała tyle tylko czasu, ile potrzebowała na przełknięcie śliny.

— Błagam, Wielka Pani. Przysięgam, że nie chciałam... — Od ciosu wymierzonego przez Moghedien zadźwięczało jej w głowie, a przed oczyma zatańczyły srebrzysto-czarne plamki.

— Robienie czegoś fizycznie... ma swój... urok — wydyszała kobieta. — Chcesz błagać o więcej?

— Proszę, Wielka Pani... — Od drugiego ciosu włosy rozwiały jej się we wszystkie strony.

— Jeszcze?

— Błagam... — Trzeci cios omal nie wystawił szczęki z zawiasów. Czują, jak pali ją policzek.

— Nie będę cię słuchała, skoro nie stać cię na inne pomysły. Ty natomiast będziesz słuchała. Myślę, że zaplanowałam dla ciebie coś, z czego sama Semirhage byłaby zachwycona. — Moghedien uśmiechnęła się niemalże równie ponuro jak Temaile. — Będziesz żyła, nie ujarzmiona, za to ze świadomością, że będziesz zdolna znowu przenosić tylko pod tym warunkiem, iż znajdziesz kogoś, kto rozplecie twoją tarczę. Ale to zaledwie początek. Evon ucieszy się z nowej pomywaczki i jestem przekonana, że Arene z chęcią będzie wiodła z tobą długie rozmowy na temat jej męża. No jakże, twoje towarzystwo spodoba im się tak bardzo, że wątpię, czy uda ci się wyjść z tego domu przez najbliższe lata. Długie lata podczas których będziesz żałowała, że nie służyłaś mi wiernie.

Liandrin potrząsnęła głową, układając usta do słów „nie” i „proszę”; za mocno płakała, by wydusić z siebie te słowa.

Moghedien odwróciła głowę w stronę Temaile i powiedziała:

— Przygotuj ją dla nich. I przykaż im, że nie mają jej ani zabijać ani pozbawiać przytomności. Chcę, by zawsze wierzyła, że może uciec. Nawet próżna

nadzieja podtrzyma ją przy życiu w cierpieniu. — Zawróciła, wsparta na ramieniu Chesmal, i sploty przytrzymujące Liandrin przy ścianie zniknęły.

Nogi ugięły się pod nią, jakby były ze słomy i zwała się na dywan. Pozostała jedynie tarcza; łomotała w nią na próżno, pełznąć jednocześnie za Moghedien, starając się ucześcić rąbka sukni, łkając spazmatycznie.

— Błagam, Wielka Pani!

— One są z menażerią — powiedziała Moghedien do Chesmal. — Tyleście szukały, a musiałam znaleźć je sama. Odszukanie menażerii nie powinno być trudne.

— Będę wiernie służyła — wyłkała Liandrin. Strach pozbawił ją sił; nie umiała czołgać się dostatecznie szybko, żeby je dogonić. A one nawet się na nią nie obejrzały, gdy pełzała za nimi po dywanie. — Zwiąż mnie, Wielka Pani. Zrób, co tylko chcesz. Będę wiernym psem!

— Wiele menażerii podróżuje na północ — powiedziała Chesmal, głosem przepętnionym pragnieniem obniżenia rangi swej porażki. — Do Ghealdan, Wielka Pani.

— Wobec tego muszę udać się do Ghealdan — oznajmiła Moghedien. — Zdobądźcie szybkie konie, bo pojedziecie... — Przy tych słowach drzwi sypialni zamknęły się.

— Będę wiernym psem — szlochała Liandrin, skulona na dywanie. Uniósłszy głowę, zamrugła, by przez łzy zobaczyć, jak Temaile patrzy na nią, zacierając ręce, uśmiechnięta. — Mogłyśmy ją pokonać, Temaile. We trzy razem mogłyśmy...

— My trzy? — Temaile zaśmiała się. Ze zmrużonymi oczyma badała tarczę przytwierdzoną do Liandrin. — Równie dobrze mogłaś zostać ujarzmiona.

— Posłuchaj. Proszę. — Liandrin z trudem przełknęła ślinę, starając się, by jej głos zabrzmiał czyściej, ale kiedy znowu zaczęła mówić, nadal chrypiał, mimo iż jednocześnie płonął z przejęcia. — Rozmawialiśmy o zamęcie, który na pewno wybuchł wśród Wybranych. Skoro Moghedien tak się ukrywa, to musi się ukrywać przed innymi Wybranymi. Jeśli ją pojmy i oddamy im, to pomyśl o miejscach, jakie mogłybyśmy zająć. Mogłybyśmy zostać wyniesione ponad królów i królowe. Mogłybyśmy same zostać Wybranymi!

Na moment — jeden błogosławiony, cudowny moment — kobieta o dziecinnej twarzy zawahała się. Potem potrząsnęła głową.

— Nigdy nie znałaś umiaru. „Spłonie ten, kto sięga po słońce”. Nie, ja raczej nie spłonę, sięgając za wysoko. Myślę, że będę robiła to, co mi się każe i że zmiękczę cię dla Evona. — Nagle uśmiechnęła się, pokazując zęby, przez co nabrała jeszcze bardziej lisiego wyglądu. — Ależ on się zdziwi, kiedy podpełzniesz, by ucałować mu stopy.

Liandrin zaczęła przeraźliwie krzyczeć, mimo że Temaile jeszcze nie zaczęła.

ODERWANA

Elayne szeroko ziewając, obserwowała Nynaeve ze swojego łóżka, głowę wsparła na łokciu, czarne pukle spływały jej na ramię. To upieranie się, że ta, która nie wyprawia się do *Tel'aran'rhiod*, powinna czuwać, było zgoła idiotyczne. Nie miała pojęcia, od jak dawna już Nynaeve przebywa w Świecie Snów, ale ona leżała tutaj od dobrych dwóch godzin, bez książki do czytania, bez niczego do szycia, w ogóle bez żadnego zajęcia oprócz wpatrywania się w drugą kobietę wyciągniętą na wąskim łóżku. W dalszych badaniach *a'dam* nie widziała żadnego pożytku; uznała, że już dowiedziała się o tym wszystkiego, czego mogła. Wypróbowała nawet lekkiego dotyku Uzdrawiania na śpiącej, być może zresztą wykorzystując cały swój zasób wiedzy o Uzdrawianiu. Obudzona Nynaeve nigdy by na to nie wyraziła zgody — nie miała wysokiego mniemania o zdolnościach Elayne w tym kierunku — a może w tym wypadku nawet by taką zgodę wyraziła — w każdym razie czarny siniec otaczający oko zniknął. Prawdę powiedziawszy, było to najbardziej skomplikowane Uzdrawianie, na jakie Elayne kiedykolwiek się poważyła i doprawdy wyczerpała tu wszystkie swe umiejętności. Nic do roboty. Gdyby miała odrobinę srebra, mogłaby spróbować zrobić *a'dam*; srebro było jedynym metalem, który się do tego nadawał, ale musiałyby przetapiać monety, by uzyskać jego dostateczną ilość. A tym Nynaeve byłaby jeszcze mniej zachwycona niżli znalezieniem drugiej *a'dam*. Gdyby chociaż zgodziła się, że można opowiedzieć o wszystkim Thomowi i Juilinowi, mogłaby przynajmniej zaprosić barda na pogawędkę.

Naprawdę cudownie się z nim rozmawiało. Był niczym ojciec, który przekazuje córce swoją wiedzę. Nigdy przedtem nie dotarło do niej, że Gra Domów tak szeroko rozpleniła się w Andorze, nawet jeśli, na szczęście, jej macki nie sięgały tak głęboko jak w innych krajach. Zdaniem Thoma uniknęły jej całkowicie tylko Ziemie Graniczne. Bliskość Ugoru, graniczącego z nimi od północy, i coraz częstsze napaści trolloków sprawiały, że nie mieli czasu na intrygi i knowania. Jej i Thomowi rozmawiało się cudownie, zwłaszcza teraz, kiedy nabrał pewności, że ona nie będzie próbowała wcisnąć mu się na kolana. Twarz jej płonęła na samo wspomnienie; rzeczywiście myślała o tym raz, może dwa razy, ale na szczęście tego nie zrobiła.

— „Nawet królowa może uderzyć się w palec, ale mądra kobieta patrzy pod nogi, jak idzie” — zacytowała cicho. Lini była mądrą kobietą. Elayne uważała, że tego szczególnego błędu już drugi raz nie. popełni. Wiedziała, że wiele ich popełniła, ale rzadko kiedy dwukrotnie ten sam. Któregoś dnia, być może, będzie ich popełniać dostatecznie mało, by stać się godną zastąpienia matki na tronie.

Usiadła nagle. Z zamkniętych oczu Nynaeve płynęły łzy, ściekały strumyczkami po jej twarzy; to, co Elayne brała za ciche pochrapywanie — Nynaeve czasem chrapała, wbrew temu, co twierdziła — okazało się cichutkim, jęklwym szlochem, dobywającym z głębi gardła. Nie powinno tak być. Gdyby odniosła ranę, pojawiłyby się jej oznaki, choć po przebudzeniu oczywiście nic by nie czuła.

„Może powinnam ją obudzić”.

Wahała się jednak, mimo że ręka sama wyciągała się w stronę przyjaciółki. Przebudzenie kogoś z *Tel'aran'rhiod* nie było wcale łatwe — potrząsanie, nawet lodowata woda na twarz nie zawsze wystarczały — i Nynaeve nie byłaby zachwycona, że się ją wyrwa ze snu szturchańcami po tych wszystkich siniakach, jakimi obdarowała ją Cerandin.

„Ciekawe, co tak naprawdę między nimi zaszło. Będę musiała wypytać Cerandin”.

Cokolwiek by się działo, Nynaeve powinna móc wyjść ze snu, kiedy tylko zapagnie. Chyba że... Egwene twierdziła, że Mądre mogły zatrzymać kogoś w *Tel'aran'rhiod* wbrew jego woli, ale jeśli nawet nauczyły ją tej sztuczki, to nie przekazała jej ani Elayne, ani Nynaeve. Jeśli ktoś więził teraz Nynaeve, robił jej krzywdę, to nie mogła to być ani Birgitte, ani Mądre. Cóż, Mądre mogły, jeśli przyłapały ją na wędrowaniu tam, gdzie nie powinna. Ale jeśli nie one, to pozostawała tylko...

Ujęła Nynaeve za ramiona, żeby nią potrząsnąć — jeśli to nie poskutkuje, to wówczas zamrozi wodę w dzbanie stojącym na stole albo uderzy ją w twarz — i Nynaeve nagle otworzyła oczy.

I natychmiast wybuchnęła głośnym płaczem; Elayne w życiu nie słyszała równie rozdzierającego szlochu.

— Zabiłam ją. Och Elayne, zabiłam ją swoją głupią pychą, myśląc, że mogłabym... — Słowa stłumił jej niepokonany płacz.

— Kogo zabiłaś? — To nie mogła być Moghedien; śmierć tej kobiety z pewnością nie wywołałaby takiej rozpacz. Już miała wziąć Nynaeve w ramiona, żeby ją pocieszyć, kiedy rozległo się łomotanie do drzwi.

— Odpraw ich — wymamrotała Nynaeve, zwijając się w drżący kłębek na samym środku łóżka.

Elayne z westchnieniem podeszła do drzwi i otworzyła je, ale nim zdążyła powiedzieć choć jedno słowo, z mroku nocy wcisnął się do wnętrza wozu Thom, w zmiętej koszuli wystającej mu ze spodni; trzymał w objęciach coś owiniętego w kaftan. Z zawiniątka wystawały bosc stopy jakiejś kobiety.

— Była tam — przemówił zza jego pleców Juilin, takim tonem, jakby nie dowierzał słowom, które padały z jego własnych ust. Obaj mężczyźni byli bosy, a obnażony do pasa Juilin demonstrował wychudłą, nie owłosioną pierś. — Obudziłem się na chwilę i ona się tam ni stąd, ni zowąd pojawiła, nagusieńka jak w dniu narodzin, a słała się niczym pocięta sieć.

— Ona żyje — orzekł Thom, układając owinięte w kaftan ciało na łóżku Elayne — ale ledwo, ledwo. Prawie nie słyszę bicia jej serca.

Elayne odsunęła kaptur... i zobaczyła twarz Birgitte, bladą, zmizerniałą.

Nynaeve wypełzła na sztywnych nogach z łóżka, by uklęknąć obok nieprzytomnej kobiety. Twarz jej lśniła od łez, ale szlochać przestała.

— Ona żyje — wyszeptała bez tchu. — Ona żyje. — Nagle jakby zdała sobie sprawę, że stoi w samej bieliźnie w obecności mężczyzn, jednak zaszczyliła ich tylko przelotnym spojrzeniem, po czym powiedziała:

— Wyproś ich stąd, Elayne. Nie mogę nic zrobić, gdy oni się tak gapią jak owce.

Thom i Juilin spojrzeli po sobie, wywracając oczami, kiedy Elayne wykonała znaczący gest dłonią i lekko pokręcili głowami, ale bez słowa skargi wycofali się do drzwi.

— To... przyjaciółka — wyjaśniła im Elayne. Miała wrażenie, że porusza się jak we śnie, że pływa w gęstej galarecie, że nic nie czuje. Jak to możliwe? — My się nią zajmiemy. — Jak to się mogło stać? — Tylko nikomu ani słowa.

Omali się nie zarumieniła pod wpływem spojrzeń, jakimi ją obdarzyli, kiedy zamykała drzwi. Sami naturalnie znakomicie wiedzieli, że nie powinni nikomu nic mówić. Niemniej jednak mężczyznom trzeba czasami przypominać o najprostszyc rzeczach, nawet Thomowi.

— Nynaeve, jak, na Światłość... — zaczęła, odwracając się i urwała, bowiem klęczącą kobietę otaczała łuna *saidara*.

— A żeby szczęła! — warknęła Nynaeve, zapalczywie przenosząc. — A żeby szczęła na wieczność za to, co zrobiła!

Elayne rozpoznała sploty tkane w celu Uzdrawiania, ale poza tym już nic więcej.

— Znajdę ją, Birgitte — mruzczała Nynaeve. Sploty Ducha dominowały, ale były wśród nich też Woda i Powietrze, a nawet Ziemia i Ogień. Wyglądało to na zadanie równie skomplikowane jak haftowanie każdą ręką po jednej sukni i jeszcze dwóch stopami. Z zawiązanymi oczyma. — Zapłaci za to! — Lśniąca wokół Nynaeve łuna coraz bardziej rosła, aż wreszcie przyćmiła wszystkie lampy, tak, że aż bolało, jeśli się nie patrzyło przez zmrużone oczy. — Przysięgam! Na Światłość, a także nadzieję zbawienia i odrodzenia, znajdę ją!

Gniew w jej głosie zmieniał się, rósł.

— To nie działa. Nie ma w niej nic takiego, przez co nie można by jej Uzdrowić. Nadaje się do tego jak każdy. Ale ona umiera. Och, Światłości, czuję, jak mi

się wyslizguje. Oby Moghedien szczezła! Oby szczezła! I obym ja szczezła razem z nią!

Ale nie poddawała się. Tkanie trwało, skomplikowane sploty wplatały się w Birgitte. A ona leżała tylko nieruchomo, złoty warkocz zwisał z jednej strony łóżka, pierś opadała i podnosiła się coraz wolniej.

— Jestem w stanie zrobić coś, co mogłoby pomóc — wolno powiedziała Elayne. Powinno się uzyskać na to pozwolenie od zaangażowanej osoby, ale przecież w przeszłości nie zawsze tak bywało. Dawnymi czasy często nie pytano o zgodę. Nie było powodu, dla którego nie udałoby się tego zrobić z kobietą. Tyle że nie słyszała dotąd o takim zdarzeniu.

— Połączenie? — Nynaeve nie oderwała wzroku od kobiety leżącej na łóżku ani też nie zaprzestała swych zmaganiań z Mocą. — Tak. Będziesz musiała to zrobić... ja nie wiem, jak... ale pozwól, że ja poprowadzę. Nie rozumiem połowy tego, co w tej chwili robię, ale wiem, że potrafię to zrobić. Ty nie umiałabyś Uzdrawić zwykłego sińca.

Elayne zacisnęła usta, ale puściła tę uwagę mimo uszu.

— Nie chodzi o połączenie. — Ilość *saidara*, jaką Nynaeve wchłonęła w siebie, była zdumiewająca. Jeśli nie mogła Uzdrawić nią Birgitte, udział Elayne niczego by nie zmienił. Razem obie będą silniejsze niż każda z osobna, ale nie tak silne, niż gdyby zwyczajnie zsumować siły ich obu. Poza tym nie była pewna, czy potrafiłaby się połączyć. Tylko raz brała w tym udział, pod kierunkiem Aes Sedai, i było to wyłącznie ćwiczenie, które miało na celu raczej zapoznanie jej z tym stanem, niżli pokazanie, jak to zrobić.

— Przestań, Nynaeve. Sama powiedziałaś, że to nie działa. Przestań i pozwól, bym ja spróbowała. Jeśli się nie uda, będziesz mogła... — Co będzie mogła? Jak Uzdrawianie działało, to działało; jak nie... Nie ma sensu ponawiać próby, skoro już raz się nie powiodła.

— Co spróbować? — warknęła Nynaeve, jednak odsunęła się niezdarnie, pozwalając Elayne podejść bliżej. Tkanie Uzdrawiania ustało, ale błyszcząca aureola nie znikła.

Elayne, zamiast odpowiedzieć, położyła jedną dłoń na czole Birgitte. Kontakt fizyczny był przy tym równie konieczny jak przy Uzdrawianiu; obserwowała to w Wieży dwukrotnie i Aes Sedai zawsze wtedy dotykały czoła mężczyzny. Strumienie Ducha, które tkąła, były skomplikowane, aczkolwiek nie tak zawite jak te, które Nynaeve uplotła przed chwilą. Ledwie rozumiała część tego, co robi, a już zupełnie nic z pozostałych elementów, mimo to jednak wtedy zwracała baczną uwagę, ze swej kryjówki, jaki kształt przybierało tkanie. Obserwowała uważnie, w głowie bowiem zgromadziła sobie całe mnóstwo opowieści, głupich, romantycznych historii, mimo iż w tym kontekście takowe zdarzały się tak rzadko. Po jakiejś chwili usiadła na drugim łóżku i wypuściła *saidara*.

Nynaeve spojrzała na nią nieufnie, po czym pochyliła się, by zbadać Birgitte.

Barwa skóry nieprzytomnej kobiety chyba się nieco poprawiła, oddech nieznacznie się wzmacnił.

— Coś ty zrobiła, Elayne? — Nynaeve nie odrywała oczu od Birgitte, jednak otaczając ją poświata powoli się rozwiewała. — To nie było Uzdrawianie. Wydaje mi się, że teraz sama też mogłabym to zrobić, ale to nie było Uzdrawianie.

— Czy ona będzie żyła? — spytała słabym głosem Elayne. Między nią a Birgitte nie było żadnych widocznych połączeń, żadnych splotów, ale wyczuwała osłabienie kobiety. Straszliwe osłabienie. Teraz już zawsze znać będzie chwilę, w której Birgitte umrze, nawet podczas snu, albo choćby dzielić je będą setki mil.

— Nie wiem. Przestała już gasnąć, ale ja nie wiem. — Nynaeve mówiła głosem stłumionym przez zmęczenie i, jakby współodczuwała ranę Birgitte. Z twarzą wykrzywioną bólem wstała i rozwinęła koc w czerwone paski, by nakryć nim leżącą kobietę. — Co ty zrobiłaś?

Elayne pogrzyżała się w milczeniu na czas tak długi, że Nynaeve przyłączyła się do niej, przysiadając ociężale na łóżku.

— Wiąż zobowiązań — powiedziała wreszcie Elayne. — Ja... połączyłam ją więzią. Jak Strażnika. — Niedowierzenie na twarzy przyjaciółki sprawiło, że zaczęła mówić szybciej. — Uzdrawianie nie pomagało. Musiałam coś zrobić. Wiesz, jakie dary nabywa Strażnik pod wpływem więzi zobowiązania. Jednym jest siła, energia. On się trzyma, kiedy inni mężczyźni słabną i umierają, utrzymuje się przy życiu mimo ran, które kogoś innego by zabiły. Nie przyszło mi do głowy nic innego.

Nynaeve zrobiła głęboki wdech.

— Cóż, działa lepiej niż to, co ja zrobiłam. Kobieta Strażnik. Ciekawe, co by pomyślał o tym Lan? Nie ma powodu, dla którego ona nie miałyby stać się Strażnikiem. Skoro może być nim kobieta, to ona chyba zwłaszcza się nadaje. — Z wysiłkiem podkuliła nogi pod siebie, jej wzrok stale powracał do Birgitte. — Będziesz musiała zachować to w tajemnicy. Jeśli ktoś się dowie, że jakaś Przyjęta związała z sobą Strażnika, niezależnie od okoliczności...

Elayne zadygotała.

— Wiem — odparła krótko, lecz wyraźnie przejęta. Niby nie było to wykroczenie, za jakie karzą ujarzmieniem, ale każda Aes Sedai zapewne potrafiłaby sprawić, że jeszcze zapragnęłaby ujarzmienia. — Nynaeve, co się stało?

Przez chwilę myślała, że przyjaciółka znowu wybuchnie płaczem, bo podbródek jej drżał, a usta wykrzywiły się. Kiedy zaczęła mówić, głos miała dziwnie metaliczny, martwy, na jej twarzy mieniła się furia przemieszana ze łzami, których źródło było niewyczerpane. Opowiedziała całą historię zwięźle, bez ozdób, niemal pobieżnie, dopóki nie doszła do pojawienia się Moghedian między wozami. To oddała z bolesnymi szczegółami.

— Powinam być cała pokryta pręgami od uderzeń, od stóp do głów — rzekła na koniec z goryczą, dotykając gładkiego, niczym nie oszpeconego ramienia.

Oszpecone czy nie oszpecone, wzdrygnęła się. — Nie rozumiem, dlaczego tak nie jest. Czuję, że zasłużyłam na pręgi, za swoją głupią, idiotyczną butę. Za to, że tak bałam się zrobić to, co powinnam. Zasłużyłam sobie, żeby mnie powieszono niczym szynkę w wędzarni. Gdyby istniała jakakolwiek sprawiedliwość, wisiabym tam jeszcze, Birgitte nie leżałaby na tym łóżku, a my nie zastanawialiibyśmy się, czy ona przeżyje, czy umrze. Gdybym tylko więcej wiedziała. Gdybym tylko przez pięć minut posiadała wiedzę Moghedien, mogłabym ją Uzdrowić. Jestem tego pewna.

— Gdybyś nadal wisiabła — zauważyła trzeźwo Elayne — to po krótkim czasie byś się obudziła i odgradziła mnie tarczą od Źródła. Nie wątpię, że Moghedien specjalnie by cię rozzłościła, żebyś była zdolna przenosić. . . zna nas aż za dobrze, pamiętaj. . . i ja naprawdę wątpię, bym coś podejrzewała, dopóki nie byłoby za późno. Wcale nie marzę o tym, żeby mnie rzucono w objęcia Moghedien i nie sądzę, byś ty sama miała takie marzenia.

Przyjaciółka nie spojrzała na nią.

— To musiało być jakieś połączenie, Nynaeve, coś w rodzaju *a'dam*. Tak właśnie sprawiła, że czułaś ból, a nie masz na ciele żadnych śladów. — Nynaeve nadal siedziała nadąsana, rzucając groźne spojrzenia. — Nynaeve, Birgitte żyje. Zrobiłaś dla niej, co mogłaś i, z wolą Światłości, ona będzie żyła. To Moghedien jej to zrobiła, nie ty. Żołnierz, którzy bierze na siebie winę za to, że jego towarzysze polegli podczas bitwy, jest głupcem. Ty i ja jesteśmy takimi żołnierzami, ale ty nie jesteś głupia, więc przestań się tak zachowywać.

Nynaeve spojrzała na nią wtedy, z chmurną miną, która utrzymywała się na jej twarzy tylko przez chwilę, po czym całkiem odwróciła głowę.

— Ty nie rozumiesz. — Jej głos ścichł niemalże do szeptu. — Ona. . . należała. . . do bohaterów związanych z Kołem Czasu, bohaterów, którym przeznaczone było odradzać się bez końca i tworzyć legendy. Ona nie urodziła się tym razem, Elayne. Została oderwana od *Tel'aran'rhiod*, tak jak stała. Czy ona jest nadal związana z Kołem? Czy od niego też została oderwana? Oderwana od tego, na co sobie zasłużyła swą odwagą, tylko dlatego, że ja byłam taka butna, głupia uporem mężczyzny, że zmusiłam ją, by polowała na Moghedien?

Elayne miała dotąd nadzieję, że te pytania nie przyjdą na razie Nynaeve do głowy, że nie przyjdą, dopóki nie znajdzie odrobiny czasu, by otrząsnąć się po swych przejściach.

— Czy wiesz, jak mocno zraniła Moghedien? Może nie żyje.

— Mam nadzieję — niemalże warknęła tamta. — Chcę, żeby zapłaciła. . .

Zrobiła głęboki wdech, ale to zamiast ją ożywić, sprawiło, że jakby osłabła.

— Nie liczyłam na to. Strzał Birgitte nie trafiła jej w serce. Cud, że w ogóle udało jej się trafić tę kobietę; przecież słała się na nogach. Ja bym nie dała rady wstać, gdyby mnie odrzuciło tak daleko, tak mocno, żeby aż się odbić. W ogóle nie dałabym rady wstać, gdyby Moghedien mi to zrobiła. Nie, ona żyje i lepiej

będzie, jeśli przyjmiemy, że jej rana da się Uzdrowić i że nim nastanie ranek, zaczniesz nas ścigać.

— Będzie potrzebowała czasu na odpoczynek, Nynaeve. Wiesz o tym. Czy ona w ogóle może wiedzieć, gdzie jesteśmy? Z tego, co mówiłaś, wnoszę, że nie miała czasu na nic więcej, tylko zobaczyła, że to menażeria.

— A jeśli zobaczyła coś więcej? — Nynaeve potarła skronie, jakby jej było trudno się skupić. — A jeśli ona już wie dokładnie, gdzie jesteśmy? Mogłaby posłać naszym śladem Sprzymierzeńców Ciemności. Albo posłać wiadomość do Sprzymierzeńców Ciemności w Samarze.

— Luca jest wściekły, bo wokół miasta kręci się już jedenaście menażerii i trzy następne czekają, żeby przepłynąć się przez most. Nynaeve, ona potrzebuje wielu dni, żeby odzyskać siły po takiej ranie, nawet jeśli znajdzie jakąś Czarną Siostrę, która ją Uzdrowi albo innego Przeklętego. I wiele dni na przeszukanie piętnastu menażerii. O ile za nami albo z Altary nie ciągną kolejne. Jeśli rzeczywiście nas dopadnie albo wyśle Sprzymierzeńców Ciemności, obojętnie, zostaniemy ostrzeżone, tak więc mamy jeszcze wiele dni na znalezienie statku, który nas powiezie w dół rzeki.

Urwała na chwilę, zastanawiając się.

— Czy masz w swej torbie z ziołami coś, czym mogłabyś przefarbować włosy? Założę się o dowolną stawkę, że w *Tel'aran'rhiod* miałaś włosy splecione. Moje mają tam zawsze swoją prawdziwą barwę. Jeśli rozpuścisz swoje, tak jak teraz, i zmienisz ich kolor, będzie nas trudniej znaleźć.

— Wszędzie pełno Białych Płaszczy — westchnęła Nynaeve. — Galad. Prorok. Żadnych statków. Wszystko jakby się sprzysięgło na korzyść Moghedien, żeby nas tu zatrzymać. Taka jestem zmęczona, Elayne. Zmęczona lękiem, kto też może kryć się za następnym rogiem. Zmęczona strachem przed Moghedien. Jakoś nie potrafię wymyślić, co teraz zrobić. Moje włosy? Nie mam nic, co by zmieniło ich obecną barwę.

— Musisz się przespać — oznajmiła stanowczo Elayne. — Bez pierścienia. Daj go mnie.

Druga kobieta zawahała się, ale Elayne uparcie czekała z wyciągniętą ręką, więc Nynaeve ściągnęła w końcu cętkowany kamienny pierścień z rzemyka na szyi. Wepchnąwszy go do sakiewki, Elayne ciągnęła dalej.

— Połóż się tutaj, a ja będę doglądała Birgitte.

Nynaeve przez chwilę wpatrywała się w kobietę wyciągniętą na drugim łóżku, po czym potrzęsła głową.

— Nie mogę spać. Ja... muszę pobyć trochę sama. Nosi mnie. — Wstała, tak sztywno, jakby ją naprawdę ktoś pobił, zdjęła ciemny kaftan z kołka i narzuciła go na nocną koszulę. Przy drzwiach zatrzymała się.

— Jeśli ona chce mnie zabić — powiedziała ponuro — nie wiem, czy dam radę się zmusić, by stawić jej opór. — Wyszła w nocny mrok, boso, ze smutkiem

na twarzy.

Elayne zawahała się, niepewna, która z kobiet potrzebuje jej bardziej, po czym usadowiła się tam, gdzie przedtem. Nie mogła powiedzieć nic, co by poprawiło nastrój Nynaeve, ale pokładała wiarę w upór przyjaciółki. Oby z czasem wszystko poukładało się w jej głowie, a wtedy zrozumie, że winą należy obarczyć Moghediën, a nie ją. Musi to zrozumieć.

NOWE IMIĘ

Elayne siedziała długo, obserwując śpiącą Birgitte. Kobieta wyglądała tak, jakby spała. Raz poruszyła się, mrużąc zrozpaczonym głosem:

— Zaczekaj na mnie, Gaidal. Zaczekaj. Już idę, Gaidal. Zaczekaj na... — Słowa uwięzły w powolnym oddechu. Czy był silniejszy? Kobieta wyglądała na śmiertelnie chorą. Lepiej niż przedtem, ale nadal była blada i wyczerpana.

Po jakiejś godzinie Nynaeve wróciła, miała brudne stopy. Świeże łzy błyszczały na jej policzkach.

— Nie potrafiłam trzymać się z dala — powiedziała, odwieszając kaftan na kołek. — Prześpij się. Ja jej popilnuję. Muszę jej pilnować.

Elayne wstała powoli, wygładzając spódnice. Może podczas pilnowania Birgitte Nynaeve wszystko sobie przemyśli.

— Nie chce mi się spać. — Była wyczerpana, ale już nie śpiąca. — Myślę, że pójdę się przespacerować.

Nynaeve tylko skinęła głową, po czym zajęła miejsce Elayne na łóżku, zwieszając zeń brudne nogi i nie odrywając oczu od Birgitte.

Ku zdziwieniu Elayne, Thom i Juilin też nie spali. Rozpalili niewielkie ognisko obok wozu i siedzieli teraz po jego przeciwnych stronach, na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami, paląc fajki z długimi cybuchami. Thom wepchnął koszulę do spodni, a Juilin wdział kaftan, ale bez koszuli, i podwinął mankiety. Rozejrzała się dookoła, zanim się do nich przyłączyła. W obozowisku panował całkowity bezruch i ciemność, z wyjątkiem światła tego jednego ogniska i łuny lamp padającej z okien ich wozu.

Żaden z mężczyzn nic nie powiedział, kiedy układała spódnice: potem Juilin spojrział na Thoma, który skinął głową i łowca złodziei podniósł coś z ziemi i podał jej jakiś przedmiot.

— Znalazłem to tam, gdzie ona leżała — powiedział ciemnoskóry mężczyzna. — Jakby wypadło jej z ręki.

Elayne powoli ujęła srebrną strzałę. Nawet jej lotka wydawała się wykonana ze srebra.

— Charakterystyczna — rzekł Thom, nie wyjmując fajki z ust, tonem, który nadawałby się raczej do zwykłej pogawędki. — A jeśli połączyć to z warko-

czem... Wszystkie opowieści wspominają ten warkocz z jakiegoś powodu. Aczkolwiek ja znalazłem parę takich, w których ona występuje pod innymi imionami i bez niego. I także takie, w których występuje pod innymi imionami, a za to z warkoczem.

— Mnie opowieści nie interesują — wtrącił Juilin. Był wyraźnie mocniej poruszony niż Thom. A doprawdy trzeba było wiele, by zaniepokoić kogośkolwiek z nich. — Czy to ona? Nawet jeśli to nie ona, to i tak źle, że jakaś kobieta zjawia się w taki sposób, całkiem naga, jednak... W co wyście nas wpakowały, ty i N... Nana?

Juilin był wyraźnie zakłopotany; normalnie nie popełniał błędów, a jego język nigdy się nie potykał. Thom tylko posykiwał swoją fajką i czekał.

Elayne obróciła strzałę w dłoniach, udając, że ją bada.

— To przyjaciółka — powiedziała w końcu. Dopóki... o ile... Birgitte jej nie zwolni, obietnica obowiązywała. — To nie jest Aes Sedai, ale ona nam pomagała. — Popatrzeli na nią, czekając, aż powie coś więcej. — Dlaczego nie daliście tego Nynaeve?

Wymienili jedno z tych spojrzeń — mężczyźni zdawali się przeprowadzać rozmowy za pomocą spojrzeń, przynajmniej w towarzystwie kobiet — mówiące równie wyraźnie jakby ujęli to w słowa, co sądzą o trzymaniu przed nimi tajemnic. Zwłaszcza, że o wszystkim już z pewnością wiedzieli. Ale ona przecież dała słowo.

— Wyglądała na zmartwioną — odparł Juilin, z namysłem zaciągając się fajką, Thom zaś wyjął swoją z zębów i pogładził siwe wąsy.

— Na zmartwioną? Ta kobieta wyszła z wozu w samej bieliźnie, wyglądała, jakby się zgubiła, a kiedy spytałem, czy mogę jej pomóc, wcale nie urwała mi głowy. Ona się wypląkała na moim ramieniu! — Skubnął lnianą koszulę, mrużąc coś o wilgoci. — Elayne, ona mnie przeprosiła za wszystkie uszczypliwe słowa, jakimi mnie kiedykolwiek potraktowała, czyli niemal za każde, jakie padło z jej ust. Powiedziała, że powinno się ją oćwiczyć, albo że już została oćwiczona; mówiła bardzo niespójnie. Twierdziła, że jest tchórzem i upartą idiotką. Nie wiem, co jej jest, ale w ogóle nie jest sobą. Daleko jej do tego!

— Znałem kiedyś kobietę, która się tak zachowywała — powiedział Juilin, patrząc w ogień. — Przebudziwszy się, zobaczyła włamywacza w swojej sypialni i wbiła mu nóż w serce. Tyle że kiedy zapaliła lampę, okazało się, że to był jej mąż. Jego statek wczesnym rankiem wrócił do przystani. Przez pół miesiąca chodziła taka jak Nynaeve.

Zacisnął usta.

— Potem się powiesiła.

— Za nic nie chcę obarczać cię tym brzemieniem, dziecko — dodał łagodnie Thom — ale jeśli w ogóle można jej pomóc, ty z nas wszystkich jesteś jedyna, która może to uczynić. Ja wiem, jak wyciągnąć mężczyznę z nieszczęścia. Dać

mu szybkiego kopniaka, albo upić go i znaleźć mu dzi. . .

Chrząknął głośno, starając się, by to zabrzmiało jak kaszel i pogładził wąsy. W tym ojcowskim traktowaniu złe było jedynie to, że obecnie zdarzało mu się widzieć w niej dwunastolatkę.

— W każdym razie chodzi o to, że ja nie wiem, jak to zrobić. A wątpię, by podziękowała Juilinowi, bo ten zapewne chciałby ją pohuścić na kolanie.

— Prędzej bym pohuścił rybokła — mruknął łowca złodziei, ale nie tak szorstko jak zrobiłby to jeszcze wczoraj. Był równie zaniepokojony jak Thom, aczkolwiek mniej chętny, by to przyznać.

— Zrobię, co mogę — zapewniła ich, znowu obracając strzałę w dłoniach. To byli dobrzy ludzie i nie podobało jej się, że ich okłamuje, ani że coś przed nimi ukrywa. W każdym razie dopóki to nie stanowiło absolutnej konieczności. Nynaeve twierdziła, że mężczyznami trzeba kierować dla ich własnego dobra, ale czasami można było posunąć się za daleko. Nie powinno się prowadzić człowieka w niebezpieczeństwa, z których nie zdawał sobie sprawy.

Dlatego opowiedziała im wszystko. O *Tel'aran'rhiod* i uwolnionych Przeklętych, o Moghedien. Niezupełnie wszystko, oczywiście. Niektóre zdarzenia w Tan-chico przysporzyły im tyle wstydu, że nawet nie chciało jej się o nich myśleć. Obietnica wiązała ją odnośnie tożsamości Birgitte i z pewnością nie należało opowiadać ze szczegółami o tym, co Moghedien zrobiła Nynaeve. Co z kolei nieco utrudniło opowiadanie o zdarzeniach, jakie miały miejsce tej nocy, jakoś jej się jednak udało. Przekazała im wszystko, co jej zdaniem powinni byli wiedzieć, dość, by nareszcie pojęli, z czym mają do czynienia.

Nie tylko Czarne Ajah — dostali zeza, kiedy o nich usłyszeli — ale również Przekłęci, przy czym jedna z nich najprawdopodobniej polowała na nią i na Nynaeve. Elayne dała też jasno do zrozumienia, że one obie też będą polowały na Moghedien i że każdy, kto jest blisko nich, znajduje się w niebezpieczeństwie, że w taki czy inny sposób, tkwi w potrzasku, schwytany między myśliwego a jego ofiarę.

— Teraz, kiedy już wiecie — zakończyła — wybór, czy zostać, czy odejść, należy do was. — Tak to zakończyła, starając się nie patrzeć na Thoma. Rozpaczliwie niemalże liczyła, że on zostanie, ale nie chciała, by sobie myślał, że go prosi, nawet spojrzeniem.

— Nie nauczyłem cię nawet połowy tego, co powinnaś wiedzieć, jeśli masz zostać równie dobrą królową jak twoja matka — powiedział, starając się, by to zabrzmiało szorstko, lecz popsuł cały efekt, gdy odgarnął sękatym palcem pasemko ufarbowanych na czarno włosów z jej policzka. — Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, dziecko. Mam zamiar ujrzeć w tobie mistrzynię *Daes Daemar*, choćbym musiał brzęczeć ci do ucha dopóty, dopóki nie ogłuchniesz. Nie nauczyłem cię nawet posługiwania się nożem. Próbowałem nauczyć twoją matkę, ale ona zawsze powtarzała, że jeśli będzie musiała użyć noża, to rozkaże jakiemuś mężczyźnie,

żeby to za nią uczynił. To głupota tak rozumować.

Pochyliła się do przodu i pocałowała go w pomarszczony policzek, a on zamrugał, strzelając krzaczastymi brwiami w górę, po czym uśmiechnął się i wsadził fajkę z powrotem do ust.

— Mnie też możesz pocałować — powiedział sucho Juilin. — Rand al'Thor wykorzysta moje wnętrze jako przynętę na ryby, jeśli nie oddam mu ciebie w tak samo dobrym stanie, jak wtedy, kiedy widział cię po raz ostatni.

Elayne zadarła podbródek.

— Nie życzę sobie, żebyś zostawał ze mną tylko dlatego, że chce tego Rand al'Thor, Juilinie. — Oddać ją? Też coś! — Zostaniesz wyłącznie wtedy, jeśli sam będziesz chciał. I zwalniam ciebie, i ciebie też, Thom! — ten uśmiechnął się, słysząc komentarz łowcy złodziei — z waszej obietnicy, że będziecie robić, co wam się każe.

Zaskoczony spojrzenie Thoma stanowiło zadośćuczynienie za wszystko. Zwróciła się znowu do Juilina.

— Podążysz za mną i za Nynaeve, w pełni świadom, z jakimi wrogami mamy do czynienia, albo możesz pakować swój dobytek i pojechać na Leniuchu, gdzie chcesz. Ofiarowuję ci go.

Juilin siedział wyprostowany jak słup, jego ciemna twarz zrobiła się jeszcze ciemniejsza.

— Nigdy nie opuściłem kobiety, której groziło niebezpieczeństwo. — Wycełował w nią cybuch fajki, jakby to była broń. — Odeślesz mnie, a będę ci deptał po piętach, ścigał trop w trop niczym pies myśliwski.

Niedokładnie tego sobie życzyła, ale powinno wystarczyć. — No to bardzo dobrze. — Przy wstawaniu wyprostowała się, ściskając srebrną strzałę pod pachą; wciąż traktowała ich z demonstracyjnym chłodem. Uznała, że wreszcie zrozumieli, kto tu rządzi.

— Do świtu już niedaleko. — Czyżby Rand miał rzeczywiście czelność powiedzieć Juilinowi, że ma ją „oddać”? Thom będzie musiał przez jakiś czas pocierpieć w towarzystwie drugiego mężczyzny i dobrze mu tak, choćby za ten uśmieszek. — Zagaście ognisko i idźcie spać. Natychmiast. Żadnych wymówek, Thom. Niewyspany na nic się jutro nie przydasz.

Posłusznie zaczęli gasić ognisko, butami nagarniając ziemię na płomienie, ale kiedy dotarła do drewnianych schodków wozu, usłyszała, jak Thom mówi:

— Czasami przemawia zupełnie tak samo jak jej matka.

— No to się cieszę, że nigdy nie poznałem tej kobiety — burknął w odpowiedzi Juilin. — Rzucimy monetą, kto pierwszy trzyma wartę?

Thom mruknięciem wyraził zgodę.

W pierwszym odruchu omal się nie cofnęła, ale w końcu tylko się uśmiechnęła. Mężczyźni! Pomyślała to z czułością. Jej dobry nastrój utrzymywał się, dopóki nie znalazła się we wnętrzu wozu.

Nynaeve przycupnęła na samym skraju łóżka, obejmując się ramionami, wpatrzona w Birgitte oczyma, które wbrew jej woli próbowały się zamknąć. Nadal miała brudne stopy.

Elayne schowała strzałę Birgitte do jednej z szafek ukrytej za zgrzebnymi workami z suszonym grochem. Na szczęście przyjaciółka w ogóle na nią nie spojrzała. Jej zdaniem widok srebrnej strzały nie był czymś, czego Nynaeve akurat w tym momencie najbardziej potrzebowała. Ale w takim razie czego?

— Nynaeve, już dawno temu powinnaś umyć nogi i iść spać.

Nynaeve zakotyła się w jej stronę, mrugając sennie.

— Nogi? Co? Ja muszę jej strzec.

Należało postępować krok po kroku.

— Twoje nogi, Nynaeve. Są brudne. Umyj je.

Nynaeve spojrzała niezadowolona na swe brudne stopy i skinęła głową. Rozlała wodę, zawadziwszy wielkim białym dzbanem o umywalkę i wychlustała jeszcze więcej, gdy już była umyta i gotowa wytrzeć się ręcznikiem. Po czym z powrotem zajęła swoje miejsce.

— Muszę jej strzec... Na wypadek... Raz krzyczała. Przywoływała Gaidala.

Elayne przydusiła ją do materaca.

— Musisz się przespać, Nynaeve. Oczy ci się kleją.

— Wcale nie — mruknęła pośepnie Nynaeve, usiłując usiąść mimo nacisku Elayne na jej ramiona. — Muszę jej strzec, Elayne. Muszę.

Przy Nynaeve tamci dwaj mężczyźni, których pozostawiła na zewnątrz, wydawali się wcieleniem rozsądku i posłuszeństwa. Nawet gdyby Elayne potrafiła, nie istniał sposób na upicie jej i znalezienie... przystojnego młodzieńca, a przypuszczała, że o to właśnie chodziło. Czyli pozostawał szybki kopniak. Współczucie i zdrowy rozsądek najwyraźniej nie dawały odpowiedniego efektu.

— Mam dość tego pochlipywania i użalania się nad sobą, Nynaeve — oświadczyła stanowczym głosem — Pójdiesz natychmiast spać, a rankiem nie powiesz ani słowa o tym, jaka to z ciebie żalosna dziewczka. Skoro nie potrafisz się zachować jak ta trzeźwa kobieta, którą normalnie jesteś, to ja poproszę Cerandin, żeby ci podbiła oboje oczu za to jedno, które ci uleczyłam. Nawet mi nie podziękowałaś. A teraz idź spać!

Oczy Nynaeve rozszerzyły się z oburzenia — przynajmniej nie wyglądała już na bliską łez — ale Elayne zamknęła je palcami. Zamknęły się bez trudu i mimo cicho mamrotanych protestów, po których wnet dał się słyszeć głęboki, powolny oddech snu.

Elayne poklepała Nynaeve po ramieniu i dopiero wtedy się wyprostowała. Miała nadzieję, że będzie to spokojny sen, pełen marzeń o Lanie, choć dla niej dobry byłby teraz w ogóle wszelki sen. Tłumiąc ziewanie, pochyliła się, by zbadać Birgitte. Nie umiała stwierdzić, czy koloryt skóry albo jej oddech poprawiły się. Nie pozostawało nic innego, tylko czekać i żywić nadzieję.

Światło lamp zdawało się tamtym nie przeszkadzać, więc zostawiła je zapalone i usiadła na podłodze między łózkami. Może dzięki niemu uda się nie zasnąć. Choć wcale nie wiedziała, dlaczego niby miałyby czuwać. Zrobiła, co mogła, tak samo jak Nynaeve. Bezwiednie oparła głowę o przednią ścianę wozu, jej podbródek powoli opadł na piersi.

Sen był przyjemny, nawet jeśli dziwny. Rand klęczał przed nią, a ona trzymała mu rękę na głowie i łączyła go z sobą więzią jak Strażnika. Jednego z jej Strażników; przez Birgitte musiała teraz wybrać Zielone. Były tam również inne kobiety, twarze zmieniały się między jednym a drugim spojrzeniem. Nynaeve, Min, Moiraine, Aviendha, Berelain, Amathera, Liandrin i inne, których nie знаła. Nieważne zresztą kim były; wiedziała, że będzie go musiała z nimi dzielić, bez wątplenia przyśniło jej się dokładnie to samo, co widziała Min. Nie miała pewności, jakie są jej odczucia w związku z tym — niektóre z tych twarzy chętnie by rozerwała na strzępy — ale skoro tak przewidział Wzór, to tak już musiało być. A jednak ona będzie z niego miała coś, czego inne nigdy nie dostaną, więź zobowiązania, która łączy Strażnika z Aes Sedai.

— Co to za miejsce? — spytała Berelain, kruczowłosa i tak piękna, że Elayne miała ochotę obnażyć zęby. Była ubrana w tę samą suknię z głębokim dekoltem, którą zgodnie z życzeniem Luki miała włożyć Nynaeve; zawsze nosiła się wyzywająco. — Obudź się. To nie jest *Tel'aran'rhiod*.

Elayne zaczęła się budzić i zobaczyła, że Birgitte wychyla się z łóżka i ścisną ją słabo za ramię. Twarz miała jeszcze bladą i wilgotną od potu, jakby gorączka wcale nie opadła, ale spojrzenie jej niebieskich oczu było trzeźwe, utkwione w twarzy Elayne.

— To nie jest *Tel'aran'rhiod*. — To nie było pytanie, ale Elayne przytaknęła, a Birgitte z westchnieniem opadła z powrotem na łóżko. — Pamiętam wszystko — wyszeptła. — Jestem tutaj taka, jaka jestem, i pamiętam. Wszystko się zmieniło. Gaidal jest tam gdzieś, niemowlę albo może już mały chłopiec. Ale jeśli nawet go znajdę, to co on sobie pomyśli o kobiecie, która jest za stara nawet na to, żeby być jego matką? — Gniewnym gestem otarła oczy, mrużąc: — Ja nie płaczę. Ja nigdy nie płaczę. Tyle pamiętam, Światłości, dopomóż. Ja nigdy nie płaczę.

Elayne przyklękła obok łóżka kobiety.

— Znajdziesz go, Birgitte — wyszeptła. Nynaeve nadal zdawała się głęboko uśpiona — słychać było ciche, zgrzytliwe chrapanie — powinna jak najdłużej odpoczywać, a nie na nowo borykać się z tym wszystkim. — Znajdziesz go jakoś. I on cię pokocha. Wiem, że cię pokocha.

— Myślisz, że to jest ważne? Zniosę to, że nie będzie mnie kochał. — Błyszczące oczy zdradzały, że kłamie. — On będzie mnie potrzebował, Elayne, a nie znajdzie mnie przy sobie. Odważa się na czyny, które nie są dla niego bezpieczne; zawsze muszę go ostrzegać. Co gorsza, będzie się błąkał, szukając mnie, nie wiedząc, czego szuka, nie wiedząc, dlaczego czuje się niepełny. My zawsze jesteśmy

razem, Elayne. Dwie połowy jednej całości.

W jej oczach wezbrały łzy i zaczęły spływać po twarzy.

— Moghedien powiedziała, że sprawi, bym wiecznie płakała i ona. . . — Nagle jej rysy zniekształcił grymas; niskie urywane łkania brzmiały teraz tak, jakby wydzierano je z gardła.

Elayne wzięła wyższą od niej kobietę w ramiona, mrużąc słowa pociechy, choć wiedziała, że są bezużyteczne. Jak ona by się czuła, gdyby zabrano jej Randa? Ta myśl wystarczyła — przytuliła policzek do głowy Birgitte i zaczęła płakać pospołu z nią.

Nie była pewna, ile Birgitte potrzebuje czasu, żeby się wypłakać, ale ta w końcu odepchnęła ją i opadła na poduszki, ocierając policzki palcami.

— Nie robiłam tego od czasu, gdy byłam małym dzieckiem. Ani razu. — Obróciwszy głowę, spojrzała ze zmarszczonym czołem w stronę Nynaeve, nadal śpiącą na drugim łóżku. — Czy Moghedien mocno ją zraniła? Nie widziałam nikogo tak sponiewieranego od czasu, gdy Tourag pojmał Mareesh. — Elayne musiała wyglądać na zdezorientowaną, bo dodała: — W innym Wieku. Czy ona jest ranna?

— Nie mocno. Głównie na duchu. Dzięki tobie uciekła, ale dopiero. . . — Elayne nie umiała się zdobyć, żeby to powiedzieć. Za dużo tych zbyt świeżych ran. — Ona się obwinia. Uważa, że. . . to wszystko. . . to jej wina, bo poprosiła cię o pomoc.

— Gdyby mnie nie poprosiła, Moghedien uczyłaby ją teraz, co to znaczy błagać. Ona jest równie nieostrożna jak Gaidal. — Suchy głos Birgitte kontrastował z jeszcze nieobeschłymi od łez policzkami. — Nie wciągnęła mnie w to wszystko, trzymając za włosy. Jeśli bierze odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje, to w takim razie chce przejąć odpowiedzialność za moje czyny.

Mówiła to z wyraźnym gniewem.

— Jestem wolną kobietą, więc dokonuję wolnych wyborów. Ona nie decydowała za mnie.

— Muszę przyznać, że przyjmujesz to lepiej niż. . . ja bym przyjęła. — Nie mogła powiedzieć „lepiej niż Nynaeve”. Choć i w jednym, i w drugim przypadku było to prawdą.

— Zawsze powtarzam, jeśli już musisz wejść na szubienicę, to rzuć gawiedzi żart, katu monetę i skocz z uśmiechem na ustach. — Uśmiech Birgitte był ponury. — Moghedien zastawiła pułapkę, ale mój kark pozostał cały. Może jeszcze ją zadziwię, zanim będzie po wszystkim. — W miejsce uśmiechu pojawiło się zastanowienie, z którym przypatrywała się Elayne. — Ja. . . cię czuję. Myślę, że mogłabym zamknąć oczy i wskazać, gdzie jesteś na odległość mili.

Elayne wzięła bardzo głęboki wdech.

— Związałam cię więzią jako Strażnika — powiedziała pospiesznie. — Umierałaś, Uzdrawianie nie pomagało i. . . — Kobieta patrzyła na nią. Już nie marsz-

czyła czoła, ale jej wzrok stał się niepokojąco ostry. — Nie było innego wyboru, Birgitte. Inaczej byś umarła.

— Strażnikiem — wolno powiedziała Birgitte. — Pamiętam, że kiedyś słyszałam opowieść o Strażniku, który był kobietą, ale to zdarzyło się w życiu, które minęło już tak dawno temu, że nic więcej nie pamiętam.

Kolejne słowa przysły Elayne z wielkim trudem.

— Jest coś, co powinnaś wiedzieć. Dowiesz się tego, prędzej czy później, a ja postanowiłam nie ukrywać różnych spraw przed ludźmi, którzy mają prawo wiedzieć, chyba że zaistnieje taka konieczność. — Zaczerpnęła tchu. — Ja nie jestem Aes Sedai. Jestem tylko Przyjętą.

Przez długą chwilę złotowłosa kobieta wpatrywała się w nią, po czym powoli pokręciła głową.

— Przyjęta. Podczas Wojen z trollokami znałam Przyjętą która związała z sobą jednego jegomościa. Barashelle miała zostać następnego dnia poddana próbom przed wyniesieniem do pełnej Aes Sedai i była przekonana, że otrzyma szal, ale bała się, że tego mężczyznę zabierze inna kobieta, która miała być sprawdzana tego samego dnia. Podczas Wojen z trollokami Wieża z konieczności musiała wynosić kobiety tak szybko, jak się dało.

— I co się stało? — Elayne nie mogła się powstrzymać, by nie spytać. Barashelle? To imię zdawało się znajome.

Birgitte zaplotła palce na kocu okrywającym jej łono, poprawiła głowę na poduszce i uśmiechnęła się drwiąco.

— Chyba nie trzeba wyjaśniać. Nie pozwolono jej przystąpić do tych prób, kiedy wszystko się wydało. Konieczność nie przeważała w obliczu takiego wykroczenia. Kazały jej przekazać więź z tym biedakiem innej, a ją, by nauczyć cierpliwości, umieściły w kuchniach wśród pomywaczek i dziewczek, które obracają różną. Słyszałam, że została tam przez trzy lata, a kiedy wreszcie dostała szal, Zasiadająca na Tronie Amyrlin osobiście wybrała jej Strażnika, obdarzonego pomarszczoną twarzą, upartego jak głaz mężczyznę o imieniu Anselan. Widziałam ich kilka lat później i nie umiałabym stwierdzić, które z nich wydawało rozkazy. I nie sądzę, by Barashelle sama była tego pewna.

— Nieprzyjemne — mruknęła Elayne. Trzy lata w... Zaraz. Barashelle i Anselan? 'To nie mogła być ta sama para; tamta opowieść nie mówiła nic o tym, że Barashelle była Aes Sedai. Ale ona czytała dwie wersje i słyszała, jak Thom opowiadał jeszcze inną i we wszystkich Barashelle odbywała tę samą długą, żmudną służbę, by zdobyć miłość Anselana. Dwa tysiące lat potrafiło sporo zmienić w danej opowieści.

— Nieprzyjemne — zgodziła się Birgitte i nagle jej oczy zrobiły się ogromne z przerażenia, tak bezbronnie na tle bladej twarzy. — Przypuszczam, skoro chcesz, bym zachowała twój straszliwy sekret, że nie będziesz mnie tak poganiała, jak inne Aes Sedai poganiają swoich Strażników. Wtedy też cię nie wydam, ale za to

ci ucieknę.

Z gniewnym błyskiem w oczach Elayne odrzekła:

— To brzmi zupełnie jak pogrożka. Nie najlepiej reaguję na pogrożki czy to z twoich, czy też innych ust. Jeśli sądzisz...

Leżąca złapała ją za rękę i przerwała jej skruszonym tonem; uścisk był tym razem znacznie silniejszy.

— Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Gaidal twierdzi, że mam poczucie humoru jak kamień wrzucony do kółka shoja. — Chmura, która przemknęła jej przez twarz przy wzmiance o Gaidalu, zniknęła natychmiast. — Uratowałam mi życie, Dziedziczko Tronu Andor. Zachowam twój sekret i będę ci służyła jako Strażnik. I będę twoją przyjaciółką, jeśli zechcesz.

— Będę dumna, że zostaniesz moją przyjaciółką. — Kółko shoja? Zapyta innym razem. Birgitte poczuła się lepiej, ale nadal potrzebowała wypoczynku, a nie pytań. — I Strażnikiem.

Zanosiło się, że naprawdę wybierze Zielone Ajah; pomijając inne rzeczy, to był jedyny sposób, w jaki mogła związać z sobą Randa. Wciąż wyraźnie pamiętała tamten sen i zamierzała przekonać Randa, by zaakceptował wynikające zeń konsekwencje, w taki czy inny sposób.

— Może mogłabyś spróbować... okiełznać nieco... swoje poczucie humoru?

— Postaram się. — Birgitte powiedziała to takim tonem, jakby obiecywała, że postara się podźwignąć górę. — Ale skoro mam być twoim Strażnikiem, nawet jeśli tylko w tajemnicy, to w takim razie nim będę. Oczy ci się same zamykają. Czas, żebyś poszła spać. — Zaskoczenie i oburzenie jednocześnie pojawiły się na twarzy Elayne. ale kobieta nie dała jej szansy, by mogła przemówić. — Na tym, między innymi, polega rola Strażnika, by mówił... bądź mówiła... swej Aes Sedai, że jego zdaniem ona się zbyt forsuje. A także na udzielaniu przestróg, kiedy uważa, że ta lada chwila wejdzie do Szczeliny Zagłady. I podtrzymywaniu jej przy życiu, by mogła dokonać tego, co musi. Ja będę robiła to wszystko dla ciebie. Nie obawiaj o swoje plecy, kiedy ja jestem obok, Elayne.

Faktycznie, czuła, że potrzebuje snu, ale Birgitte potrzebowała go jeszcze bardziej. Elayne przyciemniła lampy, po czym kazała kobiecie ułożyć się i zasnąć, na co Birgitte nie chciała się zgodzić, kiedy zobaczyła, jak sama układa dla siebie poduszkę i koce na podłodze między łózkami. Wywiązała się drobna sprzeczka odnośnie tego, kto powinien spać na podłodze, ale Birgitte była wciąż dość słaba, więc Elayne ostatecznie nie miała większego problemu z zatrzymaniem jej w łóżku. Pochrapywanie Nynaeve ani na moment nie ucichło.

Sama nie poszła natychmiast spać, mimo obietnicy złożonej Birgitte. Ta kobieta nie będzie mogła przecież wytknąć nosa z wozu, dopóki nie dostanie jakiegoś ubrania, a była wyższa od niej i Nynaeve. Usadowiła się więc między łózkami i zaczęła odpruwać rąbek przy swojej ciemnoszarej sukni do konnej jazdy. Rano raczej nie będzie czasu na nic więcej niż szybką przymiarkę i przyfastrygowanie

nowego rąbka. Nie odpruła jeszcze połowy, kiedy zmógł ją sen.

Znowu jej się śniło i to nie raz, że wiąże z sobą Randa. Czasami klękał dobrowolnie, a czasami ona musiała robić to, co zrobiła z Birgitte, a nawet zakraść się do jego sypialni, kiedy spał. Teraz wśród tych innych kobiet znalazła się również Birgitte. To Elayne tak bardzo nie przeszkadzało. Ani ona, ani Min, albo Egwene, Aviendha bądź Nynaeve, aczkolwiek nie umiała sobie wyobrazić, co by powiedział Lan na to ostatnie. Ale inne... Właśnie rozkazała Birgitte, ubranej w mieniący się płaszcz Strażnika, by zawlokła Berelain i Elaidę do kuchni na trzy lata, kiedy nagle te dwie kobiety zaczęły ją okładać pięściami. Obudziła się, stwierdzając, że Nynaeve depcze po niej, by dojść do Birgitte i ją zbadać. Niewielkie okienka wozu wypełniało szare światło, które wskazywało, że świt już blisko.

Birgitte obudziła się, utrzymując, że jest silna jak zawsze, a poza tym głodna jak wilk. Elayne nie była pewna, czy Nynaeve skończyła ze swymi tyradami na temat winy. Niby nie załamywała rąk, ani już dłużej o niej nie mówiła, ale kiedy Elayne myła twarz i ręce, opowiadając przy tym o menażerii i powodach, dla których muszą z nią jeszcze trochę pozostać, Nynaeve pospiesznie obrała i wypestkowała czerwone gruszki i żółte jabłka, pokroiła ser na plasterki i podała to wszystko Birgitte na talerzyku razem z kubkiem rozwodzonego wina z dodatkiem miodu i przypraw. Nakarmiłaby ją, gdyby tamta pozwoliła. Ponadto umyła włosy Birgitte w kurzym pieprzu, dzięki czemu stały się równie czarne jak włosy Elayne — oczywiście Elayne sama zajęła się swoimi — potem oddała jej swe najlepsze pończochy oraz bieliznę i wyglądała na rozczarowaną, kiedy okazało się, że kamasze Elayne pasują lepiej. Uparła się, że pomoże Birgitte ubrać się w szary jedwab, kiedy jej włosy zostały wytarte do sucha i na nowo zaplecione — biodra i dekolt też wymagały poszerzenia, ale to musiało poczekać — a nawet sama chciała przyszyć rąbek, dopóki pełne niedowierzania spojrzenie Elayne nie kazało jej się wycofać do własnych ablucji. Mruczała w trakcie szorowania twarzy, że potrafi szyć równie dobrze jak każda. Kiedy zechce.

Gdy wreszcie wyszły z wozu, nad drzewami rosnącymi na wschodzie słońce ukazało już swoją ostrą, złotą krawędź. Przez tę krótką chwilę zapowiadał się przyjemny dzień. Na niebie nie było ani jednej chmury, ale do południa powietrze miało się stać upalne, pełne wzniecane go wiatrem pyłu.

Thom i Juilin zaprzęgali konie do wozu i w całym obozowisku zapanowała przedwyjazdowa krzątanina. Leniuch był już osiodłany i Elayne odnotowała w pamięci, że powinna dobitnie zaznaczyć, iż tego dnia na nią przypada kolej, zanim jeden z mężczyzn zagarnie siodło dla siebie. Niemniej jednak nawet gdyby Thom albo Juilin dopadliby go pierwsi, nie byłaby zanadto rozczarowana. Tego właśnie popołudnia, po raz pierwszy, będzie chodziła po linii na oczach widzów. Kostium, który jej pokazał Luca, trochę ją zdenerwował, ale postanowiła nie biadolić na tym jak Nynaeve.

Sam Luca, w rozwianej czerwonej pelerynie, maszerował nerwowymi kroka-

mi po obozowisku, poganiając wszystkich i wykrzykując zbyteczne polecenia.

— Latelle, obudź te przeklęte niedźwiedzie! Chcę, żeby były na nogach i warczały, kiedy będziemy przejeżdżać przez Samarę. Clarine, pilnuj tym razem psów. Jeśli który znowu rzuci się w pogoń za jakimś kotem... Brugh, pamiętaj, że ty i twoi bracia macie wywijać swoje kozły przed moim wozem! Tuż przed nim. To ma być stateczna procesja, a nie zawody, który fiknie najszybciej. Cerandin, panuj nad konio-dzikami. Ludzie mają wzdychać ze zdumienia, a nie czmychać ze strachu!

Zatrzymał się przy ich wozie, po równo obdzielając Nynaeve i ją groźnymi spojrzeniami, pozostawiając odrobinę także dla Birgitte.

— Uprzejmie to z pań strony, żeście raczyły wyprawić się z nami, pani Nano, lady Morelin. Już myślałem, że zamierzacie spać do południa. — Skinął głową w stronę Birgitte. — A to co? Gawędzimy sobie z gościem zza rzeki? No, przecież nie mamy czasu na gości. Zamierzam zwinąć obóz i dać przedstawienie jeszcze przed południem.

Nynaeve była wyraźnie wstrząśniętą tą zajadłą napaścią, ale już pod koniec drugiego zdania Luki parowała każde jego groźne spojrzenie w identyczny sposób. Niezależnie od skrupowania wobec Birgitte, wyraźnie nie zamierzała powściągać temperamentu w stosunku do innych.

— Będziemy gotowe równie prędko jak pozostali i ty wiesz o tym, Valanie Luca. Poza tym godzina czy dwie nie sprawią różnicy. Za rzeką zgromadziło się dość ludzi, jeśli choćby jeden na stu postanowi przyjść na twoje przedstawienie, to i tak będzie ich więcej, niż marzysz. Możesz sobie kręcić palcami młynka i czekać, jeśli my postanowimy zjeść śniadanie w spokoju. Nie dostaniesz tego, czego chcesz, jeśli nas tu zostawisz.

Była to jak dotąd jej najbezcelniejsza z uwag o obiecanych stu złotych markach, ale tym razem nie powstrzymała go.

— Dość ludzi? Dość ludzi! Ludzi trzeba przyciągnąć, kobieto. Chin Akima jest tam już od trzech dni, a on ma człowieka, który żongluje mieczami i toporami. A także dziewięciu akrobatów. Dziewięciu! Jakaś kobieta, o której w życiu nie słyszałem, ma dwie akrobatki, które robią na linie takie rzeczy, na widok których braciom Chavana oczy wyszłyby z głowy. Nie uwierzyłybyś, jakie przyciągają tłumy. Sillia Cerano ma ludzi z twarzami pomalowanymi jak dworskie błazny, chlustają na siebie wodą i walą się po głowach pęcherzami; ludzie płacą dodatkowo, żeby tylko ich obejrzyć! — Nagle jego oczy zwężyły się, skupiając na Birgitte. — A może ty zechciałabyś pomalować sobie twarz? Sillia nie ma kobiety wśród swoich błaznów. Kilku furmanów zgodziłoby się. To przecież nie zaboli, jak cię zdziela nadmuchanym pęcherzem, a ja ci zapłacę. . .

Zawiesił głos, namyślając się — nie lubił, bardziej chyba nawet niż Nynaeve, dzielić się swymi pieniędzmi — i Birgitte wtrąciła się w to jego chwilowe milczenie.

— Nie jestem i nie zostanę błaznem. Jestem łucznikiem.

— Łucznikiem — wymamrotał, mierząc wzrokiem skomplikowany, lśniący czernią warkocz przewieszony przez jej lewe ramię. — I jak sądzę, przedstawiasz się jako Birgitte. Kim ty jesteś? Jedną z tych idiotek polujących na Róg Valere? Nawet jeśli ten Róg istnieje, to czy które z was ma większą niż inni szansę, że go znajdzie? Byłem w Illian, kiedy odbierano przysięgi Myśliwych i na Wielkim Placu w Tammaz zebrały się ich tysiące. A mimo to, mimo całej chwały, jaką możesz zdobyć, nic nie przyćmi oklasków...

— Jestem łucznikiem, piękny panie — wtrąciła stanowczo Birgitte. — Załatw mi łuk, a prześcignę w strzelaniu ciebie albo każdego, kogo wezwiesz, stawiam na to sto złotych koron przeciwko twojej jednej.

Elayne spodziewała się, że Nynaeve jęknie głośno — to one musiałyby pokryć zakład, gdyby Birgitte przegrała, a Elayne nie sądziła, by Birgitte w pełni odzyskała siły, czego by nie twierdziła — jednak Nynaeve tylko zamknęła na chwilę oczy i zrobiła długi, głęboki wdech.

— Kobiety! — warknął Luca. Thom i Juilin wcale nie musieli robić takich min, jakby się z nim zgadzali. — Znakomicie pasujesz do lady Morelin i Nany, czy jak one się nazywają. — Zamaszyście zamióttł połami jedwabnej peleryny, wskazując otaczający ich rejdach czyniony przez ludzi i konie. — Być może to umknęło twym łaskawym oczom, Birgitte, ale ja muszę ruszać z przedstawieniem; moi rywale już drenują pieniądze z Samary niczym banda kieszonkowców.

Birgitte uśmiechnęła się, lekko wyginając usta.

— Boisz się, piękny panie? Możemy się umówić, że z twojej strony będzie to srebrny grosz.

Na widok koloru, jaki wypełził na twarz Luki, Elayne przestraszyła się, że zaraz dostanie apopleksji. Jego kark nagle wydał się o wiele za duży jak na opasujący go kołnierz.

— Przyniosę mój łuk — niemalże wysyczał. — Możesz zarobić te swoje sto marek, paradując z pomalowaną twarzą albo przy czyszczeniu klatek, jeśli o mnie chodzi!

— Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? — spytała Elayne Birgitte, kiedy Luca już odchodził, mamrocząc coś pod nosem. Jedynym słowem, jakie pochwyciła, było znowu: „Kobiety!” Nynaeve patrzyła na kobietę z warkoczem takim wzrokiem, jakby chciała, by ziemia się otworzyła i ją połknęła; ją, nie Birgitte. Wokół Thoma i Juilina z jakiegoś powodu zebrało się kilku furmanów.

— Ma zgrabne nogi — orzekła Birgitte — ale ja nigdy nie lubiłam wysokich mężczyzn. Dodaj urodziwą twarz, a będą zawsze nieznośni.

Petra przyłączył się do grupy mężczyzn, dwakroć bardziej od nich barczysty. Powiedział coś, po czym uściśnął ręce Thomowi. Bracia Chavana też tam byli. A także Latelle, z przejściem rozprawiła o czymś z Thomem, jednocześnie rzucając ponure spojrzenia w stronę Nynaeve i towarzyszących jej dwóch kobiet.

Zanim Luca wrócił z łukiem z nie naciągniętą cięciwą i kołczanem pełnym strzał, nikt już nie zajmował się przygotowaniami do drogi. Wozy, konie i klatki — nawet spętane konio-dziki stały porzucone, wszyscy ludzie zgromadzili się wokół Thoma i łowcy złodziei. Poszli za Luca, który oddalił się nieco od obozu.

— Uważają mnie za dobrego strzelca — powiedział, rzeźbiąc w pniu wysokiego dębu biały krzyż na wysokości swej piersi. Wróciło mu nieco zwykłej wesołości, a kiedy odchodził od drzewa na odległość pięćdziesięciu kroków, zaczął się chełpić. — Będę strzelał pierwszy, abys się przekonała, z kim masz do czynienia.

Birgitte wyrwała strzałę z dłoni Luki i odeszła na kolejne pięćdziesiąt, odprowadzana jego wzrokiem. Obejrzała łuk, kręcąc głową, ale unieruchomiła go obutą w kamasz stopą i jednym gładkim ruchem napięła cięciwę, zanim Luca, Elayne i Nynaeve zdążyli do niej dojść. Wyciągnęła strzałę z kołczana, który Luca trzymał w dłoniach, przez chwilę ją badała, po czym odrzuciła na bok niczym śmieć. Luca skrzywił się i otworzył usta, ale Birgitte już odrzucała drugie drzewce. Następne trzy wylądowały na usłanej liśćmi ziemi, zanim wetknęła grot kolejnej w ziemię obok siebie. Z dwudziestu jeden strzał zatrzymała tylko cztery.

— Ona to robi — szepnęła Elayne, starając się, by jej głos zabrzmiał pewnie. Nynaeve przytaknęła niewyraźnie; gdyby musiały zapłacić sto złotych koron, to niebawem trzeba byłoby zacząć sprzedawać biżuterię, którą ofiarowała im Amathera. Listy kredytowe były zupełnie bezużyteczne, Elayne wyjaśniła Nynaeve; wykorzystanie ich równałoby się wskazaniu Elaidzie palcem miejsca, gdzie wcześniej przebywały, o ile nie tego, w którym się znajdowały w danym momencie.

„Gdybym się w porę odezwała, to bym temu zapobiegła. Jako mój Strażnik ona musi postępować tak, jak ja każę. Nie mam racji?”

Z dotychczasowych wydarzeń wynikało, że posłuszeństwo bynajmniej nie stanowiło elementu więzi. Czy Aes Sedai, które podglądała, zmuszały tych mężczyzn również do składania przysięg? Teraz, jak o tym myślała, nabrała przekonania, że jedna z nich na pewno to uczyniła.

Birgitte nałożyła strzałę, podniosła łuk i zwolniła cięciwę, nie zatrzymując się nawet, by wycelować. Elayne skrzywiła się, ale stalowy grot utknął w samym środku białego krzyża. Drzewce jeszcze nie przestało drżeć, a już drugie otarło się o nie i wbiło tuż obok. Birgitte odczekała wtedy chwilę, ale tylko po to, by obie strzały znieruchomiały. Głośny jęk wyrwał się z gardeł gapiów, kiedy trzeci grot rozszczepił pierwszy, ale to było nic w porównaniu z absolutną ciszą, jaka zapadła, kiedy ostatnia strzała rozpołowiła drugą w ten sam sposób. Pierwsza — to mógł być przypadek. Dwie...

Luca wybałuszyl oczy. Z szeroko rozdziawionymi ustami patrzył to na drzewo, to na Birgitte, znowu na drzewo, znowu na Birgitte. Podała mu łuk, a on tylko anemicznie pokręcił głową.

Nagle odrzucił swój kołczan, szeroko rozłożył ramiona i krzyknął z zachwy-

tem.

— Nie noże! Strzały! Ze stu kroków!

Nynaeve zwiśla bezwładnie na ramieniu Elayne, kiedy wyjaśnił, czego chce, ale nie wydała ani dźwięku protestu. Thom i Juilin zbierali pieniądze; większość oddawała monety z westchnieniem albo ze śmiechem, ale Juilin musiał wykręcić rękę Latelle, kiedy ta próbowała się wyslizgnąć, a także dorzucił kilka gniewnych słów, by wreszcie wcisnęła pieniądze do mieszka. A więc o to im wtedy chodziło. Musi stanowczo się z nimi rozmówić. Później.

— Nana, wcale nie będziesz musiała tego robić.

Nynaeve tylko wpatrywała się zdziaczalym wzrokiem w Birgitte.

— Nasz zakład? — przypomniała Birgitte, kiedy Luca ochłonał. Skrzywił się, po czym sięgnął do swej sakiewki i cisnął w jej stronę monetę. Elayne dostrzegła błysk złota w słońcu, kiedy Birgitte przypatrywała się jej, po czym odrzuciła ją z powrotem.

— Zakład mówił o srebrnym groszu z twojej strony.

Oczy Luki rozszerzyły się ze zdumienia, ale w następnej chwili śmiał się już i wciskał złotą koronę w jej garść.

— Jesteś tyle warta, co do miedziaka. No i co, zgadzasz się? Toż na takie przedstawienie przyjdzie może nawet sama Królowa Ghealdan. Birgitte i jej strzały. Pomalujemy je na srebrno, łuk także!

Elayne rozpaczliwie pragnęła, by Birgitte na nią spojrzała. Zamiast zrobić to, co sugerował ten człowiek, równie dobrze mogłyby wywiesić szyld dla Moghedien.

Ale Birgitte tylko podrzucała monetę w rękę, uśmiechając się szeroko.

— Farba zniszczy ten już i tak lichy łuk — powiedziała w końcu. — I mów do mnie Maerion; nazywano mnie tak kiedyś. — Wsparła się na łuku, z jeszcze szerszym uśmiechem. — A czy ja też mogłabym dostać czerwoną suknię?

Elayne odetchnęła z wielką ulgą. Nynaeve zrobiła taką minę, jakby zaraz miała zwymiotować.

PRZEDSTAWIENIA W SAMARZE

Po raz chyba setny Nynaeve przesunęła między palcami jeden ze swych loków, żeby mu się przyjrzeć i westchnęła. Przez ściany wozu przenikał głośny pomruk rozmów i śmiech setek, o ile nie tysięcy osób, a także odległa, niemalże całkiem przygłuszona muzyka. Nie przeszkodziło jej, że paradę po ulicach Samary spędziła w wozie razem z Elayne — spojrzenia, które co jakiś czas rzucała za okna, przekonały ją, że za nic nie chciałyby się znaleźć wśród tych gęsto stłoczonych tłumów, wrzeszczących i przepychających się w stronę wozów — niemniej jednak za każdym razem, gdy zerknęła na mosiężną czerwień swych włosów, stwierdzała, że zamiast je farbować, wolałyby już fikać koziołki z braćmi Chavana.

Dokładnie owinęła się prostym, ciemnoszarym szalem, bardzo dbając, by przy okazji nie patrzeć po sobie, po czym odwróciła się i wzdrygnęła na widok stojącej na progu Birgitte. Podczas parady Birgitte jechała w wozie Clarine i Petry; Clarine w międzyczasie przerabiała zapasową czerwoną suknię, którą wedle wskazówek Luki uszyła dla Nynaeve; Luca dał Clarine instrukcje, zanim Nynaeve w ogóle wyraziła zgodę. Birgitte miała ją teraz na sobie, zaś ufarbowany na czarno warokocz przerzuciła przez ramię, tak że zagnieździł się między piersiami, całkowicie niepomna głęboko wyciętego, kwadratowego dekoltu. Pod wpływem jej wyglądu Nynaeve naciągnęła ściślej swój szal; Birgitte nie mogłaby pokazać paznokcia więcej bladego łona i zachować najskromniejszych roszczeń do przyzwoitości. Już teraz takie roszczenie byłoby niewiele czym wsparte, doprawdy godne wyśmiania. Od patrzenia na nią żołądek Nynaeve zaciskał się na supeł, ale bynajmniej nie z powodu ubioru albo skóry.

— Skoro i tak będziesz nosić tę suknię, to po co się okrywać? — Birgitte weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. — Jesteś kobietą. Dlaczego nie być z tego dumną?

— Skoro uważasz, że nie powinnam — odparła z wahaniem Nynaeve i powoli zsunęła szal do łokci, ujawniając bliźniaczy strój. Miała wrażenie, że jest naga. — Ja tylko myślałam... ja myślałam... — Zacisnęła dłonie na jedwabnych spódnicach, by unieruchomić ręce, i utkwiała wzrok w drugiej kobiecie. Tak było łatwiej, nawet jeśli wiedziała, że jest ubrana dokładnie w to samo.

Birgitte skrzywiła się.

— A gdybym chciała, żebyś pogłębiła dekolt o dodatkowy cal?

Nynaeve otworzyła usta, z twarzą, która zrobiła się tak szkarłatna jak jej suknia, ale przez chwilę nie padał z nich żaden dźwięk. A kiedy wreszcie padł, zabrzmiało to tak, jakby ją ktoś dusił.

— Nie ma ani cala, żeby go jeszcze pogłębić. Popatrz na swoją suknię. Nie ma nawet jednej dziesiątej!

Trzy szybkie kroki, którym towarzyszyło uniesienie brwi i Birgitte pochyliła się nieznacznie, by umieścić twarz dokładnie na wysokości twarzy Nynaeve.

— A gdybym powiedziała, że chcę, byś się pozbyła tego cala? — warknęła, ukazując zęby. — A gdybym tak chciała, żebyś pomalowała sobie twarz, by Luca dostał swojego błazna? A gdybym całkiem cię obnażyła i pomalowała od stóp do głów? Stanowiłabyś wówczas znakomity cel. Wszyscy mężczyźni znajdujący się w promieniu pięćdziesięciu mil przychodziliby cię obejrzeć.

Usta Nynaeve drgnęły, ale tym razem nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Bardzo, pragnęła zamknąć oczy; może gdyby je potem otworzyła, nic z tego by się nie działo.

Birgitte, kręcąc z obrzydzeniem głową, usiadła na jednym z łóżek, wspierając łokieć na kolanie i przewiercając ją na wskroś spojrzeniem swych niebieskich oczu.

— To się musi skończyć. Kiedy patrzę na ciebie, ty się wzdygasz. Biegasz wokół mnie na czworakach. Jak rozglądam się za zydlem, zaraz mi go przynosisz. Jak obliżę wargi, już wsadzasz puchar z winem w moje ręce, zanim zdążę pomyśleć, że, chce mi się pić. Myłabyś mi plecy i nakładała kamasze na stopy, gdybym ci pozwoliła. Nie jestem ani potworem, ani kaleką, ani dzieckiem, Nynaeve.

— Ja tylko próbuję nadrobić... — zaczęła bojaźliwie i podskoczyła, kiedy kobieta ryknęła.

— Nadrobić? Próbujesz mi odebrać!

— Nie. To nie tak, naprawdę. To ja jestem winna...

— Przyjmujesz odpowiedzialność za moje czyny — wtrąciła jej zapalczywie. Birgitte. — To ja postanowiłam przemówić do ciebie w *Tel'aran'rhiod*. Ja postanowiłam ci pomóc. Ja postanowiłam szukać Moghedien. I ja postanowiłam zabrać cię, żebyś ją zobaczyła. Ja! Nie ty, Nynaeve, ja! Nie byłam twoją kukielką albo psem, i nie będę teraz.

Nynaeve z trudem przełknęła ślinę. i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na fałdach sukni. Nie miała prawa być zła na tę kobietę.. Zupełnie żadnego prawa. Za to Birgitte miała wszelkie prawo.

— Robiłaś to o co prosiłam. To moja wina, że ty... że ty tu jesteś. To wszystko moja wina!

— Czy ja coś wspomniałam o winie? Niczyjej nie dostrzegam. Tylko mężczyźni i dzierlatki o przytępawym umyśle przyjmują na siebie winę, która nie istnieje, a ty do nich przecież nie należysz.

— To wszystko przez moją głupią pychę, która kazała mi myśleć, że mogę ją znowu przechytrzyć i przez moje tchórzostwo, które pozwoliło jej... które pozwoliło jej... Gdybym tak się nie bała, że aż nie mogłam nawet splunąć, to bym mogła coś w porę zrobić.

— Tchórzostwo? — Oczy Birgitte powiększyły się, wyraźnie pełne niedowierzania, a jej głos zabarwiła pogarda. — Ty? Myślałam, że masz więcej rozumu, by odróżnić strach od tchórzostwa, Mogłaś uciec z *Tel'aran'rhiod*, kiedy Moghedien cię puściła, ale ty zostałaś, by walczyć. To nie twoja wina, że nie byłaś w stanie.

Wciągnawszy głęboki wdech, przez chwilę pocierała czoło, po czym z napięciem pochyliła się do przodu.

— Posłuchaj mnie uważnie, Nynaeve. Ja nie biorę na siebie winy za to, co zrobiono tobie. Widziałam, ale nie mogłam nawet drgnąć. Gdyby Moghedien zawiązała cię na supeł albo wydrażyła jak jabłko, nadal nie czułabym się winna. Zrobiłam, co mogłam, kiedy mogłam. I ty uczyniłaś to samo.

— To nie było to samo. — Nynaeve usiłowała wyzbyć się pasji w swoim głosie. — To była moja wina, że się tam znalazłaś. Moja wina, że jesteś tutaj. Gdybyś... — Urwała, by znowu przełknąć ślinę. — Gdybyś... chybiła... kiedy będziesz dziś do mnie strzelała, chcę, byś wiedziała, że to zrozumiem.

— Ja nie chybiam, gdy celuję — rzekła sucho Birgitte — a tam, gdzie będę celowała, ciebie nie będzie.

Zaczęła zdejmować z jednej z szafek różne przedmioty i układać je na małym stoliku. W połowie ukończone strzały, oskrobane drzewca, stalowe groty, słoń z kamiennym klejem, cienki sznurek, szare gęsie pióra do upierzeń. Obiecała też, że zrobi sobie łuk, kiedy tylko będzie mogła. Łuk Luki nazwała „sękatą gałęzią odłamana z poskręcane drzewa przez ślepego idiotę w samym środku nocy”.

— Lubiłam cię, Nynaeve — powiedziała, kiedy już wszystko ułożyła. — Ciernie, kurzajki i w ogóle. Ale takiej cię nie lubię...

— Nie masz powodu, żeby mnie teraz lubić — wybąkała nieszczęśliwym głosem Nynaeve, ale Birgitte weszła jej w słowo, nawet nie podnosząc wzroku.

— ... i nie pozwolę, byś mi czegoś ujmowała, byś ujmowała wagi moim decyzjom, biorąc za nie odpowiedzialność. Niewiele miałam przyjaciółek, ale większość usposobieniem przypominała śniegowe widziadła.

— Bardzo bym chciała, żebyś znowu była moją przyjaciółką. — Czym, na Światłość, jest śniegowe widziadło? Czymś z innego Wieku, bez wątplenia. — Już nigdy nie będę ci niczego ujmować, Birgitte. Ja tylko...

Birgitte tylko podniosła głos, ale poza tym nie zwracała na nią żadnej uwagi. Wydawała się skupiona wyłącznie na grotach strzał.

— Chciałabym znowu cię lubić, nieważne czy ty to odwzajemnisz, czy nie, ale nie mogę, dopóki na powrót nie staniesz się sobą. Zdzierzyłabym cię jako mazgajową dziewczynę o miłą głosem, gdybyś rzeczywiście nią była. Ja biorę ludzi takimi, jakimi są, a nie takimi, jakimi chciałabym, żeby byli. Albo ich ignoruję. Ale ty nie jesteś sobą i nie przyjmuję twoich wyjaśnień, dlaczego chcesz się w to bawić. Ot co Clarine opowiedziała mi o twoim starciu z Cerandin. Teraz wiem, co zrobić następnym razem, kiedy będziesz rościła sobie prawo do moich decyzji. — Energicznie machnęła jesionowym patykiem. — Jestem pewna, że Latelle z radością dostarczy mi różgę.

Nynaeve zmusiła zaciśnięte szczęki, żeby się otworzyły i postarała się, by jej głos zabrzmiał jak najłagodniej.

— Masz absolutne prawo zrobić ze mną, co ci się żywnie podoba. — Pięści zaciśnięte na fałdach spódnicy drżały nieco mocniej niż głos.

— Skromny pokaz temperamentu? Tylko rąbek? — Birgitte uśmiechnęła się do niej szeroko, jednocześnie rozbawiona i zadziwiająco rozjuszona. — Ile czasu upłynie, zanim buchnie płomieniem? Chętnie zużyję wiele różg, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jej uśmiech ustąpił miejsca powadze.

— Zmuszę cię, byś dostrzegła słuszność moich słów albo cię przegnam. Nie ma innego wyjścia. Nie mogę zostawić... nie zostawię... Elayne. Ta więź przynosi mi zaszczyt, więc będę ją traktowała z szacunkiem, więc i samą Elayne. I nie pozwolę ci uważać, że to ty podejmujesz albo że podejmowałaś decyzje za mnie. Ja jestem sobą, nie twoim akcesorium. Odejdź teraz. Muszę skończyć te strzały, bo potrzebuję takich, które naprawdę pofruną. Nie zamierzam cię zabić, a nie dopuszczę, by to stało się przypadkiem. — Odkręciła wieko słoja z klejem i pochyliła się nad stołem. — Nie zapomnij dygnąć jak grzeczna dziewczynka, kiedy będziesz wychodziła.

Nynaeve jakoś zesła ze schodków i dopiero wtedy z furją grzmotnęła się pięścią w udo. Jak ta kobieta śmie? Uważa, że ona mogłaby...? Czy ona uważa, że Nynaeve zgodzi się...?

„Myślałam, że ona może zrobić z tobą, co zechce” — szepnął cichy głosik w jej głowie.

„Powiedziałam, że może mnie zabić — fuknęła w odpowiedzi — ale nie upokarzać mnie!”

Jeszcze trochę, a wszyscy będą jej grozić tą przeklętą Seanchanką!

Przy wozach nie było nikogo z wyjątkiem kilku odzianych w zgrzebne kaftany furmanów, których pozostawiono na ich straży przy wysokim płocie z napiętego płótna, otaczającym miejsce, gdzie miało się odbywać przedstawienie Luki. Szare kamienne mury miasta były z tej wielkiej, porośniętej zbrązowiałą trawą łąki doskonale widoczne, wraz z przysadzistymi wieżami przy bramach i kilkoma wyższymi budynkami, krytymi dachówkami albo strzechami. Za murami, w któ-

ra stronę by nie spojrzeć, niczym grzyby spod ziemi wyrosły wioski, skupiska lichych chałup i zwyczajnych szałasów, pełne wyznawców Proroka, którzy w promieniu wielu mil wokół ścięli wszystkie drzewa na budulec bądź na opał.

Wejście dla gości znajdowało się po przeciwnej stronie, ale dwóch furmanów uzbrojonych w mocne pałki, stało po tej stronie, by odstraszać każdego, kto nie chciał zapłacić. Nynaeve prawie doszła już do nich, maszerując najszybciej jak potrafiła i mrucząc coś gniewnie do siebie, kiedy ich idiotyczne uśmiechy uświadomiły jej, że szal ma nadal opuszczony na łokcie. Swym spojrzeniem zmasowała im uśmiechy z twarzy. I dopiero potem okryła się przyzwoicie, powoli; nie zamierzała dopuścić, by ci prostacy sobie pomyśleli, że będzie popiskiwała i podskakiwała, gdy tylko na nią popatrzą. Jeden z nich, kościsty, z nosem, który zajmował mu połowę twarzy, odchylił na bok płachtę płótna i wtedy wsunęła się chyłkiem do pandemonium.

Wszędzie tłoczyli się ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci zgromadzeni w hałaśliwych, ruchliwych grupkach, które głośno rozgadane płynęły strumieniami od jednej atrakcji do drugiej. Wszystko prócz *s'redit* występowało na drewnianych podiach, które zbudował Luca. Konio-dziki Cerandin przyciągały największe tłumy; wielkie szare zwierzęta balansowały na przednich kończynach, nawet te najmłodsze, zadzierając w górę podługowate pyski, psy Cerandin zaś cieszyły się najmniejszym zainteresowaniem, mimo podskoków na zadnich łapach i koziołków, które fikały sobie wzajem na grzbietach. Sporo gapiów zatrzymywało się przed klatkami, w których zamknięte były lwy i włochate, podobne do dzików *capary*, obdarzone dziwacznymi porożami, jelenie z Arafel, Saldaei i Arad Doman, barwnie upierzone ptaki, Światłość jedna wiedziała skąd, oraz kilka kaczkowatych, porośniętych brązowym futrem stworzeń z wielkimi oczyma i okrągłymi uszami, które siedziały spokojnie, ogryzając liście z gałęzi zaciśniętych w przednich łapach. Opowieści Luki na temat ich pochodzenia różniły się między sobą — Nynaeve przypuszczała, że sam go nie znał — i nie potrafił wymyślić dla nich takiej nazwy, która by go zadowalała. Ogromny wąż z illiańskich bagien, cztery razy dłuższy od człowieka, wywoływał niemal tyleż jęków zdumienia, co *s'redit*, mimo iż tylko leżał w klatce, najwyraźniej pogrążony we śnie, ale Nynaeve z zadowoleniem spostrzegła, że niedźwiedzie Latelle, które w tym momencie stawały na ogromnych, pomalowanych na czerwono, drewnianych kulach i toczyły je łapami, przyciągały niewiele więcej widzów niż psy. Ci ludzie widywali niedźwiedzie w swoich lasach, cóż z tego, że te miały białe pyski.

Suknia Latelle iskrzyła się w popołudniowym słońcu czarnymi cekinami. Strój Cerandin rzucał niemalże takie same błyski, tyle że niebieskie, zaś Clarine zielone, aczkolwiek obie suknie nie były tak suto obszyte cekinami co tej pierwszej, ale za to dekolty wszystkich trzech odsłaniały zaledwie szyję. Petra i bracia Chavana występowali rzecz jasna w samych spodniach jaskrawoniebieskiej barwy, dzięki czemu mogli demonstrować muskuły. Akrobaci stawali jeden drugiemu na ramio-

nach, tworząc w sumie czteropoziomową piramidę. Nieopodal siłacz na podium wziął do rąk długą sztabę z wielkimi żelaznymi kulami na końcach — potrzebni byli dwaj mężczyźni, by mu ją podać — i natychmiast ją obracać w potężnych dłoniach; obracał ją także wokół karku i na plecach.

Thom żonglował ogniem, a także połykał go. Osiem płonących pałek wykonało idealny krąg, by za chwilę zatrzymać się w dłoniach Thoma w pękach po cztery; z każdej wiązki jedna wystawała. Kolejno wkładał każdy płonący koniec do ust, udając, że go połyka i wyciągał ugaszony, z taką miną; jakby właśnie zjadł coś smacznego. Nynaeve nie umiała wymiarkować, jak on to robi, że nie spali sobie wąsów, albo nie poparzy gardła. Skręt nadgarstków i nie zapalone pałki rozwinęły się na kształt wachlarzy, znowu płonąc. Chwilę później połączyły się w dwa koła nad jego głową. Nosił ten sam brązowy kaftan co zawsze, mimo że Luca dał mu czerwony, naszywany cekinami. Sądząc po sposobie, w jaki krzaczaste brwi Thoma uniosły się, kiedy przechodziła obok, nie zrozumiał, dlaczego spiorunowała go wzrokiem. Własny kaftan, też coś!

Pośpieszyła dalej w stronę gęsto upakowanego, pomrukującego z niecierpliwością tłumu, który otoczył dwa wysokie słupy z rozpiętą między nimi liną. Musiała posłużyć się łokciami, żeby dotrzeć do przedniego rzędu, przy czym dwie kobiety spojrzały na nią spode łba i usunęły jej z drogi swych mężczyzn, kiedy szal zsunął jej się na łokcie. Byłaby się odwzajemniła takim samym spojrzeniem, gdyby nie była zajęta czerwienieniem się i okrywaniem. Stał tam Luca, niespokojny jak mąż pod izbą, w której odbywa się poród, obok tęgiego jegomościa z ogoloną głową, wyjąwszy siwy kosmyk pozostawiony na samym czubku. Przedarła się do Luki i stanęła po jego drugiej stronie. Mężczyzna z ogoloną głową przypominał wyglądem bandytę; długa blizna przecinała lewy policzek, zaś na łatce, która zakrywała drugie oko, był wymalowany jego czerwony, gniewnie łypiący substytut. Nie widziała tutaj wielu mężczyzn, uzbrojonych w coś więcej prócz noża za pasem, ale ten miał miecz przymocowany przez plecy, z długą rękojeścią wystającą nad prawym ramieniem. Z jakiegoś powodu wyglądał znajomo, ale wszystkie jej myśli były teraz skupione na rozpiętej wysoko linie. Luca spojrzał z dezaprobatą na szal, uśmiechnął się do niej i próbował objąć ją ramieniem w pasie.

Jeszcze nie odzyskał oddechu, który odebrał mu jej łokieć, ona zaś nadal przyzwyczajenie drapowała szal, gdy z tłumu po przeciwnej stronie wyszedł chwiejnie Julin, w stożkowatym czerwonym kapeluszu przekrzywionym komicznie, kaftanie zsuniętym z jednego ramienia i z drewnianym kuflem w garści, z którego wylewała się jakaś ciecz. Nazbyt ostrożnymi krokami człowieka, który ma w głowie więcej wina niżli mózgu, podszedł do sznurowej drabinki wiodącej do jednej z osadzonych na słupach platform i zagapił się na nią.

— No dalej! — krzyknął ktoś. — Złamże ten swój głupi kark!

— Czekaj no, przyjacielu! — zawołał Luca, cały w uśmiechach ruszając naprzód i wywijając połamami peleryny. — To nie miejsce dla człeka z brzuchem peł-

nym. . .

Juilin postawił kufel na ziemi, a potem wdrapał się po drabinie na platformę i stanął na niej niepewnie. Nynaeeve wstrzymała oddech. Ten człowiek miał głowę do wysokości i to niezłą, całe życie w końcu spędził na ściganiu złodziei po dachach Łzy, ale. . .

Juilin obracał się, jakby się zgubił; wyglądał na zbyt pijanego, by zobaczyć drabinę albo o niej pamiętać. Jego wzrok spoczął na rozpiętej między słupami linie. Na próbę postawił stopę na wąskiej przestrzeni i zaraz ją cofnął. Zsunawszy kapelusz, podrapał się po głowie, zbadął napiętą linę i nagle wyraźnie pojaśniał. Powoli opuścił się na czworaki i chwiejnie na nią wpełzł. Luca krzyknął w jego stronę, że ma zejść, tłum zaś ryknął śmiechem.

W połowie drogi Juilin zatrzymał się, słaniając niezdarnie, potem obejrzał za siebie, wbijając oczy w kufel, który zostawił na ziemi. Najwyraźniej zastanawiał się, jak ma teraz do niego wrócić. Powoli, z przesadną ostrożnością, kolebiąc się z boku na bok, wstał, zwrócony twarzą w tę stronę, z której przyszedł. Tłum jęknął głośno, kiedy omsknęła mu się stopa i stracił równowagę, ale jakoś przytrzymał się jedną ręką i zaczepił kolanem o linę. Luca złapał spadający taraboniański kapelusz, krzycząc do wszystkich, że ten człowiek jest szalony i że cokolwiek się stanie, on nie jest za to odpowiedzialny. Nynaeeve przycisnęła dłoń do brzucha; wyobraziła sobie, że jest tam, na górze, i to tak wyraziście, iż poczuła mdłości. Ten mężczyzna to głupiec. Prawdziwy głupiec, głupi jak gęś albo wół!

Z wyraźnym wysiłkiem Juilin jakoś złapał drugą dłonią linę i jął się podciągać, ręka za ręką. Da przeciwległej platformy. Kołysząc się z boku na bok, otrzepał kaftan, próbował go wygładzić, ale potem udało mu się tylko zmienić to ramię, które zwisało luźno w dół — aż nagle wypatrzył swój kufel stojący pod drugim słupem. Radośnie wskazując go palcem, wszedł znowu na linę.

Tym razem co najmniej połowa gapiów krzyczała już, by wracał, podpowiadając, że za jego plecami jest drabina; pozostali tylko gromko się śmiali, bez wątpienia czekając, aż złamie sobie kark. Juilin tymczasem doszedł zwinnie do drugiego końca liny, zjechał w dół po sznurowej drabince, wystawiając na bok ręce i nogi, chwycił drewniany kufel i upił zeń tęgiego łyka. Widzowie nie zorientowali się, że to wszystko to część pokazu, dopóki Luca nie wcisnął mu na głowę kapelusza i obaj się nie ukłonili — Luca wymachiwał połami swej peleryny w taki sposób, że przez połowę czasu skrywał Juilina. Chwila ciszy i widownia wybuchnęła oklaskami, wiwatami i śmiechem. Nynaeeve częściowo się spodziewała, że gapie mogą się zeźlić, gdy się przekonają, że wyprowadzono ich w pole. Jegomość z czubem na głowie wyglądał okropnie nawet wtedy, kiedy się śmiał.

Pozostawiwszy Juilina obok drabiny, Luca z powrotem stanął obok Nynaeeve i mężczyzny z czubem.

— Wiedziałem, że dobrze wyjdzie. — Mówił to z niezmierną satysfakcją i wykonał dwa nieznaczące ukłony w stronę widowni, jakby to on spacerował po linie.

Potraktowała go kwaśnym grymasem, ale nie miała czasu na wygłoszenie kąśliwego komentarza, bowiem przez tłum przedarła się Elayne, by stanąć obok Juilina z uniesionymi rękoma i ugiętym kolaniem.

Nynaeve zacisnęła usta i z irytacją poprawiła szal. Cokolwiek myślała o czerwonej sukni, którą jednak, nie wiedząc właściwie dlaczego, ostatecznie włożyła, nie była pewna, czy kostium Elayne nie jest gorszy. Dziedziczka Tronu Andor oblekła się cała w śnieżną biel, usianą białymi cekinami iskrzącymi się na krótkim kubraczku i obcisłych spodniach. Nynaeve do końca nie wierzyła, że Elayne rzeczywiście wystąpi w tym publicznie, ale za bardzo była przejęta własnym strojem, by wygłosić swoje zdanie. Ten kubrak i spodnie przypomniały jej Min. Nigdy nie pochwaliała chłopięcego ubrania, które nosiła Min, ale to, przez kolor i świecidełka, było jeszcze bardziej skandaliczne.

Juilin przytrzymał drabinkę, by Elayne łatwiej było wejść, choć ona tego wcale nie potrzebowała. Wspięła się z równą wprawą jak on. Zniknął w tłumie, ledwie dotarła na sam szczyt, gdzie znowu się wyprężyła, gdy rozległy się burzliwe oklaski, promieniejąc, jakby to wiwatowali jej poddani. Kiedy weszła na linę — która z jakichś powodów wydawała się cieńsza niż wtedy, gdy był na niej Juilin — Nynaeve przestała oddychać i przestała myśleć o ubraniu Elayne albo o swoim, w ogóle o czymkolwiek.

Elayne szła po linie, z ramionami wyciągniętymi na boki, ale tym razem nie przeniosła platformy z Powietrza. Powoli szła do przodu, stawiając jedną stopę przed drugą, ani razu się nie zachwiawszy, jedynym jej oparciem była lina. Przenoszenie mogło się okazać nazbyt niebezpieczne, gdyby Moghedien zdobyła jakąkolwiek wskazówkę, gdzie one są; Przekłęci albo Czarne siostry mogli już przebywać w Samarze, zdolni wyczuć tkanie. Albo mogli się w niej znaleźć niebawem. Elayne zatrzymała się na przeciwległej platformie, otrzymując znacznie bardziej gorące oklaski niż Juilin — Nynaeve nie potrafiła tego pojąć — po czym zaczęła wracać. Prawie przed samym końcem wykonała piruet, zawróciła do połowy liny, znowu zrobiła piruet. I zachwiała się, w porę chwytając równowagę. Nynaeve miała wrażenie, że jakaś ręka ścisną ją za gardło. Wolnym, równym krokiem Elayne wróciła do platformy, po raz kolejny prężąc się na baczność, gdy rozległy się gromkie okrzyki i brawa.

Nynaeve połknęła własne serce i znowu zaczęła oddychać, niespokojnie, ale wiedziała, że to jeszcze nie koniec.

Uniósłszy ręce nad głowę, Elayne nagle zrobiła młynka na linie, powiewając czarnymi puklami i błyskając w słońcu obleczonymi w biel nogami. Nynaeve jęknęła i ścisnęła ramię Luki, kiedy dziewczyna dotarła do przeciwległej platformy, fiknęła przy lądowaniu kozła i w ostatniej chwili przytrzymała się, kiedy już miała spaść.

— O co chodzi? — mruknął, zagłuszany przez głośny jęk tłumu. — Od Siendy co wieczór patrzyłaś, jak ona to robi. I zapewne, jak podejrzewam, przy wielu

innych okazjach.

— Oczywiście — odparła omdlewającym głosem. Z oczyma utkwionymi w Elayne ledwie zauważyła ramię, którym ukradkiem ją objął, a z pewnością nie uznała w tej sytuacji, by coś należało z tym począć. Próbowwała namówić tę dziewczynę, żeby upozorowała skręcenie kostki, ale Elayne uparła się, że da sobie radę, po tylu ćwiczeniach z Mocą. Może Juilin nie potrzebował tego — najwyraźniej nie — ale Elayne przecież nigdy nie uganiała się nocami po dachach.

Powrotne koziołki wypadły doskonale, a także lądowanie, ale Nynaeve nie odwróciła wzroku ani też nie puściła rękawa Luki. Po jakby obowiązkowej przerwie na oklaski, Elayne powróciła na linę z kolejnymi piruetami, unosząc jedną nogę i śmigając w górę i dół tak szybko, że zdawało się, jakby tę nogę cały czas trzymała wyprostowaną, po czym wolno stanęła na rękach, tak prosto jak sztylet, z odzianymi w białe pantofle stopami wycelowanymi ku niebu. To Thom Merrillin ją tego nauczył, jak również stawania na głowie.

Kątem oka Nynaeve spostrzegła barda, dwa miejsca dalej od niej; oczy miał wbite w Elayne, która prężyła się na podkurczonych stopach. Wyglądał na dumnego jak paw, gotowego wybiec z tłumu i złapać ją, gdyby spadała. Gdyby rzeczywiście spadła, byłaby to przynajmniej częściowo jego wina. Po co on ją uczył takich rzeczy!

Jedno ostatnie przejście z koziołkami; białe nogi migotały i połyskiwały w słońcu szybciej niż przedtem. Przejście, o którym nigdy nie wspomniano Nynaeve! Wychłostałaby Lukę słowami, gdyby nie mruknął gniewnie, że to, co dodała Elayne wyłącznie dla oklasków, to znakomity sposób na złamanie sobie karku. Ostatnia przerwa na odebranie aplauzu i Elayne wreszcie zesłała na dół.

Rozkrzyczany tłum rzucił się w jej stronę. Luca i czterech furmanów z pałkami wyrosło obok niej jakby za sprawą Mocy, ale i tak Thom dopadł jej wcześniej, mimo że przecież utykał.

Nynaeve podskoczyła najwyżej jak umiała, dzięki czemu udało jej się zobaczyć Elayne ponad głowami gapiów. Dziewczyna bynajmniej nie wyglądała na przestraszoną ani też onieśmioną, przez te wszystkie falujące dłonie, które próbowały jej dotknąć, przeciskające się przez kordon otaczających ją strażników. Z głową uniesioną i twarzą zarumienioną z wysiłku, dała się odprowadzić, zachowując chłodną, królewską grację. Nynaeve nie umiała sobie wyobrazić, jak jej się to udało, w takim stroju.

— Twarz jak u przeklętej królowej — mruknął pod nosem jednooki mężczyzna. Nie pobiegł z innymi, ale ledwie pozwalał przechodzić im obok. Niewymyślnie odziany w prosty kaftan z ciemnoszarej wełny, bez wątplenia wyglądał na kogoś dostatecznie silnego, by nie bać się, że go przewrócą i zdeptają. Wyglądał na takiego, który jest gotów w każdej chwili użyć swego miecza.

— Obym szczeł jako farmer z owczymi bebechami, ale ona jest tak cholernie odważna jak przeklęta królowa.

Nynaeve gapiła się za nim, kiedy oddalał się, przepychając w tłumie, i to wcale nie chodziło o jego niewymyślny język. Albo raczej tylko częściowo. Teraz przypomniała sobie, gdzie go widziała, tego jednookiego mężczyznę z kosmykiem na czubku głowy, który nie umiał powiedzieć dwóch zdań, by nie zakląć szpetnie.

Zapominając o Elayne — z pewnością nic już jej nie groziło — Nynaeve zaczęła się przepychać w ślad za nim przez ciżbę.

DAWNA ZNAJOMOŚĆ

Gęstość tłumu sprawiła, że Nynaeve dogoniła go dopiero po chwili, powarkując bezgłośnie za każdym razem, kiedy potraçał ją jakiś mężczyzna wgapiony we wszystkie atrakcje, jakie znajdowały się w zasięgu wzroku, albo kobieta wlokąca za sobą w każdej ręce po jednym dziecku; dzieci zazwyczaj starały się ciągnąć w dwa różne miejsca jednocześnie. Jednooki mężczyzna ledwie przystanął, by popatrzeć na cokolwiek z wyjątkiem wielkiego węża i lwów, dopóki nie dotarł do konio-dzików. Musiał je widzieć wcześniej, jako że były umiejscowione obok wejścia dla widzów. Za każdym razem, kiedy *s'redit* stawały na zadnich nogach, tak jak teraz, wielkie, obdarzone kłami łby dorosłych osobników wystawały nad płóciennym ogrodzeniem i wówczas napór wchodzących potęgował się.

Pod szerokim, czerwonym szyldem, który z obu stron zdobnymi złotymi literami głosił: VALAN LUCA, dwaj furmani pobierali od ludzi, ustawionych w kolejkę między dwoma grubymi sznurami, opłatę za wejście do dzbanów z przezroczystego, dmuchanego szkła — grubego i pełnego skaz; Luca nigdy by nie wyłożył pieniędzy na lepsze — dzięki czemu widzieli, że monety są właściwe. bez konieczności ich dotykania. Pieniądze z dzbanów wsypywali przez otwór w wieku okutej żelazem szkatuły, tak owiniętej łańcuchem, że to Petra musiał ją przytargać na miejsce, zanim wpadł doń pierwszy srebrny grosz. Dwóch innych furmanów — mężczyzn z potężnymi barkami i złamanymi nosami i z wygniecionymi kłykciami znamionującymi awanturników — stało obok z pałkami, pilnując, by tłum zachował dyscyplinę. I żeby mieć oko na ludzi przyjmujących pieniądze, podejrzewała Nynaeve. Luca nie zaliczał się do ufnych, zwłaszcza gdy szło o finanse. W rzeczy samej trzymał się pieniędzy tak mocno jak jabłko swej skórki. W życiu nie spotkała podobnego dusigrosza.

Powoli, pomagając sobie łokciami, dopchała się do mężczyzny z kosmykiem przetykanym pasemkami siwizny. On oczywiście nie miał problemu z dotarciem do pierwszego szeregu wgapionych w *s'redit*; zapewniały to blizna i łatka na oku, nie wspominając nawet o mieczu na plecach. Obserwował wielkie, szare zwierzęta z szerokim uśmiechem i chyba, jak podejrzewała, zdziwieniem na kamiennej twarzy.

— Uno? — Tak chyba brzmiało jego imię.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Kiedy już poprawiła szal, przeniósł wzrok na jej twarz, ale w ciemnym oku nie rozbłysło rozpoznanie. To namalowane, groźnie rozjarzone, sprawiło, że zrobiło jej się nieco słabo.

Cerandin pomachała batem, wykrzykując bełkotliwie coś, czego nie dawało się zrozumieć i *s'redit* zawróciły. Sanit, krowa, ustawiła kopyta na szerokim, krągłym grzbiecie Mera, byka, który stanął na zadnich nogach. Nerin, cielak, ułożył kopytka nisko na grzbiecie Sanit.

— Widziałam cię w Fal Dara — oświadczyła Nynaeve. — I potem przelotnie na Głowie Tomana. Po Falme. Byłeś z... — Nie wiedziała, ile może powiedzieć w obecności tych stłoczonych dookoła, ramię przy ramieniu, ludzi; po całej Amadicii krążyły plotki o Smoku Odrodzonym, a niektóre nawet wymieniały poprawnie jego nazwisko. — Z Randem.

Prawdziwe oko Uno zwięzło się — starała się nie patrzeć na to drugie — i po chwili przytaknęła.

— Pamiętam tę twarz. Nigdy nie zapominam przekłętej twarzy, jeśli jest piękna. Ale włosy, cholera, były inne. Nyna?

— Nynaeve — poprawiła go karcącym tonem.

Potrząsnęła głową, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów i zanim zdążyła dobrać cokolwiek, chwycił za ramię i powłókł w stronę wyjścia. Furmani rozpoznali ją, oczywiście, i jegomoście ze złamanymi nosami ruszyli w ich stronę, unosząc pałki. Z furją odprawiła ich, jednocześnie wyrywając ramię; po trzech próbach wyszło jednak na to, że musi liczyć na jego dobrą wolę. Ten mężczyzna miał uścisk jak żelazo. Mężczyźni z pałkami zawahali się, po czym wrócili na swoje miejsca, kiedy spostrzegli, że Uno jej nie napastuje. Najwyraźniej wiedzieli, czego zgodnie z życzeniem Valana Luki, powinni strzec przede wszystkim.

— Co ty sobie myślisz? — spytała gwałtownie, ale Uno tylko dał jej znak, że ma iść za nim, sprawdzając, czy go usłuchała i nawet nie zwolniwszy kroku, maszerował przez tłum czekający na wejście. Miał nieznacznie krzywe nogi i poruszał się jak człowiek bardziej przyzwyczajony do końskiego grzbietu niżli własnych stóp. Burcząc do siebie, zadarła spódnicę i powędrowała za nim w stronę miasteczka.

Za brązowymi, płóciennymi ogrodzeniami, nieopodal, ustawiły się dwie inne menażerie, a za nimi jeszcze kolejne, wśród zatłoczonych wiosek złożonych z samych szałasów. Żadna jednak nazbyt blisko miejskich murów. Najwyraźniej gubernator, tak nazywali kobietę, która Nynaeve nazwałaby burmistrzem — aczkolwiek jeszcze nigdy nie słyszała o kobiecie, która byłaby burmistrzem — wydała dekret o przestrzeganiu dystansu połowy mili, by chronić miasto na wypadek, gdyby jakieś zwierzęta uciekły.

Szyld nad wejściem do najbliższej menażerii głosił zielonożłotymi literami: MARIN GOME, udekorowanymi mnóstwem zdobnych zakrętasów. Nad szyldem widać było wyraźnie dwie kobiety, przyklejone do liny rozpiętej na wysokiej

konstrukcji ze słupów, której wcale jeszcze w tym miejscu nie było, kiedy Luca wznosił swoje ogrodzenie. Najwyraźniej konio-dziki wierzgające tak wysoko, że dawały się zobaczyć z zewnątrz, przynosiły efekt. Kobiety wykrzywiały ciała w pozycjach, które niepokojąco przypomniały Nynaeve o tym, co robiła z nią Moghedien. Tłum oczekujący niecierpliwie pod szyldem pani Gome był niemalże równie liczny jak pod szyldem Luki. Nad ogrodzeniami pozostałych widowisk nie było niczego widać i oblegały je znacznie skromniejsze tłumy.

Uno nie odpowiadał na pytania, w ogóle nie odezwał się ani słowem, ani w żaden inny sposób nie reagował na nią, tylko obdarzał ją straszliwymi minami, dopóki nie wyszli wreszcie z ludzkiej ciżby na ubity trakt.

— Ja, psiakrew, staram się — warknął wtedy — zabrać cię tam, gdzie, cholera, będziemy mogli pogadać tak, by nie rozdarł cię na przekłete kawałki ten cholerny motłoch, który będzie się starał ucałować rąbek twojej cholernej sukni, kiedy się dowie, że znasz przekłętego Lorda Smoka. — W odległości trzydziestu kroków od nich nie było nikogo, ale on nadal się rozglądał dookoła, czy nikt ich nie może usłyszeć. — Krew i krwawe popioły, kobieto! Nie wiesz, jakie są te cholerne kozie łby? Jedna połowa uważa, że co wieczór Stwórca do nich przemawia przy cholernej kolacji, druga połowa zaś to tacy, którzy sami się uważają za przekłętego Stwórcę!

— Będę wdzięczna, jeśli powściągniesz swój język, panie Uno. I będę także wdzięczna, jeśli zwolnisz. Nie bierzemy udziału w wyścigu. Dokąd się wybierasz i dlaczego ja miałabym dać w twoim towarzystwie jeszcze jeden krok?

Przewrócił okiem, uśmiechając się cierpko.

— O tak, pamiętam cię. To ta z chol. . . ta wygadana. Ragan uważał, że ty z odległości dziesięciu kroków potrafiłabyś obedrzeć ze skóry przek. . . byka swoim językiem. Chaena i Nangu uważali, że z pięćdziesięciu. — Przynajmniej dawał teraz mniejsze kroki.

Nynaeve zatrzymała się jak wryta.

— Dokąd i po co?

— Do miasta. — Nie zatrzymał się. Dalej maszerował przed siebie, machając ręką, że ma iść za nim. — Nie wiem, co ty tu, chol. . . robisz, ale pamiętam, żeś była związana z tą niebieską kobietą.

Warcząc bezgłośnie, podkasała spódnicę i znowu za nim pośpieszyła; tylko w taki sposób mogła go słyszeć. On zaś ciągnął dalej, jakby cały czas szła obok niego.

— To nie jest chol. . . to nie jest miejsce dla ciebie. Jak mi się zdaje, mogę wskrobać dość przek. . . aach!.. dość monet, abyś mogła wyprawić się do Łzy. Chodzą pogłoski, że tam właśnie jest Lord Smok.

Znowu czujnie rozejrzał się dookoła.

— Chyba że wolisz udać się na wyspę. — Zapewne miał na myśli Tar Valon. — O niej też krążą przek. . . dziwne pogłoski. Pokój, jeśli tak nie jest! —

Pochodził z kraju, w którym nie znano pokoju od trzech tysięcy lat; Shienaranie używali tego słowa zarówno jako talizmanu, jak i przekleństwa. — Powiadają, że dawna Amyrlin została obalona. Może nawet stracona. Niektórzy powiadają, że one się biły i pogrzebały całe. . . — Urwał, biorąc głęboki wdech i straszliwie się krzywiąc — . . . całe miasto.

Szła obok i przypatrywała mu się ze zdumieniem. Nie widziała go od blisko roku, nigdy nie zamieniła z nim więcej jak dwa słowa, a tymczasem on. . . Dlaczego mężczyznom zawsze się wydaje, że kobieta potrzebuje mężczyzny, który się nią zaopiekuje? Mężczyźni nie potrafią zawiązać tasemki przy koszuli bez pomocy kobiety!

— Dziękuję ci, całkiem nieźle dajemy sobie radę. Chyba, że wiesz może o jakimś kupcu rzeczonym, który zamierza zawitać tutaj ze swym statkiem po drodze w dół rzeki.

— My? To ta niebieska kobieta jest z tobą? A może ta brązowa? — Musiało chodzić o Moiraine i Verin. To mu należało oddać, był niezmiernie ostrożny.

— Nie. Pamiętasz Elayne? — Przytaknął bez namysłu, a ją wówczas ogarnął niecny impuls; tego człowieka nic nie zdawało się zadziwiać i najwyraźniej uwierzył, że przejmie jej pomyślność w swoje ręce. — Właśnie ją widziałeś. Powiedziałaś, że ona ma. . . — postarała się, by to zabrzmiało równie grubiańsko — . . . twarz jak przeklęta królowa.

Potknął się, ku jej sporemu zadowoleniu, i rozejrzał dookoła tak zapalczywie, że nawet dwa mijające ich Białe Płaszczce objechały go z daleka, aczkolwiek starały się udawać, że on z tym oczywiście nie ma nic wspólnego.

— Ona? — warknął z niedowierzaniem. — Ale jej cholerne włosy były czarne jak u kruka. . . — Spojrzał na jej włosy i w następnej chwili kroczył traktem dla wozów, mrużąc na poły do siebie. — Ta przeklęta kobieta jest córką królowej. Cholernej królowej! A w taki sposób odśłania cholerne nogi.

Nynaeve przytaknęła, dając do zrozumienia, że się zgadza. Dopóki nie dodał:

— Wy przekłęci południowcy jesteście tacy cholernie dziwni! Ani trochę przekłętej przyzwoitości! — Jakby miał prawo do takiego gadania. Shienaranie może nawet ubierali się odpowiednio, ale ona nadal się czerwieniła na wspomnienie, że kobiety i mężczyźni w Shienarze często kąpią się razem i nie myślą o tym inaczej jak o wspólnym spożywaniu posiłków.

— Czy twoja matka nigdy nie nauczyła cię wyrażać się przyzwoicie, człowieku?

Uno skulił ramiona, a jego prawdziwe oko łypnęło na nią niemalże równie mrocznie jak to namalowane. W Fal Dara on i wszyscy pozostali traktowali ją jak szlachetnie urodzoną, względnie prawie taką. Oczywiście trudno uchodzić za damę w tej sukni i z włosami w odcieniu, którego natura nigdy jej nie dała. Poprawiła szal, żeby lepiej ją okrywał i skrzyżowała ręce, żeby go przytrzymać na miejscu. Szara wełna była straszliwie niewygodna w tym upale, a ona pocila się

niemiłosiernie; co prawda nigdy nie słyszała o kimś, kto umarł od nadmiaru wydzielonego potu, ale uważała, że ona właśnie może być pierwsza.

— A co ty właściwie tu robisz, Uno?

Rozejrzał się dookoła, zanim odpowiedział. Nie żeby musiał; na trakcie panował niewielki ruch — sporadyczne wozy zaprzężone w woły, jacyś ludzie w farmerskich ubraniach albo jeszcze prostszych, tu i ówdzie jakiś jeździec na koniu — i nikt nie zdawał się mieć ochoty podejść do niego bliżej niż musiał. Wyglądał na człowieka, który mógłby poderżnąć komuś gardło dla kaprysu.

— Niebieska kobieta podała nam jedno imię w Jehannah i powiedziała, że mamy tam czekać, dopóki nie przyśle instrukcji, ale ta kobieta w Jehannah nie żyła i już ją pochowano, kiedyśmy tam dotarli. Staruszka. Umarła we śnie i nikt z jej krewnych nigdy nie słyszał imienia niebieskiej kobiety. Potem Masema zaczął gadać z ludźmi i... Cóż, nie było sensu zostawać tam i czekać na rozkazy, których nigdy nie poznamy, nawet jeśli nadejdą. Trzymamy się blisko Masemy, bo on wsuwa nam do kieszeni dość, by dało się wyżyć, aczkolwiek nikt prócz Bartu i Nengara nie słucha jego bredzenia.

Przyprószony siwizną czub zachybotał, kiedy z irytacją potrząsnął głową.

Nagle do Nynaeve dotarło, że w tym wszystkim nie było ani jednego sprośnego słowa. Jakby połknął język.

— Może byś tak przeklinał tylko od czasu do czasu? — Westchnęła. — Może raz na jedno zdanie?

Mężczyzna uśmiechnął się do niej z taką wdzięcznością, że z rozdrażnienia miała ochotę wyrzucić ręce ku niebu.

— Jak to jest, że Masema ma pieniądze, a wy pozostali nie macie? — Pamiętała Masemę: ciemnego, zgorzkniałego mężczyznę, który nie lubił nikogo i niczego.

— No jakże, to on jest tym przeklętym Prorokiem, którego wszyscy przyjeżdżają słuchać. Chciałabyś go spotkać? — Sprawiał wrażenie, że liczy swoje zdania. Nynaeve westchnęła; ten człowiek zamierzał traktować ją dosłownie. — On mógłby dla was znaleźć przeklęty statek, jeśli chcesz. W Ghealdan Prorok zazwyczaj dostaje to, czego chce Prorok. Nie, ten przeklęty zawsze to w końcu dostaje, w taki czy inny sposób. Ten człowiek był dobrym żołnierzem, a kto by pomyślał, że wyjdzie zeń coś takiego? — Z niesmakiem objął wzrokiem wszystkie nędzne wioski i ludzi, nawet menażerie i leżące w oddali miasto.

Nynaeve zawahała się. Ten Prorok, który wzbudzał taki lęk, wzniecał zamieszki i bunty, to Masema? Ale przecież on nauczał o przyjściu Smoka Odrodzonego. Doszli prawie do bram miasta, a zbliżała się już pora, kiedy będzie musiała stanąć pod ścianą i stać się tarczą Birgitte. Luca był bardziej niż rozczarowany, gdy ta kobieta uparła się, żeby ją nazywać Maerion. Gdyby tak Masema znalazł jakiś statek, który płynie w dół rzeki... Może dzisiaj. Z drugiej jednak strony tam wybuchły zamieszki. Jeśli plotka rozdymała je po dziesięciokroć, to tylko setki umierały w miasteczkach i miastach położonych dalej na północ. Tylko setki.

— Tylko mu nie przypominaj, że masz coś wspólnego z tamtą przeklętą wyspą — ciągnął Uno, z namysłem mierząc ją okiem. Teraz, jak się nad tym zastanowiła, dotarło do niej, że on najprawdopodobniej nie wie, jakie są jej związki z Tar Valon. Ostatecznie kobiety udawały się tam wcale nie tylko po to, by zostać Aes Sedai, ale w poszukiwaniu pomocy albo odpowiedzi. Wiedział, że ona jest jakoś związana z tym miejscem, ale nic więcej. — On nie jest bardziej przyjazny dla kobiet stamtąd niż Białe Płaszcze. Jeśli będziesz po prostu trzymała swe przeklęte usta zamknięte, to on pewnie pominie tę kwestię. Dla kogoś, kto pochodzi z tej samej wioski co Lord Smok, Masema pewnie każe zbudować przeklęty statek.

Przy bramach miasta, z obu stron obramowanych przysadzistymi szarymi wieżami, tłumy były gęstsze; mężczyźni i kobiety jednostajnym strumieniem wchodzili i wychodzili, pieszo i konno, we wszelkich rodzajach przyodziewku począwszy od łachmanów, a skończywszy na kaftanach i sukniach z haftowanego jedwabiu. Same bramy, grube i okute żelazem, stały otwarte pod strażą złożoną z kilkunastu łuczników w tunikach z metalowych łusek i okrągłych, stalowych hełmach z płaskim okapem. W rzeczy samej strażnicy zwracali większą uwagę na Białe Płaszcze, których o połowę mniejsza liczba przechadzała się nieopodal, niżli na cokolwiek innego. Za to ci mężczyźni w śnieżnych płaszczach i wypolerowanych kolczugach obserwowali przepływ ludzi.

— Czy Białe Płaszcze sprawiają dużo kłopotu? — spytała cicho.

Uno wydał wargi, jakby chciał splunąć, ale zerknął na nią i ostatecznie nie splunął.

— A gdzie ci przekłeci nie sprawiają? Była taka jedna kobieta z jednym z tych wędrownych pokazów, co robiła różne sztuczki, takie hokus-pokus. Cztery dni temu przekłety motłoch tych baraniogłowych z gołębimi bebechami rozdarł przedstawienie na strzępy.

Valan Luca z pewnością o tym nie wspomniał!

— Pokój! Chcieli pojmać tę kobietę. Twierdzili, że ona jest — spojrzał spode łba na śpieszących obok niego ludzi i zniżył głos: — Aes Sedai. I Sprzymierzeńcem Ciemności. Złamała sobie przeklęty kark, kiedy wchodziła na linę, tak słyszałem, ale oni i tak powiesili trupa. Masema kazał ściąć przywódców bandy, ale to Białe Płaszcze wychłostały przeklęty motłoch.

Pogardliwa mina stanowiła znakomitą oprawę dla czerwonego oka namalowanego na łatce.

— Za wiele tych przeklętych powiesznień i ściętych głów, jeśli chcesz o to spytać. Cholerny Masema jest równie wredny jak Białe Płaszcze, jeśli chodzi o szukanie Sprzymierzeńca Ciemności, zagląda pod każdy przeklęty kamień.

— Raz na jedno zdanie — wysyczała i mężczyzna autentycznie się zarumienił.

— Nie wiem, o czym w ogóle myślę — odburknął. — Nie mogę cię tam zabrać. To w połowie święto, w połowie bunt, co krok spotyka się kieszonkowca i kobieta nie jest tam bezpieczna po zmroku.

Tym ostatnim był wyraźnie bardziej oburzony niż resztą; w Shienarze kobieta była bezpieczna wszędzie, o każdej porze — z wyjątkiem sytuacji, gdy szło o trolloki i Myrddraali, oczywiście — i każdy mężczyzna oddałby życie, by tego dopatrzeć.

— Tam nie jest bezpiecznie. Odprowadzę cię z powrotem. A jak już znajdę sposób na wywiezienie was stąd, to przyjdę po was.

To przesądziło sprawę. Wyrwała rękę, zanim zdążył zacisnąć na niej dłoń i przyspieszyła kroku, zmierzając w stronę bram.

— Chodź. Uno, nie marnuj czasu. Jak będziesz marnował czas, to cię zostawię.

Dogonił ją, burcząc pod nosem o uporze kobiet. Kiedy już zrozumiała, co jest tematem jego gderania, i że jak mówi do siebie, to wcale nie uważa jej zastrzeżeń odnośnie do przeklinania za wiążące, przestała słuchać.

SPOTKANIA W SAMARZE

Białe Płaszczce przy bramach nie zwróciły na Uno i Nynaevę większej uwagi niż na resztę tej nie rzednącej ludzkiej gęstwy, czyli obdarzyli ich po prostu zimnym, podejrzliwym spojrzeniem, taksującym, choć przelotnym. Tłum nie pozwalał na podjęcie innych działań i być może również ci wartownicy w zbrojach krytych łuskami. Zresztą nie istniał żaden powód, dla którego mieliby ich zatrzymać z wyjątkiem tych, które podsuwała jej wyobraźnia. Pierścień z Wielkim Wężem i ciężki sygnet Lana ukryte miała w mieszk — przez ten głęboki dekolt nie mogła ich nosić na rzemyku — ale obawiała się, że Synowie Światłości wyczują instynktownie kobietę wyszkoloną przez Wieżę. Z ulgą odetchnęła, kiedy lodowate, bezlitosne spojrzenia prześlizgnęły się obok niej.

Żołnierze zwracali na nich dwoje równie mało uwagi kiedy znowu poprawiała szal. Gniewny wyraz na twarzy Uno sprawił być może, iż przenieśli wzrok z powrotem na Białe Płaszczce, ale ten człowiek nie miał prawa mieć gniewnej miny. To w końcu był jej problem.

Jeszcze raz poprawiając fałdy szarej wełny, zawiązała jej końce w talii. Szal podkreślał łono bardziej, niż sobie życzyła i nadal ukazywał odrobinę zagłębienia między piersiami, bardzo jednak korzystnie wpływał na samą suknię. Przynajmniej nie będzie się już musiała przejmować, że szal znowu się jej ześlizgnie z ramion. Żeby jeszcze nie było tak gorąco. Pogoda naprawdę powinna niebawem się zmienić. Nie znajdowali się aż tak daleko na południe od Dwu Rzek.

Uno teraz dla odmiany czekał cierpliwie na nią. Miała podzielone zdanie odnośnie do tego, czy to przez zwykłą uprzejmość — jego twarz wyglądała na przesadnie cierpliwą — ale ostatecznie do Samary wkroczyli razem. W sam środek chaosu.

Nad wszystkim unosił się hałaśliwy gwar, w którym nie dawało się wyłowić odrębnych dźwięków. Ludzie tłoczyli się na brukowanych ulicach, ramię w ramię, wszędzie, od krytych dachówkami tawern, po kryte strzechą stajnie, od hałaśliwych gospód z prostymi szyldami, na których widniały nazwy typu „Niebieski Byk” albo „Tańcząca Gęś”, po warsztaty, na szyldach których nie było słów, a tylko nóż i nożyczki tu, bela tkaniny tam, waga złotnika albo brzytwa golibrody, garnek, lampa albo but. Nynaevę zauważyła twarze blade jak u wszystkich Andoran

i równie ciemne jak u Ludu Morza, jedne czyste, inne brudne, kaftany z wysokimi kołnierzami, niskimi kołnierzami, bez kołnierzy, bure i kolorowe, proste i haftowane, zniszczone i niedawno uszyte, na modłę równie często obcą, co znajomą. Jeden jegomość z ciemną, rozdwojoną brodą nosił srebrne łańcuchy na piersi prostego, niebieskiego kaftana, a dwaj inni, z włosami splecionymi w warkocze — mężczyźni z czarnymi warkoczami sięgającymi za ramiona! — mieli maleńkie, mosiężne dzwoneczki przyszyte do czerwonych rękawów, a przy butach sięgających ud wywinięte na zewnątrz cholewy. Niezależnie od tego, z jakiego kraju przywędrowało tych dwóch, nie byli to w ciemię bici głupcy; ich ciemne oczy ścigały równie twarde i przenikliwe spojrzenia jak oko Uno, a na plecach nosili zakrzywione miecze. Mężczyzna z nagim torse, przepasany jaskrawożółtą szarfą, o skórze barwy ciemniejszego brązu niżli postarzałe drewno i dłońmi krytymi skomplikowanymi tatuażami, musiał się wywodzić z Ludu Morza, aczkolwiek nie nosił kolczyków w uszach czy nosie.

Wśród kobiet dawała się zaobserwować podobna różnorodność: z włosami od kruczej czerni po żółć tak jasną, że aż prawie białą, splecionymi, zebranymi alba spadającymi luźno, przyciętymi na krótko albo do ramion, do pasa, w sukniach z podniszczonej wełny, gładkiego lnu alba połyskliwego jedwabiu, z kołnierzami ocierającymi podbródek koronką albo haftem i dekolcami równie głębokimi jak ten, który ona ukrywała. Zauważyła nawet kobietę z Arad Doman o miedzianej karnacji, w niemalże przezroczystej czerwonej szacie, która okrywała ją po szyję, jednocześnie nie kryjąc nic! Zastanawiała się, jak bezpieczna będzie tutaj taka kobieta po zmroku. Albo nawet w świetle dnia, skoro już o tym mowa.

Przypadkowe Białe Płaszczki i żołnierze w tej rojnej masie wyglądali na zagubionych, torowali sobie drogę z równym trudem jak inni. Wozy ciągnięte przez woły albo konie wlokły się cał po calu po krzyżujących się bez planu ulicach, tragarze przepychali lektyki przez tłumy, a co jakiś czas lakierowany powóz z zaprzęgiem czterech albo sześciu koni ozdobionych pióropuszcami brnął mozolnie drogą, którą bezskutecznie usiłowali mu oczyścić stangret w liberii i strażnicy w stalowych czapach. Na każdym rogu występował żongler albo akrobata — ich umiejętności z pewnością nie mogły przysporzyć zmartwienia Thomowi albo braciom Chavana — a jak nie, to muzykanci przygrywali na fletach, cytrach albo bitternach, zawsze w towarzystwie jeszcze jakiegoś mężczyzny albo kobiety, którzy wyciągali czapkę na monety. Obszarpani żebracy przepychali się przez to wszystko, szarpiąc za rękaw i wyciągając oblepione brudem dłonie, uliczni sprzedawcy zaś nagabywali krzykiem przechodniów z tacami pełnymi wszystkiego, od szpilek przez wstążki do gruszek, zagłuszani w ogólnej wrzawie.

Odwróciła głowę w samą porę, gdy Uno wciągał ją właśnie w boczną uliczkę, gdzie ciżba była jakby rzadsza, nawet jeśli tylko przez porównanie. Zatrzymała się, by wygładzić odzienie, przekrzywione od przedzierania się przez tłum, zanim ruszyła jego śladem. Było tu również nieco ciszej. Żadnych ulicznych artystów,

mniej też, handlarzy i żebraków. Żebracy trzymali się z dala od Uno, nawet kiedy cisnął kilka miedziaków czujnej parze uliczników, czemu wcale się nie dziwiła. Ten człowiek po prostu nie wyglądał na... skłonnego do okazywania miłosierdzia.

Domostwa, mimo że miały co najwyżej dwa albo trzy piętra, górowały nad tymi wąskimi przejściami, kryjąc je w cieniu. Jednak na niebie było jasno, do zmierzchu brakowało jeszcze wielu godzin. Wciąż mnóstwo czasu, by wrócić w porę na przedstawienie. O ile będzie musiała. Jeśli szczęście im dopisze, to być może przed zachodem słońca wsiądą na pokład jakiegoś statku.

Wzdrygnęła się, kiedy nagle przyłączył się do nich jeszcze jeden Shienarain, z mieczem na plecach i kosmykiem czarnych włosów na czubku wygolonej czaszki, mężczyzna starszy od niej o zaledwie kilka lat. Uno przedstawił ich sobie zwięźle i wyjaśnił wszystko, nie zwalniając kroku.

— Oby pokój był ci łaskaw, Nynaeve — powiedział Ragan. Skóra jego ogorzałego policzka marszczyła się wokół trójkątnej, białej blizny. Twarz nawet mimo uśmiechu była surowa; zresztą nigdy nie spotkała łagodnego Shienarainina. Łagodni mężczyźni, podobnie zresztą jak łagodne kobiety, nie mogliby przeżyć na ziemiach graniczących z Ugorem.

— Pamiętam cię. Miałaś inne włosy, nieprawdaż? Nieważne. Nie bój się. Zaprowadzimy cię bezpiecznie do Masemy i wszędzie tam, gdzie zechcesz. Pamiętaj tylko, by nie wspomnieć mu o Tar Valon. — Nikt nie rzucił w ich stronę drugiego spojrzenia, ale i tak zniżył głos. — Masema jest przeświadczony, że Wieża będzie próbowała kontrolować Lorda Smoka.

Nynaeve pokręciła głową. Jeszcze jeden głupi mężczyzna, który usiłuje się nią zająć. Przynajmniej nie próbował wciągnąć jej do rozmowy; w nastroju, w jakim się znajdowała, odcięłaby się ostro, gdyby bodaj skomentował ten upał. Czuła, że twarz ma odrobinę wilgotną od potu, i nic dziwnego, skoro musiała nosić szal przy takiej pogodzie. Nagle przypomniała sobie, że jednooki mężczyzna powiedział coś w związku z opinią Ragana o jej języku. Jej zdaniem nie zrobiła nic więcej, tylko zerknęła na niego, ale Ragan zaszedł Uno od drugiej strony, jakby szukał schronienia, i obserwował ją czujnym wzrokiem. Mężczyźni!

Ulice stawały się coraz węższe i, mimo iż stojąco przy nich kamienne budynki nie miały bynajmniej, coraz częściej oglądali ich tyły oraz proste szare mury, za którymi mogły się kryć jedynie niewielkie podwórka. Na koniec skręcili w alejkę o takiej szerokości, że idąc obok siebie, mogli się w niej zmieścić tylko oni troje. Przy przeciwległym końcu stał powóz, lakierowany i pozłacany, otoczony żołnierzami w łuskowatych zbrojach. Niemal natychmiast, w połowie drogi między nią a powozem, w alejce zaroilo się od jakichś ludzi. W pstrokaciźnie kaftanów — większość ścisnęła pałki, włócznie albo miecze tak różnorodne jak ich odzienie. Mogła to być banda ulicznych zabijaków, ale żaden ze Shienarain nie zwolnił, więc ona też nie.

— Na ulicy od frontu roi się od tych cholernych durniów, którzy mają nadzieję na moment zobaczyć Masemę w przeklętym oknie. — Słowa Uno przeznaczone były tylko dla jej uszu. — Dlatego do środka dostać się można jedynie od tyłu.

Umilkł, kiedy doszli dostatecznie blisko, by czekający mężczyźni mogli usłyszeć.

Było wśród nich dwóch żołnierzy w stalowych hełmach z szerokim okapem i tunikach krytych łuską, z mieczami u bioder i włóczniami w dłoniach, ale to pozostali obserwowali nowo przybyłych i badali ich broń. Mieli niepokojące oczy, zbyt niecierpliwe, owładnięte gorączką. Tym razem z zadowoleniem powitałaby widok kogoś, kto by jej się tylko lubieżnie przyglądał. Tych mężczyzn nie obchodziło, czy ona jest kobietą, czy koniem.

Uno i Ragan bez słowa odpięli schowane w pochwach ostrza z pleców i podali je razem ze sztyletami mężczyźnie o krągłej twarzy, który kiedyś mógł być sklepiarkiem, sądząc po kaftanie i spodniach z dobrej niebieskiej wełny. Ubranie było niegdyś porządne; teraz czyste, ale mocno znoszone i zmięte, jakby ów sypiał w nim od miesiąca. Najwyraźniej rozpoznał Shienaran i chociaż przypatrywał jej się przez chwilę ze zmarszczonym czołem, a zwłaszcza nożowi za pasem, w milczeniu wskazał skinieniem głowy wąską, drewnianą furtę osadzoną w kamiennym murze. Najbardziej w całej tej scenie zdawał się zastanawiać fakt, iż żaden z nich nie wydał ani jednego dźwięku.

Za murem znajdowało się niewielkie podwórko, na którym pomiędzy kamieniami brukowych wyrastały chwasty. Wysokie, kamienne domostwo — trzy przestronne, jasnoszare piętra, z okazałymi oknami, krokwiami i zdobnymi zwieńczeniami, kryte ciemnoczerwonymi dachówkami — musiało zapewne należeć do najznamienitszych w Samarze. Kiedy brama zamknęła się za nimi, Ragan przemówił cicho.

— Zdarzały się próby zabicia Proroka.

Nynaeve dopiero po chwili zrozumiała, że on tłumaczy, dlaczego zarekwirowano im broń.

— Ale przecież wy jesteście jego przyjaciółmi — zaprotestowała. — Wszyscy razem pojechaliście za Randem do Falme. — Nie miała zamiaru nazywać go Lordem Smokiem.

— Dlatego właśnie wpuszczają nas do przeklętego środka — rzekł sucho Uno. — Mówiłem ci, że my nie widzimy wszystkiego tak... jak to widzi Prorok.

Krótką pauza i szybkie, ukradkowe spojrzenie w stronę furty, dla sprawdzenia, czy nikt nie słucha, mówiły za siebie. To był Masema, kiedyś. Uno zaś należał do ludzi, którzy z wielkim trudem okiełznawali swe języki.

— Chociaż raz uważaj, co mówisz — przykazał jej Ragan — a zapewne zdobędziemy dla ciebie pomoc, której potrzebujesz.

Przytaknęła, tak zgodnie i posłusznie jak należało — potrafiła dostrzec sensowną radę, nawet jeśli on nie miał prawa niczego jej narzucać — a on i Uno

zamienili spojrzenia wyrażające zwątpienie. Miała zamiar wepchnąć tych dwóch do worka, razem z Thomem i Juilinem, i wysmagać różgą to, co będzie wystawało.

Dom z zewnątrz wyglądał być może okazale, ale w kuchni było brudno i pusto, z wyjątkiem jednej kościstej, siwowłosej kobiety, której prosta szara suknia i białe fartuszek stanowiły jedyne czyste rzeczy, jakie przykuły wzrok, kiedy tamtędy przechodzili. Zaciskając zęby, staruszka ledwie podniosła wzrok znad małego kociołka na niewielkim ogniu, w którym mieszała zupę. Na hakach, które mogły pomieścić dwadzieścia garnków, wisiały tylko dwa poobijane, na szerokim stole zaś stała na niebieskiej tacy wyszczerbiona, gliniana misa.

Ściany za kuchnią zdobiły niezbyt okazałe gobeliny. Podczas minionego roku Nynaeve niejako wykształciła sobie oko; te sceny uczt i polowań na jelenie, niedźwiedzie i dziki były tylko dobre, nie znakomite. Pod ścianami komnat stały krzesła, stoły i komody kryte ciemnym lakierem z czerwonymi żyłkami i inkrustowane macią perłową. Gobeliny i meble jednak pokrywał kurz, wyłożoną zaś czerwonymi i białymi płytkami posadzkę miotła liznęła ledwo ledwo. Kąty i nisze sztukaterii wysokiego sufitu dekorowały pajęczyny.

Nie napotkali po drodze innych służących — w ogóle nikogo — dopóki nie podeszli do cherlawego jegomościa, który siedział na podłodze obok otwartych drzwi, w o wiele na niego za dużym, zaplamionym kaftanie z czerwonego jedwabiu, który mocno się kłócił z brudną koszulą i podartymi wełnianymi spodniami. Jeden z jego popękanych butów miał wielką dziurę w podeszwie; z drugiego wystawał palec. Jegomość podniósł rękę i szepnął:

— Oby opromieniła was Światłość i chwała imieniu Lorda Smoka. — Powiedział to w taki sposób, że słowa zabrzmiały jak pytanie, płaczliwie wykrzywiając wąską twarz, równie brudną jak jego koszula, i, jak się okazało, następne zdania wymawiał tak samo. — Prorokowi nie wolno teraz przeszkadzać? Jest zajęty? Będziecie musieli trochę poczekać?

Uno przytaknął cierpliwie, a Ragan oparł się o ścianę; nieraz już przez coś takiego przechodzili.

Nynaeve nie miała pojęcia, czego się spodziewać po Proroku, nawet teraz, kiedy już wiedziała, kim jest, ale z pewnością nie spodziewała się brudu. Zupa pachniała kapustą i ziemniakami; raczej mało wyszukana strawa jak na człowieka, przed którym drżało całe miasto. I tylko dwóch służących, którzy wywodzić się mogli z tych najędzniejszych szop stojących za miastem.

Cherlawy strażnik, o ile to rzeczywiście był strażnik — nie miał broni; może jemu też nie ufano — wydawał się nie żywić obiekcji, kiedy podeszła do miejsca, z którego mogła zajrzeć przez otwarte drzwi. Mężczyzna i kobieta widoczni w głębi nie mogli się bardziej różnić. Masema miał zgolony nawet czub na głowie, a jego kaftan, uszyty z brązowej wełny, był mocno wymięty, ale czysty, aczkolwiek wysokie do kolan buty były zdarte. Niezadowolone spojrzenie głęboko

osadzonych oczu stale ustępowało miejsca pogardzie; trójkątna blizna na śniadym policzku stanowiła niemal lustrzane odbicie blizny Ragana, tyle że była nieco bardziej wyblakła od upływu lat i położona nieco bliżej oka. Kobieta, w eleganckim niebieskim jedwabiu haftowanym złotem, w średnim wieku, była dość urodziwa, gdyby nie za długi nos. Prosty czepek z niebieskiej siatki zbierał ciemne włosy opadające niemal do pasa, ale za to nosiła szeroki naszyjnik ze złota i ogników, z bransoletą tej samej roboty, a ponadto pierścienie z klejnotami, które zdobiły niemalże każdy jej palec. Podczas gdy Masema z obnażonymi zębami wydawał się ciągle gdzieś spieszyć, ona nosiła się ze stateczną rezerwą i gracją.

— ... tyłu podąża za tobą, gdziekolwiek się nie udasz — mówiła — że porządek, jak uskrzydłony, ulatuje za mury, kiedy się zjawiasz. Ludzie nie są bezpieczni ani też ich własność...

— Lord Smok zerwał wszelkie więzi prawa, wszelkie więzi zawarte przez śmiertelnych mężczyzn i kobiety. — Głos Masemy był rozgorączkowany, pełen napięcia, ale nie złości. — Proroctwo powiada, że Lord Smok rozerwie wszystkie okowy i tak też się dzieje. Blask Lorda Smoka ochroni nas wszystkich przed Cieniem.

— Nie Cień tu zagraża, a tacy, co do cudzych sakiewek i kieszeni sięgają, albo z chęci zysku używają przemocy. Część tych, którzy podążają za tobą... wielu ich... uważa, że mogą brać od każdego wszystko, co im się żywnie podoba, nie płacąc za to.

— Na sprawiedliwość będzie czas potem, kiedy narodzimy się na nowo. Troška o sprawy tego świata jest zbędna. Ale proszę bardzo. Życzysz sobie ziemskiej sprawiedliwości... — wydał usta z pogardą — niech zatem będzie, jak oto postanawiam. Odtąd każdemu mężczyźnie, który coś ukradnie, zostanie odjęta prawa dłoń. Mężczyzna, który dokuczy kobiecie albo obrazi jej honor, względnie popełni morderstwo, zostanie powieszony. Kobieta, która ukradnie albo dopuści się mordu, zostanie wychłostana. Kara taka zostanie wymierzona pod warunkiem, że znajdzie się taki, kto wystąpi z oskarżeniem i jeśli ów skarżący znajdzie dwunastu, którzy owo oskarżenie potwierdzą. Tak postanowiłem.

— Będzie, ma się rozumieć, jako rzeczesz — wybąkała kobieta. Twarz zachowała powściągliwą dostojałość, jednak z tonu głosu sądząc, była wyraźnie wstrząśnięta. Nynaeve nie miała pojęcia, jakie prawo obowiązuje w Ghealdan, ale nie wierzyła, by mogło być aż tak prymitywne. Kobieta zrobiła głęboki wdech. — Pozostaje jeszcze sprawa żywności. Coraz trudniej wyżywić takie rzesze.

— Każdy mężczyzna, kobieta lub dziecko, którzy przybyli do lorda Smoka, winni mieć pełny brzuch. Tak być musi! Gdzie da się znaleźć złoto, da się znaleźć żywność, a na świecie jest za dużo złota. Za dużo troski o złoto. — Głowa Masemy zakołysała się gniewnie. Nie z gniewu na jego rozmówczynię, lecz w ogóle. Miał taką minę, jakby szukał tych, którzy troszczyli się o złoto, by móc na nich wyładować złość. — Lord Smok się Odrodził. Cień kładzie się nad światem i tylko

Lord Smok może nas uratować. Jedyne wiara w Lorda Smoka, uległość i posłuszeństwo słowu Lorda Smoka. Wszystko inne jest zbędne, nawet tam gdzie nie ma bluźnierstwa.

— Błogosławione niechaj będzie imię Lorda Smoka w Światłości. — Zabrzmiało to jak zwrot wyuczony na pamięć. — Nie jest to już sprawa tylko złota, lordzie Proroku. Znajdowanie i transport złota w dostatecznych...

— Nie jestem lordem — wtrącił znowu, teraz naprawdę rozszłoszczony. Pochylił się w stronę kobiety, ze śliną na wargach, i chociaż jej twarz nie uległa zmianie, ręce zadrgały, jakby chciały zacisnąć się na fałdach sukni. — Nie ma innego lorda prócz Lorda Smoka, w którym zamieszkuje Światłość, ja zaś jestem tylko pokornym głosem Lorda Smoka. Zapamiętaj to sobie! Bluźniercy, czy to wysoko, czy nisko postawieni, zasługują na bicz!

— Wybacz mi — wymamrotała obwieszona precjozami kobieta, rozpościerając spódnice w ukłonie właściwym dla dworu królowej. — Jest oczywiście, jak mówisz. Nie ma innego lorda prócz Lorda Smoka, a ja nie jestem nikim jak tylko jego pokornym wyznawcą... błogosławione niechaj będzie imię Lorda Smoka... który przychodzi wysłuchać mądrości i wskazówek Proroka.

Otarłszy usta wierzchem dłoni, Masema nagle ochłódł.

— Za dużo złota nosisz. Nie pozwól, by zwodziły cię na pokuszenie dobra doczesne. Złoto to nieczystość. Lord Smok jest wszystkim.

Natychmiast zaczęła zrywać z palców pierścienie; nim zdjęła drugi, cherlawy jegomość podbiegł już do jej boku, wyciągając sakiewkę z kieszeni kaftana i podsunął ją w jej stronę. Bransoleta i naszyjnik również powędrowały do sakiewki.

Nynaeve popatrzyła na Uno, unosząc brew.

— Każdy grosz idzie na biednych — wyjaśnił jej głosem tak cichym, że ledwie to dotarło do jej ucha — albo na tych, którzy znaleźli się w potrzebie. Gdyby jakiś kupiec nie oddał mu swego przeklętego domu, mieszkaliby w przeklętej stajni albo w tych szałasach za miastem.

— Nawet jego pożywienie przychodzi jako datek — dodał równie cicho Ragan. — Kiedyś przynosili mu dania, które przystają królowi, dopóki się nie dowiedzieli, że on rozdaje wszystko prócz odrobiny chleba, zupy albo gulaszu. Prawie wcale nie pije już wina.

Nynaeve potrząsnęła głową. Zdawała sobie sprawę, iż jest prosty sposób na znalezienie pieniędzy dla biednych. Po prostu obrabować kogoś, kto nie jest biedny. Oczywiście ostatecznie to sprawi, że wszyscy będą biedni, ale przez jakiś czas mogło przynosić efekty. Zastanawiała się, czy Uno i Ragan ogarniają to wszystko. Ludzie, którzy twierdzili, że zbierają pieniądze, by wspomóc innych, często znajdowali sposób, by wpuścić sporo do własnej kieszeni, względnie lubili rozgłos, jaki dawało im szerzenie o tym wieści, o wiele za bardzo go lubili. Miała wyższe mniemanie o człowieku, który swobodnie wydzielał miedziaka ze swej sakiewki niż o kimś, kto siłą odbierał drugiemu złotą koronę. I wcale nie. wyższe o głup-

cach, którzy porzucali farmy i warsztaty, by iść za tym... za tym Prorokiem, nie mając pojęcia, skąd wezmą swój następny posiłek.

Kobieta dygnęła przed Masemą jeszcze niżej niż przedtem, szeroko rozkładając spódnice i pochylając głowę.

— Dopóki Prorok znowu nie zaszczyci mnie swym słowem i radą. Oby imię Lorda Smoka było błogosławione w Światłości.

Masema odprawił ją machnięciem ręki, już o niej częściowo zapominając. Zauważył ich w przedsionku i popatrzył na nich z wyrazem na tyle zadowolonym, na ile było stać jego skwaśniałe oblicze. Nie było ono zbyt wyraźne. Kobieta wyszła, zdając się nawet nie zauważać Nynaee ani obu mężczyzn. Nynaee pociągnęła nosem, kiedy cherlawy jegomość w czerwonym kaftanie zamachał z niepokojem ręką na znak, że mają wejść. Jak na kogoś, kto właśnie pozbył się na czyjeś żądanie całej biżuterii, ta kobieta zdobyła się na iście królewską postawę.

Kościsty mężczyzna umknął na swój posterunek przy drzwiach, kiedy tamci trzej podali sobie ręce zgodnie z obyczajem panującym w Ziemiach Granicznych, ściskając sobie wzajem przedramiona.

— Oby pokój był przychylny twemu mieczowi — powiedział Uno, co niczym echu powtórzył Ragan.

— Oby pokój był przychylny Lordowi Smokowi — padła odpowiedź — a jego Światłość opromieniała nas wszystkich.

Nynaee zapało dech. Bez wątpienia to właśnie chciał powiedzieć; Lord Smok to źródło Światłości. I on miał czelność mówić o bluźnierstwach innych!

— Czy przybyliście nareszcie do Światłości?

— Podążamy w Światłości — powiedział ostrożnie Ragan. — Jak zawsze.

Uno milczał z nieodgadnioną twarzą.

Czujna cierpliwość odegrała dziwaczne przedstawienie na cierpkich rysach Masemy.

— Nie ma innej drogi do Światłości jak tylko poprzez Lorda Smoka. Zobaczycie na końcu i drogę, i prawdę, bowiem wyście widzieli Lorda Smoka, a tylko ci, których dusze pochłonał Cień, mogą zobaczyć i nie uwierzyć. Wy tacy nie jesteście. Wy uwierzycie.

Mimo upału i wełnianego szala na ramiona Nynaee wypełzła gęsia skórka. Głos tego człowieka przepełniała absolutna pewność, a z tak bliska widziała w jego niemalże czarnych oczach błysk, który graniczył z szaleństwem. Omiótł ją tymi oczyma, a ona usztywniła kolana. Przy nim najbardziej wściekły Biały Płaszcz, jakiego kiedykolwiek widziała, wydawał się wcieleniem łagodności. Tamci jegomości w alejce stanowili jedynie nędzną imitację ich władzy.

— A ty, kobieto? Czy jesteś gotowa dojść do Światłości Lorda Smoka, wyrzekając się grzechu i cielesności?

— Podążam w Światłości najlepiej, jak potrafię. — Zirytowała się, gdy do niej dotarło, że przemawia równie ostrożnie jak Ragan. Grzech? Za kogo on się

uważa?

— Zanadto troszczysz się o swe ciało. — Masema miażdżył ją wzrokiem, którym omiatał czerwoną suknię i szal ciasno udrapowany wokół kibici.

— A cóż to niby ma znaczyć?

Oko Uno rozszerzyło się ze zdumienia, zaś Ragan wykonywał nieznaczące, uciszające gesty, ona jednak prędzej by zapewne pofrunęła, zamiast umilknąć.

— Uważasz, że masz prawo mówić mi, jak mam się ubierać? — Zanim do niej dotarło, co robi, odwiązała szal i zapętlila go na łokciach; zresztą i tak było tam doprawdy zbyt gorąco. — Żaden człowiek nie ma takiego prawa, arii względem mnie, ani względem żadnej innej kobiety! Nawet jeśli zachce mi się chodzić nago, to tobie nic do tego!

Masema przez chwilę kontemlował jej łono — w głęboko osadzonych oczach nie rozbłysł nawet ślad podziwu, jedynie cierpka pogarda — po czym przeniósł wzrok na jej twarz. Oczy Uno, to prawdziwe i to namalowane, znakomicie się upodobniły, wpatrzone groźnie w nie wiadomo co, Ragan zaś skrzywił się, zapewne mruczając coś sam do siebie.

Nynaeve z trudem przełknęła ślinę. To tyle z trzymaniem języka na wodzy. Być może po raz pierwszy w życiu prawdziwie żałowała, że powiedziała, co myśli, nie myśląc pierwej. Jeśli ten człowiek mógł wydać rozkaz, by komuś innemu ucięto ręce, skoro mógł rozkazywać, by wieszano ludzi, urządzając im parodię procesu, to do czego on nie był władny? Poczuli, że jest tak zła, że mogłaby przenosić.

Ale gdyby to zrobiła... Jeśli Moghedien albo Czarne siostry były w Samarze...

„Ale jeśli nie przeniosę...!”

Bardzo chciała znowu otulić się szalem, aż po samą szyję. Ale nie teraz, kiedy on się na nią gapi. Coś w zakamarku umysłu ostrzegało ją krzykiem, żeby nie zachowywała się jak skończona wełnianogłowa idiotka — tylko mężczyźni pozwalają, by pycha paraliżowała im rozum — ale mimo iż nie mogła przestać przetykać śliny, butnie sparowała spojrzenie Masemy.

Prorok szyderczo wykrzywił usta.

— Takie ubiory nosi się wyłącznie po to, by kusić mężczyzn. — Nie umiała zrozumieć, jak jego głos może być taki żarliwy i jednocześnie lodowaty. — Myśli o ciele odciągają umysł od Lorda Smoka i Światłości. Zastanawiam się, czy nie zabronić noszenia sukien, które rozpraszą oczy i umysły mężczyzn. Niechaj kobiety, które marnują czas na kuszenie mężczyzn, a także mężczyźni, którzy kuszą kobiety, będą chłostani tak długo, aż nie pojmą, że radość znaleźć można jedynie w doskonałej kontemplacji Lorda Smoka i Światłości.

Właściwie to już wcale na nią nie patrzył. To ponure, płonące spojrzenie przezierало ją na wskroś, wbite w coś odległego.

— Niechaj tawerny i wszystkie lokale, w których sprzedają mocne napitki oraz

wszelkie miejsca, które odciągają umysły ludzi od tejże doskonałej kontemplacji, zostaną zamknięte i zrównane z ziemią. W swoich grzesznych latach często bywałem w takich przybytkach, ale teraz z całego serca żałuję, jako że każdy winien okazać skruchę za swe nieprawości. Jest tylko Lord Smok i Światłość! Wszystko inne jest złudzeniem, sidłami zastawionymi przez Ciebie!

— To jest Nynaeve al'Meara — rzekł szybko Uno, kiedy Masema po raz pierwszy urwał dla zaczerpnięcia oddechu. — Z Pola Emonda, w Dwu Rzekach, skąd pochodzi Lord Smok.

Głowa Masemy powoli odwróciła się w stronę jednookiego mężczyzny, a ona pospiesznie skorzystała z okazji, by poprawić szal, tak jak go nosiła przedtem.

— Była w Fal Dara razem z Lordem Smokiem, a także w Falme. Lord Smok wyratował ją w Falme. Dla Lorda Smoka jest równie bliska jak własna matka.

Innym razem powiedziała mu kilka starannie dobranych słów i być może dobrze wytargała za ucho. Rand wcale jej nie wyratował — a w każdym razie nie tak to wyglądało — a ona była zaledwie kilka lat odeń starsza. Matka, też coś! Masema odwrócił się do niej z powrotem. Zapalczywe światło, które płonęło przedtem w jego oczach, było niczym w porównaniu z tym, które płonęło teraz. Te oczy niemalże się jarzyły.

— Nynaeve. Tak. — Jego głos stężał. — Tak! Pamiętam twoje imię i twoją twarz. Błogosławiłaś ty między niewiastami, Nynaeve al'Meara, mniej tylko od błogosławionej matki samego Lorda Smoka, wyście bowiem patrzyły na dorastanie Lorda Smoka. Ty doglądałaś Lorda Smoka, kiedy był jeszcze dzieckiem. — Chwycił ją za rękę, upijając w nie boleśnie twarde palce. ale wydawał się tego nie zauważać. — Ty opowiesz rzeszom a chłopięcych latach Lorda Smoka, o jego pierwszych słowach mądrości, o cudach, jakie mu towarzyszyły. Światłość sama zesłała cię tutaj, abyś służyła Lordowi Smokowi.

Nie była dokładnie pewna, co powiedzieć. Aż tak wielu cudów w obecności Randa to ona nie widziała. Słyszała wprawdzie o różnych rzeczach, które miały miejsce w Łzie, ale zdarzenia, które powodowali *ta'veren*, raczej nie zasługiwały na miano cudów. Naprawdę nie. Nawet to, co się zdarzyło w Falme, miało racjonalne wyjaśnienie. W pewnym sensie. A co do słów mądrości, ta pierwsze, jakie z jego ust usłyszała, to była żarliwa obietnica, że już nigdy nie będzie w nikogo rzucał kamieniami, złażona, kiedy dała mu porządnego klapsa w dolną część jego młodych pleców. Nie uważała, by od tego czasu słyszała jeszcze jakieś słowo, które nazwałaby mądrym. A w każdym razie nawet gdyby Rand udzielał jakichś mądrych rad od kołyski, nawet gdyby nocami pojawiały się komety, a za dnia na niebie jakieś wizje, to i tak nie zostanie z tym szaleńcem.

— Muszę się wyprawić w dół rzeki — odparła ostrożnie. — Żeby przyłączyć się do niego. Do Lorda Smoka.

Ten przydomek warzył się jej na języku niczym mleko, i to tak szybko po tym, jak złożyła sobie obietnicę, ale najwyraźniej Rand w związku z Prorokiem nigdy

nie bywał określany jako po prostu „on”.

„Jestem tylko rozsądna. To wszystko”.

„Mężczyzna jest dębem, kobieta wierzba”, głosiło przysłowie. Dąb opierał się wiatrowi i dlatego się łamał, zaś wierzba gięła się, kiedy było trzeba i dzięki temu mogła ocaleć. Co wcale nie znaczyło, że Nynaeve lubiła się giąć.

— On... Lord Smok... jest w Łzie. Lord Smok wezwał mnie tam.

— W Łzie. — Masema odjął ręce, a ona ukradkiem roztarła ramiona. Wcale jednak nie musiała tego ukrywać; znowu patrzył na coś poza zasięgiem jej wzroku. — Tak, słyszałem o tym.

Znowu zwracał się do tego czegoś poza zasięgiem wzroku, a może najwyuczajniej do siebie.

— Kiedy Amadicia opowie się po stronie Lorda Smoka, tak jak to uczyniło Ghealdan, poprowadzę ludzi do Łzy, by skapać ich w świetlistości Lorda Smoka. Wyślę uczniów, by nieśli słowo Lorda Smoka po całym Tarabonie i Arad Doman, do Saldaei, Kadoru i Ziem Granicznych, do Andoru i poprowadzę ludzi, by ukłękli u stóp Lorda Smoka.

— Mądry plan... hm... o Proroku Lorda Smoka. — O głupszym planie w życiu nie słyszała. Co wcale nie znaczyło, że się nie powiedzie. Z jakiegoś niewiadomego powodu głupie plany często się udawały. Może nawet Randowi by się spodobało, gdyby ci wszyscy ludzie klękali przed nim, jeśli był chociaż tylko w połowie tak arogancki, jak twierdziła Egwene. — Ale my... ja nie mogę czekać. Zostałam wezwana, a kiedy Lord Smok wzywa, zwykli śmiertelnicy muszą być posłuszni.

Któregoś dnia znajdzie sposobność, by wytargać Randa za uszy za to, że musi to robić!

— Muszę znaleźć statek, który płynie w dół rzeki.

Masema wpatrywał się w nią tak długo, że aż zaczęła się robić nerwowa. Pot spływał jej po plecach i między piersiami, a było to tylko częściowo spowodowane upałem. Pod wpływem tego spojrzenia Moghedien by się spociła.

W końcu skinął głową, a fanatyczny ogień przygasł, ustępując miejsca zwykłemu kwaśnemu grymasowi.

— Tak — westchnął. — Jeśli zostałam wezwana, to musisz jechać. Jedź ze Światłością i w Światłości. Ubieraj się bardziej stosownie... ci, którzy są blisko Lorda Smoka, winni być cnotliwsi od innych... i medytuj nad Lordem Smokiem i jego Światłością.

— A statek? — nalegała Nynaeve. — Ty na pewno zawsze wiesz, jak jakiś statek przypływa do Samary lub jakiejś nadrzecznej wioski. Gdybyś mi tylko powiedział, gdzie go szukać, to moja podróż byłaby znacznie... szybsza. — Chciała powiedzieć „łatwiejsza”, ale nie sądziła, by takie sprawy miały jakieś większe znaczenie dla Masemy.

— Mnie takie sprawy nie interesują — odparł z rozdrażnieniem. — Ale masz rację. Kiedy Lord Smok rozkazuje, musisz się stawić na godzinę. Popytam. Jeśli da się znaleźć jakiś statek, to ktoś mi o nim w końcu powie.

Przeniósł wzrok na dwóch mężczyzn.

— Macie dopilnować, by ona do tego czasu była bezpieczna. Jeśli uparcie będzie się ubierała w taki sposób, to przyciągnie mężczyzn o nikczemnych myślach. Należy ją chronić, niczym niesforne dziecko, dopóki nie złączy się na powrót z Lordem Smokiem.

Nynaeve ugryzła się w język. Wierzba, nie dąb, kiedy potrzebna jest wierzba. Udało jej się zamaskować irytację uśmiechem, który musiał przekazywać całą wdzięczność, jakiej mógł sobie życzyć taki idiota. Tyle, że niebezpieczny idiota. Należy to sobie zapamiętać.

Uno i Ragan pożegnali się szybko, po raz kolejny ściskając się z nim za przedramiona i pospiesznie ją wyprowadzili, otaczając z dwu stron, jakby z jakiegoś powodu uważali, że trzeba ją natychmiast zabrać od Masemy. Nie dotarli jeszcze do drzwi, gdy Masema jakby zapomniał już o nich; patrzył krzywo na cherlawego sługę, czekającego obok osobnika w farmerskim kaftanie, który międził czapkę w grubych dłoniach, ze strachem odmalowanym na szerokiej twarzy.

Nie powiedziała ani słowa, kiedy wracali tą samą drogą przez kuchnię, gdzie siwowłosa kobieta nadal zaciskała zęby i mieszała zupę, jakby w ogóle się stamtąd nie ruszała. Dopóki nie odzyskali broni, Nynaeve pilnie strzegła języka i strzegła go nadal, dopóki nie skręcili z alejki w coś, co szerokością zasługiwało na miano ulicy. Potem natarła na nich, na przemian grożąc obu palcem pod nosem.

— Jak śmialiście tak mnie stamtąd wywlec!

Mijający ich ludzie uśmiechali się — mężczyźni ze współczuciem, kobiety ze zrozumieniem — mimo iż nikt nie mógł mieć pojęcia, za co ona tak ich beszta.

— Jeszcze pięć minut, a zmusiłabym go, żeby jeszcze dzisiaj znalazł dla mnie statek! Jeśli jeszcze raz znowu tkniecie mnie choćby palcem. . .

Uno parsknął tak głośno, że urwała, wzdrygając się.

— Jeszcze pięć przeklętych minut, a Masema tknąłby cię cholernym palcem. Albo raczej powiedziałby, że ktoś ma to zrobić i potem ktoś przeklęty by to zrobił! Kiedy on mówi, że coś ma zostać zrobione, zawsze pojawia się pięćdziesiąt przeklętych palców albo i sto, nawet przeklętych tysięcy, jeśli trzeba wykonać jego rozkaz!

Pomaszerował w dół ulicy, z Raganem u boku, a ona musiała albo iść za nimi, albo zostać. Uno dawał długie kroki, jakby wiedział, że i tak powlecze się w ślad. Omal nie poszła w przeciwną stronę, żeby mu tylko udowodnić, że jest inaczej. Pójście za nim nie miało nic wspólnego z obawą przed zgubieniem się w tym wściekłym labiryncie ulic. Umiałaby sama znaleźć drogę do wyjścia. Prędzej lub później.

— On kazał wychłostać przeklętego Lorda Królewskiej Rady Najwyższej. —

wychłostać!... za połowę tej pasji, jaką ty miałas w głosie — warknął jednooki mężczyzna. — Pogarda dla słowa Lorda Smoka, tak to nazwał. Pokój! To pytanie o jego cholerne prawo do komentowania twojego przeklętego ubrania! Potem przez kilka minut szło ci nawet niezłe, ale na koniec widziałem twoją minę. Byłaś gotowa znowu na niego wsiąść. Gorzej mogłaś postąpić tylko przez nazwanie przeklętego Lorda Smoka po imieniu. On to nazywa bluźnierstwem. Czyli jakbyś wzywała przeklętego Czarnego.

Kosmyk na czubku głowy Ragana zakołysał się, kiedy ten mu przytaknął.

— Pamiętasz lady Baelome, Uno? Zaraz po tym, jak przywędrowały pierwsze pogłoski z Łzy odnośnie Lorda Smoka, ona powiedziała coś na temat „tego Randa al’Thora”. To doszło do Masemy, a ten zażądał topora i pniaka, nie zatrzymując się nawet dla zaczerpnięcia oddechu.

— Kazał kogoś za to ściąć? — spytała z niedowierzaniem.

— Nie — mruknął z obrzydzeniem Uno. — Ale tylko dzięki temu, że ta kobieta tarzała się po cholernej ziemi, kiedy do niej dotarło, że ten przeklęty mówi o tym poważnie. Została wywleczona z domu i przytroczona za przekłete nadgarstki do tyłu własnego powozu, a potem chłostano ją przez całą długość tej cholernej wsi, w której wtedy się zatrzymaliśmy. Jej własna, przeklęta świta stała jak banda wieśniaków z owczymi bebechami i tylko na to patrzyła.

— Kiedy już było po wszystkim — dodał Ragan — dziękowała Masemie za jego miłosierdzie, tak samo jak lord Aleshin. — Przybrał zanadto dosadny ton jak na jej gust; prawil jej morały i spodziewał się, że ona to zaakceptuje. — Oni wykazali się rozsądkiem, Nynaeve. Ich głowy byłyby pierwsze, które on nadzieje na pal. Twoja byłaby ostatnia. I nasze razem z nią, za to, że próbowaliśmy pomóc. Masema nie ma faworytów.

Wciągnęła oddech. W jaki sposób Masema doszedł do takiej władzy? I to władzy, która najwyraźniej nie obejmowała wyłącznie jego wyznawców. Ale z kolei nie było powodu, dla którego lordowie albo damy nie mogli być takimi samymi durniami jak byle farmer; zdarzało się, jej zdaniem, wśród nich wielu jeszcze większych. Tamta idiotka z pierścieniami z pewnością była arystokratką; kupczyń nie nosiły ogników. Ale przecież w Ghealdan musiało obowiązywać jakieś prawo, działały chyba sądy i sędziowie. A gdzie królowa albo król? Nie mogła sobie przypomnieć, czy w Ghealdan w ogóle ktoś taki panuje. W Dwu Rzekach niewiele wiadano o królach czy królowych, ale przecież do tego oni są, oni, lordowie i lady; to oni pilnują, by przestrzegano sprawiedliwości. Ale koniec końców, to nie jej sprawa, co robi tutaj Masema. Ma ważniejsze problemy, niżli przemawianie się bandą imbecyli, którzy pozwalają, by tratował ich szaleniec.

A jednak ciekawość kazała jej zapytać:

— Czy on naprawdę zamierza przeszkodzić mężczyznom i kobietom, by na siebie patrzyli? Co jego zdaniem się stanie, jeśli nie będzie małżeństw, dzieci? Czy on potem zabroni ludziom uprawiania roli, tkania albo szycia butów, żeby dzięki

temu mogli rozmyślać o Randzie al'Thorze? — Specjalnie wymówiła to imię z naciskiem. Ci dwaj stale nazywali go „Lordem Smokiem”, bez zastanowienia, zupełnie tak jak Masema. — Powiem wam. Jeśli on spróbuje nakazać kobietom, jak mają się ubierać, to zapoczątkuje zamieszki. Przeciwno sobie.

W Samarze musiało istnieć coś takiego jak Koło Kobiet — Koła Kobiet istniały prawie wszędzie, nawet jeśli nazywały się inaczej, nawet jeśli nie stanowiły żadnej formalnej organizacji; były po prostu takie sprawy, do pilnowania których mężczyznom brakowało rozumu — które z pewnością mogło i istotnie besztowało kobiety za noszenie niestosownych ubrań, ale to nie to samo co mężczyźni maczający w tym swój palec. Kobiety nie mieszały się do męskich spraw — no w każdym razie, nie bardziej niż to było konieczne — więc i mężczyźni nie powinni się mieszać do spraw kobiet.

— I spodziewam się, że mężczyźni nie zareagują lepiej, jeśli on spróbuje zamknąć tawerny i temu podobne przybytki. W życiu nie poznałam mężczyzny, który nie zapłakałby się na śmierć, gdyby co jakiś czas nie mógł wetknąć nosa w kufel.

— Może to zrobi — rzekł Ragan — a może nie. Czasami wydaje różne rozkazy i zapomina o nich albo odkłada ich wykonanie na potem, bo wyniknie coś ważniejszego. Byłabyś zdumiona — dodał oschle — co jego wyznawcy akceptują od niego bez słowa skargi.

Zauważyła, że on i Uno zaszli ją z dwóch stron i czujnie obserwowali innych ludzi na ulicy. Nawet dla niej ci dwaj sprawiali wrażenie gotowych do zdobycia mieczy w mgnieniu oka. Jeśli rzeczywiście zamierzali wypełnić instrukcje Mase-my, to czekała ich niespodzianka.

— On nie jest przeciwny przekłętemu małżeństwu — warknął Uno, wpatrując się tak twardo w sprzedawcę mięsnych placków, które tamten niósł na tacy, że ów odwrócił się i uciekł, nie biorąc monet od dwóch kobiet trzymających już placki w dłoniach. — Masz szczęście, że on nie przypomniał sobie, że ty nie masz męża, bo inaczej mógłby cię wysłać do Lorda Smoka jako kobietę już zamężną. Bywa, że wybiera trzystu albo czterystu nieżonatych mężczyzn i tyleż samo kobiet, po czym żeni ich. Większość nigdy wcześniej nie widziała się wzajem aż do dnia ślubu. Skoro ci przekłęci śmieciarze o gołębih bebechach nie skarżą się na to, to czy naprawdę sądzisz, że otworzą cholerne usta na temat tawern?

Ragan mruknął coś pod nosem, ale pochwyciła dość, by zmrużyć oczy.

— Człęk nawet nie wie, jakie ma szczęście.

To właśnie powiedział. Nawet nie zauważył jej groźnego spojrzenia. Za bardzo był zajęty lustrowaniem ulicy, pilnowaniem, by ktoś jej nie porwał niczym prosiaka w worku. Poczuła pokusę, by zdjąć szal i odrzucić go. Wyraźnie też nie słyszał, jak pociągnęła nosem. Mężczyźni potrafią być bezlitośnie ślepi i głusi, jeśli tak im się akurat podoba.

— Przynajmniej nie próbował ukraść mi biżuterii — zauważyła. — Kim była

ta głupia kobieta, która oddała mu swoje kosztowności? — Nie mogła mieć zbyt wiele rozumu, jeśli przystała do wyznawców Masemy.

— To była Allandre — wyjaśnił Uno — Błogosławiona w Światłości, Królowa przekłętego Ghealdan. Ma jeszcze kilkanaście innych tytułów, zgodnie z tym waszym południowym upodobaniem do ich piętrzenia.

Nynaeve zaryła palcem od nogi w kamień brukowy i omal nie upadła.

— A więc on to właśnie tak robi! — wykrzyknęła, odtrącając ich usługane ręce. — Jeśli jakaś kobieta jest tak głupia, że go słucha, to nic dziwnego, że on potem robi to, co mu się zachce.

— Wcale nie taka głupia — odparł ostro Uno, błyskając w jej stronę krzywym spojrzeniem, zanim na nowo podjął obserwowanie ulicy. — To mądra kobieta. Kiedy nagle stwierdzisz, żeś dosiadła cholernego dzikiego konia, to lepiej jedź tam, dokąd ten przekłety galopuje, jeśli jesteś dość sprytna, by pamiętać o wylewaniu wody ze swego cholernego buta. Myślisz, że ona jest głupia, bo Masema zabrał jej pierścienie? Ona jest dość sprytna, by wiedzieć, że on może zażądać jeszcze więcej, jeśli przestanie wkładać biżuterię, kiedy do niego przychodzi. Za pierwszym razem to on udał się do niej... od tamtego czasu zawsze jest na odwrót... i zabrał jej wszystkie pierścienie z przeklętych palców. We włosach miała sznury pereł; pozrywał te sznury, kiedy je wyciągał. Wszystkie dwórki padły na kolana, żeby zebrać przekłete perły z podłogi. Sama Allandre zebrała nawet kilka.

— Mnie się to wcale nie wydaje takie mądre — upierała się. — To brzmi jak tchórzostwo.

„A czyje kolana się trzęsły pod wpływem jego spojrzenia? — zapytał jakiś głos w jej głowie. — Kto się tak głupio pocił?”

Przynajmniej jakoś stawiała mu czoło.

„Zrobiłam to. Uginanie się jak wierzba to nie to samo, co krycie się jak mysz”.

— To ona jest królową czy nie?

Obaj wymienili zirytowane spojrzenia, a Ragan powiedział cicho:

— Ty nic nie rozumiesz, Nynaeve. Allandre jest czwarta, która zasiada na Błogosławionym Przez Światłość Tronie, odkąd przybyliśmy do Ghealdan, a to zaledwie pół roku. Johanin nosił koronę, kiedy Masema zaczął przyciągać tłumy, ale on uważał Masemę za nieszkodliwego szaleńca i nie zrobił nic, kiedy tłumy jęły się rozrastać i jego arystokraci powiedzieli, że ma położyć temu kres. Johanin zginął w wypadku na polowaniu...

— Wypadek na polowaniu! — wtrącił Uno, szyderczo się uśmiechając. Jakiś sprzedawca, który przypadkiem na niego spojrział, upuścił tacę ze szpilekami i igłami. — Dopóki nie poznał osobiście cholernego końca przekłętej włóczni na dziki. Przekłeci południowcy i ich przekłeta Gra Domów.

— I sukcesję przejęła Ellizelle — podjął temat Ragan. — Kazała wojsku rozpedzić tłumy, aż wreszcie rozgorzała bitwa, w wyniku której to wojsko było ści-

gane.

— Kiepskie wytłumaczenie dla przeklętych żołnierzy — mruknął Uno.

Postanowiła, że znowu z nim porozmawia na temat jego języka.

Ragan przytaknął i ciągnął dalej.

— Powiadają, że Ellizelle zażyła potem truciznę, ale nieważne, jak umarła, zastąpiła ją Teresa, która utrzymała się na tronie całe dziesięć dni po swej koronacji, dopóki nie skorzystała z szansy posłania dwóch tysięcy żołnierzy przeciwko dziesięciu tysiącom ludzi, którzy zebrali się pod Jehannah, by wysłuchać Masemy. Kiedy jej żołnierze zostali przepędzeni, abdykowała i poślubiła bogatego kupca.

Nynaeve popatrzyła na niego z niedowierzaniem, na co Uno parsknął.

— Tak powiadają — utrzymywał młodszy mężczyzna. — Oczywiście na tej ziemi poślubienie człowieka z gminu oznacza wyzbycie się wszelkich roszczeń do tronu na zawsze i cokolwiek Beron Goraed myśli o posiadaniu pięknej młodej żony z królewską krwią, z tego, co mi wiadomo, wczesnym rankiem wywlekło go z łóżka kilku członków świty Alliandre i zawlokło do pałacu Jheda na ślub. Teresa udała się do majątku męża, a tymczasem Alliandre została koronowana, wszystko to przed wschodem słońca, a potem nowa królowa wezwała Masemę do pałacu, by mu powiedzieć, że już nie będzie nękany. Wezwała go po dwóch tygodniach. Nie wiem, czy ona naprawdę wierzy, że on naucza, ale wiem, że przejęła tron kraju znajdującego się na skraju wojny domowej, z Białymi Płaszczami gotowymi wkroczyć lada chwila, i powstrzymała wybuch wojny w jedyny sposób, na jaki ją było stać. To mądra królowa i człowiek, który jej służy, powinien być z tego dumny, mimo że ona pochodzi z południa.

Nynaeve otworzyła usta i zapomniała, co chciała powiedzieć, Uno bowiem zdawkowym tonem rzekł:

— Idzie za nami jakiś przeklęty Biały Płaszcz. Nie oglądaj się, kobieto. Masz chyba więcej przekłętego rozumu.

Kark jej zeszytniał z wysiłku, jaki wkładała w patrzenie przed siebie, na plecach czuła ciarki.

— Skręć w najbliższą ulicę, Uno.

— To nas odwiedzie od głównych ulic i przeklętych bram. W cholernym tłumie moglibyśmy go zgubić.

— Skręć! — Wolno wciągnęła powietrze, starając się, by jej głos brzmiał mniej piskliwie. — Ja go muszę obejrzeć.

Uno spojrział na nią tak zapalczywie, że ludzie ustąpili im z drogi w odległości dziesięciu kroków, ale ostatecznie skręcili w najbliższą wąską uliczkę. Nieznacznie obróciła głowę, kiedy skręcili, tyle tylko by móc spojrzeć kątem oka na śledzącego ich mężczyznę, zanim widok przesłoniła im niewielka kamienna tawerna. Śnieżnobiały płaszcz z promienistym słońcem wyróżniał się w rzadkim tłumie. Nie mogło być pomyłki co do tej urodziwej twarzy, twarzy, którą spodziewała

się zobaczyć. Żaden inny Biały Płaszcz oprócz Galada nie miał najmniejszego powodu jej śledzić, a już z pewnością nie Uno czy Ragana.

KOŁO SIĘ OBRACA

Ledwie budynek skrył Galada, spojrzenie Nynaeve pomknęło w dół ulicy. Kipiała z wściekłości, na siebie samą i na Galadedrida Damodreda.

„Ty bezrozumna wełnianogłowa kobieto!”

Pasaż był równie wąski jak inne, wybrukowany owalnymi kamieniami i obrzeżony ponurymi sklepami, domami i tawernami, zaludniony przez rzadkie, popołudniowe tłumy.

„Gdybyś nie przyszła do miasta, on by cię nigdy nie znalazł!”

Zbyt rzadkie, by kogoś skryć.

„Musiałaś iść zobaczyć Proroka! Musiałaś iść, boś sobie ubzduriała, że Prorok przeniesie cię jak na skrzydłach, zanim Moghedien tu dotrze! Kiedy ty się nauczysz, że nie możesz polegać na nikim tylko na sobie?”

W jednej chwili dokonała wyboru. Kiedy Galad skręci za tamten róg i nie zobaczy ich, zacznie zaglądać do sklepów, a może również i tawern.

— Tędy. — Podkasawszy spódnicę, wpadła do najbliższej alejki i przylgnęła plecami do muru. Skradała się, więc nikt na nią nie spojrzał dwa razy, ale wołała się nie zastanawiać, jak to świadczy o sytuacji w Samarze. Uno i Ragan byli u jej boku, jeszcze zanim się zatrzymała, wciskali ją w głąb zakurzonej alejki, obok starożytnego, rozbitego cebrzyka i beczki na deszczówkę, tak wyschniętej, że klepki lada chwila mogły odpaść od obręczy. Przynajmniej postąpili tak, jak sobie życzyła. Do pewnego stopnia. Dłonie zaciśnięte na długich rękojeściach mieczy wystających nad barkami wskazywały, że są gotowi bronić jej, niezależnie od tego, czy będzie chciała czy nie.

„Pozwól im, głupia kobieto! Myślisz, że sama się obronisz?”

Była z pewnością dostatecznie zła. Galad, ze wszystkich ludzi na świecie! Po co oddalała się od menażerii! Głupi kaprys, a mógł wszystko popsuć. Nie tylko w obecności Masemy, również tutaj za nic nie wolno jej przenosić. Już sama możliwość, że Moghedien albo Czarne siostry są w Samarze, sprawiała, że jej bezpieczeństwo zależne było od tych dwóch mężczyzn. Co wystarczyło, by spiętrzyć jej gniew; byłaby chyba zdolna wygryźć dziurę w tym kamiennym murze, do którego przywarła plecami. Rozumiała teraz, dlaczego wszystkie Aes Sedai mają Strażników — wszystkie prócz Czerwonych. Umysłem to pojmowała, ale

serce kipiało gniewem.

Pojawił się Galad, powoli przedzierał się między grupkami ludzi wypełniającymi ulicę, rozglądał wokół. Nie było właściwie powodów, dla których nie miałby przejść mimo, a jednak prawie natychmiast jego wzrok padł na alejkę. Na nich. Nawet nie raczył okazać zadowolenia bądź zaskoczenia.

Uno i Ragan poruszyli się jednocześnie, kiedy Galad skręcił w alejkę. Jednooki mężczyzna w mgnieniu oka dobył miecza, zaś spóźnienie Ragana trwało tylko tyle, ile potrzebował, by wepchnąć Nynaeve głębiej w wąskie przejście. Ustawili się jeden za drugim; gdyby Galadowi udało się pokonać Uno, to musiałby się jeszcze zmierzyć z Raganem.

Nynaeve zazgrzytała zębami. Przecież te wszystkie miecze są niepotrzebne, bezużyteczne — wyczuwała Prawdziwe Źródło, niczym niewidzialne światło nad swym ramieniem; czekało, aż je obejmie. Mogła to zrobić. Gdyby miała odwagę.

Galad zatrzymał się u wylotu alejki, z płaszczem odrzuconym i jedną ręką wspartą nonszalancko na rękojeści miecza, obraz sprężystej niby stał gracji. Gdyby nie wypolerowana zbroja, można by sądzić, że wybiera się na bal.

— Nie chcę zabijać żadnego z was, Shienaranie — powiedział spokojnie do Uno. Nynaeve słyszała, jak Elayne i Gawyn wypowiadali się na temat szermierczych umiejętności Galada, ale dopiero teraz dotarło do niej, że mógł być rzeczywiście tak dobry, jak twierdzili. On sam w każdym razie był najwyraźniej o tym przeświadczony. Dwaj doświadczeni żołnierze z obnażonymi ostrzami, a on mierzył ich wzrokiem w taki sposób, w jaki wilczur mierzyłby parę małych piesków, nie mając wprawdzie ochoty na konfrontację, lecz absolutnie przekonany, że w razie czego pokona oba. Przemówił do niej, na moment nie odrywając wzroku od mężczyzn.

— Ktoś inny wbiegłby do jakiegoś sklepu albo tawerny, ale ty nigdy nie robisz tego, czego można oczekiwać. Pozwolisz, że z tobą porozmawiam? Nie zmuszaj mnie, bym zabił tych mężczyzn.

Żaden z przechodniów nie zatrzymał się, ale choć trzej mężczyźni zasłaniaли jej częściowo pole widzenia, mogła dostrzec, jak ludzie odwracają głowy, by sprawdzić, co też zainteresowało Białego Płaszczka. I na dodatek najwyraźniej pachniało walką. W umysłach ludzi lęły się pogłoski i ulatywały na skrzydłach, przy których jaskółki wydawały się leniwe.

— Dajcie mu przejść — rozkazała. Ponieważ Uno i Ragan nawet nie drgnęli, powtórzyła, jeszcze bardziej stanowczo. Zeszli wówczas na bok, powoli, na tyle, na ile pozwalała wąska przestrzeń alejki, żaden jednak nie powiedział ani słowa, choć wydawało się, że coś do siebie mruczą. Galad wyminął Shienaran z gracją, nie patrząc na nich, jakby o nich zapomniał. Podejrzewała, że gdyby ktoś w to uwierzył, popełniłby srogi błąd; mężczyźni z kosmykami na głowach najwyraźniej nie uwierzyli.

Oprócz jednego z Przeklętych nie umiała sobie wyobrazić mężczyzny, którego

chciałaby mniej w tej chwili zobaczyć, ale przez tę twarz tuż przed nią była aż za nadto świadoma, jak szybko oddycha, jak szybko bije jej serce. Absurd. Dlaczego ten mężczyzna nie może być brzydki? Albo przynajmniej pospolity.

— Wiedziałaś, że ja wiem, iż za nami idziesz. — W jej głosie ostro zadźwięczał oskarżycielski ton, aczkolwiek nie była pewna, o co właściwie go oskarża. O to, że nie robi tego, czego się spodziewała i chciała, pomyślała ponuro.

— Tyleż samo zakładałem, kiedy cię rozpoznałem, Nynaeve. Pamiętam, że na ogół widzisz więcej, niż dajesz po sobie poznać.

Nie chciała dopuścić, by ją rozproszył komplementami. Wystarczy spojrzeć, dokąd ją to zawiodło z Valanem Luką.

— Co ty robisz w Ghealdan? Myślałam, że jesteś w drodze do Altary.

Przez chwilę patrzył na nią z góry tymi ciemnymi, pięknymi oczyma, po czym znienacka wybuchnął śmiechem.

— Ze wszystkich ludzi na całym świecie, Nynaeve, chyba tylko ty mogłaś mi zadać pytanie, które ja powinienem zadać tobie. Bardzo dobrze. Odpowiem ci, mimo że powinno być odwrotnie. Otrzymałem rozkazy odnośnie Salidaru, w Altarze, ale wszystkie rozkazy uległy zmianie, kiedy ten cały Prorok... O co chodzi? Źle się czujesz?

Nynaeve zmusiła się, by wygładzić rysy.

— Oczywiście, że nie — odparła z irytacją. — Moje zdrowie jest w jak najlepszym porządku, dziękuję ci uprzejmie. — Salidar! No przecież! Ta nazwa rozbłysła jej w głowie zupełnie jak ognisty patyczek Aludry. Tyle łamania głowy, a tu Galad zwyczajnie wręczył jej to, czego sama nie umiała się dogrzebać. Żeby tylko Masema znalazł szybko jakiś statek. Żeby tylko mogła mieć pewność, że Galad ich nie zdradzi. Oczywiście nie wchodziła w grę możliwość, by Uno i Ragan go zabili. Cokolwiek powiadała Elayne, Nynaeve jakoś nie potrafiła uwierzyć, by ucieszyła się, gdyby zasiekli jej brata na śmierć. Mała szansa, by dał sobie wmówić, że Elayne z nią nie ma.

— Po prostu nie umiem otrząsnąć się z szoku, że cię widzę.

— To się nawet nie umywa do tego, co poczułem, kiedy się dowiedziałem w Siendzie, żeście uciekły. — Uroczysty ton sprawił, że ta twarz stała się urodziwa do granic pojmowania, ale po chwili opamiętała się i uznała, że powiedział to w taki sposób, iż równie dobrze mógł robić wykład małej dziewczynce, która wykradła się z domu w porze kładzenia się do łóżka, żeby się wspinać na drzewa. — Ze zmartwienia omal nie rozchorowałem się na śmierć. Co was, na Światłość, opętało? Czy wy macie jakieś pojęcie, na jakie ryzyko się narażacie? I ze wszystkich miejsc przybyć właśnie tutaj. Elayne zawsze lubiła siodłać konia w galopie, ale myślałem, że ty przynajmniej masz więcej rozumu. Ten tak zwany Prorok... — urwał, mierząc wzrokiem dwóch mężczyzn. Uno wbił w ziemię czubek miecza, składając pokryte bliznami dłonie na głowicy. Ragan udawał, że bada krawędź swego ostrza i nie zwraca uwagi na nic innego.

— Słyszałem pogłoski — ciągnął wolno Galad — że on jest Shienaraninem. Nie mogłaś być tak bezrozumna, żeby się wdać z nim w konszachty.

Jak na jej gust, w całej przemowie było za dużo indagowania.

— Żaden z nich nie jest Prorokiem, Galad — rzekła sucho. — Znam ich obu od jakiegoś czasu i mogę cię o tym zapewnić. Uno, Ragan, schowajcie te rzeczy, chyba że zamierzacie przycinać paznokcie u nóg. No?

Wahali się przez chwilę — Uno mruczał coś pod nosem i ciskał groźne spojrzenia — ale w końcu usłuchali. Mężczyźni zazwyczaj reagują na stanowczy ton głosu. Większość. W każdym razie czasami.

— Raczej nie sądziłem, że któryś z nich to Prorok, Nynaeve. — Ton Galada, bardziej jeszcze jadowity niżli jej słowa, sprawił, że się najeżyła, ale kiedy mówił dalej, wydawał się raczej okazywać irytację niż poczucie wyższości. A także troskę. Co oczywiście sprawiło, że jeszcze bardziej się zdenerwowała. To on ją tu przyprawia o palpacje, a ma jeszcze czelność być zatroskany!

— Nie wiem, w co ty i Elayne się tutaj wplątałyście i nie dbam o to, dopóki mogę was z tego wyciągnąć, zanim wam się stanie krzywda. Handel na rzece idzie kiepsko, ale za kilka dni powinien tu zawitać jakiś przyzwoity statek. Powiedz, gdzie mogę was szukać, a załatwię dla was podróż do Altary. Stamtąd będziecie się mogły dostać do Caemlyn.

Mimo woli zagapiła się na niego.

— Masz zamiar znaleźć dla nas statek?

— To wszystko, co obecnie mogę zrobić. — Mówił przeproszającym tonem i kręcił głową, jakby wadził się sam z sobą. — Nie mogę was odeskortować w bezpieczne miejsce; moje obowiązki wiążą mnie na miejscu.

— Żadną miarą nie mogłybyśmy cię oderwać od obowiązków — powiedziała, z lekka zaparło jej dech. Jeśli chciał być błędnie zrozumiany, to niech mu będzie. Wszak nie liczyła na więcej, jak tylko na to, że on je zostawi w spokoju.

Wyraźnie czuł potrzebę, by się usprawiedliwić.

— Odsyłanie was samotnie jest raczej niebezpieczne, ale statek was zabierze, zanim cała granica eksploduje. Co nastąpi, prędzej czy później; potrzeba tylko jednej iskierki i Prorok bez wątpienia ją skrzese, jeśli nikt inny go nie wyręczy. Muszę dopilnować, byście dotarli do Caemlyn, ty i Elayne. Ja tylko proszę o twoją obietnicę, że się tam udacie. Wieża to nie miejsce dla żadnej z was. Albo dla... — Zacisnął zęby, ale równie dobrze mógł mówić dalej i wymienić imię Egwene.

W niczym nie zaszkodzi, jeśli Galad też będzie szukał statku. Skoro Masema mógł zapomnieć, że zamierzał pozamykać tawerny, to mógł również zapomnieć, że miał komuś kazać znaleźć statek. Zwłaszcza jeśli uzna, że dogodny atak amnezji może ją tutaj zatrzymać, by wsparła jego plany. Nie zaszkodzi — pod warunkiem, że może zaufać Galadowi. W przeciwnym wypadku musiałaby liczyć na to, że nie okaże się takim dobrym szermierzem, za jakiego się uważał. Szaleńcza myśl, ale nie aż tak znowu bardzo, biorąc pod uwagę, co mogło się wydarzyć —

co się wydarzy — jeśli się okaże niegodny zaufania.

— Jestem, kim jestem, Galadzie, a Elayne też się nie zmieniała. — Kwestia Masemy rozplynęła się złym smakiem na jej języku. Nie była w stanie posunąć się dalej niż drobne wykręty w stylu Białej Wieży. — I ty też jesteś, kim jesteś.

Spojrzeniem objęła jego biały płaszcz, znacząco unosząc brwi.

— To towarzystwo nienawidzi Wieży oraz kobiet, które potrafią przenosić. Teraz, kiedy jesteś jednym z nich, dlaczego nie miałabym podejrzewać, że za godzinę będzie mnie ścigało pięćdziesięciu twoich kompanów, próbując wbić mi strzałę w plecy, jeśli nie uda im się zawlec mnie do jakiejś celi? Mnie, a też i Elayne.

Głowa Galada drgnęła z irytacją. A może się obraził.

— Jak często mam ci powtarzać? W życiu bym nie dopuścił, by mojej siostrze stała się krzywda. . . Albo tobie.

Zezłościła się, pojawiwszy, że jest zła na to krótkie zawahanie, którym dał jasno do zrozumienia, że kwestię wyrządzenia jej krzywdy musi rozstrzygać dopiero po namyśle. Nie była jakąś głupią dziewczyną, która traci rozum, bo pewien mężczyzna ma oczy, w których przeszywającym spojrzeniu w niewiadomy sposób topnieje jej dusza.

— Skoro tak powiadasz — odparła, a jego głowa znowu drgnęła gwałtownie.

— Powiedz mi, gdzie się zatrzymałyście, a ja przyniosę albo przyślę wiadomość, kiedy tylko znajdę dogodny statek.

Jeśli Elayne miała rację, to nie potrafił w większym stopniu kłamać niżli Aes Sedai, która złożyła Trzy Przysięgi, ale nadal się wahała. Każdy błąd w tej sprawie mógł być jej ostatnim. Siebie miała prawo narażać na ryzyko, ale w tym przypadku obejmowało ono również Elayne. Oraz Thoma i Juilina, skoro już o tym mowa; ponosiła za nich odpowiedzialność, czego by sobie nie wyobrażali. Ale to ona była tutaj i to do niej należała decyzja. Nie było innego wyjścia.

— Światłości, kobieto, czego ty jeszcze chcesz ode mnie? — warknął Galad, unosząc ręce, jakby chciał ją chwycić za ramiona. Ostrze Uno pojawiło się między nimi z błyskiem lśniącej stali, ale brat Elayne odsunął je niczym gałązkę i tyleż samo uwagi mu poświęcił. — Nie chcę ci zrobić nic złego, ani teraz, ani nigdy; przysięgam to na imię mojej matki. Powiadasz, że jesteś, kim jesteś? Ja wiem, kim ty jesteś. I kim nie jesteś. Być może noszę to częściowo dlatego — dotknął skraju śnieżnobiałego płaszcza — że Wieża was obarczyła misją, ciebie; Elayne i Egwene, Światłość wie, z jakiego powodu, mimo że wy jesteście, kim jesteście. To było jak posłanie chłopca, który dopiero co nauczył się trzymać miecz podczas bitwy i ja im tego nigdy nie wybaczę. Jednak nadal macie czas, żeby zawrócić; nie musicie dzierżyć tego miecza. Wieża jest zbyt niebezpieczna dla ciebie albo mojej siostry, zwłaszcza teraz. Połowa świata jest dla was zbyt niebezpieczna! Pozwól, że pomogę wam przenieść się w bezpieczne miejsce.

W jego głosie nie było już poprzedniego napięcia, dla odmiany przemówił

surowym tonem.

— Błagam cię, Nynaeeve. Gdyby coś stało się Elayne... Po części żałuję, że Egwene nie ma z tobą. bo dzięki temu mógłbym... — Przyglądziwszy dłonią włosy, spojrział najpierw w lewo, a potem w prawo, szukając sposobu, w jaki mógłby ją przekonać. Uno i Ragan trzymali ostrza w dłoniach, gotowi natychmiast przeszyć jego ciało, jednak on zdawał się ich w ogóle nie widzieć. — W imię Światłości, Nynaeeve, błagam, pozwól, bym zrobił, co mogę.

Ta prosta kwestia ostatecznie przeważała szalę w jej umyśle. Znajdowali się w Ghealdan. Amadicia stanowiła jedyny kraj, w którym karano kobiety potrafiące przenosić, a one znajdowały się na szerokość rzeki od niej. A zatem pozostawały jedynie przysięgi Galada, że będąc Synem Światłości, zaniedba swe obowiązki na rzecz Elayne. Poza tym i tak nie pozwoli Uno i Raganowi go zabić, zanadto był urodziwy. Co, ma się rozumieć, nie miało nic wspólnego z jej decyzją.

— Przyłączyliśmy się do trupy Valana Luki — powiedziała w końcu.

Zamrugął oczyma i uniósł brew.

— Do trupy Valana Luki...? Masz na myśli jedną z tych menażerii? — W jego głosie walczyły z sobą niedowierzanie i obrzydzenie. — Co wy, na Światłość, robicie w takim towarzystwie? Ci, którzy kierują takimi widowiskami, są nie lepsi od... Nieważne. Jeśli potrzebujecie pieniędzy, mogę wam dostarczyć jakąś sumę. Dość, byście mogły się przenieść do jakiejś porządnej gospody.

Jego ton wyrażał pewność, że ona postąpi tak, jak on chce. Nie „Czy mogę was wesprzeć paroma monetami?” albo „Czy chciałbyście, bym dla was znalazł jakąś izbę?” Uważał, że powinny zamieszkać w jakiejś gospodzie, więc one przeniosą się do jakiejś gospody. Ten człowiek zdołał być może zaobserwować dość, by wiedzieć, że ona schowa się w jakiejś alejce, ale wychodziło na to, że w ogóle jej nie zna. A poza tym istniało wiele powodów do pozostania z Luką.

— Uważasz, że w Samarze znajdzie się jeszcze jakaś izba albo stryżek z sianem, których nikt dotąd nie zajął? — spytała, odrobinę bardziej zgryźliwie niż zamierzała.

— Jestem pewien, że znajdę...

Weszła mu w słowo.

— Menażeria to ostatnie miejsce, gdzie ktoś mógłby nas szukać. — Ostatnie miejsce, w którym ktoś by ich szukał, z wyjątkiem Moghedien. — Zgodzisz się chyba, że powinniśmy jak najmniej rzucać się w oczy? Gdybyś istotnie znalazł jakąś izbę, to zapewne musiałbyś kazać wyrzucić z niej kogoś. Syn Światłości załatwiający izbę dla dwóch kobiet? Języki wnet zaczęłyby się strzępić, a spojrzenia ciekawskich oczu ciągnęłyby niczym muchy do gnoju.

To mu się nie podobało, bo się krzywił i spoglądał groźnie na Uno i Ragana, jakby to była ich wina, ale miał dość rozsądku, by dostrzec sens w jej słowach.

— To nie jest stosowne miejsce dla żadnej z was, ale zapewne jest tam bezpieczniej niż w mieście. Ponieważ zgodziłaś się przynajmniej, że udacie się do

Caemlyn, nic już więcej na ten temat nie powiem.

Zachowała niewzruszoną twarz i pozwoliła, by myślał, co chce. Jeśli uważał, że obiecała coś, czego wcale nie obiecała, to już jego sprawa. Musi go teraz trzymać jak najdalej od przedstawienia. Jeden rzut oka na siostrę w tych błyszczących białych spodniach, a podniesie wrzawę, która przyćmi wszelkie zamieszki, jakie mógłby wywołać Masema.

— Pamiętaj, że masz trzymać się z dala od menażerii. W każdym razie dopóki nie znajdziesz statku. Potem przyjdź do wozów artystów o zmierzchu i pytaj o Nanę. — To mu się podobało jeszcze mniej, ale ona natarła na niego stanowczo. — Nie widziałam w pobliżu pokazów ani jednego Syna Światłości. Jeśli ty tam zawitasz, to czy uważasz, że ludzie tego nie zauważą i nie spytają o przyczynę?

Jego uśmiech był nadal olśniewający, ale trochę nazbyt wyszczerzony.

— Masz odpowiedź na wszystko, jak się zdaje. Czy masz w takim razie jakieś obiekcje, bym cię tam przynajmniej odprowadził?

— Jak najbardziej. Powstaną plotki; ze stu ludzi musiało zauważyć nas, jak tutaj rozmawialiśmy — nie widziała już ulicy, przesłoniętej przez trzech mężczyzn, ale nie miała wątpliwości, że przechodnie nadal zaglądają w głąb alejki, zaś Uno i Ragan nie pochowali jednak mieczy do pochew — ale jeśli będziesz nam towarzyszył, to zobaczy nas dziesięć razy tyłu.

Minę miał na poły smutną, na poły wesołą.

— Odpowiedź na wszystko — mruknął. — Ale masz do tego prawo.

Najwyraźniej wolałby, żeby nie miała.

— Posłuchajcie mnie, Shienaranie — powiedział, odwracając głowę i nagle jego głos nabrał stalowego brzmienia. — Jestem Galadedrid Damodred i ta kobieta znajduje się pod moją ochroną. Jako jej towarzysz uważałbym to za niewielką stratę, gdybym zginął, chroniąc ją przed najmniejszą krzywdą. Jeśli który dopuści, by taka najmniejsza krzywda jej się stała, znajdę was obu i zabiję.

Ignorując nagłą, niebezpieczną pustkę w ich twarzach, równie całkowicie, jak ignorował ich miecze, znowu przeniósł na nią wzrok.

— Przypuszczam, że także teraz nie zechcesz mi powiedzieć, gdzie jest Egwene.

— Wystarczy ci, jak się dowiesz, że jest daleko stąd. — Zaplótłszy ręce pod piersiami, czuła przez żebra jak bije jej serce. Czy ona popełnia jakiś niebezpieczny błąd z powodu tej pięknej twarzy? — I że cokolwiek byś robił, nie zapewnisz jej bezpieczeństwa.

Spojrzał na nią tak, jakby jej nie dowierzał, ale już nic na ten temat nie powiedział.

— Przy odrobinie szczęścia znajdę w ciągu dnia, może dwóch, jakiś statek. Do tego czasu trzymaj się blisko... menażerii Valana Luki. Kryj się i unikaj niepożądanego uwagi. Na tyle, na ile możesz z takimi włosami. I przekaz Elayne, że ma więcej przede mną nie uciekać. Oby Światłość was opromieniowała, bym znowu

znalazł was całe i zdrowe; a będzie musiała lśnić dwakroć silniejszym blaskiem, by was uchronić od wszelkiej krzywdy, gdybyście samopas puścili się na eskapadę po Ghealdan. Ci bluźniercy od Proroka są wszędzie; nie szanują ni prawa, ni ludzi, a jeszcze trzeba wziąć pod uwagę bandytów, którzy korzystają z panującego chaosu. Sama Samara to gniazdo os, ale jeśli będziesz siedzieć cicho... i przekonasz moją upartą siostrę, by czyniła to samo... znajdę sposób, by was stąd wyciągnąć, zanim te osy was użądla.

Trzymanie ust zamkniętych na kłódkę kosztowało ją wiele wysiłku. To on wysłuchał, co miała do powiedzenia i zrobił z tego nakaz! Ten mężczyzna zapewne chciałby teraz owinać ją i Elayne w wełnę i ułożyć je na półce!

„Czy nie byłoby lepiej, gdyby ktoś to zrobił? — spytał jakiś cichy głos. — Czy już nie dość narobiłaś kłopotów, postępując po swojemu?”

Kazała mu zamilknąć. Nie usłuchał, tylko zaczął wymieniać kolejne sytuacje, jakie omal nie doprowadziły do katastrofy, a które wynikły z jej uporu.

Najwyraźniej biorąc jej milczenie za zgodę, odwrócił się — i znieruchomiał. Ragan i Uno zablokowali ulicę, zerkając na nią z tym dziwnym, zwodniczym spokojem, który mężczyźni tak często demonstrowali, gdy byli o włos od zadania gwałtu. Powietrze znieruchomiało. Pospiesznie dała im znak. Shienaranie opuścili ostrza i stanęli z boku, zaś Galad zdjął rękę z rękojeści, przeszedł, ocierając się o nich i mieszał z tłumem, nie oglądając się nawet za siebie.

Nynaeve porządnie skarciła Uno i Ragana wzrokiem, zanim pomaszerowała w przeciwnym kierunku. Ona tu wszystko odpowiednio zaaranżowała, a oni omal tego nie zniszczyli. Mężczyźni zawsze zdawali się uważać, że przemoc wszystko rozwiąże. Gdyby miała mocny kij, to by ich wszystkich trzech obijała po karkach, żeby wreszcie nabrali rozumu.

Shienaranie zdawali się niewiele z tego teraz dostrzegać; dogonili ją, z mieczami znowu pochowanymi do pochew na plecach, i szli za nią bez słowa, nawet kiedy dwukrotnie pomyliła zakręt i musiała zawracać. Postąpili szczególnie roztropnie, że zachowali wówczas milczenie. Miała dość trzymania języka na wodzy. Najpierw Masema, potem Galad. Czekala tylko na okazję, by wyjaśnić komuś dokładnie, co myśli. Zwłaszcza temu cichemu głosikowi w jej głowie, który nadal pobzykiwał niczym mucha, za nic nie chcąc zamilknąć.

Wyszli z Samary i dotarli do traktu, na którym nadal panował niewielki ruch, a głosik wciąż nie przyjmował do wiadomości jej zaprzeczeń. Przejmowała się arogancją Randa, ale to jej arogancja doprowadziła ją i innych tak blisko nieszczęścia, że słowa tego nie opiszą. W przypadku Birgitte chyba nawet przeciągnęła strunę, nawet jeśli ta żyła. Najlepiej postąpi, jak nie będzie więcej stawać do dalszych konfrontacji ani z Czarnymi Ajah, ani z Moghedien, dopóki ktoś odpowiedzialny nie zadecyduje, co należy zrobić. Wezbrał w niej protest, ale ostudziła go bardziej stanowczo, niż kiedykolwiek Thoma albo Juilina. Pojedzie do Salidaru i przekaże sprawę Błękitnym. Tak to właśnie będzie. Była już absolutnie

zdecydowana.

— Czyś ty zjadła coś, co ci zaszkodziło? — spytał Ragan. — Tak krzywisz usta, jakbyś zjadła dojrzałą kaczą jagodę.

Obdarzyła go spojrzeniem, które kazało mu się zamknąć, i maszerowała dalej. Obaj Shienaranie dotrzymywali jej kroku.

Co ona z nimi zrobi? Nie ulegało wątpliwości, że jakoś ich wykorzysta; pojawili się niczym za zrządzeniem opatrności, głupotą byłoby teraz z nich rezygnować. Były to dwie dodatkowe pary oczu — cóż, troje oczu w każdym razie; miała zamiar nauczyć się patrzeć na łatkę Uno bez zbędnych emocji — co mogło przyczynić się do szybszego znalezienia statku. Byłoby dobrze, gdyby Masema albo Galad znaleźli pierwsi jakiś statek; nie chciała, by któryś wiedział o jej poczynaniach więcej, niż mogła pozwolić. Nie sposób przewidzieć, co każdy z nich uczyni.

— Idziecie za mną, bo Masema kazał wam się mną opiekować — spytała — czy dlatego, że kazał wam Galad?

— A jaka to przekłeta różnica? — burknął Uno. — Jeśli Lord Smok cię wezwał, to cholernie dobrze. . . — Urwał, krzywiąc się, kiedy podniosła palec. Ragan zmierzył ten palec takim wzrokiem, jakby to była broń.

— Czy macie zamiar pomóc mi i Elayne w dotarciu do Randa?

— Nie mamy nic lepszego do roboty — odparł sucho Ragan. — Sprawy mają się tak, że nie zobaczymy Shienaru, dopóki nie będziemy siwi i bezzębni. Równie dobrze możemy udać się z wami do Łzy albo w ogóle gdziekolwiek, byleby tylko on tam był.

Nie wzięła czegoś takiego pod uwagę, ale to miało sens. Dwaj więcej do pomocy Thomowi i Juilinowi przy codziennych obowiązkach i pełnieniu warty. Nie muszą wiedzieć, jak długo to potrwa, względnie ile przystanków albo objazdów trafi się po drodze. Błękitne w Salidarze mogą ich dalej nie puścić. Kiedy już dotrą do Aes Sedai, znowu będą wyłącznie Przyjętymi.

„Przestań o tym myśleć! Nic innego nie można zrobić!”

Tłum, który się zebrał pod wielobarwnym szyldem Luki, nie wydawał się mniejszy niż przedtem. Strumień ludzi kierował się na łąkę, przyłączając się do wypełniającej ją ciżby, i jednocześnie drugi strumień, pokrzykujących o tym, co widzieli, wylewał się na zewnątrz. Co jakiś czas widać było konio-dziki, wierzgające ponad płóciennym murem, przy akompaniamencie „ochów” i „achów” tych, którzy czekali na możliwość wejścia do środka. Cerandin znowu pozwoliła im wystąpić; zawsze pilnowała, by *s'redit* miały dość odpoczynku. Niezależnie od tego, czego chciał Luca, w tej sprawie umiała postawić na swoim. Mężczyźni robią, co im się każe, gdy im nie pozostawiać najmniejszych wątpliwości, że coś innego nie wchodzi w rachubę. Zazwyczaj.

Tuż przed mocno zdeptaną, zbrązowiałą trawą Nynaeve zatrzymała się i zwróciła w stronę dwóch Shienaran. Zachowała spokojną twarz, oni natomiast wygłą-

dali na stosownie czujnych, aczkolwiek gdy patrzyła na Uno, niestety, łatka na jego oku znowu wywołała w niej mdłości. Ludzie, którzy szli w stronę pokazu albo już z niego wychodzili, nie zwracali na nich żadnej uwagi.

— A zatem to z powodu Masemy albo Galada — oznajmiła stanowczo. — Jeśli udacie się ze mną w podróż, będziecie postępowali tak, jak ja rozkażę, a w przeciwnym wypadku odejdziecie w swoją stronę, bowiem wówczas nie mam najmniejszego zamiaru żadnego z was zabrać ze sobą.

Oczywiście musieli wymienić spojrzenia, zanim skinęli głowami na zgodę.

— Jeśli to tak, cholera, ma być — warknął Uno — to niech tak będzie. Jeśli, psiakrew, nie masz nikogo, kto by się tobą zaopiekował, to nie dożyjesz spotkania z przeklętym Lordem Smokiem. Jakiś farmer z owczymi bebeczami zje cię na śniadanie przez ten twój cholerny język.

Ragan obdarzył go ostrzegawczym spojrzeniem, które mówiło, że zgadza się z każdym słowem, ale mocno powątpiewa w rozumność Uno, skoro ten odważył się je wypowiedzieć na głos. Ragan, jak się zdawało, żywił pretensje do miana człowieka rozumnego.

Skoro przyjęli jej warunki, to powody specjalnie się nie liczyły. Na razie. Będzie mnóstwo czasu później, żeby to sprostować.

— Nie wątpię, że inni też się zgodzą — rzekł Ragan.

— Inni — spytała, mrugając oczami ze zdziwienia. — Chcesz powiedzieć, że jest was więcej niż tylko dwóch? Ilu?

— Razem jest nas już teraz tylko piętnastu. Nie sądzę, by Bartu albo Nengar poszli.

— Węszą z rozkazu przeklętego Proroka. — Uno odwrócił głowę i splunął obficie. — Tylko piętnastu. Sar spadł z cholernego urwiska w górach, Mendao musiał się wdać w przekłety pojedynek z trzema Myśliwymi polującymi na Róg, zaś...

Nynaeve zanadto była oszołomiona, by go słuchać. Piętnastu! Odruchowo porachowała w głowie, ile by kosztowało wyżywienie piętnastu mężczyzn. Thom i Juilin, nawet gdy nie byli specjalnie głodni, zjadali więcej niż Elayne i ona razem wzięte. Światłości!

Z drugiej jednak strony z piętnastoma shienarańskimi żołnierzami wcale nie trzeba było czekać na żaden statek. Rzeczna łódź byłaby z pewnością szybszym środkiem podróży — przypomniała sobie teraz, co usłyszała o Salidarze; miasteczko nad rzeką albo blisko rzeki; jakiś statek mógłby je zabrać wprost do niego — jednakie shienarańska eskorta sprawiłaby, że ich wóz byłby stosownie bezpieczny, tak przed Białymi Płaszczami, bandytami czy też wyznawcami Proroka. Ale znacznie wolniejszy. A poza tym samotny wóz wyjeżdżający z Samary w otoczeniu takiej eskorty z pewnością rzuciłby się w oczy. Niczym drogowskaz dla Moghedien albo Czarnych Ajah.

„Niech się Błękitne nimi zajmą i po sprawie!”

— Co się stało? — spytał Ragan, zaś Uno dodał przeproszającym tonem:

— Nie powinienem był wspominać, że Sakaru umarł.

Sakaru? Zapewne wtedy właśnie przestała słuchać.

— Rzadko przebywam w towarzystwie przek. . . dam. Zapominam, że wy macie słabe brzu. . . chciałem rzec, uhm, delikatne żołądki.

Jeśli nie przestanie skubać tej łąty na oku, to się dowie, jak delikatny jest jej żołądek.

Liczba niczego nie zmieniała. Jeśli dwóch Shienaran znaczy dobrze, w takim razie piętnastu to wspaniale. Jej własna, prywatna armia. Nie trzeba się przejmować ani Białyimi Płaszczami, bandytami albo zamieszkami, ani też., czy się pomyliła, ufając Galadowi. Ile szynek zje codziennie piętnastu ludzi? A teraz trzeba do nich przemówić stanowczo.

— No to niech będzie. Każdego wieczora, tuż po zapadnięciu zmroku. jeden z was. . . jeden, pamiętajcie!. . . przyjdzie i zapyta o Nanę. Pod takim imieniem jestem znana. — Nie miała powodu, by im rozkazywać; szło tylko o to, by nabrali zwyczaju postępować tak, jak ona im każe. — Elayne uchodzi za Morelin, ale pytajcie o Nanę. Jeśli potrzebujecie pieniędzy, przychodźcie do mnie, nie do Masemy.

Musiała zdusić grymas, kiedy te słowa opuszczały jej usta. W piecyku w wozie wciąż było złoto, ale Luca jeszcze nie zażądał swych stu koron, a w końcu przecież zażąda. Zawsze jednak pozostawała jeszcze w razie konieczności biżuteria. Musiała dopilnować, by uniezależnili się od Masemy.

— Poza tym żaden z was ma nie zbliżać się ani do mnie, ani da menażerii. — Bez tego zapewne ustawiliby się na straży albo zrobili coś równie idiotycznego. — Chyba że zawita jakiś statek. W takim razie macie natychmiast do mnie przybiec. Rozumiecie?

— Nie — mruknął Uno. — Dlaczego, do cholery, mamy się trzymać z dala. . . ? — Gwałtownie cofnął głowę, kiedy jej ostrzegający palec prawie dotknął jego nosa.

— Pamiętasz jeszcze, co powiedziałam na temat twojego języka? — Musiała się zmuszać, by patrzeć na niego obojętnie; rozjarzone oko sprawiało, że podskakiwał jej żołądek. — Jeśli nie, to dowiesz się, dlaczego mężczyźni w Dwu Rzekach wyrażają się przyzwoicie.

Obserwowała, jak trawi to w umyśle. Nie wiedział, jakie są jej związki z Białą Wieżą, tyle tylko, że istnieją. Mogła być agentką Wieży albo kimś wyszkolonym przez Wieżę. Albo nawet Aes Sedai, tyle że taką, która nie tęskni za noszeniem szala. A skoro pogrożka była dla niego dość niejasna, mógł więc dopuścić najgorszą interpretację. Poznała taką technikę duża wcześniej, nim Juilin wyłożył ją Elayne.

Kiedy okazało się, że pomysł chwycił — i zanim Uno zdołał zadać jakiegokolwiek pytanie — opuściła rękę.

— Będziecie trzymali się z dala z tego samego powodu, co Galad. Żeby nie przyciągać uwagi. A co do reszty, to tak postacie, bo ja tak każe. Musicie akceptować moje decyzje, bo jeśli będę zmuszona je wam za każdym razem tłumaczyć, nie starczy mi czasu na nic innego.

To był komentarz, który pasował do Aes Sedai. Poza tym nie mieli wyboru, jeśli, jak im się wydawało, chcieli jej pomóc dotrzeć do Randa, co oznaczało, że nie mieli żadnego wyboru. Podsumowując wszystko, poczuła się całkiem zadowolona z siebie, kiedy odprawiła ich w stronę Samary i ruszyła w stronę wyczekującego tłumu i szyldu z imieniem Valana Luki.

Ku własnemu zdziwieniu odkryła, że przedstawienie wyposażono w dodatkową atrakcję. Na nowej platformie, nieopodal wejścia, jakaś kobieta w jaskrawożółtych spodniach stała na głowie, z ramionami wyciągniętymi na boki i parą białych gołębi na każdej dłoni. Nie, nie na głowie. Ta kobieta ścisnęła w zębach coś w rodzaju drewnianej ramy i na niej balansowała. W trakcie gdy Nynaeve patrzyła na to, oszołomiona, dziwna akrobatka na moment opuściła ręce na platformę, sama zginając się wpół, aż w pewnym momencie zdawało się, że usiadła na własnej głowie. A to jeszcze nie był koniec. Opuściła w dół wygięte w łuk nogi, a potem wsunęła je między ręce, po czym przeniosła gołębie na wywrócone podeszwy stóp, obecnie najwyższą partię wykręconej kuli, w którą się zasupłała. Gapiom głośno zaparło dech i zaczęli klaskać, ale Nynaeve zadygotała na ten widok. To wszystko aż za dobrze przypominało to, co zrobiła z nią Moghedien.

„To nie dlatego chcę przekazać sprawę Błękitnym — powiedziała sobie. — Ja po prostu nie chcę więcej kusić nieszczęścia”.

Tak było naprawdę, ale jednocześnie bała się, że następnym razem już nie uda jej się uciec, ani tak łatwo, ani, jak dotąd, bez poważniejszych konsekwencji. Nie przyznałaby tego przed inną duszą. Nie miała ochoty przyznawać się do tego nawet przed sobą.

Obdarzywszy kobietę-węża ostatnim pełnym zdziwienia spojrzeniem — nie była w stanie zgadywać, jak tamta się teraz wykręci — odwróciła się. I wzdrygnęła, gdy nagle z ruchliwej ciżby wyłoniły się i stanęły u jej boku Elayne i Birgitte. Elayne miała na sobie płaszcz, który przywoicie okrywał jej biały kubraczek i spodnie; Birgitte pyszniła się przede wszystkim głęboko wyciętą, czerwoną suknią. Nie, nie było w tym żadnego „przede wszystkim”. Prężyła się bardziej niż zazwyczaj, a poza tym odrzuciła warkocz na plecy, rezygnując nawet z tak skąpego okrycia. Nynaeve przejechała palcem po węźle szala opasującego ją w talii, pragnąc, by wszystkie spojrzenia skierowane na Birgitte nie przypominały jej, ile ona sama będzie demonstrowała, kiedy odrzuci szare okrycie. U pasa kobiety wisiał kołczan, w rękę trzymała łuk, który znalazł dla niej Luca. Z pewnością jednak pora była zbyt późna, by jeszcze mogła strzelać.

Rzut oka na niebo upewnił Nynaeve, że się myli. Wbrew takiej mnogości zdarzeń, słońce stało jeszcze wysoko nad horyzontem. Cienie kładły się długie, ale

nie tak długie, jak podejrzewała, by przeszkodzić Birgitte.

Starając się ukryć, że patrząc na słońce, sprawdzała czas, skinęła głową w stronę kobiety w krzykliwych spodniach, która teraz zaczęła się wykręcać w coś, co zgodnie z przekonaniem Nynaeve było niemożliwe. Nadal balansowała, utrzymując równowagę w oparciu o uchwyt szczęk na drążku.

— Skąd ona się wzięła?

— Luca ją zatrudnił — odparła spokojnie. Birgitte. — Kupił też kilka lampar-tów. Ona nazywa się Muelin.

O ile Birgitte stanowiła wcielenie chłodnego opanowania, to Elayne. niemalże dygotała z emocji.

— Skąd ona się wzięła?! — wypaliła. — Wzięła się z widowiska, którego motłoch omal nie rozniósł!

— Słyszałam o tym — powiedziała Nynaeve — ale nie to jest ważne. Ja. . .

— Nie to jest ważne! — Elayne wzniosła oczy ku niebu, jakby szukała tam wsparcia. — A czyś ty słyszała dlaczego? Nie wiem, czy to były Białe Płasz-cze, czy Prorok, ale ktoś w każdym razie musiał podburzyć motłoch, uważali bowiem. . .

Rozejrzała się dookoła, nie zwalniając kroku, i zniżyła głos; żaden przechodzień się nie zatrzymał, ale wszyscy przyglądali się dwóm niewątpliwie artystkom.

— . . . że jakaś kobieta w tamtej trupiej rzekomo nosiła szal. — Znacząco podkreśliła to ostatnie słowo. — Tytko głupcy uwierzyliby, że taka przyłączyłaby się do wędrownej menażerii, ale z kolei ty i ja to właśnie zrobiliśmy. A ty pędzisz do miasta, nie mówiąc nikomu ani słowa. Słyszałyśmy wszystko, o łysym mężczyź-nie, który zarzucił sobie ciebie na ramię i dokądś poniósł, a potem, że całowałaś się z jakimś Shienaraninem i prowadziłaś się z nim pod rękę.

Nynaeve nadal wytrzeszczała oczy, kiedy Birgitte dodała:

— Luca się niepokoił, niezależnie od opowieści. Powiedział. . . — Chrząknę-ła i przemówiła głębokim basem. — "A więc ona lubi nieokrzesanych mężczyzn! Cóż, potrafię być nieokrzesany jak łabędź zimą". I z tym wyprawił się w towarzy-stwie dwóch chłopców z ramionami jak u kamieniarzy Gandina, żeby cię spro-wadzić z powrotem. Thom Merrill i Juilin Sandar też z nim poszli, z niewiele lepszym nastawieniem. Co bynajmniej nie poprawiło nastroju Luki, ale oni tak się o ciebie martwili, że nie zostało miejsca na wzajemne animozje.

Przez chwilę Nynaeve wytrzeszczała oczy zupełnie zaskoczona. Ona lubi nie-okrzesanych mężczyzn? Co on miał na myśli. . . ? Kiedy powoli to do niej dotarło, jęknęła głośno pod brzemieniem niesprawiedliwości.

— No tak, dokładnie tego mi było trzeba. — I jeszcze żeby Thom z Juilinem uganił się po Samarze. Światłość jedna wie, w jakie tarapaty mogli się wpako-wać.

— Nadal chciałabym wiedzieć, co ty sobie wyobrażała — powiedziała Elayne — ale marnujemy tutaj czas.

Nynaeve pozwoliła im prowadzić się przez tłum, po jednej z każdego boku, ale wbrew wieściom o Luce i pozostałych, czuła zadowolenie z całodniowych osiągnięć.

— Jak szczęście dopisze, to wyjedziemy stąd za dzień, może dwa. Jeśli Galad nie znajdzie dla nas statku, to zrobi to Masema. Okazuje się, że to on jest Prorokiem. Pamiętasz Masemę, Elayne. Tamtego Shienaranina o skwaszonej minie, którego spotkałyśmy. . . — Zauważywszy, że Elayne zatrzymała się, Nynaeve przystanęła, by tamta mogła ją dogonić.

— Galad? — spytała z niedowierzaniem młodsza kobieta, zapominając, że powinna przytrzymać poły płaszcza. — Widziałaś. . . rozmawiałaś z Galadem? I z Prorokiem? Musiałaś, bo inaczej skąd by wiedzieli, że mają szukać statku? Popijałaś z nimi herbatę czy też spotkałaś się z nimi w jakiejś gospodzie? Tam, dokąd zaniósł cię tamten łysy mężczyzna, bez wątplenia. Może był tam również król Ghealdan? Czy może zechciałabyś mnie przekonać, że ja śnię, to wtedy będę mogła się obudzić?

— Weź się w garść — upomniała ją stanowczo Nynaeve. — Teraz tu panuje królowa, nie król. Tak, była tam. A on nie jest łysy; ma kępkę włosów na czubku głowy. Chciałam rzec, ten Shienaranin. Nie Prorok. Ten jest łysy jak. . .

Spojrzała na Birgitte tak groźnie, że ta nareszcie przestała uśmiechać się zjadliwie. Groźne spojrzenie lekko przybladło, kiedy Nynaeve przypomniała sobie, kogo tak gromi i co tej osobie zrobiła, gdyby jednak rysy twarzy Birgitte nie wygładziły się, to obie by się przekonały, czy Nynaeve potrafi tak ją spoliczkować, że aż dostanie zeza. Ponownie ruszyły z miejsca, a wtedy powiedziała najobjętniejszym tonem, na jaki ją było stać:

— A oto co się zdarzyło. Zauważyłam Uno, jednego z tych Shienaran, którzy byli w Falme, jak cię oglądał, Elayne, gdy chodziłaś po linie. Tak nawiasem mówiąc, on wcale nie ma lepszego mniemania niż ja o tym, że Dziedziczka Tronu Andor pokazuje nogi. W każdym razie po Falme Moiraine przysłała ich tutaj, ale. . .

Szybko wszystko zrelacjonowała, kiedy przedzierały się przez tłum, szorstko zbywając okrzyki Elayne pełne narastającego niedowierzania, odpowiadając na ich pytania tak niewielką ilością słów, jak to było możliwe. Elayne początkowo zainteresowała się zmianami na ghealdańskim tronie, ale zaraz potem skupiła się na tym, co dokładnie powiedział Galad i dlaczego Nynaeve była aż taka głupia, żeby się zbliżyć do Proroka, kimkolwiek jest. To słowo — „głupia” — padło tyle razy, że Nynaeve musiała wziąć swe humory na bardzo krótką smycz. Wątpiła, czy byłaby w stanie spoliczkować Birgitte, ale Elayne nic nie chroniło, Dziedziczka Tronu czy nie. Wnet się o tym przekona, niech no tylko jeszcze kilka razy powtórzy to słowo. Birgitte była bardziej zainteresowana intencjami Masemy z jednej

strony i Shienaran z drugiej. Wychodziło na to, że spotykała mieszkańców Ziemi Granicznych w poprzednich żywotach, aczkolwiek wtedy ich kraje nosiły inne nazwy i miała o nich dość wysokie mniemanie. Mówiła niewiele, ale zdawała się popierać pomysł przyłączenia do Shienaran.

Nynaeve spodziewała się, że wieści o Salidarze je zaskoczą albo podniecą, ale nie takiej reakcji, z jaką się spotkała. Birgitte przyjęła to zwyczajnie, jakby je poinformowała, że zjedzą kolację z Thomem albo Juilinem tego wieczora. Najwyraźniej miała zamiar udać się tam, gdzie uda się Elayne i cała reszta nie miała specjalnego znaczenia. Elayne natomiast wyraźnie żywiła wątpliwości. Wątpliwości!

— Jesteś pewna? Tak bardzo starałaś się ją sobie przypomnieć i... Cóż, to dość niesamowity zbieg okoliczności, że Galad akurat wspomniał tę nazwę przy tobie.

Nynaeve spojrzała na nią spode łba.

— Jasne, że jestem pewna. Zbiegi okoliczności naprawdę się zdarzają. Koło obraca się tak, jak chce, mówi ci to coś? Teraz przypominam sobie, że wymienił tę nazwę również w Siendzie, ale tak się przejmowałam tym, że ty się go boisz, iż nie... — Urwała nagle.

Dotarły do długiego, wąskiego poletka wytyczonego tuż przy północnej ścianie za pomocą sznurów. Przy jednym jego końcu stało coś, co wyglądało jak fragment drewnianego płotu, na dwa kroki szerokie i dwa wysokie. Ludzie otaczali sznury czterema ciasnymi rzędami, dzieci przycupnęły na samym przedzie, względnie trzymały się nóg ojców albo spódnic matek. Kiedy pojawiły się trzy kobiety, podniosła się wrzawa. Nynaeve zatrzymałaby się jak wryta, ale Birgitte trzymała ją za ramię i miała do wyboru, że albo będzie szła o własnych siłach, albo ta będzie ją wlokła.

— Myślałam, że idziemy do wozu — powiedziała omdlałym głosem. Zajęta rozmową, nie zwracała wcześniej uwagi, dokąd się kierują.

— Nie, chyba że chcesz popatrzeć, jak strzelam w ciemnościach — odparła Birgitte. Sądząc po tonie jej głosu, aż się paliła do tego pomysłu.

Nynaeve żałowała, że nie stać ją na inny komentarz prócz pisku. Fragment płotu wypełnił jej pole widzenia, kiedy zbliżały się doń przez otwartą przestrzeń ku miejscu, gdzie nie stali gapie. Nawet ich coraz głośniejsze pomruki brzmiały tak odległe, a płot od miejsca, w którym stanęła Birgitte, zdawały się dzielić całe mile.

— Jesteś pewna, że powiedział, iż przysięga na... naszą matkę? — spytała kwaśnym tonem Elayne. Nawet teraz niechętnie przyznawała, że Galad to jaj brat.

— Co? A tak. Tak powiedziałam, nieprawdą? Posłuchaj. Jeżeli Luca jest w mieście, to nie będzie wiedział, czy to zrobiliśmy czy nie, dopóki nie będzie za późno, żeby... — Nynaeve zdawała sobie sprawę, że bredzi, ale jakoś nie umiała pohamować języka. Jakoś nigdy do niej nie dotarło, że sto kroków to naprawdę

daleko. W Dwu Rzekach dorośli mężczyźni zawsze strzelali do celów dwukrotnie większych. Ale z kolei ona nigdy nie była niczym celem. — Chciałam powiedzieć, że jest bardzo późno. Cienie... Ten blask... Naprawdę powinniśmy robić to rankiem. Kiedy światło jest...

— Jeśli przysiągł na nią — wtrąciła Elayne, jakby w ogóle nie słuchała — to będzie się tego trzymał, choćby nie wiem co. Prędzej złamałby przysięgę na swoją nadzieję zbawienia i powtórnych narodzin niż tę. Myślę... nie, ja wiem, że możemy mu ufać. — Ale wcale nie. mówiła tego takim tonem, jakby jej się to podobało.

— Światło jest w sam raz — orzekła Birgitte ze śladem rozbawienia w głosie. — Mogłabym spróbować z zawiązanymi oczyma. Ta banda będzie się dopominała, żeby to wyglądało na trudne, jak mi się zdaje.

Nynaeve otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich ani słowo. Tym razem sama zdecydowała się na pisk. Birgitte tylko wypowiedziała kiepski dowcip. Na pewno żartowała.

Ustawily ją plecami do płotu z surowego drewna i Elayne zaczęła rozplątywać węzeł jej szala, Birgitte zaś odwróciła się w stronę, z której przyszły, wyciągając jednocześnie strzałę z kołczana.

— Tym razem zrobiłaś coś naprawdę głupiego — mruknęła Elayne. — Możemy pokładać zaufanie w przysiędze Galada, jestem tego pewna, ale nie można przewidzieć, co on zrobi przedtem. I po coś ty szła do Proroka! — Brutalnie zerwała szal z ramion Nynaeve. — Przecież nie mogłaś mieć pojęcia, co on może zrobić! Wszystkich zdenerwowałaś i ryzykowałaś wszystkim!

— Wiem — zdołała wykrztusić Nynaeve. Słońce świeciło jej w oczy; wcale już nie widziała Birgitte. Za to Birgitte widziała ją. Musiała ją widzieć, no jakże. To było przecież nieodzowne.

Elayne spojrzała na nią podejrzliwie.

— Wiesz?

— Wiem, że ryzykowałam wszystkim. Powinnam była porozmawiać z tobą, zapytać cię. Wiem, że postąpiłam głupio. Nie trzeba mnie było wypuszczać na zewnątrz bez opieki. — Wyrzucała to z siebie pośpiesznie, bez tchu. Birgitte na pewno ją będzie widziała.

Podejrzliwość ustąpiła miejsca trosce.

— Dobrze się czujesz? Jeśli naprawdę nie chcesz tego robić...

Ta kobieta uważała, że ona się boi. Nynaeve nie mogła, nie chciała na to pozwolić. Zmusiła się do uśmiechu, z nadzieją, że nie ma zanadto wytrzeszczonych oczu. Czowała, że skurczyły jej się mięśnie twarzy.

— Oczywiście, że chcę. W rzeczy samej, nie mogę się tego doczekać.

Elayne spojrzała na nią powątpiewająco spod uniesionej brwi, ale ostatecznie przytaknęła.

— Jesteś pewna z tym Solidarem?

Nie zaczekała na odpowiedź, tylko pospiesznie odeszła na bok, składając szal. Nynaeve z jakiegoś powodu nie umiała należycie się oburzyć ani tym pytaniem, ani tym, że Elayne nie czekała. Obawiała się, że zaraz piersi jej z tego głębokiego dekoltu wypadną, bo zaczęła tak prędko oddychać, ale nawet na tej myśli nie potrafiła skupić uwagi. Słońce oślepiało ją; gdyby zmrużyła oczy, jakoś dostrzegłaby Birgitte, jednak oczy kierowały się własną wolą, coraz bardziej się rozszerzając. Nic już nie mogła zrobić. To kara za głupie ryzykowanie. Spotkała ją kara za to, że wszystko tak świetnie załatwiła, ale stać ją było tylko na odrobinę rozżalenia. A Elayne jej nawet nie uwierzyła z tym Solidarem! Musi to przyjąć ze stoickim spokojem. Musi. . .

Strzała nadleciała jakby znikąd i wbiła się z trzaskiem w drewno, wibrując obok prawego nadgarstka i stoicki spokój zniknął przy akompaniamencie cichutkiego skowytu. Mogła tylko starać się, by nie ugiąć kolan. Następna strzała otarła się o drugi nadgarstek, skowyt stał się nieco bardziej dojmujący. Prędzej zatrzymałaby groty Birgitte w locie, niżli uciszyła samą siebie. Pojękiwania stawały się coraz głośniejsze, w miarę nadlatywania kolejnych strzał, i zdawało się, że widownia wita te jej okrzyki owacjami. Im głośniej wrzeszczała, tym głośniej wiatowali i klaskali. Zanim strzały obrysowały ją od stóp do głów, aplauz był już ogłuszający. Po prawdzie poczuła pod koniec niejaką irytację, gdy cały tłum rzucił się w stronę Birgitte, a ją pozostawiono taką stojącą w wieńcu lotek. Niektóre wciąż jeszcze drżały. Ona sama też drżała.

Odepchnęła się od drzewa i pobiegła w stronę wozów tak szybko, jak mogła, zanim ktoś zauważy, jak uginają się pod nią nogi. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Ona tam tylko stała i modliła się, by Birgitte nie kichnęła albo żeby coś jej nie zaswedziało. I jutro będzie musiała przejść przez to samo. Albo Elayne — czy jeszcze gorzej, Birgitte — dowie się, że nie jest w stanie stawić temu czoła.

Kiedy tamtego wieczora przyszedł Uno i rozpytywał się o Nanę, powiedziała mu mało precyzyjnymi słowami, że ma poganiać Masemę na tyle, na ile się ośmieli oraz że ma poszukać Galada i przekazać, że trzeba jak najszybciej znaleźć statek, niezależnie od kosztów. Potem położyła się do łóżka bez kolacji i wmawiała sobie, że jakoś przekona Elayne i Birgitte, iż jest zbyt chora, by stać pod tą ścianą. Ale z kolei była aż nadto pewna, że one będą wiedziały dokładnie, na co ona jest chora. I świadomość, że Birgitte będzie najpewniej jej współczuła, jeszcze dodatkowo wszystko pogarszała. Jeden z tych głupich mężczyzn musi znaleźć jakiś statek.

RZEMIOSŁO KINA TOVERE

Z jedną ręką wspartą na rękojeści miecza oraz seanchańską włócznią ozdobioną zielonymi i białymi chwastami w drugiej, Rand, nie zwracając uwagi na zebranych na słabo zalesionym zboczach, przyglądał się trzem obozom rozpościerającym się poniżej, oświetlonym blaskiem porannego słońca. Trzy odrębne obozy i w tym cała trudność. Wojska cairhieniańskie i taireniańskie, w całości do jego dyspozycji. Wszyscy inni, którzy też potrafili władać mieczem albo włóczniami, trwali na posterunkach w mieście albo, Światłość tylko wiedziała, gdzie.

Aielowie robili oblavy na hordy uchodźców, które błąkały się między Przełęczami Jangai, a także tutaj, wyłapując nawet tych maruderów, którzy włóczyli się samopas, bo albo zwiódł ich pogłoski, jakoby ci Aielowie przynajmniej nie zabijali każdego, na kogo padnie ich wzrok, albo zanadto podupadli na duchu, by ich obchodziło coś więcej prócz ostatniego posiłku przed śmiercią. Zbyt wielu uważało, że zginą z rąk Aielów, Smoka Odrodzonego albo w Ostatniej Bitwie, której spodziewali się lada dzień. W sumie pokaźna rzesza, ale przeważali rzemieślnicy i sklepikarze. Niektórzy potrafili posłużyć się łukiem czy procą, żeby upolować królika, ale w całym towarzystwie nie było ani jednego żołnierza i brakowało też czasu na ich przeszkolenie. Samo miasto Cairhien leżało niecałe pięć mil dalej na zachód; nad dzielącym go odeń pasem lasu widać było niektóre z osławionych „pobawionych wierzchołków wież Cairhien”. Miasto rozciągało się na wzgórzach nad rzeką Alguenya, obleżone przez Shaido Couladina i tych, którzy się do niego przyłączyli.

Chaotyczne skupisko namiotów i ognisk, w długiej, płytkiej dolinie pod stopami Randa mieściło około ośmiuset Tairenian pod bronią. Niemalże połowę stanowili Obrońcy Kamienia w hełmach z szerokim okapem i wypolerowanych napierśnikach, spod których wystawały bufiaste koszule w czarne i złote paski. Resztę armii tworzyli najemnicy, w tym lordowie, których chorągwie i proporce otaczały kręgiem Półksiężyc i Gwiazdy Wysokiego Lorda Weiramona, wyznaczające sam środek obozowiska. Straże stały gęsto wzdłuż linii palików do wiązania koni, jakby lada chwila spodziewali się napaści na ich wierzchowce.

W drugim obozie, oddalonym o trzysta kroków, koni strzeżono równie pilnie. Były najrozmaitszej rasy: od podobnych do taireniańskich wierzchowców o kar-

kach wygiętych w łuk, do koni zaprzęgowych, które dotąd pracowały przy pług. Cairhienianie przewyższali Tairenian liczebnie o jakąś setkę, ale mieli mniej namiotów, w tym większość połataną, ich chorągwie zaś i *con* reprezentowało siedemdziesięciu kilku lordów. Kilku cairhieniańskich szlachciców otaczały nadal liczne świty; stanowili niedobitki armii pokonanej na samym początku wojny domowej.

Ostatnie skupisko znajdowało się w odległości kolejnych pięciuset kroków, byli to głównie Cairhienianie, wyraźnie stroniący od innych nie tylko zachowywanym dystansem. W tym obozie, większym niż dwa pozostałe razem wzięte, koni i namiotów było mniej. Nie widziało się tam sztandarów i tylko oficerowie nosili *con*, osadzone na plecach niewielkie proporce utrzymane w soczystych barwach, które miały ich wyróżniać wśród innych ludzi, nie zaś tylko oznaczać Dom. Piechota mogła być przydatna, ale rzadko zdarzał się jakiś lord z Łzy albo Cairhien, który by to przyznał. Z pewnością żaden nie zgodziłby się nią dowodzić. Niemniej jednak to obozowisko zostało zorganizowane najlepiej; ogniska płonęły w równych rzędach, długie piki spiętrzone pionowo w miejscu, skąd można je było w każdej chwili pochwycić, jego granice zaś wytyczały grupki łuczników albo kuszników. Zdaniem Lana dyscyplina ratowała ludziom życie w bitwie, jednak piechota najprawdopodobniej lepiej zdawała sobie z tego sprawę niżli kawaleria.

Te trzy ugrupowania rzekomo stanowiły jedność, zrzeszoną pod jednym dowództwem — Wysokiego Lorda Weiramona, który sprowadził je tutaj z południa pod koniec dnia poprzedniego — ale dwa obozy konnych obserwowały się wzajem równie czujnie jak Aielów na otaczających ich wzgórzach, Tairenianie z domieszką pogardy, którą Cairhienianie naśladowali niczym echo, jedni i drudzy zaś równo ignorowali trzeci obóz. z którego mierzono tamtych ponurymi spojrzeniami. Poplecznicy Randa, jego sojusznicy, lecz gotowi w każdej chwili zacząć się wyrzynać nawzajem.

Rand, nadal udając, że przygląda się obozom, obejrzał sobie Weiramona, który stał nieopodal, bez hełmu i sztywno wyprostowany, jakby miał kręgosłup z żelaza. Wysokiemu Lordowi niemalże następowali na pięty dwaj młodszy mężczyźni, pomniejsi taireniańscy lordowie, z ciemnymi, równo przystrzyżonymi i wypomadowanymi bródkami, doskonale przypominającymi bródkę Weiramona, tyle że jego była przetkana pasemkami siwizny; ich napierśniki zaś, nałożone na jaskrawe, pasiaste kaftany, były ozdobione złotem tylko odrobinę mniej bogato niż jego kaftan. Z zadartymi nosami, z dala od pozostałych, a za to blisko Randa, zdawali się czekać na jakąś ceremonię wojskową na królewskim dworze, gdyby nie pot, który im spływał z twarzy. To jednak również ignorowali.

Chorągwi Wysokiego Lorda brakowało jedynie kilku gwiazd, by do złudzenia przypominała sztandar Lanfear, ale długonosy jegomość nie był Przeklętą w przebraniu; siwe włosy miał wypomadowane podobnie jak bródkę i zaczesane w daremnej próbie ukrycia prześwitującej łysiny. Przybył z północy, wiodąc posiłki

z Łzy, kiedy usłyszał, że Aielowie atakują Cairhien. Zamiast jednak zawrócić albo siedzieć cicho, parł dalej na północ, dobywając z koni resztki sił i zbierając wszelkie wojska, na jakie natrafił po drodze.

To świadczyło o Weiramonie dobrze. Źle natomiast jego absolutne przekonanie, że przepędzi oblegających Cairhien Shaido z pomocą sprowadzonych przez siebie posiłków. Nadal tak uważał. I bynajmniej mu się nie spodobało, że Rand nie pozwolił mu zająć się miastem, oraz że otaczają go Aielowie. Jeden Aiel me różnił się zdaniem Weiramona od drugiego. Dla jego towarzyszy również, skoro już o tym mowa. Jeden z młodych lordów znacząco wachał pachnącą, jedwabną chusteczkę za każdym razem, kiedy spojrzął na Aiela. Rand był ciekaw, jak długo ten osobnik pożyje. I co on będzie musiał uczynić z tym, który go zabije.

Weiramon zauważył, że Rand patrzy i chrząknął.

— Lordzie Smoku — zaczął ponurym basem — jedna dobra szarża sprawi, że pierzchną jak przepiórki. — Uderzył rękawicami o dłoń. — Piesi nigdy nie wygrają z konnicą. Poślę Cairhienian, żeby ich przepędzili, po czym udam się za nimi z...

Rand wszedł mu w słowo. Czy ten człowiek w ogóle nie umie liczyć? Czy te rzesze Aielów, które tutaj zobaczył, nie dają pojęcia, ilu ich może być wokół miasta? To się nie liczyło. Rand nasłuchiwał się tego już tyle, ile jego żołądek był w stanie znieść.

— Jesteś pewien wieści, które przywozisz z Łzy?

Weiramon zamrugał.

— Wieści, Lordzie Smoku? Co...? Ach, tamte. Oby ma dusza szczęła, nic nie znaczą. Illiańscy piraci często usiłują dokonywać rajdów wzdłuż wybrzeża.

Z tego, co ten człowiek powiedział tuż po swym przybyciu, wynikało, że to coś więcej niżli zwykłe usiłowania.

— A tamte ataki na równiny Maredo? Też często do nich dochodzi?

— Cóż, oby mi dusza szczęła, to zwykli bandyci. — Było to raczej stwierdzenie faktu niż protest. — Być może wcale nie są to Illiańczycy, ale z pewnością nie żołnierze. Przez ten galimatias, jaki ci Illiańczycy potrafią zrobić, kto może powiedzieć, w czyje ręce w danym dniu przeszła władza: króla, Zgromadzenia czy Rady Dziewięciu, jeśli jednak zdecydują się ruszyć, wtedy to armie uderzą na Łzę pod Żłotymi Pszczołami, nie zaś ci łupieżcy, którzy palą wozy kupieckie i przygraniczne farmy. Zapamiętaj moje słowa.

— Jeśli tak sobie życzysz — odparł Rand, najuprzejmiej jak potrafił. Zgromadzenie, Rada Dziewięciu albo Mattin Stepaneos den Balgar dzierżyli tyle władzy, ile Sammael postanowił im oddać. Ale z kolei raczej niewielu wiedziało, że Przekłęci są na wolności. Ci, którzy powinni to wiedzieć, albo nie chcieli uwierzyć, albo to ignorowali — jakby dzięki temu Przekłęci mieli gdzie się ulotnić — wreszcie zdawali się sądzić, że jeśli to już musi się zdarzyć, to zdarzy się w jakiejś niejasnej i oby jak najdalszej przyszłości. Nie było sensu przekonywać

Weiramona, niezależnie od tego, do której grupy się zaliczał. Wiara czy niewiara tego człowieka niczego zmienić nie mogła.

Wysoki Lord omiół chmurnym wzrokiem nieckę otoczoną wzgórzami. A ściślej mówiąc, dwa cairhieniańskie obozy.

— Bez odpowiedniego prawa, które tu jeszcze nie działa, kto może powiedzieć, jaki element powędrował na południe? — Krzywiąc się, uderzył rękawicami jeszcze mocniej, zanim zwrócił się znowu do Randa. — Cóż, skierujemy ich do ciebie, Lordzie Smoku. Wydadź tylko rozkaz, a poprowadzę. . .

Rand ruszył z miejsca, potrącając go w przelocie i nie słuchając, aczkolwiek Weiramon szedł za nim, nadal prosząc o pozwolenie na atak, pozostali dwaj wlekli się za nim jak psy. Ten człowiek był głupcem, ślepym niby głaz.

Nie byli, rzecz jasna, sami; na całym zboczach panował istny tłok. Sulin ustawiła sto *Far Dareis Mai* w szeregu wokół wierzchołka, przy czym wszystkie co do jednej miały miny, wyrażające w jeszcze większym stopniu niżli obecną zazwyczaj na twarzach Aielów gotowość zasłonięcia twarzy. Nie tylko bliskość Shaido sprawiła, że Sulin była tak przewrażliwiona. Drwiąc z pogardy Randa wobec podejrzeń odnośnie do rozbitych niżej obozów, Enaila i dwie Panny na moment nie odchodziły daleko od Weiramona i towarzyszących mu młodych lordów, a im bliżej tamci stawali Randa, tym bardziej Panny wyglądały na gotowe, by przywdziać zasłony.

Nieopodal stała Aviendha, pograżona w rozmowie z co najmniej tuzinem Mądrych, z szalem zsuniętym na łokcie, cała obwieszona bransoletami i naszyjnikami. O dziwo, rej zdawała się wśród nich wodzić koścista, siwowłosa kobieta, starsza nawet od Bair. Rand spodziewałby się tego po Amys albo Bair, ale nawet one zamykały usta, kiedy przemawiała Sorilea. Melaine była z Baelem, w połowie drogi między kolejną grupą Mądrych a pozostałymi wodzami klanów. Stała poprawiała *cadin'sor* Baela, jakby nie umiał się sam ubrać, on zaś przybrał cierpliwą minę człowieka, który sobie wylicza wszystkie racje, dla których się ożenił. Mogły to być jakieś osobiste sprawy, ale Rand podejrzewał, że Mądre próbują znowu wpłynąć na wodzów. Jeśli tak było, to niebawem pozna szczegóły.

Jednak to Aviendha przyciągała ku sobie jego wzrok. Uśmiechnęła się do niego przelotnie, zanim ponownie zaczęła słuchać Sorilei. Uśmiech był przyjazny, ale nic poza tym. To już coś, uznał. Ani razu go nie zbesztala, odkąd tamto się między nimi zdarzyło i jeśli czasem wygłaszała jakiś cierpki komentarz, to nie był ostrzejszy od takiego, jakiego mógłby się spodziewać po Egwene. Z wyjątkiem jednego razu, kiedy znowu poruszył sprawę małżeństwa; wlała mu wówczas tyle jadu do uszu, że całkiem zaniechał tego tematu. Ale poza tym, jak dotąd stosunki były między nimi przyjazne, choć czasami zachowywała się beztrzesko, gdy szło o rozbieranie się przed nim w nocy. Nadal upierała się, by spać w odległości nie dalszej jak trzy kroki od niego.

Panny w każdym razie wydawały się pewne, że dystans między ich kocami

jest mniejszy niż trzy kroki, a on nieprzerwanie oczekiwał, że plotki o tym zaczną się szerzyć, choć jak dotąd nic takiego się nie zdarzyło. Egwene runęłaby na niego niczym podcięte drzewo, gdyby tylko podejrzewała. O Elayne dawało się z nią bez trudu porozmawiać, Aviendhy zaś nie potrafił rozszyfrować, mimo iż przebywała większość czasu przy nim. W sumie teraz był bardziej spięty, gdy tylko spojrzął na Aviendhę, a ona dla odmiany sprawiała wrażenie bardziej swobodnej niż dotąd. A wszak z tych czy innych względów wydawało się, że powinno być całkiem na odwrót. Z nią wszystko było postawione na bakier. Min była jedyną kobietą, w obecności której nie czuł się tak, jakby przez połowę czasu stał na głowie.

Westchnąwszy, szedł dalej, nadal nie słuchając Weiramona. Któregoś dnia zrozumie kobiety. Kiedy będzie miał czas, by się do tego przyłożyć. Podejrzewał jednak, że życia mu na to nie starczy.

Wodzowie klanów stali we własnym gronie, z wodzami szczepów i przedstawicielami wszystkich społeczności. Rand rozpoznał niektórych. Ciemnoskóry Heirn, wódz Jindo Taardad, i Mangin, skinął przyjaźnie głową w jego stronę, Tairenian zaś obdarzył wzdrgniętym uśmiechem. Szczupły jak włócznia Juranai, przywódca *Aethan Dor*, czyli Czerwonych Tarcz, w tej wyprawie, mimo nielicznych pasm siwizny w jasnorudych włosach, oraz Roidan, barczysty i siwowłosy, który wiódł *Sha'mad Conde*, Wędrowców Burzy. Od czasu, gdy zeszli już z Przełęczy Jangai, ci czterej przyłączali się czasami do niego, kiedy ćwiczył walkę wręcz metodą Aielów.

— Masz dzisiaj chęć na polowanie? — spytał Mangin, kiedy go mijał, a Rand popatrzył na niego zdziwiony.

— Na polowanie?

— Zwierzyny mało, ale moglibyśmy połapać owce do worka. — Krzywe spojrzenie, które Mangin rzucił w stronę Tairenian, pozostawiało niewiele wątpliwości, o jakich to „owcach” mówi, aczkolwiek Weiramon i pozostali tego nie zauważyli. Albo nie zareagowali. Młody lord znowu przyłożył do nosa perfumowaną chusteczkę.

— Może innym razem — odparł Rand, kręcąc głową. Uważał, że mógłby się zaprzyjaźnić z każdym z tych czterech, a zwłaszcza z Manginem, który miał poczucie humoru podobne do Mata. Ale skoro nie miał czasu na rozważanie kwestii kobiet, to z pewnością nie miał też czasu na zawieranie nowych przyjaźni. A także niewiele czasu dla starych przyjaciół, skoro już o tym mowa. O Mata bardzo się martwił.

Nad wierzchołkami drzew porastających najwyższe partie wzgórza wystawał ciężki szkielet wieży zbudowanej z bali, z szeroką platformą na samym szczycie na wysokości dwudziestu albo i więcej piędzi nad ziemią. Aielowie nie znali się na pracach ciesielskich w takiej skali, ale wśród uchodźców cairhieniańskich znalazło się wielu takich, którzy potrafili wznosić tego typu konstrukcje.

Moiraine czekała u podstawy najniższej, ukośnie ustawionej drabiny, w to-

warzystwie Lana i Egwene. Egwene zażyła dużo słońca; gdyby nie ciemne oczy mogłaby uchodzić za Aiela. Niskiego Aiela. Przelotnie przyjrzał się jej twarzy, ale nie wykrył niczego prócz zmęczenia. Amys i pozostałe zmuszały ją zapewne do zbyt ciężkiej pracy w ramach ich nauk. Nie podziękowałyby mu jednak za interwencję.

— Podjęłaś decyzję? — spytał Rand, przystając. Weiramon nareszcie zamilkł.

Egwene zawahała się, ale Rand zauważył, że nie spojrzała na Moiraine, zanim skinęła głową.

— Zrobię, co mogę.

Jej niechęć go niepokoiła. Nie poprosił Moiraine — ta nie mogła użyć Jednej Mocy przeciwko Shaido, dopóki jej nie zagrażali, chyba żeby ją przekonał, że oni wszyscy są Sprzymierzeńcami Ciemności — ale Egwene nie złożyła jeszcze Trzech Przysiąg i był przeświadczony, że zrozumie konieczność. Tymczasem, kiedy jej to zaproponował, zbladła, a następnie unikała go przez trzy dni. W końcu zgodziła się. Wszystko, co uczyni walkę z Shaido krótszą, mogło wyjść tylko na dobre.

Twarz Moiraine ani na moment się nie zmieniła, aczkolwiek nie miał wątpliwości, co myślała. Te gładkie rysy Aes Sedai, te oczy Aes Sedai, potrafiły odzwierciedlić lodowatą odmowę, nie zmieniając nawet na jotę swego wyrazu.

Wepchnąwszy kawałek włóczni za pas, postawił stopę na pierwszym szczeblu — i wtedy Moiraine przemówiła.

— Dlaczego znowu nosisz miecz?

Ostatnie pytanie, jakiego się spodziewał.

— A czemu nie? — burknął w odpowiedzi i zaczął się wspinać. Nie najlepsza riposta, ale wzięta go przecież z zaskoczenia.

W połowie tylko zaleczona rana w boku rwała, kiedy się wspinał; niby nie był to ból, ale miał wrażenie, że blizna się otwiera. Nie zwracał na to uwagi; często tak ją czuł, kiedy zanadto się forsował.

Rhuarc i pozostali wodzowie klanów poszli za nim, Bael zostawił nareszcie Melaine, za to na szczęście Weiramon i jego dwaj służalcy pozostali na ziemi. Wysoki Lord wiedział znakomicie, co należy robić; nie potrzebował i nie chciał dalszych informacji. Czując na sobie oczy Moiraine, Rand zerknął w dół. Nie Moiraine. To Egwene obserwowała go, jak się wspina, z twarzą tak podobną do twarzy Aes Sedai, że trudno byłoby znaleźć jakąś różnicę. Moiraine i Lan pochylili ku sobie głowy. Miał nadzieję, że Egwene nie zmieni decyzji.

Szeroką platformę na szczycie zajmowali dwaj niscy, spoceni młodzieńcy; odziani w same koszule, ustawiali obitą w mosiądz drewnianą tubę długości trzech kroków i grubszą w średnicy niż ramię każdego z nich, na obrotowej ramie przy-mocowanej do poręczy. W odległości kilku kroków znajdowała się już druga taka sama tuba, osadzona tam niemal zaraz po ukończeniu budowy wieży, czyli poprzedniego dnia. Trzeci mężczyzna, rozebrany do bielizny, wycierał łysą głowę

pasiastą chustką i powarkiwał na nich.

— Ostrożnie z tym. Ostrożnie, powiedziałem! Wy osierocone łasice, tylko mi który przekrzywi soczewkę, to ja mu wtedy przekręcę jego bezmózgi łeb tyłem do przodu! Przykręć ją mocno, Jol. Mocno! Jeśli spadnie, kiedy Lord Smok będzie patrzył, to obaj będziecie za nią skakać. I nie tylko dla Lorda Smoka. Popsujcie moją pracę, a pożałujecie, żeście sobie nie połamali swoich głupich czaszek.

Jol i drugi chłopak, Cail, pracowali dalej, szybko, niespecjalnie jednak zastraszeni. Znalezienie wśród uchodźców rzemieślnika, który robił soczewki i szkła powiększające — oraz jego dwóch czeladników — natchnęło Randa pomysłem, by zbudować tę wieżę.

Z początku żaden z trzech nie zauważył, że nie są sami. Wodzowie klanów wspinali się cicho, perorowanie zaś Tovere wystarczyło, by zagłuszyć tupot butów Randa. Sam Rand był zaskoczony, kiedy głowa Lana wyskoczyła przez otwarte drzwi zapadkowe za Baelem; buty nie buty, Strażnik nie robił więcej hałasu niż Aiel. Nawet Han był o głowę wyższy od Cairhienian.

Dwaj czeladnicy, kiedy wreszcie zauważyli nowo przybyłych, wzdrygnęli się z szeroko rozwartymi oczyma, jakby nigdy wcześniej nie widzieli Aielów, po czym pochylili się w pół-ukłonie przed Randem i tak już zostali. Twórca soczewek drgnął niemal tak samo na widok Aielów, ale ukłon wykonał bardziej powściągliwy, wycierając przy tym czoło.

— Obiecałem ci, że drugą skończę dzisiaj, Lordzie Smoku. — Mimo iż nadal przemawiał burkliwym głosem, Tovere w jakiś niewiadomy sposób potrafił nadać mu odcień szacunku. — Wspaniały pomysł z tą wieżą. W życiu bym czegoś takiego nie wymyślił, ale kiedy zacząłeś mnie wypytywać, jak daleko można sięgnąć wzrokiem przez szkła powiększające... Daj mi czas, a wykonam takie, że zobaczysz stąd Caemlyn. Gdyby zbudować dostatecznie wysoką wieżę — zastrzegł. — Są jakieś granice.

— Wystarczy to, co już zrobiłeś, panie Tovere. — Z pewnością więcej, niż się spodziewał. Patrzył już raz przez pierwsze szkło powiększające.

Jol i Cail nadal trwali pochyleni, z głowami opuszczonymi w dół.

— Może zabierzesz swych czeladników na dół — powiedział Rand. — Dzięki temu nie będzie tu tak tłoczno.

Miejsca starczyłoby dla czterokrotnie liczniejszego towarzystwa, ale Tovere natychmiast dźgnął Caila w ramię grubym palcem.

— Chodźcie, wy chłopcy stajenni z łapskami jak szynki. Zawadzamy lordowi Smokowi.

Czeladnicy poszli za nim, prawie w ogóle nie protestując; wciąż wgapieni okrągłymi oczyma w Randa, bardziej nawet niż w Aielów, zniknęli pod platformą. Cail był od niego starszy o rok, Jol dwa. Tak wielkich miast, w jakich obaj się urodzili, nawet sobie nie wyobrażał przed opuszczeniem Dwu Rzek; obaj zwiedzili Cairhien, widzieli króla i Zasiadającą na Tronie Amyrlin, nawet jeśli tylko

z daleka, kiedy on jeszcze wypasał owce. Najprawdopodobniej wciąż w pewien sposób wiedzieli o świecie więcej niż on. Kręcąc głową, nachylił się nad nowym szkłem powiększającym.

W pole widzenia wskoczyło Cairhien. Lasy, niezbyt gęste dla kogoś przyzwyczajonego do borów Dwu Rzek, naturalnie nie docierały do samego miasta. Wysokie, szare mury z kwadratowymi wieżami na planie idealnie równego czworokąta wytyczonego równoległe do rzeki naśladowały miękkie krzywizny wzgórz. Wewnątrz wznosiły się kolejne wieże, z zachowaniem wszelkiej symetrii, jakby wyznaczały punkty siatki kartograficznej, niektóre ze dwadzieścia razy wyższe od murów, albo i nawet więcej, wszystkie jednak otoczone rusztowaniami. Legendarne wieże bez szczytów ciągle jeszcze odbudowywano po ich spaleniu podczas Wojny o Aiel.

Kiedy widział je ostatnio, otoczone było kolejnym miastem, rozciągającym się po obu stronach rzeki, Foregate, labirynt króliczych nor, tak krzykliwe jak Cairhien dostojne, w całości pobudowane z drewna. Teraz jedynie szeroki pas popiołu i zwęglonego drewna graniczył z murami. Rand nie pojmował, jakim sposobem powstrzymano pożogę przed rozprzestrzenieniem się na samo Cairhien.

Na każdej wieży miasta zatknięte były sztandary, zbyt daleko, by wyraźnie określić, co przedstawiają, ale opisali je mu zwiadowcy. Na jednej ich połowie znajdował się Księżyc Łzy, druga, co chyba wcale nie dziwiło, powieliała Sztandar Smoka, który pozostawił na Kamieniu Łzy. Na żadnym nie było Wschodzącego Słońca Cairhien.

Wystarczyło nieznacznie poruszyć szkłem powiększającym, by zmieść z pola widzenia miasto. Na przeciwległym brzegu rzeki stały poczerniałe, kamienne skorupy spichlerzy. Część Cairhienian, z którymi Rand rozmawiał, twierdziła, że to spalenie spichlerzy doprowadziło do zamieszek, a potem do śmierci króla Galldriana i tym samym do wojny domowej. Pozostali twierdzili, że to zamach na Galldriana spowodował zamieszki i podpalenie. Rand wątpił, czy kiedykolwiek dowie się, co z tego jest prawdą, albo czy w ogóle nie było jeszcze inaczej.

Oba brzegi szerokiej rzeki były upstrzone wypalonymi kadłubami statków, żaden jednak nie znajdował się blisko miasta. Aielów niepokoiła — strach byłby tu słowem zbyt mocnym — obecność trupów w wodzie — z tego powodu nie chcieli ani przejść po moście, ani w bród, jednakże Couladinowi udało się osadzić bariery z dryfujących kłód przez Alguenyę zarówno nad, jak i pod Cairhien, wraz z dostateczną liczbą ludzi, którzy pilnowali, by ich kto nie pociął. Reszty dokonały płonące strzały. Nic z wyjątkiem szczurów i ptaków nie mogło się dostać ani wydostać z Cairhien bez pozwolenia Couladina.

Na wzgórzach otaczających miasto śladów oblegającej go armii było względnie mało. Tu i tam ciężko łopotały skrzydłami drapieżne ptaki, bez wątpienia uczujące na szczątkach tych, którzy próbowali się wydostać, ale w zasięgu wzroku nie pojawił się żaden Shaido. Aielów rzadko można było zobaczyć, chyba że

sobie tego życzyli.

Zaraz. Rand na powrót skierował szkło powiększające w stronę nie zalesionego wzgórza, oddalonego od miejskich murów o jakąś milę. Z powrotem na grupkę mężczyzn. Nie rozpoznał ani twarzy, ani innych szczegółów, widział tylko, że wszyscy są ubrani w *cadin'sor*. I jeszcze jedno. Jeden z nich miał obnażone ramiona. Couladin. Rand był pewien, że to tylko wyobraźnia, ale kiedy Couladin się ruszał, wydawało mu się, że widzi słoneczne błyski odbijające się od metalicznych łusek tak samo otaczających przedramiona mężczyzny, jak to było w jego przypadku. To Asmodean je tam odcisnął. Po to tylko, by odwrócić uwagę Randa, zająć go w czasie, gdy będzie realizował własne plany, ile jednak spraw potoczyłoby się inaczej, gdyby tego nie uczynił? Z pewnością nie stałby teraz na tej wieży i nie patrzył na obleżone miasto, czekając na bitwę.

Nagle nad tamtym oddalonym szczytem coś przeleciało, długa, rozmazana smuga, a dwaj ze stojących tam mężczyzn padli na ziemię, młóćąc gwałtownie rękoma. Patrząc na leżące ciała, oba najwyraźniej przebite jedną włócznią, Couladin i pozostali wyglądali na równie oszołomionych jak Rand. Obracając szkło powiększające, Rand szukał człowieka, który z taką siłą cisnął włócznią. Musiał być odważny — i głupi — że podszedł aż tak blisko. Przepatrywał teren w promieniu większym nawet niżli zasięg rzutu włócznią ciśniętą ludzkim ramieniem. Już zaczął myśleć o ogirach — nieprawdopodobne; wiele trzeba, by zmusić ogira do przemocy — kiedy dostrzegł smugę kolejnej włóczni.

Zaskoczony, prawie się wyprostował, zanim gwałtownym ruchem skierował szkło z powrotem na mury Cairhien. Włócznia — czy cokolwiek to było — nadleciała właśnie stamtąd. Był tego pewien. A w jaki sposób, to już całkiem inna sprawa. Z tej odległości potrafił wypatrzeć tylko kogoś przypadkiem, kto akurat poruszałby się na szczytach murów albo jakiejś wieży.

Podniósłszy głowę, Rand zobaczył, że Rhuarc właśnie się odsuwa od drugiego szkła powiększającego, ustępując miejsca Hanowi. Stąd właśnie ta wieża i szkła powiększające. Zwiadowcy przynosili wszelkie informacje o rozmieszczeniu Shaido, ale dzięki wieży wodzowie mogli sami obejrzeć teren, na którym stoczona zostanie bitwa. Opracowali już wspólnie plan, ale dodatkowe spojrzenie mogło być przydatne. Rand niewiele wiedział o bitwach, Lan jednak uznał ich plan za dobry. A w każdym razie jego własny umysł niewiele o nich wiedział; czasami wpełzały doń tamte inne wspomnienia i wówczas dysponował wiedzą znacznie obszerniejszą, niżby mu się podobało.

— Widziałeś tamto? Te... włócznie?

Rhuarc przytaknął z zaskoczoną miną; Rand wiedział, że sam pewnie ma identyczną.

— Tę drugą przyjął drugi Shaido, ale udało mu się odczołgać. Pech sprawił, że nie był to Couladin. — Wskazał szkło powiększające i Rand pozwolił mu zająć swoje miejsce.

Czy to rzeczywiście taki pech? Śmierć Couladina nie zlikwidowałaby zagrożenia ani wobec Cairhien, ani reszty. Shaido, teraz, kiedy znaleźli się po tej stronie Muru Smoka, nie zawrócą posłusznie tylko dlatego, że człowiek, którego uważali za prawdziwego *Car'a'carna*, poległ. Może by to nimi wstrząsnęło, ale z pewnością nie dość. A po tym wszystkim, na co Rand napatrzył się do tej pory, nie uważał, by Couladin zasługiwał na tak łatwe wyjście z sytuacji.

„Potrafię być twardy, kiedy muszę — pomyślał, gładząc rękojeść miecza. — Wobec Couladina potrafię”.

UCIEC PRZED STRZAŁĄ

Widok spodniej części dachu namiotu musiał być najnudniejszym widokiem na świecie, a jednak Mat, ubrany w samą bieliznę, rozparty na zdobytych przez Melindhre poduszkach ze szkarłatnymi tasiemkami, uważnie wpatrywał się w szaroburą tkaninę. A raczej patrzył przez nią. Z jedną ręką zwiniętą pod głowę, obracał w drugiej srebrny kielich pełen wina z południowych ziem Cairhien. Niewielka beczułka kosztowała go tyle co dwa dobre konie — tyle, ile kosztowałyby dwa konie, gdyby świat i wszystko nie stało na głowie — uznał jednak, że to niewygórowana cena za coś tak zacnego. Czasami kropla lub dwie rozbryzgiwały się na jego dłoni, ale on tego w ogóle nie zauważał, dotąd zresztą nie upił nawet łyka.

Wedle jego oceny sprawy już dawno temu przybrały obrót co najmniej poważny. Poważny, utknął bowiem w Pustkowiu, nie mając pojęcia, jak z niego — uciec. Poważny, bo trolloki wyskakiwały, kiedy się człowiek tego najmniej spodziewał, a Myrddraale mroziły mu krew w żyłach tym swoim bezokim spojrzeniem. Tego typu rzeczy działy się szybko i zazwyczaj było po wszystkim, zanim w ogóle się zdążyło pomyśleć. Z pewnością nie tego człowiek szukał, jednak skoro już musiał, to jakoś udawało mu się z tym żyć, pod warunkiem, że przeżyje. On jednak od wielu dni wiedział już, dokąd się kierują i po co. Nic nie działo się szybko. Wiele dni na myślenie.

„Nie jestem żadnym przeklętym bohaterem — pomyślał ponuro — ani też przeklętym żołnierzem”.

Odepchnął natarczywie wspomnienie, w którym chodził po murach fortecy i posyłał niedobitków swego oddziału w miejsca, gdzie wycinali kolejny łań drabin oblężniczych trolloków.

„To nie byłem ja, oby szczęść w Światłości ten, kto to był! Ja jestem. . .”

Nie wiedział już, kim jest — gorzka myśl — ale kimkolwiek by był, ten ktoś na pewno cenił sobie hazard i tawerny, kobiety oraz taniec. Co do tego nie miał wątpliwości. Dobrego wierzchowca i rozmaitość dróg wiodących przez świat, a nie siedzenie i czekanie, aż ktoś obsypie go gradem strzał względnie spróbuje wetknąć mu miecz bądź włócznię między żebra. Bo w przeciwnym razie wyjdzie na durnia, a on durniem nie będzie, ani dla Randa, ani dla Moiraine, ani w ogóle dla nikogo.

Kiedy usiadł, spod rozwiązanej koszuli wysunął się medalion ze srebrną głową lisa, zawieszony na skórzanym rzemyku. Schował go z powrotem i upił spory łyk wina. Medalion go chronił przed Moiraine i wszystkimi innymi Aes Sedai, dopóki mu go nie odbiorą — na pewno któraś w końcu prędzej czy później spróbuje — nic jednakże prócz własnego sprytu nie uchroni go przed jakimś durniem, który będzie próbował go zabić pospołu z kilkoma tysiącami innych durniów. Względnie przed Randem albo przed rolą *ta'veren*.

Każdy człowiek powinien szukać swej korzyści w splotach wydarzeń wokół niego. Rand z pewnością w jakimś stopniu tak właśnie postępował. On sam natomiast nigdy nie zauważył, by los szczególnie mu sprzyjał, wyjąwszy grę w kości. Nie wzdragałby się przed niektórymi rzeczami, które przydarzały się *ta'veren* w opowieściach. Bogactwo i sława wpadały im w ręce jakby z nieba; mężczyźni, którzy dybali na ich życie, decydowali opowiedzieć się po ich stronie, jak wosk topniały kobiety, w których oczach wcześniej był tylko lód.

Co bynajmniej nie znaczyło, żeby się uskarżał na to, co miał, wcale nie. I z pewnością też nie chciał osiągnąć czegoś takiego, do czego doszedł Rand; tu cena za wejście do gry była zbyt wysoka. Chodziło tylko o to, że ugrzązł jakby pod brzemionami bycia *ta'veren*, nie czerpiąc z tego żadnych przyjemności.

— Czas odejść — powiedział w pustą przestrzeń namiotu, po czym popadł w zadumę i upił kolejny łyk z pucharu. — Czas dosiąść Oczka i ruszyć w drogę. Pojechać może do Caemlyn. — Nie takie złe miasto, dopóki będzie unikał Królewskiego Pałacu. — Albo do Lugardu. — Słyszał pogłoski na temat Lugardu. Wyśmienite miejsce dla takich jak on. — Czas, by Randa pokrył kurz spod kopyt mego konia. On ma przeklętą armię Aielów i opiekuje się nim więcej Panien, niż umie zliczyć. Nie potrzebuje mnie.

To ostatnie nie było tak do końca prawdą. W jakiś dziwny sposób był związany z powodzeniem albo porażką Randa w Tarmon Gai'don, on i Perrin, trzej *ta'veren* splątani ze sobą. Opowieści będą prawdopodobnie wymieniały tylko Randa. Liche szanse, że znajdzie się w nich miejsce dla niego i Perrina. Ale z kolei pozostawał jeszcze Róg Valere. O którym nie chciał i nie zamierzał myśleć. Dopóki nie będzie musiał. Jeszcze mogło być jakieś wyjście z tego dziwnaczego galimatiasu. Jak na to nie patrzeć, Róg stanowił problem na inną porę. Odległą porę. Jak szczęście dopisze, rachunek przyjdzie. spłacić kiedyś, któregoś dnia. Tyle że mogło mu być wówczas potrzebne więcej szczęścia niż posiadał.

Najważniejsze, że powiedział to wszystko — o odejściu — a poczuł zaledwie drobne ukłucie. Jeszcze nie tak dawno temu nie był w stanie w ogóle mówić o odejściu; wystarczało, że zanadto oddalił się od Randa, a zaraz go przyciągała z powrotem jakaś niewidzialna lina, niczym rybę złapaną na haczyk. Potem nawet udawało mu się o tym mówić, a nawet sporządzać jakieś plany, ale najdrobniejsza rzecz rozpraszała jego uwagę, sprawiała, że rezygnował z planów i postanowień ukradkowej ucieczki. Nawet w Rhuidean, kiedy powiedział Randowi, że odcho-

dzi, był pewien, że coś stanie na przeszkodzie. Stańto, w pewnym sensie; udało mu się wydostać z Pustkowie, ale ani trochę nie oddalił się od Randa. Tym razem jego zdaniem nic już gonie rozproszy.

— To wcale nie tak, jakbym go zostawiał — mruknął. — Jeśli on, do cholery, nie nauczył się do tej pory dbać o siebie sam, to się już nigdy nie nauczy. Nie jestem jego przeklętą niańką.

Opróżnił puchar, wdział zielony kaftan, poukrywał noże w sekretnych miejscach, poprawił ciemnożółtą chustkę, by zakrywała bliznę po pętli na gardle, chwycił kapelusz i wymknął się z namiotu.

Po wyjściu ze stosunkowo chłodnego cienia, jaki dawał namiot, upał zdzielił go w twarz niczym cios. Nie bardzo wiedział, jak się tutaj zmieniają pory roku, ale lato utrzymywało się trochę nazbyt długo jak na jego gust. Jedną z rzeczy, jakiej wyczekiwał z niecierpliwością po opuszczeniu Pustkowie, było nadejście jesieni. Odrobiny chłodu. Na próżno. Przynajmniej szerokie rondo kapelusza chroniło go od słońca.

Ten pagórkowaty cairhieniański las był żalony, więcej polan niż drzew, a połowa z nich zbrązowiła z powodu suszy. W ogóle się nie umywał do Zachodniego Lasu. Wszędzie stały niskie namioty Aielów, z daleka podobne do kopczykóv uschłych liści albo nagich pagórkóv, chyba że boczne klapy były podniesione, a i wówczas trudno je było dostrzec. Zajęci własnymi sprawami, Aielowie nie poświęcali mu więcej jak jedno spojrzenie.

Podczas wędrówki przez obozowisko z jednego ze wzniesień dostrzegł przelotnie wozy Kadere, wszystkie ustawione w kręgu; woźnice leżeli w cieniu podwozi, handlarza zaś nie było nigdzie widać. Kadere coraz częściej trzymał się swego wozu, rzadko wytykając nos na zewnątrz, chyba że zjawiała się Moiraine, by dokonać inspekcji ładunku. Aielowie, otaczający niewielkimi grupkami wozy, z pękami włóczni, tarczami, łukami i strzałami, niespecjalnie dbali o pozory, że są czymś innym niż strażą. Moiraine zapewne uważała, że Kadere albo niektórzy jego ludzie będą próbowali uciec z tym, co zabrała z Rhuidean. Mat zastanawiał się, czy do Randa dociera, że daje jej wszystko, o co tylko poprosiła. Przez jakiś czas uważał, że Rand ma tu coś do powiedzenia, ale już tego nie był pewien, nawet jeśli Moiraine nie robiła nic poza tym, że dygała i przynosiła Randowi fajkę.

Namiot Randa znajdował się naturalnie na samym szczycie wzgórza, z nieodmiennym czerwonym sztandarem na lasce zatkniętej przed frontem. Marszczył się na lekkim wietrze, a niekiedy prostował dostatecznie, by ujawnić czarno-biały dysk. Na jego widok Matowi cierpła skóra, podobnie zresztą jak na widok Sztandaru Smoka. Jeśli jakiś człowiek pragnął uniknąć wplątywania się do spraw Aes Sedai, co dotyczyło chyba każdego z wyjątkiem idioty, to ostatnią rzeczą, jaką powinien czynić, jest wymachiwanie tym symbolem.

Zbocza wzgórza były nagie, ale podnóże otaczały namioty Panien, które poprzez pas drzew rozprzestrzeniały się na inne, okoliczne zbocza, a także jego tyły.

To też było normalne, jak i obozowisko Mądrych wśród *Far Dareis Mai*, kilkanaście niskich namiotów w odległości krzyku od wzgórza Randa, przy których krzatali się odziani na biało *gai'shain*.

Widać było jedynie kilka Mądrych, jednakże skromną liczbę nadrabiały spojrzzeniami, którymi go ścigały. Nie miał pojęcia, ile w tej gromadzie potrafi przynieść, ale zupełnie nieźle dorównywały Aes Sedai w kwestii taksujących spojrzeń. Przyspieszył kroku, mocno się starając, by nie wzruszać nerwowo ramionami; czuł spojrzenia tych oczu na swoich plecach, jakby ktoś go szturchał kijem. A będzie musiał jeszcze raz przejść tę ścieżkę zdrowia, kiedy będzie wracał. Cóż, kilka słów z Randem i przejdzie ją po raz ostatni.

Niestety, kiedy ściągnął kapelusz i wsunął się do namiotu Randa, nie zastał w nim nikogo prócz Nataela, rozwalonego na poduszkach, z połączoną, rzeźbioną w kształt smoka harfą wspartą o kolano oraz złotym pucharem w rękę.

Mat skrzywił się i zaklął bezgłośnie. Powinien był to przewidzieć. Gdyby Rand tu był, to musiałby najpierw przedrzeć się przez kordon Panien otaczający namiot. Najprawdopodobniej znajdował się teraz na szczycie nowo zbudowanej wieży. Z tą wieżą to był dobry pomysł. Poznać teren. Tak brzmiała druga zasada, po „poznaj swojego wroga”, trudno było określić, która ważniejsza.

Pod wpływem tej myśli usta wykrzywił mu grymas. Te zasady pochodziły ze wspomnień innych ludzi, wołałby pamiętać tylko taki na przykład: „Nie całuj dziewczyny, której bracia mają blizny od noża” i „Nigdy nie graj w kości, jeśli nie wiesz, gdzie jest tylne wyjście”. Żałował, że te wspomnienia innych ludzi przestały stanowić odrębne wyspy w jego głowie, a zamiast tego przesączały teraz jego myśli, czy chciał tego, czy nie chciał.

— Czyżby zgaga ci dokuczała? — spytał leniwym głosem Natael. — Może któraś z Mądrych ma jakieś korzenie, które to leczą. Albo poproś Moiraine o pomoc.

Mat nie lubił tego człowieka; zawsze wyglądał, jakby właśnie przyszedł mu do głowy jakiś dowcip, którym nie chciał się z nikim podzielić. I jakby miał trzech służących, którzy zajmowali się jego odzieniem. Śnieżnobiała koronka przy kołnierzu i mankietach nieodmiennie sprawiała wrażenie świeżo wypranej. Poza tym ten zdawał się nigdy nie pocić. Czemu Rand trzymał go przy sobie, pozostawało zagadką. Prawdę mówiąc, rzadko kiedy jego harfa grała cokolwiek wesołego.

— Kiedy on wróci?

Natael wzruszył ramionami.

— Wtedy, kiedy sam zechce. Może niebawem, może bardzo późno. Nikt nie liczy czasu Lorda Smoka. Z wyjątkiem nielicznych kobiet. — I tu znowu ten tajemniczy uśmiezek. Tym razem nieco bladejszy.

— Zaczekam. — Chciał już to mieć za sobą. Za wiele razy przyłapywał się na tym, że odkłada moment odejścia.

Natael upił łyk wina, przypatrując mu się znad pucharu.

Już było źle, gdy Moiraine i Mądre obserwowały go w ten milczący, badawczy sposób — czasami robiła to również Egwene; ale ona z pewnością się zmieniła, po części w Mądrą, po części w Aes Sedai — ale gdy robił to bard Randa, omalże cierpły zęby. Najlepsze w pomysłach wyjazdu było to, że nikt nie będzie na niego patrzył, jakby lada chwila miał się dowiedzieć, o czym on myśli, a już wiedział, czy ma czystą bieliznę.

Obok paleniska leżały rozłożone dwie mapy. Jedna, skopiowana szczegółowo z postrzępionej mapy znalezionej w jakimś częściowo spalonym mieście, obejmowała północne Cairhien, od zachodu Alguenyi po Grzbiet Świata, druga zaś, sporządzona niedawno i bardziej ogólna, ukazywała tereny wokół miasta. Obie były upstrzone skrawkami pergaminu przyciśniętymi kamykami. Jeśli chciał zostać i ignorować badawczy wzrok Nataela, to nie miał nic innego do roboty, jak tylko studiować mapy.

Czubkiem buta odsunął kilka kamyków z mapy miasta, dzięki czemu mógł odczytać, co zostało napisane na pergaminach. Skrzywił się mimo woli. Jeśli zwiadowcy Aielów potrafili liczyć, to Couladin dysponował blisko stu sześćdziesięcioma tysiącami włóczy samych Shaido oraz tych, którzy ponoć przyłączyli się do swoich społeczności w ramach Shaido. Twardy orzech do zgryzienia i na dodatek... kłujący. Po tej stronie Grzbietu wiata nie widziano takiej armii od czasów Artura Hawkwinga.

Na drugiej mapie naniesiono inne klany, które przekroczyły Mur Smoka. Wszystkie one obecnie, w takiej czy innej liczbie, w miarę jak opuszczały Jangai, rozciągały swój pochód i oddalały od siebie, zbyt jednak blisko znajdowały się tego miejsca, by to stanowiło jakąś pociechę. Shiande, Codarra, Daryne i Miagoma. Na to wychodziło, że wspólnie miały co najmniej tyle włóczy co Couladin; nie zostawiły wielu za sobą, jeśli to była prawda. Siedem klanów towarzyszących Randowi miało nad nimi niemalże podwójną przewagę liczebną, a zatem z łatwością mogły stawić czoło Couladinowi albo tamtym czterem klanom. Albo — albo. Nie obu tym siłom, w każdym razie nie jednocześnie. A może się okazać, że Rand będzie musiał walczyć z wszystkimi naraz.

Zjawisko, które Aielowie nazywali apatią, musiało również oddziaływać na te klany — codziennie ktoś odrzucał broń i znikał — ale tylko jakiś dureń mógł uwierzyć, że to uszczupla ich szeregi w większym stopniu niż wojska Randa. A poza tym zawsze istniała możliwość, że niektórzy przechodzili na stronę Couladina. Aielowie nie mówili o tym ani często, ani swobodnie i maskowali ten pomysł gadaniem o przyłączaniu się do społeczności, ale do teraz niejeden mężczyzna i niejedna Panna stwierdzali, że nie mogą zaakceptować Randa albo tego, co im o nich powiedział. Każdego ranka brakowało kilku i nie wszyscy zostawiali włócznie.

— Znakomita sytuacja, nie sądzisz?

Mat gwałtownie podniósł głowę, gdy usłyszał głos Lana, ale Strażnik wszedł

do namiotu sam.

— Tylko tak patrzyłem, żeby skrócić czekanie. Rand wraca już może?

— Niebawem będzie z nami. — Lan, z kciukami zatknietymi za pas od miecza, stanął obok Mata i zapatrzył się w mapę. Jego twarz odzwierciedlała tyleż samo co oblicze posagu. — Jutro powinna odbyć się największa bitwa od czasów Artura Hawkwinga.

— Co ty powiesz? — Gdzie jest Rand? Zapewne nadal na wieży. Może powinien tam pójść. Nie, tylko będzie uganiał się po obozowisku, zawsze jeden krok za późno. Rand tu w końcu przyjdzie. Chciał porozmawiać o czymś innym, a nie o Couladinie.

„Ta wojna to nie moja sprawa. Uciekam przed czymś, co mnie w najmniejszej mierze nie dotyczy”.

— Co z nimi? — Wskazał strzępki pergaminu, symbolizujące Miagoma i pozostałe klany. — Są jakieś wieści na temat tego, czy przyłączą się do Randa, czy też mają zamiar siedzieć tu tylko i patrzeć?

— Kto to wie? Rhurarc, jak się zdaje, nie jest zorientowany lepiej ode mnie, zaś Mądre, jeśli nawet coś wiedzą, to i tak milczą. Jedyna pewna rzecz to taka, że Couladin nie wybiera się nigdzie.

Znowu ten Couladin. Mat poruszył się niespokojnie i zrobił pół kroku w stronę wyjścia. Nie, zaczeka. Utkwił wzrok w mapach i udawał, że nadal je studiuje. Chciał tylko powiedzieć swoje Randowi i odejść.

Strażnik natomiast wyraźnie miał ochotę na rozmowę.

— A ty co myślisz, panie bardziej? Czy powinniśmy nazajutrz ruszyć ze wszystkim na Couladina i zetrzeć go na proch?

— Mnie się taki plan podoba w równym stopniu, jak każdy inny — odparł kwaśnym tonem Natael. Wławszy zawartość pucharu do gardła, cisnął go na dywan, wziął do rąk harfę i jał cicho brzdąkać coś ponurego i pogrzebowego. — Nie ja dowodzę armiami, Strażniku. Nie ja wydaję rozkazy innym prócz siebie i to też nie zawsze.

Mat chrząknął, a Lan zerknął na niego, zanim powrócił do studiowania map.

— Twoim zdaniem to nie jest dobry plan? Dlaczego?

Powiedział to tonem tak zdawkowym, że Mat odpowiedział mu odruchowo.

— Z dwóch powodów. Jeśli otoczycie Couladina, schwytaście w pułapkę między sobą a miastem, to możecie go przyprzeć do murów. — Kiedy ten Rand wreszcie przyjdzie? — Ale tym sposobem równie dobrze możecie go przecisnąć przez mury. Z tego, co mi wiadomo, już dwa razy omal się nie dostał do środka, mimo iż nie dysponuje ani górnikami, ani machinami oblężniczymi, a miasto trzyma się już tylko ostatkiem sił. — Powie swoje i pójdzie, to wszystko. — Przyciśnięcie go i nim się ockniecie, będziecie walczyć w samym środku Cairhien. Walka w mieście to paskudna sprawa. A chodzi o to, by uratować miasto, a nie ostatecznie je zrujnować.

Skrawki rozłożone na mapach, same mapy, ukazywały to wszystko tak wyraźnie.

Przykucnął ze zmarszczonym czołem, wspierając łokcie na kolanach. Lan przysiadł obok niego, ale ledwie to zauważył. Problem jak w grze w kości. Na dodatek fascynujący.

— Najlepiej postarać się go przepędzić. Przede wszystkim uderzyć na niego z południa. — Wskazał rzekę Gaelin; łączyła się z Alguenyą w odległości kilku mil na północ od miasta. — Tu są mosty. Pozostawcie Shaido wolną drogę do nich. Zawsze należy zostawić wrogowi drogę ucieczki, chyba że naprawdę chcesz sprawdzić, jak zajadłe walczy człowiek, który nie ma nic do stracenia. — Przesunął palec na wschód. Przeważnie zalesione wzgórza, jak się zdawało. Prawdopodobnie niewiele się różniące od okolicznych. — Dzięki wojskom blokującym tereny po tej stronie rzeki, jeśli będzie ich dostatecznie dużo i jeśli zostaną właściwie rozmieszczone, tamci skierują się w stronę mostów. Kiedy już ruszą, to Couladin nie będzie próbował walczyć z kimś, kto jest przed nim, gdy wy będziecie postępowali za nim. — Tak. Prawie dokładnie tak samo jak pod Jenje. — Chyba że jest skończonym durniem. Może uda im się dotrzeć do rzeki we właściwym porządku, ale te mosty ich zadławią. Nie wyobrażam sobie Aielów pływających albo wyszukujących brody, skoro już o tym mowa. Napierać wtedy dalej, pognać ich przez rzekę. Jak szczęście dopisze, to uda się ich pognać aż do samych gór. — To było jak pod Brodami Cuaindaigh, pod koniec Wojen z trollokami i mniej więcej na taką samą skalę. Niewiele też się różniło od Tora Shan. Albo Przełęcz Sulmein, zanim Hawkwing opanował sytuację. Te nazwy, obrazy zalanych krwią pól, zapomniane nawet przez historyków, same rozbłyskiwały w jego głowie. Był tak pochłonięty mapą, że rejestrował je wyłącznie jako własne wspomnienia. — Szkoda, że nie macie więcej kawalerii. Lekka kawaleria jest najlepsza do przegania. Kąsajcie od flank, zmuszajcie do bezustannej ucieczki i ani na moment nie dopuście, by się zdołali zebrać do bitwy. Zresztą Aielowie też powinni wystarczyć.

— A ten drugi powód? — spytał cicho Lan.

Tym razem Mat dał się przyłapać. Lubił hazard, w istocie bardzo lubił, a bitwa to hazard, w porównaniu z którym gra w kości w tawernach to zabawa dla dzieci i bezzębnych kalek. Tutaj ryzykujesz życie, własne i cudze, nawet życie tych, których wcale nie ma na miejscu. Przyjmij zły zakład, głupio zalicytuj, a wyginą całe miasta albo nawet kraje. Ponura muzyka Nataela stanowiła znakomity akompaniament. A jednocześnie była to gra, od której w żyłach szybciej krążyła krew.

Parsknął, nie unosząc oczu od mapy.

— Wiesz to równie dobrze jak ja. Jeśli nawet tylko jeden z tych czterech klanów postanowi wesprzeć Couladina, to zajdą was od tyłu, kiedy będziecie wciąż zajęci Shaido. Couladin będzie kowadłem, a oni młotem, wy zaś niby orzech między nimi. Rzućcie na Couladina tylko połowę tego, czym dysponujecie. Siły bę-

dą wtedy mniej więcej równe, ale to nic. — W wojnie nie ma czegoś takiego jak uczciwość. Atakujesz wroga od tyłu, kiedy się tego najmniej spodziewa, tam, gdzie jest najslabszy. — Nadal macie przewagę. On musi się martwić wypadami oblężonych. Drugą połowę rozdzielcie na trzy części. Jedna po to, by zagnała Couladina do rzeki, pozostałe dwie w odstępie kilku mil między miastem a czterema klanami.

— Bardzo sprytnie — powiedział Lan, kiwając głową. Jego twarz jakby wyrzeźbiona z kamienia ani na moment się nie zmieniła, jednak głos zdradzał aprobatę, nawet jeśli tylko nieznacznie. — Dzięki temu żaden klan nic nie zyska, jeśli zaatakuje którąś z sił, zwłaszcza kiedy drugi może ruszyć nań od tyłu. Z tego samego powodu żaden nie będzie próbował ingerować w to, co się dzieje w okolicy miasta. Oczywiście mogą się połączyć, wszystkie cztery razem. Mało prawdopodobne, skoro dotychczas tego nie zrobili, ale jeśli tak się stanie, to wszystko się zmieni.

Mat roześmiał się w głos.

— Wszystko się zawsze zmienia. Najlepszy plan utrzymuje się do czasu, kiedy pierwsza strzała opuści łuk. Taki mogłoby realizować dziecko, z wyjątkiem Indiriana i tych innych, którzy w ogóle nie wiedzą, czego chcą. Jeśli oni wszyscy postanowią przejść na stronę Couladina, to rzucaj kości i módl się, bo do takiej gry z pewnością zasiadł Czarny. Przynajmniej za miastem będziecie mieli dość sił, by im dorównać. Dość, by ich przetrzymać przez cały ten czas, jakiego będziecie potrzebować. Porzućcie pomysł ścigania Couladina i skierujcie wszystko na nich, kiedy zaczną na dobre przeprować się przez Gaelin. Ale ja się założę, że oni będą czekać, obserwować i że przyjdą do was, kiedy z Couladinem będzie koniec. Zwycięstwo zaszczenia moc argumentów w głowach większości ludzi.

Muzyka ucichła. Mat zerknął na Nataela i przekonał się, że tamten trzyma harfę sztywnymi dłońmi, wpatrzony w niego bardziej twardo niż kiedykolwiek. Oczy miał jak z ciemnego, polerowanego szkła, palce zaciśnięte na złoceniach harfy zbiegły w stawach.

Raptem dotarło do niego, co właściwie mówi, z jakich to wspomnień skorzystał.

„A żebyś ty szczeł za to, że kłapiesz jęzorem!”

Dlaczego ten Lan się uparł, żeby tak pokierować rozmową? Dlaczego nie rozmawiał o koniach, o pogodzie albo zwyczajnie nie trzymał ust zamkniętych na kłódkę? Strażnik nigdy nie palił się do rozmowy. Na ogół w porównaniu z nim drzewo można by określić jako gadatliwe. Rzecz jasna on sam też mógł skupić myśli i się nie odzywać. Dobrze chociaż, że nie paplał w Dawnej Mowie.

„Krew i popioły, mam nadzieję, że tego nie robiłem!”

Poderwawszy się na równe nogi, Mat odwrócił się, by wyjść i zobaczyć Randa, który stał na środku namiotu, z roztargnieniem obracając w dłoniach ten dziwny szczątek włóczni z chwostami, jakby nie zdawał sobie sprawy, że ją trzyma. Od

jak dawna tu był? Nieważne. Mat pospiesznie, jednym ciągiem wyrzucił z siebie wszystko.

— Wyjeżdżam, Rand. Wraz z pierwszym brzaskiem wskakuję na siodło i już mnie nie ma. Pojechałbym nawet i w tej chwili, gdybym przez połowę dnia ujechał dostatecznie daleko, by móc się zatrzymać. Zanim rozbiję obóz, mam zamiar odgrodzić się tyłoma milami od Aielów... wszelkich Aielów... ile tylko Oczko będzie mógł pokonać. — Nie było sensu zatrzymywać się na popas tak blisko, by dać się pojmać i powiesić do wyschnięcia przez czyichś zwiadowców; Couladin na pewno rozesłał swoich, ale nawet ci inni mogliby go nie rozpoznać, zanim mu wbiją włócznię w wątrobę.

— Będzie mi przykro patrzeć, jak odjeżdżasz — powiedział cicho Rand.

— Nie próbuj mnie przekonywać, żebym... — Mat zamrugał. — To wszystko? Będzie ci przykro patrzeć, jak odjeżdżam?

— Nigdy nie próbowałem cię zatrzymywać, Mat. Perrin odszedł, kiedy musiał, więc ty też możesz.

Mat otworzył usta i zaraz je zamknął. Rand nigdy nie próbował go zatrzymywać, to prawda. On to po prostu robił, zupełnie się nie starając. Tym razem jednak ani trochę nie czuł tego przyciągania *ta'veren*, nie miał żadnych niejasnych przeżyć, że robi coś złego. Dążył do swego celu stanowczo i otwarcie.

— Dokąd pojedziesz?

— Na południe. — Zresztą możliwości wyboru kierunku nie były wielkie. Inne drogi wiodły ku Gaelin, na północy, gdzie nie było nic, co by go interesowało, zaś pozostałe do Aielów, do takich, którzy z pewnością by go zabili i takich, którzy mogli to zrobić, ale nie musieli, w zależności od bliskości Randa i tego, co poprzedniego wieczora jedli na kolację. Marne szanse, jego zdaniem.

— W każdym razie na początek. A dalej tam, gdzie jest jakaś tawerna i kobiety, które nie noszą włóczni. — Melindhra. Ona może stanowić niejaki problem. Odnosił wrażenie, że to taka kobieta, która nie popuszcza, chyba że sama tego zechce. Cóż, poradzi z nią sobie, tak czy siak. Może po prostu wyjedzie, zanim ona się dowie. — To nie dla mnie, Rand. Nie znam się na bitwach i nie chcę zdobywać tej wiedzy. — Unikał spoglądania na Lana i Nataela. Niech no któryś chlapnie ozorem, to mu przywali prosto w zęby. Nawet Strażnikowi. — Ty mnie rozumiesz, prawda?

Rand skinął głową, co mogło oznaczać, że rozumie. Może rzeczywiście rozumiał.

— Na twoim miejscu zapomniałbym się pożegnać z Egwene. Ja już nie mam pewności, ile z tego, co jej mówię, równie dobrze mógłbym powiedzieć Moiraine albo Mądrym.

— Ja już dawno temu doszedłem do takiego wniosku. Ona opuściła Pole Emonda w znacznie większym stopniu niż my. I mniej tego żałuje.

— Być może — odparł smutnym głosem Rand. — Oby cię Światłość opromieniała, Mat — dodał, podając rękę — i zesłała ci równe drogi, piękną pogodę oraz miłe towarzystwo, dopóki się znowu nie spotkamy.

Co nie nastąpi prędko, gdyby to od Mata zależało. Zrobiło mu się trochę przykro z tego powodu, ale człowiek musi sam dbać o siebie. Krótko mówiąc, komu w drogę, temu czas.

Uścisk dłoni Randa był silny jak zawsze — cała ta zabawa z mieczami dodała tylko nowych odcisków do starych, których nabawił się, posługując łukiem — Mat jednak poczuł piętno czapli. To tak na przypomnienie, gdyby przypadkiem zapomniał o piętnach ukrytych pod rękawami kaftana przyjaciela, albo o tych jeszcze dziwniejszych rzeczach we wnętrzu jego głowy, dzięki którym potrafił przenosić. Skoro jakoś zapomniał, że Rand potrafi przenosić — a nie myślał o tym od wielu dni; dni! — to dawno już nadszedł czas, by ruszyć w drogę.

Jeszcze kilka słów wypowiedzianych w zakłopotaniu, na stojąco. Lan zdawał się ich ignorować, z założonymi rękoma w milczeniu studiował mapy, zaś Natael leniwie trzącał struny harfy. Mat miał słuch i dla niego ta nieznana melodia brzmiała ironicznie; zastanawiał się, dlaczego ten jegomość ją właśnie wybrał — jeszcze kilka chwil i wreszcie wszystko się skończyło. Rand usunął mu się z drogi i Mat znalazł się nareszcie na zewnątrz. Tu zobaczył tłum, dobre sto Panien rozstawionych na zboczu wzgórza i spacerujących na palcach, gotowych przeszyć każdego włócznią, wodzów wszystkich siedmiu klanów, którzy czekali cierpliwie i nieruchomo jak głazy oraz trzech taireniańskich lordów, którzy bez powodzenia udawali, że wcale się nie pocą i że Aielowie w ogóle nie istnieją.

Słyszał o przybyciu lordów i nawet się przeszedł, by zerknąć na ich obóz — czy raczej obozy — ale nie było wśród nich żadnego, którego by znał i żaden z nich nie chciał zasiąść do partyjki kości albo kart. Ci trzej zmierzyl go wzrokiem od stóp do głów, krzywiąc się z pogardą, po czym najwyraźniej stwierdzili, że nie jest kimś wiele lepszym od Aiela, czyli że nie warto na niego patrzeć.

Wcisnął kapelusz na głowę i naciągnął szerokie rondo na oczy, po czym przez chwilę oglądał sobie Tairenian. Z przyjemnością zauważył, jak tym dwóm młodszym przynajmniej zrobiło się nieswojo, gdy ponownie zauważyli jego obecność, gdy właśnie miał ruszyć w dół zbocza. Siwobrody nadal całą swoją osobą zdradzał źle skrywane zniecierpliwienie, że jeszcze nie wolno mu wejść do namiotu Randa, ale to i tak się nie liczyło. Już ich nigdy nie zobaczy.

Nie miał pojęcia, dlaczego ich zwyczajnie nie zignorował. Dla odmiany jednak krok miał lżejszy i czuł, że wstał weń nowy duch. Nic dziwnego, naza jutrz nareszcie wyjedzie. W jego głowie zdawały się toczyć kości; nie umiał tylko orzec, ile pokażą oczek, kiedy znieruchomią. To dziwne. Pewnie to Melindhra nie daje mu spokoju. Tak. Nieodwołalnie wyjedzie wcześniej i tak cicho jak mysz, która stąpa po pierzu.

Pogwizdując, ruszył w stronę swojego namiotu. Co to za melodia? A tak. *Ta-*

niec z Widmowym Jakiem. Nie zamierzał tańczyć ze śmiercią, ale piosenka miała wesołe brzmienie, więc gwizdał ją i tak, starając się zaplanować jak najlepszą trasę od Cairhien.

Rand patrzył w ślad za Matem jeszcze długo po tym, jak opadły za nim kłapy namiotu.

— Usłyszałem tylko końcówkę — przemówił wreszcie. — Cały czas to tak szło?

— Prawie — odparł Lan. — Zaledwie po kilku minutach studiowania map wyłożył niemalże taki sam plan bitwy, jaki sporządzili Rhuarc i pozostali. Dostrzegł trudności i niebezpieczeństwa, wiedział, jak stawić im czoło. On zna się na górnikach i machinach oblężniczych, a także wykorzystywaniu lekkiej kawalerii do zaganiania pobitego wroga.

Rand spojrział na niego. Strażnik nie zdradzał zdziwienia, nawet nie drgnęła mu powieka. Oczywiście to on pierwszy stwierdził, że Mat wydaje się zadziwiająco dobrze znać na sprawach militarnych. Na szczęście Lan nie zamierzał zadać oczywistego pytania, Rand bowiem nie miał prawa podzielić się z nim choćby tymi najskromniejszymi wyjaśnieniami, jakie były mu znane.

Sam chętnie by zadał kilka pytań. Na przykład, co mają wspólnego z bitwami górniczy? A może tylko z oblężeniami. Niezależnie od odpowiedzi, najbliższa kopalnia znajdowała się dopiero przy Sztylencie Smoka i nie było żadnej pewności, czy ktoś tam jeszcze wydobywa rudę. Cóż, ta bitwa zostanie stoczona bez górników. Ważna natomiast była wiedza, że Mat nabył coś więcej po drugiej stronie *ter'angrealu* prócz skłonności do nieuważnego wtrącania zdań Dawnej Mowy. Rand z pewnością zamierzał wykorzystać tę wiedzę.

„Nie musisz się już stawać ani trochę twardszy” — pomyślał z goryczą. Zauważył, że Mat wspina się w stronę jego namiotu i na moment się nie zawahał, tylko przysłał Lana, by ten sprawdził, co wyjdzie na jaw w wyniku zdawkowej konwersacji, w cztery oczy. To zrobił specjalnie. Cała reszta mogła, ale nie musiała się zdarzyć, choć najprawdopodobniej zdarzy się. Miał nadzieję, że Mat dobrze się zabawi, kiedy będzie wolny. Miał nadzieję, że Perrin dobrze się bawi w Dwu Rzekach, pokazując Faile swojej matce i siostrze, że może już się z nią ożenił. Miał nadzieję, ponieważ wiedział, że ściągnie ich z powrotem, bo *ta'veren* przyciąga *ta'veren*, a on był najsilniejszy. Moiraine twierdziła, że to nie żaden zbieg okoliczności, trzech tacy sami, którzy wyrosli w jednej wiosce, wszyscy w jednym wieku; Koło wplatało przypadek i zbieg okoliczności do Wzoru, ale nie rezygnowało z takich jak oni trzech bez powodu. Ostatecznie na powrót przyciągnie swoich przyjaciół, jak by daleko nie odeszli, a kiedy przyjdą, wykorzysta ich, jak potrafi. Jak będzie musiał, to nawet bez reszty. Bo on naprawdę musiał. Niezależnie od tego, co mówiły Proroctwa Smoka, wiedział bez żadnych wątpliwości, że wygra Tarmon Gai'don, jeśli wszyscy trzech zejdą się razem, trzech *ta'veren*, związani z sobą od dzieciństwa, związani z sobą raz jeszcze. Nie, wcale nie musiał stawać się

twardy.

„Dość już cuchniesz, by Seanchanin zwymiotował kolację”.

— Zagraj *Marsz Śmierci* — rozkazał ostrzejszym głosem, niż chciał, a Natael przyglądał mu się przez chwilę nieodgadniętym wzrokiem. Ten człowiek przyśluchiwał się wszystkiemu. Będzie zadawał pytania, ale nie uzyska na nie odpowiedzi. Skoro Rand nie mógł zdradzić Lanowi sekretów Mata, to nie będzie ich ujawniał jednemu z Przeklętych, jakkolwiek by się tamten nie wydawał uległy. Tym razem specjalnie przybrał szorstki ton i wycelował weń szczątek włóczni. — Zagraj, chyba że znasz coś jeszcze smutniejszego. Zagraj coś takiego, żeby nawet twoja dusza załkała. O ile Jeszcze jakąś posiadasz.

Natael obdarzył go przymilnym uśmiechem i ukłonem, wykonanym na siedząco, ale policzki mu pobrały. Zagrał rzeczywiście *Marsz Śmierci*, ale tym razem dobywał ze swej harfy tony bardziej przejmujące niż kiedykolwiek, pogrzebowy tren, którym z pewnością doprowadziłby każdą duszę do płaczu. Wpatrywał się uparcie w Randa, jakby miał nadzieję dostrzec jakiś efekt.

Rand odwrócił się od niego i wyciągnął na dywanikach, z głową zwróconą ku mapom, wsparłszy łokieć o czerwono-złotą poduszkę.

— Lan, zechcesz teraz poprosić pozostałych, by weszli?

Strażnik wykonał formalny ukłon, zanim wyszedł na zewnątrz. Zrobił to po raz pierwszy, Rand jednak, całkiem rozkojarzony, ledwie zwrócił na to uwagę.

Jutro rozgorzeje bitwa. Jego pomoc udzielona Rhuarkowi i pozostałym w planowaniu była fikcją podyktowaną uprzejmością. Miał dość rozumu, by zdawać sobie sprawę z tego, czego nie wie i wbrew wszystkim rozmowom z Rhuarkiem i Lanem wiedział, że jeszcze nie jest gotów.

„Zaplanowałem sto albo i więcej bitew o takim zakresie i wydawałem rozkazy po dziesięciokroć większym rzeszom”. Nie jego myśl. Lews Therin wiedział, czym jest wojna — doświadczył, czym jest wojna, ale Rand al'Thor nie, a on był Randem al'Thorem. Słuchał, zadawał pytania — i kiwał głową, jakby rozumiał, kiedy mówili, że coś zostanie zrobione w jakiś sposób. Czasami rzeczywiście rozumiał, ale wolałby tego nie rozumieć, bo wiedział, skąd się bierze ta wiedza. Jego jedyny realny wkład polegał na stwierdzeniu, że Couladina trzeba pokonać bez zniszczenia miasta. W każdym razie to spotkanie doda tylko kilka poprawek do tego, co już zostało postanowione. Przydałby się Mat, z tą jego nowo odkrytą wiedzą.

Nie. Nie będzie myślał o swych przyjaciółach, o tym, co im zrobi, zanim wszystko się skończy. I bez wojny miał mnóstwo zajęć, rzeczy, z którymi powinien coś począć. Poważny problem stanowił brak cairhieniańskich sztandarów nad Cairhien, a stałe utarczki z Andorem kolejny. Przemyślenia wymagało również to, co knuł Sammael, zaś...

Wodzowie wypełniali wnętrze namiotu bez jakiegoś szczególnego porządku. Tym razem pierwszy wszedł Dhearc, na końcu Rhuarc i Erim razem z Lanem.

Bruan i Jheran zajęli miejsca obok Randa. Nie przejmowali się pierwszeństwem, *Aan'alleina* zaś zdawali się traktować jako jednego z nich.

Weiramon wszedł na końcu, jego lordziątka deptały mu po piętach, z naburmuszonymi minami. Dla niego kolejność najwyraźniej była istotna. Mruczając coś znad wypomadowanej bródki, przemaszerował dookoła ogniska, by zająć miejsce za plecami Randa. Przynajmniej dopóki obojętne spojrzenia wodzów nie roztrząsały jego skorupy. Wśród Aielów bliski krewny albo brat ze społeczności mógł tak się ustawić, jeśli istniała możliwość, że ktoś wbije mu nóż w plecy. Nadal patrzył z wyższością na Jherana i Dhearika, jakby oczekiwał, że któryś ustąpi mu miejsca.

W końcu Bael wskazał mu miejsce obok siebie, za mapami, naprzeciwko Randa i po jakiejś przerwie Weiramon zawrócił, by usiąść na skrzyżowanych nogach, sztywny, ze wzrokiem utkwionym wprost przed siebie, z miną człowieka, który połknął w całości niedojrzałą śliwkę. Młodszy Tairenianie stanęli niemalże tak samo sztywno za jego plecami, jeden wyglądał na trochę zakłopotanego.

Rand zauważył go, ale nie powiedział ani słowa, tylko nabił fajkę do pełna, po czym objął *saidina* na krótką chwilę, by ją zapalić. Musiał coś zrobić z Weiramonem; ten człowiek podsyczał stare problemy i stwarzał nowe. Żaden błysk nie przeciął rysów Rhuarka, ale wyrazy twarzy pozostałych wodzów szeregowały się od kwaśnego obrzydzenia Hana po czystą gotowość w chłodnym wyrazie oczu Erima do pochycenia, tu i teraz. Być może istniał sposób, dzięki któremu Rand mógłby się pozbyć Weiramona i przy okazji zabrać się za rozwiązywanie kolejnego ze swych zmartwień.

Biorąc przykład z Randa, Lan i wodzowie zaczęli nabijać fajki.

— Widzę, że niezbędne były tylko niewielkie zmiany — powiedział Bael, rozpalając fajkę i jak zwykle ciskając: ponure spojrzenie w stronę Hana.

— Czy te niewielkie zmiany dotyczą Goshien czy może innego klanu?

Zapominając o Weiramonie, Rand zmusił się, by słuchać ich dyskusji o tym, co trzeba zmienić teraz, kiedy obejrzeliby teren z innej perspektywy. Co jakiś czas któryś z Aielów zerkał na Nataela, z lekkim napięciem wokół oczu albo ust, jakby ta żałobna muzyka potrafiła w nim jakąś strunę. Nawet Tairenianie poddawali się temu smutkowi. Po Randzie jednak te dźwięki spływały niczym woda po kaczce, nie wywołując w nim żadnych wzruszeń. Łzy stanowiły luksus, na jaki nie mógł już sobie więcej pozwolić, nawet w głębi duszy.

TO MIEJSCE, TEN DZIEŃ

Następnego ranka Rand wstał i ubrał się na długo przed pierwszym brzaskiem. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie spał i to wcale nie Aviendha sprawiła, że nie mógł zasnąć, nawet tym, że zaczęła się rozbierać, zanim zdążył pogasić lampy, i że przeniosła Moc, by zapalić na nowo jedną z nich, kiedy już je pogasił, strofując go, że może on widzi w ciemnościach, ale ona nie. Nie odpowiedział i wiele godzin później ledwie zauważył, kiedy wstała, na dobrą godzinę przed nim, ubrała się i wyszła. Nawet mu nie przyszło do głowy, żeby się zastanawiać, dokąd to ona się wybiera.

Te same myśli, które sprawiły przedtem, że leżał wgapiony w czerń, nadal przebiegały mu przez głowę. Tego dnia zginą ludzie. Bardzo wielu ludzi, nawet jeśli wszystko pójdzie idealnie. Nic, co teraz zrobi, tego nie zmieni; wydarzenia tego dnia będą całkowicie zgodne z Wzorem. Bez końca jednak roztrząsał wszystkie decyzje, które podjął od czasu, gdy po raz pierwszy wkroczył do Pustkowie. Czy mógł uczynić coś innego, coś, dzięki czemu nie doszłoby do tego dnia, tego miejsca? Może następnym razem. Kikut ozdobionej chwastami włóczni leżał na pasie od miecza, schowany do pochwy miecz obok koców. Będzie następny raz i potem następny, a po nim jeszcze kolejne.

Wciąż jeszcze panował mrok, kiedy zjawiła się grupa wodzów, by zamienić z nim kilka ostatnich słów, donieść, że ich ludzie są już na stanowiskach, gotowi. Co wcale nie znaczyło, że należało się spodziewać czegoś innego. Mieli kamienne oblicza, które jednak zdradzały niejaki emocje. Dziwną ich kombinację, pianę wzburzenia wybijającą spod posępności.

Erim, w rzeczy samej, uśmiechał się nieznacznie.

— Dobry to dzień, który przynosi koniec Shaido — powiedział wreszcie. Wydawał się spacerować na czubkach palców.

— Z wolą Światłości — rzekł Bael, ocierając głowę o dach namiotu — jeszcze przed zachodem słońca obmyjemy włócznie we krwi Couladina.

— Rozmawianie o tym, co będzie, przynosi pecha — mruknął Han. W jego przypadku ta piana nie była, rzecz jasna, zbyt gęsta. — Zdecyduje los.

Rand przytaknął mu.

— Oby Światłość sprawiła, byśmy nie zapłacili za to wielką liczbą poległych.

— Żałował, że nie dlatego chce, by jak najmniej ludzi zginęło, gdyż nikomu życie nie powinno być nagle odbierane, ale miało nadejść jeszcze wiele dni, kiedy będzie potrzebował każdej włóczni do zaprowadzenia porządku po tej stronie Muru Smoka. To w takim samym stopniu stanowiło kość niezgody między nim i Couladinem jak cała reszta.

— Życie jest snem — powiedział mu Rhuarc, a Han i pozostali przytaknęli. Życie było tylko snem, a wszystkie sny kiedyś się kończą. Aielowie nie uganiali się za śmiercią, ale też przed nią nie uciekali.

Bael zatrzymał się jeszcze, kiedy już wychodzili.

— Masz pewność odnośnie tego, o co poprosiłeś Panny? Sulin rozmawiała z Mądrymi.

A więc to dlatego Melaine była u Baela. Rhuarc przystanął, by im się przysłuchać, należało więc wnosić, że Amys również rozmawiała z nim na ten temat.

— Wszyscy inni robią, co do nich należy bez narzekania, Bael. — Nie zachował się sprawiedliwie, ale z kolei, to nie była zabawa. — Jeśli Panny chcą jakichś specjalnych względów, to Sulin może przyjść do mnie, a nie biegać do Mądrych.

Rhuarc i Bael zapewne kręciliby długo głowami po wyjściu z namiotu, jednak byli Aielami. Rand przypuszczał, że obaj nasłuchają się od swych żon, ale będą musieli się z tym pogodzić. Skoro jego honor spoczywał w rękach *Far Dareis Mai*, to tym razem one poniosą go tam, gdzie on zechce.

Ku zdziwieniu Randa Lan pojawił się dokładnie w momencie, kiedy już był gotów do wyjścia. Płaszcz, którym Strażnik miał okryte plecy, zamazywał kontury jego sylwetki, mieniając się wraz z każdym jego ruchem.

— Czy jest z tobą Moiraine? — Rand spodziewał się, że tego dnia Lan przyklei się na stałe do jej boku.

— Zadręcza się w swoim namiocie. Dzisiaj najpewniej nie zdoła Uzdrowić wszystkich ran, nawet tych najgorszych. — To ona sama zdecydowała, w jaki sposób będzie pomagać; nie mogła użyć Mocy jako broni, ale mogła Uzdrawiać. — Marnotrawstwo zawsze ją gniewa.

— Wszystkich nas gniewa — zachnął się Rand. Prawdopodobnie zdenerwował ją również fakt, że zabierał Egwene. Na ile się orientował, Egwene nienajlepiej radziła sobie z samodzielnym Uzdrawianiem, ale mogła wspomóc Moiraine. Cóż, potrzebował Egwene, będzie musiała dotrzymać złożonej mu obietnicy. — Przekaż Moiraine, że jeśli potrzebuje pomocy, to niech się zwróci do tych Mądrych, które potrafią przenosić. — Niewiele jednak Mądrych posiadało jakkolwiek wiedzę odnośnie Uzdrawiania. — Niech się z nimi połączy i wykorzysta ich siłę.

Zawahał się. Czy Moiraine mówiła kiedykolwiek o połączeniu się z nim?

— Chyba nie przyszedłeś tutaj po to, by mi powiedzieć, że Moiraine się łączy — rzekł z irytacją. Miewał niekiedy trudności z dokładnym określeniem, co pochodziło od niej, co od Asmodeana, a co kipiło z Lewsa Therina.

— Przyszedłem spytać, dlaczego znowu przypasałeś miecz?

— Moiraine już o to pytała. Czy ona cię...?

Lan nie zmienił się na twarzy, ale przerwał mu brutalnie.

— To ja chcę wiedzieć. Możesz zrobić miecz z Mocy albo zabijać bez niego, ale ni stąd, ni zowąd znowu przypasałeś stal do biodra. Dlaczego?

Rand mimo woli przejechał dłonią po długiej rękojeści u swego boku.

— Korzystanie z Mocy w takiej sytuacji nie jest raczej uczciwe. Zwłaszcza jeśli wykorzystać ją przeciwko komuś, kto nie potrafi przenosić. Równie dobrze mógłbym walczyć z dzieckiem.

Strażnik milczał chwilę, przypatrując mu się uważnie.

— Masz zamiar zabić Couladina osobiście — stwierdził w końcu obojętnym tonem. — Miecz przeciwko jego włóczęgom.

— Nie zamierzam się za nim uganiać, ale kto wie, co się zdarzy? — Rand niezręcznie wzruszył ramionami. Nie będzie na niego polował. Gdyby jednak los, który naginał, miał być mu kiedykolwiek łaskaw, to niechaj dane mu będzie stanąć twarzą w twarz z Couladinem. — Poza tym, jeśli to on będzie mnie ścigał, to ja mu tego nie puszcę płazem. Pogrożki, jakie od niego usłyszałem, były osobiste, Lan.

Uniósłszy jedną z pięści, wystawił rękę z rękawa purpurowego kaftana, na tyle, by wyraźnie pokazać przód cielska złotogrzywego Smoka.

— Dopóki obaj nosimy to samo piętno, dopóki ja żyję, Couladin nie zazna spokoju.

I prawdę powiedziawszy, on sam nie mógł zaznać spokoju, dopóki więcej niż jeden żywy człowiek nosił piętna Smoków. Po sprawiedliwości, powinien podciągnąć Asmodeana pod jeden strychulec z Couladinem. To Asmodean nazaczył wodza Shaido. Niemniej jednak to niepohamowane ambicje Couladina, jego roszczenia, wzgarda dla prawa i obyczaju Aielów doprowadziły go do tego miejsca, tego dnia. Nie wspominając apatii i wojny między Aielami, to Couladina należało obarczyć winą za Taien, a także Selean oraz dziesiątki miasteczek i wiosek, które legły od tego czasu ruiną, nieprzeliczone setki spalonych farm. Za nie pogrzebanych mężczyzn, kobiety i dzieci, którymi nakarmiły się sępy. Jeśli to on jest Smokiem Odrodzonym, jeśli to on ma prawo żądać od jakiegokolwiek narodu, by ten za nim poszedł, nie wspominając już takiego Cairhien, to jest im winien sprawiedliwość.

— A zatem każ go ściąć, kiedy zostanie pojmany — rzekł oschle Lan. — Wyznacz stu albo tysiąc ludzi, których wyłącznym celem byłoby jego pojmanie. Ale nie bądź głupcem i nie stawaj z nim do walki! Dobrze już władasz mieczem — bardzo dobrze — ale Aielowie rodzą się z włóczęgią i tarczą w ręku. Włóczęgia przeszyje ci serce, a wtedy wszystko na marne.

— A zatem powinienem unikać walki? A czy sam byś jej unikał, gdyby Moiraine nie żywiła względem ciebie roszczeń? Czy unikałby jej Rhuarc, Bael, któ-

rykolwiek z wodzów?

— Ja nie jestem Smokiem Odrodzonym. Los świata nie spoczywa na moich barkach. — Jednakże tamto chwilowe uniesienie, już minęło. Gdyby nie Moiraine, byłby tam, gdzie toczą się najbardziej zażarte boje. W danym momencie здаwał się, być może, żałować tych roszczeń.

— Ja nie podejmuję niepotrzebnego ryzyka, Lan, ale nie jestem w stanie przed wszystkim uciec. — Ta seanchańska włócznia pozostanie dziś w namiocie; tylko by mu zawadzała, gdyby znalazł Couladina. — Chodź. Aielowie skończą jeszcze bez nas, jak tu będziemy tak stali.

Kiedy wysunął się z namiotu, na niebie pozostało już tylko kilka gwiazd i blade światło obrysowało kontury wschodniego horyzontu. Nie dlatego jednak się zatrzymał, a wraz z nim Lan. Namiot otaczał pierścień Panien, zwróconych twarzami do wewnątrz. Gęsty pierścień, który rozprzestrzeniał się na spowite w mrok zbocza; odziane w *cadin'sor* kobiety zbiły się w taką masę, że mysz by się nie prześlizgnęła. Nie było nigdzie widać Jeade'ena, mimo iż wydano rozkaz *gai'shain*, by go osiodłali i przyprowadzili.

Nie same Panny. Dwie kobiety w pierwszym rzędzie miały baniaste. spódnice i jasne bluzki, włosy związane z tyłu złożonymi chustami. Było jeszcze zbyt ciemno, by z całą pewnością rozpoznać twarze, ale w sylwetkach tych dwóch, w ich pozach z założonymi ramionami kryło się coś, co kazało mu w nich rozpoznać Egwene i Aviendhę.

Nim zdążył otworzyć usta i spytać, o co im chodzi, z kręgu wystąpiła Sulin.

— Stawiamy się, żeby eskortować *Car'a'carna* do wieży razem z Egwene Sedai i Aviendhą.

— Kto wam kazał? — spytał podniesionym głosem Rand. Jeden rzut oka na Lana dowiódł, że to nie on. Nawet w ciemności Strażnik wyglądał na zaskoczonego. Przez jedną chwilę, w każdym razie, jego głowa uniosła się wyżej; nic nie zaskakiwało Lana na długo. — Egwene powinna być już w drodze do wieży i Panny mają być tutaj, żeby jej strzec. To, co będzie dzisiaj robić, jest bardzo ważne. Trzeba ją w tym czasie chronić.

— Ochronimy ją. — Głos Sulin był pozbawiony emocji. — A także *Car'a'carna*, który przekazał swój honor *Far Dareis Mai*.

Wśród Panien rozszedł się pomruk aprobaty.

— To naprawdę ma sens, Rand — powiedziała Egwene ze swojego miejsca. — Skoro jedna osoba, która posługuje się Mocą jako bronią, może doprowadzić do szybszego zakończenia bitwy, to w takim razie trzy osoby sprawią, by trwała jeszcze krócej. A ty jesteś silniejszy ode mnie i Aviendhy razem wziętych. — To ostatnie powiedziała z wyraźną niechęcią. Aviendha w ogóle się nie odezwała, ale jej postawa była niezwykle wymowna.

— To niedorzeczność — rzucił chmurnie Rand. — Przepuście mnie i udajcie się na wyznaczone wam stanowiska.

Sulin nie ustąpiła.

— W rękach *Far Dareis Mai* spoczywa honor *Car'a'carna* — rzekła spokojnie, a pozostałe to podjęły. Nie głośniej od niej, ale w takiej liczbie kobiece głosy zabrzmiały niby grzmot. — *Far Dareis Mai* dzierżą honor *Car'a'carna*. *Far Dareis Mai* dzierżą honor *Car'a'carna*.

— Powiedziałem, przepuście mnie — zażądał w tym samym momencie, w którym dźwięk zamarł.

Na co one zaczęły znowu swoje, jakby im kazał.

— *Far Dareis Mai* niosą honor *Car'a'carna*. *Far Dareis Mai* niosą honor *Car'a'carna*. *Far Dareis Mai* niosą honor *Car'a'carna*.

Sulin stała tylko nieruchomo i patrzyła na niego.

Po jakiejś chwili Lan nachylił się, by oschłym tonem szepnąć:

— Kobieta w najmniejszym stopniu nie przestaje być kobietą, nawet gdy nosi włócznie. Czyś ty spotkał kiedykolwiek taką, którą udało się odwieść od czegoś, czego naprawdę chciała? Poddaj się, albo będziemy tu stali cały dzień. ty będziesz się kłócił, a one będą skandować. — Strażnik zawahał się, po czym dodał: — A poza tym to rzeczywiście ma sens.

Egwene otworzyła usta, kiedy litania ponownie ucichła, ale Aviendha położyła dłoń na jej ramieniu, szepnęła kilka słów i ostatecznie tamta nic nie powiedziała. Wiedział jednak, co zamierzała powiedzieć. Że jest upartym, wełnianogłowym durniem albo coś w tym stylu.

Kłopot polegał na tym, że powoli dochodził do wniosku, że być może istotnie nim jest. To rzeczywiście miało sens, udać się do wieży. Nie miał nic do roboty gdzie indziej — przebieg bitwy spoczywał teraz w rękach wodzów i losu — i bardziej się przyda, przenosząc, niż jeżdżąc konno po okolicy w nadziei, że spotka Couladina. Jeśli dzięki temu, że był *ta'veren*, mógł przyciągnąć Couladina, to w takim razie przyciągnie go do wieży równie łatwo jak gdzie indziej. Co wcale nie znaczyło, że miał w tym przypadku większe szanse zobaczyć tego człowieka, nie po tym, jak wydał Pannom, wszystkim co do jednej, rozkaz, że mają bronić wieży.

Tylko jak się teraz wycofać i jednocześnie zachować ostatni strzępek godności po tym, kiedy tyle się mიაł, we wszystkie strony?

— Zdecydowałem, że na wieży będzie ze mnie więcej pożytku — powiedział, czując, jak pała mu twarz.

— Jak *Car'a'carna* rozkaże — odparła Sulin bez cienia szyderstwa w głosie, jakby od samego początku był to jego pomysł. Lan przytaknął, po czym wyniósł się cichaczem, wąskim przejściem, które zrobiły mu Panny w swych szeregach.

Niemniej jednak ta przestrzeń natychmiast zamknęła się za Strażnikiem, a kiedy ruszyły, Rand nie miał innego wyboru, jak tylko pójść z nimi, mimo że ciągnęło go w inną stronę. Mógł oczywiście przenieść Moc, śmignąć dookoła Ogniem albo powalić je wszystkie na ziemię za pomocą Powietrza, ale takie zachowanie raczej

nie uchodziło wobec tych, którzy stanęli po jego stronie, pominawszy nawet to, że były to same kobiety. A poza tym nie był pewien, czy dałby radę zmusić je do odejścia tak, by ich nie pozabijać, a może nie zmusiłby ich nawet wtedy. Sam przecież oświadczył, że mimo wszystko najbardziej przyda się na wieży.

Podczas marszu Egwene i Aviendha milczały, podobnie Sulin, za co był im wszystkim wdzięczny. Rzecz jasna, przynajmniej część ich milczenia wiązała się z faktem, że musiały w tych ciemnościach torować sobie drogę to w górę, to w dół z boczka, uważając jednocześnie, by nie połamać karków. Aviendha pomrukiwała nawet co jakiś czas, coś gniewnego, ledwie to słyszał, chyba na temat spódnic. Żadna jednak nie żartowała z faktu, że tak ewidentnie ustąpił. Aczkolwiek to mogło przyjść później. Kobiety lubiły wsadzać człowiekowi szpilki, kiedy myślał, że niebezpieczeństwo już minęło.

Niebo zaczęło szarzeć i kiedy nad wierzchołkami drzew pojawiła się wieża z bali, sam przerwał milczenie.

— Nie spodziewałem się, że będziesz w tym uczestniczyć, Aviendha. Twierdziłaś, jak mi się zdaje, że Mądre nie biorą udziału w bitwach. — Był przekonany, że to powiedziała. Mądra mogła przejść przez sam środek bitwy nietknięta albo wejść do dowolnej siedziby czy stancy klanu, która miała waśń krwi z jej klanem, ale sama nie brała udziału w walkach i z pewnością nie przenosiła Mocy. Dopóki on nie przybył do Pustkowie, nawet większość Aielów nie wiedziała tak naprawdę, że Mądre potrafią przenosić, aczkolwiek krążyły pogłoski o ich dziwacznych umiejętnościach i czasami o czymś, co wedle opowieści Aielów przypominało przenoszenie.

— Nie jestem jeszcze Mądrą — odparła uprzejmie, poprawiając szal. — Skoro wolno to robić Egwene, która jest Aes Sedai, to i ja mogę. Ja to wszystko zorganizowałam dziś rano, kiedy jeszcze spałeś, ale myślałam o tym od samego początku, kiedy poprosiłeś Egwene.

Zrobiło się już dostatecznie jasno, by mógł zauważyć, że Egwene się czerwieni. Gdy spostrzegła, że on na nią zerka, potknęła się nie wiadomo o co, a on musiał podtrzymać ją za ramię, żeby nie upadła. Wyrwała się, unikając jego wzroku. Może jednak nie musiał się obawiać szpilek z jej strony. Szli już w górę z boczka w stronę wieży, przedzierając się przez rzadki las.

— Nie próbowały ci zabronić? To znaczy Amys, Bair albo Melaine? — Wiedział, że nie. Aviendhy nie byłoby tu teraz.

Aviendha potrząsnęła głową, po czym, wyraźnie się namyślając, uniosła brwi.

— Długo debatowały z Sorileą, a potem powiedziały mi, żebym zrobiła to, co moim zdaniem powinnam. Zazwyczaj mówią mi, żebym robiła to, co ich zdaniem powinnam. — Zerknawszy na niego z ukosa, dodała: — Słyszałam, jak Melaine mówiła, że ty wszystko zmieniasz.

— Robię to — potwierdził, stawiając nogę na dolnym szczeblu pierwszej drabiny. — Światłości dopomóż, robię to.

Widok z platformy był okazały nawet dla nieuzbrojonego oka, patrzącego na okolicę rozprzestrzeniającą się za zalesionymi wzgórzami. Grube pnie drzew kryły Aielów sunących w stronę Cairhien — większość dotarła już na swoje stanowiska — ale świt rzucał na miasto swoje złote światło. Szybki rzut oka przez jedno ze szkielec powiększających ukazał nagie wzgórza nad rzeką; panował na nich spokój i pozorny brak życia. Ale to się niebawem zmieni. Byli tam Shaido, nawet jeśli na razie ukryci. Nie pozostaną w ukryciu, kiedy on zacznie posyłać... Co? Na pewno nie ogień stosu. Nieważne, co zrobi, ale będzie tym musiał postraszyć Shaido tak mocno, jak się da, zanim jego Aielowie przystąpią do ataku.

Dotąd Egwene i Aviendha na zmianę popatrywały przez drugą długą tubę, co jakiś czas odrywając się od niej po to, by odbyć krótką dyskusję, ale teraz zwyczajnie cicho gadały. Na koniec wymieniły skinienia głowy, podeszły bliżej do balustrady i stanęły tam, wsparte dłońmi o z grubsza ociosane drewna, zwrócone twarzami w stronę Cairhien. Nagle poczuł gęsią skórkę. Jedna z nich przenosiła, może obydwie.

Najpierw zauważył wiatr, wiał w stronę miasta. Nie lekki wietrzyk; pierwszy prawdziwy wiatr, który poczuł w tym kraju. A nad Cairhien zaczynały formować się chmury, cięższe na południu, im dłużej patrzył, stawały się coraz gęstsze i coraz czarniejsze; kłębiły się także coraz gwałtowniej. Tylko tam, nad Cairhien i nad Shaido. Wszędzie, gdzie nie sięgnął okiem, niebo miało barwę czystego błękitu, przetykane najwyżej nielicznymi cienkimi, białymi smugami. A mimo to rozległ się grzmot, długi i głośny. Nagle w dół spadła błyskawica, poszarpana, srebrna smuga, która rozdarła szczyt wzgórza pod miastem. Nim pęknięcie pierwszego pioruna dotarło do wieży, jeszcze dwie pomknęły ku ziemi. Po niebie płały dzikie widły, ale te pojedyncze lance jaskrawej bieli uderzały z regularnością bijącego serca. Nagle ziemia eksplodowała tam, gdzie nie padła żadna błyskawica, wzbijając fontannę na wysokość pięćdziesięciu stóp, a potem jeszcze w innym miejscu i znowu.

Rand nie miał pojęcia, która z kobiet, co robi, ale z pewnością zawzięły się, że przegnają Shaido. Czas by wziął w tym udział, nie będzie chyba tylko stał i patrzył. Wyciągnął rękę i objął *saidina*. Lodowaty ogień wyżarł zewnątrz Pustki, która otoczyła to, co było Randem al'Thorem. Zupełnie zignorował oleisty brud wsączający się w niego, przemieszane, dzikie prądy Mocy, żadnej go lada chwila zatopić.

Odległość sprawiała, że istniały granice tego, co mógł działać. W rzeczy samej więcej zrobić nie mógł, bez *angreala* albo *sa'angreala*. Najprawdopodobniej dlatego właśnie kobiety przenosiły pojedyncze błyskawice, pojedyncze eksplozje; skoro nawet on natknął się na swoje ograniczenia, to one musiały nadweręzać granice swoich.

Jakieś wspomnienie wślizgnęło się pod skorupę Pustki. Nie jego wspomnienie, Lewsa Therina. Tym razem nie dbał o to. W mgnieniu oka przeniósł i ku-

la ognia ogarnęła szczyt wzgórza oddalonego o blisko pięć mil, zmieniając je w spienioną masę jasnożółtych płomieni. Kiedy ogień przygasł, nawet bez szkła powiększającego widział, że wzgórze jest teraz niższe i że jego wierzchołek, najwyraźniej stopiony, szerniał. Dzięki ich trojgu klany być może wcale nie będą musiały walczyć z Couladinem.

„Ilyeno, miłości moja, wybac mi.”

Pustka zadrzała; przez chwilę Rand szamotał się na granicy, której przekroczenie oznaczało destrukcję. Fale Jednej Mocy roztrzaskiwały się w jego wnętrzu, wytwarzając pianę strachu; skaza wydawała się krzepnąć wokół jego serca w postaci cuchnącego, skamieniałego osadu.

Ściskając balustradę tak mocno, że aż rozboleły go stawy dłoni, zmuszał się do spokoju, podtrzymywał siłą skorupę Pustki. Odtąd już nie słuchał myśli, które krążyły mu po głowie. Zamiast tego skoncentrował się całkowicie na przenoszeniu, na metodycznym niszczeniu jednego wzgórza za drugim.

Dobrze schowany w pasie drzew porastających szczyt wzniesienia, Mat wsunął pysk Oczka pod pachę, żeby koń nie rżał w czasie, gdy on obserwował Aielów w liczbie około tysiąca sunących z południa w jego stronę ukośną linią przez wzgórze. Słońce wзираło już zza horyzontu, rozciągając długie, falujące cienie rzucane przez kolumnę biegnącej truchtem ludzkiej masy. Ciepło nocy zaczynało już ustępować miejsca żarowi dnia. Powietrze stanie się nieznośnie gorące, choć do południa jest jeszcze daleko. On sam już zaczynał się pocić.

Aielowie jeszcze go nie zauważyli, ale nie wątpił, że go wypatrzą, jeśli jeszcze trochę tu postoi. Nie było ważne, że byli to raczej ludzie Randa — jeśli Couladin rzucił swoich na południe, to ten dzień stanie się bardzo interesujący dla wszystkich, którym głupota kazała znaleźć się w samym środku walk — on i tak nie miał zamiaru ryzykować konfrontacji z nimi. Wystarczył mu dzisiejszy poranek, by tak beztrudnie nie postępować. Odruchowo obwiodł palcem równe przecięcie w rękawie kaftana. Dobry strzał, co więcej, do ruchomego celu, częściowo ukrytego wśród drzew. Byłby go jeszcze bardziej podziwiał, gdyby to nie on był tym celem.

Nie odrywając oczu od zbliżających się Aielów, ostrożnie wycofał Oczko w głąb rzadkiego zagajnika; wołał wiedzieć, czy go zauważyli i przyspieszyli kroku. Powiadano, że Aielowie potrafią przegonić człowieka na koniu, zamierzał więc uzyskać sporą przewagę, w razie gdyby spróbowali pójść w zawody właśnie z nim.

Przyspieszył tempo dopiero wtedy, gdy skryły go drzewa, wprowadził Oczko na przeciwległe zbocze i dopiero wtedy go dosiadł, po czym skręcił na zachód. Nie dość ostrożności, jeśli człowiek chciał ująć z życiem, tego dnia i na tej ziemi. Podczas jazdy mrucał do siebie, w kapeluszu naciągniętym na czoło, by mu ocie-

niał twarz i z włócznią o czarnym drzewcu zatknietą przez łęk. Zachód. Znowu zachód.

Dzień zaczął się tak dobrze, na dobre dwie godziny przed pierwszym brza-
skiem, kiedy Melindhra wybrała się na jakieś spotkanie Panien. Przekonana, że
on śpi, nie zerknęła na niego, kiedy wykradała się z namiotu, mrużąc coś pod
nosem na temat Randa al'Thora, honoru i *Tar Dareis Mai* — przede wszystkim.
Tak to brzmiało, jakby spierała się sama ze sobą, ale szczerze mówiąc, zupełnie
go nie obchodziło, czy ona zamierza zrobić z Randa pikle czy raczej gulasz. Mi-
nutę po jej wyjściu z namiotu, już upychał dobytek do sakiew. Nikt nie spojrział na
niego dwa razy, kiedy siodłał Oczko i niczym duch ruszał w stronę południa. Do-
bry początek. 'Tyle że nie wziął pod uwagę, że na południe będą sunąć kolumny
Taardad, Tomanelle i wszystkich innych przeklętych klanów. Żadna pociecha, że
to zgadzało się niemalże co do joty z tym, co on paplał Lanowi. Chciał jechać na
południe, a ci Aielowie zmusili go do jazdy w stronę Alguenyi. W stronę terenów,
na których mogły toczyć się walki.

Jedną, może dwie mile dalej ostrożnie skierował Oczko w górę zbocza, za-
trzymując się pod osłoną drzew z rzadka porastających szczyt. Było to wyższe
wzgórze niż większość i dobrze widział stamtąd okolicę. Tym razem w zasię-
gu wzroku nie pojawili się Aielowie, ale kolumna pełznąca po dnie krętej górskiej
doliny stanowiła widok niemalże równie nieprzyjemny. Taireniańscy jeźdźcy wie-
dli za sobą grupkę wielobarwnych chorągwi lordów, za którą, w pewnym odstęp-
ie, maszerował w ich pyłe gruby, kolczasty wąż pikinierów, a nieco dalej zdążała
cairhieniańska konnica, z mnogością sztandarów, proporców i *con*. Cairhienia-
nie nie utrzymywali żadnego porządku, kłębiąc się z powodu rozbijających ich
szyki lordów, którzy żądni rozmawiać, przemieszczali się tam i z powrotem, ale
przynajmniej z obu stron wystawili flankierów. W każdym razie, gdy wreszcie
przejechali, miał wolną drogę na południe.

„I nie zatrzymam się, dopóki nie znajdę się w połowie drogi do przeklętej
Erinin!”

Jego oko przykuł błysk ruchu, w sporej odległości przed czołem sunącej dołem
kolumny. Nie zobaczyłby go, gdyby nie znajdował się tak wysoko. Z pewnością
jednak nie. mógł go dostrzec żaden z jeźdźców. Wygrzebawszy małe szkło po-
większające z sakw — Kin Tovere lubił grać w kości — zerknął w tamtą stronę
i cicho gwizdnął. Aielowie, przynajmniej tylu, co tych w dolinie, i nawet jeśli
nie byli to Couladinowi ludzie, to zamierzali chyba zgotować niespodziankę, jaką
przyjaciele zwykli gotować solenizantom, leżeli bowiem płasko wśród wędną-
cych krzaków i uschłych liści.

Przez chwilę bębnił palcami o udo. Niebawem tam w dole legnie trochę tru-
pów. I będzie wśród nich niewielu Aielów.

„To nie moja sprawa. Ja jestem poza tym wszystkim, nie jestem stąd i jadę na
południe”.

Trochę poczeka, a potem skieruje się w inną stronę, kiedy będą zbyt zajęci, żeby go zauważyć.

Ten Weiramon — wczoraj poznał nazwisko siwowłosego jegomościa — jest głupi jak kamień.

„Żadnych przednich straży ani zwiadowców, bo inaczej wiedziałby, co tu się kroi”.

Aielowie, skoro już o tym mowa, z powodu wzgórz i skrętów doliny też nie mogli widzieć kolumny, jedynie rzadki słup kurzu wznoszący się ku niebu. Z pewnością wysłali zwiadowców, zanim dotarli do tego miejsca; nie mogli tam tak czekać przez przypadek.

Leniwie pogwizdując *Taniec z Widmowym Jakiem*, znowu przyłożył szkło powiększające do oka i przyjrzał się szczytom wzgórz. Tak. Dowódca Aielów pozostawił tam kilku ludzi, by dali sygnał ostrzeżenia, zanim kolumna wkroczy na teren śmierci. Za kilka minut pojawiają się pierwsi Tairenianie, ale do tego czasu...

Spiął piętami Oczko, by pogalopować w dół zbocza, jednocześnie jakby doświadczając szoku.

„Co ja, na Światłość, wyprawiam?”

Cóż, nie mógł tak sobie zwyczajnie stać z boku i pozwolić, by tamci poszli na śmierć niczym gęsi pod nóż. Ostrzeże ich. To wszystko. Powie im, co ich tam w przodzie czeka, a potem zniknie.

Cairhieniańska forpoczta oczywiście zauważyła go, zanim dotarł do samego podnóża zbocza, usłyszeli tętent kopyt biegnącego na łeb, na szyje Oczka. Dwóch, może trzech, opuściło lance. Mat niespecjalnie lubił, jak celowano weń kawałkiem stali długości półtorej stopy, a jeszcze mniej, gdy owej stali było po trzykroć więcej, ale najwyraźniej jeden człowiek nie stanowił zagrożenia, nawet jeśli jechał jak szalencie. Pozwolili mu przejechać, a on skręcił w pobliżu cairhieniańskich lordów, w takiej odległości, by usłyszeli, gdy krzyknął:

— Zatrzymajcie się tutaj! Natychmiast! Z rozkazu Lorda Smoka! Bo inaczej wbije wam Mocą głowy do brzuchów i nakarmi was własnymi nogami na śniadanie!

Wbił pięty w boki Oczka i koń skoczył naprzód. Obejrzał się tylko raz, by się upewnić, że usłuchali rozkazu — usłuchali, aczkolwiek towarzyszyło temu niejaki zamieszanie, ale na całe szczęście wzgórze nadal kryły ich przed Aielaami; jak kurz opadnie, Aielowie nie będą wiedzieli, gdzie oni się podziali — po czym przywarł do karku wałacha, okładając go kapeluszem i pogalopował w górę zbocza obok szeregow piechoty.

„Będzie za późno, jeśli zaczekam na rozkazy Weiramona. To wszystko”.

Przekaze ostrzeżenie i odjedzie..

Piechurzy maszerowali w blokach liczących z grubsza dwustu pikinierów, z jednym oficerem na koniu na czele i mniej więcej pięćdziesięcioma łucznikami albo kusznikami zamykającymi tył. Większość przyglądała mu się z ciekawością,

kiedy mknął obok, w tumanach kurzu wzniecanych przez kopyta Oczka, ale żaden nie zgubił kroku. Niektóre z koni oficerów płoszyły się, gdy ich jeźdźcy próbowali sprawdzić, co go przymusza do takiego pośpiechu, żaden jednak nie porzucił stanowiska. Znakomita dyscyplina. Przyda im się.

Tył taireniańskiej procesji zamykali Obrońcy Kamienia, w napierśnikach i bufiastych koszulach w czarne i złote paski, z pióropuszcami różnych barw przy hełmach z szerokim okapem, które wyróżniały oficerów i podoficerów. Pozostali mieli podobne zbroje, tyle że nosili barwy różnych lordów na rękawach. Sami lordowie w jedwabnych kaftanach jechali na ich czele w zdobnych napierśnikach i z wielkimi, białymi pióropuszcami, ich chorągwie powiewały za nimi na coraz silniejszym wietrze wiejącym w stronę miasta.

Ściągnąwszy przed nimi wodze tak szybko, że Oczko aż wierzgnął, Mat krzyknął:

— Stójcie, w imię Lorda Smoka!

Wydawało się, że to najszybszy sposób, by ich zatrzymać, a mimo to przez chwilę bał się, że go stratuja. Niemalże w ostatnim momencie jakiś młody lord, którego zapamiętał sprzed namiotu Randa, zamachał ręką i wtedy wszyscy jęli ścigać wodze, czyniąc przy tym spore zamieszanie rozkazami, które podawano krzykiem wzdłuż kolumny. Weiramona Mat nie zauważył; ani jeden lord nie był odeń starszy niż dziesięć lat.

— O co chodzi? — spytał jegomość, który podał sygnał. Ciemne oczy spoglądały arogancko z wyżyn ostrego nosa, znad brody uniesionej tak wysoko, jakby ta spiczasta bródka lada chwila miała go ugodzić. Strugi potu spływające po twarzy zniszczyły ją tylko nieznacznie. — Sam Lord Smok wydał mi ten rozkaz. kim jesteś, że...?

Urwał, kiedy inny, którego Mat również znał, złapał go za rękaw, szepcząc coś z przejęciem. Wyzierające spod hełmu kluchowate oblicze Esteano wyglądało nie tylko na rozgrzane upałem, lecz również wynędzniałe — Mat słyszał, że ponoć Aielowie wydusili zeń wszystkie dane odnośnie do sytuacji w mieście — ale to on właśnie grał z Matem na pieniądze w Łzie. Wiedział dokładnie, kim jest Mat. Tylko z napierśnika Esteano podpryskiwały zdobne złocenia; żaden z pozostałych dotychczas nie uczynił nic więcej, jedynie jeździł i pięknie wyglądał. Na razie.

Podbródek właściciela ostrego nosa opadł; kiedy Estean odsunął się, mężczyzna przemówił nieco łagodniejszym tonem.

— Nie chciałem urazić... ach... lordzie Mat. Jestem Melanril, z domu Asegora. Jak mógłbym służyć Lordowi Smokowi? — Spokój ustąpił miejsca wahaniu przy tym ostatnim i Estean wtrącił się niespokojnie.

— Dlaczego mamy się zatrzymać? Wiem, że Lord Smok kazał nam pozostać z tyłu, Mat, ale, oby ma dusza szczeła, to żaden honor siedzieć i pozwalać, by tylko Aielowie brali udział w boju. Czemu to nas obarczono zadaniem ich ścigania, kiedy już zostaną rozbici? Poza tym mój ojciec jest w mieście i... — Zawiesił

głos pod wpływem spojrzenia Mata.

Mat potrząsnął głową, wachlując się kapeluszem. Ci durnie nawet nie znajdują się tam, gdzie powinni. I nie ma nadziei, że uda się ich zawrócić. Nawet jeśli Melanril to zrobi — a patrząc na niego, Mat wcale nie był tego pewien, czy usłucha rzekomego rozkazu Lorda Smoka — szansa na zatrzymanie ich pozostaje znikoma. Ustawił się ze swym koniem tak, że był doskonale widoczny dla czatowników Aielów. Gdyby kolumna zaczęła zawracać, tamci zorientują się, że zostali odkryci i najprawdopodobniej zaatakują w momencie, gdy taireniańskie i cairhieniańskie piki splątają się z sobą. Ani chybi dojdzie do takiej samej rzezi, jakby zdążali dalej w niewiedzy.

— Gdzie jest Weiramon?

— Lord Smok odesłał go do Łzy — wolno odparł Melanril. — Ma zająć się illiańskimi piratami oraz bandytami na Równinach Maredo. Nie chciał jechać, rzecz jasna, nawet mimo tak wielkiej odpowiedzialności, ale... Wybacz, lordzie Mat, ale jeśli przysłał cię Lord Smok, to jak to możliwe, że nie wiesz...

Mat wszedł mu w słowo.

— Nie jestem żadnym lordem. I jeśli cię interesuje to, o czym informuje Rand swoich ludzi, to spytaj jego.

To osadziło młodego lorda; nie zamierzał wypytywać przeklętego Lorda Smoka o cokolwiek. Weiramon był durniem, ale przynajmniej przeżył dość lat, żeby mieć za sobą udział w jakiejś bitwie. Z wyjątkiem Estean, który na koniu wyglądał jak worek rzep, to towarzystwo widziało wyłącznie jedną, może dwie bójki w tawernie. I może jakieś pojedynki. Bardzo im się teraz przydadzą takie doświadczenia.

— A teraz wy mnie posłuchajcie. Kiedy będziecie przejeżdżali przez wąwóz między dwoma następnymi wzgórzami, Aielowie spadną na was niczym lawina.

Równie dobrze mógł im powiedzieć, że niebawem odbędzie się bal, z udziałem kobiet, które wzdychają z pragnienia, by poznać jakiego taireniańskiego lorda. Na twarzach wykwitły skwapliwe uśmiechy; zaczęli tańczyć na koniach, klepiąc się wzajem po ramionach i chełpiąc, ilu to zabiją. Estean wyłączył się z tego powszechnego entuzjazmu, wzdychał tylko i wysuwał miecz z pochwy.

— Przestańcie się gapić w tamtą stronę! — warknął Mat. Co za durnie. Za minutę zaczną wołać: „Szarża” — Patrzcie na mnie. Na mnie!

To dzięki temu, z którym łączyła go przyjaźń, ochłonęli Melanril i pozostali w ich wspaniałych nieskażonych zbrojach krzywili się niecierpliwie, nie rozumiejąc, dlaczego on im nie pozwala zabijać dzikusów z Pustkowie. Gdyby nie był przyjacielem Randa, prawdopodobnie stratowaliby go razem z Oczkiem.

Mógł pozwolić, żeby ruszyli do szarży. Dokonaliby jej na własną rękę, pozostawiając za sobą piki i cairhieniańską konnicę, aczkolwiek Cairhienianie pewnie by się przyłączyli, gdyby się zorientowali, co się dzieje. I wszyscy by zginęli. Sprytnie byłoby pozwolić im iść dalej, a samemu udać się w przeciwnym kierunku.

ku. Jedyne kłopot polegał na tym, że gdyby ci idioci dali Aielom do zrozumienia, że ich wykryli, to ci wówczas mogliby zdecydować się na jakiś szczywany manewr, na przykład zawrócić i zaatakować tych durniów z flanki. Nie był przekonany, czy wytrzymałby się z tego cało, gdyby tak to się potoczyło.

— Lord Smok życzy sobie, abyście wolno pojechali naprzód — powiedział im — jakby na przestrzeni stu mil nie było ani jednego Aiela. Piki, w momencie gdy znajdują się w tym wąwozie, mają uformować pusty czworobok, a wy macie natychmiast wpaść do jego środka.

— Do środka! — zaprotestował Melanril. Od strony pozostałych młodych lordów podniosły się gniewne pomruki; z wyjątkiem Esteana, który wyraźnie się nad czymś zastanawiał. — To żaden honor ukrywać się. za śmierdzącymi. . .

— Zróbcie to, psiakrew! — ryknął Mat, ściągając wodze Oczka, by podjechać do konia Melanrila. — Albo jeśli przekłęci Aielowie was nie zabiją, to zrobi to Rand, a tego, kogo on pozostawi, ja osobiście posiekam na kiełbasę!

To wszystko trwa zdecydowanie za długo; Aielowie na pewno już się zastanawiają, nad czym oni tak debatują.

— Jeżeli dopisze wam szczęście, zdążycie się rozstawić zanim Aielowie was zaatakują. Jeśli macie długie łuki, to użyjcie ich. Poza tym trzymajcie się blisko siebie. Jeszcze ruszycie do tej swojej choliernej szarży i będziecie wiedzieli, kiedy to macie uczynić, ale jeśli ruszycie za wcześnie. . . ! —. Niemalże czuł, jak czas się kończy.

Osadził rękojeść włóczni w strzemieniu niczym lancę i naciskiem pięt zmusił Oczko, by objechał kolumnę. Kiedy obejrzał się przez ramię, Melanril i pozostali rozmawiali, oglądając się na niego. Przynajmniej nie uganił się po dolinie.

Dowódca pikinierów okazał się bladym, szczupłym Cairhienianinem, o pół głowy niższym od Mata; dosiadał szarego wałacha, który wyglądał na od dawna gotowego do zesłania na pastwisko. Jednak Daerid miał ponadto twarde oczy, złamany nos i trzy białe blizny przecinały mu twarz, w tym jedna nawet nie taka stara. Podczas rozmowy z Matem zdjął hełm w kształcie dzwonu; przód czaszki miał wygolony. Nie żaden lord. Może służył w armii jeszcze przed wybuchem wojny domowej. Tak, jego ludzie wiedzieli, jak się formuje jeża. Nie miał okazji walczyć z Aielami, ale zaliczył bandytów i andorańską kawalerię. Wyszło też na jaw, że bił się z innymi Cairhienianami, w imieniu jednego z Domów walczących o tron. Daerid nie przemawiał ani niechętnym, ani zbyt gorliwym tonem; wyrażał się jak człowiek, który ma do wykonania pracę.

Kolumna odstąpiła na bok, kiedy Mat zawrócił Oczko w przeciwną stronę. Pomaszzerowali równym krokiem, a szybki rzut oka w tył ujawnił, że taireniańskie wierzchowce nie poruszają się szybciej.

Pozwolił Oczku przyspieszyć, ale nie za bardzo. Odniósł wrażenie, że czuje oczy Aielów wbite w swoje plecy, i jak się zastanawiają, co on im powiedział, dokąd się teraz udaje i po co.

„To tylko posłaniec, który dostarczył wiadomość i teraz odjeżdża. Nie ma się czym przejmować”.

Liczył, że tak myślą Aielowie, ale napięcie nie opuściło jego ramion, dopóki nie nabrał pewności, że już go nie widzą.

Cairhienianie nadal czekali tam, gdzie ich zostawił. I nadal przy ich kolumnie rozstawieni byli flankierzy. Sztandary i *con* tworzyły gąszcz, w którym zgromadzili się ich lordowie, jeden na dziesięciu albo i więcej Cairhienian. Większość nosiła proste napierśniki, a złocenia albo ozdoby ze srebra były tak powyginane, jakby obrabiał je jakiś pijany kowal. W porównaniu z niektórymi z ich wierzchowców koń Daerida przypominał ogiera Lana. Czy oni w ogóle robią, co należy? Jednakże twarze zwrócone ku niemu były zacięte, podobnie jak i spojrzenia.

Jego sytuacja była już jasna, udało mu się ukryć przed Aielami. Mógł jechać dalej. Tylko przedtem wyjaśni jeszcze temu towarzystwu, co teraz należy zrobić. Ostatecznie posłał tamtych w sam środek pułapki zastawionej przez Aielów; nie mógł teraz ich tak zwyczajnie porzucić na pastwę wroga.

Talmanes z Domu Delovinde, którego *con* przedstawiał trzy żółte gwiazdy na niebieskim tle, a chorągiew czarnego lisa, był jeszcze niższy od Daerida, a starszy od Mata najwyżej trzy lata, ale dowodził Cairhienianami, mimo iż byli wśród nich starsi mężczyźni, z siwymi włosami. W jego oczach było równie mało wyrazu jak u Daerida i wyglądem przywodził na myśl zwinięty bicz. Jego zbroja i miecz odznaczały się prostotą. Człowiek ten przedstawił się Matowi, a potem słuchał spokojnie, gdy ten wykladał mu swój plan, wychylony nieco z siodła, by móc rysować w ziemi kreski czubkiem włóczni z ostrzem miecza.

Pozostali cairhieniańscy lordowie zebrali się dookoła na koniach i również się temu przysłuchiwali, ale żaden tak uważnie jak Talmanes. Talmanes przestudiował narysowaną przez niego mapę, a także przyjrzał się jemu, od butów po kapelusz, nawet jego włóczni. Gdy Mat skończył, mężczyzna nie odezwał się, aż zniecierpliwiony warknął:

— No i co? Nie obchodzi mnie, czy się na to piszesz, ale niebawem twoi przyjaciele będą po pas brodzili w Aielach.

— Tairenianie nie są moimi przyjaciółmi. A Daerid jest... przydatny. Ale z pewnością to nie przyjaciel. — Na taką uwagę suchy śmiech przeszedł po przyglądających się im lordach. — Poprowadzę jedną połowę, pod warunkiem, że ty poprowadzisz drugą.

Talmanes zdjął rękawicę ze stalowym wierzchem i wyciągnął dłoń, ale Mat tylko przyglądał się jej przez chwilę. Poprowadzi? On?

„Nie jestem żołnierzem, tylko hazardzistą. I kochankiem”.

Wspomnienia dawno temu przebrzmiałych bitew wirowały mu w głowie, ale stłumił je. Nie miał tu nic innego do roboty, tylko jechać dalej. A wtedy być może Talmanes zostawił Esteana, Daerida i pozostałych, żeby się upiekli. Na różnie, na który on ich osobiście nabił. Mimo to zdziwił się, gdy uściśnął dłoń tamtego

i powiedział:

— Bądźcie tam po prostu wtedy, kiedy będzie trzeba.

Zamiast odpowiedzi, Talmanes zaczął szybko wykrzykiwać imiona. Lordowie ściągnęli wodze, by podjechać do Mata, za każdym zdążał jeździec z ich chorągwią i z tuzin piechurów, aż ostatecznie zgromadził przy sobie około czterystu Cairhienian. Potem Talmanes też niewiele miał do powiedzenia; po prostu poprowadził pozostałych na zachód lekkim truchtem, wlokąc za sobą niewielki tuman kurzu.

— Trzymajcie się razem — przykazał Mat swojej połowie. — Szarżujcie, kiedy powiem, że macie szarżować, biegnijcie, kiedy powiem, że macie biec i nie róbcie hałasu, kiedy powiem, że macie być cicho.

Oczywiście rozległo się skrzypienie siodła i łomot kopyt, kiedy ruszyli jego śladem, ale przynajmniej nie gadali ani nie zadawali pytań.

Ostatni rzut oka na drugą grupę najeżoną od chorągwi *i con*, nim skryła się za zakrętem płytkiej doliny. Jak on się w to wpakował? To wszystko zaczęło się tak zwyczajnie. Tylko ich ostrzeże i odjedzie. Każdy następny krok wydawał się taki drobny, tak niezbędny. A teraz brodził po pas zanurzony w błocie i nie miał innego wyboru, tylko musiał brnąć dalej. Liczył, że Talmanes naprawdę pokaże, na co go stać. Ten człowiek nawet nie zapytał, kim on jest.

Otoczona wzgórzami dolina wiła się i rozwidlała, kiedy kierował się ku północy, ale miał dobre wyczucie kierunku. Na przykład wiedział dokładnie, gdzie jest południe i bezpieczeństwo; to wcale nie było tam, dokąd podążał. Na niebie, od tej strony, gdzie położone było miasto, formowały się ciemne chmury, tak gęste, jakich nie widział od dłuższego czasu. Deszcz zakończy suszę — dobrze dla farmerów, o ile jeszcze jacyś zostali — i osadzi kurz — dobrze dla jeźdźców; nie zdradzą swej obecności zbyt wcześnie. Może gdy zacznie padać, Aielowie zrezygnują z walki i wrócą do siebie. Zaczynał się też podnosić wiatr, o dziwo niosący chłód.

Ponad szczytami napłynął odgłos walki, krzyków ludzi, panicznych wrzasków. Zaczęło się.

Mat zawrócił Oczko, podniósł włócznię i zrobił nią wymach, wskazując w prawo i w lewo. Zdziwił się niemalże, kiedy Cairhienianie ustawili się w jeden, długi szereg, biorąc jego w środek, zwróceniu twarzami w górę zbocza. Wykonał ten gest instynktownie, gest z innego czasu i miejsca, ale ci ludzie przecież zaznali już kiedyś ognia bitwy. Prowadził Oczko stępa między rzadkimi drzewami w stronę szczytu, a oni dotrzymywali mu kroku, przy akompaniamencie cichego chrzęstu uzd.

Po dotarciu na szczyt najpierw mu ulżyło, gdy zobaczył Talmanesa i jego Judzi pojawiających się na przeciwległym szczycie. A potem zaklął.

Daerid uformował jeża, kolczaste zarośla utworzone z pikinierów na przemian z łucznikami w poczwórnych szeregach w taki sposób, że ostatecznie powstał

z tego wielki, pusty czworokąt. Długie piki uniemożliwiały Shaido bliskie podejście, a mimo to zaatakowali i teraz łucznicy wraz z kusznikami wymieniali strzały z Aielami. Ludzie padali z obu stron, ale piki zwyczajnie zamykały wyrwę, kiedy padał ktoś z ich szeregu, sprawiając, że czworokąt stawał się coraz ciasniejszy. Rzecz jasna, atak Shaido bynajmniej nie osłabł.

W środku czworokąta znajdowali się obrońcy, którzy posiadali z koni, i może połowa taireniańskich lordów z ich piechotą. Połowa. To właśnie sprawiło, że miał ochotę kłąć. Reszta uganiała się wśród Aielów, siekąc i dźgając mieczami i lancami w grupkach po pięciu albo dziesięciu, tudzież samotnie. Kilkanaście koni bez jeźdźców świadczyło wymownie, jak dobrze sobie radzą. Melanril, któremu został tylko jego chorąży, został strącony z konia i teraz jak oszalały wymachiwał wokół swym mieczem. Dwóch Aielów pomknęło, by jednocześnie podciąć kolana jego wierzchowca; zwierzę padło, bijąc łbem — Mat był pewien, że zarząło przeraźliwie, choć dźwięk zagłuszyła wrzawa — i wtedy Melanril zniknął za postaciami odzianymi w *cadinsor*, dźgającymi włóczniami. Jego chorąży trzymał się kilka chwil dłużej.

„Baba z wozu, koniom łzej” — pomyślał ponuro Mat. Stając w strzemionach, uniósł wysoko włócznię, wypchnął ją do przodu i zawołał:

— *Los! Los caba'drin!*

Cofnąłby te słowa, gdyby mógł i nie tylko dlatego, że była to Dawna Mowa; dolina zmieniała się w kocioł pełen gwaru. Jednak niezależnie od tego, czy któryś z Cairhienian zrozumiał rozkaz „Konni naprzód!” w Dawnej Mowie, to zrozumie-li gest, zwłaszcza, kiedy Mat opadł na siodło i wbił pięty w boki konia. Nie żeby naprawdę tego chciał, ale po prostu nie widział teraz innego wyjścia. On tych ludzi tu przywiódł — niektórzy mogli się uratować, gdyby im kazał zawrócić i uciekać — i po prostu nie miał już teraz wyboru.

Cairhienianie, z powiewającymi chorągwiami *i con* poszarżowali w dół zbocza, wznosząc okrzyki bitewne. Bez wątpienia naśladowując jego, mimo iż on krzy-czał:

— Krew i przekłete popioły!

Ze zbocza po przeciwległej stronie doliny gnał równie szybko Talmanes.

Pewni, że osaczyli wszystkich mieszkańców mokradeł, Shaido w ogóle nie zauważyli tamtych, dopóki nie runęli prosto na nich z dwu stron. Wtedy właśnie z nieba zaczęły padać błyskawice. I potem sprawy przybrały obrót doprawdy za-dziwiający.

MNIEJSZY SMUTEK

Koszula przykleiła się do spoconego ciała Randa, ale nie zdjął kaftana, chcąc zachować ochronę przed wiatrem, który dął w stronę Cairhien. Słońce miało dotrzeć do południowego szczytu swej wędrówki za co najmniej godzinę, a on już czuł się tak, jakby cały ranek biegał i na sam koniec został oćwiczony pałką. Otulony w Pustkę, ledwie odczuwał zmęczenie, mgliście tylko odczuwając ból w ramionach i barkach, w dolnych partiach pleców, pulsowanie we wrażliwej jeszcze bliźnie w boku. To już coś znaczyło, że zdawał sobie z nich sprawę. Dzięki wypełniającej go Mocy potrafił z odległości stu kroków odróżnić poszczególne liście na drzewach, natomiast na to, co działo się z jego ciałem, powinien był reagować tak, jakby to przydarzało się komuś innemu.

Dawno już temu nawykł do czerpania *saidina* za pomocą ukrytego w kieszeni *angreala*, kamiennej figurki przedstawiającej tłustego, małego człowieczka. Ale chociaż tym razem praca z Mocą, tkanie jej na taki dystans wielu mil, wymagała wysiłku ponad miarę, to jedynie te cuchnące pasma, które sączyły się z tego, co czerpał, powstrzymywały go przed nabieraniem coraz większych ilości, przed próbą wciągnięcia jej całej w siebie. Moc była taka słodka, co tam skaza. Zmęczył się tyłoma godzinami przenoszenia bez odpoczynku. Musiał jednocześnie coraz bardziej walczyć z *saidinem*, przykładać coraz więcej własnej siły, by nie dopuścić, żeby ten spopielił go tam, gdzie stoi, żeby nie spopielił jego umysłu. Coraz trudniej mu było bronić się przed destrukcją *saidina*, opierać się pokusie nabierania większych ilości Mocy, radzić sobie z porcjami, które już zaczerpnął. Obrzydliwa spirala, ściągająca w dół, nabierała mocy, a miały jeszcze upłynąć całe godziny, nim los bitwy się rozstrzygnie.

Otarł pot z oczu i zacisnął dłonie na chropawej balustradzie platformy. Był bliski wyczerpania, a mimo to silniejszy niż Egwene albo Aviendha. Ta druga stała teraz, zapatrzona na Cairhien i chmury burzowe, co jakiś czas pochylając się, by rzucić okiem przez długie szkło powiększające; Egwene siedziała na skrzyżowanych nogach z zamkniętymi oczyma, wsparta o podporę jeszcze pokrytą szarą korą. Obie wyglądały na równie przepracowane jak on.

Zanim zdążył coś zrobić — nie żeby wiedział, co zrobić; nie potrafił Uzdrawiać — Egwene otworzyła oczy i wstała, zamieniając z Aviendhą kilka słów,

które wiatr porwał poza zasięg jego wzmocnionego przez *saidina* słuchu. Potem Aviendha usiadła na miejscu Egwene i opuściła głowę na podporę. Błyskawice wciąż przeszywały czarne chmury otaczające miasto, ale były to teraz o wiele częściej dzikie widły niżli pojedyncze lance.

A zatem one zmieniały się wzajem, jedna pozwalając drugiej odpocząć. Byłoby miło mieć przy sobie kogoś, kto by to robił razem z nim, ale nie żałował, że kazał Asmodeanowi zostać w namiocie. Nie zaufały mu do tego stopnia, by mu pozwolić przenosić. Zwłaszcza teraz. Kto wie, co ten by zrobił, gdyby zobaczył Randa tak osłabionego?

Słaniając się nieznacznie, obrócił szkło powiększające, by przyjrzeć się wzgórzom wokół miasta. Bez wątpienia widać było na nich ruch. I śmierć. Wszędzie toczyły się walki, w którą stronę nie spojrział, Aielów z Aielami, tysiąc tu, pięć tysięcy tam, roili się na bezleśnych wzgórzach, zbici w litą masę, przez co nie mógł nic tam zdziałać. Nie potrafił odszukać kolumny utworzonej przez jeźdźców i pikinierów.

Dotychczas wypatrzył ich już trzykrotnie, raz, gdy walczyli z przekraczającą ich dwakroć liczbą Aielów. Był pewien, że wciąż jeszcze gdzieś tam są. Niewielka nadzieja, że Melanril postanowił usłuchać jego rozkazów w tych okolicznościach. Wybór tego człowieka tylko dlatego, że miał w sobie dość przyzwoitości, by wstydzić się, z powodu zachowania Weiramona, okazał się błędem, lecz czasu na dokonywanie wyborów miał niewiele, a Weiramona musiał się pozbyć. Nic już z tym teraz nie mógł zrobić. Może należało przekazać dowodzenie jednemu z Cairhienian. O ile nawet jego bezpośredni rozkaz zmusiłby Tairenian do usłuchania jakiegoś Cairhienianina.

Jego oko przykuło kłębowisko tuż pod wysokim, szarym murem miasta. Wysokie bramy okute żelazem stały otworem, Aielowie walczyli z jeźdźcami i włócznikami niemal na otwartej przestrzeni, zaś mieszkańcy miasta próbowali w międzyczasie zamknąć jego podwoje, próbowali, ale bez powodzenia z powodu naporu ciał. Konie z pustymi siodłami i ciała uzbrojonych mężczyzn, leżące nieruchomo na ziemi w odległości połowy mili od bramy, wyznaczały miejsce, w którym wypad obłożonych został odparty. Z murów sypał się grad strzał i kawałów gruzu wielkości ludzkiej głowy — niekiedy nawet włóczni ciskanych w dół z taką siłą, że potrafiły rozplatać dwóch albo i trzech ludzi, aczkolwiek on nie widział, skąd dokładnie je ciskano — jednakże Aielowie przebiegali po ciałach swych poległych, coraz bliżsi wdarcia się do środka. Szybki rzut oka na okolicę pokazał mu jeszcze dwie kolumny Aielów biegnących truchtem w stronę bram, może razem trzy tysiące żołnierzy. Nie wątpił, że to też Couladinowi ludzie.

Zdał sobie sprawę, że zgrzyta zębami. Jeśli Shaido wejdą do Cairhien, to nigdy nie przepędzi ich na północ. Będzie ich musiał mozolnie wyszukiwać, ulica po ulicy; koszty, jakie poniosą żyjący, przyćmią znacznie liczbę już poległych, a samo miasto obróci się ostatecznie w taką samą ruinę jak Eianrod, o ile wręcz

nie podzieli losu Taien. Musiał coś zrobić, mimo iż Cairhienianie i Shaido zmieszali się ze sobą niczym mrówki w misie.

Zrobił głęboki wdech i przeniósł. Obie kobiety ustanowiły warunki, sprowadzając chmury burzowe: nie musiał widzieć ich splotów, żeby móc z nich korzystać. Silna, srebrno-niebieska błyskawica uderzyła w Aielów, jeden raz, drugi, jeszcze raz, z taką, szybkością, z jaką człowiek klaszcze.

Rand gwałtownie poderwał głowę, mrugając, by pozbyć się płonących kresek, które nadal zdawały się płonąć w polu widzenia, a kiedy znowu spojrzął przez długą tubę, wszędzie tam, gdzie padły błyskawice, Shaido legli niczym skoszone łany owsa. Na ziemi bliżej bram także leżeli miotający się ludzie i konie, niektórzy nie ruszali się wcale, jednak ci, którzy nie odnieśli obrażeń odwiekali na bok rannych, zaś bramy zaczynały się już zamykać.

„Ilu nie zdąży schronić się w środku? Ilu swoich zabiłem?” Wiedział jednak dobrze, że to się nie liczyło. Tak należało zrobić, więc zostało to zrobione.

I jeszcze jak dobrze. Czuł, że uginają się pod nim kolana. Powinien się przejść, jeśli ma dotrzeć do końca dnia. Dość z pokładaniem się gdzieś tu obok; musi wypatrzeć miejsce, gdzie jest szczególnie potrzebny, gdzie mógłby...

Chmury burzowe zgromadziły się wprawdzie tylko nad miastem i wzgórzami położonymi na południu, ale ten grom spadł prosto z czystego, bezchmurnego nieba nad wieżą, mknąc z lśnieniem na Panny zgromadzone poniżej, wtórując sobie ogłuszającym traskiem.

Rand, któremu włosy stanęły dęba od mrowienia w powietrzu, wyteżył wzrok. Poczul ten grom w inny sposób, poczul sploty *saidina*, które go utworzyły.

„A więc Asmodeana pokusiło nawet w namiocie”.

Nie było jednak czasu na rozmyślenia. Grom, przypominający gwałtowne bicie w olbrzymi bęben, uderzał za gromem, krocząc po szeregach Panien, aż wreszcie ostatni uderzył u podstawy wieży, wzniesając wybuch odłamków rozmiaru małego dziecka.

Kiedy wieża powoli zaczęła się przechylać, Rand rzucił się w stronę Egwene i Aviendhy. Jakoś udało mu się zgarnąć je obie jedną ręką, po czym owinać drugą wokół podpory platformy, która obecnie ułożyła się pionowo względem zbocza. Wpatrywały się w niego przerażonymi oczyma, chcąc coś powiedzieć, ale podobnie jak na myślenie nie było teraz czasu na mówienie. Strzaskana wieża z bali przewróciła się, rozpadając wśród konarów drzew. Przez chwilę wierzył, że drzewa zamortyzują upadek.

Podpora, do której przywarł, pękła z traskiem. Ziemia wybiegła na jego spotkanie i wybiła z niego cały oddech w jedno uderzenie serca, zanim kobiety upadły na niego. Napłynęła ciemność.

Powoli odzyskiwał przytomność. Pierwszy powrócił słuch.

— ... podźwignął nas niczym głaz i zrzucił w dół zbocza, w sam środek nocy.
— To był głos Aviendhy, cichy, jakby to, co mówiła, było przeznaczone wyłącz-

nie dla jej własnych uszu. Coś się ruszało na jego twarzy. — Zabrałeś to, czym jesteśmy, to, czym byliśmy. Musisz dać nam coś w zamian, cokolwiek. Potrzebujemy cię. — To coś, co się poruszało, zwolniło, dotykało go teraz delikatniej. — Ja cię potrzebuję. Nie dla siebie, rozumiesz. Dla Elayne. To, co jest teraz między nią a mną, to sprawa między nią a mną, ale ja oddam jej ciebie. Oddam. Jeśli umrzesz, zaniosę jej twój trup! Jeśli umrzesz. . . !

Gwałtownie otworzył oczy i przez chwilę wpatrywali się w siebie. Włosy miała w całkowitym nieładzie, gdzieś zgubiła chustę, którą miała obwiązaną głowę, przekrwiony siniak szpecił jej policzek. Wyprostowała się nerwowo, składając wilgotną szmatkę poplamioną krwią, po czym zaczęła ocierać mu czoło ze znacznie mniejszą delikatnością niż przedtem.

— Nie mam zamiaru umierać — zapewnił ją, choć tak po prawdzie to wcale nie był tego taki pewien. Pustka i *saidin* oczywiście zniknęły. Zadrżał przerażony, że mógłby je utracić; prawdziwe szczęście, że *saidin* nie przepalił mu w ostatniej chwili umysłu. Jęknął na samą myśl o ponownym obejmowaniu źródła. Bez Pustki, służącej jako bufor, czuł w pełni każdy ból, każdy siniak i zadrapanie.. Był taki zmęczony, że mógłby natychmiast zapaść w sen, gdyby go tak nie bolało. A zatem naprawdę go bolało, bo nie mógł zasnąć. Jeszcze bardzo długo nie mógł.

Wsunął rękę pod kaftan i dotknął boku, po czym ukradkiem wytarł krew z palców o koszulę, zanim na powrót wyciągnął rękę. Nic dziwnego, że pod wpływem takiego upadku, w połowie zaleczona rana otworzyła się na nowo. Raczej nie krwawił mocno, ale gdyby zobaczyły to Panny, Egwene albo Aviendha, to zapewne musiałyby się z nimi bić, żeby nie zawlokły go do Moiraine. Za dużo miał jeszcze do zrobienia — Uzdrawianie na domiar wszystkiego podziałałoby na niego niczym uderzenie pałką w skroń — a poza tym ona na pewno była zajęta poważniej niż on rannymi.

Krzywiąc się, tłumiąc kolejny jęk, powstał, korzystając jedynie z niewielkiej pomocy Aviendhy. I wnet zapomniał o swych ranach.

Nieopodal na ziemi siedziała Sulin, której Egwene bandażowała krwawe rozcięcie w czaszce; mruzczała coś ze wściekłością do siebie, bo nie potrafiła Uzdrawiać, ale siwowłosa Panna nie była ani jedyną, ani też najpoważniejszą ofiarą. Wszędzie, gdzie nie spojrział, odziane w *cadin'sor* kobiety okrywały zmarłe kocami i opatrywały te, które były tylko lekko poparzone, o ile „lekko” jest słowem, które można użyć w odniesieniu do oparzeń po błyskawicach. Z wyjątkiem gniewnego mamrotania Egwene na szczycie wzgórza panowała względna cisza, nawet ranne kobiety nie pojękiwały, i tylko słyszało się parskanie koni.

Konstrukcja z bali, całkiem teraz nierozpoznawalna, nie oszczędziła Panien przy upadku, łamiąc im ręce i nogi, tnąc w ich ciałach tryskające krwią rany. Widział, jak układano koc na twarzy Panny obdarzonej rudozłotymi włosami, niemal o tym samym odcieniu co włosy Elayne; jej głowa wykręciła się nienaturalnie, a wytrzeszczone oczy zaszyły szklistą powłoką. Jolien. Jedna z pierwszych, któ-

re pokonały Mur Smoka, by szukać Tego Który Przychodzi Ze Świtem. Razem z nim poszła do Kamienia Łzy. A teraz nie żyła.

„No tak, wspaniale bronieś Panien — pomyślał z goryczą. — Doprawdy wspaniale”.

Nadal czuł błyskawicę, czy raczej pozostałości po jej tworzeniu. Prawie jak powidok wypalony wcześniej w jego oczach, potrafił prześledzić splot, mimo iż ten zbladł już. Ku jego zdziwieniu wiódł na zachód, nie w odwrotną stronę, ku namiotom. A więc to nie był Asmodean.

— Sammael. — Był tego pewien. To Sammael przypuścił tamten atak w Jan-gai, Sammael kierował piratami i rajdami w Łzie, również za tym stał Sammael. Usta wywinęły mu się w grymasie, a głos przeszedł do ochryplego szeptu. — Sammael!

Nie zdawał sobie sprawy, że zrobił krok, dopóki Aviendha nie przytrzymała go za ramię.

Chwilę później Egwene trzymała go za drugie; obie wczepiły się w niego, jakby miały zamiar przyspawać go do miejsca.

— Nie rób z siebie kompletnego durnia z wełną zamiast mózgu — powiedziała Egwene, wzdrygając się pod wpływem jego groźnego spojrzenia, ale nie puszczając. Na nowo zawiązała brązową chustę wokół głowy, ale przeczesanie włosów palcami nie zaprowadziło w nich porządku, poza tym kurz nadal pokrywał bluzkę i spódnice. — Ktokolwiek to zrobił, jak sądzisz, dlaczego czekał tak długo, dopóki się nie zmęczyłeś? Bo w razie, gdyby nie udało mu się ciebie zabić i ty zaczniesz go ścigać, to staniesz się łatwym celem. Ledwie potrafisz ustać o własnych siłach!

Aviendha również nie była bardziej skłonna, by już go puścić; patrzyła mu w oczy równie stanowczo.

— Jesteś potrzebny tutaj, Randzie al'Thor. Tutaj, *Car'a'carnie*. Czy twój honor wiąże się z zabiciem tego człowieka, czy też z tymi, których przyprowadziłeś do tej ziemi?

Nadbiegł jakiś młody Aiel, torując sobie drogę wśród Panien, z *shoufq* opuszczoną na ramiona; włócznie i tarcza huśtały się swobodnie u jego boku. Nie dał po sobie poznać, czy uważa widok dwóch kobiet podtrzymujących Randa za osobliwy. Z nieznaczną ciekawością omiół wzrokiem roztrzaskane pozostałości wieży, martwe i ranne kobiety, jakby się zastanawiał, co też tu mogło się stać i gdzie w takim razie jest martwy wróg. Wbił włócznie w ziemię przed Randem i powiedział:

— Jestem Seirin, ze szczepu Shorara w klanie Tomanelle.

— Widzę cię, Seirin — odparł Rand równie formalnie. Co nie było łatwe, gdy dwie kobiety trzymały go tak, jakby uważały, że może uciec.

— Han z Tomanelle przysłał wiadomość *Car'a'carnowi*. Klany zgromadzone na wschodzie zacierają wszystkie ku sobie. Wszystkie cztery. Han zamierza

przyłączyć się do Dhearicka i posłał po Erima. by ten również połączył się z nimi.

Rand ostrożnie wciągnął powietrze w płuca, licząc, że kobiety wezmą jego grymas za reakcję na te wieści; paliło go w boku i czuł krew, która strugami cieknęła pod koszulą. A zatem nie będzie nikogo, kto by zagnał Couladina na północ, mimo iż Shaido zostali rozbici. O ile rzeczywiście tak było; jak dotąd nie zauważył żadnych tego oznak. Dlaczego Miagoma i pozostali się łączą? Tym samym ostrzegaliby go przecież, gdyby zamierzali go zaatakować. Jeśli jednak rzeczywiście chcieli go zaatakować, to wówczas Han, Dhearic i Erim przegrają z nimi liczebnie i jeśli Shaido będą się dostatecznie długo bronić, a te cztery klany przebiją się... Widział, że nad zalesionymi wzgórzami zaczęło padać, teraz, kiedy Egwene i Aviendha nie kontrolowały chmur. To zaszkodzi obu stronom. Kobiety mogą nie odzyskać kontroli z tej odległości, chyba że, wbrew wrażeniu, jakie sprawiały, znajdują się w lepszym stanie.

— Powiedz Hanowi, by robił, co musi, żeby ich nie dopuścić na tyły.

Seirin, już doświadczony wojownik, mimo że taki młody — w rzeczy samej, mniej więcej w wieku Randa — uniósł brew ze zdziwienia. No przecież, Han nie postąpi inaczej i Seirin o tym wiedział. Czekał tylko dostatecznie długo, by się upewnić, że Rand nie ma dla niego innego posłania, po czym odwrócił się i popędził w dół zbocza, równie szybko, jak nadbiegł. Bez wątpienia liczył na to, że wróci dostatecznie prędko, by nie uronić z walki nic ponad to, co musiał, a która, skoro już o tym mowa, być może wybuchła już na wschodzie.

— Niech ktoś przyprowadzi Jeade'ena — powiedział Rand, kiedy Seirin się oddalił. Gdyby spróbował iść tak daleko piechotą, to rzeczywiście potrzebowałyby kobiet, żeby go podtrzymywały. Te dwie bardzo się od siebie różniły, w tym momencie jednak twarze ich przybrały niemal bliźniaczo podobny wyraz podejrzliwości. Takie spojrzenie stanowi zapewne jedną z tych rzeczy, jakich każda dziewczyna uczy się od swej matki. — Nie będę ścigał Sammaela. — Na razie. — Ale muszę być. bliżej miasta.

Skinieniem głowy wskazał przewróconą wieżę; do takiego tylko gestu był zdolny, gdy one tak na nim wisały. Pan Tovere pewnie jakoś uratuje soczewki ze szkielec powiększających, ale z całej wieży nie zostały nawet trzy całe kłody. Nie będzie dziś więcej obserwacji z tego punktu.

Egwene była zwyczajnie niepewna, ale Aviendha niemal bezzwłocznie przykazała jakiejś młodej Pannie, by ta udała się do *gai'shain*. By również sprowadzili Mgłę, czego on z kolei nie przewidział. Egwene zaczęła się otrzępywać, mrużąc coś pod nosem na temat kurzu, Aviendha natomiast znalazła gdzieś grzebień z kości słoniowej i jeszcze jedną szarfę. Mimo upadku jakimś cudem obie wyglądały już na znacznie mniej sponiewierane niż on.

To mu kazało się zastanowić. Czy on w ogóle o którejś pomyślał, zamiast wyłącznie o sposobie, w jaki mógłby je wszystkie wykorzystać? Powinien zapewnić im takie same bezpieczeństwo, jakie miały na wieży. Wieża co prawda nie była

specjalnie bezpieczna, jak się okazało, ale tym razem zorganizuje wszystko lepiej.

Sulin wstała, kiedy się do niej zbliżył; spod białego czepka bandaża i *algode* pokrywającego czubek jej głowy wystawały siwe kosmyki.

— Przenoszę się bliżej miasta — powiedział jej — do miejsca, skąd będę widział, co się dzieje i być może będę mógł interweniować. Wszystkie rany mają pozostać tutaj, razem z dostateczną liczbą pozostałych, które je w razie potrzeby obronią. Niech to będzie silna straż, Sulin: ja potrzebuję przy sobie tylko garstki; byłaby to kiepska zapłata za honor, jaki ofiarowały mi Panny, gdybym dopuścił do zabicia rannych. — To powinno zatrzymać większą ich część poza zasięgiem walk, których i on będzie musiał unikać, by uchronić przed nimi również pozostałe Panny, a ze względu na stan jego sił, będzie mu to na rękę. — Chcę, żebyś ty została tutaj i...

— Ja nie jestem ranna — wtrąciła sztywno, a on zawahał się, po czym wolno skinął głową.

— Ależ oczywiście. — Nie wątpił, że jej rana jest poważna, ale z kolei nie wątpił też, że to twarda kobieta. I gdyby została tutaj, to wówczas na czele jego straży mógłby stanąć ktoś pokroju Enaili. Bycie traktowanym niczym brat nie było ani trochę tak irytujące, jak bycie traktowanym jak syn, a on nie miał nastroju, by borykać się z tym drugim. — Ufam jednak, że dopatrzysz, by nie udał się za mną nikt ranny, Sulin. Nie będę się zatrzymywał. Nie mogę dopuścić nikogo, kto będzie opóźniał marsz albo kogo trzeba będzie zostawić po drodze.

Przytaknęła bardzo gorliwie, nabrał więc przekonania, iż ona zmusi do pozostania każdą Panne, która była bodaj zadraśnięta. Z wyjątkiem niej samej, rzecz jasna. Tym razem nie miał poczucia winy, że kogoś wykorzystuje. Panny same decydowały, że wezmą włócznie, niemniej jednak również to one same zdecydowały, że za nim pójdą. Być może „pójdą” nie było tu właściwym słowem, jeśli wziąć pod uwagę rzeczy, które niekiedy robiły, to jednak, w jego mniemaniu, niczego nie zmieniało. Nie wyda, nie mógł wydać, rozkazu kobiecie, by poszła na śmierć, i koniec. Prawdę powiedziawszy, spodziewał się przedtem jakiegoś protestu. I był tylko wdzięczny za to, że jednak go nie było.

„Jestem pewnie bardziej delikatny niż mi się wydaje”.

Pojawiło się dwóch odzianych w białe szaty *gai'shain*, którzy prowadzili Jead'e'ena i Mgłę, za nimi podążał cały tłum innych, z naręczami bandaży i maści oraz wielkimi gronami brzuchatych worków z wodą na ramionach, kierowanych przez Sorileę i kilkanaście innych znajomych mu Mądrych. A w każdym razie uznał, że chyba zna imiona połowy z nich.

Sorilea wyraźnie przejęła dowodzenie i za jej rozkazem *gai'shain* i Mądre jednako zaczęli krążyć wśród Panien i opatrywać ich rany. Zmierzyła wzrokiem Randa, Egwene i Aviendhę, w zamyśleniu marszcząc czoło i wydymając wąskie wargi. Najwyraźniej przekonana, że ta trójka wygląda na dostatecznie poobijaną, by należało obmyć ich rany. Pod wpływem tego spojrzenia Egwene wdrapała się

na siodło siwej klaczy, uśmiechając się i kłaniając głową w stronę wiekowej Mądrej, gdyby jednak Aielowie bardziej się znali na jeździe konnej, wówczas Sorilea zrozumiałaby, że niezdarna sztywność Egwene nie jest normalna. Był to również sprawdzian stanu, w jakim znajdowała się Aviendha, ta bowiem bez protestu pozwoliła Egwene wciągnąć się na siodło. Ona także uśmiechnęła się do Sorilei.

Rand wskoczył na siodło jednym zgrabnym ruchem, zaciskając zęby. Protest obolałych mięśni utonął pod lawiną bólu w boku, jakby na nowo został przeszyty mieczem i musiała upłynąć cała minuta, zanim był w stanie znowu oddychać, ale nic po sobie nie pokazał.

Egwene podjechała na Mgle do Jeade'ena, dostatecznie blisko, by móc szepnąć:

— Skoro z takim trudem dosiadasz konia, Randzie al'Thor, to może na razie w ogóle zapomnisz o jeździe.

Aviendha przybrała typowy dla Aielów, nieprzenikniony wyraz twarzy, nie spuszczać przy tym z niego wzroku.

— Ja też zauważyłem, jak wy wsiadałyście — odparł cicho. — Może to ty powinnaś zostać tutaj i pomagać Sorilei, dopóki nie poczujesz się lepiej. — To kazało jej zamknąć usta, aczkolwiek jednocześnie wykrzywiły się w pełnym niezadowolenia grymasie. Aviendha obdarzyła Sorileę jeszcze jednym uśmiechem; stara Mądra wciąż ich obserwowała.

Rand zmusił jabłkowitego wierzchowca do galopu w dół zbocza. Każdy krok wywoływał wstrząs w boku, oddychał przez zaciśnięte zęby, ale musiał pokonać pewną odległość, a nie mógł zrobić tego na piechotę. Poza tym spojrzenie Sorilei zaczynało już działać mu na nerwy.

Mgła zrównała się z Jeade'eniem, zanim pokonał pięćdziesiąt kroków w dół gęsto porośniętego zbocza, a po kolejnych pięćdziesięciu dogoniła go również Sulin i sznur Panien; niektóre biegly, żeby go wyprzedzić. Było ich więcej, niż się spodziewał, ale to nie miało znaczenia. To, co trzeba było zrobić, nie wymagało zbliżania się do walczących. Mogły zostać bezpiecznie przy nim.

Objęcie *saidina*, nawet za pomocą *angreala*, wymagało wiele wysiłku; sam jego ciężar zdawał się przygniatać go jeszcze mocniej niż zazwyczaj, skaza też jakby przybrała na sile. Przynajmniej Pustka osłaniała go przed bólem. A w każdym razie do pewnego stopnia. A jeśli Sammael znowu spróbuje się z nim zabawiać...

Zmusił Jeade'ena do przyśpieszenia kroku. Cokolwiek robił Sammael, on miał własne zadanie do wykonania.

Z ronda kapelusza ściekały krople deszczu, więc Mat musiał co jakiś czas odcjmować szkło powiększające od oka i wycierać koniec tuby. Przez ostatnią godzinę ulewa ustąpiła rzęsiystemu deszczowi, a te rzadkie konary nie dawały żadnej osłony. Kaftan już dawno temu przesiąkł do suchej nitki, a Oczko zwiesił uszy;

koń stał w miejscu, jakby nie zamierzał się ruszyć, jakby Mat nie bębnił w jego boki piętami. Nie bardzo miał pojęcie, co to za pora dnia. Przyjął, że samo popołudnie, ale ciemne chmury nie rzedły razem z deszczem i całkiem zakryły słońce. Z drugiej zaś strony miał wrażenie, że minęły już trzy albo cztery dni, odkąd zjechał ze szczytu wzgórza, by ostrzec Tairenian. Nadal nie był pewien, dlaczego to zrobił.

Patrzył na południe, szukając drogi ucieczki dla trzech tysięcy ludzi; lekko licząc, tyłu ich do tej pory przeżyło, aczkolwiek dalej nie mieli pojęcia, co zamierza. Uważali, że szykuje dla nich kolejną potyczkę, ale zgodnie z jego rachubami te trzy tysiące to było całe trzy tysiące za dużo. Uważał, że mógłby teraz uciec w pojedynkę, pod warunkiem, że będzie miał oczy otwarte i zachowa trzeźwy umysł. Trzy tysiące ludzi natomiast zwracało uwagę, gdziekolwiek się ruszyli, a nie poruszali się szybko przez to, że ponad połowę stanowiła piechota. Dlatego właśnie tkwił na tym przeklętym przez Światłość wzgórzu i dlatego Tairenianie i Cairhienianie wtoczyli się w długą, wąską kotlinę dzielącą to wzgórze od następnego. Gdyby tak najzwyczajniej w świecie teraz uciekł. . .

Przycisnąwszy z powrotem szkło powiększające do oka, spojrzął z wściekłością na południe, na rzadko zalesione wzgórza. Tu i tam rosły zagajniki, niektóre dość duże, ale grunt przeważnie pokrywały zarośla albo trawa. Wycofał się ku wschodowi, korzystając nawet z tych najmniejszych fałd gruntu, za którym ukryłaby się mysz, wyprowadzając za sobą kolumnę z bezleśnego terenu do jakiegokolwiek kryjówki. Z dala od tych przeklętych błyskawic i kul ognia; nie był pewien, czy to one były gorsze, czy raczej te momenty, kiedy ziemia — wybuchała z rykiem bez żadnej widocznej przyczyny. Tyle wysiłku po to tylko, by się przekonać, że bitwa przemieszcza się wraz z nim. Jakoś nie potrafił się oddalić od jej centrum.

„Gdzie się podziało to moje przeklęte szczęście, teraz, kiedy go naprawdę potrzebuję?”

Był durniem o mózgu wielkości groszku, skoro został. Fakt, że udało mu się utrzymać tamtych przy życiu tak długo, jeszcze nie oznaczał, że będzie tak dalej. Prędzej czy później, na kościach pokażą się Oczy Czarnego.

„Ci przekłęci żołnierze. Powiniennem ich zostawić i odjechać”.

A mimo to szukał nadal, przepatrując zalesione szczyty i kotliny. Kryły Aielów Couladina również przed nim, ale tu i ówdzie potrafił ich dostrzec. Nie wszyscy brali udział w zajadłych walkach, ale wszystkie ugrupowania były większe od tego, którym on dowodził, wszystkie bez wyjątku zagradzały mu drogę do bezpieczeństwa na południu, a poza tym nie mógł określić, kto jest kim, dopóki nie nastąpi bezpośrednia konfrontacja. Sami Aielowie wydawali się nie mieć z tym kłopotu, ale dla niego to nie była żadna pociecha.

Dalej, jakąś milę, może; trochę więcej, kilkaset odzianych w *cadin'sor* sylwetek bieгло w kolumnie złożonej z ośmioosobowych szeregów, kierując się na wschód, na szczyt, gdzie kilka drzew o skórzanych liściach marnie udawało za-

gajnik. Nim biegnący na czele zaczęli zbiegać na drugą stronę, w sam ich środek wpadła błyskawica, rozpryskując ciała i ziemię niczym kamyczki wrzucane do stawu. Oczko nawet nie zadrżał, gdy rozległ się ogłuszający trzask; wałach przyzwyczaił się już do niespodziewanych eksplozji.

Niektórzy z powalonych podnosili się, kulejąc, i natychmiast przyłączali się do tych, którzy nadal biegli, pośpiesznie sprawdzili znieruchomiłych. Nie więcej jak kilkunastu zarzucono na ramiona, zanim wszyscy zbiegli ze szczytu, z powrotem tą samą drogą, którą tam przybyli. Nikt nie przystanął, by przyjrzeć się powstałemu kraterowi. Mat już przedtem widział, jak dostawali nauczkę; czekanie stanowiło tylko zaproszenie dla drugiej, srebrzystej lancy z chmur. Po kilku chwilach zniknęli z zasięgu wzroku. Z wyjątkiem rannych. Obrócił szkło powiększające w stronę wschodu. W tym kierunku, kilka mil dalej było widać blask słońca. Wieża z bali powinna być widoczna, powinna wystawać ponad wierzchołkami drzew, a jednak od jakiegoś czasu nie umiał jej znaleźć. Może szukał w niewłaściwych miejscach. Bez znaczenia zresztą. Ta błyskawica musiała być dziełem Randa, podobnie jak cała reszta.

„Jeśli pokonam dostateczny kawałek drogi w tamtą stronę...”

To znajdzie się w tym samym miejscu, z którego wyruszył. Nawet jeśli to nie przyciąganie *ta'veren* przymuszało go do powrotu, to będzie mu i tak trudna ponownie wyjechać, kiedy Moiraine się dowie. A poza tym należało też wziąć pod uwagę Melindhrę. W życiu nie słyszał a kobiecie, która by nie miała pretensji, gdy mężczyzna próbował bez, uprzedzenia odejść z jej życia.

W trakcie gdy powoli obracał szkło powiększające w poszukiwaniu wieży, z boczne, porośnięte rzadkimi liśćmi skórzanymi i papierowcami, nagle stanęło w płomieniach; w jednej chwili wszystkie drzewa przemieniły się w pochodnie.

Powoli opuścił okutą mosiądzem tubę; prawie jej nie potrzebował. by widzieć ogień, a gęsty, szary dym już. utworzył wielki pióropusz szybujący ku niebu. Nie potrzebował znaków, by rozpoznać przenoszenie, nie w takiej sytuacji. Czyżby Rand już przekroczył granice obłądzenia? A może to Aviendzie nareszcie zbrzydło, że się ją zmusza do przestawiania z nim. Nie drażnij kobiety, która potrafi przenosić; tej zasady Matowi rzadko udawało się przestrzegać, ale naprawdę się starał.

„Zachowaj te mądrości dla kogoś jeszcze oprócz samego siebie” — pomyślał z goryczą. Starał się po prostu nie myśleć a trzecim rozwiązaniu. Jeśli Rand jednak jeszcze nie oszalał, zaś Aviendha, Egwene albo któraś z Mądrych nie postanowiły się od niego uwolnić, wówczas ktoś jeszcze brał sprawy tego dnia w swoje ręce. Potrafił dodać dwa i dwa tak, by nie wyszło mu z tego pięć.

„Sammael”.

To tyle z szukaniem drogi ucieczki; nie ma żadnej drogi ucieczki.

„Krew i krwawe popioły! Co się stało z moim...?”

Za jego plecami trzasnęła pod czyjąś stopą gałązka; zareagował, nie myśląc, bardziej za pomocą kolan niżli wodzy powiodł Oczko po ciasnym okręgu, wycią-

gając włócznię z ostrzem miecza zza łęku siodła.

Estean omal nie upuścił hełmu, wytrzeszczając oczy, kiedy krótkie ostrze zatrzymało się o włos od jego głowy. Deszcz przylepił mu włosy do twarzy. Nalesean, również pieszo, uśmiechał się szeroko, na poły zdumiony, na poły rozbawiony skrępowaniem młodego Tairenianina. Obdarzony kwadratową twarzą, zwalisty Nalesean był już drugim po Melanrilu, który przejął dowodzenie nad taireniańską kawalerią. Talmanes i Daerid byli tam również, jak zwykle o krok w tyle i również jak zwykle z nieprzeniknionymi twarzami, ukrytymi za hełmami w kształcie dzwonów. Wszyscy czterej zostawili konie w tyle, wśród drzew.

— Aielowie idą prosto na nas, Mat — rzekł Nalesean, kiedy Mat podniósł włócznię ze znakiem kruka. — Oby mu szeszła dusza, jeśli jest ich mniej niż pięć tysięcy. — To również potraktował szerokim uśmiechem. — Moim zdaniem nie wiedzą, że czatujemy tu na nich. . .

Estean przytaknął mu.

— Trzymają się dolin i niecek. Chowają się przed. . . — Zerknął na chmury i zadygotał. Nie on jeden bał się tego, co mogło lunąć z nieba; pozostali trzej też zadarli głowy. — W każdym razie to oczywiste, że zamierzają przejść przez to miejsce, gdzie ukrywają się ludzie Daerida. — W jego głosie zabrzmiała nuta szczerzego szacunku, kiedy wspomniał o pikinierach. A także zazdrość, choć nie niezyczliwa; trudno patrzeć z zawiścią na kogoś, kto kilka razy ratował ci kark. — Nie zorientują się, tylko wejdą prosto na nas.

— To wspaniale — wydyszał Mat. — Wspaniale jak jasna cholera.

Miał to być sarkazm, ale Nalesean i Estean naturalnie przeoczyli ten wydźwięk. Wyglądali na pełnych entuzjazmu. Sarn Daerid natomiast przybrał na swą poblížnioną twarz tyleż samo wyrazu co skała, a Talmanes spojrział tylko na Mata spod lekko uniesionej brwi i nieznacznie pokręcił głową. Tych dwóch znało się na wojaczce.

Pierwsze starcie z Shaido stanowiło w najlepszym przypadku równy pojedynek, do którego Mat nigdy by nie stanął, gdyby go nie zmuszono. Fakt, że wszystkie te błyskawice do tego stopnia wstrząsnęły Shaido, iż dali się rozgromić, niczego nie zmieniła. Jeszcze dwa razy tego dnia stawali do potyczek, w wyniku których Mat musiał wybierać, czy ścigać, czy być ściganym, i żadna z nich bynajmniej nie zakończyła się tak pomyślnie, jak to się wydawało Tairenianom. Jedna zakończyła się remisem, ale tylko dlatego, że zgubił Shaido, kiedy przystanęli, żeby się przegrupować. Przynajmniej nie zjawili się ponownie, kiedy on wyprowadzał swoich wijącymi się wśród wzgórz dolinami. Podejrzewał, że zajęło ich coś innego; może kolejne błyskawice, kule ognia, albo Światłość wiedziała, co jeszcze. Wiedział znakomicie, co pozwoliło im ująć z ostatniego starcia w zasadzie cało. Zawdzięczali to jeszcze jednej bandzie Aielów, która wryła się w tyły tych, z którymi walczyli, w samą porę, bo uchroniła pikinierów przed stratowaniem. Shaido postanowili wycofać się na północ, ci drudzy zaś — nie dowiedział

się, którzy to byli — odbili na zachód, pozostawiając pole bitwy w jego posiadaniu. Nalesean i Estean uznali to za oczywiste zwycięstwo. Daerid i Talmanes wiedzieli, jak było naprawdę.

— Ile mamy czasu? — spytał Mat.

Odpowiedział Talmanes.

— Pół godziny. Może trochę więcej, jeśli przyświeca nam łaska.

Tairenianie mieli wyraźne wątpliwości; jeszcze do nich nie dotarło, jak szybko potrafią się przemieszczać Aielowie.

Mat nie żywił takich złudzeń. Zdążył już zbadać okolicę, ale jeszcze raz jej się przyjrzał i westchnął. Z tego wzgórza rozciągał się bardzo dobry widok na okolicę, gdyż jedyną kępą drzew była ta licha, w odległości połowy mili, gdzie zostawił konia. Oprócz niej same zarośla, sięgające najwyżej uda, z rzadka urozmaicone drzewem skórzanym, papierowcem i sporadycznie dębem. Aielowie na pewno przyślą tu zwiadowców i istniała nawet szansa, że przynajmniej konni zdążą do tego czasu zniknąć z zasięgu wzroku. Pikinierzy zostaną na otwartej przestrzeni. Wiedział, co należy zrobić — znowu albo ścigać, albo stać się ściganym — ale wcale nic musiało mu się to podobać.

Tylko raz rzucił okiem, ale nim zdążył otworzyć usta, Daerid powiedział:

— Moi zwiadowcy donoszą mi, że w tej grupie jest sam Couladin. W każdym razie ich dowódca ma obnażone ręce, a na nich takie same piętna, jakie podobno ma również Lord Smok.

Mat chrząknął. Couladin. I na domiar wszystkiego kieruje się na wschód. Nawet jeśli istniał jakiś sposób na usunięcie mu się z drogi, to ten gość pobiegnie na złamanie karku, żeby dopaść Randa. Być może nawet właśnie o to mu szło. Mat poczuł, że cały się gotuje i nie miało to nic wspólnego z faktem, że Couladin chciał zabić Randa. Wódz Shaido, czy kimkolwiek był ten człowiek, mógł niejako pamiętać Mata jako kogoś, kto kręcił się w otoczeniu Randa, ale to właśnie z powodu Couladina on tutaj utknął, w samym sercu bitwy, starając się ująć z niej z życiem, nie. wiedząc, czy lada chwila ta bitwa nie przemieni się w osobistą potyczkę Randa z Sammaelem, tego typu potyczkę, w wyniku której zginą wszyscy w promieniu dwóch albo i trzech mil.

„O ile wcześniej włócznia nie rozpruje mi mostka”.

I nie miał większego wyboru niżli gęś zawieszona na kuchennych drzwiach. Jak zabraknie Couladina, to nie dojdzie do tego wszystkiego.

Szkoda, że nikt go nie zabił już wiele lat temu. Z pewnością dawał dość powodów. Aielowie rzadko kiedy zdradzali gniew, a kiedy już to czynili, to był to gniew zimny i trzymany w karbach. Couladin natomiast zdawał się pieklić dwa albo trzy razy dziennie, tracąc głowę w zapalczą wściekłość w czasie równie krótkim, jakiego trzeba do złamania gałązki. To cud, że jeszcze żył, szczęście Czarne.

— Nalesean — rzekł gniewnie Mat — rozstaw Tairenian jak najszerzej na północy; zaatakujecie ich od tyłu. My odwrócimy ich uwagę, więc jedźcie co koń

wyskoczy i ruńcie niczym zawałająca się stodoła.

„A więc jemu dopisuje szczęście Czarnego? Krew i popioły, mam nadzieję, że moje powróci”.

— Talmanes, ty zrobisz to samo od południa. Ruszajcie obaj. Mamy mało czasu, a jeszcze go marnujemy.

Obaj Tairenianie skłonili się pospiesznie i pomknęli do koni, po drodze wciśkając hełmy na głowy. Ukłon Talmanesa był bardziej formalny.

— Oby łaska miała w opiece twój miecz, Mat. A może winieniem rzec, twoją włócznię. — To rzekłszy, również i on się oddalił.

Daerid, wpatrzony w Mata, kiedy tamci trzej znikali w dół zbocza, otarł palcem krople deszczu z powiek.

— A zatem tym razem pozostaniesz z pikami. Nie pozwól, by gniew na tego Couladina tobą owładnął. Bitwa to nie miejsce, gdzie się stacza pojedynki.

Mat omal nie wytrzeszczył oczu. Pojedynek? On? Z Couladinem? Czy właśnie dlatego Daerid uznał, że trzyma się pieszych? Wybrał ich, bo za pikami jest bezpieczniej. Taki był powód. Jedyne powód.

— Nie bój się. Umieję się trzymać w ryzach. — A on uważał Daerida za najrozsądniejszego z całego tego towarzystwa.

Cairhienianin przytaknął nieznacznie.

— Tak myślałem. Już kiedyś widziałem atak pikinierów, a także stawiłem czoło kilku szarżom, przysięgam. Talmanes wychwala cię pod niebiosa, sam też słyszałem, jak mówił na głos, że pójdzie za tobą wszędzie. Z chęcią wysłuchałbym któregoś dnia twojej historii, Andoraninie. Ale ty jesteś młody... pod Świątością. Nie chcę ukazać braku szacunku... a młodzi są w gorącej krwi kąpieli.

— Jeśli nic innego, to deszcz mnie ochłodzi.

„Krew i popioły!”

Czy oni wszyscy powariowali? Talmanes go wychwalał? Zastanawiał się, co oni na to, gdyby się dowiedzieli, że on jest zwykłym hazardzistą, który wsłuchuje się w strzępki wspomnień ludzi, zmarłych tysiąc albo i więcej lat temu. Zapewne ciągnęliby losy o to, który go nadzieje na rożen niczym prosiaka. Zwłaszcza lordowie; nikt nie lubi, jak się robi zeń durnia, a arystokraci już najmniej, być może dlatego, że tak często robili to sami. Cóż, w taki czy inny sposób, miał zamiar znaleźć się o wiele mil stąd, kiedy dojdzie do tego odkrycia.

„Przeklęty Couladin. Z ochotą bym wbił mu włócznię w gardło!”

Spiął Oczko i ruszył w stronę przeciwległego zbocza, pod którym czekali jego piechurzy.

Daerid wspiął się na siodło i zrównał z nim, kiwając głową; kiedy Mat rozwijał przed nim swój plan. Łucznicy na zboczach, gdzie mogli osłaniać flanki, ale mieli się najpierw położyć. ukryci w zaroślach do ostatniej chwili. Jeden człowiek na szczycie, który da sygnał, że widać Aielów; piki miały wówczas powstać i pomaszerować prosto na zbliżającego się wroga.

— Jak zobaczymy Shaido, to jak najszybciej się wycofamy, prawie do tego wąwozu między dwoma wzgórzami, a potem zawrócimy, by stawić im czoło.

— Pomyśla, że chcieliśmy uciec, wykoncypują, że nie mogliśmy, i dadzą się osaczyć niczym niedźwiedź przez psy. Gdy zobaczą, że jest nas mniej niż połowa i że walczymy tylko dlatego, bo musimy, to zapewne wpadną na pomysł, żeby się przebiec po naszych trupach. Gdybyśmy tak skutecznie ściągnęli na siebie ich uwagę, dopóki od tyłu nie zaatakują ich konie. . . — Cairhienianin aż się uśmiechnął — To wykorzystywanie taktyki Aielów przeciwko nim samym.

— Raczej będziemy musieli ściągnąć ich przeklętą uwagę. — Ton Mata był równie suchy, jak on sam mokry. — Żeby się upewnić, że my. . . żeby nie osaczyli naszych flank, kiedy zaczniecie się wycofywać, macie natychmiast wnieść okrzyk: „Chrońcie Lorda Smoka!”

Daerid tym razem roześmiał się w głos.

To powinno na pewno przyciągnąć Shaido, zwłaszcza, gdyby dowodził nimi Couladin. Jeśli Couladin naprawdę dowodził, jeśli pomyśli, że Rand jest razem z pikinierami, jeśli pikinierzy utrzymają się do czasu przybycia koni. . . Sporo tych „jeśli”. Mat znowu usłyszał grzechotanie toczących się w jego głowie kości. To była największa gra, do jakiej kiedykolwiek zasiadł. Zastanawiał się, ile jeszcze czasu zostało do zapadnięcia zmroku; nocą człowiek powinien znaleźć jakąś drogę ucieczki. Wolałby, żeby te kości zniknęły z jego głowy albo wreszcie się zatrzymały, wówczas wiedziałby, co pokazują. Wpatrzony chmurnie w strugi deszczu, spał Oczko i pogalopował w dół zbocza.

Jeade'en zatrzymał się na szczycie wzgórza zwieńczonego kilkunastoma drzewami; Rand skulił się lekko od ukłucia bólu w boku. Sierp księżyca, wysoko na niebie, rzucał blade światło, a jednak nawet dla jego wzmocnionego przez *saidina* wzroku wszystko, co znajdowało się dalej niż sto kroków wyglądało jak niewyraźny cień. Nocny mrok całkiem pochłoniął okoliczne wzgórza, a do niego tylko sporadycznie docierało, że krąży przy nim Sulin i że otaczają go Panny. Ale jakoś nie mógł otworzyć oczu szerzej, jak tylko do połowy; czuł pod nimi piasek i wydawało mu się, że nie zasnął dotąd tylko za sprawą tego dokuczliwego bólu. Nie myślał o nim często. Myśl nie tylko była teraz mglista; była daleka.

Ile zamachów na jego życie dokonał już tego dnia Sammael? Dwa? Trzy? Więcej? Niby powinien pamiętać, ile razy ktoś usiłował go zabić. Nie, nie zabić. Zaszczuć.

„Nadal jesteś taki o mnie zazdrosny, Telu Janin? Czy ja ci kiedy ubliżyłem, czy podałem ci kiedy mniej niż pięć palców?”

Słaniając się, przejechał dłonią po włosach. W tej myśli była coś dziwnego, ale nie mógł sobie przypomnieć, co. Sammael. . . Nie. Zajmie się nim, kiedy. . . jeśli. . . Nieważne. Później. Dzisiaj Sammael mógłby tylko odciągnąć jego uwagę

od tego, co ważne. Równie dobrze mógłby przestać istnieć.

Z jakiegoś niejasnego powodu zdawało się, że nie było żadnego ataku po... Po czym? Przypomniawszy sobie, że skontrował ostatnie posunięcie Sammaela czymś szczególnie paskudnym, ale nie umiał przywołać tego wspomnienia na powierzchnię. Nie ogniem stosu.

„Nie wolno mi używać ognia stosu. Zagrozi materii Wzoru. Nawet nie w obronie Ilyeny? Spaliłbym świat i użyłbym duszy jako podpałki, żeby tylko znowu usłyszeć jej śmiech”.

Znowu gdzieś się zabłąkał, z dala od tego; co ważne.

Słońce, nim zaszło, opadło na walczących, wydłużając cienie, które stopniowo pochłaniały złotoczerwone światło, ludzi, którzy zabijali i umierali. Wiatry, teraz już zabłąkane, nadal niosły dalekie jęki i dzikie wrzaski. Z winy Couladina, to prawda, ale tak w istocie, to przez niego.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć własnego imienia.

— Rand al'Thor — powiedział na głos i zadygotał, mima że kaftan miał wilgotny od potu. Przez chwilę to imię brzmiało dla niego obco. — Jestem Rand al'Thor i muszę... Muszę to zobaczyć.

Od rana nie miał nic w ustach, ale skaza *saidina* wygnała głód. Pustka drżała bezustannie, a on wczepił się w Prawdziwe Źródło paznokciami. Przypominało to jazdę na byku rozwścieczonym przez pijawkę albo pływanie nago w rzece ognia pieniącej się na poszarpanych głazach z lodu. A jednak nawet jeśli nie groziło mu, że zaraz się wykrwawi, że zostanie starty na miazgę albo że utonie, to i tak czuł, że *saidin* to jedyna siła, jaka w nim jeszcze została. *Saidin* tam był, wypełniał go po brzegi, próbował wytrawić, skorodować jego umysł, ale mimo tego w każdej chwili można zeń było skorzystać.

Gwałtownie skinąwszy głową, przeniósł i wysoko na niebie coś zapłonęło. Coś. Kula bulgoczącego, niebieskiego płomienia, której ostre światło rozproszyło cienie.

Wokół wypiętrzyły się wzgórza, drzewa szczeniały w nagiej iluminacji. Żadnego ruchu. Dobiegł go jakiś daleki dźwięk, a może jęk wiatru. Może wiwaty, może śpiew. Albo to sobie tylko wyobraził. Możliwe, dźwięk był tak nikły i zamarł wraz z wiatrem.

Nagle dotarło do niego, że otaczają go Panny, że są ich całe setki. Niektóre, w tym Sulin, wpatrywały się w niego, ale wiele z całej siły zaciskało powieki. Dopiero po chwili pojął, że one usiłują zachować wizję nocy. Zmrużył oczy, szukał. Nie było tam już Egwene i Aviendhy. Ułynęła jeszcze jedna, długa chwila, zanim przypomniał sobie, że powinien uwolnić długie pasmo przenoszenia i pozwolić, by czerń na nowo wypełniła noc. Dla jego oczu teraz głęboka czerń.

— Gdzie one są? — Poczł niejasno lekką irytację, kiedy musiał wytłumaczyć, kogo ma na myśli i równie mętnie, że nie ma ku temu powodu.

— O zmierzchu udały się do Moiraine Sedai i Mądrych, *Car'a'carnie* — odparła Sulin, podchodząc do Jeade'ena. Jej krótkie, siwe włosy lśniły w świetle księżyca. Nie, to ten bandaż okrywający głowę. Jak mógł zapomnieć? — Dobrze dwie godziny temu. One wiedzą, że ciało to nie kamień. Nawet najsilniejsze nogi nie mogłyby biec dalej.

Rand uniósł brew. Nogi? Przecież jechały na Mgle. Ta kobieta mówi od rzeczy.

— Trzeba ich poszukać.

— Są z Moiraine Sedai i Mądrymi, *Car'a'carnie* — powtórzyła wolno. Wydawało mu się, że ona również uniosła brwi, ale tak trudno to było sprawdzić.

— Nie ich — odburknął. — Muszę znaleźć moich ludzi. Oni ciągle gdzieś tam są, Sulin. — Dlaczego ten ogier nie rusza z miejsca? — Słyszysz ich? Gdzieś tam, w mroku. Jeszcze walczą. Muszę im pomóc. — No przecież; powinien wbić pięty w boki konia. Kiedy jednak to zrobił, Jeade'en tylko postąpił w bok, a Sulin trzymała go za uzdę. Nie pamiętał, że ona trzyma go za uzdę.

— Mądre muszą się teraz z tobą rozmówić, Randzie al'Thor.

Głos jej się zmienił, ale ze zmęczenia nie umiał określić, w jaki sposób.

— Czy to nie może poczekać? — Pewnie nie zauważył postąńca z wieściami. — Muszę ich znaleźć, Sulin.

Obok łba wierzchowca nagle wyskoczyła Enaila.

— Ja znalazłam twoich ludzi, Randzie al'Thor.

— Mądre czekają na ciebie — dodała Sulin. Razem z Enailą zawróciły Jeade'ena, nie czekając na jego zgodę. Kiedy ruszyli krętą drogą w dół zbocza, otoczył ich z jakiegoś powodu tłum Panien; ich twarze odbijały światło księżyca, kiedy patrzyły na niego z tak bliska, że ocierały się ramionami o boki konia.

— Nieważne czego chcą — warknął — ma się to odbyć szybko.

Nie musiały prowadzić jego konia, ale awantura z tego powodu kosztowałaby za dużo wysiłku. Obrócił się, by spojrzeć za siebie, posapując z powodu bólu w boku; szczyt wzgórza już ogarnęła noc.

— Mam jeszcze dużo do zrobienia. Muszę znaleźć... Couladina. Sammaela. Ludzi, którzy walczyli i umierali dla niego. — Muszę ich znaleźć.

Był taki zmęczony, ale jeszcze nie mógł iść spać.

Obozowisko Mądrych oświetlały lampy zawieszane na tykach oraz niewielkie ogniska, do których mężczyźni i kobiety w białych szatach przynosili kotły z wodą, a gdy zaczynało w nich wrzeć, zastępowali je nowymi. Wszędzie uwijały się *gai'shain*, a także Mądre; opatrywali rannych, od których cały obóz pękał w szwach. Moiraine chodziła wolno wśród długich szeregów tych, którzy nie mogli ustać, bardzo rzadko się zatrzymując, by ułożyć ręce na jakimś Aielu, który później rzucał się w szoku Uzdrawiania. Prostowała się, staniając, a Lan krążył przy niej, jakby chciał ją wziąć na ręce albo spodziewał się, że będzie musiał to zrobić. Sulin zamieniła kilka słów z Adelin i Enailą, zbyt cicho, by Rand mógł je zrozumieć, i młodsza kobieta pobiegła, by coś przekazać Aes Sedai.

Mimo sporej liczby rannych nie wszystkie Mądre były zajęte ich doglądaniem. Jakieś dwadzieścia z nich siedziało w kręgu, w płóciennym pawilonie ustawionym nieco z boku, słuchały jednej, która stała pośrodku. Kiedy ta usiadła, jej miejsce zajęła inna. Dookoła pawilonu siedzieli *gai'shain*, ale jakoś żadnej Mądrej nie interesowało ani wino, ani też cokolwiek innego prócz tego, czego słuchały. Randowi wydało się, że mówczynią jest Amys.

Ku jego zdziwieniu Asmodean również pomagał przy rannych, z każdego jego ramienia zwisał worek z wodą, co na tle ciemnego, aksamitnego kaftana i białej koronki przedstawiało zdecydowanie dziwny widok. Akurat podawał wodę jakiemś mężczyźnie, całkiem obnażonemu do pasa, gdyby nie bandaże; zauważył Randa i zawahał się.

Po chwili podał worki z wodą jednemu z *gai'shain* i przedarł się przez tłum Panien do Randa. Ignorowały go — wszystkie zdawały się albo bacznie obserwować Adelin i Enailę, zajęte rozmową z Moiraine, albo przyglądać się Randowi. Twarz mu stężała, zanim został zatrzymany przed litym kręgiem *Far Dareis Mai* otaczającym Jeade'ena. Ustępowały mu drogi powoli, dopuszczając tylko do strzemięcia Randa.

— Byłem pewien, że jesteś bezpieczny. Byłem pewien. — Z tonu jego głosu wynikało, że z nim wcale tak nie było. Kiedy Rand się nie odezwał, Asmodean niezręcznie wzruszył ramionami. — Moiraine uparła się, bym nosił wodę. Silna kobieta. skoro nie pozwoliła bardowi Lorda Smoka. by... — Zawiesiwszy głos, szybko oblizwał wargi. — Co się stało?

— Sammael — powiedział Rand, ale nie w odpowiedzi. Po prostu głośno wypowiadał myśli, które dryfowały po Pustce. — Pamiętam, kiedy nazwano go po raz pierwszy Zdrajcą Nadziei. Kiedy zdradził Bramy Hevanu i zaniósł Cię do Rorn M'doi i do serca Satele. Tamtego dnia nadzieja rzeczywiście jakby umarła. Culan Cuhan płakał. Coś nie tak?

Twarz Asmodeana stała się równie biała jak włosy Sulin; tylko potrzasał bezgłośnie głową. Rand zerknął w stronę pawilonu. Nie znał tej, która teraz przemawiała.

— To tam właśnie na mnie czekają? W takim razie powinienem się do nich przyłączyć.

— Jeszcze cię nie powitają — rzekł Lan, pojawiając się obok Asmodeana, który drgnął nerwowo — ani w ogóle żadnego mężczyzny. — Rand również nie usłyszał, że Strażnik się zbliża, ale tylko obrócił głowę. Nawet to zdawało się kosztować zbyt dużo wysiłku. Miał wrażenie, że to głowa kogoś obcego. — Spotkały się z Mądrymi z Miagoma, Codarra, Shiande i Daryne.

— Klany przechodzą na moją stronę — zauważył obojętnie Rand. A jednak zwlekały dostatecznie długo, by uczynić ten dzień bardziej krwawym. W opowieściach tak się nigdy nie działo.

— Na to wychodzi. Ale czterej wodzowie nie spotkają się z tobą, dopóki Mą-

dre nie poczynią odpowiednich przygotowań — dodał sucho Lan. — Chodź Moiraine wyjaśni ci to lepiej.

Rand potrząsnął głową.

— Trzeba najpierw skończyć to, co się zaczęło. Szczegóły poznam później. Jeśli Han już nie musi trzymać ich z dala od naszych pleców, to w takim razie ja go teraz potrzebuję. Sulin, pošlij posłańca. Han. . .

— Już po wszystkim — rzekł z naciskiem Strażnik. — Po wszystkim. Już tylko nieliczni Shaido pozostali na południu od miasta. Tysiące zostały wzięte do niewoli, większość niedobitków przeprowia się przez Gaelin. Już godzinę temu posłano by do ciebie wieści, gdyby ktokolwiek wiedział, gdzieś ty się podział. Stale się przenosiłeś z miejsca na miejsce. Chodź i pozwól, żeby Moiraine ci wszystko powiedziała.

— Po wszystkim? Zwyciężyliśmy?

— Ty zwyciężyłeś. Całkowicie.

Rand zerknął na bandażowanego, na kolejkę pacjentów oczekujących na bandaże i tych, którzy już z nimi odchodzili. Moiraine nadal kręciła się wśród nich, zatrzymując się wyraźnie zmęczona tu i tam, by Uzdrawiać. Oczywiście znajdowała się tutaj tylko część rannych. Ci, którzy będą mogli, będą jeszcze przybywali do końca dnia, a potem będą odchodzić, jeśli lub kiedy będą w stanie. Jeśli będą w stanie. Tu poległych nie będzie.

„Tylko przegrana bitwa jest jeszcze smutniejsza od wygranej”.

Zdawało mu się, że pamięta, jak już kiedyś to powiedział. Może to gdzieś wyczytał.

Nie. Ponościł odpowiedzialność za zbyt wielu żywych, by się przejmować poległymi.

„Ale ile jeszcze twarzy rozpoznam, tak jak twarz Jolien? Nigdy nie zapomnę Ilyeny, choćby cały świat miał spłonąć!”

Krzywiąc się, przyłożył dłoń do czoła. Myśli zdawały się nakładać jedna na drugą, napływać z różnych miejsc. Był tak zmęczony, że ledwie potrafił myśleć. A jednak ich potrzebował, potrzebował tych myśli, które prześlizgiwały się, niemalże poza jego zasięgiem. Uwolnił Źródło i Pustkę i targnęły nim konwulsje, gdy wycofujący się *saidin* omal go nie zmiążdżył. Ledwie zdążył uświadomić sobie błąd. Bez Mocy wyczerpanie i ból runęły nań wszystkimi siłami.

Widział twarze zwrócone ku niemu, kiedy spadał z siodła, widział poruszające się usta, dłonie wyciągające się, by go pochwycić, amortyzując upadek.

— Moiraine! — krzyknął Lan, głosem, który w uszach Randa zabrzmiał głucho. — On potwornie krwawi!

Sulin tuliła jego głowę w ramionach.

— Trzymaj się, Randzie al'Thor — błagała z przejęciem. — Trzymaj się.

Asmodean nic nie powiedział, ale jego twarz pobladła i Rand czuł strumień *saidina* wlewający się w niego. Zapadła ciemność.

PO BURZY

Mat, siedząc na niewielkim głazie wystającym z podnóży zbocza, skrzywił się i pociągnął w dół szerokie rondo kapelusza, by osłonić się przed słońcem późnego poranka. Częściowo po to, by ochronić oczy przed słońcem. Była jednak jeszcze jedna rzecz, na którą, nie chciał patrzeć, aczkolwiek przypominały mu o niej szramy i sińce, a zwłaszcza rana od strzały, która przecinała mu tę skroń, na którą naciągnął kapelusz. Maść z sakw Daerida zatamowała krwawienie, tu i ówdzie, ale wszystko ciągle jeszcze bolało, a większość na dodatek piekła. Miało być jeszcze gorzej. Upał zaczął się niedawno, ale pot już ściekał mu po twarzy paciorkami, przemoczył bieliznę i koszulę. Znowu zastanawiał się, czy do Cairhien kiedykolwiek zawita jesień. Przynajmniej dyskomfort pozwalał mu nie myśleć o zmęczeniu; mimo bezsennej nocy nie zasnąłby nawet na puchowym łożu, u już na pewno nie na kocach rozłożonych na ziemi. Co wcale nie znaczyło, że pragnął się znaleźć blisko swego namiotu.

„Nieźła afera, nie ma co. Omal nie zginąłem, pocę się jak świnia, nie umiem sobie znaleźć miejsca, gdzie mógłbym się wyciągnąć i jeszcze boję się upić. Krew i krwawe popioły!”

Przestał wodzić palcem po rozcięciu na przodzie kaftana — cal różnicy i tamta włócznia przeszłyby mu serce; Światłości, tamten to dopiero dobrze rzucił! — i wyparł ten epizod z pamięci. Co wcale nie było łatwe, zważywszy na to, co działo się wokół niego.

Przynajmniej raz Tairenianom i Cairhienianom jakoś nie przeszkadzało, że widzą wszędzie namioty Aielów. Aielowie gościli nawet w ich obozowisku i niemalże w równie cudowny sposób Tairenianie zmieszali się z Cairhienianami przy dymiących ogniskach. Nikt wprawdzie nie jadł; na ogniskach nikt nie postawił kociołków, czuł jednak woń piekącego się gdzieś mięsiwa. Większość natomiast była pijana, jakby potrafili się najeść winem, brandy albo *oosquai* Aielów, śmiali się i świętowali. Nieopodal miejsca, gdzie siedział, kilkunastu Obrońców Kamienia, rozebranych do przepoconej bielizny, tańczyło w takt melodii wyklaskiwanej przez dziesięciokroć tylu patrzących. Ustawieni w szereg, z dłońmi ułożonymi na ramionach sąsiadów, przebierali nogami tak szybko, że aż dziw brał, iż żaden się nie potknie albo nie kopnie tego, który znajdował się obok. W innym kręgu

gapiów, obok mierzącego dziesięć stóp pala wbitego w ziemię — Mat pospiesznie odwrócił wzrok — Aielowie, w podobnej liczbie, kopali się, albo coś w tym rodzaju. Mat zakładał, że to jest taniec; inni Aielowie przygrywali im na piszczałkach. Podskakiwali najwyżej jak potrafili, wyrzucając przy tym jedną z nóg w górę, po czym lądowali na tej samej nodze i natychmiast robili kolejny podskok, coraz to szybciej, niekiedy na samym szczycie podskoku, wirując niczym bąki, względnie fikali koziołki w przód albo w tył. Siedmiu, może ośmiu Tairenian i Cairhienian przysiadło obok i opatrywało kończyny połamane w wyniku prób ich naśladowania, cały czas wiwatując i śmiejąc się jak szaleńcy, podając sobie wykuty z kamienia, czymś wypełniony garniec. W innych miejscach tańczyli jeszcze inni, może również śpiewali. Trudno było orzec, bo taki panował harmider. Bez ruszania się z miejsca naliczył dziesięć fletów, nie wspominając nawet dwukrotnie większej liczby cienkich gwizdków, oraz chuderławego Cairhienina w podartym kaftanie, który dał w coś, co na poły przypominało flet, a na poły róg, z jakimiś dziwnymi dodatkowymi elementami. A poza tym niezliczone bębny, w większości zaimprovizowane z garnków, w które walono łyżkami.

Krótko mówiąc, obóz przemienił się w jeden wielki dom wariatów i równocześnie w salę balową. Rozpoznawał ten widok, głównie na podstawie tych wspomnień, które nadal umiał przypisać innym ludziom, jeśli się dostatecznie mocno skupił. Świątowali, że wciąż jeszcze żyją. Oto raz jeszcze przemaszerowali pod samym nosem Czarnego i przeżyli, dzięki czemu będą mogli o tym opowiadać. Raz jeszcze skończył się taniec na ostrzu brzytwy. Wczoraj bliscy śmierci, jutro może martwi, ale żywi, cudownie żywi, dzisiaj. On sam nie miał ochoty świętować. Co jest dobrego w byciu żywym, jeśli to oznacza życie w klatce?

Potrząsnął głową, kiedy Daerid, Estean i jakiś silnie zbudowany, rudowłosy Aiel, którego nie znał, przeszli chwiejnie obok, podtrzymując się wzajem. Ledwie słyszalni w tym zgiełku, Daerid i Estean próbowali nauczyć towarzyszącego im rosnącego mężczyznę słów *Tańca z Widmowym Jakiem*.

Noc prześpiewamy, dzień przepijemy,
dziewczętom hojnie grosza sypniemy,
a jak już go nie stanie, to odjedziemy,
żeby zatańczyć z Widmowym Jakiem.

Oczywiście jegomość o włosach barwy słońca wyraźnie nie miał chęci się uczyć — i nie będzie miał, dopóki go nie przekonają, że to odpowiedni hymn bitewny — ale słuchał i zresztą nie tylko on. Zanim tych trzech zniknęło z zasięgu wzroku w rojącym się tłumie, przykleił się do nich ogon złożony z dwudziestu innych, wymachujących pogiętymi, cynowymi pucharami i wytartymi, skórzanymi kubkami; wszyscy wyli piosenkę co sił w płucach.

Uciecha jest wielka w piwie i winie,
jest jej też siła w miłej dziewczynie,
a mnie co innego raduje, czyż nie?
Ja wolę zatańczyć z Widmowym Jakiem.

Mat pożałował, że ich nauczył tej piosenki. Nauczanie po prostu zajęło mu umysł, w trakcie gdy Daerid robił wszystko, by on nie wykrwawił się na śmierć; tamta maść piekła równie mocno jak same rany, a Daerid nigdy nie wywołałby zazdrości żadnej szwaczki delikatnym sposobem, w jaki posłużył się igłą i nitką. Tyle że piosenka rozeszła się od tamtych kilkunastu pierwszych niczym ogień po suchej trawie. Tairenianie i Cairhienianie, ci na koniach i ci pieszo, wszyscy jednakowo śpiewali ją, kiedy wrócili o świcie.

Wrócili. Z powrotem do tej samej doliny, z której wyruszyli, pod ruinę wieży z bali, nie dając mu szansy na ucieczkę. Zaproponował, by jechać dalej i między Talmanesem a Naleseanem omal nie doszło do wymiany ciosów, tak się spierali o to, kto go będzie eskortował. Nie wszyscy zmienili się w najlepszych przyjaciół. Teraz trzeba mu już tylko Moiraine, żeby przyszła wypytywać, gdzie był i po co, gderać na temat *ta'veren* oraz obowiązku, Wzoru i Tarmon Gai'don, aż mu się zacznie kręcić w głowie. Bez wątplenia teraz była z Randem, ale prędzej czy później, i tak go dopadnie.

Przeniósł wzrok na szczyt wzgórza i stertę roztrzaskanych bali wplątanych między połamane drzewa. Był tam ten Cairhienianin, który wykonał szkła powiększające dla Randa; razem ze swymi czeladnikami grzebał w tym śmietniku. Aielowie mieli pełno pomysłów odnośnie tego, co się tam stało. Stanowczo już dawno temu powinien stąd zniknąć. Medalion w kształcie lisiej głowy chronił go przed przenoszącymi kobietami, ale nasłuchiwał się dość od Randa, by wiedzieć, że mężczyźni przenoszą w inny sposób. Nie miał chęci sprawdzać, czy ten przedmiot osłoni go przed Sammaelem i jemu podobnymi.

Krzywiąc się pod wpływem ukłuc bólu, podźwignął się z miejsca, używając włóczni z czarnym ostrzem jako podpory. Dookoła niego wciąż trwało święto. Gdyby teraz przekradł się do palików, do których uwiązane są konie... Nie czekał z utęsknieniem na moment siodłania Oczka.

— Bohater nie powinien siedzieć bez napitku.

Zaskoczony obejrzał się nerwowo, boleśnie zasysając powietrze, gdy zapiekły go rany, i zobaczył Melindhre. W jednym ręku, zamiast włóczni, trzymała wielki, gliniany dzban, i nie miała zasłoniętej twarzy, ale jej oczy zdawały się brać z niego miarę.

— Posłuchaj tylko, Melindhra, ja ci wszystko wytłumaczę.

— Co tu tłumaczyć? — spytała, obejmując go wolnym ramieniem. Mimo nagłego wstrząsu, próbował się wyprostować; ciągle jeszcze nie mógł się przyzwyczaić, że musi zadzierać głowę, by patrzeć w twarz kobiety. — Wiedziałam, że

będziesz szukał własnego honoru. *Car'a'carn* rzuca wielki cień, ale żaden człowiek nie lubi wieść życia w cieniu.

Ochłonawszy z zaskoczenia, zdobył się na słabe:

— Oczywiście. — Jednak nie zamierzała go zabić. — Tak to dokładnie jest. — Z ulgą odebrał od niej dzban, ale przetykanie zamieniło się natychmiast w krztuszenie. Była to najmocniejsza, podwójnie destylowana brandy, jakiej kiedykolwiek próbował.

Przytrzymała dzban dostatecznie długo, by zdołał nabrać oddechu, po czym westchnęła z wdzięcznością i wepchnęła mu go z powrotem.

— Był człowiekiem wielkiego honoru, Macie Cauthon. Lepiej by się stało, gdybyś go pojmał, ale zyskałeś dużo ji przez to, żeś go zabił. Dobrze, żeś na niego zapolował.

Mat wbrew sobie spojrział na to, czego tak unikał, i zadygotał. Do szczytu dziesięciostopowego słupa, wokół którego tańczyli Aielowie, przywiązano rzemieniem płomiennorudą głowę Couladina. Zdawała się szczerzyć zęby w uśmiechu. Do niego.

Zapolował na niego? Robił, co mógł, żeby piki odgradziły go od Shaido. Ale tamta strzała otarła się o jego skroń i wtedy wylądował na ziemi, zanim się w ogóle zorientował, co się dzieje, a potem mozolnie usiłował się przedrzeć do swoich piechurów przez rozgorzały wokół niego zaciekły bój, wywijając we wszystkie strony włócznią ze znakiem kruka, starając się jakoś wrócić do Oczka. Couladin pojawił się w taki sposób, jakby wyskoczył z powietrza, z twarzą osłoniętą, by zabijać, ale przez te obnażone ramiona, oplecione połyskującymi złotem i czerwienią Smokami nie mogło być pomyłki. Kosił pikinierów swymi włóczniami, wykrzykując do Randa, żeby ten się pokazał, wykrzykując, że to on jest prawdziwym *Car'a'carnem*. Może wtedy naprawdę w to wierzył. Mat nadal nie wiedział, czy Couladin go rozpoznał, ale to niczego nie zmieniało, w każdym razie nie wtedy, gdy ten postanowił wyciąć w nim dziurę, żeby tylko odnaleźć Randa. Nie wiedział też, kto mu potem odrąbał głowę.

„Byłem zbyt zajęty ratowaniem życia. by patrzeć” — pomyślał kwaśno. I nadzieją, że nie wykrwawi się na śmierć. W Dwu Rzekach, tak jak każdy inny, znakomicie władał drągiem, a wszak drąg nie różnił się aż tak bardzo od włóczni, ale Couladin to chyba się urodził z nią w rękach. Oczywiście ta umiejętność nie przydała mu się aż tak bardzo na samym końcu. „Może jednak zostało mi jeszcze trochę szczęścia. Błagam, Światłości, niechże ono objawi się teraz!”

Zachodził właśnie w głowę, jak się pozbyć Melindhry, dzięki czemu mógłby osiodłać Oczko, kiedy pojawił się Talmanes, który wykonał formalny ukłon, zgodnie z cairhieniańskim obyczajem przykładając dłoń do serca.

— Oby łaska była ci przychylna, Mat.

— Także i tobie — odparł nieobecnie Mat. Ona nie odejdzie, jeśli on poprosi. Prośba w tym wypadku z pewnością równałaby się wpuszczeniu lisa do kurnika.

Może gdyby jej powiedział, że chce się udać na przejażdżkę... Powiadają, że Aielowie potrafią prześcignąć konia.

— Nocą zjawiła się delegacja z miasta. Odbędzie się triumfalna procesja do Lorda Smoka, z wyrazami wdzięczności od Cairhien.

— Czyżby? — Przecież ona musi mieć jakieś obowiązki. Panny zawsze gromadziły się wokół Randa; może z tego powodu zostanie odwołana. Kiedy jednak na nią zerknął, stwierdził, że lepiej na to nie liczyć. Jej szeroki uśmiech był... uśmiechem posiadacza.

— Delegację przysłał Wysoki Lord Meilan — rzekł Nalesean, przyłączając się do nich. Ukłonił się równie poprawnie, szeroko rozpościerając ręce, ale pośpiesznie. — To on ofiarowuje procesję dla Lorda Smoka.

— Między innymi do Lorda Smoka przybyli także lord Dobranie, lord Marin-gil oraz lady Colavaere.

Mat na moment wrócił do nich myślami. Każdy z nich próbował udawać, że ten drugi nie istnieje — obaj patrzeli prosto na niego, nawet nie uciekając wzrokiem — ale twarze podobnie jak głosy aż stężały im z wysiłku, dłonie zaciśnięte na rękojeściach mieczy zbieleły w stawach. Tylko jeszcze tego brakowało, żeby zaczęli się bić; któryś go zapewne strati, kiedy będzie się starał kuśtykać poza zasięg ich bójki.

— Czy to takie ważne, kto wysłał delegację, skoro Rand otrzyma swoją procesję?

— To ważne, hyś ty zwrócił się do niego o należne nam miejsce na jej czele — odparł szybko Talmanes. — To ty zabiłeś Couladina i dzięki tobie to miejsce nam się należy.

Nalesean zamknął usta i nachmurzył się; najwyraźniej zamierzał powiedzieć to samo.

— Sami go o to poproście — powiedział Wat. — To nie jest moja sprawa.

Melindhra zacisnęła dłoń, którą trzymała na jego karku, ale on nie dbał o to. Moiraine na pewno nie będzie daleko od Randa. Nie zamierzał wkładać szyi w kolejną pętlę, skoro wciąż jeszcze nie wiedział, jak się uwolnić z poprzedniej.

Talmanes i Nalesean gapili się na niego, jakby postradał zmysły.

— Dowodziłeś nami podczas bitwy — zaprotestował Nalesean. — Jesteś naszym generałem.

— Mój osobisty sługa wyczyści ci buty — wtrącił Talmanes z nikłym uśmiechem, którego z ostrożności nie zademonstrował obdarzonemu kanciąstą twarzą Tairenianinowi — a także oczyści i naprawi twoje odzienie. Tak więc wystąpisz w całej chwale.

Nalesean skubnął nerwowo swoją bródkę; jego oczy zdołały pokonać połowę drogi w stronę drugiego mężczyzny, nim zdążył je powstrzymać.

— Jeśli mi wolno, mam dobry kaftan, który, jak mniemam, będzie ci lepiej pasował. Ze złotej i purpurowej satyny.

Tym razem wypadła kolej na Cairhienianina, by się nachmurzyć.

— Generał! — wykrzyknął Mat, wspierając się na włóczni. — Nie jestem żadnym przeklętym...! Chciałem rzec, że nie uzurpuję sobie prawa do twojego miejsca. — Niech sobie sarni wykoncypują, którego z nich miał na myśli

— Oby mi szczyła dusza — odparł Nalesean — to dzięki twym umiejętnościom bitewnym wygraliśmy i uszliśmy z życiem. Nie wspominając już o twym szczęściu. Słyszałem, że zawsze wyciągasz dobrą kartę, ale to coś więcej. Poszedłbym za tobą, nawet gdybyś nigdy nie spotkał Lorda Smoka.

— Jesteś naszym przywódcą — rzekł jednocześnie z nim Talmanes, z nie mniejszą pewnością w nieco bardziej trzeźwym głosie. — Do wczoraj szedłem za ludźmi z innych ziem, bo musiałem. Za tobą pójdę, bo chcę. Może w Andorze nie jesteś lordem, ale tutaj, powiadam, że nim jesteś i składam ci ślubowanie. Odtąd jestem twoim człowiekiem.

Cairhienianin i Tairenianin zagapili się na siebie, jakby zaskoczeni, że wygłosili te same myśli, po czym powoli, z niechęcią, zamienili przelotne ukłony. Nawet jeśli nie przepadali za sobą — a tylko głupiec zakładałby, że jest inaczej — to w tej kwestii się zgadzali. Do pewnego stopnia.

— Przyślę stajennego, by przygotował twego konia do procesji — obiecał Talmanes i nieznacznie się tylko skrzywił, gdy Nalesean dodał:

— Mój może tamtemu pomóc. Twój wierzchowiec winien napawać nas dumą. I oby ma dusza szczyła, potrzebujemy sztandaru. Twojego sztandaru. — Przy tych słowach Cairhienianin z naciskiem skinął głową.

Mat nie był pewien, czy histerycznie się śmiać, czy raczej usiąść i zapłakać. Tamte przekłete wspomnienia. Gdyby nie one, pojechałby dalej. Gdyby nie Rand, to wszystko nie przydarzyłoby mu się. Umiał prześledzić kroki, które wiodły do kolejnych zdarzeń, każdy niezbędny, jak się w swoim czasie zdawało i zdający się być celem sam w sobie, a jednak każdy nieuchronnie wiodł do następnego. A na samym początku tego wszystkiego znajdował się Rand. I przekłeci *ta'veren*. Nie umiał pojąć, dlaczego robienie czegoś, co wydawało się absolutnie konieczne i możliwie jak najmniej szkodliwe, jakoś zawsze wciągało go w coraz głębsze bagno. Melindhra przestała ścisnąć, a zaczęła pieścić jego kark. Wystarczy teraz, że...

Powiódł wzrokiem w górę zbocza i zobaczył ją. Moiraine, na białej klaczy o lekkim chodzie, z górującym nad nią Lanem na czarnym wierzchowcu u jej boku. Strażnik nachylał się ku niej, jakby słuchał, i wyglądało to jak krótka kłótnia, gwałtowny protest z jego strony, ale po chwili Aes Sedai ściągnęła wodze Aldieb i zniknęła z zasięgu wzroku, kierując się ku przeciwległemu zboczowi. Lan pozostał tam, gdzie zatrzymał Mandarba, obserwował położony w dole obóz. Obserwował Mata.

Zadrzał. Głowa Couladina naprawdę zdawała się szczyżyć do niego w uśmiechu. Niemalże słyszał słowa tego człowieka.

„Może mnie zabięś, ale wdepnąłeś w pułapkę. Ja nie żyję, ale ty nigdy nie będziesz wolny”.

— Psiakrew, po prostu wspaniale — mruknął i upił długi, dławiący łyk ostrej brandy. Talmanes i Nalesean zdawali się uważać, że on powiedział to serio, a Melindhra zaśmiała się, że się z nimi zgadza.

Obok zebrało się około pięćdziesięciu Cairhienian i Tairenian, by przypatrywać się jego rozmowie z dwoma lordami i przyjęli jego picie za sygnał, by odśpiewać mu serenadę, rozpoczynając ją własną zwrotką.

Będziem kości uparcie rzucać do ranka białego,
Dziewczyny podszczypywać, drwiąc sobie z Czarnego,
A gdy Mat w drogę ruszy, weźmiem przykład z niego,
Żeby zatańczyć z Widmowym Jakiem.

Z chrapliwym śmiechem, którego nie umiał opanować, Mat usiadł z powrotem na kamieniu i zabrał się za opróżnianie dzbana. Musi być jakieś wyjście. Musi i już.

Oczy Randa otwierały się powoli, wpatrzone w dach namiotu. Leżał nago, nakryty pojedynczym kocem. Brak bólu wydawał się niemalże oszałamiać, a mimo to nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się równie słaby. I jednocześnie pamiętał. Mówił różne rzeczy, myślał o różnych rzeczach. . . Z zimna dostał gęsiej skórki.

„Nie mogę dopuścić, by przejął nade mną kontrolę. Jestem sobą! Sobą!”

Macając na ślepo pod kocem, znalazł gładką, okrągłą bliznę w boku, wrażliwą, ale zakłętą.

— Moiraine Sedai Uzdrawiła cię — powiedziała Aviendha, a on wzdrygnął się.

Nie zauważył jej wcześniej; siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kilku warstwach dywaników obok paleniska, popijając ze srebrnego kubka ozdobionego wytrawionymi lampartami. Na poduszkach z ozdobnymi chwastami spoczywał Asmodean, z podbródkiem wspartym na dłoniach. Żadne nie wyglądało na wyspane; pod oczyma mieli ciemne kręgi.

— Ale nie powinna być do tego zmuszana — ciągnęła Aviendha zimnym głosem. Zmęczona czy nie, każdy włos miała na swoim miejscu, a czyste ubranie kontrastowało ze zmiętymi, ciemnymi aksamitami Asmodeana. Co jakiś czas poprawiała bransoletę z kości słoniowej, z wyrzeźbionymi różami i cierniami, podarunek od niego, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Włożyła też naszyjnik ze srebrnych płatków śniegu. Do teraz nie powiedziała mu, kto jej go dał, aczkolwiek wyraźnie się ubawiła, kiedy pojęła, że on naprawdę chce to wiedzieć. Teraz z pewnością nie wyglądała na rozbawioną.

— Sama Moiraine Sedaiomal nie padła od Uzdrawiania tylu rannych. *Aan'allein* musiał ją zanieść do namiotu. Przez ciebie, Randzie al'Thor. Bo Uzdrawianie ciebie zabrało jej resztki sił.

— Aes Sedai jest już na nogach — wtrącił Asmodean, tłumiąc ziewnięcie. Zignorował znaczące spojrzenie Aviendhy. — Od wschodu słońca była tu już dwa razy, orzekła jednak, że wyzdrowiejesz. Myślę, że ubiegłej nocy nie była tego taka pewna. Ja też nie. — Postawił przed sobą swą połączoną harfę i udając, że jest nią mocno zajęty, przemawiał dalej zdawkowym tonem. — Ja, oczywiście, zrobiłem dla ciebie, co mogłem... moje życie i los są z tobą związane... ale moje talenty są związane z czym innym niżli Uzdrawianie, rozumiesz. — Zagrał kilka nut. by to zademonstrować. — Rozumiem, że mężczyzna może się zabić albo poskromić przy robieniu tego, co ty robiłeś. Siła zawarta w Mocy jest bezużyteczna, jeśli ciało mdłe. *Saidin* z łatwością może zabić, jeśli ciało ulegnie wyczerpaniu. Tak przynajmniej słyszałem.

— Czy skończyłeś już dzielić się swymi mądrościami, Jasinie Nataelu? — Aviendha mówiła jeszcze zimniejszym tonem i nie zaczęła na odpowiedź, tylko przeniosła swe spojrzenie niczym niebieskozielony lód na Randa. Jakby musiała przerwać z jego winy. — Człowiek może czasami zachowywać się jak głupiec, choć mało co jest od tego gorsze, ale wódz winien być czymś więcej niżli tylko człowiekiem, a wódz wodzów jeszcze bardziej. Nie miałeś prawa doprowadzać się do stanu bliskiego śmierci. Egwene i ja próbowaliśmy cię zmusić, byś poszedł z nami, kiedy zanadto się zmęczyłyśmy, by kontynuować, ale ty nie chciałeś słuchać. Może jesteś od nas silniejszy, jak twierdzi Egwene, ale nadal jesteś człowiekiem z krwi i kości. Jesteś *Car'a'carnem*, nie nowym *Seia Doon* poszukującym honoru. Masz *toh*, zobowiązanie, wobec Aielów, Randzie al'Thor i nie wypełnisz go, będąc martwym. Nie zrobisz wszystkiego sam.

Przez chwilę tylko się na nią gapił. Ledwie udało mu się dokonać czegośkolwiek, zmuszony wyższymi racjami do pozostawienia losów bitwy w rękach innych; błąkał się, starając się zrobić coś użytecznego. Sammael atakował tam, gdzie chciał i jak chciał, a on nie potrafił go powstrzymać. Tymczasem ona skarciła go, że zrobił za dużo.

— Będę się starał to zapamiętać — powiedział wreszcie. Mimo tego wyraźnie była gotowa ciągnąć ten wykład. — Jakie są wieści o Miagoma i pozostałych klanach? — zapytał, by nakierować ją na inny temat, a także dlatego, że chciał wiedzieć. Kobiety rzadko hamowały się z własnej woli, kiedy postanowiły wbić ci coś na zawsze do głowy, chyba że jakoś udało ci się odwrócić ich uwagę.

Poskutkowało. Oczywiście była dumna z tego, co wie, chętna zarówno grozić, jak i pouczać. Ciche brzdąkanie Asmodeana — przynajmniej raz coś miłego dla ucha, coś wręcz sielankowego — dostarczało osobliwego tła dla jej słów.

Miagoma, Shiande, Daryne i Codarra rozbili blisko siebie obozowiska. w odległości kilku mil na wschód. Między obozami, wliczając w to obóz Randa, prze-

pływał stały strumień mężczyzn i Panien, jednakże tylko w ramach społeczności, zaś Indirian i inni wodzowie nie dawali znaku życia. Nie było teraz wątpliwości, że ostatecznie przyjdą do Randa, ale nie wcześniej, dopóki Mądre nie zakończą swych rozmów.

— To one jeszcze rozmawiają? — spytał Rand. — O czymże, na Światłość, one dyskutują, że to trwa tak długo? Wodzowie pójdą za mną, nie za nimi.

Obdarzyła go spojrzeniem tak obojętnym, że przyniosłoby to zaszczyt Moiraine.

— Słowa Mądrych są przeznaczone dla Mądrych, Randzie al'Thor. — Zawałała się, po czym dodała, jakby czyniła wyjątek: — Egwene może ci coś na ten temat opowie. Jak już będzie po wszystkim. — Dawała swym tonem do zrozumienia, że Egwene być może wcale tego nie uczyni.

Opierała się jego próbom wywiedzenia się czegoś więcej, więc w końcu dał za wygraną. Może dowie się, zanim to go użądli, a może nie, ale tak czy inaczej, nie wydobędzie z niej jednego słowa, którego ona nie chciała wyjawić. Aes Sedai nie miała żadnego sposobu na Mądre, kiedy przychodziło do strzeżenia ich sekretów i otaczania się tajemnicą. Aviendha bardzo dobrze opanowała tę lekcję.

Obecność Egwene na zebraniu Mądrych stanowiła niespodziankę, a także nieobecność Moiraine — spodziewałby się, że ta znajdzie się w samym centrum spraw, pociągając za sznurki niezbędne do realizacji jej planów — ale okazało się, że jedno wynikało z drugiego. Nowo przybyłe Mądre chciały poznać jedną z Aes Sedai, które towarzyszyły *Car'a'carnowi* i Moiraine. Mimo iż odzyskała już siły utracone przy Uzdrawianiu go, oświadczyła, że nie ma na to czasu. Egwene została wyrwana spod kocy w zastępstwie.

Aviendha bardzo się z tego śmiała. Akurat była na zewnątrz, kiedy Sorilea i Bair praktycznie wywlekały Egwene z namiotu, starając się narzucić na nią odzienie i jednocześnie ją poganiając.

— Zawołałam do niej, że tym razem będzie musiała własnymi zębami ryc dziury w ziemi, skoro ją przyłapano na jakimś niecnym uczynku, a ona była tak zaspana, że mi uwierzyła. Zaczęła protestować, że nie będzie tego robiła, tak zapalczywie, że Sorilea zaczęła wypytywać, co ona takiego zrobiła, że jej zdaniem na to zasłużyła. Powinieneś widzieć twarz Egwene. — Tak się zaśmiewała, że omal się nie przewróciła.

Asmodean patrzył na nią z wyraźnym niezadowoleniem — ale dlaczego, zważywszy na to, czym i kim był, Rand nie pojmował — Rand natomiast czekał tylko cierpliwie, aż ona odzyska oddech. Był to dość łagodny przykład poczucia humoru Aielów. Czegoś takiego bardziej spodziewałby się ze strony Mata, a nie kobiety, ale i tak było to łagodne.

Kiedy się wyprostowała, wycierając oczy, zapytał:

— A w takim razie co z Shaido? Czy ich Mądre również uczestniczą w tym konklawe?

Odpowiedziała, nadal jeszcze chichocząc w puchar z winem trzymany w dłoniach; uważała Shaido za pokonanych, obecnie ledwie wartych wzmianki. Wzięto tysiące jeńców, i nadal jeszcze ich przyprawiano, walki zaś ustały, wyjąwszy jakieś drobne potyczki tu i ówdzie. Im więcej jednak z niej wyciągał, tym mniej uważał ich za pokonanych. Kiedy cztery klany dały Hanowi zajęcie, lwia część armii Couladina przekroczyła Gaelin we właściwym porządku, zdolawszy nawet uprowadzić większość Cairhienian, których wzięła do niewoli. Co gorsza, zniszczyli za sobą kamienne mosty.

Jej to nie interesowało, ale jego tak. Dziesiątki tysięcy Shaido na północ od rzeki, do których nie sposób dotrzeć, dopóki mosty nie zostaną odbudowane, a nawet budowa samych drewnianych przęseł musiała zająć czas. Czas, którym on nie dysponował.

Na samym końcu, kiedy zdawało się już, że Aviendha nie ma nic więcej do dodania na temat Shaido, powiedziała mu coś, przez co zapomniał o zamartwianiu się Shaido i kłopotami, jakich jeszcze mogą przysporzyć. Rzuciła to mimochodem, jakby zapomniała.

— Mat zabił Couladina? — spytał z niedowierzaniem, kiedy skończyła. — Mat?

— Czyż nie powiedziałam tego? — Słowa zabrzmiały ostro, ale niemal serdecznie. Przyglądając mu się ponad brzegiem pucharu z winem, zdawała się bardziej zainteresowana tym, jak on przyjął tę wiadomość niż tym, czy on wątpi w jej słowa.

Asmodean wybrzdąkał kilka akordów jakiegoś wojennego motywu; harfa zdawała się odtwarzać echo bębnow i trąb.

— Do pewnego stopnia ten młodzieniec zadziwia, podobnie zresztą jak ty. Doprawdy nie mogę się doczekać dnia, kiedy poznam trzeciego z was, Perrina.

Rand pokręcił głową. A zatem Matowi wcale nie udało się uciec, nadal przyciągał go drugi *ta'veren*. A może to Wzór go przytrzymał, a także fakt, że on sam był *ta'veren*. Tak czy siak, podejrzewał, że przyjaciel nie jest specjalnie szczęśliwy w danej chwili. Mat nie opanował udzielonej mu lekcji. Próbujesz uciekać, a Wzór i tak przywiedzie cię z powrotem, często brutalnie; biegniesz w kierunku, w którym tka cię Koło i czasami zyskujesz odrobinę kontroli nad własnym życiem. Czasami. Jak masz szczęście, to jest jej więcej niż byś się. spodziewał, przynajmniej na jakiś czas. Ale miał sprawy bardziej naglące niżli Mat albo Shaido, teraz, kiedy Couladin nie żył.

Rzut oka w stronę otworu wejścia powiedział mu, że słońce stoi już wysoko, ale poza tym zobaczył tylko dwie Panny, które przycupnęły na zewnątrz, z włóczniami ułożonymi na kolanach. Był nieprzytomny przez całą noc i większą część poranka, a Sammael albo nie próbował go odnaleźć, albo mu się to nie udało.

Pilnował, by nazywać go tym imieniem, nawet tylko dla własnego użytku, mimo że w zakamarku umysłu dryfowało teraz inne. Tel Janin Aellinsar. Żadna

historia nie zarejestrowała tego imienia, nie dałoby się go odnaleźć w żadnym zakamarku biblioteki Tar Valon; Moiraine powiedziała mu wszystko, co Aes Sedai wiedziały o Przeklętych i było to niewiele więcej ponad to, co przekazywano sobie w wioskowych opowieściach. Nawet Asmodean zawsze nazywał go Sammaelem, nieważne, że z innego powodu. Na długo przed końcem Wojny z Cieniem, Przekłęci przyjęli imiona nadane im przez ludzi, niczym symbole ponownych narodzin w Cieniu. Asmodean na brzmienie swego prawdziwego imienia — Joar Addam Nessosin — wzdrygał się i twierdził, że zapomniał imiona pozostałych podczas trzech tysięcy lat.

Być może nie istniał żaden realny powód, by ukrywać to; co się działo we wnętrzu jego głowy — może była to jedynie próba zaprzeczania przed samym sobą, jak jest naprawdę — ale miał pozostać Sammael-człowiek. I jako Sammael miał zapłacić odpowiednio za każdą Pannę, którą zabił. Za wszystkie Panny; którym Rand nie był w stanie zapewnić bezpieczeństwa.

Skrzywił się przy podejmowaniu tego postanowienia. Zrobił początek, odsyłając Weiramona z powrotem do Łzy — z wolą Światłości tylko on i Weiramon wiedzieli, ile się z tym wiązało — ale nie mógł puścić się w pościg za Sammaelem, niezależnie od tego, czego chciał albo co poprzysiągł. Jeszcze nie. Najpierw trzeba dopatrzeć różnych spraw tu, w Cairhien. Aviendha mogła uważać, że on nie rozumie *ji'e'toh* i być może rzeczywiście go nie rozumiał, ale wiedział, co to jest obowiązek, a obowiązek wiązał go z Cairhien. Poza tym zawsze istniały sposoby, by go połączyć ze sprawą Weiramona.

Usiadł i, starając się nie ujawniać, jaki to wysiłek, nakrył się najprzyzwoiciej jak mógł kocem, zastanawiając się jednocześnie, gdzie się podziało jego odzienie; nie widział nic prócz butów, które stały za Aviendhą. Ona pewnie wiedziała. Być może rozebrali go *gai'shain*, ale równie dobrze mogła to być ona.

— Muszę się udać do miasta. Natael, każ osiodłać i przyprowadzić Jeade'ena.

— Jutro, być może — oznajmiła stanowczo Aviendha, chwytając Asmodeana za rękaw, kiedy ten zaczął podnosić się z miejsca. — Moiraine Sedai powiedziała, że będziesz teraz musiał odpoczywać przez. . .

— Dzisiaj, Aviendha. I koniec. Nie rozumiem, dlaczego nie ma ta Meilana, o ile przeżył, ale zamierzam go odszukać. Natael, mój koń ?

Przybrała upartą minę, ale Asmodean wyrwał rękę, wygładził zmięty aksamit i powiedział:

— Meilan był tutaj, a także inni.

— Miał się o tym nie dowiedzieć. . . — zaczęła gniewnie Aviendha, po czym zacisnęła usta, zamiast dokończyć. — On musi odpocząć.

A więc Mądre uważały, że mogą ukrywać przed nim różne rzeczy. No cóż, nie jest taki słaby, jak im się zdaje. Próbował wstać, przyciskając koc do ciała i musiał udać, że tylko zmienia pozycję, kiedy nogi odmówiły posłuszeństwa. Może jednak mają rację, rzeczywiście jest słaby. Nie zamierzał jednak dopuścić,

by to go powstrzymało.

— W grobie odpoczne — rzucił i zaraz tego pożałował, gdy Aviendha wzdrygnęła się tak, jakby ją uderzył. Nie, ona nie wzdrygnęłaby się przed ciosem. To podtrzymanie go przy życiu było dla niej ważne ze względu na Aielów i tego typu pogróżka wyrządziła jej więcej krzywdy niż pięść. — Opowiedz mi o Milanie, Natael.

Aviendha boczyła się nadal w milczeniu, aczkolwiek gdyby spojrzenia miały z tym cokolwiek wspólnego, Asmodean zmieniłby się w słup, a i on sam pewnie też.

Nocą przybył jeździec przysłany przez Meilana, z kwiecistymi pochwałami i zapewnieniami o wiecznej lojalności. O świcie zaś pojawił się Meilan we własnej osobie, wraz z innymi sześcioma Wysokimi Lordami Łzy, którzy byli w mieście, a także niewielką grupą taireniańskich żołnierzy, którzy wodzili palcami po rękojeściach mieczy i ściskali lance, jakby bardziej niżli tylko na poły się spodziewali, że będą walczyć z tymi Aielami, którzy milcząco obserwowali ich przyjazd.

— O mały włos — powiedział Asmodean. — Ten Meilan, jak mi się zdaje, nie jest przyzwyczajony, by mu psuć szyki, pozostali chyba jeszcze mniej. Zwłaszcza ten z kluhowatą twarzą... Torean?... i Simaan. Ten to ma spojrzenie równie ostre jak nos. Wiesz, że nawykłem do niebezpiecznej kompanii, ale ci ludzie na swój sposób są równie groźni jak ci wszyscy, których dotąd poznałam.

Aviendha głośno pociągnęła nosem.

— Nieważne do czego są przyzwyczajeni. Nie mieli wyboru między Sorileą, Amys, Bair i Melaine z jednej strony, a Sulin z tysiącem *Far Dareis Mai* z drugiej. I było też kilku Kamiennych Psów — przyznała — oraz paru Poszukiwaczy Wody i Czerwonych Tarcz. Jeśli naprawdę służyysz *Car'a'carnowi*, tak jak twierdzisz, Jasinie Nataelu, to powinienesz strzec jego wypoczynku tak samo jak inni.

— Podążam za Smokiem Odrodzonym, młoda kobieto. *Car'a'carna* pozostawiam tobie.

— Mów dalej, Natael — rzekł niecierpliwie Rand, wystawiając się na jej niezadowolenie.

Miała rację odnośnie taireniańskich wyborów, aczkolwiek bodajże bardziej niż Mądrymi zdenerwowali się widokiem Panien i innych, zaciskających palce na zasłonach. W każdym razie nawet Aracome, siwiejący, szczupły mężczyzna, obdarzony powoli tłącym się temperamentem, mało co, a byłby buchnął ogniem, zanim ściągnęli wodze, by objechać tamtych, a Gueyam, łysy jak kolano i barczysty niczym kowal, aż zbiegał na twarzy ze wściekłości. Asmodean nie wiedział, czy przestali dobywać mieczy, bo upewnili się, że mają nad sobą znaczną przewagę, czy raczej dotarło do nich, że nawet jeśli jakimś sposobem wytną ścieżkę do Randa, to raczej nie powita ich życzliwie, gdy ich ostrza będą zbrukane krwią sojuszników.

— Meilanowi oczy omal nie wyszły z orbit — zakończył mężczyzna. — Ale

nim odjechał, wykrzykiwał o swym poddaniu i hołdzie dla ciebie. Być może myślał, że to usłyszysz. Inni szybko powtórzyli to za nim niczym echo, ale Meilan dodał coś takiego, że pozostali wytrzeszczyli oczy. „Składam Cairhien w darze Lordowi Smokowi”, oświadczył mianowicie. A potem obwieścił, że zgotuje ci triumfalne powitanie, kiedy będziesz gotów wkroczyć do miasta.

— W Dwu Rzekach jest takie powiedzenie — rzekł sucho Rand. — „Im głośniej ktoś mówi, że uczciwy, tym baczniej winienesz strzec swej sakiewki”. Inne zaś powiada: „Lis często obiecuje, że ofiaruje kaczcze swój staw”. Cairhien należało do niego bez podarunków ze strony Meilana.

Nie wątpił w lojalność tego człowieka. Potrwa dopóty, dopóki Meilan będzie przeświadczony, że zginie, jeśli go przyłapią na zdradzie Randa. O ile go przyłapią; w tym tkwił hak. Tych siedmiu Wysokich Lordów, którzy obecnie przebywali w Cairhien, w Łzie wykazali się wyjątkową wytrwałością w dążeniach do ujrzenia go martwym. Dlatego właśnie ich tu przysłał. Gdyby skazał na egzekucję każdego taireniańskiego arystokratę, który spiskował przeciwko niemu, to pewnie żaden by się nie ostał. Natomiast rozkaz, by zajęli się anarchią, głodem i wojną domową w odległości tysiąca mil od Łzy, wydawał się dobrym sposobem na przeszkodzenie im w knowaniach, zwłaszcza że jednocześnie wiązał się z uczynieniem czegoś dobrego tam, gdzie to było konieczne. Oczywiście wtedy nawet nie wiedział o istnieniu Couladina oraz że ten człowiek zawiedzie go do Cairhien.

„Byłoby łatwiej, gdyby to była tylko jakaś opowieść” — pomyślał. W opowieściach zdarzało się tylko mnóstwo niespodzianek, zanim bohater dowiedział się wszystkiego, co powinien; on sam jakoś nigdy nie wiedział nawet ćwierci czegośkolwiek.

Asmodean zawahał się — tamto stare porzekadło o ludziach zapewniających o swej uczciwości mogło się stosować także do niego, czego bez wątpienia był świadom — ale kiedy Rand nic już więcej nie powiedział, dodał:

— Moim zdaniem on chce zostać królem Cairhien. Podporządkowanym tobie, rzecz jasna.

— I zapewne pragnie żebym znalazł się gdzieś daleko. — Meilan prawdopodobnie spodziewał się, że Rand wróci do Łzy i do *Callandora*. Ten z pewnością nigdy by się nie bał zbyt wielkiej władzy.

— Oczywiście. — Głos Asmodeana brzmiał jeszcze bardziej sucho niżli głos Randa. — Oprócz tych dwóch wizyt, była w międzyczasie jeszcze jedna.

Kilkunastu cairhieniańskich lordów i lady, bez świty; przybyli w płaszczach i z twarzami osłoniętymi kapturami mimo upału. Najwyraźniej wiedzieli, że Aielowie gardzą Cairhienianami i w równie oczywisty sposób odwzajemniali to uczucie, wyraźnie jednak bali się nie tylko tego, że Aielowie mogliby postanowić ich zabić, lecz również tego, że Meilan się dowie o ich wizycie.

— Kiedy mnie zobaczyli — powiedział złośliwie Asmodean — połowa wyglądała na gotową mnie zabić ze strachu, że mogę być Tairenianinem. Powinienesz

podziękować *Far Dareis Mai*, że jeszcze masz barda.

Cairhienian, mimo iż przybyło ich niewielu, było jeszcze trudniej się pozbyć niż Meilana. Mimo że z każdą chwilą stawali się coraz bardziej spoceni i bledsi, uparcie żądali widzenia z Lordem Smokiem. Musieli być nad wyraz zdesperowani, bo kiedy żądania zawiodły, poniżyli się do jawnego błagania. Asmodean mógł uważać poczucie humoru Aielów za dziwaczne albo okrutne, ale sam zaśmiewał się z arystokratów w jedwabnych kaftanach i sukniach do konnej jazdy, którzy starali się udawać, że jego tam nie ma, kiedy klękali, by czepiać się wełnianych spódnic Mądrych.

— Sorilea zagroziła, że każe ich rozebrać do naga i przegnać batogami do miasta. — Zduszony śmiech przemienił się w niedowierzanie. — A oni z powagą omówili to między sobą. Jestem przekonany, że gdyby dzięki temu mogli do ciebie dotrzeć. to paru by na to przystało.

— Sorilea powinna to była uczynić — wtrąciła Aviendha, zaskakująco zgodna. — Ci, co łamią przysięgi, nie mają honoru. W końcu Melaine kazała Pannom powrzucać ich niczym tobołki na grzbiety koni. Potem przegnały zwierzęta z obozu, z tymi uwieszonymi do nich krzywoprzysięzcami.

Asmodean przytaknął.

— Ale przedtem dwoje z nich rozmawiało ze mną, kiedy już się upewnili. że ja nie jestem taireniańskim szpiegiem. Lord Dobraine i lady Colavaere. Ich mowa była przepełniona aluzjami i insynuacjami, i choć nie mogę być pewien, nie byłbym jednak zdziwiony, gdyby chcieli ci ofiarować Tron Słońca. Mogliby się licytować z... niektórymi moimi znajomymi.

Rand wybuchnął śmiechem.

— Może to zrobią. O ile postawią takie same warunki jak Meilan. — Nie potrzebował Moiraine, by mu powiedziała, że Cairhienianie uprawiają Grę Domów nawet przez sen, ani Asmodeana, by usłyszeć, że spróbują tego samego z Przekłętymi. Wysocy Lordowie z lewej i Cairhienianie z prawej. Ledwie skończyła się jedna bitwa, a już zaczynała się druga, innego rodzaju, ale wcale nie mniej groźna. — Ja w każdym razie zamierzam przekazać Tron Słońca komuś, kto ma do niego prawo.

Zignorował wyraz twarzy Asmodeana, świadczący, że ten wdał się natychmiast w jakieś spekulacje; być może ten człowiek rzeczywiście próbował mu pomóc poprzedniej nocy, a może nie, jednak nie ufał mu na tyle, by wyjawić choćby połowę swoich planów. O ile przyszłość Asmodeana mogła być związana z jego przyszłością — jego lojalność ze wszech miar byłaby wówczas niezbędna — to nadal był człowiekiem, który postanowił oddać swą duszę Cieniowi.

— A zatem Meilan chce mi zgotować wspaniałe przyjęcie, kiedy będę gotów? Tym lepiej więc jeśli sprawdzę, jak się sprawy mają, dopóki on jeszcze się mnie nie spodziewa. — Rozumiał teraz, dlaczego Aviendha stała się taka zgodna, wręcz pomocna w czasie rozmowy. Dopóki siedział tu i rozmawiał, robił dokładnie to,

czego chciała. — Sprowadzisz mojego konia, Natael, czy sam mam to zrobić?
Ukłon Asmodeana był głęboki, formalny i z pozoru przynajmniej szczerzy.
— Służę Lordowi Smokowi.

INNE BITWY, INNA BROŃ

Rand odprowadził Asmodeana spojrzeniem spod zmarszczonych brwi... i zaskoczony zwrócił wzrok na Aviendhę, która cisnęła kubek na ziemię, rozbryzgując wino na dywaniki. Aielowie nie marnowali niczego, co dawało się wypić, nie tylko wody.

Zapatrzona w moką plamę, wyglądała na równie zdziwioną, ale tylko przez chwilę. W następnej, nie ruszywszy się z miejsca, wsparła pięści na biodrach i spojrzała na niego groźnie.

— A zatem *Car'a'carn* wkroczy do miasta, mimo że ledwie jest w stanie usiąść. Powiedziałam, że *Car'a'carn* powinien być czymś więcej niż inni mężczyźni, ale nie wiedziałam, że on jest bardziej niż śmiertelny.

— Gdzie jest moje ubranie, Aviendha?

— Jesteś tylko z ciała i kości!

— Moje ubranie?

— Przypomnij sobie o swoim *toh*, Randzie al'Thor. Skoro ja potrafię pamiętać o *ji'e'toh*, to ty też możesz. — To zabrzmiało dziwnie; prędzej słońce by weszło o północy, niż ona zapomniałaby o najmniejszej części *ji'e'toh*.

— Gadaj tak dalej — powiedział z uśmiechem — a jeszcze pomyślę, że ci na mnie zależy.

Miał to być żart — istniały dwie metody postępowania z nią: albo żartować, albo traktować bez ogródek; kłótnie przynosiły fatalne skutki — i to łagodny, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że spędzili jedną noc w swoich ramionach, ale jej oczy rozszerzyły się z wściekłości i szarpnęła za bransoletkę z kości słoniowej, jakby chciała ją zerwać i cisnąć nią w niego.

— *Car'a'carn*. jest tak dalece ponad innymi ludźmi, że nie potrzebuje ubrania — wypluła. — Jeśli chce iść, to należy mu pozwolić, by szedł we własnej skórze! Czy mam sprowadzić Sorileę i Bair? A może Enailę, Somarę i Lamelle?

Zesztywniał. Z wszystkich Panien, które traktowały go jak dawno temu zaginionego, dziesięcioletniego syna, te trzy uważał za najgorsze. Lamelle przynosiła mu nawet zupę — ta kobieta ani trochę nie umiała gotować, a upierała się, że będzie przyrządzać mu zupę!

— Ty sobie sprowadzaj, kogo chcesz! — powiedział jej głosem ostrym i zim-

nym — ale to ja jestem *Car'a'carnem* i to ja wybieram się do miasta.

Jeśli będzie miał szczęście, to znajdzie ubranie, zanim ona powróci. Somara dorównywała mu niemal wzrostem i, w tej chwili, zapewne siłą. Jedyna Moc z pewnością mu się nie przyda; nawet gdyby stanął przed nim Sammael, nie dałby rady objąć *saidina*, a co dopiero go utrzymać.

Przez dłuższą chwilę wytrzymywała jego spojrzenie, po czym nagle podniosła kubek z lampartami i dołała do niego ze srebrnego dzbana.

— Jeśli uda ci się znaleźć ubranie i ubrać się, nie przewracając się przy tym — powiedziała spokojnie — to możesz jechać. Ale ja będę ci towarzyszyła, i jeśli uznasz, że jesteś zbyt słaby, by jechać dalej, wrócisz tutaj, choćby Somara miała cię przynieść na rękach.

Wytrzeszczył oczy, kiedy wsparła się na łokciu, z namaszczeniem ułożyła spódnice i zaczęła popijać wino. Gdyby znowu wspomniał o małżeństwie, bez wątpienia urwałaby mu głowę, ale pod niektórymi względami zachowywała się tak, jakby byli sobie poślubieni. Przynajmniej pod niektórymi najgorszymi względami. Tymi, które sprawiały, że nie zdawała się choćby trochę inna od Enaili albo Lamelle, jeśli spojrzeć na nie z ich najgorszej strony.

Mrucząc pod nosem, owinał się kocem, a potem poczłapał dookoła niej i paleńska po swoje buty. W środku znalazł schowane czyste, wełniane pończochy ale nic poza tym. Mógł wezwać *gai'shain*. I sprawić, by cała sprawa rozeszła się po obozowisku. Nie wspominając już o ewentualności, że do wszystkiego wtrąciłyby się Panny; wówczas pozostałaby kwestia, czy on jest *Car'a'carnem*, któremu należy okazywać posłuszeństwo, czy tylko Randem al'Thorem — w ich oczach tylko jeszcze jednym mężczyzną. Jego wzrok padł na zrolowany dywanik w tylnej części namiotu; dywaniki zawsze były rozłożone. W środku znalazł miecz, pas ze sprzączką Smoka był owinięty wokół pochwy.

Aviendha, nucąc cicho, przypatrywała się jego poszukiwaniom spod przymkniętych powiek, jakby na poły drzemała.

— Już nie potrzebujesz... tego. — Nikt by nie uwierzył, że to ona dała mu ten miecz, tyle w to słowo włożyła obrzydzenia.

— Co masz na myśli? — W namiocie znajdowało się tylko kilka małych skrzynek, inkrustowanych macicą perłową albo okutych mosiądzem, a w jednym przypadku, złotym liściem. Aielowie woleli składać rzeczy w tobołki. W żadnym nie znalazł swoich ubrań. Pokryta złotem szkatuła, ozdobiona wizerunkami nieznanym mu ptaków i zwierząt, zawierała ciasno powiązane skórzane saszetki i buchnęła wonią korzeni. kiedy uniósł wieko.

— Couladin nie żyje, Randzie al'Thor.

Zaskoczony zatrzymał się i zagapił na nią

— O czym ty mówisz? — Czyżby Lan jej powiedział? Poza nim nie wiedział o tym nikt. I o co jej chodzi?

— Nikt mi nie powiedział, jeśli to o tym teraz myślisz. Znam cię już, Randzie al'Thor. Z każdym dniem poznaję cię coraz lepiej.

— O niczym takim nie myślałem — warknął. — Nie ma nic takiego, o czym ktoś miałby ci mówić. — Zirytowany porwał schowany do pochwy miecz i wcisnął go niezdarnie pod pachę, nadal szukając. Aviendha wciąż popijała wino; wydawało mu się, że skrywa uśmiech.

Wspaniale. Wysocy lordowie Łzy pocili się, kiedy Rand al'Thor na nich spojrział, Cairhienianie być może ofiarują mu ich tron. Największa armia Aielów, jaką świat kiedykolwiek ujrział, przekroczyła Mur Smoka z rozkazu *Car'a'carna*, wodza wodzów. Całe narody drżały na wzmiankę o Smoku Odrodzonym. Narody! I jeśli nie znajdzie ubrania, to będzie tak siedział i czekał, aż grupa kobiet, które uważały, że znają się na wszystkim lepiej niż on, pozwoli mu wyjść z namiotu.

Znalazł je wreszcie, kiedy zauważył, że spod siedzenia Aviendhy wystaje haftowany złotem mankiet czerwonego kaftana. Cały czas na nim siedziała. Mruknięta niezadowolona, kiedy poprosił, żeby się przesunęła, ale zrobiła to. W końcu.

Jak zwykle przypatrywała się, jak on się ubiera i goli, bez komentarza przenosząc Moc, by podgrzać mu wodę — i nie proszona — kiedy po raz trzeci się zaciął i burknął coś na temat zimnej wody. Prawdę powiedziawszy, tym razem niepokoił się nie tylko tym, że ona zauważy, jaki jest osłabiony, lecz również z różnych innych przyczyn.

„Można się przyzwyczaić do wszystkiego, byleby to trwało dostatecznie długo” — pomyślał z goryczą.

Błędnie odczytała jego kręcenie głową.

— Elayne nie będzie miała nic przeciwko, że sobie popatrzę, Randzie al'Thor.

Zagapił się na nią, znieruchomiawszy w samym środku zawiązywania tasemek przy koszuli.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Oczywiście. Należysz do niej, ale ona nie może wejść w posiadanie twojego widoku.

Śmiejąc się cicho, z powrotem zabrał się za tasieki. Dobrze, że mu przypomniano, iż ta właśnie przed nią rozwikłana tajemnica maskuje, oprócz innych rzeczy, ignorancję. Nie mógł się powstrzymać od uśmiešku zadowolenia, kiedy skończył się ubierać, zapiął pas i ujął kikut seanchańskiej włóczni. Wtedy jego uśmiech przybladł nieznacznie. Miała mu przypominać, że Seanchanie są ciągle jeszcze na świecie, a tymczasem służyła do przypomnienia o tym wszystkim, czym musiał manipulować. Cairhienianie i Tairenianie, Sammael i inni Przekłęci, Shaido i te narody, które go jeszcze nie poznały, narody, które będą musiały go poznać jeszcze przed Tarmon Gai'don. Batalia z Aviendhą, jeśli ją do tego porównać, była czymś wybitnie mało skomplikowanym.

Panny poderwały się z miejsca, kiedy wyszedł z namiotu — bardzo szybko, by ukryć słabość w nogach. Nie bardzo wiedział, do jakiego stopnia mu się udało.

Aviendha trzymała się jego boku, jakby nie tylko zamierzała go złapać, gdyby się przewrócił, ale wręcz się tego spodziewała. Jego nastrój nie uległ zmianie, kiedy Sulin, w czepku z bandaży, spojrzała na nią pytająco — nie na niego; na nią! — i zaczęła, aż ta skinie głową, zanim wydała Pannom rozkaz przygotowania się do wymarszu.

Asmodean wjechał na szczyt wzgórza na swoim mule, prowadząc Jeade'ena. Znalazł jakoś czas, by przywdziać czyste ubranie, całe z ciemnozielonego jedwabiu. Z mnóstwem białej koronki, oczywiście. Na plecach miał przywieszoną pozłacaną harfę, ale zrezygnował z założenia płaszcza barda i nie trzymał już w ręku purpurowego sztandaru ze starożytnym symbolem Aes Sedai. Ten urząd przypadł w udziale cairhieniariskiemu uchodźcy ci imieniu Pevin, pozbawionemu wyrazu jegomościowi w połatanym farmerskim kaftanie z prząsnej ciemnoszarej wełny. Pevin jechał na brązowym mule, który już kilka lat temu powinien był zostać odesłany na pastwisko. Jego wąska twarz, od szczęki po rzednące włosy, przecinała długa, jeszcze przekrwiona blizna.

Pevin utracił żonę i siostrę podczas klęski głodu, a brata i syna podczas wojny domowej. Nie miał pojęcia, do jakiego Domu należeli ludzie, którzy ich zabili ani jakiego kandydata do Tronu Słońca wspierali. Ucieczka do Andoru kosztowała go drugiego syna, który zginął z rąk andorańskich żołnierzy, drugiego brata zabili bandyci, powrót zaś ostatniego syna, którego zabiła włócznia Shaido oraz córkę, która została uprowadzona, podczas gdy samego Pevina pozostawiono jako poległego. Człowiek ten rzadko się odzywał, ale na ile Rand potrafił się zorientować, jego przekonania zredukowały się do prostych trzech tez. Smok się Odrodził. Zbliża się Ostatnia Bitwa. I jeśli będzie się trzymał blisko Randa al'Thora, to jego rodzina zostanie pomszczona, nim świat ulegnie zagładzie. Koniec świata nastąpi, to pewne, ale nie to się liczyło, nic się nie liczyło, dopóki nie zrealizuje swej zemsty. Ukłonił się milcząco Randowi ze swego siodła, kiedy klacz dotarła na szczyt.

Wspiąwszy się na grzbiet Jeade'ena, Rand wciągnął na siodło za sobą Aviendhę, nie pozwalając jej skorzystać ze strzemienia, po to tylko, by jej pokazać, że stać go na to, i zanim się usadowiła, kopniakiem wprawił jabłkowitego wierzchowca w ruch. Zrobiła gwałtowny wymach rękoma, żeby go objąć pasie, coś tylko mrużąc niesłyszalnie; pochwycił kilka strzępków jej aktualnej opinii o Randa al'Thora, a także *Car'a'carna*. Nic jednak nie zrobiła, żeby go puścić, za co był jej wdzięczny. Nie tylko przyjemnie było czuć jej przytulone do pleców ciało, ale i przydała się jako podparcie. Jednak kiedy znajdowała się w połowie drogi do siodła, nagle stracił pewność, czy ona wsiądzie, czy też on zsiądzie. Liczył, że tego nie zauważyła. Liczył, że to nie z tego powodu obejmowała go teraz tak mocno.

Purpurowy sztandar z wielkim czarno-białym dyskiem łopotał za plecami Pevina, kiedy posuwali się zygzakami w dół wzgórza i dalej przez płytkie doliny.

Aielowie jak zwykle nie zwracali większej uwagi na mijającą ich grupkę, mimo iż sztandar akcentował jego obecność równie wyraźnie, jak eskorta złożona z kilkuset *Far Dareis Mai*, z łatwością dotrzymujących kroku Jeade'enowi i mułom. Krzątali się wokół swych spraw wśród namiotów rozstawionych na zboczach, co najwyżej podnosząc wzrok, gdy docierał do nich odgłos kopyt.

Zaskakująca była już sama wieść, że wzięto do niewoli blisko dwadzieścia tysięcy stronników Couladina — od wyjazdu z Dwóch Rzek nigdy by nie uwierzył, że aż tylu ludzi może się zgromadzić w jednym miejscu — a ich widok wywołał podwójny szok. W czterdziesto- albo pięćdziesięcioosobowych grupkach nakrapiali zbocza niczym kapusta, mnężczyźni i kobiety jednako siedzący nago na słońcu, a każdej takiej grupy strzegł jeden tylko *gai'shain*, o ile w ogóle. Z pewnością nikt poza tym na nich specjalnie nie zważał, aczkolwiek co jakiś czas odziana w *cadin'sor* postać podchodziła do jednej z tych grup i posyłała jakiegoś mężczyznę albo kobietę z poleceniem. Wezwany oddalał się biegiem, przez nikogo nie pilnowany, i Rand zauważył kilku powracających, jak wślizgiwali się z powrotem na swoje miejsca. Przez resztę czasu siedzieli spokojnie, z niemalże znudzonymi minami, jakby nie mieli ani powodu, ani chęci znajdować się gdzie indziej.

Być może wdzięją białe szaty równie spokojnie. A mimo to jakoś nie umiał zapomnieć łatwości, z jaką ci sami ludzie pogwałcili już raz swoje prawa i obyczaje. Niby to Couladin dał temu początek, czy też wydał taki rozkaz, ale oni z własnej woli poszli za nim i usłuchali go.

Z marsem na czole przypatrywał się jeńcom — dwadzieścia tysięcy, a miało ich jeszcze przybyć; on sam z pewnością nigdy by nie zaufał żadnemu do tego stopnia, by ich powierzać *gai'shain* — i po jakimś czasie zauważył pewne osobliwe zjawisko wśród Aielów. Panny i Aielowie, którzy nosili włócznie, nigdy nie wkładali na głowy niczego prócz *shouf*, i żadnych barw, które nie stopiłyby się ze skałami i cieniami, a teraz dostrzegł ludzi, których czoła obejmowała wąska, szkarłatna przepaska. Jeden na czterech albo pięciu miał skronie obwiązane paskiem tkaniny, z wyhaftowanym albo namalowanym nad brwiami dyskiem: dwie łączone łązy, czarna i biała. A co najbardziej chyba dziwiło, nosili je też *gai'shain*; większość wprawdzie miała kaptury na głowach, ale ci z obnażonymi głowami, wszyscy co do jednego, nosili przepaski. I *algai'd'siswai* w ich *cadin'sor* — ci w opaskach i ci bez nich — widzieli to i nic nie robili. *Gai'shain* zawsze obowiązywał zakaz wkładania czegokolwiek, co wkładali ci, którym wolno było dotykać broni. Zawsze.

— Nie wiem — powiedziała szorstko Aviendha do jego pleców, kiedy spytał, co to oznacza. Usiłował siedzieć wyprostowany; naprawdę zdawała się obejmować go mocniej, niż to było konieczne. Po jakiejś chwili zaczęła mówić dalej, tak cicho, że musiał wyteżać słuch, żeby coś w ogóle usłyszeć. — Bair zagroziła, że mnie oćwiczysz, jeśli jeszcze raz o tym wspomnę, a Sorilea zdzieliła mnie kijem w plecy, ale sądzę, że to są ci, którzy twierdzą, że jesteśmy *siswai'aman*.

Rand otworzył usta, by spytać, co to znaczy — znał tylko kilka słów w Dawnej Mowie, nie więcej — ale w tym samym momencie ich znaczenie wybiło się na powierzchnię umysłu. *Siswai'aman*. Dosłownie — włócznia Smoka.

— Czasami — zachichotał Asmodean — człowiekowi trudno dostrzec różnicę między nim samym a jego wrogami. Oni chcą osiąść świat, ale ty, jak się zdaje, już posiadasz naród.

Rand odwrócił się i twardo weń wpatrywał dopóty, dopóki rozbawienie tamtego nie przygasło; Asmodean, z zażenowaniem wruszając ramionami, pozwolił, by jego muł pozostał w tyle, równając się z Pevinem i sztandarem. Kłopot polegał na tym, że to miano istotnie implikowało — więcej niż tylko implikowało — posiadanie; to także pochodziło ze wspomnień Lewsa Therina. Posiadanie ludzi nie wydawało się możliwe, ale nawet jeśli istotnie było możliwe, to on tego wcale nie chciał.

„Ja ich chcę tylko wykorzystać” — pomyślał z niezadowoleniem.

— Widzę, że w to nie wierzysz — rzucił przez ramię. Żadna z Panien nie wdziała niczego takiego.

Aviendha zawahała się, zanim odparła:

— Nie wiem, w co wierzyć. — Mówiła równie cicho jak przedtem, ale słychać było, że jest zła i niepewna. — Ludzie wierzą w różne rzeczy, a Mądre często milczą, jakby nie wiedziały, co jest prawdą. Niektórzy powiadają, że podążając za tobą, pokutujemy za grzechy naszych przodków, którzy... zawiedli Aes Sedai.

To nagle zająknięcie zaskoczyło go; nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że ona mogłaby się przejąć, tak samo jak każdy Aiel, tym, co on ujawnił odnośnie ich przeszłości. „Zawstydzić” być może było lepszym słowem niż „przejąć”; wstyd stanowił ważny element *ji'e'toh*. Wstydzili się tego, czym kiedyś byli — wyznawcami Drogi Liścia — i jednocześnie tego, że wyparli się swych zobowiązań wobec niej.

— Do zbyt wielu uszu dotarła już do tej pory jakaś wersja cząstki Proroctwa Rhuidean — mówiła dalej bardziej opanowanym tonem, zupełnie jakby sama poznała bodaj słowo z tego proroctwa przed rozpoczęciem szkolenia, po którym miała zostać Mądrą — ale te wersje to wypaczenia. Oni wiedzą, że ty nas zniszczysz... — jej opanowanie załamało się na czas jednego oddechu — ...wielu jednak wierzy, że zabijesz nas w nie kończącym się tańcu włóczni, dzięki czemu odpokutujemy za grzech. Inni wierzą, że to apatia jest sprawdzianem, że zaniknie przed Ostatnią Bitwą, odsłaniając najtwardszy rdzeń. Słyszałam nawet, jak niektórzy powiadali, że Aielowie są teraz twoim snem i że kiedy się przebudzisz z tego żywota, to my przestaniemy istnieć.

Ponury to zbiór wierzeń. Niedobrze, że ujawnił przeszłość, którą oni uważali za wstydliwą. Dziw brał, że oni wszyscy go nie zostawili. Albo że nie popadli w obłąd.

— A w co wierzą Mądre? — spytał, równie cicho jak ona.

— Będzie, co ma być. Uratujemy, co da się uratować, Randzie al'Thor. Nie mamy nadziei na więcej.

My. Zaliczyła siebie do Mądrych, tak samo jak Egwene i Elayne zaliczały siebie do Aes Sedai.

— No cóż — odparł beztróskim tonem — spodziewam się, że przynajmniej Sorilea uważa, iż powinno się mnie wytargać za uszy. Bair pewnie również. I z pewnością Melaine.

— Między innymi — mruknęła. Ku jego rozczarowaniu, odepchnęła go od siebie, aczkolwiek nie puściła kaftana. — Wierzą w wiele rzeczy; ja jednak mogłabym sobie życzyć, by one w nie nie wierzyły.

Mimo woli uśmiechnął się szeroko. A więc ona nie uważała, że powinno się go wytargać za uszy. Przyjemna odmiana względem wszystkiego co nastąpiło od chwili przebudzenia.

Wozy Hadnana Kadere stały w odległości jakiejś mili od jego namiotu, zagnane do rozległej niecki między dwoma wzgórzami, na których straż trzymały Kamienne Psy. Sprzymierzeniec Ciemności z haczykowanym nosem, w kaftanie kremowej barwy opiętym na cielsku, podniósł wzrok i wytarł twarz dużą chustką, kiedy mijał go Rand na koniu i jego rozpędzona eskorta. Była tam także Moiraine, badała wóz, za kozłem którego przymocowano nakryty płótnem *ter'angreal*. Nawet się nie obejrzała, dopóki Kadere czegoś do niej nie powiedział. Sądząc z jego gestów, sugerował, że może zechciałaby towarzyszyć Randowi. W rzeczy samej wyglądał na spragnionego jej odejścia i nic dziwnego. Musiał zapewne gratulować sobie, że tak długo ukrywał się jako Sprzymierzeniec Ciemności, ale im częściej przebywał w towarzystwie Aes Sedai, tym bardziej mu groziło zdemaskowanie.

Rand zaiste dziwił się, że ten człowiek jeszcze tu jest. Co najmniej połowa woźniców, którzy razem z nim wjechali do Pustkowie, uciekła ukradkiem po tym, jak przekroczyli Mur Smoka; zastąpili ich cairhieniańscy uchodźcy, których Rand wybrał osobiście, chcąc upewnić się, że nie będą to ludzie pokroju Kadere. Każdego ranka spodziewał się stwierdzić, że ten jegomość zniknął, zwłaszcza po ucieczce Isendre. Panny omal nie rozdarły wozów na strzępy, kiedy szukały tej kobiety, w trakcie czego Kadere zapocił trzy chustki. Nie czułby żalu, gdyby Kadere udało się którejś nocy wymknąć. Strażnicy Aielów otrzymali pozwolenie, by go przepuścić, pod warunkiem, że nie będzie próbował zabrać bezcennych wozów Moiraine. Z każdym dniem stawało się coraz bardziej oczywiste, jakim skarbem jest dla niej ich ładunek i Rand wolałby nie widzieć, co robi, jak go straci.

Obejrzał się przez ramię, ale Asmodean patrzył prosto przed siebie, całkowicie ignorując wozy. Twierdził, że od czasu, kiedy Rand go pojmał, nie miał kontaktu z Kadere i Rand uważał, że być może nawet mówi prawdę. Kupiec z pewnością ani razu nie oddalił się od wozów i nigdy nie zniknął z zasięgu wzroku Aielowych straży, chyba że we wnętrzu swojego wozu.

Bezwiednie ściągnął wodze, kiedy zrównał się z wozami. Moiraine bez wąt-

pienia zechce mu towarzyszyć w wyprawie do Cairhien; niby zawracała mu głowę wszystkim, co popadło. ale zawsze jakoś wychodziło na to, że znalazł się jeszcze kolejny element, który chciała do tego wszystkiego dopasować; tym razem szczególnie przydałaby mu się jej obecność i rada. Ale ona tylko patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym odwróciła się z powrotem w stronę wozu.

Pognał piętami wierzchowca, marszcząc czoło. Lepiej pamiętać, że ona ma więcej owiec do strzyżenia, niż mu wiadomo. Stał się zanadto ufny. Lepiej wystrzegać się jej tak samo jak Asmodeana.

„Nie ufaj nikomu” — pomyślał ponuro. Przez chwilę sarn nie wiedział, czy to jego myśl czy, Lewsa Therina, ale ostatecznie stwierdził, że to nie jest ważne. Każdy ma własne cele, własne pragnienia. Znacznie lepiej nie ufać nikomu całkowicie z wyjątkiem siebie samego. Zastanawiał się jednak, jak dalece może ufać samemu sobie, skoro przecież ten drugi człowiek wciskał mu się do zakamarków umysłu.

Niebo nad Cairhien wypełniły sępy w spiralnych warstwach czarnych skrzydeł. Ciężko biły skrzydłami, chodząc po ziemi wśród rojów brzęczących much, skrzecząc ochryple na lśniące kruki, które próbowały uzurpować sobie prawo do trupów. Na bezleśnych wzgórzach, które przemierzali Aielowie zbierający ciała swych poległych, ptaki wielkimi stadami ulatywały ociążale w górę, protestując wrzaskliwie, po czym natychmiast opadały z powrotem na ziemię, ledwie ludzie oddalili się od danego miejsca na kilka kroków. Sępy, kruki i muchy pospołu nie mogły tak naprawdę przyćmić słońca, a jednak zdawało się, że to właśnie się dzieje.

Rand starał się na to nie patrzeć, a mimo to czuł jak skręca mu się żołądek; przymuszał Jeadena do coraz szybszego galopu, dopóki Aviendha znowu nie przywarła do jego pleców, a Panny nie zaczęły biec. Nikt nie zaprotestował, ale nie sądził, że jedynym powodem był fakt, iż Aielowie potrafią utrzymywać takie tempo przez wiele godzin. Nawet Asmodean pobladł. Twarz Pevina na moment nie uległa zmianie, ale jaskrawy sztandar łopoczący nad jego głową zakrawał w tym miejscu na urągowisko.

Dalej wyglądało nieco lepiej. Foregate zapisała się w pamięci Randa jako ul tętniący ochrypłymi wrzaskami, splątany labirynt hałaśliwych i barwnych ulic. Teraz panował tam bezruch, gruby wał popiołów otaczał przysadziste szare mury Cairhien z trzech stron. Na kamiennych fundamentach leżały porzrzucone według jakiegoś wariackiego planu zwęglone belki, tu i tam stał jeszcze jakiś okopcony komin, niekiedy niedorzecznie przekrzywiony. Cudem nietknięte krzesło walające się na samym środku ulicy, tobołek porzucony w pośpiechu przez jakiegoś uciekiniera, szmaciana lalka dodatkowo podkreślały wszechobecne spustoszenia.

Niektóre ze sztandarów zatkniętych na wieżach i murach miasta łopotały na wietrze; w jednym miejscu Smok wyróżniał się czerwienią i złotem na białym tle,

Księżycy Łzy biłą na czerwonym i złotym tle w innym. Środkowa część Bramy Jangai stała rozwartą, trzech wysokich łuków wykutych w szarym kamieniu strzegli taireniańscy żołnierze w hełmach z szerokim okapem. Niektórzy dosiadali koni, ale większość była pieszo, paski rozmaitych barw na ich szerokich rękawach wyróżniały ich jako członków świt rozmaitych lordów.

Mimo iż w mieście wiedzieli o wygranej bitwie i o Aielach-sojuszniakach, którzy przyszedli z odsieczą, to jednak widok pół tysiąca *Far Dareis Mai* wywołał niejakie zamieszanie. Dłonie wędrowały niepewnie do rękojeści mieczy, do włóczni i podłużnych tarcz, a także do lanc. Niektórzy żołnierze wykonywali takie ruchy, jakby zamierzali zamknąć bramy, jednocześnie popatrując na oficera z trzema białymi piórami na hełmie, który zawahał się, stając w strzemionach i oceniając oczy przed słońcem, by przyjrzeć się purpurowemu sztandarowi. A przede wszystkim Randowi.

Oficer nagle opadł na siodło i powiedział coś takiego, co kazało dwóm Tairenianom na koniach pogalopować do miasta przez bramy. I zaraz potem zaczął machać do ludzi stojących z boku, krzycząc:

— Przejdźcie dla Lorda Smoka, Randa al'Thora! Oby Światłość opromieniła Lorda Smoka! Wszelka chwała Smokowi Odrodzonemu!

Żołnierze nadal wydawali się zaniepokojeni obecnością Panien, ale uformowali się w szeregi po obu stronach bram, kłaniając się głęboko, kiedy przejeżdżał przez nie Rand. Aviendha głośno pociągnęła nosem za jego plecami i potem raz jeszcze, kiedy się roześmiała. Nie rozumiała, a on nie zamierzał wyjaśniać. Bawiło go, że jakby mocno Tairenianie, Cairhienianie albo jeszcze jacyś inni nie starali się, by mu chwała uderzyła do głowy, to mógł polegać na niej albo na Pannach, że postarają się, by natychmiast wyparowała bez ślady. A także Egwene. I Moiraine. I Elayne i Nynaeve, skoro już o tym mowa, o ile jeszcze je kiedykolwiek zobaczy. Jak się nad tym zastanowił, to one wszystkie bodajże uczyniły z tego część dzieła swego życia.

Widok miasta za bramami odebrał mu chęć do śmiechu.

Tutaj ulice były brukowane, niektóre dostatecznie szerokie, by pomieścić tużin albo i więcej dużych wozów obok siebie, wszystkie proste jak nożem uciął i przecinające się wzajem pod kątem prostym. Wzgórza, których zbocza wylewały się za mury, były tutaj przykrojone i pocięte tarasami, oblicowane kamieniem; wyglądały, jakby stworzyli je ludzie, tak samo jak stworzyli te kamienne budowle z ich surowymi, prostymi liniami i ostrymi kątami, albo te wielkie wieże, z nie ukończonymi wierzchołkami, otoczone rusztowaniami. Ludzie tłoczyli się na ulicach i w alejkach, z tępym wzrokiem i zapadłymi policzkami, kuląc się pod prowizorycznymi budami i podartymi kocami rozpiętymi niczym namioty, albo zwyczajnie zbijali się w gromady na otwartych przestrzeniach, w ciemnych ubraniach — ulubionych przez mieszkańców miasta Cairhien, w jaskrawych barwach mieszkańców Foregate albo w prząsnym przyodziewku farmerów i wieśni-

ków. Nawet rusztowania były wypełnione. na każdym poziomie aż po same dachy; na tych wysokościach ludzie maleli do mikroskopijnych figurek. Tylko na środku ulic robiło się pusto, kiedy Rand i Panny tamtędy zdążali i to tylko na tak długo, ile potrzebowali ludzie, by przed nimi pierzchnąć.

To właśnie widok tych ludzi rozproszył jego wesoły nastrój. Wyniszczeni i obdarci, stłoczeni niczym owce w zbyt małej owczarni, a wiwatowali. Nie miał pojęcia, skąd wiedzieli, kim on jest, chyba że usłyszeli okrzyki oficera przy bramie, w każdym razie wybuch wrzawy wyprzedzał go, kiedy krążył po ulicach drogą, która przez ciżbę torowały dla niego Panny. Głuchy pomruk tej wrzawy zlewał słowa, wyjąwszy sporadyczne „Lord Smok”, kiedy dostateczna liczba wykrzyknęła to pospołu, ale ich znaczenie było oczywiste, widoczne w postawach tych mężczyzn i kobiet, unoszących do góry dzieci, by zobaczyły, jak on przejeżdża, w szarfach i skrawkach odzieży, którymi wymachiwali z każdego okna, w ludziach, którzy próbowali przepchać się z wyciągniętymi dłońmi przez kordon Pannien.

Z pewnością nie wyglądali na wystraszonych widokiem Aielów, nie teraz, kiedy zyskali szansę dotknięcia palcem Randowego buta; ich rzesze były tak liczne, nacisk setek popychających się wzajem do przodu tak ogromny, że niektórym istotnie udawało się dopchać. W rzeczy samej niejeden dotykał Asmodeana — z pewnością, cały ociekając koronką, mógł uchodzić za lorda, a poza tym być może uważali, że Lord Smok winien być starszym mężczyzną a nie młodzieńcem w czerwonym kaftanie — ale to niczego nie zmieniało. Ci, którym udało się dotknąć buta albo strzemienia, nawet strzemienia Pevina, promienieli z radości i z patosem, mimo ogólnej wrzawy, wykrzykiwali „Lord Smok”, nie bacząc na odpierające ich tarczami Panny.

Za sprawą zgietku, wiwatów i jeźdźców odesłanych przez oficera przy bramie, nie zdziwiło pojawienie się Meilana, z kilkoma pomniejszych tairieniańskimi lordami oraz pięćdziesięcioma Obrońcami Kamienia, którzy torowali drogę, okładając ciżbę lancami. Siwowłosa, szczupły, w przednim, jedwabnym kaftanie z paskami i mankietami z zielonej satyny, Wysoki Lord siedział w siodle ze swobodą kogoś, kogo posadzono na konia i nauczono nim kierować, gdy ledwie umiał chodzić. Jednak ignorował pot ściekający mu z twarzy i ewentualną możliwość, że jego eskorta kogoś strąca. Były to drobne uciążliwości, gdzie pot stanowił zapewne jedną z większych.

Był wśród nich Edorion, różanolicy młody lord, który przybył do Eianrod, już nie taki pulchny jak kiedyś, więc kaftan w czerwone paski wisiał na nim teraz. Jedynym poza nim, którego Rand rozpoznał, był barczysty jegomość w zielonych barwach; Reimon chętnie grywał z Matem w karty, jeszcze w Kamieniu, jak sobie przypominał. Pozostali byli w większości starsi. Żaden nie zdradzał większego zainteresowania dla tłumu, przez który torowali drogę dla Meilana. W całej grupie nie znalazł się ani jeden Cairhienianin.

Panny przepuściły Meilana, kiedy Rand skinął głową, ale zamknęły krąg przed pozostałymi, czego Wysoki Lord z początku nie zauważył. Gdy nareszcie dotarł do niego, jego oczy zapłonęły złością. Meilan często bywał wściekły, od czasu, kiedy Rand po raz pierwszy przybył do Kamienia Łzy.

Wraz z przybyciem Tairenian wrzawa jakby straciła na mocy i ścichła już do głuchego pomruku, kiedy Meilan wykonał ze swego siodła sztywny ukłon przed Randem. Jego wzrok pomknął w stronę Aviendhy, zanim postanowił ją zignorować, tak samo jak pozostałe Panny.

— Oby cię Światłość opromieniła, Lordzie Smoku. Witaj w Cairhien. Muszę przeprosić za tych wieśniaków, ale nie wiedziałem, że zamierzasz wjechać do miasta właśnie teraz. Gdybym wiedział, zostaliby usunięci. Zamierzałem zgotować ci wspaniałe przyjęcie, godne Smoka Odrodzonego.

— Właśnie takowe otrzymałem — odparł Rand, a jego rozmówca zamrugnął.

— Jak rzeczesz, Lordzie Smoku. — Po chwili mówił dalej, a ton jego głosu zdradzał, że nie rozumiał. — Jeśli zechcesz mi towarzyszyć do Pałacu Królewskiego, to zorganizuję skromne powitanie. Skromne, doprawdy, jako że nie ostrzeżono mnie, ale nawet mimo to dopilnuję, by...

— Wystarczy cokolwiek, co teraz zaaranżujesz — przerwał mu Rand i otrzymał jeszcze jeden ukłon oraz skąpy, oleisty uśmiech zamiast odpowiedzi. Człowiek ten stanowił obecnie wcielenie służalczości za godzinę jednak będzie do niego przemawiał tak jak do kogoś o zbyt słabym umyśle, by mógł pojąć fakty mające miejsce tuż pod jego nosem, ale pod tym wszystkim kryła się pogarda i nienawiść, których w jego mniemaniu Rand nie dostrzegał, mimo że aż lśniły w oczach. Pogarda, bo Rand nie był lordem — prawdziwym lordem, jak na to patrzył Meilan, z urodzenia — i nienawiść, bo Meilan był przed przybyciem Randa panem życia i śmierci, pospołu z garstką jemu równych, bez nikogo ponad sobą. Uwierzyć, że Proroctwa Smoka któregoś dnia się spełnią to jedno; uwierzyć, że się spełniły i że przez to jego władza została uszczuplona, to coś całkiem innego.

Nastąpiło chwilowe zamieszanie, dopóki Rand nie kazał Sulin, by ta pozwoliła pozostałym taireniańskim lordom uszeregować ich konie za Asmodeanem i Pevinem z jego sztandarem. Meilan zamierzał znowu kazać Obrońcom, by torowali drogę, ale Rand szorstko przykazał, że mają podążać za Pannami. Żołnierze usłuchali, oblicza pod okapami hełmów nie zmieniły ani o jotę wyrazu, jednak ich oficer z białym pióropuszem pokręcił głową, a Wysoki Lord uśmiechnął się protekcyjnie. Ten uśmiech przybladł, kiedy stało się jasne, że tłumy rozstępują się swobodnie przed Pannami. Fakt, że nie musiały torować sobie drogi pałkami, przypisał barbarzyńskiej reputacji Aielów i skrzywił się, gdy Rand nic nie powiedział na tę sugestię. Rand zauważył jedną rzecz. Odkąd towarzyszyli mu Tairenianie, wiwaty więcej się nie podniosły.

Cairhieniański Pałac Królewski zajmował najwyższe wzniesienie miasta, dokładnie w samym jego środku, kanciasty, ponury i masywny. Trudno było, w rze-

czy samej, orzec, gdzie między Pałacem z wszystkimi jego piętrami i tarasami o kamiennych licach podziła się samo wzgórze. Przejścia obrzeżone wysokimi kolumnami, a także wysokie, wąskie okna, daleko od ziemi, nie przyczyniały się do złagodzenia jego sztywnego charakter bardziej niżli szare wieże ze stopniami, pobudowane na planie koncentrycznych kół na coraz to wyższych poziomach. Ulica przeszła w długą i szeroką rampę wiodącą do wysokich brązowych bram, za którymi ukazał się ogromny, kwadratowy plac otoczony przez taireniańskich żołnierzy, stojących niczym posągi, z pochylonymi ukośnie włóczniami. Więcej ich jeszcze stało na kamiennych balkonach wychodzących na dziedziniec.

Szmer pomruków przebiegł niczym fala po szeregach na pojawienie się Panien, ale szybko uciszyły go skandowane okrzyki typu: Wszelka chwała Smokowi Odrodzonemu! Wszelka chwała Lordowi Smokowi i Łzie! Wszelka chwała Lordowi Smokowi i Wysokiemu Lordowi Meilanowi! Z wyrazu twarzy Meilana sądząc, można było pomyśleć, że to wszystko odbywa się spontanicznie.

Pierwszymi Cairhienianami, jakich Rand zobaczył w Pałacu, byli odziani na ciemno słudzy, którzy podbiegli pospiesznie ze złotymi misami i białymi ręcznikami, kiedy przerzucił nogę nad wysokim łękiem i zsunął się z siodła. Pozostali podeszli, by przejąć wodze. Skorzystał ze sposobności umycia twarzy i rąk w zimnej wodzie, by Aviendha sama musiała zsiąść. Gdyby jej w tym pomógł, oboje mogliby wyłożyć się jak dłudzy na bruku.

Nie ponaglana Sulin wybrała dwadzieścia Panien, które razem z nią miały towarzyszyć Randowi. Z jednej strony ucieszył się, że nie postanowiła otoczyć go wszystkimi co do jednej włóczniami. Z drugiej zaś żałował, że wśród tej dwudziestki jest Enaila, Lamelle i Somara. Taksujące spojrzenia, jakim go omiotły — zwłaszcza Lamelle, szczupła, o silnie zaznaczonej szczęce, o ciemnorudych włosach, blisko dwadzieścia lat starsza od niego — sprawiły, że zazgrzytał zębami, jednocześnie starając się uspokajająco uśmiechać. Aviendha musiała w jakiś sposób rozmówić się z nimi za jego plecami, również z Sulin.

„Może z Pannami niczego nie zdziałam — pomyślał ponuro, odrzucając lnia-ny ręcznik w stronę jednego ze służących — ale niech szczenę, jeśli znajdzie się bodaj jedna kobieta wśród Aielów, która się nie dowie, że *Car'a'carn!*”

Inni Wysocy Lordowie powitali go u stóp szerokich, szarych schodów, które wiodły z dziedzińca, wszyscy w kolorowych kaftanach, satynowych paskach i ozdobionych srebrem butach. Było jasne, że dopiero po fakcie dowiedzieli się, że Meilan wyjechał na przywitanie. Obdarzony kluchowatą twarzą Torean, dziwnie marzycielski jak na tak tłustego mężczyznę, z niepokojem powąchał perfumowaną chusteczkę. Gueyam, którego wypomadowana bródka sprawiała, że czaszka zdawała się jakby jeszcze bardziej łysa, zacisnął dłonie w pięści wielkości niewielkich szynek i spiorunował wzrokiem Meilana, kłaniając się jednocześnie Randowi. Ostry nos Simaana zdawał się trząść ze wzburzenia; Maraconn, obdarzony niebieskimi oczyma, które w Łzie stanowiły rzadkość, zacisnął wąskie

wargi tak, że niemalże zniknęły; Hearne zaś, mimo że na twarzy miał uśmiech, bezwiednie skubał ucho, co wskazywało, że jest wściekły. Jedyne szczupły niby ostrze miecza Aracome nie zdradzał zewnętrznych emocji, ale ten z kolei zawsze dobrze trzymał swój gniew na wodzy, dopóki nie był gotów buchnąć pełnym płomieniem.

Okazja była zbyt dobra, by z niej nie skorzystać. Dziękując w duchu Moiraine za jej lekcje — łatwiej przechytryć głupca niż pokonać go siłą, powiadała — Rand uściśnął serdecznie pulchną dłoń Toreana i poklepał Gueyama po grubym ramieniu, odwzajemnił uśmiech Hearne'a jednym, ale za to dostatecznie ciepłym, takim, jakim obdarza się bliskiego kompaniona, oraz milcząco skłonił się Aracome z wyraźnie znaczącym spojrzeniem. Simaana i Maraconna całkiem zignorował, rzuciwszy jedno spojrzenie, płaskie i lodowate jak zimowy staw.

W danej chwili nie trzeba już było robić nic więcej tylko obserwować, jak biegają im oczy, a twarze tężeją w namyśle. Przez całe życie grali w *Daes Daemar*, Grę Domów, pobyt zaś wśród Cairhienian, którzy potrafili wyczytać całe tomy w uniesionej brwi albo chrząknięciu, jedynie potęgowało ich przewrażliwienie. Każdy z nich wiedział, że Rand nie ma powodów, by zachować się względem niego przyjaźnie, ale musiał się zastanawiać, czy przypadkiem tak go witając, nie krył czegoś prawdziwego przed kimś innym. Simaan i Maraconn wyglądali na najbardziej przejętych, ale pozostali mierzyli wzrokiem tych dwóch być może najbardziej podejrzliwie. Być może jego chłód stanowił prawdziwą przykrywkę. A może to właśnie mieli sobie pomyśleć.

Ze swojej strony Rand uznał, że Moiraine byłaby z niego dumna, podobnie Thom Merrilin. Nawet jeśli żaden z tych siedmiu nie spiskował aktywnie przeciwko niemu w danej chwili — o co nawet Mat, jego zdaniem, byłby się nie założył — to jednak ludzie z ich pozycją mogli zrobić wiele, by zakłócić jego plany tak, by nikt się o tym nie dowiedział i zrobiliby to z nawyku, jeśli już nie z innego powodu. Albo zrobią. Teraz wytrącił ich z równowagi. Jeśli uda mu się sprawić, że tak zostanie, to będą zbyt zajęci wzajemnym się pilnowaniem i za bardzo przestraszeni, że dla odmiany ktoś ich obserwuje, by sprawiać mu kłopoty. Może nawet raz wreszcie okażą posłuszeństwo bez szukania stu powodów, by wszystko było wykonane inaczej niż on postanowił. Cóż, być może były to zbyt wygórowane oczekiwania.

Jego satysfakcja przygasła, kiedy zobaczył ironiczny uśmieszek Asmodeana. Gorsze było tylko zdziwione spojrzenie Aviendhy. Ona była w Kamieniu Łzy; wiedziała, jacy są ci ludzie i dlaczego ich przysłał tutaj.

„Robię, co muszę” — pomyślał z goryczą i pożałował, że to zabrzmiało tak, jakby próbował znaleźć dla siebie wymówkę.

— Wchodzimy — powiedział, bardziej ostro niż zamierzał i siedmiu Wysokich Lordów podskoczyło w miejscu, jakby nagle przypomniał im, kim i czym jest.

Chcieli stłoczyć się wokół niego, kiedy zaczął się wspinać po schodach, ale Panny otoczyły go jak zwykle ciasnym kręgiem, czyniąc wyjątek jedynie dla Meilana, który wskazywał drogę, i Wysocy Lordowie znaleźli się w tyle pochodu wraz z Asmodeanem i pomniejszych lordami. Aviendha oczywiście trzymała się blisko niego, Sulin u drugiego boku, a tuż za nimi szły Somara, Lamelle i Enaila. Każda mogła wyciągnąć rękę i bez wysiłania się dotknąć jego pleców. Obdarzył Aviendhę oskarżycielskim spojrzeniem, na co ona wygięła brwi w łuk w niemym pytaniu tak przekonująco, że omalże uwierzył, iż ona nie ma z tym nic wspólnego. Omalże.

Na korytarzach pałacu było pusto z wyjątkiem odzianych w ciemne liberie służących, którzy w ukłonach przykładali prawie pierś do kolan albo równie głęboko dygali, kiedy ich mijał, ale kiedy wszedł do Wielkiej Sali Słońca, przekonał się, że cairhieniańska arystokracja nie została do ostatka przegnana z Pałacu.

— Nadchodzi Smok Odrodzony! — obwieścił siwowłosy mężczyzna, stojący w ogromnych, pozłacanych odrzwiach z wizerunkiem Wschodzącego Słońca. Czerwony kaftan z wyhaftowanymi sześcioramiennymi gwiazdami na niebieskim tle, nieco na niego za duży po czasie spędzonym w Cairhien, wyróżniał go jako wyższego rangą sługę Domu Meilana.

— Witaj, Lordzie Smoku, Randzie al'Thor! Wszelka chwała Lordowi Smokowi!

Całą komnatę aż po zwieńczone kątami sklepienie na wysokości pięćdziesięciu kroków natychmiast wypełniła wrzawa.

— Witaj, Lordzie Smoku, Randzie al'Thor! Wszelka chwała Lordowi Smokowi! Oby Światłość opromieniła Lorda Smoka!

Cisza, jaka po niej zapadła, zdała się podwójnie głęboka.

Wśród masywnych kwadratowych kolumn wyciosanych z marmuru, tak gęsto upstrzonego granatowymi smugami, że niemalże czarnego, stało więcej Tairenian, niżli Rand się spodziewał: całe szeregi Lordów i Lady Prowincji, w najprzedniejszych strojach, stożkowatych aksamitnych kapeluszach i kaftanach z bufiastymi prążkowanymi rękawami, w kolorowych sukniach, koronkowych kryzach i dopasowanych czepkach ze skomplikowanym haftem albo naszywanych perłami i małymi klejnotami.

Za nimi stali Cairhienianie, w ciemnych ubraniach urozmaiconych barwnymi rozcięciami na piersiach sukien albo długich do kolan kaftanach. Im więcej było pasków oznaczających dany Dom, tym większą rangę miał noszący, niemniej jednak nawet ci mężczyźni i kobiety, u których kolor sięgał od karku do pasa albo i niżej, stali za Tairenianami z wyraźnie ostatnich Domów, których hafty wykonano nicią żółtą zamiast złotej, na wełnach a nie jedwabiu. Niemało cairhieniańskich mężczyzn goło sobie i pudrowało przody czaszek; czynili tak wszyscy młodszy mężczyźni.

Po Tairenianach widać była wyczekiwanie, o ile nie niepokój; twarze Cair-

hienian równie dobrze mogły być wyrzeźbione z lodu. Nie dawało się orzec, kto wiwatuje; a kto nie, ale Rand podejrzewał, że większość tych okrzyków wznosiły przednie szeregi.

— Wielkie rzesze pragnęły ci tutaj służyć — mruknął Meilan, kiedy szli po posadzce wyłożonej niebieskimi płytkami z wielką złotą mozaiką przedstawiającą Wschodzące Słońce. Za nimi szła fala milczących dygnięć i ukłonów.

Rand tylko chrząknął. Oni chcieli mu służyć? Bez pomocy Moiraine wiedział, że ci pośledniejsi arystokraci mają nadzieję stać się ważniejszymi dzięki majątkom wykrojonym z terytorium Cairhien. Bez wątpienia Meilan i pozostających sześciu już dali do zrozumienia, o ile wręcz nie obiecali, które ziemie będą należały do kogo.

W przeciwległym krańcu sali na szerokim podium z granatowego marmuru stał Tron Słońca. Nawet na nim wycisnęła swe piętno właściwa Cairhienianom powściągliwość. Wielki fotel tronowy z masywnymi poręczami połyskiwał złoceniami i złotogłowiem, ale mimo to zdawał się skonstruowany z samych prostych, pionowych linii, wyjąwszy Wschodzące Słońce. o falistych promieniach, które miało wieńczyć głowę tego, kto na nim zasiądzie.

To ma być on, uświadomił sobie Rand dużo wcześniej, nim dotarł do dziewięciu stopni podium. Aviendha wspięła się razem z nim; również Asmodeanowi, jako jego bardowi, wolno było tam wejść, ale Sulin szybko ustawiła pozostałe Panny w szeregu otaczającym podium; to ich włócznie trzymane jakby od niechcienia blokowały dojście Meilanowi, a także pozostałym Wysokim Lordom. Na taireniańskich twarzach odmalowała się frustracja. W Sali zapanowała taka cisza, że Rand słyszał własny oddech.

— Ten tron należy do kogoś innego — powiedział w końcu. — Poza tym zbyt wiele czasu spędziłem w siodle, by przyjąć zyczliwe takie twarde siedzisko. Przynieście mi jakieś wygodne krzesło.

Nastąpiła chwila pełnej zdumienia ciszy, po czym przez Salę przeszedł pomruk. Na twarzy Meilana pojawił się nagie wyraz głębokiego namysłu; ukrył go szybko, tak szybko, że Rand aż się roześmiał. Najprawdopodobniej Asmodean miał rację co do tego człowieka. Sam Asmodean lustrował Randa z ledwie skrywaną podejrzliwością.

Kilka minut potem przybiegł zadyszany człowiek w kaftanie z wyhaftowaną gwiazdą, za nim dwóch Cairhienian w ciemnych liberiach z krzesłem z wysokim oparciem oraz stosem jedwabnych poduszek, i gestami zapytali, gdzie mają je ustawić, obrzucając Randa zdenerwowanymi spojrzeniami. Po masywnych nogach i oparciu krzesła biegły pionowe linie złocen, ale zdawały się niknąć w sąsiedztwie Tronu Słońca.

Trzej słudzy jeszcze wycofywali się, na każdym stopniu składając się w ukłonach w pół, kiedy Rand odrzucił większość poduszek i usiadł z wdzięcznością na krześle, kładąc sobie drzewce seanchańskiej włóczni na kolanach. Bardzo się jed-

nak przy tym pilnował, żeby nie posykiwać z bólu. Aviendha obserwowała go nazbyt bacznie, zaś sposób, w jaki Somara stale przenosiła spojrzenia od niego na nią, tylko potwierdzał podejrzenia.

Nie mógł jednak teraz przejmować się Aviendhą i *Far Dareis Mai*: większość obecnych oczekiwała jego słów, zarówno z utęsknieniem, jak i trwogą.

„Ci przynajmniej będą skakać, kiedy powiem "żaba"” — pomyślał. Może im 'się to nie spodoba, ale uczynią to.

Przy pomocy Moiraine opracował plan tego, co musi tutaj zrobić. Po części wymyślił go sam, bez żadnych sugestii z jej strony. Byłoby dobrze mieć ją tutaj, by szeptała mu w razie potrzeby do ucha, zamiast Aviendhy, która tylko czekała, kiedy ma dać sygnał Somarze, ale nie było sensu zwlekać. Z pewnością w tej komnacie znajdowali się teraz wszyscy taireniańscy i cairhieniańscy arystokraci, którzy aktualnie przebywali w mieście.

— Dlaczego Cairhienianie stoją w tyle? — spytał głośno i arystokraci poruszyli się nerwowo, wymieniając skonsternowane spojrzenia. — Tairenianie przybyli z pomocą, ale nie istnieje powód, dla którego Cairhienianie mieliby stać w tyle. Niechaj wszyscy ustawią się podle rangi. Wszyscy.

Trudno było orzec, których to bardziej oszołomiło, Tairenian czy Cairhienian, aczkolwiek Meilan wyglądał na gotowego połknąć własny język, podobnie tych sześciu, którzy stali zaraz za nim. Nawet Aracome, w którym temperament nigdy nie kipiał, zbieleł na twarzy. Polecenie zostało wykonane, wśród szurania butów, odgarniania spódnic i lodowatych spojrzeń z obu stron, aż w końcu przednie rzędy składały się wyłącznie z mężczyzn i kobiet z paskami na piersiach, w drugim zaś stało tylko kilku Tairenian. Do Meilana i jego ludzi przyłączyło się u stóp podium dwakroć tyle cairhieniariskich lordów i lady, w większości posiwiatych, z paskami od karku niemalże po kolana, choć zapewne słowo „przyłączyli” nie było tutaj właściwe. Ustawili się w dwóch grupach, oddalonych od siebie o pełne trzy kroki i popatrywali na siebie tak zaciekle, że równie dobrze mogli potrząsać pięściami i krzyczeć. Wzrok wszystkich utkwiony był w Randzie, i jeśli Tairenian ogarnęła furia, to Cairhienianie nadal przywodzili na myśl lód, tyle że w spojrzeniach, jakimi go taksowali, pojawiły się znikome ślady odwilży.

— Zwróciłem uwagę na sztandary, które powiewają nad Cairhien — ciągnął, kiedy poruszenie ustało. — Dobrze to, że tak wiele tych Półksiężyców Łzy. Bez taireniańskiego ziarna Cairhienianie nie przeżyliby, aby móc osadzić sztandar, a bez taireniańskich mieczy ci mieszkańcy tego miasta, którzy dożyli tego dnia, zarówno ci urodzeni szlachetnie, jak i prosty gmin, uczyliby się już posłuszeństwa względem Shaido. Łza zasłużyła sobie na szacunek.

Tairenianie nadęli się, rzecz jasna, pod wpływem tych słów, zapalczywie kiwając głowami i jeszcze zapalczywiej się uśmiechając, aczkolwiek Wysocy Lordowie zaczęli deptać sobie wzajem po piętach, najwyraźniej skonsternowani. Dla odmiany, Cairhienianie zgromadzeni pod podium mierzyli się wzajem spojrzenia-

mi wyrażającymi zwątpienie.

— Ja jednak nie potrzebuję aż tylu sztandarów. Niech pozostanie jeden tylko sztandar Smoka na najwyższej wieży, żeby widział go każdy, kto się zbliży do miasta, resztę natomiast trzeba zdjąć i zastąpić sztandarami Cairhien. To jest Cairhien, i Wschodzące Słońce winno i będzie nad nim łopotać. Cairhien ma swój własny honor i zachowa go.

Cała komnata eksplodowała wrzawą, tak nagle, że aż Panny uniosły włócznie, wrzawą, który odbijała się od ścian. Sulin natychmiast zamigotała mową gestów, ale i tak w połowie uniesione zasłony już opadały. Cairhieniańscy arystokraci wiatowali tak samo głośno, jak lud na ulicach, płasząc w miejscu i wymachując rękoma niczym mieszkańcy Foregate podczas święta. W całym tym pandemonium kolej na wymianę niemych spojrzeń wypadła teraz na Tairenian. Nie wyglądała na rozzłoszczonych. Nawet Meilan miał niepewną minę, aczkolwiek podobnie jak Torean i pozostali przypatrywał się ze zdumieniem na otaczających go lordów i lady wysokiej rangi, takich chłodnych i godnych jeszcze przed chwilą, a teraz tańczących i wykrzykujących imię Lorda Smoka.

Rand nie miał pojęcia, co oni wyczytali w jego słowach. Oczywiście spodziewał się, że usłyszą więcej, niż rzeczywiście powiedział, zwłaszcza Cairhienianie, że niektórzy być może usłyszą nawet to, co naprawdę chciał powiedzieć, ale na takie widowisko nie był przygotowany. Wiedział dobrze, że cairhieniańska powściągliwość to dziwne zjawisko, przemieszane niekiedy z nieoczekiwanym zuchwalstwem. O tym Moiraine mówiła niechętnie, mimo całego jej uporu, by wszystkiego go nauczyć; posunęła się jedynie do stwierdzenia, że sposób, w jaki owa powściągliwość potrafi zniecka prysnąć, bywa doprawdy zadziwiający. Zaiste, był zadziwiający.

Kiedy wiwaty ucichły nareszcie, rozpoczęło się składanie przysięg posłuszeństwa. Meilan ukląkł pierwszy, z zawziętą twarzą przysięgał pod Światłością i na swoją nadzieję zbawienia oraz ponownych narodzin, że będzie służyć wiernie i okazywać posłuszeństwo; tak dyktowała pradawna formuła i Rand liczył, że niektórych istotnie zobowiąże do dotrzymania przysięgi. Kiedy Meilan ucałował już czubek seanchańskiej włóchni, starając się ukryć skwaszoną minę przez gładzenie bródki, jego miejsce zajęła lady Colavaere. Bardziej niż przystojna, trzydziestoletnia kobieta, z koronką barwy ciemnej kości słoniowej wylewającą się na dłonie, które umieściła w dłoniach Randa, i z poziomymi barwnymi rozcięciami, biegnącymi od wysokiego koronkowego kołnierza aż do kolan, złożyła przysięgę czystym, stanowczym głosem z melodyjnym akcentem, do którego nawykł za sprawą Moiraine. Wyraz ciemnych oczu miał w sobie coś, co przywodziło na myśl spojrzenia, którymi Moiraine zwykła ważyć i mierzyć; zwłaszcza wtedy, kiedy, dygając, schodziła ze stopni, jednocześnie mierząc Aviendhę od stóp do głów. Jej miejsce zajął Torean, który składał przysięgę, obficie się pocąc, Toreana zaś zastąpił lord Dobraine, ze świdrującymi, głęboko osadzonymi oczyma, jeden z tych

kilku starszych mężczyzn, którzy golili sobie przód długich, w większości siwych włosów, po nim był Aracome i . . .

Rand niecierpliwił się podczas trwania tej procesji, kiedy jeden po drugim wchodzili, żeby przed nim uklęknąć, Cairhienianie na przemian z Tairenianami, tak jak zarządził. Wszystko to było niezbędne, tak twierdziła Moiraine — i na to godził się głos w jego głowie, który jak wiedział należał do Lewsa Therina — ale dla niego stanowiło jedynie powód zwłoki. Musi mieć ich lojalność, choćby tylko pozorną, żeby uczynić Cairhien bezpiecznym, należało przynajmniej początek jaki taki zrobić, zanim będzie mógł zaatakować Sammaela.

„I dokonam tego! Mam jeszcze za dużo do roboty, by pozwalać, żeby on mnie siekł po łydkach z za krzaków. Już on się dowie, co to znaczy drażnić Smoka!”

Nie rozumiał, dlaczego ci, którzy obecnie przed nim stawali, pocili się i oblizywali wargi podczas klękania i dukania roty hołdu. Ale z kolei sam nie widział tego zimnego światła, które płonęło wówczas w jego oczach.

CENA STATKU

Nynaeve zakończyła poranne mycie, wytarła się do sucha i niechętnie wdziała świeżą, jedwabną bieliznę. Jedwab nie był tak chłodny jak len, a mimo że słońce ledwie co wzeszło, upał panujący w wozie zapowiadał kolejny skwarny dzień. A poza tym bała się, że jeśli źle odetchnie, to ta jedwabna szmatka, przez swój krój, zsunie się z niej i rozleje niczym kałuża wokół stóp. Ale przynajmniej nie była mokra od potu snu, tak jak ta, którą odrzuciła.

Podczas snu nękały ją niepokojące koszmary, wizje Moghedien, z których budziła się nagle, siadając wyprostowana tak sztywno, jakby kij połknęła — a te i tak były lepsze od snów, z których się nie budziła — od snów o Birgitte, która strzelała do niej z łuku i wcale nie chybiała, od snów o wyznawcach Proroka i zamieszkałych, jakich dopuszczali się na terenie menażerii, od snów o tym, że utknęły na zawsze w Samarze, bo żaden statek nigdy tam nie zawitał, o dotarciu do Salidaru i stwierdzeniu, że na czele wszystkiego stoi tam Elaida. I znowu o Moghedien. Z tego snu obudziła się z płaczem.

Wszystko to, oczywiście ze zmartwień, i nic dziwnego. Trzy noce już tutaj obozowali, a żaden statek się jeszcze nie pojawił, trzy dni już stała w spiekocie, z opaską na oczach pod tą przeklętą ścianą. Każdy byłby bliski załamania, nawet bez przejmowania się, że Moghedien jest coraz bliżej. Z kolei fakt, iż ta kobieta wiedziała, że one przyłączyły się do jakiejś menażerii, jeszcze nie oznaczał, że musiała je znaleźć w Samarze. Oprócz tych wszystkich menażerii, które zgromadziły się w tym miejscu, po całym świecie jeździło jeszcze całe mnóstwo innych. Trudniej jednak wyzbywać się zmartwień, niżli wymyślać ku nim powody.

„Tylko czemu ja się niepokoję z powodu Egwene?”

Zanurzywszy rozszczepioną gałązkę w stojącym na umywalce niewielkim naczyniu z mieszanką soli i sody, zaczęła energicznie szorować zęby. Egwene pojawiała się znienacka w niemalże każdym śnie, ujadając na nią, a Nynaeve nie rozumiała, w jaki sposób tamta do nich wchodzi.

Po prawdzie niepokój i brak snu stanowiły jedynie częściową przyczynę złego samopoczucia, które ją tego ranka ogarnęło. Resztę stanowiły drobiazgi, ale to przecież z nich składa się rzeczywistość. Kamyk w bucie to drobnostka, gdy go porównać ze ścięciem głowy, jednak kamyk mógłby się tam znaleźć naprawdę,

natomiast pniak może się nigdy nie pojawić. . .

Nie dało się uniknąć odbicia własnej twarzy w lustrze, a razem z nią włosów spadających luźno na ramiona zamiast, przyzwoicie splecionych. Jakkolwiek je szcztokowała. ten miedziany kolor nawet przez chwilę nie stawał się mniej obrzydliwy. I wiedziała aż za dobrze, że na łóżku za jej plecami leży rozłożona niebieska suknia. Tak niebieska, że nawet kobieta Druciarzy zamrugałaby na jej widok, poza tym wycięta równie głęboko jak tamta pierwsza czerwona, wisząca teraz na kołku. Dlatego właśnie miała na sobie tę nedorzecznie obcisłą bieliznę. Jedna taka suknia to za mało, zdaniem Valana Luki. Clarine szyła już dwie następne ze zjadliwej żółci i była też mowa o prążkach. Nynaeve nawet nie chciała słyszeć o prążkach.

„Ten mężczyzna mógłby przynajmniej pozwolić, żebym to ja wybrała kolory” — pomyślała, wściekle manipulując gałązką. Albo Clarine. Ale nie, on miał własne pomysły i w ogóle nie zadawał pytań. Nie Valan Luca. Kolory przez niego wybierane sprawiały niekiedy, że zapominała o dekoltach.

„Powinnam rzucić mu nią w twarz!”

Wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Birgitte paradowała w tych sukniach bez krztyny rumieńca. Ta kobieta z pewnością w najmniejszej mierze nie była taka jak w opowieściach! Co wcale nie znaczyło, że ona będzie wkładać te głupie suknie bez słowa protestu, bo tak postępowała Birgitte. W żaden sposób nie rywalizowała z tą kobietą. I to tylko dlatego. . .

— Jak już coś musisz zrobić — warknęła, nie wyjmując gałązki z ust — to lepiej się do tego przyzwyczaj.

— Coś ty powiedziała? — spytała Elayne. — Jak chcesz coś mówić, to lepiej wyjmij to z ust. Te dźwięki są zresztą dostatecznie obrzydliwe.

Nynaeve wytarła podbródek i rzuciła przez ramię groźne spojrzenie. Elayne siedziała na wąskim łóżku, z podciągniętymi nogami, i splatała ufarbowane na czarno włosy. Wdziała już białe spodnie, całe ponaszywane cekinami oraz śnieżnobiałą, jedwabną bluzkę z kryzą przy szyi, o wiele nazbyt śmiałą. Obok leżał biały kubraczek z cekinami. Biały. Ona też miała dwa kostiumy do występów, a trzeci w szyciu, wszystko utrzymane w bieli. aczkolwiek niespecjalnie proste.

— Jeśli zamierzasz się tak ubierać, Elayne, to nie powinnaś siadać w taki sposób. To nieprzyzwoite.

Druga kobieta spojrzała na nią spode łba, ale zestawiała obute w pantofle stopy na podłogę. I zadarła podbródek w ten typowy dla niej, bezczelny sposób.

— Chyba dziś rano przejdę się do miasta — powiedziała chłodno, nadal zmagając się z warkoczem. — W tym wozie. . . jest ciasno.

Nynaeve wypluła do umywalki wodę, którą właśnie płukała usta. Głośno. Za dnia wóz bez wątpienia wydawał się jakby mniejszy. Może wcale nie musiały się aż tak bardzo ukrywać — zaczynała żałować, że wpadła na ten pomysł — a to powoli stawało się nedorzeczne. Trzy dni zamknięcia w jednym pomieszczeniu

z Elayne, wyjąwszy momenty, kiedy szły występować, zaczynały sprawiać wrażenie trzech tygodni. Albo wręcz trzech miesięcy. Nigdy przedtem nie dotarło do niej, jak jadowity język ma Elayne. Żeby wreszcie zjawił się jakiś statek, obojętnie jaki. Oddałaby każdą monetę ukrytą w piecyku, każdy klejnot, wszystko, za jakiś statek już dzisiaj.

— Tym strojem z całą pewnością nie ściągniesz na siebie uwagi, nieprawdaż? Ale chyba rzeczywiście dobrze ci robi, jak się trochę pogimnastykujesz. A może to wszystko przez te spodnie, bo tak ci się wpijają w biodra.

Niebieskie oczy rozjarzyły się, ale podbródek Elayne pozostał zadarty, a ton jej głosu chłodny.

— Ostatniej nocy śniła mi się Egwene i zanim opowiedziała o Randzie i Cairhien — ja w odróżnieniu od ciebie przejmuję się tym, co się tam dzieje — stwierdziła, że zamieniasz się w hałaśliwą jędrę. Co niekoniecznie znaczy, że ja też tak myślę. Ja bym powiedziała, że zmieniasz się w sprzedawcę ryb.

— To teraz ty mnie posłuchaj, ty swarliwa smarkulo! Jeśli nie... — Nadal pionując ją wzrokiem, Nynaeve zacisnęła usta, po czym powoli wciągnęła powietrze do płuc. Z wielkim wysiłkiem postarała się, by jej głos zabrzmiał obojętnie. — Śniła ci się Egwene?

Elayne przytaknęła krótko.

— I opowiadała o Randzie i o Cairhien?

Młodsza kobieta przewróciła oczami, przesadnie demonstrując rozdrażnienie, po czym na powrót zajęła się swoim warkoczem. Nynaeve wypuściła garść włosów barwy mosiądzu, zmuszając się, by nie myśleć o uczeniu Dziedziczki Tronu przeklętego Andoru odrobiny prostej, powszedniej grzeczności. Jeśli szybko nie znajdą statku...

— Skoro nie potrafisz myśleć o niczym innym jak tylko o pokazywaniu nóg, to może cię zainteresuje, że mnie ona również ukazuje się w snach. Powiedziała, że Rand odniósł wczoraj wielkie zwycięstwo pod Cairhien.

— Może i pokazuje nogi — warknęła Elayne, a na jej policzkach wystąpiły ciemne plamy — ale przynajmniej nie błyskam swoim... Tobie ona też się śniła?

Wymiana spostrzeżeń nie potrwała długo, aczkolwiek Elayne nadal popisywała się swym jadowitym językiem; Nynaeve miała doskonały powód, żeby krzyknąć przeraźliwie na widok Egwene, Elayne zaś prawdopodobnie śniła o tym, że paradyje przed Randem w tym kostiumie z cekinami, o ile nie w czymś jeszcze bardziej skąpym. Elementarna uczciwość wymagała powiedzenia tego. A jednak szybko stało się jasne, że Egwene mówiła te same rzeczy w snach ich obydwu, dzięki czemu na wątpliwości pozostawało niewiele miejsca.

— Stale powtarzała, że naprawdę tam jest — mruknęła Nynaeve — ale ja sądziłam, że to tylko sen.

Egwene mówiła im dostatecznie często, że przemawianie do kogoś w jego snach jest możliwe, ale nigdy nie powiedziała, iż sama to potrafi.

— Niby czemu miałam uwierzyć? To znaczy, kiedy oświadczyła, że nareszcie rozpoznała, że jakaś włócznia, którą nawykł nosić przy sobie, to seanchańska robota. To absurdalne.

— Oczywiście. — Elayne irytująco wygięła brew w łuk. — Równie absurdalne jak znalezienie Cerandin i jej *s'redit*. Seanchańskich uchodźców musi być więcej, Nynaeve, i włócznie to zapewne drobiazg w porównaniu z innymi rzeczami, które za sobą zostawili.

Dlaczego ta kobieta nie potrafi powiedzieć niczego, żeby w tym nie było jakiegoś kolca?

— Widzę, że ty w to uwierzyłaś całą duszą.

Elayne przerzuciła zapleciony wreszcie warkocz przez ramię, po czym znowu zadarła głowę, lekceważąco, dla dodania efektu.

— Naprawdę mam nadzieję, że Randowi nic się nie stało.

Nynaeve pociągnęła nosem; Egwene twierdziła, że będzie potrzebował wielu dni wypoczynku, nim znowu stanie na nogi, ale że został Uzdrawiony.

— Nikt go dotychczas nie uczył, że nie powinien się zbytnio nadwierać — ciągnęła druga kobieta. — Czy on nie wie, że Moc może go zabić, jeśli zaczerpnie jej za dużo, albo jeśli będzie ją splatał, kiedy jest zmęczony? To tyczy się jego tak samo jak nas.

Ach to tak. Postanowiła zmienić temat.

— Może nie wie — odparła Nynaeve słodkim głosem. — Nie ma wszak Białej Wieży dla mężczyzn. — To jej przypomniało o czymś innym. — Uważasz, że to był naprawdę Sammael?

Z ripostą na końcu języka, Elayne spojrzała na nią z ukosa, po czym westchnęła trwożliwie.

— Dla nas to raczej nie ma znaczenia, nieprawdaż? Powinniśmy cię natomiast na nowo zastanowić nad użyciem pierścienia. Nie tylko po to, by spotkać Egwene.. Trzeba się dowiedzieć wielu rzeczy. Ja, im więcej się uczę, tym bardziej się przekonuję, jak mało wiem.

— Nie. — Nynaeve bynajmniej się nie spodziewała, że młodsza kobieta wyjmie pierścień *ter'angreal* tu i teraz, ale odruchowo zrobiła krok w stronę piecyka z cegieł. — Koniec z wycieczkami do *Tel'aran'rhiod*, wyjąwszy spotkania z Egwene.

Elayne mówiła dalej, jakby tego nie usłyszała. Nynaeve równie dobrze mogła mówić do siebie.

— Przecież to nie jest tak samo jak z przenoszeniem. W ten sposób się nie zdradzimy. — Nie patrzyła na Nynaeve, ale jej głos brzmiał zgryźliwie. Utrzymywała, że mogą użyć Mocy, jeśli będą ostrożne. Na ile Nynaeve się orientowała, Elayne robiła to już za jej plecami. — Idę o zakład, że gdyby któraś z nas odwiedziła tej nocy Serce Kamienia, to zastałaby tam Egwene. Pomyśl, gdybyśmy

mogły przemawiać do niej w jej snach, wówczas nie musiałybyśmy się już bać, że natkniemy się na Moghedien w *Tel'aran'rhiod*.

— Uważasz zatem, że łatwo się tego nauczyć? — spytała z przekąsem Nynaeve. — Skoro tak, to czemu nas dotąd tego nie nauczyła? Dlaczego nie robiła tego wcześniej?

Nie mówiła tego jednak z przekonaniem. To ona się przejmowała Moghedien. Elayne wiedziała, że to niebezpieczna kobieta, ale to było tak samo jak z wiedzą, że jadowite węże są niebezpieczne; Elayne wiedziała o tym, ale to Nynaeve została ukąszona. Poza tym możliwość porozumiewania się bez konieczności wchodzenia do *Tel'aran'rhiod* byłaby bezcenna, nie tylko ze względu na konieczność unikania Moghedien.

Elayne, w każdym razie, nadal nie zwracała na nią uwagi.

— Zastanawia mnie, dlaczego tak nalegała, byśmy nikomu o tym nie mówiły. To nie ma sensu. — Przez chwilę przygryzała zębami dolną wargę. — Jest jeszcze jeden powód, by jak najszybciej z nią porozmawiać. Dla mnie to wtedy nie miało znaczenia, ale ostatnim razem, kiedy do mnie przemawiała, zniknęła w połowie zdania. Przypominam sobie teraz, że nim to zrobiła, coś ją zniecka zaskoczyło i przestraszyło.

Nynaeve zrobiła głęboki wdech i z całej siły przycisnęła dłonie do brzucha, na próżno starając się uspokoić nagłe trzepotanie. Ale zdobyła się na spokojny głos.

— Moghedien?

— Światłości, ty to masz radosne myśli! Nie. Gdyby Moghedien mogła pojawić się w naszych snach, to chyba już do tej pory wiedziałybyśmy o tym. — Elayne zadygotała nieznacznie; miała jakieś pojęcie o tym, jak niebezpieczna jest Moghedien. — W każdym razie nie taką zrobiła minę. Była przestraszona, ale nie aż tak.

— No to może wcale nic jej nie grozi. Może... — Przycisnęła ręce do boków i gniewnie zacisnęła usta. Tyle że nie była pewna, na kogo właściwie jest zła.

Ukrywanie pierścienia, poza spotkaniami z Egwene, było dobrym pomysłem. Było. Każda eskapada do Świata Snów mogła się zakończyć napotkaniem Moghedien, a trzymanie się od niej z daleka to pomysł więcej niż dobry. Już się przekonała, że w tej walce ma niewielkie szanse. Myśl jątrzyła, za każdym razem coraz bardziej dotkliwie, niemniej była to szczerą prawdą.

Jednak istniało teraz prawdopodobieństwo, że Egwene potrzebuje pomocy. Raczej znikome. Sam fakt, że odpowiednio wystrzegła się Moghedien, jeszcze nie oznaczał, iż nie brała pod uwagę takiej możliwości. I całkiem możliwe, że Randa ścigał jakiś Przekłety z takich samych osobistych pobudek, z jakich Moghedien ścigała ją i Elayne. Doniesienia Egwene, zarówno te z Cairhien, jak i te z gór, miały w sobie posmak opowieści o jednym mężczyźnie, który podjudza drugiego, by ten mu utarł nosa. Co wcale nie znaczyło, że wiedziała, co można z tym zrobić. Ale Egwene...

Bywało, że Nynaeeve zapomniała, dlaczego w ogóle wyjechała z Dwu Rzek. Po to, by chronić młodych ludzi z jej wioski, którzy wpadli w sieci Aes Sedai. Niewiele młodszy od niej — zaledwie kilka lat — a jednak taka różnica wydaje się większa, gdy jest się wioskową Wiedzącą. Rzecz jasna, Koło Kobiet w Polu Emonda z pewnością wybrało już, do tej pory nową Wiedzącą, ale przez to Pole Emonda bynajmniej nie przestało być jej wioską, a oni jej ludźmi. Jakimś sposobem jednak to chronienie Randa, Egwene, Mata i Perrina przed Aes Sedai przerodziło się w pomaganie im w przetrwaniu i koniec końców, choć nawet nie pojęła ani kiedy, ani jak, nawet ten cel utonął w morzu innych potrzeb. Wejście do Białej Wieży po to, by się dowiedzieć, jak osłabić Moiraine, przerodziło się w żarliwe pragnienie uczenia się Uzdrawiania. Nawet jej nienawiść do mieszania się Aes Sedai w życie innych ludzi współistniała teraz z pragnieniem, by stać się Aes Sedai. Nie żeby tego naprawdę pragnęła, ale to był jedyny sposób na nauczenie się tego, czego pragnęła się nauczyć. Wszystko stało się równie poplątane jak któraś z tych sieci Aes Sedai, łącznie z nią samą, a ona nie wiedziała, jak od tego uciec.

„Nadal jestem taka jak zawsze. Pomogę im, tak jak potrafię”.

— Dziś wieczorem — powiedziała głośno — ja użyję pierścienia.

Usiadła na łóżku i jęła wciągać pończochy. Gruba wełna nie była specjalnie przyjemna w tym upale, ale przynajmniej ta część jej ciała będzie przyzwoicie odziana. Grube pończochy i mocne buty. Birgitte nosiła brokatowe trzewiki i pończochy z jedwabiu cienkiego jak babie lato, który z pewnością był chłodny. Stanowczo wybiła sobie tę myśl z głowy.

— Żeby tylko sprawdzić, czy Egwene jest w Kamieniu. Jeśli nie, to wrócę i już więcej nie użyjemy pierścienia aż do czasu umówionego spotkania.

Elayne obserwowała ją uważnym spojrzeniem, pod wpływem którego szarpała pończochy z rosnącym skrzepowaniem. Ta kobieta nie mówiła ani słowa, ale to jej pozbawione wyrazu spojrzenie dawało do zrozumienia, że Nynaeeve może kłamać. Tak je odczytywała. Nie pomagało, że tamta myśl przefrunęła ledwie po skraju świadomości, myśl, że z łatwością może sprawić, by pierścień nie dotknął jej skóry, kiedy pójdzie spać; nie istniały żadne realne podstawy, by wierzyć, że Egwene będzie tej nocy czekała w Sercu Kamienia. Ona w ogóle tego pomysłu nie wzięła pod uwagę — zjawiał się sam, bynajmniej nie proszony — ale wciąż tam się kołatał i dlatego tak trudno jej było spojrzeć Elayne w oczy. No to co, że się boi Moghedien? Tak przecież nakazywał rozsądek, nawet jeśli przyznanie się do tego wywoływało pieczenie w żołądku.

„Zrobię to, co muszę”.

Stanowczo zdławiła motyle, które zatrzepotały w jej brzuchu. Nie zdążyła jeszcze obciągnąć koszuli na pończochy, a bardzo już pragnęła nareszcie wdziać niebieską suknię i wyjść na ten upał, byle tylko uciec przed oczyma Elayne.

Elayne właśnie kończyła jej pomagać przy zapinaniu rzędów małych guziczków na plecach — pomrukując przy tym, że jej nikt nie pomógł, jakby przy

spodniach potrzebna była jakakolwiek pomoc — gdy nagle drzwi wozu otworzyły się gwałtownie na oścież, wpuszczając do środka powiew gorącego powietrza. Zaskoczona Nynaeve aż podskoczyła i odruchowo zakryła łono obiema dłońmi. Kiedy do środka weszła Birgitte, a nie Valan Luca, próbowała udawać, że poprawia karczek.

Wyższa kobieta wygładziła identyczny, jaskrawoniebieski jedwab na biodrze, a potem z uśmiechem samozadowolenia przerzuciła gruby, czarny warkocz przez obnażone ramię.

— Przystań kombinować, chcesz przecież zwrócić na siebie uwagę. To na zbyt oczywiste. Zwyczajnie oddychaj głęboko. — Zademontrowała to, po czym roześmiała się na widok chmurnej miny Nynaeve.

Nynaeve z wysiłkiem powściągnęła temperament. Mimo iż tak naprawdę to wcale nie wiedziała, z jakiej racji to robi. Prawie już nie umiała pojąć, dlaczego czuła się winna za to, co się stało. Gaidal Cain zapewne się ucieszył, że może uciec od tej kobiety. I na dodatek Birgitte wymogła pozwolenie na to, by cesać się tak, jak chce. Nie żeby to miało związek z czymkolwiek.

— W Dwu Rzekach spotkałam kogoś takiego jak ty, Maerion. Calle znała wszystkich strażników kupieckich po imieniu i z pewnością nie miała przed nimi żadnych sekretów.

Uśmiech Birgitte stał się zjadliwy.

— I ja znałam kiedyś kobietę taką jak ty. Mathena patrzyła na mężczyzn z wyżyn swego nosa i nawet kazała stracić jednego biedaka za to, że przypadkiem ją zobaczył, kiedy kąpała się nago. Nigdy nie zaznała pocałunku, dopóki Zheres nie skradł jej całusa. Można było pomyśleć, że po raz pierwszy odkryła mężczyzn. Tak ją wtedy otumaniło, że Zheres musiał ukryć się w górach, by przed nią uciec. Pilnuj się pierwszego mężczyzny, który cię pocałuje. Jakiś się w końcu zjawi, prędzej czy później.

Nynaeve zacisnęła pięści i zrobiła krok w jej stronę. Albo raczej próbowała. Elayne jakimś sposobem stanęła między nimi, z podniesionymi rękoma.

— Obie natychmiast przestańcie! — zawołała, jednako wyniośle mierząc je kolejno wzrokiem. — Lini zawsze powtarzała: „Czekanie zamienia mężczyznę w niedźwiedzia w stodołę, a kobietę w kota w worku”, ale wy natychmiast przestańcie rzucać się na siebie z pazurami! Nie zdzierzę tego ani chwili dłużej!

Ku zdziwieniu Nynaeve Birgitte zaczerwieniła się i ponurym głosem wybąkała przeprosiny. Przeznaczone dla Elayne, oczywiście, ale i tak ją zaskoczyła. Birgitte zdecydowała się trzymać blisko Elayne — nie musiała się ukrywać — ale po trzech dniach upał najwyraźniej zaczął na nią działać równie źle jak na Elayne. Nynaeve ze swej strony obdarzyła Dziedziczkę Tronu najbardziej lodowatym spojrzeniem, na jakie ją było stać. Udało jej się nawet zachować zimną krew, kiedy tak czekały, gniojąc się pospołu w tym zamknięciu — naprawdę udało — ale Elayne z pewnością brakowało przestrzeni do gadania.

— A teraz do rzeczy — powiedziała Elayne, nadal tym samym chłodnym tonem — czy miałaś powód, by wpadać tu jak byk, czy po prostu zapomniałaś, jak się puka?

Nynaeve otworzyła usta, żeby wtrącić coś na temat kotów — tylko łagodnie przypomnieć — ale Birgitte ubiegła ją, głosem pełnym jeszcze większego napięcia.

— Thom i Juilin wrócili z miasta.

— Wrócili! — wykrzyknęła Nynaeve, a Birgitte zerknęła na nią, nim znowu zaczęła mówić do Elayne.

— To ty ich nie posłałaś?

— Nie — odparła ponuro Elayne.

Już była za drzwiami, z Birgitte depczącą jej po piętach, nim Nynaeve zdążyła powiedzieć jakieś słowo. Nie było innego wyjścia tylko pójść za nimi, burcząc coś pod nosem. Lepiej, by Elayne nagle sobie nie pomyślała, że to ona tu rozkazuje. Nynaeve jeszcze jej nie wybaczyła, że tyle pokazuje mężczyznom.

Suchy żar panujący na zewnątrz wydawał się jeszcze gorszy, bowiem słońce wciąż stało nad płóciennym ogrodzeniem otaczającym menażerię. Pot wystąpił jej na czoło, zanim dotarła do stóp drabiny, ale tym razem nie krzywiła się.

Obaj mężczyźni siedzieli na trójnożnych zydlach obok ogniska, ze zmierzwiionymi włosami i w kaftanach, które wyglądały tak, jakby tarzali się po ziemi. Spod złożonej szmatki, którą Thom przyciskał do czaszki, sączył się czerwony strumyczek, prosto na wachlarz z zaschniętej krwi, który pokrywał mu policzek, i plamił długiego siwego wąsa. Purpurowa gruda wielkości kurzego jaja wystawała nad okiem Juilina, który ścisnął swą pałkę z białego sękatego drewna dłonią byle jak owiniętą w zakrwawiony bandaż. Idiotyczny, stożkowaty kapelusz, nasadzony na tył głowy, wyglądał tak, jakby ktoś go podeptał.

Sądząc po hałasach, jakie odzywały się z wnętrza płóciennego ogrodzenia, furmani zabrali się już za czyszczenie klatek, a Cerandin bez wątplenia zajmowała się swoimi *s'redit* — żaden z mężczyzn do nich się nie zbliżał — ale jak dotąd wokół wozów panowało stosunkowo niewielkie zamieszanie. Petra palił fajkę z długim cybuchem, pomagając Clarine w przygotowaniu śniadania. Dwaj bracia Chavana badali jakiś przyrząd wspólnie z Muelin, kobietą-wężem, dwaj inni zaś gawędzili z dwoma z sześciu akrobatek, które Luca podnajął z pokazu Silli Cerano. Twierdziły, że nazywają się Murasaka i że są siostrami, mimo iż wyglądem i barwą skóry różniły się jeszcze bardziej niż bracia Chavana. Jedna z tych dwu, które właśnie w leniwych pozach demonstrowały swe kolorowe jedwabie Brughowi i Taerikikowi, miała niebieskie oczy i prawie białe włosy, druga skórę nieomal tak ciemną jak jej oczy. Wszyscy pozostali ubrali się już do pierwszego przedstawienia tego dnia, mężczyźni w kolorowe spodnie, obnażywszy torsy, Muelin w jaskrawoczerwony trykot i do tego dopasowaną, obcisłą kamizelkę, Clarine w kostium z wysokim karczkiem ozdobiony zielonymi cekinami.

Thom i Juilin przyciągnęli kilka spojrzeń, ale na szczęście nikt nie uznał za konieczne, by dopytywać się o ich zdrowie. Może to przez te miny winowajców i sposób, w jaki siedzieli, ze zwieszonymi ramionami i wzrokiem utkwionym w ziemię. Bez wątplenia wiedzieli, że zostaną wychłostani językami. Nynaeve z pewnością zamierzała im taką chłostę wymierzyć.

Elayne jednakowoż głośno jęknęła na ich widok i biegiem przypadła do boku Thoma; uklękła obok, a cały gniew, który jeszcze chwilę przedtem ją przepeśniał, ulotnił się gdzieś.

— Co się stało? Och Thom, twoja biedna głowa. Jakże to musi boleć! To przekracza moje umiejętności. Nynaeve zabierze cię do środka i obejrzy ranę. Thom, jesteś za stary, żeby się wdawać w takie awantury.

Oburzony, odganiał się od niej, jak potrafił, jednocześnie przytrzymując kompres na swoim miejscu.

— Zostaw to, dziecko. Gorsze rzeczy się ze mną działy, kiedy spadałem z łózka. Zostawisz mnie?

Nynaeve nie zamierzała uprawiać żadnego Uzdrawiania, mimo iż była dostatecznie rozżłoszczona. Ustawiła się przed Juilinem, z pięściami na biodrach i z miną typu: „tylko żadnych głupstw” i „odpowiadaj natychmiast”.

— Co to ma znaczyć! Oddalacie się ukradkiem, nic mi nie mówiąc? — Również po to, by Elayne się dowiedziała, że nie ona tutaj dowodzi. — Gdybyście dorobili się podejrziętych gardeł zamiast tych śliwek na oku, to jak miałybyśmy się dowiedzieć, co się z wami stało? Nie mieliście powodu, żeby się oddalać. Żadnego! O znalezienie statku już zadbano.

Juilin spojrział na nią spode łba, nasuwając kapelusz na czoło.

— Zadbano? Czyżby? Czy to właśnie dlatego wy trzy nabrałyście zwyczaju skradać się niczym... — Urwał, gdy Thom jęknął głośno i zachwiał się.

Kiedy stary bard uspokoił już miotającą się Elayne, protestując, że to był tylko chwilowy napad bólu, że mógłby iść na bal — i obdarzając Juilina znaczącym spojrzeniem, z wyraźną nadzieją, że kobiety tego nie zauważą — Nynaeve zwróciła groźny wzrok na ciemnego Tairenianina, by się dowiedzieć, co on właściwie miał na myśli, mówiąc, że one się skradają.

— Dobrze się stało, żeśmy poszli — odpowiedział jej wymijająco ściśniętym głosem. — Samara to ławica srebrów, które się zleciały do kawałka krwistego mięsa. Na każdej ulicy motłoch poluje na Sprzymierzeńców Ciemności i każdego, kto nie jest gotów uznać, że Prorok to jedyny, prawdziwy głos Smoka Odrodzonego.

— To się zaczęło jakieś trzy godziny temu nad rzeką — wtrącił Thom, z westchnieniem poddając się, gdy Elayne zaczęła mu przemywać twarz wilgotną szmatką. Zdawał się ignorować jej pomruki, co musiało kosztować go nie lada wysiłek, jako że Nynaeve wyraźnie usłyszała między innymi „głupi staruch” i „ktoś musi się tobą zająć, zanim dasz się zabić”, wymawiane tonem równo rozdrażnionym co czułym. — Jak do tego doszło, nie wiem. Słyszałem, jak winą obarcza-

no Aes Sedai, Białe Płaszczce, trolloki, wszystkich prócz Seanchan, a gdyby tutaj znano tę nację, to też by ich obwiniano. — Skrzywił się, gdy Elayne przycisnęła szmatkę nieco mocniej. — Nie dowiedzieliśmy się więcej, bo przez ostatnią godzinę byliśmy za bardzo zajęci próbami wydostania się stamtąd.

— Tam się pali — oznajmiła Birgitte. Petra i jego żona zauważyli, że wskazuje coś ręką, więc wstali i spojrzeli z niepokojem w tamtą stronę. Nad miastem widocznym ponad płócienną ścianą zawisły dwa ciemne pióropusze dymu.

Juilin wstał i spojrzął twardo w oczy Nynaeve.

— Czas jechać. Może będziemy zanadto rzucać się w oczy, przez co Moghedien mogłaby nas znaleźć, ale ja w to wątpię; wszędzie pełno ludzi, którzy rozbiegli się na wszystkie możliwe strony. Za dwie godziny nie będą to dwa pożary ale pięćdziesiąt i unikanie jej na nic nam się zda, jeśli motłoch rozedrze nas na strzępy. Zaaatakują menażerie, kiedy już zdemolują wszystko, co da się zdemolować w mieście.

— Nie wymawiaj tego imienia — skarciła go Nynaeve, rzucając w stronę Elayne krzywe spojrzenie, którego ta nie zauważyła. Kłopot polegał na tym, że on miał rację, ale błędem jest informowanie mężczyzny o czymś takim przedwcześnie. — Przemysłu twoją sugestią, Juilin. Nie zdzierzyłabym, gdybyśmy uciekli stąd bez powodu, a potem jeszcze się dowiedzieli, że tuż po naszym wyjeździe zawitał tu jakiś statek.

Gapił się na nią tak, jakby zwariowała, a Thom potrząsnął głową, mimo że Elayne wciąż jeszcze ją obmywała, ale Nynaeve wyjaśniała na widok postaci, która szła w ich stronę, przeciskając się między wozami.

— Może już zawitał.

Na widok pomalowanej łatki na oku i pokierszowanej twarzy Uno, kępki włosów na czubku czaszki oraz miecza na plecach, Petra i niektórzy bracia Chavana zdawkowo skinęli głowami, a Muelin zadrżała. Co wieczór osobiście składał im obowiązkową wizytę, mimo iż nie miał o czym donieść. Jego obecność o tej porze musiała oznaczać, że tym razem coś wie.

Jak zwykle uśmiechnął się szeroko do Birgitte, ledwie ją zobaczył, i przewrócił jedynym okiem, ostentacyjnie wbijając je w obnażone łono, a ona jak zwykle odwzajemniła uśmiech i leniwie zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Tym razem jednak Nynaeve nie przejęła się ich nagannym zachowaniem.

— Czy pojawił się jakiś statek?

Uśmiech Uno zniknął.

— Jest chol... statek — odparł ponuro — o ile dostaniecie się do niego w całości.

— Wiemy wszystko o zamieszkach. Piętnastu Shienaran bez wątpienia przeprowadzi nas bezpiecznie.

— Wiecie już o zamieszkach — mruknął, przypatrując się Thomowi i Juilino wi. — A czy wy chol... czy wiecie, że ludzie Masemy walczą z Białymi Płasz-

czami na ulicach? Wiecie, że ten przek... że on kazał swym ludziom opanować Amadicię ogniem i mieczem? Za chol... aach!... za rzeką są już ich tysiące.

— Może i tak jest — odparła stanowczo Nynaeve — ale ja spodziewam się, że postacie tak, jak obiecaliście. Obiecaliście być mi posłuszni, o ile sobie przypominasz. — Położyła nacisk na słowo „mi” i spojrzała znacząco na Elayne.

Młodsza kobieta wstała, udając, że nie patrzy, z zakrwawionym ręcznikiem w dłoni i skierowała uwagę na Uno.

— Zawsze mi mówiono, że Shienaranie zaliczają się do najodważniejszych żołnierzy na świecie. — Ostry jak brzytwa ton jej głosu zniecała popłynął królewskim jedwabiem i miodem. — Kiedy byłam mała, nasłuchiwałam się opowieści o shienarańskiej odwadze. — Wspierała dłoń na ramieniu Thoma, ale nie oderwała wzroku od Uno. — Pamiętam je do dzisiaj. Mam nadzieję, że zawsze je będę pamiętać.

Birgitte podeszła bliżej i zaczęła masować kark Uno, patrząc mu jednocześnie prosto w oczy. Wściekle czerwone oko namalowane na łacie bynajmniej nie wydawało się wytrącać jej z równowagi.

— Trzy tysiące lat pilnowania Ugoru — powiedziała łagodnie. Łagodnie. Mięły dwa dni, odkąd ostatni raz tak przemawiała do Nynaeve! — Trzy tysiące lat i nigdy ani kroku w tył, który nie zostałby po dziesięciokroć odpłacony krwią. Może nie jest to Enkara albo Krok Soralle, ale ja wiem, że sobie poradzicie.

— A ty co? — warknął. — Przeczytałaś wszystkie przekłete historie o przeklętych Ziemiach Granicznych, czy jak?

Natychmiast wzdrygnął się i zerknął na Nynaeve. Koniecznie trzeba mu powiedzieć, że wymaga się od niego absolutnej czystości języka. Nie reagował na to najlepiej, ale to jedyna metoda na oduczenie go tego nałogu, więc Birgitte nie powinna patrzeć na nią z takim niezadowoleniem.

— Może wy z nimi pogadacie? — zwrócił się do Thoma i Juilina. — Poważenie się na coś takiego to przek... to głupota.

Juilin załamał ręce, a Thom zaniósł się gromkim śmiechem.

— Czy ty kiedykolwiek poznał kobietę, która usłuchała głosu rozsądku, kiedy nie chciała? — odparł bard. Chrząknął, kiedy Elayne odjęła kompres i zaczęła dotykać jego rozplataną czaszkę z nieco może większą siłą niż to było rzeczywiście konieczne.

Uno potrząsnął głową.

— Cóż, jeśli mi pisane, że dam się omamić, to nie wątpię, że tak się stanie. Ale wiedzcie jedno. Ludzie Masemy znaleźli statek... nazywa się „Rzeczna Żmija” czy jakoś tak... w niecałą godzinę po tym, jak wpłynął do przystani, ale przejęły go Białe Płaszczce. To właśnie był początek tej awantury. Złe wieści są takie, że Białe Płaszczce nadal trzymają przystań. Co gorsza, Masema zapomniał chyba o statku; poszedłem się z nim zobaczyć, a on nawet nie chciał słuchać o statkach. Potrafił gadać tylko o wieszaniu Białych Płaszczki i zmuszeniu Amadicii, by ukł-

kła przed Lordem Smokiem, choćby miał zamienić cały ten kraj w pochodnię, nawet nie raczył dodać, że w to samo zamieni również swoich ludzi. Nad rzeką toczyły się walki, może jeszcze się toczą. Już samo przeprowadzenie was przez tereny ogarnięte zamieszkami może okazać się trudne, ale jeśli bitwa toczy się na przystani, to niczego nie obiecuję. I zupełnie nie wiem, jak mam was wsadzić na statek, który jest w rękach Białych Płaszczy. — Zrobił długi wydech i otarł pot z czoła wierzchem pokrytej bliznami dłoni. Twarz uzewnętrzniała wysiłek, jaki musiał włożyć w wygłoszenie tak długiej przemowy bez ani jednego przekleństwa.

W tej chwili Nynaeve może by nawet zmiękła odnośnie jego wystawiania się — gdyby nie była zanadto oszołomiona, by przemówić. To na pewno zbieg okoliczności.

„Światłości, powiedziałam, wszystko za statek, ale nie to miałam na myśli. Nie to!”

Nie rozumiała, dlaczego Elayne i Birgitte wpatrują się w nią z takimi nieodgadzionymi minami. Wiedziały tyle samo co ona, a jednak żadna nie poruszyła tej możliwości. Trzej mężczyźni zamienili zdawkowo spojrzenia, najwyraźniej świadomi, że coś się dzieje i równie nieświadomi, co to takiego, za co Światłości doprawdy należały się podziękowania. Znacznie lepiej, jak nie wiedzieli wszystkiego.

To na pewno zbieg okoliczności.

Z jednej strony była bardziej niż szczęśliwa, że może skupić wzrok na drugim mężczyźnie, który przedzierał się ku nim między wozami; miała dzięki temu wymówkę, by oderwać oczy od Elayne i Birgitte. Z drugiej zaś, na widok Galada jej żołądek skurczył się z bólu.

Zamiast białego płaszcza i wypolerowanej kolczugi, nosił zwykłą wełnę i płaski, aksamitny kapelusz; miecz na szczęście spoczywał jak zawsze przy biodrze. Dotychczas nie złożył im jeszcze żadnej wizyty wśród wozów i efekt, jaki wywarła jego twarz, był oszałamiający. Muelin mimo woli zrobiła krok w jego stronę, a dwie smukłe akrobatki pochylili się do przodu z rozchylonymi ustami. Bracia Chavana, o których całkiem zapomniały, patrzyli na niego spode łba. Nawet zagapiona Clarine zaczęła wygładzać suknię, dopóki Petra nie wyjął fajki z ust. I czegoś nie powiedział. Zaszła go wtedy, siedzącego, od tyłu i śmiejąc się, przytuliła jego twarz do pulchnego łona. Ale jej oczy nadal śledziły Galada ponad głową męża.

Nynaeve nie była teraz w nastroju, żeby się zachwycać przystojnymi twarzami; tym razem jej oddech przyspieszył tylko nieznacznie.

— To przez ciebie, nieprawdaż? — spytała podniesionym tonem, jeszcze zanim do niej podszedł. — To ty zarekwirowałaś „Rzeczną Żmiję”, prawda? Dlaczego?

— „Rzecznego Węża” — poprawił, z niedowierzaniem mierząc ją wzrokiem.

— Sama prosiłaś, żebym załatwił dla was statek.

— Nie prosiłam cię, żebyś wszczywał zamieszki!

— Zamieszki? — wtrąciła się Elayne. — To wojna. Inwazja. I wszystko zaczęło się od tego statku.

Galad odpowiedział spokojnie.

— Dałem Nynaeve moje słowo, siostrzo. Moim pierwszym obowiązkiem jest dopilnowanie, byś ty bezpiecznie dotarła do Caemlyn. I Nynaeve także. Synowie i tak będą musieli, prędzej czy później, stanąć do walki z tym Prorokiem.

— A nie mogłeś nas zwyczajnie powiadomić, że statek tu jest? — spytała przytomnie Nynaeve. Mężczyźni i ich obietnice! Ich postępowanie bywało godne podziwu, czasami, ale należało posłuchać Elayne, kiedy ta twierdziła, że jej brat postępuje zgodnie z tym, co jego zdaniem jest słusznie, i nie obchodzi go, czy ktoś na tym ucierpi.

— Nie wiem, na co Prorokowi był statek, ale wątpię, by chciał wam załatwić podróż w dół rzeki. — Nynaeve. wzdrygnęła się. — Poza tym zapłaciłem kapitanowi za wasz przewóz, kiedy jeszcze wyładowywał towar. Godzinę później jeden z pozostawionych tam przeze mnie dwóch ludzi, którzy mieli dopilnować, by on bez was nie odpłynął, powiadomił mnie, że drugi nie żyje i że Prorok zajął statek. Nie rozumiem, czym się tak przejmujecie. Chciałyście statku, potrzebowałyście statku i oto ja wam go załatwiłem. — Galad zwrócił się do Thoma i Juilina, marszcząc czoło. — Co jest z nimi? Dlaczego one tak na siebie patrzą?

— Kobiety — odparł lakonicznie Juilin i oberwał po głowie od Birgitte za to, że się wtrąca. Spojrzał na nią spode łba.

— Końskie gzy paskudnie gryzą — powiedziała z szerokim uśmiechem i Juilin poprawił kapelusze z niepewnością, która zastąpiła groźne spojrzenie.

— Będziemy tak tu siedzieli cały dzień i dyskutowali o tym, co słuszne, a co nie — stwierdził sucho Thom — albo wsiądziemy na ten statek. Opłata za przewóz została uiszczona i jej zwrotu nie ma co się spodziewać.

Nynaeve ponownie się wzdrygnęła. Niezależnie od tego, co on chciał przez to powiedzieć, wiedziała dobrze, co usłyszała.

— Mogą być kłopoty z dotarciem do rzeki — powiedział Galad. — Odziałem się tak, w danej chwili bowiem Synowie nie są popularni w Samarze, ale ten motłoch jest gotów atakować każdego. — Z wyraźną dezaprobatą przyjrzał się Thomowi z jego siwymi włosami i długimi siwymi wąsami, Juilinowi nieco bardziej pobieżnie — Tairenianin, nawet w wymiętym ubraniu i rozczochrany, wyglądał na dość twardego, by mógł bić się ze słupami — po czym zwrócił się do Uno. — Gdzie twój kompan? Przydałby się jeszcze jeden miecz, zanim dotrzemy do moich ludzi.

Uno uśmiechnął się złowrogo. Najwyraźniej nie było między nimi większej miłości niż podczas pierwszego spotkania.

— Kręci się w pobliżu. I może jeden albo dwóch więcej. Odprowadzę je do statku, pod warunkiem, że te twoje Białe Płaszczki go obronią. Albo i nie obronią.

Elayne otworzyła usta, ale Nynaeve odezwała się szybciej.

— Dość tego, obaj! — Elayne tylko by próbowała tych swoich podlanych miodem przemów. Może przynosiły skutek, ale ona postanowiła, że przejdzie do ataku. — Musimy działać szybko. — Szkoda, że kiedy kierowała tych dwóch szaleńców na jeden cel, nie zastanowiła się, co się stanie, jeśli obaj osiągną go jednocześnie. — Uno skrzyknij resztę swoich ludzi, najszybciej jak potrafisz. — Próbował jej powiedzieć, że czekają już za menażerią, ale ona z determinacją ciągnęła dalej. To szaleńcy, obydwaj. Wszyscy mężczyźni to szaleńcy! — Galad, ty...

— Pobudka! Wstawać! — wciął się w jej słowa okrzyk Luki, który biegł między wozami, kulejąc, z barwnym siniakiem na policzku. Szkarłatna peleryna była brudna i podarta. Wychodziło na to, że nie tylko Thom i Juilin wyprawili się do miasta. — Brugh, każ furmanom zaprzęgać! Płótno zostawiamy — dodał, krzywiąc się — ale życzę sobie, żebyśmy za godzinę byli w drodze. Andaya, Kuan, wyciągnijcie siostry! Pobudźcie wszystkich, którzy jeszcze śpią, a jeśli się myją, to powiedzcie im, że albo ubiorą się brudni albo będą jechać nago! Spieszcie się, chyba że zamierzacie ogłosić się Prorokami i pomaszerować na Amadicię! Chin Akima już stracił głowę, razem z połową swoich artystów, a Sillia Cerano i połowa jej wykonawców zostali wychłostani za opieszałość! Ruszajcie!

Do tego czasu wszyscy z wyjątkiem zebranych wokół wozu Nynaeve już biegali.

Luca podszedł do nich, wolniej kuśtykając i czujnie obserwując Galada. I również Uno, mimo że już dwukrotnie, wcześniej widział jednookiego mężczyznę.

— Nana, chcę z tobą pogadać — powiedział cicho. — W cztery oczy.

— Nie jedziemy z tobą, panie Luca — odparła.

— W cztery oczy — powtórzył i, chwyciwszy ją za ramię, odwrócił na bok.

Obejrzała się, by powiedzieć pozostałym, że mają nie przeszkadzać — i stwierdziła, że nie ma takiej potrzeby. Elayne i Birgitte biegły w stronę płociennego muru ogradzającego menażerię, natomiast czterej mężczyźni pograżyli się w rozmowie, rzucając tylko sporadyczne spojrzenia na nią i Lukę. Głośno pociągnęła nosem. Wspaniali mężczyźni, nie ma co; patrzą na poniewieraną kobietę i nic nie robią.

Maszerowała u boku Luki, wyswobodziwszy ramię, zamasyście wymachując jedwabnymi spódnicami na znak niezadowolenia.

— Przypuszczam, że chcesz swoich pieniędzy teraz, skoro odjeżdżamy. No cóż, otrzymasz je. Sto złotych marek. Aczkolwiek ja uważam, że powinieneś coś opuścić za wóz i konie, które ci zostawiamy. I za to, co zarobiłyśmy. Z pewnością dzięki nam widzów było więcej. Morelin i Juilin z ich chodzeniem po linie, ja ze strzałami, Thom...

— Uważasz, że mi chodzi o złoto, kobieto? — natarł na nią. — Gdyby tak było, zażądałbym go tego samego dnia, kiedy przekroczyliśmy rzekę! I co, zażądałem? Czy w ogóle się zastanowiłaś, dlaczego tego nie uczyniłem?

Wbrew sobie zrobiła krok w tył, uroczyście zaplatając ręce pod piersiami. I natychmiast pożałowała, że to zrobiła; ta poza jeszcze bardziej podkreślała to, co tak eksponowała. Upór jednak kazał jej zatrzymać ręce tam, gdzie się znalazły — nie zamierzała dopuścić, by sobie pomyślał, że ją speszył, zwłaszcza w chwili, gdy tak się rzeczywiście stało — ale o dziwo, on patrzył jej w oczy. Może był chory. Nigdy przedtem nie unikał patrzenia na jej łono, a jeśli Valan Luca nie interesował się ani jej łonem, ani złotem... — Jeśli nie o złocie, o to o czym w takim razie chcesz ze mną rozmawiać?

— Przez całą drogę, od miasta aż do tego miejsca — powiedział wolno, mierząc ją wzrokiem — stale myślałem o tym, że teraz już odejdziecie na dobre.

Znowu nie chciała się cofnąć, mimo że on stanął nad nią i wpatrywał się w nią z napięciem. Przynajmniej wciąż patrzył na twarz.

— Nie wiem, przed czym wy uciekacie, Nana. Czasami niemalże wierzę w twoją opowieść. Morelin z pewnością ma arystokratyczne maniery. Ale ty nigdy nie byłaś żadną pokojówką. Przez ostatnie kilka dni prawie się spodziewałem, że zobaczę, jak tarzacie się po ziemi i wyrywacie sobie wzajem włosy. Z Maerion na górze.

Musiał coś dostrzec na jej twarzy, bo kaszlnął i szybko ciągnął dalej.

— Chodzi o to, że mógłbym znaleźć kogoś innego, do kogo strzelałaby Maerion. Krzyczysz tak pięknie, każdy by pomyślał, że jesteś naprawdę przestraszona, ale... — Znowu kaszlnął i zrobił krok w tył. — Staram się. powiedzieć, że chcę, byś została. Świat jest szeroki, tysiące miast czeka na takie przedstawienia jak moje i to, przed czym uciekasz, nigdy cię przy mnie nie znajdzie. Kilku ludzi Akimy i niektórzy od Silii, co jeszcze nie przeszli na drugą stronę rzeki, przyłączą się do mnie. Widowisko Valana Luki będzie największe, jakie świat kiedykolwiek widział.

— Zostać? Po co miałabym zostać? Na samym początku powiedziałam ci, że chcemy dostać się do Ghealdan i nic się od tego czasu nie zmieniło.

— Po co? Po to, żeby dać mi dzieci, rzecz jasna! — Ujął jej dłoń. — Nana, twoje oczy spijają ze mnie duszę, od twoich warg me serce staje w ogniu, na widok twych ramion puls mi cwałuje, twoje...

Przerwała mu pospiesznie.

— Chcesz się ze mną ożenić? — spytała z niedowierzaniem.

— Ożenić? — Zamrugał — No... tego... tak. Tak, oczywiście — Jego głos znowu nabralł mocy; przycisnął jej palce do swoich ust. — Zostaniemy sobie poślubieni w pierwszym mieście, w którym uda mi się to zaaranżować. Nigdy wcześniej nie oświadczałem się żadnej kobiecie.

— Prawie w to wierzę — odparła omdłym głosem. Z niejakim wysiłkiem wyrwała rękę. — oceniam ten zaszczyt, panie Luca. ale...

— Valan, Nana. Valan.

— Ale ja muszę odmówić. Jestem zaręczona z innym. — No cóż, w pewnym sensie była. Lan Mandragoran mógł uważać, że sygnet od niego to tylko podarek, ale ona traktowała to inaczej. — I wyjeżdżam.

— Powiniennem cię związać i porwać. — Brud i zmarszczki nieco popsuły wymowny wymach peleryną, kiedy Luca się wyprostował. — Z czasem zapomnisz o tym mężczyźnie.

— Spróbuj, a za moim rozkazem Uno sprawi, że pożałujesz, żeś nie został przerobiony na kielbasę. — Co ledwie odstraszyło tego głupca. Z całej siły dźgnęła go palcem w pierś. — Nie znasz mnie, Valanie Luca. Nic o mnie nie wiesz. Moi wrogowie, ci, których ty sobie tak łatwo lekceważysz, zmuszą cię, byś zdjął skórę i zatańczył grzechocząc szkieletem, a ty będziesz wdzięczny, że ci nic więcej nie zrobili. I koniec gadania! Zaraz wyjeżdżam i nie mam czasu na wysłuchiwanie twoich tyrad. Nie, nie mów nic więcej! Podjęłam decyzję i ty jej nie zmienisz, więc po prostu przestań paplać!

Luca westchnął ciężko.

— Jesteś dla mnie wymarzoną kobietą, Nano. Niechaj inni mężczyźni wybierają nudne pochlebczynie z ich bojaźliwymi westchnieniami. Mężczyzna, który się zbliża do ciebie, winien wiedzieć, że czeka go przeprawa przez ogień i ujarzmianie lwicy gołymi dłońmi. Każdy dzień z tobą to przygoda, a noc... — Za ten uśmiech omal nie wytargała go za uszy. — Odnajdę cię jeszcze, Nano, i ty zdecydujesz się na mnie. Czuję to tutaj. — Dramatycznie uderzył się pięścią w pierś i jeszcze bardziej pretensjonalnie zamiótł peleryną. — I ty też o tym wiesz, moja najdroższa Nano. W głębi serca wiesz o tym.

Nynaeve nie wiedziała, czy kręcić głową, czy raczej wytrzeszczać oczy. Mężczyźni są szaleni. Wszyscy bez wyjątku.

Upał się, że ją odprowadzi do wozu, trzymając za rękę, jakby byli na balu.

W trakcie marszu przez sam środek tumultu wywołanego przez furmanów, którzy biegli zaprzęgać konie do wozów, pokrzykiwania mężczyzn, rzenie koni, porykiwania niedźwiedzi, pomruki lampartów, Elayne pomyślała sobie, że można by porównać ją z jakimś zwierzęciem, przez to jej gniewne burczenie pod nosem. Nynaeve nie miała prawa jej wytykać, że pokazuje nogi. Zauważyła przecież, jak ta kobieta się wyprężyła, kiedy pojawił się Valan Luca. I że głębiej oddychała. Na widok Galada również, skoro już o tym mowa. Wcale tak nie przepada za noszeniem spodni. Są wygodne, to prawda, i chłodniejsze od spódnic. Rozumiała teraz, dlaczego Min postanowiła nosić męskie ubrania. Prawie rozumiała. Wystarczyło jeszcze uporać się z wrażeniem, że kaftan to tak naprawdę suknia, która ledwie

zakrywa ci biodra. Jak dotąd to jej się udawało. Co wcale nie znaczyło, że pozwoli, by Nynaevae o tym wiedziała, ona i jej jadowity język. Ta kobieta powinna była zrozumieć, że Galad zignoruje koszty dotrzymania obietnicy. Jakby Elayne nie opowiadała jej o nim dostatecznie często. I jeszcze te konszachty z Prorokiem! Nynaevae przystąpiła do działania, zupełnie się nie namyślając, co robi.

— Mówiłaś coś? — spytała Birgitte. Zgarnęła spódnice w jedną dłoń, by móc dotrzymać jej kroku, bezwstydnie obnażając nogi od niebieskich, brokatowych trzewików aż do tej partii, która zaczynała się dobrze powyżej kolan. Cienkie, jedwabne pończochy wcale nie kryły więcej niż spodnie.

Elayne zatrzymała się wpół kroku.

— Co ty myślisz o moim ubraniu?

— Że pozwala na swobodę ruchów — odparła rozsądnie druga kobieta. Elayne przytaknęła. — No i oczywiście powinnaś się cieszyć, że twoje siedzenie nie jest zbyt duże, tylko zwarte jak u. . .

Elayne gwałtownymi ruchami obciągnęła kaftan, z wściekłością ruszając z miejsca.

Język Nynaevae był niczym w porównaniu ze sposobem mówienia Birgitte. Ta naprawdę powinna złożyć jakąś przysięgę posłuszeństwa, albo przynajmniej okazać chociaż trochę należącego szacunku. Będzie musiała o tym pamiętać, kiedy przyjdzie czas związać Randa. Kiedy Birgitte ją dogoniła, ze skwaszoną miną, jakby to ją wyprowadzono z równowagi, żadna się nie odezwała.

Jasnowłosa Seanchanka, odziana w zielone cekiny, naprowadzała z pomocą biczu ogromnego byka *s'redit*, który popychał łbem ciężki wóz z klatką czarno-grzywego lwa. Furman w wytartej, skórzanej kamizeli trzymał bufor wozu, nakierowując go do miejsca, gdzie łatwiej było zaprzęgnąć konie. Zdenerwowany lew krążył tam i z powrotem po klatce, machając ogonem i co jakiś czas wydając z gardła ochryply pomruk, który brzmiał jak zaczątek potężnego ryku.

— Cerandin — powiedziała Elayne. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Za chwilę, Morelin. — Tak była skupiona na rozgniewanym zwierzęciu z ogromnymi kłami, że jej szybka, bełkotliwa mowa stała się nieomal niezrozumiała.

— Teraz, Cerandin. Mamy mało czasu.

Kobieta jednak nie zatrzymała *s'redit*, dopóki furman nie zawołał, że wóz znalazł się na właściwym miejscu. Wtedy zniecierpliwionym głosem rzekła:

— Czego ci trzeba, Morelin? Mam jeszcze dużo do roboty. Poza tym chciałybym się przebrać; ta suknia nie nadaje się do podróży. — Zwierzę czekało za nią cierpliwie.

Elayne nieznacznie zacisnęła usta.

— Odjeżdżamy, Cerandin.

— Tak, wiem. Zamieszki. Nie powinno się dopuszczać do takich rzeczy. Jeśli ten Prorok chce nam zrobić krzywdę, to dowie się, że Mer i Sanit też to potrafią.

— Odwróciła się, by podrapać pomarszczony kark Mer batem, a on dotknął jej ramienia długim pyskiem. „Trąba”, tak Cerandin nazywała ten pysk. — Niektórzy wolą do bitwy zaprzęgać *lopary* albo *grolmy*, jednak *s’redit*, odpowiednio wykorzystano...

— Przestań mówić i posłuchaj — przerwała jej stanowczo Elayne. Z wielkim wysiłkiem zachowała godność; Seanchanka była taka tępa, a Birgitte stała z boku z założonymi ramionami. Nie miała wątpliwości, że Birgitte tylko czeka, aż będzie mogła powiedzieć coś kąśliwego. — Nie mówię o menażerii. Mam na myśli siebie, Nanę i ciebie. Wsiadamy dzisiaj na statek. Za kilka godzin raz na zawsze znajdziemy się poza zasięgiem Proroka.

Cerandin wolno pokręciła głową.

— Mało który ze statków pływających po rzece udźwignie *s’redit*, Morelin. A nawet gdybyś taki znalazła, to co one by potem robiły? Co ja bym robiła? Samodzielnie raczej nie zarobię tyle co u pana Luki, nawet gdybyś ty chodziła po linie, a Maerion strzelała ze swojego łuku. I nawet gdyby Thom żonglował. Nie. Lepiej będzie, jak zostaniemy z menażerią.

— *S’redit* trzeba będzie zostawić — przyznała Elayne — ale jestem pewna, że pan Luca zaopiekuje się nimi. Nie będziemy występować, Cerandin. Już nie trzeba. Tam, gdzie się wybieram, są tacy, którzy chcieliby się dowiedzieć o... — zauważyła, że w pobliżu przystaje jeden z furmanów, mizerny jegomość z wydatnym, bulwiastym nosem, wyraźnie zamierzając jej słuchać — ... miejscu, z którego pochodzisz. Znacznie więcej niż już nam powiedziałaś. — Nie, on nie słuchał. On się gapił. To na jej nogi, to na łono Birgitte. Patrzyła na niego dopóty, dopóki jego bezecny uśmiech nie osłabł nareszcie, i mężczyzna umknął do swych obowiązków.

Cerandin znowu potrząsnęła głową

— Mam zostawić Mer, Sanit i Nerin pod opieką ludzi, którzy boją się do nich podejść? Nie. Morelin. Zostaniemy z panem Luca. Ty także zostań. Tak jest znacznie lepiej. Pamiętasz, jakie byłyście sponiewierane w dniu, kiedy się zjawiłyście? Lepiej nie wracajcie do tego.

Elayne zrobiła głęboki wdech i podeszła bliżej. Nikt prócz Birgitte nie stał dość blisko, by to słyszeć, ale nie chciała głupio ryzykować.

— Cerandin, ja naprawdę jestem Elayne z Domu Trakand, Dziedziczka Tronu Andoru. Któregoś dnia zostanę królową Andoru.

Biorąc pod uwagę zachowanie tej kobiety pierwszego dnia, a tym bardziej to, co im opowiadała o Seanchanach, raczej należało sądzić, że to zdusi wszelki opór. A jednak Cerandin spojrzała jej prosto w oczy.

— W dnu waszego przybycia, twierdziłaś, że jesteś damą, ale... — Wydeła wargi i zmierzyła wzrokiem spodnie Elayne. — Dobrze chodzisz po linie, Morelin. Jak będziesz dużo ćwiczyć, to może któregoś dnia będzie ci dane wystąpić przed Cesarzową. Każdy ma jakieś miejsce i każdy należy do swojego miejsca.

Elayne przez chwilę tylko poruszała bezgłośnie ustami. Cerandin jej nie uwierzyła!

— Dość już czasu zmarnowałam, Cerandin.

Sięgnęła do ręki kobiety, by w razie takiej konieczności zwyczajnie użyć siły, ale Cerandin złapała ją za rękę, wykręciła i Elayne, z wytrzeszczonymi oczyma, stanęła zniecacka na palcach, zastanawiając, czy najpierw pęknie jej nadgarstek, czy raczej ramię zostanie wyrwane z barku. A Birgitte stała tam tylko, z rękoma założonymi pod piersiami, i jeszcze miała czelność unieść pytająco brew!

Elayne zazgrzytała zębami. Nie będzie prosić o pomoc.

— Puść mnie, Cerandin — zażądała, żałując, że mówi ta bez tchu. — Powiedziałam, puść!

Cerandin puściła ją, po chwili, po czym ostrożnie odeszła na bok.

— Jesteś przyjaciółką, Morelin, i zawsze nią będziesz. Któregoś dnia może zostaniesz damą. Masz maniery, a jeśli zrobisz wrażenie na jakimś lordzie, to on weźmie cię za jedną z jego *asa*. *Asa* zostają czasem żonami. Podążaj w Światłości, Morelin. Ja muszę skończyć swoją pracę. — Wyciągnęła bicz w stronę Mer, która owinęła wokół niego trąbę i pozwoliła się poprowadzić dalej.

— Cerandin! — zawołała ostrym tonem Elayne. — Cerandin! — Jasnowłosa kobieta nie obejrzała się. Elayne spiorunowała wzrokiem Birgitte. — Strasznie się przydałaś, nie ma co! — warknęła i odeszła, zanim tamta zdążyła odpowiedzieć.

Birgitte dogoniła ją i zaczęła iść u jej boku.

— Z tego, co słyszałam i widziałam, wnoszę, że spędziłaś sporo czasu na uczeniu tej kobiety, że ma kręgosłup. Spodziewałaś się, że ci pomogę na powrót jej go złamać?

— Do niczego takiego nie dążyłam — mruknęła Elayne. — Próbowałam się nią zaopiekować. Ona się znalazła daleko od domu, zawsze obca, gdziekolwiek się nie uda, a są tacy, którzy nie potraktowaliby jej uprzejmie, gdyby się dowiedzieli, skąd ona pochodzi.

— Ona sprawia wrażenie takiej, która znakomicie potrafi zadbać a siebie — odparła oziębło Birgitte. — Może tego też ją nauczyłaś? Może rzeczywiście była bezradna, zanim ją znalazłaś?

Wzrok Elayne zdawał się z niej ześlizgiwać niczym ład spływający z rozgrzanej stali.

— Stałaś tylko i obserwowałaś ją. A podobno jesteś moim... — rozejrzała się dookoła; to było tylko krótkie spojrzenie, ale furmani natychmiast podwracali głowy — moim Strażnikiem. Masz pomagać mi się bronić, kiedy nie mogę przenosić.

Birgitte też rozejrzała się dookoła, ale niestety w pobliżu nie była nikogo, by pomogło ta poskromić język.

— Będę cię bronić, kiedy będzie ci groziło jakieś niebezpieczeństwo, ale jeśli grozi ci tylko tyle, że ktoś przełoży cię przez kolano, bo zachowałaś się niczym

rozpieszczone dziecko, to wówczas będę musiała decydować, czy nie lepiej, byś dostała nauczkę, która na drugi raz oszczędzi ci tego samego albo czegoś jeszcze gorszego. Ty jej wyznałaś, że jesteś dziedziczką jakiegoś tronu! Też coś! Skoro chcesz zostać Aes Sedai, to lepiej zacznij już ćwiczyć naginanie prawdy, a nie roztrzaskiwanie jej na okruchy.

Elayne wytrzeszczyła oczy. Po czym omal nie potknęła się o własne nogi, kiedy udało jej się wykrztusić:

— Ależ ja się uczę!

— Skoro tak mówisz — powiedziała Birgitte, znacząco przewracając oczyma w stronę spodni z cekinami.

Elayne nie umiała się już dłużej powstrzymać. Nynaeve posługiwała się językiem niczym igłą, Cerandin była uparta jak dwa muły, a teraz jeszcze to. Odzuciła głowę w tył i sfrustrowana zaczęła krzyczeć wniebogłosy.

Kiedy jej krzyk zamarł, wydało się, że wszystkie zwierzęta się uspokoiły. Dookoła stali i patrzyli na nią furmani. Zignorowała ich chłodno. Już teraz nic jej nie zajdzie za skórę. Była zimna jak lód, znakomicie nad sobą panowała.

— Czy to było wołanie o pomoc? — spytała Birgitte, przekrzywiając głowę — a może raczej jesteś głodna? Myślę, że umiałabym znaleźć mamkę w...

Elayne oddaliła się wielkimi krokami, z warczeniem, z którego byłby dumny każdy lampart.

POŻEGNANIA

Po powrocie do wozu Nynaeve przebrała się w skromną suknię, mrużąc rozdrażniona, że sama, bez niczyjej pomocy, musi rozpiąć jeden komplet guzików i zapiąć drugi. Prosta szara wełna, cienka i niewymyślnie skrojona, uszłaby wszędzie bez komentarza, ale była zdecydowanie za ciepła. Mimo tego przyjemnie było znowu odziać się przyzwocie. Choć nieco dziwnie, jakby włożyła za dużo ubrań. To na pewno przez ten upał.

Uklękła pospiesznie przed małym piecykiem z blaszonym kominem i otworzyła żelazne drzwiczki, za którymi kryły się ich kosztowności.

Skrecony, kamienny pierścień schowała prędko do mieszka przy pasie, razem z ciężkim sygnetem Lana i złotym pierścieniem ze Złotym Wężem. Niewielki połączony kuferek z klejnotami, które otrzymały w podarunku od Amathery, powędrował do skórzanej torby wraz z woreczkami z ziołami, które zabrała w Mardecin z domu Rony Macury, oraz mały moździerz i tłuczek do ich preparowania; woreczki obmacała palcem, żeby sobie przypomnieć, co zawierają: od komosy po tamten straszny widłokorzeń. Listy kredytowe też tam powędrowały oraz trzy z sześciu sakiewek, już nie tak wypchanych jak przed opłaceniem ich podróży z menażerią do Ghealdan. Luca nie interesował się może swymi stu złotymi markami, ale nie miał skrupułów, gdy przyszło do zwrotu kosztów. Do pierścieni dołączył także jeden z listów, który upoważniał okaziciela, że może zrobić, co zechce w imieniu Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Do Samary nie dotarło nic więcej jak tylko niejasne pogłoski, że w „Tar Valon zaistniały jakieś kłopoty”; może jakoś wykorzysta ten list, nawet z podpisem Siuan Sanche. Szkatułkę z ciemnego drewna zostawiła na miejscu, obok trzech sakiewek, a także jutowej torby zawierającej a'dam — tego przedmiotu z pewnością nie miała chęci dotykać — oraz srebrnej strzały, którą Elayne znalazła w noc tamtego nieszczęsnego spotkania z Moghedien.

Przez chwilę patrzyła krzywo na strzałę, myśląc o Moghedien. Bezwzględnie należy zrobić wszystko, żeby jej tylko unikać. Bezwzględnie.

„Raz nad nią zatriumfowałam!”

A za drugim razem została powieszona niczym kiełbasa w kuchni. Gdyby nie Birgitte...

„Sama dokonała wyboru”.

Ta kobieta osobiście tak powiedziała i to była prawda.

„Mogłam ją znowu pokonać. Mogłam. Ale gdybym przegrała. . .”

Gdyby przegrała. . .

Starła się tylko jak ognia unikać skórzanej sakiewki, wepchniętej na sam tył, doskonale zresztą zdając sobie, z tego sprawę; wszakże nie było nawet cienkiej jak włos różnicy między przeżywaną ohydą a myślą, by mogła wpaść w ręce Moghedien. Zrobiła głęboki wdech, ostrożnie wsunęła rękę i wyciągnęła ją za sznuruczki. I od razu wiedziała, że postąpiła źle. Zło zdawało się obmywać jej dłoń, silniejsze niż kiedykolwiek, jakby Czarny naprawdę próbował przebić się przez ukrytą w sakiewce pieczęć. Lepiej cały dzień rozmyślać o porażce poniesionej z rąk Moghedien; myśl od rzeczywistości dzieliła różnica wielkości całego świata. To musiała być wyobraźnia — w Tanchico takich uczuć nie doznała — ale wolałaby, żeby to Elayne ją niosła. Albo zostawić ją tutaj.

„Przestań się wygłupiać! — przykazała sobie stanowczo. — Dzięki niej więzienie Czarnego jest zamknięte. Pozwalasz sobie na puszczenie wodzy fantazji”.

Mimo to upuściła ją ze wstrętem niczym szczura martwego od tygodnia na czerwonej suknię, tę uszytą dla niej z polecenia Luki, po czym owinęła i obwiązała ją starannie z prawdziwym pośpiechem. Jedwabna paczuszka powędrowała do samego środka tobołka z ubraniami, które zabierała z sobą, owiniętego z zewnątrz w porządny podróżny płaszcz szarej barwy. Odległość kilku cali wystarczyła, by to wrażenie mrocznej posępności odeszło, ale i tak nadal miała ochotę umyć ręce. Żeby jeszcze nie wiedziała, że to tutaj jest. Naprawdę zachowywała się głupio. Elayne by ją wyśmiała, Birgitte zresztą też. I słusznie.

Ostatecznie z rzeczy, które chciała zatrzymać, powstały dwa pakunki, a żałowała każdego skrawka, który musiała zostawić. Nawet tego niebieskiego jedwabiu z głębokim dekoltem. Nie żeby kiedykolwiek chciała włożyć coś takiego — z pewnością, nie zamierzała dotykać czerwonej sukni, dopóki nie wręczy niekniętej paczki Aes Sedai w Salidarze — ale nie mogła nie rachować kosztów ubrań, koni i wozów, porzuconych od czasu wyjazdu z Tanchico. A także wozu i beczek z barwnikami. Nawet Elayne byłaby się skrzywiła, gdyby kiedykolwiek o tym pomyślała. Ta młoda kobieta uważała, że zawsze, jak sięgnie do sakiewki, to znajdzie w niej monetę.

Jeszcze nie skończyła pakować drugiego tobołka, kiedy wróciła Elayne i w milczeniu zaczęła się przebierać w suknię z niebieskiego jedwabiu. W milczeniu, nie licząc postękiwań, kiedy musiała wykręcić ręce do tyłu i pozapinać guziki. Nynaeve pomogłaby jej, gdyby o to poprosiła, ale ponieważ tego nie zrobiła, sprawdziła tylko, czy przyjaciółka nie ma siniaków w trakcie, gdy ta się przebierała. Miała wrażenie, że słyszała jakiś krzyk zaledwie na kilka minut przed przyjściem Elayne i gdyby między nią a Birgitte rzeczywiście doszło do wymiany ciosów. . . Nie była pewna, czy jest zadowolona, że żadnego nie znalazła. Statek

na swój sposób będzie takim samym więzieniem jak ten wóz i Co wcale nie przyjemniejszym, gdy te dwie kobiety zaczną sobie skakać do gardeł. Ale tak poza tym, to przydałoby się, żeby one zrobiły coś wreszcie z tymi swoimi zwierzęcymi usposobieniami.

Elayne nie powiedziała ani słowa, kiedy zbierała swój dobytek, nawet wtedy, kiedy Nynaeve spytała ją, dość przyjaznym tonem, dokąd to ją tak nagle poniosło, jakby usiadła na kępie ostu. W odpowiedzi zobaczyła jedynie zadarty podbródek i zimne spojrzenie, jakby ta dziewczyna sądziła, że już siedzi na tronie swej matki.

Elayne bywała niekiedy jeszcze bardziej milcząca, w sposób, który mówił znacznie więcej niż słowa. Znieruchomiła, kiedy znalazła trzy pozostałe sakiewki, a temperatura w wozie kolejny raz opadła, mimo że przecież te sakiewki należały do niej. Nynaeve była już zmęczona tym, że się ją tak bezustannie wyśmiewa za skąpiecie monet; niech ta kobieta sobie popatrzy, jak one wyciekają i zrozumie, że za jakiś czas ich zabraknie. Kiedy Elayne zauważyła, że pierścień zniknął, zaś ciemna szkatułka ciągle jeszcze tam jest. . .

Elayne podniosła szkatułkę i otworzyła wieko: z wydętymi wargami zbadła zawartość, dwa pozostałe *ter'angreale*, które wiozły aż od samej Łzy. Mały żelazny dysk z ciasnymi spiralami wyrytymi z obu stron, oraz cienka płytką, długości pięciu cali, pozornie wykonana z bursztynu, a jednak twardsza od stali, ze śpiącą kobietą w jakiś sposób wyrzeźbioną w środku. Obu można było używać, żeby wejść do *Tel'aran'rhiod*, aczkolwiek nie tak łatwo ani tak skutecznie jak za pomocą pierścienia; żeby posłużyć się nimi należało przenieść strumień Ducha, jedyną z Pięciu Mocy, którą dawało się przenosić podczas snu. Pozostawienie ich Elayne wydawało się Nynaeve jedyną słuszną rzeczą, jako że ona przecież zaopiekowała się pierścieniem. Zamknąwszy szkatułkę z ostrym trzaskiem. Elayne zapatrzyła się na nią, bez wyrazu, po czym wepchnęła ją do jednego z tobołków, razem ze srebrną strzałą. Jej milczenie aż rozbrzmiewało we wnętrzu wozu.

Elayne również spakowała się w dwa tobołki, znacznie jednak większe; nie zostawiła nic prócz kaftaników i spodni z cekinami. Nynaeve powstrzymała się z sugestią, że chyba coś przeoczyła; należało się tamtej za te uporczywe dąsy, ale ona potrafiła pielęgnować zgodę. Ograniczyła się do jednego pociągnięcia nosem, kiedy Elayne ostentacyjnie dołożyła *a'dam* do swoich rzeczy, aczkolwiek sądząc po minie, jaką teraz dla odmiany zrobiła, dała w pełni poznać swój powód do obrazy. Zanim wyszły z wozu, lodowate milczenie, które panowało między nimi, można było niemal porąbać i użyć do schłodzenia wina.

Mężczyźni byli już gotowi do drogi. I mruzcili do siebie, rzucając na nią i Elayne niecierpliwe spojrzenia. Co raczej nie było sprawiedliwe. Galad i Uno nie mieli co pakować. Thom zarzucił na plecy harfę i flet w skórzanych futerałach, a Juilin, z poszczerbionym łamaczem mieczy u pasa i wsparty na swej wysokiej lasce, obok niewielkiego tobołka, dźwigał jeszcze mniejszy, bardzo porządnie obwiązany. Mężczyźni chętnie nosili to samo ubranie tak długo, aż niemal na nich

nie zgniło.

Birgitte oczywiście też była już gotowa; czekała z łukiem w ręku i kołczanem przy biodrze, a u jej stóp leżał tobolek zrobiony z płaszcza, niewiele mniejszy od tobołka Elayne. Nynaeve nie wątpiła, że są w nim suknie od Luki, ale to, co ta miała na sobie, kazało jej na moment przystanąć. Dzielone spódnice wyglądały prawie, tak samo jak te bufiaste spodnie, które nosiła w *Tel'aran'rhiod*, tyle że bardziej złote niżli żółte i nie zebrane w kostkach. Krótki, niebieski kaftan był identyczny w kroju.

Zagadka, skąd wzięły się te rzeczy, wyjaśniła się, kiedy nadbiegła Clarine, paplając, że za dużo strwoniła czasu, z zapasowymi dwoma spódnicami i kaftanem, które włożyła do tobołka Birgitte. Została, by powiedzieć, jak jej przykro, że one opuszczają trupe i nie była jedyna, która oderwała się na kilka chwil od pospiesznego zaprzęgnięcia koni i pakowania. Nadeszła Aludra, życząc im swym taraboniańskim akcentem bezpiecznej podróży, dokądkolwiek się udają. I ofiarowała jeszcze dwa pudełka ognistych patyczków. Nynaeve z westchnieniem wepchnęła je do skórzanej torby. Dopilnowała, by te otrzymane wcześniej zostawić; Elayne wepchnęła je w głąb półki, za worek z grochem, kiedy myślała, że Nynaeve nie patrzy. Petra zaoferował, że odprowadzi ich do rzeki, udając, że nie zauważa, jak oczy jego żony zamykają się z niepokoju; podobną pomoc zaoferowali bracia Chavana, Kin, Bari i żonglerzy, kiedy jednak Nynaeve powiedziała im, że nie ma takiej potrzeby. Petra tylko zmarszczył czoło, a tamci ledwie potrafili ukryć westchnienie ulgi. Musiała zareagować szybko, Galad bowiem i pozostali mężczyźni mieli takie miny, jakby zamierzali się zgodzić. O dziwo, nawet Latelle pojawiła się na krótko, ze słowami żalu, uśmiechami i oczyma, które mówiły, że poniosłaby im tobołki, byleby tylko jak najszybciej odeszły. Nynaeve zdziwiła się, że Cerandin nie przyszła, aczkolwiek do pewnego stopnia była równie zadowolona. Elayne może zaprzyjaźniła się z tą kobietą, ale od tamtego incydentu, kiedy została przez nią zaatakowana, Nynaeve zawsze czuła w pobliżu niej napięcie, być może tym większe, że Cerandin niczym nie zdradzała, czy ją trapi to samo.

Sam Luca przyszedł na końcu, wepchnął garść żalonych, skarłatych od suszy dzikich kwiatów w ręce Nynaeve — Światłość tylko wiedziała, gdzie on je znalazł — z zapewnieniami o nie słabnącej miłości, kwiecistymi pochwałami jej urody i dramatycznymi przysięgami, że jeszcze ją odnajdzie, choćby musiał podróżować do najdalszych zakątków świata. Nie była pewna, dlaczego jej policzki stały się gorętsze, niemniej jednak zdołała zetrzeć uśmiech z twarzy Juilina i zdziwienie z twarzy Uno lodowatym spojrzeniem. Thom i Galad, niezależnie od tego, co sobie pomyśleli, mieli dość rozsądku, by zachować niewzruszone oblicza. Nie potrafiła się zmusić, by spojrzeć na Birgitte albo Elayne.

Najgorsze, że musiała tam stać i słuchać, z tymi zwiędłymi kwiatami w dłoni, z twarzą, która stawała się coraz bardziej czerwona. Udzielenie mu reprimendy zapewne nakłoniłoby go tylko do dalszych wysiłków, a pozostałym dałoby jeszcze

więcej pożywki do uciechy, niż już otrzymali. Omal nie westchnęła z ulgą, kiedy ten idiota uklonił się nareszcie, wywijając połamami peleryny.

Przycisnąwszy kwiaty do ciała, dużymi krokami wyszła przed pozostałych, dzięki czemu nie musiała patrzeć na ich twarze, i pomaszerowała, gniewnymi ruchami poprawiając stale przemieszczające się tobołki, oddalając się pospiesznie od wozów ustawionych wokół płóciennego muru. Potem cisnęła pomięte kwiaty na ziemię z taką furią, że aż Ragan i pozostali odziani zgrzebnie Shienaranie, którzy przycupnęli w połowie drogi między łąką a drogą, popatrzyli po sobie. Każdy miał na plecach zrobiony z koca tobołek — mały, rzecz jasna! — obok miecza, ale byli obwieszani sporą liczbą butli z wodą, której musiało starczyć na wiele dni, a co trzeciemu mężczyźnie dyndał z ramienia garnek albo imbryk. Znacomiecie. Jeśli trzeba będzie gotować, niech oni to robią! Nie czekając, aż zapytają, czy można się do niej bezpiecznie zbliżyć, wymaszerowała samotnie na ubity trakt.

Źródłem furii był Valan Luca — tak ją upokorzyć. Powinna go była walnąć w łeb i do Czarnego z tym, co sobie ktoś pomyśli! — za to podsycił ją Lan Mandragoran. Lan nigdy nie dał jej kwiatów. Co zresztą nie było ważne. Wyrażał swe uczucia słowami tak głęboko płynącymi z serca, na jakie Valana Lukę w ogóle nie było stać. Każde słowo, które wypowiedziała do Luki mówiła serio, ale gdyby Lan powiedział: „Zamierzam cię porwać”, to żadne pogrożki nigdy by go nie powstrzymały; nie powstrzymałoby go przenoszenie, o ile zdobyłaby się na przenoszenie, nim on zamieniłby pocałunkami jej mózg i kolana w galaretę. A mimo to takie kwiaty to coś miłego. Z pewnością miłszego niżli tłumaczenie, że ich miłość nigdy nie zazna spełnienia. Mężczyźni i ich słowo! Mężczyźni i ich honor! Poślubiony śmierci, czyżby? On i jego prywatna wojna z Cieniem! A właśnie że będzie żył, ożeni się z nią i jeśli w obu tych kwestiach uważał, że jest inaczej, to ona zamierzała go naprostować. Istniał tylko ten drobny problem jego więzi z Moiraine, więzi, którą jakoś należało rozwiązać. Chętnie by wrzasnęła z rozpacz.

Zdążyła ująć jakieś sto kroków, zanim dogonili ją pozostali; popatrywali na nią teraz z ukosa. Elayne tylko głośno pociągnęła nosem, jednocześnie borykając się z dwoma tobołkami na plecach — oczywiście musiała zabrać wszystko — za to Birgitte, która szła obok, udawała wprawdzie, że mówi do siebie, a mimo to słysząc była wyraźnie jej pomrukiwania na temat kobiet, które gnają niczym dziewczęta z Carpy, skaczące z jakiegoś urwiska nad rzeką. Nynaeve jednak je ignorowała.

Mężczyźni rozwinęli kolumnę; Galad szedł na czele z Thomem i Juilinem po bokach, Shienaranie zaś w długich szeregach po obu stronach drogi, przeszukując czujnym wzrokiem każdy zwiędły krzak i bruzdę w ziemi. Idąca w samym środku Nynaeve poczuła się jak idiotka — jakby się spodziewali, że spod ziemi zaraz wyskoczy jakaś armia; że niby ona i pozostałe dwie kobiety są całkiem bezradne — zwłaszcza kiedy Shienaranie milcząco poszli za przykładem Uno i dobyli mieczy. No cóż, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy; nawet wioski szałasów

wyglądały na wyludnione. Ostrze Galada pozostało w pochwie, ale Juilin zaczął podrzucać w rękę swą pałkę, zamiast używać jej jako wędrownego kostura, w rękach zaś Thoma to pojawiały się, to znikwały noże, jakby ten nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Nawet Birgitte nałożyła strzałę na cięciwę. Nynaeve potrząsnęła głową. Tylko bardzo odważna hałastra podeszłaby do nich na odległość strzału.

Potem doszli do Samary i zaczęła żałować, że nie przyjęła propozycji Petry i braci Chavana, w ogóle każdego, kogo tylko mogła znaleźć.

Bramy stały otwarte i nie strzeżone, a zza szarych murów miasteczka unosiło się sześć czarnych słupów dymu. Na ulicach za nimi panował spokój. Pod stopami chrzęściły odłamki szkła; był to jedyny dźwięk z wyjątkiem odległego brzęczenia, jakby po mieście rozleciały się ogromne roje pszczół. Kamienie bruku zaśmiecały meble i ubrania, garnki i naczynia, przedmioty wywleczone ze sklepów i domów, czy przez grabieżców, czy przez uciekających ludzi, nie sposób było orzec.

Nie tylko przedmioty zostały zniszczone. Z jednego okna zwisał trup odziany w przedni kaftan z zielonego jedwabiu, bezwładny i znieruchomiarty; gdzie indziej ktoś w łachmanach wisiał powieszony na krokwiach warsztatu blacharza. Tu i ówdzie, w jakiejś bocznej uliczce albo alejce, widziała przelotnie coś, co wyglądało jak porzucony duży tobołek ze starymi ubraniami; wiedziała jednak, że to wcale nie tobołek.

W jednym domu, którego rozłupane drzwi wisiały niedorzecznie na pojedynczym zawiasie, drobne płomyki lizały drewnianą klatkę schodową, dym już zaczynał się stamtąd przesączać na zewnątrz. Ulica mogła być teraz pusta, ale ten, kto to zrobił, nie odszedł dawno. Obracając głowę, starając się patrzeć we wszystkie strony jednocześnie, Nynaeve zaciskała w garści rękojeść noża.

Niekiedy to wściekłe bzyczenie potęgowało się do bezsłownego, gardłowego ryku wściekłości, który zdawał się rozlegać nie dalej, jak przy następnej ulicy, a niekiedy cichło do głuchego pomruku. Jednak kłopoty, które niespodziewanie się zaczęły, przyniosła cisza. Zza kolejnego rogu wymaszerował tłum ludzi, podobny raczej do stada polujących wilków, całkowicie wypełniając ulicę, niemal bezgłośnie, jeśli nie wspomnieć tupotu butów. Widok Nynaeve i pozostałych podzielał jak pochodnia ciśnięta na stos siana. Nie wahali się; jak jeden mąż rzucili się do przodu, wyjąc i wrzeszcząc, wymachując widłami i mieczami, toporami i pałkami, wszystkim, co dało się wziąć do ręki, a nadawało się jako broń.

W Nynaeve pozostało jeszcze dość gniewu, by mogła objąć *saidara* i nie myśląc, uczyniła to, jeszcze zanim zobaczyła łunę wytryskującą wokół Elayne. Istniał cały szereg sposobów, na jaki mogła samodzielnie zatrzymać tę hałastę, i kilkanaście innych, jakimi mogła ją zniszczyć, gdyby zechciała. Gdyby nie Moghedien. Nie była pewna, czy ta sama myśl powstrzymuje Elayne. Wiedziała tylko, że przywarła do swego gniewu i Prawdziwego Źródła z jednakim zapałem i to bardziej Moghedien niżli ten nacierający motłoch sprawiła, że włożyła w to tyle siły.

Przywarła do nich i wiedziała, że na nic się nie odważy. Co wcale nie znaczyło, że miała jakieś inne wyjście. Niemalże żałowała, że nie może poprzecinać strumieni tkanych przez Elayne. Musiało się znaleźć inne wyjście.

Jakiś mężczyzna, wysoki, ubrany w podarty czerwony kaftan, który kiedyś należał do kogoś innego, sądząc po zielonozłoty haftach, wybiegł długimi krokami przed innymi, wymachując nad głową toporem. Strzała Birgitte trafiła go w oko. Padł bezwładnie i został zdeptyany przez innych, wśród wykrzywionych twarzy i gardłowych okrzyków. Nic ich nie mogło zatrzymać. Z wyciem, na poły z wściekłości, na poły z czystego strachu, Nynaeve wyszarpnęła zza pasa nóż, jednocześnie przygotowując się do przenoszenia.

Niczym fala uderzająca o głązy, szarża rozpadła się na shienarańskiej stali. Mężczyźni z kępkami na głowach, niewiele mniej obszarpani od przeciwników, pracowali ze swymi obosiecznymi mieczami metodycznie, niczym rzemieślnicy przy warsztatach; rzeź nie posuwała się poza ich cienką linię. Ludzie padali z imieniem Proroka na ustach, ale zaraz następnym razem torowali sobie drogę po ich ciałach. Juilin, ten dureń, znalazł się w tej linii, w stożkowatym kapeluszu nasadzonym na czubek ciemnowłosej głowy, z cienką laską, która zamieniona w zamazaną plamę parowała ciosy, łamała ręce i roztrzaskiwała czaszki. Thom uwijał się za linią, silnie kulejąc, kiedy mknął od miejsca do miejsca, by walczyć z tymi, którym udało się przedrzeć; ze sztyletami w obu dłoniach, od których ginęli nawet ci z mieczami. Twarz barda zacięła się w ponurym grymasie, ale kiedy jeden zwalisty osobnik w skórzanej kamizeli kowala niemalże trafił Elayne widłami, Thom zawarczał złowieszczo i omal nie odciął mężczyźnie głowy, gdy podrzynał mu gardło. Birgitte przez cały czas spokojnie przenosiła się z miejsca na miejsce, każda jej strzała celowała w oko.

Niemniej jednak udawało im się jedynie obronić przed motłochem, za to Galad go rozbił. Najpierw patrzył na szarżę, jakby oczekiwał następnego tańca na balu, z rękoma założonymi i całkiem niefrasobliwy, nie raczył nawet obnażyć ostrza, dopóki omal na niego nie wpadli. Wówczas rzeczywiście zatańczył, a cała jego gracia zmieniła się w mgnieniu oka w wszechogarniającą śmierć. Nie stawiał im czoła; wyrzeźbił ścieżkę do ich serc, tak szeroką, jaki był zasięg jego miecza. Niekiedy pięciu albo sześciu ludzi otaczało go z mieczami i toporami, tudzież nogami od stołów zamienionymi w pałki, ale po chwili już nie żyli. Na koniec, mimo całej ich wściekłości, mimo żądy śmierci, nie byli w stanie mu się przeciwstawić. To przed nim uciekł pierwszy, odrzucając broń, reszta umykała, rozstępując się na boki. Znieruchomiał dopiero wtedy, gdy już zniknęli tam, skąd się pojawili, pozostając w odległości dwudziestu kroków od reszty grupy, sam pośród ciał zabitych i jęków konających.

Nynaeve zadrżała, kiedy pochylił się, by oczyścić ostrze o kaftan jakiegoś trupa. Nawet to zrobił z ogromnym wdziękiem. Miała wrażenie, że zaraz zacznie wymiotować.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Niektórzy z Shienaran wsparli się na mieczach i dyszeli. I mierzyli Galada z należytą dozą szacunku. Thom pochylił się z jedną ręką na kolanie, drugą starając się odegnać Elayne i zapewniając ją, że tylko stara się złapać oddech. Minuty, godziny; mogło być i tak, i tak.

Przynajmniej raz, kiedy patrzyła na rannych leżących tu i tam na chodniku, na jednego, który odczołgiwał się, nie miała ochoty Uzdrawiać, nie czuła żadnego współczucia. Nieopodal leżały ogromne widły, które ktoś tam odrzucił; na jednym zębie zatknięta była głowa mężczyzny, na drugim kobiety. Czuła tylko mdłości i wdzięczność, że to nie jej głowa. Poza tym było jej zimno.

— Dziękuję wam — powiedziała głośno, do nikogo w szczególności i do wszystkich równocześnie. Słowa te odrobinę zazgrzytały — nie lubiła przyznawać się, że nie potrafiła czegoś zrobić sama — ale płynęły prosto z serca. Birgitte skinęła wtedy głową, na znak, że przyjmuje podziękowania i Nynaeve musiała stoczyć wewnętrzną walkę. Ale ostatecznie ta kobieta zrobiła tyle co każdy. Znacznie więcej niżli ona sama. Wepchnęła nóż z powrotem do pochwy.

— Bardzo... bardzo dobrze strzelałaś.

Z krzywym uśmiechem, jakby wiedziała, jak trudno jej było zdobyć się na te słowa, Birgitte zabrała się za odzyskiwanie swoich strzał. Nynaeve dygotała na samą myśl i starała się na to nie patrzeć.

Większość Shienaran była ranna, Thom i Juilin także — tylko Galad jakimś cudem pozostał nietknięty; albo może nie cudem, jeśli sobie przypomnieć, jak władał mieczem — ale jak to mężczyźni, wszyscy co do jednego upierali się, że obrażenia nie są poważne. Nawet Uno twierdził, że powinni ruszać, stojąc z jednym ramieniem obwisłym i cięciem przez policzek, po którym blizna miała się zapewne stać lustrzanym odbiciem pierwszej, jeśli prędko nie zostanie Uzdrawiony.

Po prawdzie wcale nie była od tego, żeby już stąd pójść, mimo iż przykazała sobie, że powinna obejrzeć ich rany. Elayne wsparła Thoma ramieniem; odmówił i zaczął, podniosłym śpiewem, recytować jakąś opowieść, formułując ją tak kwiecicie, że trudno w tym było rozpoznać opowieść o Kirukan, pięknej królowej-żołnierzu z czasów Wojen z trollokami.

— Gdyby nawet osądzać ją najbardziej życzliwie, to i tak miała usposobienie dzika zaplątanego w cierniach — powiedziała cicho Birgitte. — Niepodobna do żadnego z otaczających ludzi.

Nynaeve zazgrzytała zębami. Już nigdy więcej, za nic w świecie nie powie komplementu tej kobiecie, choćby nie wiadomo, co zrobiła. Jak się nad tym zastanowić, to każdy mężczyzna w Dwu Rzekach potrafił strzelać równie dobrze z tego zasięgu. Każdy mały chłopiec.

Ścigała ich wrzawa, dalekie okrzyki z innych ulic i często miała wrażenie, że z któregoś z tych pustych, pozbawionych szyb okien śledzą ich czyjeś oczy. Jednakże wieść musiała się roznieść albo obserwatorzy dostrzegli, co się stało,

bo nie zauważyła żywej duszy, dopóki nie pojawiły się przed nimi dwa tuziny Białych Płaszczy, jedna połowa z naciągniętymi cięciami, druga z obnażonymi mieczami. Ostrza Shienaran pojawiły się w mgnieniu oka.

Po szybkiej wymianie zdań między Galadem a osobnikiem o pobrużdżonej twarzy, wyzierającej spod stożkowego hełmu, pozwolono im przejść, mimo iż mężczyzna zmierzył Shienaran podejrzliwym wzrokiem, a także Thoma i Juilina oraz Birgitte. Tego było dość, żeby rozwścieczyć Nynaeve. Elayne mogła sobie maszerować z zadartym podbródkiem, ignorując Białe Płaszcze, jakby to byli służący, ale Nynaeve nie lubiła być przedmiotem niczyjej uwagi.

Do rzeki nie było daleko. Za skupieniem niewielkich kamiennych magazynów, krytych łupkowymi dachówkami, trzy kamienne doki miasta ledwie sięgały wody za pasem wyschłego błota. Przy końcu jednego z nich stał głęboko zanurzony, spory statek z dwoma masztami. Nynaeve miała nadzieję, że nie będzie problemu z uzyskaniem oddzielnych kajut. I że nie będzie kołysało zbyt gwałtownie.

W odległości jakichś dwudziestu kroków, pod czujnym okiem odzianych w biel strażników, kulił się niewielki tłum; blisko tuzin mężczyzn, przeważnie starych, obdartych i posiniaczonych, oraz dwa razy tyle kobiet, w większości z dwojgiem lub trojgiem dzieci, niektóre z niemowlętami w objęciach. Na samej przystani stało jeszcze dwóch Białych Płaszczy. Dzieci kryły twarze w spódnicach matek, ale dorośli spoglądali tęsknym wzrokiem w stronę statku. Ten widok ranił serce Nynaeve; przypomniawszy sobie takie same spojrzenia, znacznie liczniejszych oczu, z Tanchico. Zrozpaczeni ludzie, którzy liczyli, że uda im się dotrzeć w bezpieczne miejsce. Nie była w stanie nic dla tamtych uczynić.

Nim zdołała zrobić cokolwiek dla tych, Galad chwycił ją i Elayne za ręce i zaciągnął po przystani do chwiejnej kładki. Na pokładzie stało sześciu mężczyzn o srogich obliczach, odzianych w białe płaszcze i wypolerowane kolczugi; obserwowali grupkę bosych mężczyzn, w większości z obnażonymi torsami, którzy przykucali w niezdarnych ukłonach. Trudno było orzec, na kogo kapitan stojący u stóp kładki gapił się z bardziej skwaszoną miną, na Białe Płaszcze czy pstrokate towarzystwo, które wdarło się na jego statek.

Agni Neres był wysokim, kościstym mężczyzną w ciemnym kaftanie, z odstażącymi uszami i cierpkim wyrazem na wąskiej twarzy. Nie zwracał uwagi na pot ciekący mu po policzkach.

— Zapłaciłeś za przewóz dwu kobiet. Pewnie będziesz chciał, bym zabrał tę trzecią dziewczkę i mężczyzn za darmo?

Birgitte mierzyła go groźnym wzrokiem, ale on z dawał się tego nie zauważać,

— Otrzymasz swoje pieniądze, dobry kapitanie — zapewniła go chłodnym tonem Elayne.

— Pod warunkiem, że cena będzie rozsądna — dodała Nynaeve i zignorowała ostre spojrzenie Elayne.

Neresa zacisnął usta, które stały się jeszcze bardziej wąskie, chociaż to wyda-

wało się niemożliwe, i znowu zwrócił się do Galada.

— No, jeśli zabierzesz swoich ludzi z mojego statku, to popłynę. Wolę już wszystko niż przebywać tutaj za dnia.

— Pod warunkiem, że zabierzesz pozostałych pasażerów — powiedziała Nynaeve, skinieniem głowy wskazując ludzi stłoczonych na nabrzeżu.

Neres spojrzął na Galada, jednak przekonawszy się, że tamten odszedł, by porozmawiać z innymi Białymi Płaszczami, zlustrował wzrokiem ludzi na nabrzeżu i przemówił, ostentacyjnie kierując swe słowa w powietrze nad głową Nynaeve.

— Każdego, kto może zapłacić. Niewielu w tym towarzystwie wygląda na takich, których na to stać. A nawet gdyby mogli, to i tak nie mógłbym nikogo zabrać.

Stała na palcach, dzięki czemu nie mógł przeoczyć jej uśmiechu. Uśmiech, który kazał mu wcisnąć podbródek w kołnierz.

— Wszyscy, co do jednego, kapitanie. Bo inaczej każę ci zgolić uszy.

Mężczyzna otworzył gniewnie usta, po czym jego oczy nagle się rozszerzyły, wbite w coś obok niej.

— W porządku — rzekł szybko. — Ale pamiętaj, spodziewam się jakiejś zapłaty. Jałmużnę rozdają tylko w Pierwszy Dzień, a ten już dawno temu minął.

Opadła z powrotem na pięty i obejrzała się podejrzliwie. Stali tam Thom, Julin i Uno, bezczelnie obserwując ją i Neresę. Tak bezczelnie, na ile na to pozwalały rysy Uno i krew na twarzach tamtych. O wiele za bezczelnie.

Ostro pociągnęła nosem i powiedziała:

— Wszyscy mają być na pokładzie, zanim ktokolwiek dotknie cumy — i z tym poszła szukać Galada. Uznała, że zasługuje na jakieś podziękowania. On myślał, że to co robi, jest słuszne. Na tym polegał problem z najlepszymi intencjami mężczyzn. Zawsze byli przeświadczeni, że robią coś słusznego. Niemniej jednak — nie rozpatrując tak dokładnie, co zrobili ci trzej — oszczędzili jej kłótni.

Znalazła go przy Elayne, na jego przystojnej twarzy malowała się frustracja. Na jej widok pojaśniał.

— Nynaeve, zapłaciłem za waszą podróż aż do samej Boanndy. To zaledwie połowa drogi do Altary, do miejsca, gdzie Boern wpada do Eldar, ale niestety, na więcej nie było mnie stać. Kapitan Neres wybrał wszystkie miedziaki z mojej sakiewki i musiałem się dodatkowo zapożyczyć. Ten człowiek bierze dziesięć razy więcej niż każe obyczaj. Obawiam się, że będziecie same musiały jakoś dotrzeć do Caemlyn. Jest mi doprawdy przykro.

— Już i tak dość zrobiłeś — wtrąciła Elayne, a jej oczy pomknęły ku pióropuszm dymu unoszącym się nad Samarą.

— Obiecałem — powiedział z rezygnacją. Najwyraźniej przed przyjściem Nynaeve odbyli taką samą wymianę zdań.

Nynaeve udało się przekazać swoje podziękowania, które on zbył z gracją, obdarzając ją równocześnie spojrzeniem, które mówiło, że ona również go nie

rozumie. I była bardziej niż gotowa, by to przyznać. Wszczął wojnę, żeby dotrzymać obietnicy — Elayne w tej kwestii miała rację; z tego wyniknie wojna, o ile już nie wyniknęła — a mimo to, chociaż jego ludzie zaarrestowali statek Neresa, nie targował się. To był statek Neresa i Neres będzie narzucał takie opłaty, jakie chce. Pod warunkiem, że zabierze Elayne i Nynaeve. To była prawda. Galad nigdy nie liczył się z kosztami słusznego postępowania, ani w związku z nim samym, ani z innymi ludźmi.

Na kładce zatrzymał się, wpatrzony w miasto takim wzrokiem, jakby patrzył w przyszłość.

— Trzymajcie się z dala od Randa al'Thora — rzekł ponuro. — On sprowadza zniszczenie. On doprowadzi do ponownego Pęknięcia Świata. Trzymajcie się od niego z daleka. — I rzekłszy to, pobiegł na przystań, już wołając, by przyniesiono mu broń.

Nynaeve połapała się, że wymienia zaskoczone spojrzenie z Elayne, ale szybko ustąpiło one miejsca zażenowaniu. 'Trudno było dzielić ten moment z kimś, kto mógł wychłostać cię językiem. Przynajmniej sama czuła się wytrącona z równowagi; dlaczego Elayne wyglądała na zmieszaną, nie rozumiała, chyba że ta kobieta zaczynała odzyskiwać rozsądek. Galad z pewnością nawet nie podejrzewał, że one nie mają zamiaru udać się do Caemlyn. Z pewnością nie. Mężczyźni w ogóle nie są spostrzegawczy. Ona i Elayne już więcej na siebie nie spojrzały.

DO BOANNDY

Trochę kłopotów było z zapędzeniem bezładnego tłumu mężczyzn, kobiet i dzieci na pokład. Nieraz Nynaeve musiała wyjaśniać kapitanowi Neresowi, że z pewnością da się znaleźć dla każdego miejsce, oraz że niezależnie od tego, co on sobie wyobraża, sama wie dokładnie, ile kosztuje podróż do Boanndy. Rzecz jasna, odrobinę pomocne okazało się zapewne to, iż wcześniej po cichu poprosiła Uno, aby jego Shienaranie dobyli swych mieczy. Piętnastu mężczyzn o surowych obliczach, ubranych jak do walki, wszyscy z głowami dokładnie ogolonymi, wyjąwszy kosmyk spływający na kark, nie wspominając już plam krwi, ostrzenia i oliwienia ostrzy, naśmiewania się ze wspomnienia, jak to jeden omal nie został nadziany na rożen niczym jagnię — doprawdy, z punktu widzenia jej celów stanowili zbawienny widok. Odliczyła pieniądze wprost w jego dłoń, krzywiąc się, jakby ją ta czynność bolała; wystarczyło jednak przywołać z pamięci wspomnienie tamtych doków z Tanchico, by grymas zniknął. Neres miał rację w jednej przynajmniej kwestii — ci ludzie nie wyglądali na to, by opływali w dostatki; przyda im się każdy zaoszczędzony miedziak. Elayne nie musiała więc nic jej mówić, tym swoim sentymentalnie słodkim głosem, sprawiającym wrażenie, jakby jej właśnie wyrwano ząb.

Na wykrzyczany przez Neresa rozkaz załoga zaczęła rzucać cumy, choć ostatni ludzie wciąż jeszcze gramolili się na pokład, tuląc w ramionach żaloszny dobytek, ci przynajmniej, którzy cokolwiek mieli prócz łachmanów okrywających grzbiec. Po prawdzie, to nawet na pokładzie tak dużego statku zrobiło się tłoczno, aż Nynaeve zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem w tej kwestii Neres również nie miał racji. Jednak widok ludzkich twarzy, które nagle rozświetlała nadzieja, gdy tylko stopy dotykały pokładu, sprawił, że zawstydziała się, iż taka myśl w ogóle mogła jej przyjść do głowy. A kiedy nadto zrozumieli, że zapłaciła za ich przejazd, stłoczyli się wokół niej, przepychali, próbując całować jej dłoń, rąbek sukni, wyszluchując podziękowania i błogosławieństwa; lzy płynęły po brudnych policzkach zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Nynaeve wołałaby, by deski pokładu rozstały się pod jej stopami.

Pokład zadrżał — podniesiono kotwicę i postawiono żagle — widok Samary zaczynał już powoli ginać za rufą okrętu, kiedy wreszcie. udało jej się położyć

kres temu przedstawieniu. Gdyby na dodatek Elayne bądź Birgitte rzekły choć słowo, chyba pognałyby za nimi z pięściami po pokładzie.

Przez pięć dni przebywały na pokładzie „Rzecznego Węża”, pięć dni płynęły po falach łagodnie wijącej się Eldar pod piekącym za dnia słońcem, wśród nie przynoszących większej ulgi nocy. W owym czasie pewne rzeczy zmieniły się na lepsze, jednak początek podróży nie wróżył dobrze.

Pierwszym problemem, który domagał się rozwiązania, była położona na rufie kajuta Neresa, jedyne schronienie z wyjątkiem pokładu, jakie statek oferował. Nie chodziło o to, że Neres nie chciał im jej udostępnić. Uczynił to w takim pośpiechu — spodnie, kaftany i koszule przerzucił naprędce przez ramię, inne rzeczy wystawiały z wielkiego worka, który ścisnął pod pachą, w jednej dłoni zaś trzymał miseczkę do golenia, a w drugiej brzytwę — że Nynaeve nie mogła się powstrzymać, by nie przeszyć wzrokiem Thoma, Juilina i Uno. Jedną rzeczą jest skorzystać z ich pomocy, kiedy się samej tego chce, zupełnie inną, gdy za jej plecami sami się z nią narzucają. Ich twarze nie mogłyby chyba już przybrać bardziej szczerzego wyrazu, w oczach lśniła iście dziecięca niewinność. Elayne przywołała jedno z powiedzeń Lini: „W otwartym worku nic się nie ukryje, za otwartymi drzwiami niewiele, ale mężczyzna o otwartym obliczu z całą pewnością coś skrywa”.

Niezależnie jednak od tego, jakich problemów mogli jeszcze nastreczyć mężczyźni, kwestią kajuty należało zająć się najpierw. Jej wnętrze cuchnęło pleśnią i zastarzałym brudem, nawet po tym, jak już otwarła na oścież małe okienka, wpuszczając odrobinę światła i powietrza do ciasnej ciemnicy. „Ciasna ciemnica” to było właściwe określenie. Kabina była mała, mniejsza niżli wnętrze powozu, większość ograniczonej przestrzeni zajmował masywny stół, krzesło z wysokim oparciem, oba przymocowane na stałe do podłogi, oraz drabina wiodąca na pokład. Wolną przestrzeń pomieszczenia dodatkowo ograniczała umywalnia wbudowana w ścianę z lepiącymi się od brudu dzbanem i miską, nad którą wisiało wąskie zakurzone lustro; umeblowania dopełniało kilka pustych półek i kołki, na których można było zawiesić rzeczy. Belki sufitu, nawet mimo niewysokiego przecież wzrostu kobiet, zdawały się muskać im włosy na czubku głowy. I było tylko jedno łóżko, szersze od tych, na których zdarzało im się sypiać, jednak wciąż za wąskie dla dwóch osób. Biorąc pod uwagę rozmiary Neresa, równie dobrze mógłby po prostu zamieszkać w szkatułce. Ten człowiek z pewnością nie zamierzał zrezygnować choćby z całej przestrzeni, na której mógłby upchnąć towar.

— Przypląnął do Samary nocą — wymruczała Elayne. Zrzuciła z ramion swoje tobołki i wsparłszy dłonie na biodrach, rozejrzała się dookoła z niesmakiem. — I nocą chciał też odpłynąć. Słyszałam, że ma zamiar żeglować przez całą noc niezależnie od tego, czego... te dziewczki będą chciały. Najwyraźniej nie jest szczególnie zadowolony, że musi wyruszać za dnia.

Nynaeve pomyślała o łokciach, o zimnych stopach Elayne i poważnie zaczęła

się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby spać na górze wraz z uciekinierami.

— Ten człowiek to przemytnik, Nynaeeve.

— Z takim statkiem? — Nynaeeve zrzuciła z siebie własne tobołki, torbę z ziołami położyła na stole, po czym usiadła na krawędzi łóżka. Nie, nie będzie spała na pokładzie. Kabinę można przecież wywietrzyć, a jeśli nawet łóżko jest za ciasne, to przecież ma przynajmniej gruby materac z gęsiego puchu. Statek naprawdę kołysał niepokojąco, dobrze więc zapewnić sobie wszystkie wygody, jakie tylko są dostępne. Elayne nigdy jej stąd nie wypędzi. — To jest beczka, nie statek. Będziemy miały szczęście, jeśli uda nam się dotrzeć do Boannidy za dwa tygodnie. Świątłość jedna wie, kiedy będziemy w Salidarze.

Żadna z nich tak naprawdę nie wiedziała, jak daleko jest do Salidaru, a nie nadszedł jeszcze czas, by poruszyć tę kwestię w rozmowie z kapitanem Neresem.

— Wszystko pasuje. Nawet nazwa. „Rzeczny Wąż”. Jakiż uczciwy kupiec nazwałby tak swój statek?

— Cóż z tego, nawet jeśli jest przemytnikiem? Nie pierwszy to raz będziemy korzystały z usług kogoś takiego.

Elayne uniosła do góry ręce z rozdrażnieniem. Zawsze uważała, że koniecznie należy przestrzegać prawa, niezależnie od tego, jak głupie by nie było. Więcej łączyło ją z Galadem, niżli gotowa była przyznać. A więc ten Neres nazwał je dziewczkami, czy tak?

Drugą trudność stanowiło znalezienie miejsca dla mężczyzn. „Rzeczny Wąż” nie należał do największych statków, nawet jeśli był stosunkowo szeroki, a w sumie na jego pokładzie przebywała obecnie ponad setka ludzi. Pewną część przestrzeni należało pozostawić wolną, by załoga mogła w miarę swobodnie manipulować przy żaglach i olinowaniu, dla pasażerów nie pozostawało więc jej wiele. Uciekinierzy wprawdzie trzymali się tak daleko od Shienaran, jak to tylko było możliwe, wyglądało, jakby już naprawdę dość mieli towarzystwa uzbrojonych mężczyzn. Jednak miejsca ledwie starczało, by usiąść, co dopiero mówić o położeniu się.

Nynaeeve prosto z mostu poinformowała o tym Neresa:

— Tym ludziom potrzeba więcej miejsca. Szczególnie kobietom i dzieciom. Ponieważ nie ma na statku więcej kabin, będziesz musiał otworzyć ładownię.

Twarz Neresa pociemniała. Patrząc prosto przed siebie, jakiś krok w lewo od Nynaeeve, jęknął:

— Moje ładownie pełne są wartościowych towarów. Bardzo wartościowych.

— Zastanawiam się, czy się gdzieś tutaj znajduje posterunek celny? — jakby w roztargnieniu powiedziała Elayne, przypatrując się porośniętym drzewami brzegom. Rzeka miała tutaj nie więcej jak kilkaset kroków szerokości, a jej wody lizały wyschnięte czarne błoto i obnażoną żółtą glinę. — Po jednej stronie Ghealdan, po drugiej Amadicia. Może się to komuś wydać dziwne, że masz ładownie pełne dóbr z południa i na południe także płyniesz. Oczywiście zapewne posia-

dasz wszystkie dokumenty stwierdzające, że opłaciłeś należne cło. Możesz też bez wątpienia wyjaśnić każdemu, kto zapyta, że nie wyładowałeś towarów w Samarze ze względu na panujące w niej niepokoje. Słyszałam, że ci urzędnicy są bardzo wyrozumiali, naprawdę.

Kąciki jego szerokich ust opadły, wciąż nie potrafił zmusić się, by spojrzeć im prosto w twarz.

Dlatego też dobrze widział, jak Thom machnął pustymi dłońmi i nagle rozbłysły w nich noże, którymi obrócił w palcach, po czym sprawił, że jeden ponownie zniknął.

— Tak, żeby nie wyjść z sprawy — wyjaśnił, gładząc ostrzem długiego siwego wąsa. — Muszę nieprzerwanie ćwiczyć pewne... umiejętności.

Rozcięcie biegnące przez siwą czuprynę i twarz pokryta zastygłą już krwią w połączeniu z krwawą plamą na ramieniu kaftana, zresztą nielicho poszarpanego, sprawiały, że wyglądał jak niegorszy łotr w porównaniu z każdym, z wyjątkiem chyba stojącego obok Uno. Szeroki, ukazujący dwa rzędy zębów uśmiech Shienaranina nie miał w sobie odrobiny wesołości, a na dodatek, kiedy tak się uśmiechał, dziwne rzeczy działy się z długą blizną przecinającą twarz coraz nową pręgą, która na niej wykwitła, krwawą, obnażającą żywe mięso. W porównaniu z nią szkarłatne oko wymalowane na przepasce sprawiałoomalże kojące wrażenie.

Neres zamknął oczy i odetchnął głęboko.

Pokrywy luków zostały odrzucone, skrzynie i paki poleciały z pluskiem za burtę. Niektóre z nich najwyraźniej były ciężkie, inne lżejsze, te drugie pachniały mocną wonią przypraw. Za każdym razem, gdy rzeka pochłaniała następną porcję ładunku, Neres przymykał oczy. Twarz mu odrobinę pokraśniała — jeżeli coś takiego można o nim powiedzieć — kiedy Nynaeve zarządziła, by zwoje jedwabiu, dywany i bale wybornej wełny pozostały na miejscu. Dopóki nie zrozumiał, że przeznaczyla je na posłania. Jeżeli wyraz jego oblicza można było przedtem określić jako skwaszony, teraz mógłby chyba nim sprawić, by mleko zwarzyło się w sąsiednim pomieszczeniu. Przez cały czas opróżniania ładowni nie odezwał się ani słowem. Kiedy jednak kobiety zaczęły dobywać worki napełnione wodą, by urządzić swym dzieciom kąpiel bezpośrednio na pokładzie, pomaszerował na rufę, zaciskając dłonie splecione za plecami i tak stał tam, patrząc na unoszące się na powierzchni wody baryłki, które powoli znikały w oddali.

W pewien sposób to właśnie dzięki szczególnemu nastawieniu Neresa względem kobiet przykre słowa znacznie rzadziej gościły w ustach Birgitte i Elayne. Przynajmniej tak Nynaeve podejrzewała; ona sama zachowywała swój dawny, niezmienny humor. Neres nie lubił kobiet. Członkowie załogi, kiedy już musieli się do nich zwrócić, mówili spieszenie, przez cały czas popatrując na kapitana, po czym zakończywszy wypowiedź, natychmiast wracali do swych obowiązków. Każdy, kto wyglądał na takiego, który chwilowo bodaj nie miał co robić, i na do-

datek zamienił choć dwa słowa z kimś odzianym w sukienkę, prawie natychmiast przy wtórze pokrzykiwań Neresa wysyłany był z jakimś nie cierpiącym zwłoki zadaniem. Pospieszne komentarze i mamrotane pod nosem ostrzeżenia wyrobiły do końca zdanie o nim u Nynaeeve.

Kobiety są dla mężczyzn kosztowne, potrafią bić się jak dzikie koty i przysparzają kłopotów. W istocie, za wszystkie kłopoty, które przytrafiają się mężczyznom w taki czy inny sposób odpowiedzialne są właśnie kobiety. Neres spodziewał się niemalże, iż przynajmniej połowa z nich będzie tarzać się po pokładzie i drapać pazurami jeszcze przed zachodem słońca. Wszystkie będą flirtować z jego załogą i siać waśnie tam, gdzie nie uda im się doprowadzić do bójki. Gdyby udało mu się na zawsze pozbyć wszystkich kobiet z pokładu swego statku, dopiero wówczas byłby naprawdę szczęśliwy. Gdyby udało mu się pozbyć ich ze swojego życia, nie posiadałby się z radości.

Nynaeeve nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego. Cóż, słyszała, jak mężczyźni narzekają na kobiety i ich stosunek do pieniędzy, jakby mężczyznom monety nie przeciekały przez palce niby woda — po prostu nie mieli głowy do spraw finansowych, w jeszcze mniejszym stopniu niż Elayne. Słyszała również, jak odpowiedzialnością za rozmaite kłopoty obarczają kobiety; zazwyczaj działało się tak wtedy, gdy sami byli winni całego zamieszania. Ale nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w życiu spotkała mężczyznę, który prawdziwie nie lubiłby kobiet. Dlatego też z zaskoczeniem dowiedziała się, że Neres ma żonę i gromadkę dzieci w Ebou Dar, natomiast nie zdziwiła jej w najmniejszej mierze informacja, że zatrzymuje się w domu tylko tak długo, by załadować nowy towar. Nie chciał nawet rozmawiać z kobietami. To było wręcz zabawne. Czasami Nynaeeve przyłapywała się na tym, że spogląda nań z ukosa, jakby był jakimś zwierzęciem nie z tego świata. Znacznie dziwniejszym niżli *s'redit*, czy też którekolwiek ze zwierząt menażerii Luki.

Naturalnie nie było sposobu, by Elayne lub Birgitte mogły dać upust swej złości, kiedy on znajdował się w pobliżu. Przewracanie oczami i znaczące spojżenia, jakie Thom wymieniał z pozostałymi, były już dostatecznie nieprzyjemne; przynajmniej jednak czynili jakieś wysiłki, by je skrywać. Jawna satysfakcja Neresa, że oto spełniają się jego idiotyczne oczekiwania — z pewnością widziałyby to w taki właśnie sposób — byłaby czymś nie do zniesienia. Nie miały więc innego wyboru. Jak tylko tłamsić w sobie gniew i uśmiechać się.

Nynaeeve ze swej strony postanowiła sobie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zajmie się Thomem, Juilinem i Uno, gdy tylko Neresa nie będzie w pobliżu. Znowu się zapominali, jakby nie rozumieli, że oczekuje się od nich tego, że będą wykonywać ślepo ich rozkazy. Efekty nie miały znaczenia, powinni poczekać. Ale z jakichś powodów zaczęli męczyć Neresa ponurymi komentarzami na temat rozbijania głów i podrzynania gardeł, którym to wypowiedziom towarzyszyły znaczące uśmiechy. Niestety, jedyne miejsce, gdzie można było mieć pew-

ność, że uniknie się obecności Neresa, stanowiła kajuta. Mimo wysokiego wzrostu Thoma i szerokich ramion Uno nie byli mężczyznami szczególnie słusznej postury, ale w ciasnocie kajuty z pewnością patrzyliby na Nynaeve z góry. Nie były to szczególnie sprzyjające okoliczności dla zmycia im głów, co zamierzała zrobić; daj mężczyźnie szansę, by mógł patrzeć na ciebie z góry, a już w połowie ma bitwę wygraną. Dlatego też przybrała maskę uprzejmości i, ignorując zaskoczony grymas Thoma i Juilina oraz pełne niedowierzania spojrzenia Uno i Ragana, postanowiła cieszyć się pozorami dobrego humoru, który pozostałe dwie kobiety również musiały udawać.

Nie przestała się uśmiechać nawet wtedy, gdy zrozumiała, dlaczego żagle wydały pełny wiatr, zaś pofałdowane brzegi rzeki ruszyły pod popołudniowym słońcem do tyłu z szybkością truchtającego konia. Neres, który przedtem nie rozwijał żagli, teraz wyglądał prawie na szczęśliwego. Prawie. Amadiciański brzeg był niski, gliniasty, od strony Ghealdan natomiast widziało się szeroką wstęgę trzciny dzielącą wodę od lasu, zbrązowiałych tam, skąd wycofała się rzeka. Samara znajdowała się jedynie o kilka godzin drogi w górę rzeki.

— Przenosiłaś — warknęła przez zęby na Elayne. Ocierając pot z czoła wierzchem dłoni, stłumiła pokusę, by strzepnąć go na leniwie kołyszący się pokład. Pozostali pasażerowie ścieśnili się, zostawiając im dwóm oraz Birgitte kilka kroków swobodnej przestrzeni, ale wciąż musiała ściszać głos i zwracać się do nich tak przyjaźnie, jak tylko mogła. Żołądek zdawał się podążać, spóźniony o mgnienie oka, za przechyłami statku; nieszczęśliwie wpływało to na poprawę jej nastroju. — Ten wiatr to twoje dzieło.

Miała tylko nadzieję, że w torbie z ziołami znajdzie się dostateczna ilość czerwonego kopru.

Na tle spochmurniałego nagle i rozgniewanego oblicza Elayne oraz rozszerzonych zniechęconych oczu, słowa wypływające z jej ust mogłyby zdać się miodem i mlekiem.

— Zmieniasz się powoli w przerażonego królika. Weź się w garść. Samara jest już całe mile za nami. Z takiej odległości żadna z nich nic nie wyczuje. Musiałaby chyba być razem z nami na statku. Zresztą uwinęłam się z tym bardzo szybko.

Nynaeve pomyślała, że jeśli będzie się tak dłużej uśmiechać, to chyba popęka jej skóra wokół ust, ale kątem oka zdołała dojrzeć, jak Neres przypatruje się swoim pasażerom, kręcąc głową. Przez wściekłość przepelniającą ją w tym momencie mogłaomalże wyczuć rozwiewające się residua splotu tamtej. Praca przy zmiennej pogodzie była niczym staczanie kamienia po zboczu; kiedy już się go właściwie pchnie, pochyłość dokona reszty. Gdy obsunie się ze ścieżki, co wcześniej czy później musi się zdarzyć, należy tylko lekkim ruchem naprowadzić go z powrotem. Splot tych rozmiarów Moghedien mogłaby wyczuć z samej Samary, ale z pewnością nie na tyle precyzyjnie, by wiedzieć, gdzie dokładnie został upleciony. Dorównywała tamtej samą tylko siłą, a jeśli nie czuła się na tyle mocna, by

coś zrobić w zaistniałej sytuacji, to z pewnością można było bezpiecznie założyć, że Przekłeta również nie będzie do tego zdolna. A chciała przecież podróżować najszybciej jak to tylko możliwe; aktualnie każdy dzień zwłoki ponad konieczność, na dodatek spędzony w ciasnym pomieszczeniu w towarzystwie tamtych dwóch, miał w jej oczach tyleż samo powabu, co dzielenie kajuty z Neresem. Poza tym, bynajmniej nie oczekiwała z utęsknieniem każdego kolejnego dnia spędzonego na wodzie. Dlaczego statek tak się kołysze, Skoro lustro wody wydaje się tak gładkie? — zastanawiała się Nynaeve.

Uśmiechnęła się i poczuła, jak rozbolały ją mięśnie wokół ust.

— Powinnaś zapytać Elayne. Zawsze zabierasz się za robienie różnych rzeczy bez pytania, bez zastanowienia. Czas najwyższy byś zdała sobie sprawę, że biegnąc na oślep, łatwiej wpadniesz w jakąś dziurę, a przecież twoja stara piastunka nie przyjdzie i nie wyciągnie cię, by potem otrzeć łzy i umyć buzię.

Kiedy wypowiedziała ostatnie słowo, zobaczyła, że oczy Elayne zrobiły się okrągłe niczym spodki, obnażone zaś w nieprzyjemnym grymasie zęby zdawały się gotowe do gryzienia.

Birgitte położyła dłonie na ich ramionach, pochyliła się i rozpromieniła, jakby przepelniona ogromną radością.

— Jeżeli wy dwie nie przestaniecie, zamierzam wrzucić was do rzeki, byście ochłonęły. Zachowujecie się obie niczym barmanki z Shago, które mężczyźni zimowy świerz b!

Ociekające potem twarze zakrzepły w uprzejmym grymasie i trzy kobiety rozeszły się, każda w swoją stronę, tak daleko od siebie, jak pozwalała ograniczona przestrzeń pokładu. Wieczorem Nynaeve usłyszała, jak Ragan powiedział, że i ona, i pozostałe muszą naprawdę odczuwać ulgę, iż znajdują się już daleko od Samary, wnioskując ze sposobu, w jaki śmieją się do siebie. Pozostali mężczyźni zdawali się mu przytakiwać, jednakże kobiety siedzące na pokładzie spoglądały na nie wzrokiem nazbyt uprzejmie obojętnym. Rozpoznawały kłopotliwe sytuacje, które rozgrywały się przed nimi.

Niemniej jednak, krok za krokiem, kłopoty rozwiąły się w nicość. Nynaeve nie do końca rozumiała, jak to się stało. Być może zewnętrzne wyrazy uprzejmości, które gościły na twarzach Elayne i Birgitte w jakiś sposób, wbrew woli, przesaczyły się do ich wnętrza. Być może bezsens zachowania, które polega na przyjaznym uśmiechaniu się do siebie, podczas gdy usta gotowe są w każdej chwili wypowiedzieć kłujące słowa, coraz bardziej stawał się nieznośny. W każdym razie, cokolwiek to było, nie skarżyła się na efekt. Powoli, dzień po dniu, słowa i ton głosu stawały się coraz bardziej zgodne z goszczącymi na twarzach uśmiechami, a od czasu do czasu, towarzyszył im wstyd, gdy przypominały sobie, jak zachowywały się wcześniej. Żadna nie wypowiedziała choć słowa przeprosin, rzecz jasna, ale Nynaeve doskonale je rozumiała. Gdyby ona była tak głupia i złośliwa, z pewnością nie chciałaby potem nikomu o tym przypominać.

Swoją rolę w przywróceniu Elayne i Birgitte równowagi odegrały zapewne również dzieci, chociaż wszystko zaczęło się chyba już pierwszego ranka spędzonego na rzece, gdy Nynaeve zajęła się opatrywaniem ran mężczyzn. Wytaszczyła na pokład torbę z ziołami, spreparowała maści i kataplazmy, zabandażowała rany. Ich widok zdenerwował ją do tego stopnia, że była zdolna Uzdrawiać — choroby i skaleczenia zawsze wprawiały ją w gniew — i wykorzystwała tę zdolność, przynajmniej wobec kilku najciężej rannych, należało jednak uważać. Znikające bez śladu rany sprawiłyby; że ludzie zaczęliby mówić, Światłości zaś jedna wie, co zrobiłby Neres, gdyby dowiedział się, że ma na pokładzie Aes Sedai; możliwe, że wysłałby potajemnie, nocą, człowieka na amadiciański brzeg i próbował doprowadzić do ich aresztowania. Zresztą, skoro już o tym mowa, wieść o tym mogli przenieść przez granicę niektórzy z uciekinierów.

Przy opatrywaniu Uno, na przykład, wtarła odrobinę szczypiącego mazidła z korzenia ostnicy w jego mocno poharatane ramię, nałożyła cienką warstwę maści z wszystkozdrówki na świeżą ranę na twarzy — nie było szczególnego sensu marnować któregoś z medykamentów — i zanim Uzdrawiła go, obwiązała mu głowę bandażem tak ciasno, iż ledwie mógł ruszać szczęką. Kiedy westchnął głęboko i zadrżał, powiedziała żywo:

— Nie zachowuj się jak dziecko; nie sądziłam, że odrobina bólu może tak przerazić wielkiego, silnego mężczyznę. Teraz pod żadnym pozorem nie dotykaj bandażu. Jeśli mnie nie posłuchasz, zadam ci coś takiego, że na długo popamiętasz.

Powoli pokiwał głową, patrząc na nią z taką niepewnością, że było wyraźnie widać, iż nie ma pojęcia, co zrobiła. Zrozumie, co się stało, kiedy zdejmie bandaż, ale wtedy, przy odrobinie szczęścia, nikt już nie będzie pamiętał, jak poważne były jego obrażenia, on sam zaś bez wątpienia wykaże się rozsądkiem i będzie trzymać język za zębami.

Kiedy już zaczęła leczyć, w naturalny sposób zajęła się także pozostałymi pasażerami. Niewielu uszło z zamieszek bez szwanku, zaś niektóre dzieci gorączkowały i zdradzały oznaki zarobaczenia. Te mogła Uzdrawić bez najmniejszego wahania; dzieci zawsze robią mnóstwo rabanu, gdy podaje im się coś mniej słodkiego niż miód. Jeżeli nawet powiedzą swym matkom, że dziwnie się poczuły... cóż, dzieci często wyobrażają sobie niestworzone rzeczy.

Nigdy nie czuła się swobodnie w obecności dzieci. Prawda, chciała urodzić Lanowi dziecko. Przynajmniej jakaś jej część tego chciała. Ale dzieci potrafiły rozsiewać wokół siebie chaos. W jej oczach wyglądało to tak, jakby specjalnie robiły dokładnie odwrotne rzeczy, niżli od nich wymagano, wystarczyło tylko odwrócić się do nich plecami, a wszystko po to jedynie chyba, by zobaczyć, jaka będzie reakcja. Jednak w pewnej chwili przyłapała się na tym, że gładzi ciemne włosy chłopca sięgającego jej najwyżej do biodra, który patrzył na nią niczym mała sówka, pustym wzrokiem jasnoniebieskich oczu. Były tak podobne do oczu

Lana.

Elayne i Birgitte przyłączyły się do niej, początkowo, by pomóc jej w utrzymaniu porządku, ale potem, w taki czy inny sposób, dzieci również je rozbroiły. O dziwo, Birgitte wcale nie wyglądała głupio, gdy trzymając na każdym kolanie trzy- lub czteroletniego chłopczyka, otoczona wianuszkiem dzieci, śpiewała jakąś bezsensowną piosenkę o tańczących zwierzakach. Elayne puściła zaś w krąg swój woreczek z czerwonymi cukierkami. Światłość tylko wiedziała, w jaki sposób je zdobyła i po co. Nie wyglądała na ani trochę zawstydzoną, gdy Nynaeve przyłapała ją, jak jednego wkłada ukradkiem do ust. Uśmiechnęła się tylko, delikatnie wyjęła kciuk z ust najbliższej małej dziewczynki i wsunęła na jego miejsce kolejnego cukierka. Dzieci śmiały się, jakby właśnie przypomniały sobie, jak się to robi i wczepiały się w suknie Nynaeve albo Elayne czy Birgitte z równą swobodą, jak to czyniły wobec własnych matek. W tych okolicznościach trudno było pozwolić sobie na jakieś urazy i wybuchy gniewu. Ona sama nie potrafiła się zdobyć na więcej niż ciche parsknięcie, kiedy drugiego dnia podróży, w zaciszu kajuty Elayne podjęła swe badania nad *a'dam*. Tamta zdawała się z każdą chwilą coraz bardziej przekonana, że bransoleta, obroża i smycz tworzą szczególną formę połączenia. Nynaeve towarzyszyła jej nawet raz czy drugi w tych badaniach; sam widok tego paskudnego przedmiotu wystarczał, by była zdolna objąć *saidara* i dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć.

Rzecz jasna przysłuchiwały się też opowieściom uciekinierów. Rozbite rodziny, ich członkowie zagubieni albo martwi. Chylące się ku ruinie farmy, sklepy i zakłady rzemieślnicze, w miarę jak ogarniały je kłopoty nękające świat, które rozchodziły się kręgami niczym zmarszczki na wodzie, paraliżując handel. Ludzie nie mogli kupować, gdy nie było sprzedaży. Prorok był jak ta ostatnia cegła, która położona na wóz powoduje, że pęka oś. Nynaeve nic nie powiedziała, gdy zauważyła, jak Elayne wciska złotą markę w dłoń jakiegoś nieszczęśnika o przeredzonych siwych włosach, który przycisnął pięść do pomarszczonego czoła i próbował ucałować jej rękę. Niebawem się przekona, jak łatwo złoto topnieje w rękach. Zresztą Nynaeve sama rozdała kilka monet. Cóż, może nawet więcej niż kilka.

Z wyjątkiem dwóch wszyscy mężczyźni byli siwi lub łysiejący, twarze mieli pomarszczone, ręce poznaczone odciskami od ciężkiej pracy. Młodszych objął pobór do armii, jeśli wcześniej nie zgarnęły ich oddziały Proroka; ci, którzy nie chcieli opowiedzieć się po żadnej ze stron, zawiśli. Ci dwaj młodzi — z wyglądu niewiele więcej niż chłopcy. Nynaeve wątpiła, czy choćby golili się już regularnie — mieli pełne przestachu oczy, drżeli, gdy któryś z Shienaran ledwie na nich spojrział. Czasami starsi mężczyźni mówili coś o zaczynaniu od początku, o znalezieniu kawałka ziemi albo jakiejś farmy, czy też o ponownym zajęciu się handlem, ale ton ich głosów świadczył, że jest to samooszukiwanie się i próżna nadzieja, nie zaś realne plany. Głównie rozmawiali przyciszonymi głosami o swoich rodzinach: o zaginionej żonie, zaginionych synach i córkach, wnukach, które gdzieś przepa-

dły. W ich głosach pobrzmiwało ostateczne zagubienie. Drugiej nocy człowiek o uszach niby ucha dzbana, który zdawał się najbardziej radosny wśród tej smutnej czeredy, gdzieś zaginął; zwyczajnie odszedł, kiedy wzeszło słońce. Być może popłynął do brzegu. Nynaee miała nadzieję, że mu się udało.

A jednak najbardziej krajało jej się serce z powodu kobiet. Perspektywy, jakie otwierały się przed nimi, nie były wcale lepsze niż w przypadku mężczyzn, tak samo żadnej pewności, co do dalszego losu, a przecież miały znacznie więcej trosk. Żadnej nie towarzyszył mąż, najpewniej żadna w ogóle nie wiedziała, czy jej mąż jeszcze pozostaje wśród żywych, jednak podobna odpowiedzialność popychała je do działania. Żadna kobieta choć z odrobiną charakteru nie podda się, kiedy ma dzieci. Niektóre z nich miały zamiar jakoś ułożyć sobie przyszłe życie. W ich sercach przynajmniej nie zgasła jeszcze ta ostatnia iskra nadziei, o której mężczyźni tylko mówili. Szczególnie losy trzech z nich głęboko ją poruszyły.

Nicola była w jej wieku i podobnej postury, szczupła, ciemnowłosa tkaczka z wielkimi oczyma, która miała wyjść za mąż, ale jej Hyran wbił sobie do głowy, że jego obowiązkiem jest pójść za Prorokiem, zostać wyznawcą Smoka Odrodzonego; ożeni się z nią, ale najpierw musi wypełnić swój obowiązek. Obowiązek był dla Hyrana bardzo ważny. Byłby z niego dobry i sumienny mąż oraz ojciec, tak przynajmniej uważała Nicola. Tylko że to, co miał w głowie, nie przydało mu się na wiele, gdy ktoś rozplątał mu ją toporem. Nicola nie wiedziała ani kto to był, ani dlaczego, rozumiała tylko tyle, że chce się znaleźć najdalej jak to tylko możliwe od Proroka. Gdzieś musi być przecież jakieś miejsce, gdzie ludzie się nie zabijają, gdzie nie trzeba bez przerwy obawiać się tego, co czyha za następnym rogiem ulicy.

Marigan, o kilka lat starsza, niegdyś nawet dość pulchna, choć dzisiaj wystrzępiona suknia wisiała na niej luźno, a na szczerzej twarzy zastygł wyraz skrajnego zmęczenia. Jej dwaj synowie, Jaril i Seve, sześć i siedmioletni, patrzyli na świat szeroko rozwartymi oczyma w całkowitym milczeniu; przytuleni nawzajem do siebie zdawali się obawiać wszystkich i wszystkiego dookoła, nawet własnej matki. Marigan zajmowała się w Samarze ziołami i miksturami leczniczymi, chociaż na temat obu tych rzeczy posiadała dość dziwaczną wiedzę. Nic w tym zresztą dziwnego, kobieta zajmująca się leczeniem w sąsiedztwie Amadicii, kiedy na drugim brzegu rzeki rozpościerała się domena Białych Płaszczy, musiała działać dyskretnie; właściwie od samego początku była samoukiem. Wszystkim, na czym jej kiedykolwiek zależało, było leczenie chorób, twierdziła też, że udawało jej się to zupełnie nieźle, chociaż nie była zdolna ocalić życia mężowi. Te pięć lat, które minęły od jego śmierci, nieźle dało się jej we znaki, a pojawienie się Proroka z pewnością w niczym nie polepszyło jej losu. Po tym, jak uleczyła pewnego człowieka z gorączki, a następnie rozeszły się plotki, że ożywiła zmarłego, motłoch polujący na Aes Sedai zmusił ją do wyszukania sobie kryjówki. Już chociażby to świadczyło, jak niewiele wiedzieli ludzie o Aes Sedai; śmierć znajdowała się po-

za zasięgiem Mocy Uzdrawiania. Jednak nawet Marigan zdawała się chyba sądzić inaczej. Podobnie jak Nicola, nie bardzo wiedziała, dokąd teraz może pójść. Miała nadzieję znaleźć jakąś wioskę, gdzie będzie mogła znowu zajmować się swoimi ziołami i sporządzaniem z nich leków.

Areina była najmłodsza z całej trójki, obdarzona oczyma jarzącymi się niezmaconym błękitem na tle twarzy poznaczonej żółtymi i czerwonymi siniakami; nie pochodziła z Ghealdan. Mogły o tym świadczyć chociażby jej rzeczy, jeśli już nie inne cechy charakterystyczne: krótki ciemny kaftan i szerokie spodnie podobne trochę do tych, które miała na sobie Birgitte. Stanowiły cały jej dobytek. Nie chciała powiedzieć dokładnie, skąd pochodzi, dużo jednak mówiła o losie, który przywiódł ją na pokład „Rzecznego Węża”. Jednak niektórych fragmentów opowieści Nynaeve musiała się domyślać. Areina udała się do Illian z zamiarem sprowadzenia do domu młodszego brata, zanim zdąży złożyć przysięgę czyniącą go Myśliwym Polującym na Róg. Ale ponieważ miasto zalały tysięczne tłumy, nie potrafiła nigdzie go znaleźć, jednak jakimś sposobem nagle okazało się, że to ona stoi wśród szeregów, składa przysięgę i wyrusza w świat, sama nie do końca wierząc, że Róg w ogóle istnieje, na poły zaś żywiąc nadzieję, iż może w ten sposób znajdzie gdzieś młodego Gwila i sprowadzi go do rodziny. Od tego czasu... rzeczy stawały się... coraz trudniejsze. Areina nie miała szczególnych oporów przed opowiadaniem, ale mówienie o niektórych sprawach kosztowało ją tyle wysiłku... Została wypędzona z kilku wiosek, raz obrabowana i kilkakrotnie pobita. Jednak nawet po takich przejściach nie miała zamiaru poddać się i zrezygnować ze znalezienia gdzieś bezpiecznego schronienia czy spokojnej wioski. Świat wciąż stał przed nią otworem, Areina postanowiła zaś sobie, że jeszcze mu pokaże. Nie formułowała tego dokładnie w ten sposób, jednak Nynaeve doskonale wiedziała, że o czymś takim myśli.

Nynaeve zdawała sobie również znakomicie sprawę z tego, co ujęło ją w tych kobietach najbardziej. Każda z tych historii mogła stanowić wątek jej własnego żywota. Niemniej nie do końca rozumiała, dlaczego Areinę lubi z nich najbardziej. Zastanawiając się nad tym, doszła do wniosku, iż większość kłopotów Areiny brała się z tego, że nie potrafiła trzymać języka za zębami, mówiła ludziom dokładnie to, co o nich myślała. Trudno określić jako zbieg okoliczności fakt, że została wygnana z jednej z wiosek tak szybko, że aż musiała porzucić swego konia, po tym jak nazwała lokalnego burmistrza ciastogębym łajdakiem, kilku zaś kobietom z wioski powiedziała, że żadne kuchenne pomywaczki o wyschłych kościach nie mają prawa dopytywać się, co ona robi samotnie na gościńcu. Tyle wyznała Nynaeve. Przez kilka dni zastanawiała się, jak pomóc Areinie załatwić jej porachunki ze światem. Chciała też wymyśleć coś, co mogłaby zrobić dla dwóch pozostałych. Pragnienie bezpieczeństwa i spokoju potrafiła także doskonale zrozumieć.

Dziwna wymiana słów przydarzyła im się rankiem drugiego dnia podróży, kiedy usposobienia wciąż jeszcze były drażliwe, słowa zaś — przynajmniej słowa

niektórych! — nie ociekały jeszcze słodyczą. Nynaeve powiedziała coś zupełnie zresztą nie napastliwego o tym, że Elayne nie znajduje się w pałacu swej matki, a więc nie powinna oczekiwać, że każdej nocy ona będzie ustępowała jej miejsca. Elayne zadarła podbródek, nim jednak zdążyła choćby otworzyć usta, Birgitte wybuchnęła:

— Jesteś Dziedziczką Tronu Andoru? — Ledwie rozejrzała się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

— Jestem — odrzekła Elayne głosem bardziej jeszcze przepelnionym godnością, niżli Nynaeve kiedykolwiek słyszała, jednak można było wyczuć w nim także ton poirytowania. . . czy mogła być to satysfakcja?

Z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu Birgitte zwyczajnie odwróciła się do nich plecami, przeszła na dziób i tam usiadła na zwoju liny, wbijając wzrok w rzekę. Elayne najpierw zmarszczyła brwi, ostatecznie jednak podeszła bliżej i usiadła obok. Przez jakiś czas cicho rozmawiały. Nynaeve nie przyłączyłaby się do nich, nawet gdyby ją poprosiły! Elayne wydawała się z lekka niezadowolona z przebiegu rozmowy, jakby oczekiwała czegoś zupełnie innego, potem jednak nie zdarzały im się już żadne sprzeczki.

Później, tego samego dnia, Birgitte powróciła do swego własnego imienia, a towarzyszył temu ostatni już wybuch jej gniewu. Ponieważ Moghedien pozostawiły za sobą, ona i Elayne mogły już za pomocą roztworu ze szkarłatki zmyć czerń ze swych włosów, kiedy zaś Neres zobaczył rudozłote, sięgające do ramion loki jednej oraz pszenicznazłote, zaplecione w skomplikowany zwój warkocza włosy drugiej, nie mówiąc już o łuku i kołczanie, wymamrotał coś gniewnie pod nosem na temat: „Birgitte wychodzącej w świat z przeklętych opowieści”. Na jego nieszczęście dosłyszała. Tak właśnie brzmi jej imię, powiedziała mu ostro, a jeżeli mu się nie podoba, ona nie ma nic przeciwko temu, by przyszpilić strzałami jego uszy do któregośkolwiek zechce masztu. Z zawiązanymi oczyma. Z poczerwieniałą twarzą odszedł na bok i zaczął pokrzykiwać na marynarzy, by naciągnęli mocniej liny, tak już naciągnięte, że lada chwila mogły popękać.

W tym momencie Nynaeve nie dbała o to, czy Birgitte ma zamiar rzeczywiście wprowadzić w czyn swoją groźbę. Szkarłatka mogła zostawić lekki rudawy poblask na jej włosach. ale i tak były na tyle podobne do ich naturalnej barwy, że chciało jej się płakać z radości. Szkarłatki zostało jej dosyć, chyba że wszyscy na pokładzie zaczęliby cierpieć na ból zębów lub głowy. I dość czerwonego kopru, by uspokoić własny żołądek. Nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi, gdy już wysuszyła włosy i zaplotła je w stosowny warkocz.

Dzięki Elayne, która tknęła pomysłu wiatry, a Neres płynął i w dzień i nocą, wioski o krytych strzechą domach szybko zostawały w dali. Za dnia widać było w nich machających rękoma ludzi, w nocy oświetlone okna. Nic nie zdradzało choćby śladu zamieszania, jakie panowało w górze rzeki. Ładowny, wbrew swej nazwie, statek sunął prędko w dół rzeki.

Neres wydawał się rozdierany sprzecznymi emocjami — zadowoleniem, że tak mu sprzyjają wiatry oraz obawą przed żegluga w dzień. Niejednokrotnie patrzył z tęsknotą w kilwater statku, na odpowiednie miejsca — porośnięte drzewami ujście strumienia czy głęboko wciętą w brzeg zatoczkę — gdzie „Rzeczny Wąż” mógł zostać zakotwiczony i ukryty. Od czasu do czasu Nynaeve stwierdzała głośno, upewniwszy się najpierw, że on ją słyszy, jak musi być szczęśliwy, że ludzie z Samary wkrótce już zsiądą z pokładu jego statku, dodając stosowny komentarz na temat tego, jak dobrze wygląda teraz ta lub owa kobieta, kiedy trochę wypoczęła, albo jak pełne życia zdają się obecnie jej dzieci. To wystarczyło, by wybić mu z głowy wszelkie pomysły na temat ewentualnych przystanków. Łatwiej zapewne byłoby postraszyć go przy pomocy Shienaran, tudzież Thoma i Juilina, jednak tamci z każdą chwilą stawali się coraz bardziej zarozumiali. Ona zaś z pewnością nie miała zamiaru kłócić się z mężczyzną, który ani nie zechce na nią spojrzeć, ani nie przemówi do niej choć słowem.

Szary brzask trzeciego dnia podróży zastał załogę ponownie przy wiosłach sterowych, statek wchodził do doku w Boanndzie. Boannda była sporym miastem, większym od Samary, położonym na wąskim trójkacie ziemi, w miejscu, gdzie bystra rzeka Boern, płynąca od Jehannah, wpadała do leniwej Eldar. Nad wysokimi szarymi murami górowały trzy wieże oraz budowla lśniąca bielą ścian pod czerwonymi dachami, która z powodzeniem mogła uchodzić za pałac, nawet jeśli stosunkowo nieduży. Kiedy „Rzeczny Wąż” został już zacumowany do ciężkich pachołków na krańcu nabrzeża, którego połowę długości stanowił pas wyschniętej gliny, Nynaeve zaczęła się na głos zastanawiać, dlaczego Neres popłynął aż do Samary, skoro mógł swoje towary wyładować tutaj.

Elayne kiwnęła głową w stronę krępego mężczyzny na nabrzeżu, którego pierś zdobił łańcuch z jakąś pieczęcią. Dookoła znajdowało się kilku innych, wyposażonych w takie same insygnia, łańcuch i błękitny płaszcz, uważnie przypatrywali się dwu innym, a dużej ładowności, statkom, rozładowywanym w sąsiednim doku.

— Poborcy celni królowej Alliandre, nie mam co do tego wątpliwości. — Neres bębnił palcami po relingu, starając się nie spoglądać na nich niemalże równie intensywnie, jak oni przyglądali się tamtym statkom. — Być może w Samarze miał jakieś układy. Nie wygląda na to, by z tymi tutaj w ogóle chciał rozmawiać.

Mężczyźni i kobiety z Samary przeszli niechętnie po trapie, lecz celnicy nie zwracali na nich uwagi. Ludzi nie dotyczyły żadne przepisy celne. Dla mieszkańców Samary był to początek okresu niepewności. Musieli zacząć swoje życie od nowa z tym, co pozostało im z przeszłości i co otrzymali od Nynaeve oraz Elayne. Zanim zdążyli pokonać choćby połowę drogi po nabrzeżu, wciąż zbici w ciasną gromadkę, niektóre z kobiet były już tak załamane, jak mężczyźni. Kilka zaczęło nawet płakać. Ślad niezadowolenia przemknął po twarzy Elayne. Ona zawsze chciała troszczyć się o wszystkich. Nynaeve miała nadzieję, że tamta nie odkryje, iż wsunęła jeszcze trochę srebra w dłonie tych kobiet.

Nie wszyscy opuścili statek. Areina została, a wraz z nią Nicola i Marigan, mocno przytuliwszy swoich synów, którzy w pełnym niepokoju milczeniu patrzyli, jak pozostałe dzieci odchodzą w stronę miasta. Od wyjazdu z Samary obaj chłopcy nie odezwali się ani słowem, przynajmniej Nynaeve nigdy nic od nich nie usłyszała.

— Chcę jechać z tobą — zwróciła się Nicola do Nynaeve, mimowolnie wykręcając palce. — Przy tobie czuję się bezpiecznie.

Marigan pokiwała głową, najwyraźniej myślała podobnie. Areina nic nie powiedziała, ale podeszła bliżej do obu kobiet, dając tym samym do zrozumienia, że podziela ich stanowisko, równocześnie patrzyła na Nynaeve spojrzeniem ni by pozbawionym wyrazu, po którym jednak jasno było widać, że nie chce zostać odesłana.

Thom leciutko pokręcił głową, Juilin skrzywił się, ale Nynaeve patrzyła tylko na Birgitte i Elayne. Elayne nie wahała się nawet przez moment, skinęła szybko głową, Birgitte chwilę później powtórzyła jej gest. Nynaeve zebrała swoje suknie i ruszyła w stronę Neres, który stał na rufie.

— Spodziewam się, że teraz odzyskam mój statek — przemówił, kierując swe słowa w przestrzeń gdzieś między burtą a nabrzeżem. — Niezbyt wcześnie. Ta podróż należała do najgorszych, jakie przeżyłem w życiu.

Nynaeve uśmiechnęła się szeroko. Przynajmniej wreszcie spojrział na nią, zanim z nim skończyła. Cóż, prawie mu się udało.

Neres zresztą raczej nie miał wyboru. Najprawdopodobniej nie mógł odwołać się do władz Boandy. A jeśli nie podobałyby mu się opłaty, jakie zaproponowała, cóż, tak czy siak musiał płynąć w dół rzeki. Tak więc „Rzeczny Wąż” odbił ponownie od nabrzeża, kierując się ku Ebou Dar, mając przed sobą jeszcze jeden przystanek po drodze, o czym Neres dowiedział się jednak dopiero wtedy, gdy Boannda zaczęła znikać za rufą łodzi.

— Salidar! — jęknął, patrząc na coś nad głową Nynaeve. — Salidar został opuszczony po Wojnie z Białymu Płaszczami. Trzeba być kompletnie głupią kobietą, żeby chcieć wysiąść na brzeg w Salidarze.

Nynaeve wciąż się uśmiechała, jednocześnie była dosyć zła, by objąć Źródło. Neres zawył, jednocześnie próbując się klepnąć po karku i po biodrze.

— Końskie muchy są bardzo dokuczliwe o tej porze roku — oznajmiła ze współczuciem. Birgitte zaniósła się głośnym śmiechem, zanim jeszcze zdążyły odejść dalej niż do połowy pokładu.

Stojąc już na dziobie, Nynaeve głęboko wciągnęła powietrze w płuca; poczuła, jak Elayne przeniosła, aby ponownie upleść wiatry, zaś „Rzeczny Wąż”, kołysząc się, wszedł w silny prąd rzeki Boern. Znowu zażywała takie ilości czerwonego kopru, że prawie żywiła się wyłącznie nim, ale teraz nie dbała już o to, czy wystarczy jej go do Salidaru. Podróż dobiegała niemalże końca. Wszystkie przejścia, jakie miały za sobą, okazały się tego warte. Rzecz jasna nie zawsze zgodziłyby się

z tym stwierdzeniem i nie chodziło tylko o ostre języki Birgitte oraz Elayne.

Pierwszej nocy, gdy leżała w bieliźnie na kapitańskiej koi, a ziewająca Elayne zajmowała krzesło, natomiast Birgitte stała oparta o drzwi, włosami omiatając belki stropu, Nynaeve użyła poskręcane go kamiennego pierścienia. Zawieszona u sufitu porzewiała lampa oświetlała wnętrze kajuty, rozsiewając lekki zapach przyprawianej oliwy, którą ją napełniono; być może Neres również wcale nie przepadał aż tak bardzo za wonią pleśni i zastarzałego kurzu. Jeżeli tak ostentacyjnie pokazywała im, że pierścień spoczywa między jej piersiami — upewniając się, iż tamte widzą, że dotyka skóry — cóż, miała po temu swoje powody. Kilka godzin pozornie rozsądnego zachowania z ich strony nie sprawiło, że stała się mniej czujna.

Serce Kamienia wyglądało dokładnie tak jak zawsze, blade światło dochodzące jakby zewsząd i znikąd jednocześnie, lśniący kryształowy miecz *Callandor*; sterczący z posadzki pod wielką kopułą, rzędy wielkich kolumn z polerowanego czerwonego kamienia ginące w plątaninie cieni. I to wrażenie bycia obserwowaną, tak powszechne w *Tel'aran'rhiod*. Nynaeve miała ochotę uciec natychmiast z tego miejsca, albo rzucić się na jakieś szaleńcze poszukiwanie ukrytych w gąszczu kolumn obserwatorów. Przemocą opanowała się i zmusiła, by stać bez ruchu w jednym miejscu obok *Callandora*, licząc powoli do tysiąca i po każdej setce przerywając, by zawołać Egwene.

W rzeczy samej tyle tylko mogła zrobić. Samokontrola, z której była taka dumna, gdzieś się ulotniła. Ubiór właściwie migotał na niej, kiedy przez głowę przelatywały pełne zatroskania myśli o sobie samej, Moghedien, Egwene, Randzie, Lanie. W jednej chwili grube, niezgrabne wełny z Dwu Rzek zmieniły się w obszerny płaszcz z głęboko nasuniętym kapturem, potem zastąpiła go kolczuga Białych Płaszczy, ją zaś z kolei sukienka z czerwonego jedwabiu — prawie przezroczysta! — która dla odmiany stała się jeszcze grubszym płaszczem, on natomiast... Pomyślała, że jej twarz również się zmienia, gdy tylko zerknęła na skórę swych dłoni, jeszcze ciemniejszą niżli u Juilina. Być może Moghedien nie udałoby się jej rozpoznać...

— Egwene! — Ostatnie ochryple wezwanie odbiło się daremnym echem wśród kolumn, zaś Nynaeve musiała stać dalej sama, drżąca, i raz jeszcze liczyć do stu. Ogromna komnata była całkowicie pusta, nie licząc jej samej. Żałując, że kieruje nią nie żal a pośpiech, wyszła ze snu...

... i przekonała się, że leży, ściskając w palcach kamienny pierścień, zawieszony na rzemieniu, i patrzy na grube belki sufitu nad głową, wsłuchana w tysięczne skrzypienia, jakie wydawał statek płynący szybko w dół rzeki.

— Spotkałaś ją? — dopytywała się Egwene. — Nie trwało to długo, ale...

— Zmęczona już jestem tym strachem — powiedziała Nynaeve, nie odrywając oczu od sufitu. — Jestem już t... taka zmęczona byciem t... tchórzem.

Ostatnie słowa pochłonął szloch, którego nie potrafiła ani powstrzymać, ani

ukryć, niezależnie od tego, jak bardzo tarła dłońmi oczy.

Elayne w jednej chwili znalazła się przy niej, przytuliła ją, pogładziła po włosach, minutę później Birgitte przyłożyła jej do karku kawałek płótna zmoczony w zimnej wodzie. Zanosila się płaczem do wtóru ich słów, którymi zapewniały ją, że bynajmniej nie jest tchórzem.

— Gdybym sądziła, że ściga mnie Moghedien — na koniec powiedziała Birgitte — uciekałabym bez namysłu. Gdybym nie znalazła innej kryjówki prócz nory borsuka, wpełzłabym do środka, zwinęła się w kłębek i spocona ze strachu czekała, póki sobie nie pójdzie. Nie stanęłabym również na drodze jednemu z tych rozjuszonych *s'redit* Cerandin i nie nazwę tego tchórzostwem. Sama musisz wybrać miejsce i czas, skoczyć na nią, kiedy będzie się tego najmniej spodziewała. Zemszczę się na niej, kiedy tylko będę mogła, ale to jest jedyny sposób. Wszystko inne jest głupstwem.

Niekoniecznie były to słowa, które Nynaeve chciała usłyszeć, jednak jej łzy i ich pociecha stanowiły kolejną wyrwę w ciernistym żywopłocie, który między nimi wyrósł.

— Udowodnię ci, że nie jesteś tchórzem. — Elayne sięgnęła na półkę po ciemne drewniane pudełko, które tam wcześniej położyła, otworzyła je i wyciągnęła grawerowany w spiralny zwój żelazny krąg. — Wrócimy tam razem.

To były słowa, których Nynaeve nie miała ochoty usłyszeć. Ale tego nie można było uniknąć, nie po tym, jak im powiedziała, że jest tchórzem. A więc wróciły.

Do Kamienia Łzy, gdzie stały teraz, patrząc na *Callandora* — lepiej tak, niżli oglądać się ciągle przez ramię i zastanawiać, gdzie też zmaterializuje się znieznacka Moghedien — potem przeniosły się do Pałacu Królewskiego w Caemlyn, dokąd zawiodła je Elayne, a następnie do Poła Emonda, pod przewodnictwem Nynaeve. Nynaeve wcześniej już widywała rozmaite pałace z ich wielkimi korytarzami, wysokimi, zdobionymi freskami sufitami i marmurowymi posadzkami, widziała. złocenia i znakomite dywany, a także zdobne draperie na ścianach, jednak Elayne dorastała w tym miejscu. Widząc je teraz i pamiętając o tym, potrafiła może troszeczkę lepiej ją zrozumieć. Nie dziwota, że ta kobieta oczekiwała, iż cały świat ugnie przed nią kark, wychowano ją bowiem w taki sposób, w miejscu takim jak to.

Elayne, która przez to, że używała *ter'angreal*, wyglądała niby blade odbicie samej siebie, zachowywała się dziwnie cicho, gdy znajdowały się w pałacu. Ale później Nynaeve także zamilkła, kiedy trafiły do Poła Emonda. Po pierwsze dlatego, że wioska była większa, niżli ją zapamiętała, więcej było domów krytych strzechą i, sądząc z wznoszących się wokół drewnianych konstrukcji, stawiano kolejne. Tuż za wioską ktoś budował naprawdę wielki dom, z trzema szerokimi piętrami, a na Łące stał wysoki na pięć kroków cokół, którego całą powierzchnię pokrywały imiona. Wiele rozpoznała: głównie były to imiona ludzi z Dwu Rzek. Po obu stronach cokołu stały maszty: na jednym wisiał sztandar z czerwono-

nym łbem wilka, na drugim powiewał czerwony orzeł. Wyglądało, że wszystko ma się jak najlepiej, że wszyscy muszą wieść dostatnie, pełne zadowolenia życie — przynajmniej tak myślała, choć wokół nie było widać ludzi — ale nie miało to najmniejszego sensu. Cóż, na Światłość, znaczą te sztandary? I kto może budować sobie taki wielki dom?

Przeniosły się do Białej Wieży, do gabinetu Elaidy. Od czasu ich ostatniej wizyty nic się tutaj nie zmieniło, wyjąwszy to, że w półokręgu przed biurkiem stało obecnie tylko pół tuzina stołków. I zniknął tryptyk przedstawiający losy Bonwhin. Wizerunek Randa pozostał, ale w poprzek jego twarzy biegła niezbyt dobrze zartata smuga, jakby ktoś czymś w niego rzucił.

Przejrzały dokumenty schowane w lakierowanej szkatułce z wiekiem zdobionym w złote jastrzębie oraz papiery znajdujące się na stole Opiekunki w przedpokoju. Dokumenty i listy zmieniały się na ich oczach, jednak trochę się z nich dowiedziały. Elaida wiedziała, że Rand przeszedł Mur Smoka i jest w Cairhien, ale na temat tego, co zamierza zrobić z całą sytuacją, nie było żadnej wskazówki. Gniewne żądanie, by wszystkie Aes Sedai natychmiast wracały do Wieży, chyba że mają odrębne rozkazy własnoręcznie przez nią wydane. Elaida zdawała się złościć mnóstwem rzeczy, tym, że tak niewiele siostr wróciło po tym, jak ogłosiła amnestię, że siatki szpiegowskie w Tarabon w większej części wciąż milczą, że Pedron Niall dalej ściga Białe Płaszcz z powrotem do Amadicii, ona zaś nie ma pojęcia dlaczego, że Davrama Bashere'a dalej nigdzie nie można znaleźć, pomimo iż towarzyszy mu armia. Wściekłość przepełniała każdy z dokumentów, pod którym widniała jej pieczęć. Żaden jednak nie miał dla nich szczególnego znaczenia i nie na wiele mógł się przydać, wyjąwszy być może ten dotyczący Białych Płaszcz. Chociaż, dopóki znajdowały się na „Rzeczonym Wężu”, nie powinny oczekiwać z ich strony żadnych kłopotów.

Kiedy wróciły do swych ciał płynących wciąż na statku, Elayne w milczeniu wstała z krzesła i schowała krąg do szkatułki. Nie zastanawiając się, Nynaeve wstała również i pomogła jej zdjąć sukienkę. Birgitte także podniosła się, kiedy razem wpełzły do łóżka w białiznie; zamierzała spać na pokładzie, tuż przy szczycie drabiny — tak im oznajmiła.

Elayne przeniosła, by zgasić płomień lampy. Przez czas jakiś leżały w ciemnościach, po czym powiedziała:

— Pałac wydawał się taki... pusty, Nynaeve. Czuło się w nim pustkę.

Nynaeve nie miała pojęcia, jak niby inaczej miałyby wyglądać dowolne miejsce w *Tel'aran'rhiad*.

— To pewnie przez ten *ter'angreal*, którego używałaś. Tak wyglądałaś, jakbyś zaraz, miała się rozpuścić w powietrzu.

— Cóż, we własnych oczach wyglądałam zupełnie dobrze. — W głosie Elayne pobrzmiwał jednak jedynie leciutki ślad urazy, więc tylko ułożyły się wygodniej i postarały zasnąć.

Nynaeve dokładnie pamiętała łokcie tamtej, ale nawet myśl o nich nie potrafiła zepsuć jej dobrego nastroju, tudzież ciche narzekania Elayne na jej rzekomo zimne stopy. Zrobiła to. Być może zapomnieć o swoim strachu nie oznacza tego samego, co nie bać się, ale wróciła jednak do Świata Snów. Może pewnego dnia znowu na tyle odzyska spokój, by się w ogóle nie bać.

Kiedy już zaczęła, łatwiej było ciągnąć to dalej, niż przestać. Każdej nocy, po tym jak pierwszy raz odwiedziły *Tel'aran'rhiod*, zawsze udawała się do Wieży, by przekonać się, czy nie zdobędzie jakichś użytecznych informacji. Nie było tego wiele, oprócz rozkazu wysłania emisariuszek do Salidaru, aby zaprosić pozostające tam Aes Sedai do powrotu do Wieży. Ponadto zaproszenie to — przynajmniej na tyle, na ile Nynaeve udało się w nie wczytać, prawie bowiem natychmiast zmieniło się w raport dotyczący przebadania potencjalnych nowicjuszek odnośnie właściwych przymiotów, czymkolwiek miały one być — zostało sformułowane raczej w tonie żądania, by te Aes Sedai poddały się natychmiast władzy Elaidy i wdzięczne były, jeśli pozwoli im wrócić. Stanowiło to jednak potwierdzenie sensowności ich wysiłków, rozpraszając obawy, że szukają wiatru w polu. Problem zresztą podpatrzonych fragmentów polegał na tym, że nie miały pojęcia, jak złożyć je w jedną całość. Kim był ten Davram Bashere i dlaczego Elaida tak szalenie próbowała go odnaleźć? Dlaczego Elaida pod groźbą surowej kary zabroniła wszystkim choćby wspominać imię Mazrima Taima, fałszywego Smoka? Dlaczego królowa Tenobia z Saldaei i król Easar z Shienaru pisali oboje w słowach grzecznych acz zdecydowanych, że nie podoba im się, iż Biała Wieża wtrąca się w ich sprawy? Stojąc przed takim bezładnym mrowiem nie powiązanych strzępów wiedzy, Elayne wymamrotała jedno z powiedzeń Lini: „Aby zrozumieć dwie rzeczy, musisz najpierw wiedzieć, czym jest jedna”.

Nynaeve nie pozostało nic innego, jak przyznać, iż zapewne tak właśnie jest.

Oprócz wypraw do gabinetu Elaidy, pracowały nad ćwiczeniami usprawniającymi kontrolę zarówno własnych myśli, jak i otoczenia Świata Snów. Nynaeve nie miała zamiaru pozwolić, by ją po raz drugi tak przyłapano, jak to się kiedyś udało Egwene oraz Mądrym. O Moghedien starała się nie myśleć. Znacznie lepiej skupić się na Mądrych.

Sztuczki, dzięki której Egwene pojawiła się w ich snach w Samarze, nie potrafiły za nic rozgryźć; wzywanie jej nie zdało się na nic, wyjąwszy to, że nieprzyjemne wrażenie bycia obserwowanym tylko się nasiliło, Egwene jednak nie pokazała się po raz wtóry. Próba zatrzymania kogoś drugiego w *Tel'aran'rhiod* była niewiarygodnie trudna do opanowania, nawet po tym, jak Elayne wpadła na pomysł, że trzeba tego kogoś traktować po prostu niczym częścią snu. Elayne na koniec udało się tego dokonać — Nynaeve zaś gratulowała jej z takim zapalem i zachwytem, do jakiego mogła się zmusić — ale przez wiele dni sama nie potrafiła tej sztuki dokonać. Mgła, z której zdawała się utkana Elayne, równie dobrze mogła stanowić jej substancję — znikająca z uśmiechem, kiedy tylko miała

ochotę. Gdy Nynaee na koniec udało się uwięzić ją na miejscu, poczuła takie zmęczenie, jakby podniosła wreszcie do góry ciężki głaz.

Tworzenie fantastycznych kwiatów i kształtów mocą samej myśli było o wiele bardziej zabawne. Wysisek, jaki należało w to włożyć, był związany zarówno z wielkością danej rzeczy, jak też możliwością jej realnego istnienia. Drzewa pokryte dziko ukształtowanym kwieciami w barwach złota, czerwieni i purpury były znacznie trudniejsze do wykonania niżli stojące lustro, w którym można było sprawdzić wygląd własnej sukienki albo przekonać się, co zrobiła z nią któraś inna. Wzniesienie na nagiej ziemi pałacu z lśniącego kryształu było jeszcze trudniejsze i choćby pod dotknięciem dłoni wydawał się całkiem solidny, zmieniał się, gdy tylko jego obraz w głowie słabł, znikał zaś zupełnie, kiedy przestawało się o nim myśleć. Bez jednego słowa zgodziły się zostawić zwierzęta w spokoju, gdy jakaś dziwna istota — bardzo przypominająca konia, z tym że posiadała róg na nosie! — ścigała je aż na szczyt wzgórza, nim wreszcie udało się sprawić, by zniknęła. Przez to o mały włos znowu się nie pokłóciły, każda bowiem twierdziła, że to ta druga stworzyła zwierzę, ale Elayne na szczęście w wystarczającym już stopniu stała się dawną sobą, by móc zaśmiać się na wspomnienie tego, jak musiały obie wyglądać, gdy tak biegły po zboczu, zadzierając spódnicę i krzycząc na tamtego stwora, by zniknął. Nawet upór Elayne, która nie chciała przyznać się, iż to ona go powołała do życia, nie potrafił stłumić chichotu Nynaee.

Elayne na przemian stosowała bądź żelazny krąg, bądź bursztynową tarczkę, przedstawiającą śpiącą kobietę, ale tak naprawdę nie lubiła używać żadnego z tych dwu *ter'angreali*. Niezależnie od tego, jak się przykładła, nigdy nie udawało jej się osiągnąć tego stopnia realności w *Tel'aran'rhiod*, co przy użyciu kamiennego pierścienia. A ponadto przy każdym z nich trzeba było się nieźle napracować; nie można było związać strumienia Ducha, taka próba bowiem równała się natychmiastowemu wyrzuceniu ze Świata Snów. Jednoczesne przeniesienie dodatkowego strumienia zdawało się omalże niemożliwe, Elayne jednak nie potrafiła pojąć dlaczego. Znacznie bardziej zresztą interesowało ją, w jaki sposób zostały one wykonane, toteż nie była szczególnie uradowana faktem, że nie chciały zdradzić swych tajemnic równie chętnie jak *a'dam*. Dręczące pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, dokuczały jej niby kamyk w bucie.

Pewnego razu Nynaee spróbowała użyć jednego z tych dwóch, przypadkiem zdarzyło się to tej nocy następnej po opuszczeniu Boandy, gdy miały się spotkać z Egwene. Zazwyczaj byłoby to niemożliwe — musiała być stosownie wściekła, żeby móc przenosić — tym razem jednak tak się właśnie zdarzyło, a powód był nadzwyczaj dokuczliwy: mężczyźni.

Wszystko zaczęło się od Neresa. Słońce zaczęło zapadać za horyzont, on zaś chodził ciężko po pokładzie, mrużąc coś do siebie na temat ukradzionego ładunku. Oczywiście nie zwracała nań żadnej uwagi. Wtedy Thom, który właśnie przygotowywał sobie posłanie u stóp tylnego masztu, powiedział cicho:

— On ma rację.

Najwyraźniej nie widział jej w słabnącym blasku zachodzącego słońca, podobnie zresztą jak i Juilin, który przycupnął obok.

— Jest przemytnikiem, ale zapłacił przecież za te towary. Nynaeve nie miała prawa mu ich zabierać.

— Przeklęte prawa kobiet to tyle, co one przeklęte same chcą — zaśmiał się Uno. — Tak przynajmniej powiadają kobiety w Shienarze.

Wtedy ją zobaczyli i zamilkli, jak zawsze mądrzy po szkodzie. Uno potarł policzek, ten bez blizny. Tego dnia zdjął bandaże i odtąd już wiedział, co mu zrobiła. Uznała, że wygląda na zmieszanego. Trudno było ich dojrzeć w zapadającym zmroku, ale twarze pozostałych dwóch wyglądały na zupełnie wyzbyte wyrazu.

Oczywiście nic im nie zrobiła, wycofała się tylko, kurczowo ściskając w garści warkocz. Udało jej się nawet zejść bez trudu po drabinie. Elayne trzymała już żelazny krążek w dłoni, czarna drewniana szkatułka stała otwarta na stole. Nynaeve wzięła do ręki żółtą tarczkę z wyrzeźbioną na spodniej stronie postacią śpiącej kobiety; pod palcami wydawała się miękka i gładka, nikt by nie uwierzył, że potrafi zadrapać metal. Ponieważ płomień gniewu wciąż tlił się w niej, *saidar* promieniował, niczym ciepła poświata, tuż ponad ramieniem.

— Może uda mi się wpaść na jakiś pomysł, dlaczego ta rzecz nie pozwala ci przenieść nic prócz paru kropeł.

Takim też sposobem znalazła się w Sercu Kamienia, przenosząc strumień Ducha w tarczkę, którą już w *Tel'aran'rhiod* wsunęła do sakwy przy pasie. Elayne jak zawsze w Świecie Snów miała na sobie ubiór, który właściwy byłby raczej na dworze jej matki — zielone jedwabie haftowane złotem wokół szyi, naszyjnik ze złotych ogniwi i księżycowego kamienia, dobraną bransoletkę; Nynaeve zaskoczyło jednak, że ona sama odziana jest bardzo podobnie, tylko włosy dalej zaplecione były w warkocz — i miały naturalny kolor — miast spływać swobodnie na ramiona. Suknia w srebrze i bladych błękitach, jeśli nawet nie była tak nisko wycięta jak suknie Luki, wciąż miała zbyt głęboki dekolot na jaki, w co chciała wierzyć, zdecydowałyby się świadomie. A jednak podobała jej się pojedyncza ognista lza na srebrnym łańcuszku lśniąca między piersiami. Egwene nie udałoby się łatwo zwieść kobiety tak ubranej. Z pewnością jednak nie miało to nic wspólnego z tym, dlaczego ją przywdziała, choćby bezwiednie.

Natychmiast zrozumiała, co Elayne miała na myśli, mówiąc, że we własnych oczach wygląda się dobrze; kiedy patrzyła po sobie, jej wygląd niczym nie różnił się od wyglądu stojącej obok kobiety z kamiennym pierścieniem w jakiś sposób nawleczonym na naszyjnik. Elayne jednak poinformowała ją, że wygląda niczym... utkana z mgły. Mgliste było również odczucie obecności *saidara*, wyjąwszy ten splot Ducha, który utkała jeszcze na jawie. Reszta zdawała się nierzeczywista, papierowa. a nawet nigdy niewidziane, promienne ciepło Prawdziwego Źródła docierało jakby z oddali. Gniewu miała w sobie akurat na tyle, by przeno-

sić. Jeżeli złość na mężczyzn minie jej, zanim rozwiąże zagadkę, to sama zagadka może stanowić odpowiednią dlań podniechęć; nie miał tu nic do rzeczy fakt, że przygotowała się wewnętrznie na możliwą konfrontację z Egwene, przecież nie można tego traktować jako zbrojenia się; tylko dlaczego czuła wciąż jeszcze na języku słaby smak sparzonej kociej narecznicy i sproszkowanego liścia mawinii?! Jednak dobyte pojedynczego płomyka, który zatańczył w powietrzu, jedno z pierwszych ćwiczeń, jakich uczą się nowicjuszek, wydawało się równie trudne jak przerzucenie Lana przez ramię. Płomień nawet w jej oczach zdawał się jakby rozrzedzony, a kiedy tylko zawiązała splot, zaczął zanikać. W ciągu kilku sekund już go nie było.

— Obie razem? — zapytała Amys. Ona i Egwene stały, tak po prostu, po przeciwnej stronie *Callandora*, odziane w identyczne spódnice i bluzki Aielów oraz, te ich szale. Przynajmniej Egwene nie miała na sobie takiej masy naszyjników i bransoletek. — Dlaczego wyglądasz tak dziwnie, Nynaeve? Czy nauczyłaś się pojawiać w Świecie Snów bezpośrednio z jawy?

Nynaeve leciutko drgnęła. Tak nienawidziła, gdy ludzie podkradali się do niej niepostrzeżenie.

— Egwene, w jaki sposób...? — zaczęła, wygładzając spódnice, ale w tym samym momencie Elayne powiedziała: — Egwene, nie potrafimy zrozumieć, jak ty...

Egwene weszła jej w słowo.

— Rand i Aielowie odnieśli wielkie zwycięstwo pod Cairhien.

Potem jednym ciągłym strumieniem wyrzuciła z siebie wszystko, co zdążyła już im powiedzieć w snach, począwszy od Sammaela, a skończywszy na seanchańskiej włóczni. Każde słowo wypływała niemalże natychmiast, zanim skończyła jeszcze wypowiadać poprzednie, wpatrując się w rozmówczynię pełnym napięcia wzrokiem.

Nynaeve wymieniła z Elayne zmieszane spojrzenia. Z pewnością już to mówiła. Nie wyobraziły sobie przecież wszystkiego, skoro teraz uzyskiwały potwierdzenie każdego słowa. Nawet Amys — której długie siwe włosy jedynie podkreślały ten silniej zaznaczający się niż u Aes Sedai brak śladów upływu lat na twarzy — wyglądała na rozbawioną tą powodzią słów.

— Mat zabił Couladina? — wykrzyknęła w pewnym momencie Nynaeve. Tego z pewnością nie było w snach. Zresztą to w ogóle nie pasowało do Mata. Powiódł żołnierzy do bitwy? Mat?

Kiedy Egwene na koniec przestała wreszcie zalewać je potokami słów, poprawiła szal i przez chwilę szybko oddychała — podczas całej swej przemowy ledwie zdążyła parę razy zaczerpnąć oddechu — Elayne słabym głosem spytała:

— Czy on jest zdrow? — Jej głos zabrzmiał w taki sposób, jakby zaczynała powoli niedowierzać własnej pamięci.

— Tak dobrze, jak można by tego oczekiwać — oznajmiła Amys. — Jest

surowy dla siebie i nikogo nie słucha. Z wyjątkiem Moiraine..

Najwyraźniej nie była z tego powodu szczególnie zadowolona.

— Aviendha przebywa z nim niemalże przez cały czas — dodała Egwene. — Opiekuje się nim dla ciebie.

Nynaeve nie uwierzyła w słowa Mądrej. Nie wiedziała zbyt wiele o Aielach, niemniej podejrzewała, że jeśli Amys powiedziała „surowy”, każdy inny powiedziałby „traktuje samego siebie w sposób bezwzględny”.

Najwyraźniej Elayne miała w tej kwestii podobne zdanie.

— Dlaczego więc ona pozwala mu się tak nadwierać? Co on właściwie robi?

Całkiem sporo, jak się okazało, i na pewno aż za dużo. Dwie godziny dziennie ćwiczy walkę na miecze z Lanem, czy też z każdym, kto tylko się nawinie. Amys słysząc słowo „miecz”, zacisnęła usta w kwaśny grymas. Przez następne dwie godziny trenuje walkę wręcz na sposób Aielów. Egwene mogła się temu dziwić, ale Nynaeve dobrze wiedziała, jak człowiek czuje się bezradny, gdy nie potrafi przenosić. A jednak Rand nigdy nie powinien był się znaleźć w takiej sytuacji. Został królem czy też kimś jeszcze wyżej wyniesionym; otoczony gwardią *Far Dareis Mai* wydaje rozkazy lordom i damom. Zajmowało mu to zdecydowanie nazbyt wiele czasu; rozkazy, a potem kontrola ich właściwego wykonania, przez co nie starczało mu już go na posiłki. Zdarzało mu się nic nie jeść, o ile jakaś Panna nie przyniosła mu czegoś, tam gdzie aktualnie przebywał. Z jakiegoś powodu zdawało się to drażnić Egwene w takim samym stopniu, jak Elayne; Amys zdawała się tylko nieznacznie rozbawiona, chociaż jej twarz przybrała kamienny wyraz charakterystyczny dla Aielów, kiedy tylko zdała sobie sprawę, że Nynaeve dostrzegła jej rozbawienie. Kolejną godzinę każdego dnia poświęcał tej dziwnej, założonej przez siebie szkole, do której zaprosił nie tylko uczonych, lecz także rzemieślników, poczynając od pewnego człowieka wytwarzającego lustra, a kończąc na kobiecie, która skonstruowała rodzaj wielkiej kuszy, miotającej groty zdolne z odległości mili przebić zbroję. Nikomu nie zdradził celu założenia szkoły, wyjąwszy być może Moiraine, ale jedyną odpowiedzią, jakiej Aes Sedai udzieliła Egwene, było to, że potrzeba zostawienia czegoś po sobie silnie płonie w każdym człowieku. Moiraine zdawała się nie troszczyć o to, co robi Rand.

— Niedobitki Shaido wycofują się na północ — oznajmiła ponuro Amys — a coraz ich więcej przekracza Mur Smoka, jednak Rand al'Thor najwyraźniej o nich zapomniał. Wysłała wólczyńce na południe, w kierunku Łzy. Połowa już odeszła. Rhuarc powiada, że nawet wodzom nie zdradził celu swych poczynań, a nie przypuszczam, by Rhuarc mógł mnie okłamywać. Najbliżej Randa al'Thora jest Moiraine, wyjąwszy może Aviendhę, jednak ona nie zgadza się zapytać go o to. — Kręcąc głową, dodała jeszcze: — Chociaż może to zabrzmieć, jakbym ją usprawiedliwiała, sądzę jednak, iż nawet Aviendha niczego nie wie na pewno.

— Najlepszym sposobem na zachowanie tajemnicy jest nie dzielenie się nią z nikim — powiedziała jej Elayne, za co została skarcona odpowiednim spojrze-

niem. Amys niewiele ustępowała Bair, gdy przychodziło do spojrzeń, powodujących, że ma się ochotę przestępować z nogi na nogę.

— Zastanawiając się teraz nad tym i tak do niczego nie dojdziemy — oznajmiła Nynaeve, skupiając spojrzenie na Egwene. Tamta wydawała się niespokojna. Jeżeli jakaś chwila ma być odpowiednia dla przywrócenia równowagi w ich wzajemnych stosunkach, równie dobrze można zacząć już teraz. — Ja natomiast chciałabym wiedzieć...

— Masz całkowitą rację — przerwała jej Egwene. — Nie znajdujemy się w gabinecie Sheriam i nie mamy czasu na żadne pogawędki. Co chcesz nam powiedzieć? Czy wciąż jesteście z menażerią pana Luki?

Nynaeve aż zaparło dech w piersiach, pytania pędziły przez jej głowę niczym ptaki. Tyle było do opowiadania. I tyle trzeba było zataić. Opowiedziała więc tylko tyle, że idąc śladem Lanfear, trafiła na spotkanie Przeklętych i że Moghediem również podglądała tamtych. Nie dlatego, że nie miała ochoty przedstawić ze szczegółami sposobu, w jaki tamta ją potraktowała — naprawdę nie — ale Birgitte nie zwolniła ich jeszcze z obietnicy dochowania jej sekretu. Dlatego właśnie nie mogły choćby wspomnieć o Birgitte, o tym, że jest teraz z nimi. Brzmiało to dość niezręcznie, skoro Egwene wiedziała przecież, iż tamta im pomaga, aczkolwiek nie zdawała sobie sprawy z niczego więcej, a zatem musiały udawać, że Egwene w ogóle niczego nie wie. Nynaeve udało się jednak w jakiś sposób tego dokonać, pomimo że zająknęła się, kiedy tamta uniosła z powątpiewaniem brwi. Poza tym, dzięki niech będą Światłości, Elayne pomogła jej przedstawić wydarzenia w Samarze jako wynik błędów Galada i Masemy. Co skądinąd było prawdą. Gdyby któryś z nich przysłał jej tylko wiadomość o statku, nie doszłoby do pozostałych zdarzeń.

Kiedy skończyła — powtarzając wiadomość o Salidarze — Amys cicho zapytała:

— Pewna jesteś, że one zechcą poprzeć *C'ar'a'carna*?

— Muszą znać Proroctwa Smoka, podobnie zresztą jak Elaida — oznajmiła Elayne. — Najlepszym sposobem przeciwstawienia się jej jest opowiedzenie się po stronie Randa oraz ogłoszenie przed całym światem, że mają zamiar stać przy nim aż do czasu Tarmon Gai'don.

Nawet najlżejszym drgnieniem głosu nie dała do zrozumienia, że mówi o jakimś kompletnie obcym człowieku.

— W przeciwnym razie okażą się zwykłymi buntowniczkami, bez żadnych roszczeń usprawiedliwiających ich działania. Potrzebują go przynajmniej w takim samym stopniu jak on ich.

Amys pokiwała głową, ale nie wyglądała na ostatecznie przekonaną.

— Chyba przypominam sobie Masemę — powiedziała Egwene. — Puste oczy i skwaszona mina? — Nynaeve skinęła głową. — Trudno mi wyobrazić go sobie w roli proroka, ale myślę, że potrafiłby wznieść bunt lub wojnę. Pewna jestem,

że Galad zrobił to, co było w danej sytuacji najlepsze.

Policzki Egwene poczerwieniały lekko, być może od samego wspomnienia twarzy Galada.

— Rand z pewnością będzie chciał wiedzieć wszystko o Masemie. I Salidarze. Jeżeli uda mi się tylko zatrzymać go w miejscu na tak długo, by mnie wysłuchał.

— Chciałabym się dowiedzieć, jak to się zdarzyło, że obie jesteście tutaj — powiedziała Amys. Wysłuchiwała ich wyjaśnień, po czym długo obracała w dłoniach tarczkę, którą Nynaeve wyłowiła z sakwy. Czuła ciarki przechodzące jej po plecach, jak zawsze, gdy *ter'angreal*, którego właśnie używała, znalazł się w cudzych rękach.

— Wydaje mi się, że jesteś tu w mniejszym stopniu niż Elayne — powiedziała na koniec Mądra. — Kiedy Wędrująca Po Snach wchodzi do Świata Snów, jedynie najdrobniejsze skrawki jej samej pozostają w ciele, tyle tylko by utrzymać je przy życiu. Jeśli jednak pogrąży się w naj płytszym śnie, tak że może być tutaj i jednocześnie rozmawiać z tymi, którzy otaczają ją na jawie, wygląda dokładnie w taki sposób, jak ty w oczach tych, którzy przebywają tutaj pełnią swoich jaźni. Być może zasada jest taka sama. Nie wiem, czy mi się to podoba, że każda kobieta potrafiąca przenosić może wchodzić do *Tel'aran'rhiod*, nawet w taki sposób.

Zwróciła *ter'angreal* Nynaeve.

Tłumiąc westchnienie ulgi, Nynaeve szybko schowała tarczkę. W żołądku ciągle czuła nieprzyjemne ściskanie.

— Jeżeli już powiedziałyście o wszystkim. . . — Amys zawiesiła głos, natomiast Nynaeve i Elayne szybko potwierdziły, że tak, to już wszystko. Błękitne oczy tamtej patrzyły jednak na nie przenikliwie, z niedowierzaniem. — Wobec tego musimy już wracać. Przyznaję, że ze spotkań tych wynika więcej, niż na początku się spodziewałam, ale dzisiejszego wieczoru mam jeszcze dużo do zrobienia.

Zerknęła na Egwene i zniknęły w tej samej chwili.

Nynaeve i Elayne nie wahały się ani przez moment. W mgnieniu oka otaczające ich wielkie kolumny, zmieniły się w niewielki wyłożony ciemną boazerią pokój, wyposażony surowo, ze skąpym umeblowaniem. Od pewnego czasu gniew Nynaeve powoli rozwiewał się, a wraz z nim jej uchwyt na *saidarze*, jednak widok gabinetu Mistrzynie Nowicjuszek wzmocnił jedno i drugie. Uparta i wyzywająca, doprawdy! Miała nadzieję, że Sheriam jest w Salidarze, prawdziwą przyjemnością byłoby spotkać się z nią jak równa z równą. A równocześnie przecież odczuwała nieprzeparłe pragnienie znalezienia się zupełnie gdzie indziej. Elayne wpatrywała się we własne odbicie w lustrze z obłążącymi, złoconymi ramami, nonszalancko poprawiając fryzurę obiema dłońmi. Tylko że tutaj nie miała żadnego powodu, by to robić. Jej również nie zachwycał pobyt w tym pomieszczeniu. Dlaczego Egwene zaproponowała spotkanie właśnie tutaj? Gabinet Elaidy nie był wprawdzie szczególnie przyjemnym miejscem, ale na pewno lepszym niż to.

Chwilę później pojawiła się Egwene, po przeciwnej stronie szerokiego stołu; dłonie wsparte na biodrach i chłodne spojrzenie nadawały jej wygląd pełnoprawnej lokatorki tego pomieszczenia.

Zanim Nynaeve zdążyła choćby otworzyć usta, Egwene powiedziała:

— Czy wy dwie, bezmózgie, kłapiące szczękami kobiety zmieniłyście się dla odmiany w pozbawione piątej klepki prostaczkę? Jeżeli was proszę, byście zatrzymały coś dla siebie, to musicie zaraz wszystko wypaplać pierwszej osobie, jaką spotkacie? Czy nigdy wam do głowy nie przyszło, że nie należy wszystkim zaraz o wszystkim informować? Sądziłam, że potraficie dochować tajemnicy. — Nynaeve poczuła, że jej policzki stają się cieplejsze; miała nadzieję, że nie jest tak czerwona jak Elayne. Egwene jednak jeszcze nie skończyła. — Jeśli zaś chodzi o to, jak tego dokonałam, przykro mi; nie mogę was nauczyć. Nie jesteście Wędrującymi Po Snach. Ale nie mam pojęcia, jak się dotyka czyjegoś snu za pomocą pierścienia. I wątpię, by wam się to udało, gdybyście użyły tego drugiego przedmiotu. Spróbujcie skupić się na tym, co robicie. To wszystko, ja też mam jeszcze dzisiejszej nocy coś do zrobienia. Przynajmniej postarajcie się zachowywać rozsądnie!

I zniknęła tak nagle, że ostatnie słowa, jakie wypowiedziała zdawały się dobiegać z pustej przestrzeni.

Zakłopotanie wzięło w Nynaeve górę nad gniewem. Kiedy jednak Egwene poprosiła ją, by się opanowała, omal wówczas nie wybuchła. I jeszcze problem z Birgitte: jak dotrzymać tajemnicy, jeśli tamta druga i tak wie? Zmieszanie zwyciężyło, *saidar* wyślizgnął jej się niczym piasek przelatujący przez palce.

Nynaeve obudziła się nagle, wciąż ściskając w dłoni ciemnożółty *ter'angreal*. Odrapana lampa pod sufitem rozsiewała wokół mętne światło. Elayne leżała przytulona do niej, jeszcze spała; pierścień zawieszony na rzemieniu zsunął się do zagłębienia nad obojczykiem.

Mamrocząc coś do samej siebie, Nynaeve przepęzła nad tamtą i odłożyła tarczkę, potem nalała odrobinę wody do miednicy, by zmoczyć twarz i kark. Woda była ciepława, ale jej zdała się chłodna. Spojrzawszy do lustra, miała wrażenie, że rumieniec wciąż jeszcze barwi jej twarz. Gdyby tylko spotkały się gdzie indziej. Gdyby tylko nie rozpuściła języka niczym jakaś bezmózga dziewczyna. Poszłoby jej lepiej, gdyby użyła pierścienia, a tak wyglądała w oczach tamtej ni-by widmo. To wszystko wina Thoma i Juilina. I Uno. Gdyby jej nie rozzłościli... Nie, to przez Neresa. On... Ujęta dzban w obie dłonie i wypłukała usta. To tylko smak snu próbowała z nich przepędzić. Nic w rodzaju sparzonej kociej narecznicy i sproszkowanego liścia mawinii. W żadnym wypadku.

Kiedy odwróciła się od umywalni, Elayne podnosiła się właśnie na łóżku i rozwiązywała rzemień z pierścieniem.

— Widziałam, jak *saidar* wymyka ci się, więc przeniosłam się do gabinetu Elaidy, ale nie zabawiłam długo, na wypadek gdybyś się denerwowała. Niczego

zresztą i tak się nie dowiedziałam, wyjąwszy to, że Shemerin ma być aresztowana i zdegradowana do statusu Przyjętej.

Wstała i włożyła pierścień do szkatułki.

— Mogą coś takiego zrobić? Odebrać godność Aes Sedai?

— Nie mam pojęcia. Sądzę, że Elaida robi wszystko, na co ma ochotę. Egwene nie powinna nosić tych rzeczy Aielów. Nie są szczególnie twarzowe.

Nynaeve pozwoliła sobie wypuścić długo wstrzymywany oddech. Najwyraźniej Elayne również pragnęła jak najszybciej zapomnieć o tym, co powiedziała im Egwene. Chętnie jej na to pozwoli.

— Nie, z pewnością nie są.

Wgramoliła się na łóżko i przytuliła do ściany; sypiały z brzegu na zmianę.

— Nie miałam nawet okazji, by przekazać wiadomość dla Randa. — Elayne wkrótce również się położyła i lampa zgasła. Przez niewielkie okienka do wnętrza wpadały jedynie smugi księżycowej poświaty. — I dla Aviendhy. Jeżeli opiekuje się nim dla mnie, to niech lepiej robi to dobrze.

— On nie jest koniem, Elayne. Nie jest twoją własnością.

— Nigdy nie powiedziałam, że tak myślę. Jakbyś się czuła, gdyby Lan zadał się z jakąś cairhieniańską kobietą?

— Nie bądź głupia. Śpij. — Nynaeve zanurzyła twarz w niewielkiej poduszce. Być może ona też powinna posłać słowo Lanowi. Wszystkie te szlachcianki, taireniańskie czy cairhieniańskie karmią mężczyznę miodem, zamiast powiedzieć mu prawdę w oczy. Lepiej żeby nie zapominał, do kogo należy.

Poniżej Boandy las nieprzebytą gęstwiną drzew i pnący porastał oba brzegi rzeki, schodząc nad samą wodę. Wioski i farmy zniknęły. Miało się wrażenie, że Eldar płynie przez całkowite pustkowienie, w którym w promieniu tysiąca mil nie uświadczysz się ludzkiej osady. Piątego dnia po opuszczeniu Samary, wczesnym popołudniem, „Rzeczny Wąż” zakotwiczył na samym środku zakola rzeki. Jego jedyna szalupa przewiozła pozostałych pasażerów na brzeg pokryty warstwą spękanej gliny, tuż u stóp niskiego zalesionego wzgórza. Nawet na gałęziach najwyższych wierzb i głęboko ukorzenionych dębów widniały‘ zeschnięte zbrązowiałe liście.

— Nie trzeba mu było dawać naszyjnika — powiedziała Nynaeve, kiedy już znaleźli się na brzegu, patrząc na zbliżającą się szalupę, w której stłoczonych było ostatnich pięciu Shienaran i Juilin, nie licząc nadto czterech wioślarzy. Miała nadzieję, iż nie okazała się naiwna; Neres pokazał jej mapę tego odcinka rzeki, wskazując znak odpowiadający Salidarowi, dwie mile od brzegu, ale prócz tego nic nie wskazywało, by w pobliżu znajdowała się jakakolwiek wioska. Nic, tylko lita ściana lasu. — Uważam, że zapłaciłam mu wystarczająco.

— Ale nie za utracony ładunek — odparowała Elayne. — Fakt, że okazał się przemytnikiem, nie daje nam jeszcze prawa do zabierania mu tego, co nam się żywnie podoba.

Nynaeve zastanowiła się, czy tamta nie rozmawiała przypadkiem z Juilinem. Zapewne wcale nie musiała. Znowu chodziło o prawo.

— Poza tym żółte opale są nazbyt krzykliwe, szczególnie w zestawieniu z taką suknią. W każdym razie warto było, choćby po to, by zobaczyć jego minę. — Elayne zaśmiała się zniecierpliwiona. — Tym razem patrzył prosto na mnie.

Nynaeve nie dała rady się powstrzymać i też wybuchnęła śmiechem.

Thom stał już pod drzewami i zonglując kolorowymi kulami, starał się rozbawić dwóch chłopców Marigan. Jaril i Seve patrzyli na niego w milczeniu, niemalże nie mrugając oczyma i przytulając się do siebie. Nynaeve nie zaskoczyła specjalnie prośbą Marigan i Nicoli, żeby wziąć je ze sobą. Nicola, choć teraz na pozór zupełnie swobodnie patrzyła na Thoma i śmiała się radośnie, tak naprawdę najchętniej spędzałaby każdą chwilę u boku Nynaeve, gdyby tylko ta jej pozwoliła. Jednak fakt, iż Areina powzięła podobną decyzję, był dla niej zaskoczeniem. Siedziała teraz z boku, na zwałonym pniu drzewa, obserwując Birgitte, która nakładała cięciwę na łuk. Wszystkie kobiety zapewne przeżyją wstrząs, kiedy przekonają się, co je czeka w Salidarze. Nicola przynajmniej znajdzie swoje schronienie, a Marigan może nawet mieć szansę, by znów warzyć swe ziołowe mikstury, jeżeli okaże się, że niewiele Żółtych przebywa w tym ustroniu.

— Nynaeve, czy pomyślałaś o... w jaki sposób zostaniemy przyjęte?

Nynaeve spojrzała na Elayne ze zdziwieniem. Przebyły pół świata, no może prawie, pokonały dwukrotnie Czarne Ajah. Cóż, we Łzie otrzymały pomoc, jednak Tanchico to była zupełnie inna sprawa. Przywiozły wieści na temat Elaidy i Wieży, co do których gotowa się była założyć, że żadna z przebywających w Salidarze ich nie zna. A co najważniejsze, mogły pomóc siostrom w nawiązaniu kontaktu z Randem.

— Elayne, nie spodziewam się, że zaraz powitają nas jak heroiny, ale sądzę, iż zanim dzień dobiegnie końca, wyściskają nas przynajmniej.

Choćby sama pomoc w kwestii Randa była tego warta.

Dwóch bosych marynarzy wskoczyło do wody, by przytrzymać łódź. Kiedy Juilin i pięciu Shienaran z pluskiem przedzierało się do brzegu, marynarze szybko wskoczyli do łodzi. Na „Rzeczny Wężu” już podnoszono kotwicę.

— Prowadź, Uno — rozkazała Nynaeve. — Mam zamiar dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Widok gęstych pnączy i pokrytego grubą warstwą brudnego pyłu poszycia zapowiadał, że owe dwie mile mogą się ciągnąć długo. O ile Neresowi nie udało się nareszcie ją oszukać. Tym martwiła się bardziej niżli czymkolwiek innym.

UCZYĆ I POBIERAĆ NAUKI

Jakieś cztery godziny później twarz Nynaeve spływała potem, który nie był bynajmniej wywołany przez niezwykle o tej porze roku upały, a na dodatek zaczynała się już zastanawiać, czy przypadkiem nie byłoby lepiej, żeby Neres jednak je oszukał. Albo by odmówił zabrania ich z Boanndy. Słońce późnego popołudnia rzucało ukośnie swe promienie przez popękane szyby okien. Ściskając fałdy swych sukien, przepełniona irytacją i niepokojem, starała się nie patrzeć na sześć Aes Sedai, skupionych wokół masywnego stołu przystawionego do ściany. Ich usta poruszały się bezgłośnie, gdy naradzały się za tarczą uplecioną z *saidara*. Elayne trzymała podbródek zadarty do góry, łokcie spokojnie przycisnęła do talii, ale napięcie widoczne w jej oczach i kącikach ust zakłócało nieco atmosferę królewskiej godności, jaką wokół siebie roztaczała. Nynaeve nie była wcale pewna, czy chciałaby się dowiedzieć, o czym rozmawiają Aes Sedai; niespodziewane wydarzenia, jakie następowały jedno po drugim, sprawiły, że wszystkie jej oczekiwania rozwiały się niczym mgła. Jeszcze jeden wstrząs i może zacząć krzyczeć, sama nie wiedząc czy z wściekłości, czy w ataku hysterii.

Prawie wszystko, co posiadały, z wyjątkiem chyba tylko ubrań, leżało na tym stole, w tym srebrna strzała Birgitte, spoczywająca przed krępą Morvrin, trzy *ter'angreal* przed Sheriam i złożone kasetki, które miała przed sobą ciemnooka Myrelle. Żadna z kobiet nie wyglądała na zadowoloną. Twarz Carlinyi mogła być równie dobrze wyrzeźbiona z lodu. Nawet macierzyńska Anaiya patrzyła surowo, stały zaś wyraz zaskoczenia w szeroko rozwartych oczach Beonin miał w sobie ślad lekkiego rozdrażnienia. Rozdrażnienia i czegoś jeszcze. Od czasu do czasu Beonin wyciągała dłoń, jakby chciała dotknąć białego płótna dokładnie owijającego pieczęć z *cuendillara*, jednak zawsze coś ją powstrzymywało i cofała rękę.

Nynaeve odwróciła wzrok od płótna. Wiedziała dokładnie, kiedy wszystko zaczęło iść źle. Strażnicy, którzy otoczyli ich w lesie, zachowywali się jak najbardziej właściwie, choć okazywali im chłód i obojętność, przynajmniej dopóki Uno i Shienaranie nie oddali im mieczy. Min zgotowała im ciepłe powitanie wśród śmiechu i uścisków. Jednak zarówno Aes Sedai, jak i pozostali ludzie, których spotykały na ulicy, spieszyli obok, ledwie przelotnym spojrzeniem zaszczycając eskortowaną grupkę. W Salidarze było dość tłoczno, na każdym skrawku wolnej

przestrzeni uzbrojeni mężczyźni ćwiczyli musztrę. Pierwszą osobą, która prócz Strażników i Min w ogóle zwróciła na nich uwagę, była szczupła Brązowa siostra, do której je zabrano, oczekująca na nie w pomieszczeniu służącym niegdyś za wspólną salę gospody. Wraz z Elayne opowiedziały Phaedrine Sedai ustaloną wersję swej historii, czy też przynajmniej próbowały opowiedzieć. Już po pięciu minutach kazano im stać bez ruchu i nie odzywać się choćby słowem. Dziesięć minut później stały tak wciąż, popatrując na siebie w zmieszaniu, podczas gdy dookoła Przyjęte, odziane w biel nowicjuszek, Strażnicy, służący i żołnierze uwijali się między stołami, przy których nad dokumentami ślęczały Aes Sedai, wydając od czasu do czasu polecenia. Potem Sheriam i pozostałe popędziły je przed sobą tak szybko, iż Nynaeve zdało się, że jej stopy nawet dwa razy nie dotknęły podłogi. I zaczęło się przesłuchanie, bardziej stosowne dla pojmanych więźniów, niżli powracających bohaterów. Nynaeve otarła pot z twarzy, kiedy jednak tylko włożyła chusteczkę na powrót do rękawa, dłonie z powrotem kurczowo chwyciły fałdy sukni.

Ale nie tylko ona i Elayne stały na barwnym jedwabnym dywanie. Gdyby Nynaeve nie wiedziała, że jest inaczej, mogłaby uznać, iż Suan odziana w prostą suknię ze znakomitej błękitnej wełny, znalazła się tu całkowicie dobrowolnie i wyraz jej twarzy pozostawał chłodny, całkowicie opanowany. Wyglądała na zatopioną w jakichś pogodnych myślach. Leane wodziła spojrzeniem za Aes Sedai, choć jej oblicze było równie spokojne i niewzruszone. W rzeczywistości nawet bardziej, niżli Nynaeve zapamiętała z ich ostatniego spotkania. Miedzianokóra kobieta zdawała się jeszcze bardziej kobieca, w pewien sposób bardziej nawet giętka. Może to przez tę skandaliczną sukienkę z bladozielonego jedwabiu, z wysokim karczkiem, podobnie jak w przypadku Suan, która jednak nie tylko wydaniała każdą krągłość jej ciała, ale od całkowitej przezroczystości dzielił ją tylko włos. Wszakże to ich widok wprowadził Nynaeve w prawdziwe osłupienie. Nie spodziewała się, że zastanie którąkolwiek przy życiu, cóż dopiero, że będą wyglądały tak młodo, najwyżej o kilka lat starsze od niej. Nawet przelotnie nie spoglądały na siebie. Wydało jej się, że wyczuć można między nimi pewien chłód.

I było jeszcze coś, co Nynaeve dopiero zaczynała dostrzegać. Oczywiście wszystkie kobiety, łącznie z Min, traktowały całą kwestię z nadzwyczajną delikatnością, żadna jednak nie czyniła sekretu z faktu, iż je ujarzmiono. Nynaeve wyczuwała, że coś im ujęto. Być może działo się tak dlatego, iż znajdowała się w izbie pełnej kobiet, które potrafiły przenosić, być może w grę wchodziła wiedza o tym, co te dwie przeszły, jednak po raz pierwszy w pełni była świadoma tej zdolności zarówno u Elayne, jak i pozostałych oraz jej braku u Suan i Leane. Coś zostało im odebrane, amputowane. To było jak rana. Najgorsza być może rana, jaką można zadać kobiecie.

Głowę wypełnił jej nagle natłok myśli. Jaki to może być rodzaj rany? Co właściwie zostało amputowane? Równie dobrze mogła w taki sposób wykorzystywać

czas oczekiwania i irytację, która zaczynała już powoli przesączać się przez zdeenerwowanie. Sięgnęła po *saidara*...

— Czy ktokolwiek udzielił ci pozwolenia na przenoszenie tutaj, Przyjęta? — zapytała Sheriam i Nynaeve aż się wzdrygnęła, pospiesznie wypuszczając Prawdziwe Źródło.

Zielonooka Aes Sedai poprowadziła pozostałe do krzeseł ustawionych w półkolu na dywanie; pośrodku półkola stały cztery kobiety. Niektóre niosły w dłoniach zabrane ze stołu przedmioty. Usiadły i wbiły spojrzenia w Nynaeve, ich wcześniejsze podniecenie utonęło bez reszty w charakterystycznym dla Aes Sedai opanowaniu. Na żadnej z tych pozbawionych śladów upływu lat twarzy upał nie zaznaczył się choćby pojedynczą kropelką potu. Na koniec Anaiya przemówiła delikatnie strofującym głosem:

— Długo cię nie było z nami, dziecko. Niczego się nie nauczyłaś w tym czasie, najwyraźniej wiele również zapomniałaś.

Nynaeve spłonęła rumieńcem i ukłoniła się.

— Wybacz mi, Aes Sedai. Nie miałam zamiaru nikogo urazić.

Miała nadzieję, iż uznają, że zaczerwieniła się ze wstydu. Rzeczywiście długo jej z nimi nie było. Nie dalej jak wczoraj to ona wydawała rozkazy, a ludzie podskakiwali, gdy się do nich odzywała. Teraz tego samego oczekiwano po niej. Zalewała ją żółć.

— Opowiedziałas nam ciekawą... historię. — Carlinya najwidoczniej nie do końca potrafiła w nią uwierzyć. Biała siostra obracała srebrną strzałę Birgitte w długich szczupłych dłoniach. — Udało się wam wejść w posiadanie bardzo osobliwych przedmiotów.

— Panarch Amathera przekazała nam wiele darów, Aes Sedai — powiedziała Elayne. — Najwyraźniej uznała, że zasłużyłyśmy na to, ratując jej tron.

Kwestia ta, choć wypowiedziana tak doskonale bezbarwnym tonem, była niczym spacer po bardzo cienkim lodzie. Nie tylko Nynaeve ciężko przeżyła utratę niedawnej wolności. W regularnych rysach twarzy Carliny było widać napięcie.

— Przywozicie niepokojące wieści — powiedziała Sheriam. — I dość niepokojące... przedmioty.

Spojrzenie jej skośnych oczu powędrowało w kierunku stołu, ku leżącej na nim *a'dam*, a potem wróciło, by spocząć nieustępliwie na Nynaeve i Elayne. Od czasu, gdy dowiedziały się, co to jest i do czego służy, większość Aes Sedai traktowała ten przedmiot niczym żywą czerwoną żmiję. Większość.

— Jeżeli ta rzecz zdolna jest do tego, co twierdzą te dzieci — powiedziała nieobecny głosem Morvrin — powinnyśmy ją zbadać. A jeśli Elayne naprawdę wie, co mówi, gdy twierdzi, że potrafi stworzyć *ter'angreal*...

Brazowa siostra pokręciła głową. Całą swą uwagę kierowała w istocie na trzymany w dłoni spłaszczony kamienny pierścień, nakrapiany i paskowany czerwieniami, błękitami i brązami. Pozostałe dwa *ter'angreale* leżały na jej podolku.

— Powiadasz, że otrzymałaś go od Verin Sedai? Jak to możliwe, że nigdy nie wspominała nam o tym? — Pytanie nie było skierowane do Nynaeve czy Elayne, lecz do Siuan.

Siuan zmarszczyła brwi, ale nie był to ten gwałtowny grymas, który Nynaeve pamiętała. Był w nim jakby ślad nieśmiałości, jakby zdawała sobie sprawę, że mówi do stojących od niej wyżej, podobnie zresztą brzmiał jej głos. To była kolejna zmiana, w którą Nynaeve nie potrafiła uwierzyć.

— Verin nigdy mi o tym nie mówiła. Z pewnością sama miałabym ochotę zadać jej kilka pytań.

— A ja mam pytania dotyczące tego. — Oliwkowa twarz Myrelle pociemniała, gdy rozwijała znany dokument — dlaczego w ogóle go zatrzymały? — i przeczytała na głos: — „Co uczyni okaziciel niniejszego pisma, uczynione jest z mego rozporządzenia i upoważnienia. Bądźcie więc posłuszni i milczcie, taki jest bowiem mój rozkaz. Siuan Sanche, Strażniczka Pieczęci, Płomienia Tar Valon, Zasiadająca na Tronie Amyrlin”.

Zmięła dokument i opatrujące go pieczęcie w garści.

— Nie jest to chyba coś, co można przekazać Przyjętej.

— W owym czasie nie wiedziałam, komu mogę ufać — łagodnie odrzekła Siuan. Sześć Aes Sedai wbiło w nią wzrok. — W owym czasie nie wykraczało to poza gestię mojego urzędu.

Tamte nawet nie margnęły. W jej głosie pojawił się ton nasilającego się błagania.

— Nie możecie pociągać mnie do odpowiedzialności za to, co musiałam uczynić, zwłaszcza że miałam do tego wszelkie prawo. Kiedy okręt tonie, zatykasz dziurę tym, co masz pod ręką.

— Ale dlaczego nam nie powiedziałaś? — zapytała cicho Sheriam, jednak w jej głosie przebrzmiały stalowe tony. Jako Mistrzynie Nowicjuszek nigdy nie podnosiła głosu, chociaż czasami żałowało się, że tego nie robi. — Trzy Przyjęte... Przyjęte!... wysłane. z Wieży w pościg za trzynastoma Czarnych Ajah. Chciałaś wykorzystać dzieci do zatkania dziury w twoim okręcie, Siuan?

— Nie można nas nazywać dziećmi — gorąco zaprotestowała Nynaeve. — Kilka z tej trzynastki już nie żyje, dwukrotnie udało się nam pokrzyżować ich plany. W Łzie...

Carlinya ucięła jej wypowiedź, niczym lodowatym nożem.

— Opowiedziałaś nam wszystko o wydarzeniach w Łzie, dziecko. I o Tanchico. I o pokonaniu Moghedien.

Wygięła gniewnie usta. Zdążyła już oznajmić, że Nynaeve okazała się skrajnie głupia, zbliżając się choćby na milę do Przekłętej, i że miała szczęście, uchodząc z życiem. Fakt, że Carlinya nawet w połowie nie zdawała sobie sprawy, jak blisko prawdy się znalazła — rzecz jasna nie powiedziały wszystkiego — sprawił tylko tyle, że żołądek Nynaeve skurczył się jeszcze bardziej.

— Jesteście dziećmi i będziecie miały szczęście, gdy postanowimy, że nie należy sprawić wam lania. A ty zachowaj spokój i milcz, dopóki nie każe ci się przemówić. — Nynaeve zaczerwieniła się głęboko, ponownie mając nadzieję, że wezmą to za objaw zmieszania, ale nie odzywała się więcej.

Sheriam nawet na moment nie spuściła wzroku z Suan.

— A więc? Dlaczego nigdy nie wspomniałaś, że kazałaś trojgu dzieciom polować na lwy?

Suan zrobiła głęboki wdech, ale splotła tylko dłonie i prosząco pochyliła głowę.

— Wydaje mi się, że nie ma innej odpowiedzi na to pytanie, Aes Sedai, chyba tylko taka, że informacja o tym nie wydała mi się aż tak bardzo istotna. Niczego nie tajałam, kiedy tylko był choćby najlżejszy powód, by sądzić, iż wiedza ta może się przydać. Przekazałam wam najdrobniejszy nawet strzęp wiedzy dotyczącej Czarnych Ajah. Wiedziałam, gdzie znajdują się te dwie, przynajmniej do pewnego czasu. Ważne jest, że teraz są już tutaj, a wraz z nimi trzy *ter'angreale*. Musicie zdawać sobie sprawę, co dla nas znaczy dostęp do gabinetu Elaidy, do jej dokumentów, nawet jeśli każdorazowo da się z nich odczytać jedynie fragmenty. Gdyby nie to, nigdy nie dowiedziałybyście się, że ona doskonale wie, gdzie was szukać, póki nie byłoby za późno.

— Zdajemy sobie z tego sprawę — powiedziała Anaiya, patrząc na Morvrin, która wciąż spod zmarszczonych brwi wbijała spojrzenie w pierścień. — Przypuszczalnie chodzi o to, że metody, za pomocą których wiedza ta została zdobyta, wciąż wprawiają nas w zdumienie.

— *Tel'aran'rhiod* — wyszeptała Myrelle. — Cóż, w Wieży od dawna stał się on przedmiotem wyłącznie uczonych spekulacji, niemalże legendą. I Wędrujące po Snach Aielów. Któż by sobie potrafił wyobrazić, że Mądre Aielów potrafią przenosić, a co dopiero to?

Nynaeve żałowała, że nie udało im się utrzymać tego w tajemnicy — jak tożsamości Birgitte oraz kilku jeszcze rzeczy, których tamtym nie udało się z nich wydobyć — ale doprawdy niełatwo powstrzymać się przed przypadkowym napomknieniem, kiedy jest się przesłuchiwanym przez kobiety, które potrafiłyby swymi spojrzeniami wiercić dziury w kamieniach. Cóż, kiedy się teraz nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że powinna się cieszyć, iż udało się uchronić przed wyjściem na jaw tylu rzeczy. Od czasu, jak po raz pierwszy wspomniały o *Tel'aran'rhiod*, o tym że wchodziły doń, prędzej mysz byłaby zdolna zagnać kota na drzewo, niżli te kobiety przestały zadawać swoje pytania.

Leane dała pół kroku naprzód, nie patrząc w stronę Suan. — Ważną rzeczą jest też, że dzięki tym *ter'angrealom* możecie porozmawiać z Egwene, a przez nią z Moiraine. Dzięki nim będziecie znały nie tylko poczynania Randa al'Thora, ale również mogły wpływać nań, choćby znajdował się w Cairhien.

— Dokąd przeniósł się z Pustkowiec Aiel — dodała Suan — gdzie przebywał,

dokładnie tak, jak to przewidziałam.

Jeżeli jej spojrzenie i słowa adresowane były do Aes Sedai, ton głosu najwyraźniej miał na celu powściągnięcie Leane, która ewidentnie zrozumiała przesłanie, chrząknęła bowiem lekko.

— Przyniosło to wiele dobrego. Dwie Aes Sedai szukające wiatru w polu w Pustkowiu Aiel.

O tak, wyraźnie dawało się wyczuć chłód panujący między nimi.

— Dość, dzieci — powiedziała Anayia, dokładnie w taki sposób, jakby one rzeczywiście były dziećmi, ona zaś matką przyzwyczajoną do ich drobnych kłótni. Spojrzała znacząco na pozostałe Aes Sedai. — Z pewnością możliwość porozmawiania z Egwene może okazać się bardzo korzystna.

— Jeżeli to będzie działać tak, jak one twierdzą — powiedziała Morvrin, równocześnie kołyszając pierścieniem trzymanym w dłoni i wskazując pozostałe *ter'angreal*. Ta kobieta bez dowodu nie uwierzyłaby nawet w to, że niebo jest niebieskie.

Sheriam pokiwała głową.

— Tak. To będzie wasz pierwszy obowiązek, Elayne, Nynaeve. Będziecie miały szansę uczyć Aes Sedai, pokazując nam, w jaki sposób się ich używa.

Nynaeve skłoniła się, jednocześnie jednak obnażając zęby: jeżeli zechcą, mogą to potraktować jako uśmiech. Uczyć je? Tak, i nigdy potem już nie zbliżać się do pierścienia czy pozostałych *ter'angreali*. Ukłon Elayne był jeszcze bardziej sztywny, twarz niczym lodowata maska. Jej spojrzenie niemal z tęsknotą pobiegło ku tej głupiej *a'dam*.

— Listy zastawne mogą okazać się użyteczne — powiedziała Carlinya. Mimo całego chłodu i logiki Białych, ze sposobu, w jaki akcentowała słowa, wyraźnie można było odczytać przepełniające ją rozdrażnienie. — Gareth Bryne żąda więcej złota, niżli możemy mu dać, ale dzięki nim być może uda nam się spełnić jego wymagania.

— Tak — zgodziła się Sheriam. — Większość monet również będziemy musiały zabrać. Trzeba nakarmić głodne żołądki, coraz więcej przybywa też grzbietów do okrycia, zarówno tu, jak i gdzie indziej.

Elayne łaskawie skinęła głową, jakby nie miały zamiaru przywłaszczyć sobie tych pieniędzy, czego by przedtem nie mówiła, ale Nynaeve zwyczajnie czekała. Złoto i listy zastawne, a nawet *ter'angreal* stanowiły jedynie część.

— Jeśli zaś chodzi o resztę — ciągnęła dalej Sheriam — zgodziłyśmy się, że opuściliśmy Wieżę na rozkaz, niezależnie od tego, jak byłby błędny, nie można więc was za to obwiniać. Teraz kiedy już bezpiecznie wróciliśmy do nas, będziecie dalej kontynuowały swoją naukę..

Nynaeve stać było tylko na to, by powoli wypuścić powietrze. W istocie od początku przesłuchania niczego innego się nie spodziewała. Nie podobało jej się to wprawdzie, ale przynajmniej choć raz nikt nie będzie mógł oskarżyć jej, że

nie umie trzymać swych uczuć na wodzy. Nie w sytuacji, kiedy wszelkie znaki wskazują, iż na nic się to nie przyda.

Elayne jednakże wybuchnęła ostro:

— Ale...! — I w tym momencie przerwała jej gwałtownie Sheriam.

— Powróćcie do swej nauki. Jesteście obie bardzo silne, ale nie jesteście jeszcze Aes Sedai.

Nie spuszczała z nich spojrzenia zielonych oczu, póki się nie upewniła, że zrozumiały ją właściwie, po czym przemówiła powtórnie, głosem nieco łagodniejszym, lecz przecież wciąż nieustępliwym.

— Powróciłyście do nas, a choć Salidar nie jest Białą Wieżą, możecie go za taką uważać. Z tego, co nam powiedziałyście w ciągu ostatniej godziny, wynika, że wiele jeszcze zostało do powiedzenia. — Nynaeve aż zapało dech, ale spojrzenie Sheriam pomknęło tymczasem ku *a'dam*. — Szkoda, że nie zabralyście tej Seanchanki. To właśnie należało uczynić.

Z jakiegoś powodu twarz Elayne spłonęła jaskrawą czerwienią, ona sama jednocześnie wyglądała na zagniewaną. Nynaeve na wzmiankę o Seanchance poczuła jednak tylko ulgę.

— Ale Przyjętych nie można obciążać odpowiedzialnością za to, że nie myślą jak Aes Sedai — ciągnęła dalej Sheriam. — Sivan i Leane z pewnością będą miały do was wiele pytań. Spodziewam się po was współpracy z nimi oraz gotowości do wyjaśnień, przynajmniej w miarę waszych możliwości. Ufam, iż nie muszę wam przypominać, byście nie wykorzystywały ich obecnego statusu. Niektóre z Przyjętych, a nawet pewne nowicjuski chciały obciążyć je winą za to, co się wydarzyło albo wręcz wziąć wymierzanie kary w swoje ręce.

W jej łagodnym głosie zadźwięczała znienacka stalowa nuta.

— Te młode kobiety obecnie bardzo żałują swoich pomysłów. Czy muszę coś jeszcze dodawać?

W swej gorliwości obie aż zaczęły się jąkać, tak bardzo pragnęły ją zapewnić, że nie musi. Nynaeve w rzeczy samej nie pomyślała o obciążaniu tamtych winą — jej zdaniem wszystkie Aes Sedai ponosiły w równej mierze odpowiedzialność za to, co się stało — jednak nie chciała rozgniewać Sheriam. Zdała sobie z tego sprawę i w tym momencie pojęła gorzką prawdę — dni wolności bezpowrotnie minęły.

— Dobrze. Teraz możecie wziąć sobie klejnoty, które ofiarowała wam Panarch oraz tę strzałę... Kiedy znajdę chwilę czasu, będziecie mi musiały opowiedzieć, dlaczego ją wam ofiarowała... i idźcie już sobie. Jedna z Przyjętych znajdzie wam jakąś kwaterę. Z odpowiednimi sukniami może być nieco trudniej, ale też się znajdują. Oczekuję po was, że zapomnicie o swoich... przygodach... i bez większych przeszkód odnajdziecie się na właściwych wam miejscach.

Ze słów tych wyraźnie mogły odczytać nie wypowiedzianą obietnicę, że jeśli nie nastąpi to tak gładko, jak Sheriam sobie życzyła, wówczas w odpowiedni spo-

sób zostaną nauczone posłuszeństwa. Sheriam skinęła z satysfakcją głową, gdy tylko zobaczyła, że rozumiały wszystko w lot.

Od chwili, gdy opadła zasłona *saidara*, Beonin nie odezwała się ani słowem, ale kiedy Nynaeve i Elayne ukloniły się, chcąc odejść, Szara siostra powstała i podeszła do stołu, na którym leżały ich przedmioty.

— A co z tym? — zapytała z silnym taraboniańskim akcentem, rozwijając materiał, w który owinięta była pieczęć więzienia Czarnego. Tym razem dla odmiany jej wielkie błękitnoszare oczy zdradzały więcej gniewu niżli zaskoczenia. — Żadna z was nie zapyta już więcej o to? Czy macie zamiar całkowicie to zignorować?

Biało-czarny krąg leżał na blacie stołu obok sakiewki z wyprawionej skóry, pęknięty na kilkanaście kawałków, które poskładano tak, by mniej więcej odtworzyć dawny kształt.

— Kiedy wkładaliśmy go do sakiewki, był cały. — Nynaeve przerwała na moment i oblizła pot z górnej wargi. Jak przedtem omijała wzrokiem materiał, w który zawinięta była pieczęć, teraz nie mogła oderwać od niej oczu. Leane uśmiechnęła się drwiąco, kiedy zobaczyła czerwoną sukienkę, w którą owinięty swój ładunek i powiedziała. . . Nie, nigdy by go nie porzuciła, nawet w myślach! — Skąd mogliśmy wiedzieć, że trzeba o niego szczególnie zadbać. Przecież to *cuendillar*!

— Nie przyglądałyśmy się mu zbyt uważnie — dodała Elayne niemalże bez tchu — ani też nie dotykałyśmy go częściej, niżli było to konieczne. Wydawał się wstrętny, zły.

Teraz to wrażenie zniknęło. Carlinya zmusiła je, by każda wzięła do ręki kawałek, chcąc się przekonać, o jakim odczuciu zła mówią.

Mówiły im to już wcześniej, więcej niż raz, ale, teraz żadna nie zwracała na nie najmniejszej uwagi.

Sheriam wstała i również podeszła do stołu, stając obok złotowłosej Szarej siostry.

— Niczego nie ignorujemy, Beonin. Dalsze wypytywanie tych dziewcząt na nic się nie zda. Powiedziały nam wszystko, co wiedzą.

— Więcej zadanych pytań nikomu jeszcze nie zaszkodziło — powiedziała Morvrin, ale jednak przestała bawić się *ter'angrealami* i teraz patrzyła na strzaskaną pieczęć wzrokiem tak samo ponurym jak pozostałe. To mógł być *cuendillar* — zarówno ona, jak Beonin badały go i doszły do identycznych wniosków — jednak udało jej się złamać jeden z fragmentów gołymi rękoma.

— Ile z siedmiu jeszcze trzyma? — zapytała cicho Mytelle, jakby mówiąc do siebie. — Ile jeszcze czasu upłynie, zanim Czarny wyrwie się na wolność. i nastąpi Ostatnia Bitwa?

Każda z Aes Sedai parała się różnymi czynnościami, stosownie do swych talentów i skłonności, jednak wszystkie Ajah miały określoną, wyraźną rację dla swego istnienia. Zielone — które zwały się Bitewnymi Ajah — trwały w gotowo-

ści, aż przyjdzie czas, by stawić czoło Władcom Strachu podczas Ostatniej Bitwy. W głosie Myrelle można było niemalże pochwycić nutę skrywanego pragnienia walki.

— Trzy — niepewnie odpowiedziała Anaiya. — Trzy wciąż trzymają. Oczywiście jeśli nasza wiedza jest prawdziwa. Módlmy się, by tak było. Módlmy się, by trzy okazały się wystarczające.

— Módlmy się, by te trzy były silniejsze od tej — wymamrotała Morvrin. — *Cuendillar* nie może zostać w taki sposób zniszczony... i dalej pozostać *cuendillarem*. To jest niemożliwe.

— Omówimy tę kwestię w dalszej kolejności — oznajmiła Sheriam. — Po tym, jak zajmiemy się znacznie bardziej niecierpiącymi zwłoki sprawami, takimi, w stosunku do których możemy coś konkretnego przedsięwziąć. — Odebrała chustę z rąk Beonin i ponownie zawinęła w nią szczątki pieczęci. — Suan, Leane, powzięłyśmy decyzję odnośnie... — Przerwała, odwróciła się, spojrzała na Elayne i Nynaeve. — Czy nie powiedziano wam, że możecie odejść?

Pomimo zewnętrznych pozorów całkowitego spokoju zamieszanie panujące w jej wnętrzu dało znać o sobie, najwyraźniej bowiem zapomniała o ich obecności.

Nynaeve skwapliwie wykonała następny ukłon i wykrztusiła pośpieszne:

— Za pozwoleniem, Aes Sedai — i pośpieszyła ku drzwiom.

Aes Sedai bez najmniejszego poruszenia — a wraz z nimi Suan i Leane — obserwowały, jak ona i Elayne wychodzą. Nynaeve czuła niemalże ich spojrzenia wbite w jej plecy niczym sztylety. Elayne pośpieszyła za nią równie ochotczo, zdążyła tylko rzucić jedno tęskne spojrzenie w stronę *a'dam*.

Kiedy Nynaeve zamknęła już drzwi za sobą, oparła się plecami o ich nie malowane drewno i przyciskając poślaczoną kasetkę do piersi, po raz pierwszy od czasu wejścia do budynku kamiennej gospody w miarę spokojnie odetchnęła czy też przynajmniej spróbowała. Nie miała ochoty myśleć o pękniętej pieczęci. Kolejna strzaskana pieczęć. Nie potrafiła o tym myśleć. Te kobiety zdolne byłyby strzyc owce samymi spojrzeniami. Niemalże zaczęła z utęsknieniem czekać na ich pierwsze spotkanie z Mądrymi; raczej nie miała się znaleźć w samym jego środku. Kiedy po raz pierwszy przybyła do Wieży, było to znacznie trudniejsze — nauczenie się, że musi robić, co jej inne każą, że musi zginać kark. Po długich miesiącach, podczas których to ona wydawała rozkazy — no cóż, zazwyczaj konsultowane z Elayne — nie miała pojęcia, w jaki sposób miałyby się ponownie nauczyć. jak czesać i prząść wełnę.

We wspólnej sali byłej gospody, z kiepsko załatanym sufitem i niemalże walącymi się kamiennymi kominkami, wrzało niczym w ulu, podobnie jak za pierwszym razem, gdy do niej weszły. Obecnie nikt nie poświęcił im więcej uwagi ponad przelotne tylko spojrzenie, ona postąpiła zresztą podobnie. Niewielka grupka oczekiwała ją i Elayne.

Thom i Juilin siedzieli na koślawej ławie pod gipsową ścianą, z której płatami odchodziła farba, z głowami nachylonymi ku Uno, który przykucnął przed nimi; nad ramieniem Shienaranina sterczała długa rękojeść miecza. Na drugiej ławie Areina i Nicola wodziły zdziwionym wzrokiem po swym otoczeniu, starając się jednocześnie niczego po sobie nie okazywać; siedząca obok nich Marigan obserwowała, jak Birgitte usiłuje zabawić Jarila i Seve'a, niezgrabnie zonglując trzema kolorowymi drewnianymi kulami Thoma. Przed chłopcami klęczała Min, łaskocząc ich i szepcząc coś do ucha. Jednak ci przylgnęli tylko do siebie ciałniej, patrząc w milczeniu przed siebie tymi nazbyt szeroko rozwartymi oczami.

Tylko dwaj ludzie ze wszystkich obecnych w pomieszczeniu odznaczyli się na tle ogólnego pośpiechu. Strażnicy Myrelle stali oparci o ścianę i pograżeni w leniwej konwersacji kilka kroków od tamtych ław, po tej samej stronie drzwi, które wiodły do korytarza kuchennego. Słomianowłosa Croi Makin z Andoru, o pięknym profilu, jakby wyrzeźbionym z kamienia, oraz Avar Hachami, z jastrzębim nosem i kwadratową twarzą, z obfitymi, posiwiałymi wąsami zwisającymi niby dwa wygięte w dół rogi. Żadna z kobiet nie nazwałaby Hachamiego przystojnym, dopóki spojrzenie jego ciemnych oczu nie sprawiłoby, że zaschłoby jej w gardle. Oczywiście nie patrzyli na Uno czy Thoma ani na nikogo innego. Tylko przypadkiem akurat cni dwaj nie mieli nic do roboty i wybrali sobie właśnie to miejsce, aby nic w nim nie robić. Oczywiście.

Na widok Nynaeve i Elayne Birgitte upuściła jedną z kul.

— Co im powiedziałyście? — zapytała cicho, ledwie spoglądając na srebrną strzałę w dłoni Elayne. Kołczan wisiał przy jej pasie, łuk jednak stał oparty o ścianę.

Nynaeve podeszła bliżej, dokładając wszelkich starań, by nie spoglądać w kierunku Makina i Hachamiego. Ostrożnie zniżyła głos, nadając mu zupełnie pozbawione wyrazu brzmienie.

— Powiedziałyśmy im wszystko, o co nas pytały.

Elayne lekko dotknęła ramienia Birgitte.

— Wiedzą, że jesteś naszą dobrą przyjaciółką, która pomogła nam w biedzie. Możesz zostać tutaj, podobnie zresztą jak Areina, Nicola i Marigan.

Dopiero wówczas, gdy słysząc te słowa, Birgitte trochę się rozluźniła, Nynaeve zdała sobie sprawę, jak bardzo tamta była spięta. Błękitnooka kobieta podniosła z podłogi żółtą kulę, potem pozostałe, i lekko rzuciła wszystkie trzy Thomowi, który złapał je jedną ręką i sprawił, że zniknęły, wszystko jednym ciągłym ruchem. Na jej twarzy wykwitł słaby uśmiech ulgi.

— Nie potrafię powiedzieć, jak się cieszę, że was widzę — powtórzyła Min co najmniej po raz czwarty lub piąty. Jej włosy były znacznie dłuższe niż wtedy, kiedy ją ostatnio widziały, chociaż wciąż wyglądały niczym ciemny czepek nasadzony na głowę, poza tym w ogóle wyglądała jakoś inaczej, jednak Nynaeve nie potrafiłaby za nic powiedzieć, na czym ta zmiana polegała. Ku swemu zasko-

czeniu zobaczyła świeżo wyhaftowane kwiaty na klapach kaftana; przedtem Min zawsze nosiła zupełnie proste ubiory. — Rzadko można tutaj napotkać przyjazną twarz.

Na króciutką chwilę jej spojrzenie uciekło w kierunku dwóch Strażników.

— Musimy znaleźć gdzieś spokojne miejsce i uciąć sobie dłuższą pogawędkę. Nie mogę się doczekać, kiedy mi opowiecie, co robiłyście od czasu opuszczenia Tar Valon. — Ani też, by samej przedstawić własne losy, o ile Nynaeve intuicja nie zwiodła.

— Ja również chcę z tobą porozmawiać — powiedziała Elayne bardzo poważnie. Min spojrzała na nią, potem westchnęła i skinęła głową, ale nie wydawała się tak chętna jak jeszcze przed momentem.

Thom, Juilin oraz Uno stanęli za Birgitte i Min, na ich twarzach zastygł taki wyraz, jaki zawsze przybierają mężczyźni, kiedy mają zamiar powiedzieć coś, co ich zdaniem nie spodoba się kobiecie. Zanim jednak zdążyli otworzyć usta, kędzierzawa kobieta w sukni Przyjętej przepchnęła się między Juilinem i Uno, obrzucając ich złym spojrzeniem, a potem stanęła przed Nynaeve.

Suknia Faolain oblamowana siedmiokolorową wstążką, symbolizującą wszystkie Ajah, nie była tak biała, jak być powinna, na jej ciemnej twarzy zaś zastygł chmurny grymas.

— Zaskoczona jestem, widząc cię tutaj, dzikusko. Sądziłam, że uciekaś z powrotem do swej wioski. Dziedziczka zaś Tronu Andoru wróciła do matki.

— Wciąż obnosisz się z tak skwaszoną miną, że aż mleko mogłoby zsiąść się w twojej obecności, Faolain! — stwierdziła Elayne.

Nynaeve udało się zachować. uprzejmy wyraz twarzy. Ledwie. Dwukrotnie podczas pobytu w Wieży wyznaczono Faolain, by dała jej nauczkę. Wedle własnej opinii przywołała ją do porządku. Nawet jeśli udzielająca nauki i pouczana były obie Przyjętymi, ta pierwsza automatycznie zyskiwała status Aes Sedai, dopóki lekcja trwała, Faolain zaś korzystała z tego przywileju w pełni. Kędzierzawa kobieta spędziła osiem lat jako nowicjuszka oraz kolejne pięć jako Przyjęta; trudno więc się dziwić, że nie była szczególnie zadowolona, iż Nynaeve w ogóle nie odbywała nowicjatu, Elayne zaś nosiła czystą biel przez niespełna rok. Dwie lekcje od Faolain i dwie wizyty w gabinecie Sheriam dla Nynaeve, za jej upór, krnąbrność; lista przewinień była równie długa jak jej ramię. Rozmyślnie przemówiła teraz niefrasobliwym głosem:

— Słyszałam, że któraś źle potraktowała Siuan i Leane. Sądziłam, że Sheriam ukarała ją dosyć przykładowie, by na dobre położyć temu kres.

Nie spuszczała wzroku z twarzy Faolain, widząc, jak oczy tamtej rozszerzyły się w przestraszu.

— Nie zrobiłam nic od czasu, jak Sheriam. . . — Faolain ugryzła się w język, a jej twarz splonęła głęboką purpurą. Min przykryła usta dłonią, Faolain zaś szybko odwróciła głowę, mierząc wzrokiem pozostałe kobiety, od Birgitte do Marigan.

Obcesowo skinęła dłonią na Nicolę i Areinę. — Wy dwie się nadacie, jak sądzę. Chodźcie ze mną. Już. Żadnego gadania.

Podniosły się powoli, Areina patrzyła lękliwie, Nicola zaś skubała palcami swą sukienkę w tali.

Zanim Nynaeve zdążyła wykonać choćby najmniejszy ruch, Elayne stanęła między nimi a Faolain, uniosła podbródek, a jej oczy zalśniły władczo niby niebieski lód.

— Czego od nich chcesz?

— Wykonuję rozkazy Sheriam Sedai — odparowała Faolain. — Osobiście uważam, że są zbyt stare jak na pierwszą próbę, jednak posłuszna jestem poleceniom. Siostra towarzysząca oddziałom poborowym lorda Bryne'a sprawdza nawet kobiety tak stare jak Nynaeve.

Na jej ustach pojawił się kąśliwy uśmiech.

— Czy mam donieść Sheriam Sedai, że występujesz przeciwko jej rozkazom, Elayne? Czy mam jej powiedzieć, że nie zgadzasz się, by twoje służące zostały poddane próbom?

Podbródek Elayne opadł nieco podczas tej przemowy, ale oczywiście nie mogła zwyczajnie wycofać się. Potrzebne było odwrócenie uwagi.

Nynaeve dotknęła ramienia Faolain.

— Czy znalazły wiele?

Wbrew sobie Faolain odwróciła głowę, a kiedy spojrzała za siebie, Elayne już zaczęła pocieszać Areinę i Nicolę, zapewniając, że nie stanie się im żadna krzywda ani że do niczego nie zostaną zmuszone. Nynaeve nie posunęłaby się tak daleko. Kiedy Aes Sedai znalazły jakąś dziewczynę z wrodzoną iskrą talentu, jak to się stało w przypadku jej samej, Elayne lub Egwene, a więc kogoś, kto ostatecznie i tak musiał zacząć przenosić czy tego chciał, czy nie, zupełnie otwarcie przyznawały, że zmuszą ją do ćwiczenia swej umiejętności niezależnie od jej woli. Nieco bardziej łagodnie obchodziły się z tymi, które mogły rozwinąć w sobie zdolność. w trakcie szkolenia, bez którego jednak nigdy nie dotknęłyby *saidara* oraz wobec dzikusiek, czyli tych kobiet, które przeżyły jedną szansę na cztery i nauczyły się same, zazwyczaj nawet nie wiedząc, co czynią, w efekcie wytwarzając w sobie blokadę tych umiejętności, jak to się stało w przypadku Nynaeve. Rzeczono mogły one wybrać, czy zostaną, czy odejdą. Nynaeve wybrała przynależność do Wieży, podejrzewała jednakże, iż gdyby postąpiła inaczej, to i tak nie pozwolono by jej odejść, chyba że ze związanymi rękoma i nogami. Kobietom, które przejawiały choćby najmniejszą zdolność przenoszenia, Aes Sedai oferowały taki wybór, jaki ma przed sobą jagnię prowadzone na targ.

— Trzy — powiedziała po chwili Faolain. — Cały ten wysiłek i znaleziono trzy. Jedna jest dzikuską. — Naprawdę nie lubiła dzikusiek. — Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo pragną znaleźć kolejne nowicjuszeki. Te, które: są z nami, nie mogą zostać wyniesione do godności Przyjętej, zanim nie odzyskamy Wieży. To

wszystko wina Sivan Sanche, jej i Leane.

Na jej policzku zadrżał mięsień, kiedy zrozumiała, że ta uwaga może być potraktowana jako napaść na byłą Amyrlin i Strażniczkę; szybko ujęła więc Areinę i Nicolę pod ramiona.

— Chodźcie ze mną. Posłuszna jestem rozkazom, zgodnie z którymi musicie zostać poddane próbom, a więc będziecie poddane, niezależnie od tego, czy jest to zwykła strata czasu czy nie.

— Paskudna kobieta — wymamrotała Min, patrząc spode łba za Faolain, kiedy tamta prowadziła dwie kobiety przez wspólną salę. — Gdyby była na świecie sprawiedliwość, czekałaby ją naprawdę nieprzyjemna przyszłość.

Nynaeve chciała zapytać, co Min zobaczyła w wizji dotyczącej kędzierzawej Przyjętej — były setki pytań, które chciała zadać tamtej — ale Thom oraz pozostali dwaj mężczyźni trwali nieruchomo przed nią i Elayne; Juilin i Uno stali po bokach w taki sposób, że wszyscy trzej mogli kontrolować wzrokiem całą salę. Birgitte odprowadziła Jarila i Seve'a do ich matki, a potem odeszła z nią na bok. Min również domyślała się, o co chodzi mężczyznom, łatwo to było wywnioskować z jej ponurej miny; chciała coś powiedzieć, ale na koniec ona również wzruszyła ramionami i przyłączyła się do Birgitte.

Twarz Thoma nie zdradzała niczego, równie dobrze można było się spodziewać, że zacznie rozmawiać o pogodzie lub zapyta, co będzie na kolację, lub powie coś równie nieistotnego.

— To miejsce pełne jest niebezpiecznych głupców i marzycieli. Sądzą, że potrafią usunąć Elaidę. Ta dlatego Gareth Bryne jest tutaj. Aby sformować dla nich armię.

Uśmiech Juilina niemalże sięgnął od ucha do ucha.

— To nie są głupcy. To szalone kobiety i szaleni mężczyźni. Nie dbam, czy Elaida była przy tym, gdy Logain narodził się jako fałszywy Smok. One są szalone, jeśli sądzą, że mogą, znajdując się tutaj, obalić Amyrlin zasiadającą w Białej Wieży. W ciągu miesiąca być może uda nam się dotrzeć do Cairhien.

— Ragan wybrał już konie, które moglibyśmy pożyczyć. — Uno również się uśmiechał, ale jego uśmiech boleśnie wręcz nie pasował do płonącego na przepasce oka. — Straże rozstawiono w taki sposób, by zwracały uwagę na przyjeżdżających, nie na wyjeżdżających. Możemy zgubić ich w lesie. Wkrótce zapadnie zmrok. Nigdy nas nie znajdą.

Kobiety z pierścieniami Wielkiego Węża spotkane nad rzeką miały niebagatelny wpływ na jego język. Chociaż kiedy nie było ich w pobliżu, wracał do dawnego sposobu wysławiania się.

Nynaeve spojrzała na Elayne, która nieznacznie pokręciła głową. Elayne gotowa była poświęcić wszystko, by zastać Aes Sedai. A ona sama? Niewielkie były szanse, że zdołają zdobyć poparcie dla Randa u tych, które już postanowiły go sobie podporządkować. W istocie — żadnej szansy, trzeba myśleć realistycznie.

A jednak... A jednak to tutaj Uzdrawiano. Niczego się na ten temat nie nauczy w Cairhien, tutaj wszak... Nie dalej jak dziesięć kroków od niej siedziała Therva Maresis, szczupła Żółta siostra z długim nosem i swoim piórem metodycznie zaznaczała kolejne pozycje na pergaminie. Łysy Strażnik z czarną brodą, który stał przy drzwiach, omawiając jakieś sprawy z Nisao Dachen, górował nad nią o dobrą głowę, chociaż był średniego wzrostu; natomiast Dagdara Finchey, o ramionach równie szerokich jak u większości mężczyzn obecnych w pomieszczeniu, na dodatek wyższa od nich, żywo przemawiała do grupy nowicjuszek, skupionych przed frontem jednego z wygasłych kominków, wysyłając jedną po drugiej z jakimiś zleceniami. Nisao i Dagdara należały również do Żółtych Ajah; powiadano, że Dagdara, z siwiejącymi włosami, które u Aes Sedai oznaczały podeszły już wiek, wiedziała więcej o Uzdrawianiu niżli którakolwiek z pozostałych. Gdyby Nynaeve zdecydowała się pojechać do Randa, zapewne i tak na nic by się mu nie przydała. Patrzałaby tylko, jak pogrąża się w szaleństwie. Jeśli natomiast dokona znaczących postępów w sztuce Uzdrawiania, to być może znajdzie jakiś sposób, by odsunąć odeń ten los. Zbyt wiele było przypadków, które Aes Sedai tak szybko określały jako beznadziejne i pozostawiały własnemu losowi, aby mogło jej to odpowiadać.

Wszystkie te myśli przemknęły przez jej głowę, gdy spojrzała przelotnie na Elayne, po czym odwróciła się do mężczyzn.

— Zostajemy tutaj. Uno, jeśli ty i pozostali chcecie jechać do Randa, macie wolną rękę. Obawiam się, że już nie posiadam pieniędzy, którymi mogłabym was wspomóc. — Złoto, które zabrały im Aes Sedai, istotnie było potrzebne, tak jak twierdziły, ale nie potrafiła bez mrugnięcia nie przypomnieć sobie kilku srebrnych monet w sakiewce. Ci ludzie pojechali za nią — i rzecz jasna za Elayne — niekoniecznie z właściwych powodów, ale to w niczym nie umniejszało jej zobowiązań względem nich. Byli lojalni tylko wobec Randa i nie mieli żadnych powodów, by włączać się w walkę o Białą Wieżę. Zerknęła na złożoną kasetkę i dodała z wahaniem: — Ale mogę dać wam coś, co sprzedacie po drodze.

— Musisz wyjechać, Thom — dodała Elayne. — I ty też, Juilin. Nie ma sensu zostawać. Nie potrzebujemy was już dłużej, a Rand z pewnością tak.

Próbowała wcisnąć kasetkę z klejnotami w rękę Thoma, ale on za nic nie chciał jej przyjąć.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia, w tak charakterystyczny dla siebie, irytujący sposób, Uno posunął się nawet do tego, by przewrócić jedynym okiem. Nynaeve wydało się, że Juilin mruczy coś pod nosem o tym, że mówił, iż kobiety są uparte.

— Być może za kilka dni — oznajmił Thom.

— Za kilka dni — zgodził się Juilin.

Uno pokiwał głową.

— Przyda nam się kilka dni odpoczynku, jeśli mamy uciekać przed Strażni-

kami przez pół drogi do Cairhien.

Nynaeve obdarzyła ich nic nie mówiącym spojrzeniem i z rozmysłem szarpnęła za warkocz. Elayne uniosła w górę podbródek, ale tak wysoko, jak to się jej jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło, w błękitnych oczach zastygła taka wyniosłość, że mogłaby skruszyć lód. Thom i pozostali z pewnością nauczyli się już rozszyfrowywać te oznaki; nie wolno było im pozwolić na ciągnięcie dalej tych bzdur.

— Jeżeli sądzicie, że dalej obowiązują was rozkazy Randa al'Thora, by nas pilnować... — zaczęła lodowatym tonem Elayne, a Nynaeve weszła jej w słowo z wielkim zaangażowaniem: — Obiecaliście, że będziecie postępować tak, jak wam powiem, i mam zamiar popatrzeć...

— Nie o to chodzi — przerwał im Thom, krzywym palcem wyciągając z włosów Elayne źdźbło słomy. — Zupełnie nie o to chodzi. Czy stary, kulejący mężczyzna nie może zaznać trochę wytchnienia?

— Co prawda — dodał Juilin — ja zostaję dlatego, że Thom winien mi jest pieniądze. Przegrał w kości.

— Czy spodziewacie się, że ukradzenie Strażnikom dwudziestu koni jest łatwe niczym wypadnięcie z łóżka? — jęknął Uno. Najwyraźniej zapomniał, że przed chwilą właśnie to proponował.

Elayne tylko patrzyła na nich, nie mogąc wykrztusić słowa, Nynaeve miała podobne kłopoty. Jak nisko upadli. Wystarczy tupnąć na nich nogą. Problem polegał na tym, że sama była niepewna, czego właściwie chce. Postanowiła, że ich odeśle. Powinna tak zrobić i to nie tylko dlatego, by nie widzieli, jak się płaszczy, kłania na lewo i prawo. Wcale nie o to chodziło. A jednak... ponieważ w Salidarze nic nie było tak, jak się tego spodziewała, musiała przyznać, jakkolwiek niechętnie, że byłoby... wygodnie... wiedzieć, że ona i Elayne mają jeszcze kogoś prócz Birgitte, na kim mogą polegać. Rzecz jasna, nie miała zamiaru przyjmować propozycji ucieczki — jeżeli tak należałoby ją określić — to było nie do pomyślenia w żadnych okolicznościach. Ich obecność będzie zwyczajnie... uspokajająca. Z pewnością nie miała zamiaru dać im tego do zrozumienia. A ponieważ i tak mają zamiar odjechać, nie powie im tego niezależnie od tego, co mieliby sobie pomyśleć. A Randowi przydadzą się bardziej, tutaj zaś będą tylko zawadą. Chyba że...

Nie malowane drzwi otworzyły się i ukazała się w nich Suan, za którą marszerowała Leane. Popatrzyły na siebie chłodno, a potem Leane parsknęła i zaskakująco kołyszącym krokiem przeszła obok Croia i Avara, znikając w korytarzu wiodącym do kuchni. Nynaeve leciutko zmarszczyła brwi. Wśród tego lodowatego pożegnania dwóch kobiet mignęło jej coś, co omalże umknęło uwagi, mimo iż działo się wszystko tuż przed jej oczyma...

Suan ruszyła w jej stronę, po czym nagle zatrzymała się, z jej twarzy zniknął wszelki wyraz. Ktoś jeszcze przyłączył się do ich towarzystwa.

Gareth Bryne w podziurawionym napierśniku nałożonym na prosty kaftan

w kolorze byczej skóry, z rękawicami o metalowych grzbietach wetkniętymi za pas, promieniował władczą atmosferą. Mocno pokryte siwizną włosy i głęboko poryta zmarszczkami twarz nadawały mu wygląd człowieka, który widział już wszystko, wszystko przeżył; człowieka, który wszystko przetrzyma.

Elayne uśmiechnęła się i łaskawie skinęła głową. Dalekie echo jej zdumionych spojrzeń, kiedy po raz pierwszy po przyjeździe do Salidaru rozpoznała go z drugiej strony ulicy.

— Nie mogę powiedzieć, abym tak całkowicie była zadowolona z twojego widoku, lordzie. Gareth. Słyszałam o jakichś nieporozumieniach między tobą a matką, pewna jednak jestem, że mogą one zostać załagodzone. Zdajesz sobie sprawę, że matka czasami zachowuje się nazbyt pochopnie. Bez wątpienia pośle po ciebie i zaproponuje odpowiednie stanowisko w Caemlyn.

— Co minęło, nie wróci, Elayne. — Nie zwracając uwagi na jej zdumienie, a Nynaeve wątpiła, by ktokolwiek, kto zdawałby sobie sprawę ze statusu Elayne, potrafiłby odnieść się do niej równie szorstko i lakonicznie, zwrócił się do Uno: — Myślałeś o tym, co ci mówiłem? Shienaranie stanowią najlepszą ciężką konnicę w świecie, a ja dysponuję rekrutami, którzy w sam raz nadawaliby się do odpowiedniego szkolenia.

Uno zmarszczył brwi, spojrzenie jedyne go oka prześlizgnęło się po Elayne i Nynaeve. Powoli pokiwał głową.

— Nie mam nic lepszego do roboty. Zapytam pozostałych.

Bryne poklepał go po ramieniu.

— Znakomicie. A teraz ty, Thomie Merrilinie. — Na widok zbliżającego się Bryne'a, Thom odwrócił się do niego bokiem i podkręcając wąsa, wbił wzrok w podłogę, jakby chciał ukryć twarz. Teraz jednak odpowiedział mu spojrzeniem równie chłodnym.

— Znałem niegdyś człowieka, który nazywał się identycznie jak ty — ciągnął Bryne. — Bardzo utalentowany gracz... szczególnego rodzaju gry.

— Znałem kiedyś człowieka, który wyglądał tak jak ty — odparował Thom. — Bardzo się starał, bym trafił do lochu. Przypuszczam, że z chęcią obciąłby mi głowę, gdybym tylko wpadł w jego ręce.

— Minęło jednak odtąd wiele czasu, czyż nie? Mężczyźni czasami robią osobliwe rzeczy dla kobiety. — Bryne zerknął na Sivan i pokręcił głową. — Czy przyłączysz się do mnie podczas gry w kamienie, panie Merrilin? Czasami przekonuję się, że tęsknię za człowiekiem, który potrafiłby dobrze grać w tę grę, w taki sposób, jak czynią to w dobrym towarzystwie.

Krzącaste siwe brwi Thoma zmarszczyły się w gniewnym zamyśle, jednak nie spuszczał nawet na moment wzroku z Bryne'a.

— Mogę rozegrać partię lub dwie — odrzekł na koniec — ale najpierw muszę znać stawkę. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że nie mam zamiaru spędzić reszty życia, grając z tobą w kamienie. Nie lubię zbyt długo przebywać w jednym

miejscu. Czasami swędzą mnie stopy.

— Lepiej, żeby nie swędziały cię w samym środku kluczowej rozgrywki — sucho uciał Bryne. — Wy dwaj pójdziecie ze mną. I nie oczekujcie, że będziecie się wylegiwać. Wszystko tutaj właściwie winno być zrobione już na wczoraj, wyjąwszy te rzeczy, które miały być gotowe na zeszły tydzień.

Przerwał i ponownie spojrzął na Suan.

— Dzisiaj moje koszule były tylko w połowie doprane.

Powiedziawszy to, odszedł, prowadząc ze sobą Thoma i Uno. Suan patrzyła za nim, a potem spojrzała spod zmarszczonych brwi na Min, ta z kolei skrzywiła się i zniknęła w ślad za Leane.

Nynaeve nic nie zrozumiała z tej ostatniej wymiany zdań i spojrzeń. Ani też bezczelności tych mężczyzn, którzy uważali, że mogą spokojnie rozmawiać nad jej głową — czy też przed jej nosem, wszystko jedno — mimo iż ona nie rozumiała z ich wypowiedzi ani słowa. W każdym razie dość przejmowania się nimi.

— Dobrze, że nie znalazł żadnego zajęcia dla łowcy złodziei — powiedział Juilin, popatrując spode łba na Suan i najwyraźniej nie potrafiąc się znaleźć w jej obecności. Jeszcze nie przetrwał wstrząsu, jaki przeżył, gdy poznał jej imię; Nynaeve nie miała pewności, czy uwierzył w to, iż została ujarzmiona i nie jest już dłużej Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Z pewnością jednak na sam jej widok zaczął przestępować z nogi na nogę. — Dzięki temu mogę gdzieś spokojnie usiąść i porozmawiać. Widziałem mnóstwo ludzi, którzy sprawiali wrażenie, jakby byli gotowi wychylić kufel piwa.

— Muszę stwierdzić, że zignorował mnie — z niedowierzaniem oznajmiła Elayne. — Nie dbam o nieporozumienia, jakie zaszły między nim a matką, ale nie miał prawa... Cóż, lordem Garethem Bryne'em zajmę się później. Teraz muszę porozmawiać z Min, Nynaeve.

Nynaeve chciała również pójść za nią w kierunku wiodącego do kuchni korytarza — Min z pewnością udzieli im bezpośrednich odpowiedzi na wszystkie pytania — jednak Suan pochwyciła jej ramię w żelazny uścisk.

Ta Suan Sanche, która pokornie chyliła głowę przed Aes Sedai, gdzieś zniknęła. Tutaj żadna już nie nosiła szala. Nie podniosła nawet głosu, nie musiała. Zmierzyła Juilina takim wzrokiem, że omal nie wyskoczył z siebie.

— Lepiej uważaj, jakie pytania będziesz zadawał, łowco złodziei, możesz bowiem zostać wypatroszony i sprzedany. — Spojrzenie chłodnych błękitnych oczu skierowało się na Birgitte i Marigan. Usta tej drugiej skrzywiły się, jakby posmakowała czegoś paskudnego, Birgitte natomiast zamrugnęła. — Wy dwie odszukacie Przyjętą o imieniu Theodorin i poprosicie, by znalazła wam miejsce do spania na dzisiejszą noc. Te dzieci od dawna już powinny znajdować się w łóżkach, takie przynajmniej sprawiają wrażenie. No, co jest? Ruszajcie!

Zanim którakolwiek zdążyła dać choćby krok — Birgitte wstała równie szybko jak Marigan, może nawet szybciej — z powrotem odwróciła się ku Nynaeve.

— A do ciebie mam kilka pytań. Powiedziano ci, byś ze mną współpracowała, proponuję więc byś zastosowała się do poleceń, jeśli rozumiesz, co dla ciebie dobre.

Nynaevie czuła się tak, jakby ogarnęło ją tchnienie huraganu. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, Siuan już pędziła ją po rozklekotanych schodach o poręczach zbitych z nie malowanego drewna, potem po nie wygładzonych deskach podłogi korytarza, wreszcie dotarły do małego pokoiku z dwoma wąskimi łózkami wbudowanymi w ściany, jedno nad drugim. Siuan zajęła jedyny w pomieszczeniu stołek, gestem nakazując Nynaevie usiąść na dolnym łóżku. Nynaevie wołała jednak stać, choćby po to tylko, by pokazać, iż nie da sobą dowolnie kierować. Poza wymienionymi sprzętami w izbie znajdowało się niewiele więcej rzeczy. Na umywalni, podpartej cegłą z braku jednej z nóg, mieściła się miednica i wyszczerbiony dzban. Kilka sukni wisiało na kołkach, w jednym zaś z rogów zwinięty leżał chyba siennik. Nynaevie zrozumiała, że w ciągu jednego dnia jej pozycja wprawdzie spadła wyraźnie, niemniej sytuacja Siuan była jeszcze gorsza. Nie przypuszczała jednak, by miała mieć z nią zbyt wiele kłopotów. Nawet jeśli tamta wciąż miała to samo spojrzenie.

Siuan parsknęła.

— Rozgość się, dziewczyno. Ten pierścień nie wymaga przenoszenia?

— Nie. Słyszałaś, jak mówiłam Sheriam. . .

— Każdy może go używać? Kobieta, która nie potrafi przenosić? Mężczyzna?

— Być może również mężczyzna. — *Ter'angreal* nie wymagające użycia mocy zazwyczaj działały zarówno w rękach mężczyzny, jak i kobiety. — Na pewno wszystkie kobiety.

— A więc nauczysz mnie, jak się nim posługiwać.

Nynaevie uniosła brwi. Dzięki temu może uda jej się uzyskać to, czego chciała. A jeżeli nie, to istniał jeszcze inny sposób. Może się uda.

— Czy one o tym wiedzą? Cała rozmowa dotyczyła pokazania im, jak on działa. Nikt nie wspominał o tobie.

— Nie wiedzą. — Siuan w najmniejszej mierze nie wyglądała na poruszoną. Uśmiechnęła się nawet i nie był to miły uśmiech. — I nie dowiedzą się. Chyba żeby miały równocześnie dowiedzieć się, że ty i Elayne udawałyście pełne siostry po opuszczeniu Tar Valon. Moiraine może puści to płazem Egwene. . . jeżeli ona również tak postępowała. . . ale Sheriam, Carlinya..? Sprawia, że będziecie kwiczeć niczym zarzynane wieprze, zanim z wami skończą. Na długo przedtem, zanim z wami skończą.

— To nie ma sensu. — Nynaevie nagle zdała sobie sprawę, że siedzi na krawędzi łóżka. Nie pamiętała nawet, kiedy usiadła. Thom i Juilin będą trzymali języki za zębami. Nikt więcej nie wie. Musi porozmawiać z Elayne. — Nie udawałyśmy nikogo takiego.

— Nie okłamuj mnie, dziewczyno. Jeżeli potrzebne byłoby jakiegokolwiek potwierdzenie, to dostarczają go twoje oczy. Ścisła cię trochę w żołądku, nieprawdaż?

Bez wątpienia tak było.

— Oczywiście, że nie. Jeżeli nauczę cię czegokolwiek, to tylko dlatego, że będę tego chciała. — Nie może pozwolić, by ta kobieta zastraszyła ją. Ostatni okrucuch litości rozwiął się w nicość. — Jeżeli miałabym cię uczyć, chcę czegoś w zamian. Możliwości prowadzenia badań nad tobą i Leane. Chcę się dowiedzieć, jak można Uzdrowić ujarzmienie.

— Nie można — powiedziała sucho Suan. — Teraz. . .

— Wszystko prócz śmierci powinno dać się Uzdrowić.

— „Powinno” nie oznacza „da się”, dziewczyno. Leane i mnie obiecano, że zostaniemy pozostawione w spokoju. Porozmawiaj z Faolain lub Emarą, jeśli chcesz wiedzieć, co się dzieje z tymi, które nam się naprzykrzają. One nie były pierwsze i nie zachowywały się najgorzej, z pewnością jednak najdłużej krzyczały.

Inny sposób. Bliska paniki wyłowiła ze swej pamięci jedną myśl. Jeśli tylko to prawda. Jedno spojrzenie.

— A co powie Sheriam, gdy dowie się, że ty i Leane wbrew pozorom wcale nie jesteście w każdej chwili gotowe powyrywać sobie wszystkich włosów z głowy? — Suan patrzyła na nią w milczeniu. — One sądzą, że stałaś się uległa, nieprawdaż? Im bardziej szczerasz na wszystkich, którzy nie potrafią ci się odszczekiwać, tym bardziej ufnie traktują to jako dowód, że będziesz posłusznie biegać z każdym rozkazem, gdy tylko któraś z Aes Sedai odkaslnie. Czy odrobina płaszczenia się i uniżoności sprawiły, że zapomniały, iż wy dwie. pracowałyście ręką w rękę przez lata? Czy też udało ci się je przekonać, że ujarzmienie zmieniło w tobie wszystko, nie tylko oblicze? Kiedy odkryją, że za ich plecami realizujecie własne plany, że manipulujecie nimi, zakwiczysz głośniej niżli jakikolwiek wieprz. Niezależnie od tego, do czego właściwie zmierzasz.

Suan nawet nie mrugnęła. Najwyraźniej nie miała zamiaru pozwolić, by utrata panowania nad sobą potwierdziła rzucone podejrzenia. Jednak było w tym coś więcej niż tylko ulotne wrażenie; Nynaeve nie miała teraz wątpliwości.

— Chcę mieć możliwość badania ciebie. . . i Leane. . . kiedy tylko zapragnę. Oraz Logaina. — Być może na jego przypadku również się czegoś nauczy. Mężczyźni są inni; to będzie jak spoglądanie na ten sam problem pod innym kątem. Oczywiście nie miała zamiaru Uzdrawiać go, nawet gdyby dowiedziała się, jak to zrobić. Rand musiał przенosić. Jednak spuszczenie na świat drugiego mężczyzny zdolnego radzić sobie z Mocą, to była zupełnie inna sprawa. — Jeśli nie, wówczas możesz zapomnieć o pierścieniu i *Tel'aran'rhiod*.

Czego Suan mogła tam szukać? Być może chodziło jej o powrót do dziedziny, która przynajmniej miała jakiś, choćby pozorny, związek z Aes Sedai. Nynaeve

zdecydowanie zdławiła chwilowy odruch współczucia.

— A jeśli poczynisz jeszcze jakieś uwagi o tym, że udawałyśmy Aes Sedai, wówczas nie będę miała innego wyjścia, jak tylko powiedzieć o tobie i Leane. Elayne i ja możemy przechodzić niełatwe chwile, zanim prawda wyjdzie na jaw, natomiast prawdy o tobie i Leane z pewnością nie da się zataić i wtedy będziecie płakać równie długo jak Faolain i Emara razem wzięte.

Cisza przeciągała się. W jaki sposób tamtej udaje się zachować tak lodowaty spokój? Nynaeve zawsze uważała, że ma to coś wspólnego z byciem Aes Sedai. Zaschło jej w ustach, jednak całe ciało spływało potem. Jeżeli się pomyliła, jeśli Siuan zechce poddać się próbie, wówczas wiadomo, kto zapłacze.

Na koniec Siuan wymamrotała:

— Mam nadzieję, że Moiraine udało się uczynić kręgosłup Egwene bardziej giętkim niżli twój. — Nynaeve nie zrozumiała, ale nie miała czasu, by się zastanowić nad tymi słowami. W następnej chwili druga kobieta pochylała się ku niej, wyciągając dłonie. — Ty dochowasz mojego sekretu, ja nie zdradzę waszego. Naucz mnie posługiwać się pierścieniem, a będziesz mogła do woli badać ujarzmienie i poskromienie.

Nynaeve ledwie udało się stłumić westchnienie ulgi, uścisnęła zaoferowaną dłoń. Dokonała tego. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu ktoś usiłował ją zastraszyć i nie powiodło mu się. Czowała sięomalże gotowa do stawienia czoła Moghedien. No, prawie.

Elayne dogoniła Min tuż przy tylnych drzwiach gospody i wyszła za nią. Min niosła pod pachą zawiniątko, na które składały się dwie lub trzy białe koszule. Słońce dotykało już wierzchołków drzew, w jego gasnących promieniach podwórze stajni nabrało poloru dawno nie sprzątanego brudu, na samym środku wyrastał z ziemi potężny pniak, prawdopodobnie pozostałość po wielkim dębie. Kryta strzechą kamienna stajnia nie miała drzwi, przez szeroki otwór dojrzeć można było mężczyzn pracujących w środku i konie w boksach. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, jak Leane rozmawia w cieniu stajni z jakimś potężnie zbudowanym mężczyzną. Ubrany w mocny skórzany kaftan mógł wyglądać na kowala lub równie dobrze na awanturnika. Jednak najbardziej zaskakująca była postawa Leane, to, jak blisko niego stała, jak pochylała głowę, patrząc na niego. A potem, zanim odwróciła się i odeszła śpiesznie do gospody, naprawdę poklepała go po policzku. Potężny mężczyzna patrzył przez chwilę w ślad za nią, po czym odwrócił się i rozpląnął w cieniu.

— Nie pytaj mnie, o co jej chodzi — zastrzegła się Min. — Dziwnych ludzi widuje się z nią i z Siuan, a wobec niektórych mężczyzn ona... Cóż, sama widziałaś.

Elayne tak naprawdę wcale nie dbała o to, co robi Leane. Ale teraz, gdy by-

ła już sam na sam z Min, nie bardzo wiedziała, jak wydobyć z niej potrzebne informacje.

— Czym ty się zajmujesz?

— Praniem — wymamrotała Min, z irytacją mnąc koszule. — Nie potrafię ci powiedzieć, jak przyjemnie czasami jest oglądać Siuan w roli myszy. Ona również nie ma pojęcia, czy orzeł leci po to, by ją zjeść, czy zrobić z niej potulne domowe zwierzątko, ale ma tyleż możliwości wyboru, co sama zostawia innym. Wcale!

Elayne przyśpieszyła kroku, by nadażyć za nią przez podwórze. O cokolwiek jej chodziło, nie był to właściwy wstęp do rozmowy.

— Czy wiesz, co Thom chciał zasugerować? Zostajemy.

— Powiedziałam im, że tak będzie. I nie miało to nic wspólnego z wizją. — Min ponownie zwolniła kroku, kiedy przechodziły między ścianą stajni a rozsypującym się murem i weszły na ciemną ścieżkę wśród splątanego chrustu i zdeptyanych roślin. — Po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić, byście zrezygnowały z szansy dalszej nauki. Zawsze tego bardzo pragnęłaś, Nynaeve zresztą również, choćby nie chciała się przyznać. Żałuję, że nie stało się inaczej. Pojechałabym z wami. Przynajmniej. . .

Wymamrotała coś pod nosem; Elayne uchwyciła tylko wściekłe brzmienie niezrozumiałych słów.

— Te trzy, które sprowadziłyście ze sobą, przysporzą kłopotów, a to już jest wizja.

Wreszcie. To był punkt zaczepienia, którego potrzebowała. Zamiast jednak zadać zamierzone pytania, powiedziała tylko:

— Masz na myśli Marigan, Nicolę i Areinę? Jakich one mogą przysporzyć kłopotów? — Jednak tylko głupiec nie przejmował się wizjami Min.

— Dokładnie rzecz biorąc, to nie mam pojęcia. Pochwyciłam tylko mgnienie aury kątem oka. Kiedy patrzyłam prosto na nie, nie mogłam dostrzec nic, co potrafiłabym zinterpretować. Wiesz przecież, że niewielu otacza przez cały czas aura. Kłopoty. Być może one będą za dużo mówiły. Czy zamierzacie coś takiego, o czym Aes Sedai nie powinny się dowiedzieć?

— Oczywiście że nie — żywo zaprzeczyła Elayne. Min spojrzała na nią z ukosa, a wtedy dodała: — Cóż, w każdym razie nic takiego, co nie byłoby konieczne. W każdym razie one i tak nie mogą nic na ten temat wiedzieć.

Rozmowa zmierzała w niepożądanym kierunku. Wzięła głęboki wdech i zdecydowała się wyłożyć kawę na ławę.

— Min, miałaś wizję dotyczącą Randa i mnie, nieprawdaż? — Przeszła jeszcze dwa kroki, zanim zdała sobie sprawę, że tamta przystanęła.

— Tak — odpowiedziała bardzo ostrożnie.

— Widziałaś, że zakochamy się w sobie.

— Niedokładnie. Widziałam, że to ty zakochasz się w nim. Nie mam pojęcia, co on do ciebie czuje, tylko tyle, że jest w jakiś sposób z tobą związany.

Usta Elayne zacisnęły się w cienką kreskę. To było dokładnie to, czego się spodziewała, ale nie to, co chciałyby usłyszeć.

„Na "chceniu" i "pragnieniu" potykają się stopy, to tylko "jest" czyni ścieżkę prostszą”. To było jedno z powiedzeń Lini. Trzeba brać sytuację taką, jaka jest, a nie taką, jaką chciałoby się, by była.

— I widziałas też, że jest ktoś jeszcze. Ktoś, z kim będę musiała... go... dzielić.

— Dwie kobiety — odrzekła ochryple Min. — Dwie inne kobiety. I... i ja jestem jedną z nich.

Z ustami otwartymi, by zadać następne pytanie, Elayne zastygła na chwilę, nie potrafiąc wykrztusić słowa.

— Ty? — zdołała w końcu wyjąkać.

Min zjeżyła się.

— Tak, ja! Sądziś, że ja nie mogę się zakochać? Nie chciałam tego, ale się stało i to wszystko. — Przeszła obok Elayne i ruszyła w dół ścieżki, tym razem jednak tamtej nie śpieszyło się już tak bardzo, by ją dogonić.

To z pewnością wyjaśniało wiele rzeczy. Nerwowość, z jaką Min za każdym razem unikała tego tematu. Hafty na klapach jej kaftana. A ponadto, jeśli wzrok jej nie mylił, Min zaczęła różować sobie policzki.

„I co mam o tym wszystkim myśleć?” — zastanawiała się. Nie potrafiła dojść do ładu ze swymi odczuciami.

— Kim jest trzecia? — zapytała cicho.

— Nie mam pojęcia — równie cicho odpowiedziała Min. — Tylko, że ma wybuchowy charakter. Dzięki Światłości, to nie Nynaeve. — Zaśmiała się słabo. — Przypuszczam, że tego bym nie przeżyła.

Po raz kolejny spojrzała na Elayne z ukosa.

— A co to będzie oznaczać dla nas obu? Lubię cię.. Nigdy nie miałam siostry, czasami jednak czuję się tak, jakbyś ty... Chciałabym pozostać twoją przyjaciółką, Elayne, i nie przestanę cię lubić, niezależnie od tego, co się stanie. Nie potrafię przestać go kochać...

— Nie powiem, żeby szczególnie podobał mi się pomysł dzielenia się mężczyzną — oznajmiła sztywno Elayne. Z pewnością wyraziła to bardzo oględnie.

— Mnie również. Tylko... Elayne, wstydzę się to przyznać, ale wezmę go w taki sposób, w jaki tylko będzie dostępny. A poza tym żadna z nas nie ma wyboru. Światłości, on strzaskał całe moje życie. Na myśl o nim pęka mi głowa. — W głosie Min brzmiały takie tony, jakby już nie wiedziała, czy śmiać się. czy płakać.

Elayne powoli wypuściła powietrze. Nie jest to wina Min. Czy nie lepiej, że to właśnie Min, a nie, powiedzmy, Berelain, lub któraś inna, której nie potrafiłaby znieść?

— *Ta'veren* — oznajmiła. — On nagina świat wokół siebie. Jesteśmy ni-
by słomki pochwycone przez wodny wir. Ale zdaje mi się, że pamiętam, jak ja
i Egwene przyrzekłyśmy sobie, że nigdy żaden mężczyzna nie zniszczy naszej
przyjaźni. Jakoś będziemy musiały sobie z tym poradzić, Min. A kiedy dowiemy
się, kim jest trzecia. . . Cóż, z tym też będziemy musiały sobie poradzić. Jakoś.

„Trzecia! Czy to może być naprawdę Berelain? Och, krew i krwawe popioły!”

— Jakoś — cicho powtórzyła Min. — Tymczasem ty i ja tkwimy tutaj złapane
w sidła. Wiem, że jest inna, wiem, że nie mogę z tym nic zrobić, ale miałam już
dosyć kłopotów, by się pogodzić z wiedzą, że ty, a . . . kobiety cairhieniańskie nie
wszystkie są takie jak Moiraine. Pewnego razu widziałam w Baerlon cairhieniań-
ską szlachciankę. Sądząc z urody, Moiraine przy niej wyglądała niczym Leane,
jednak czasem potrafiła powiedzieć rzeczy. . . tak aluzyjne. A jej aury! Nie przy-
puszczam, by którykolwiek mężczyzna w całym mieście mógł być bezpieczny
sam na sam z nią, chyba żeby był paskudny, kaleki albo najlepiej od razu martwy.

Elayne parsknęła, udało jej się jednak nadać tonowi głosu bez troskie brzmie-
nie..

— Nie przejmuj się tym. Mamy jeszcze jedną siostrę, której nigdy dotąd nie
spotkałaś. Aviendha bacznie pilnuje Randa, a poza tym on nie oddala się bardziej
niżli na dziesięć kroków od swej ochrony złożonej z Panien Włóczni Aielów.
— Cairhieniańska kobieta? Berelain przynajmniej spotkała, wiedziała coś o niej.
Nie. Nie powinna rozwodzić się nad tym jak jakaś bezmózga dziewczyna. Dorosła
kobieta bierze świat taki, jaki jest i stara się najwięcej przy tym osiągnąć. Kim ona
może być?

Wyszły na otwartą przestrzeń naznaczoną kupkami wystygłych popiołów.
Wielkie kotły, większość podziurawiona w miejscach, gdzie zeszkrobano z nich
rdzę, stały oparte o krąg kamiennego muru, ponad który wyrastały ze środka koro-
ny drzew. Pomimo cieni kładących się już na placu, z dwu kotłów umieszczonych
na ogniu unosiła się para, a trzy nowicjuszki w podkasanych sukniach, ocieka-
jąc potem, pracowały ciężko przy tarkach do prania wstawionych w balie pełne
mydlin.

Elayne spojrzała tylko raz na koszule pod pachą Min i natychmiast objęła
saidara.

— Pozwól, że ci przy nich trochę pomogę.

Przenoszenie w celu wykonania przypisanych obowiązków było zabronione
— praca fizyczna rozwija charakter, tak powiadały Aes Sedai — ale to nie mogło
być tak traktowane. Jeżeli uda jej się wystarczająco szybko zakręcić koszulami
w wodzie, nie będą musiały moczyć sobie rąk.

— Opowiedz mi wszystko. Czy Sivan i Leane rzeczywiście tak się zmieniły,
jak to z pozoru wygląda? W jaki sposób dotarliście tutaj? Czy Logain też tu jest?
I dlaczego pierzesz koszule jakiemuś mężczyźnie? Wszystko mi opowiedz.

Min zaśmiała się, najwyraźniej zadowolona ze zmiany tematu.

— „Wszystko” zajęłoby cały tydzień. Ale spróbuję. Najpierw pomogłam Siuan i Leane wydostać się z lochów, do których wsadziła je Elaida, a potem. . .

Wtrącając od czasu do czasu stosowne okrzyki zdumienia, Elayne równocześnie przeniosła Powietrze, aby unieść z ognia jeden z kotłów pełnych wrzącej wody. Ledwie zwróciła uwagę na niedowierzające spojrzenia nowicjuszek; przywykła już do własnej siły, rzadko też przychodziło jej do głowy, że bez zastanowienia wykonuje rzeczy, jakich niektóre Aes Sedai nie potrafiłyby zrobić w ogóle. Kim była ta trzecia kobieta? Lepiej niech Aviendha rzeczywiście bacznie na niego uważa.

WIEŚCI PRZYBYWAJ DO CAIRHIEN

Rand wsparł dłoń o kamienną balustradę balkonu i przypatrywał się położonemu niżej ogrodowi; z prostej fajki o krótkim cybuchu, którą zaciskał w zębach, unosiła się cieniutka strużka niebieskiego dymu. Ostre cienie wydłużały się; słońce wyglądało jak czerwona kula spadająca na tle bezchmurnego nieba. Dziesięć dni w Cairhien, a zdawało się, że to pierwszy taki moment, kiedy zaznał spokoju, wyjąwszy czas snu. Tuż obok stała Selande z bladą twarzą zadartą w górę, wpatrzona w niego zamiast w ogród. Włosów nie miała kunsztownie utrefionych, jak przystało arystokratce wyższej rangi, niemniej jednak fryzura i tak dodała pół stopy do jej wzrostu. Starał się ją ignorować, ale jakoś trudno ignorować kobietę, która uparcie napiera sprężystym łonem na twoją rękę. Zebranie przeciągało się tak długo, że aż nabrał ochoty na chwilę przerwy. Zorientował się, że to błąd, ledwie Selande wyszła jego śladem z komnaty.

— Znam pewien ustronny staw — rzekła cicho — gdzie można zaznać wytchnienia od upału. To ukryty staw, gdzie nic nam nie przeszkodzi.

Zza kanciastych łuków za ich plecami napłynęła melodia, którą Asmodean wygrywał na harfie. Lekka, o odświeżającym brzmieniu.

Rand pyknął nieco żwawiej z fajki. Ten upał. Nic w porównaniu z Pustkowie, a jednak... Niby jesień za pasem, a mimo to popołudnie sprawiało wrażenie samego środka lata. Bezdeszczowego lata. W ogrodzie mężczyźni w samych koszulach lali wodę z wiader, specjalnie o tak późnej porze, by zapobiec jej wyparowaniu; tak wiele roślin zbrązowiło albo obumarło. Ta pogoda żadną miarą nie była normalna. Płonące słońce drwiło sobie z niego. Moiraine zgodziła się, także Asmodean, żadne jednak nie wiedziało lepiej od niego, co zrobić, ani tym bardziej — jak. Sammael. Ten potrafiłby jakoś temu zaradzić.

— Chłodna woda — wymruczała Selande — tylko ty i ja, sami.

Przysunęła się jeszcze bliżej, aczkolwiek on nie pojmował, jak jej się to udało.

Rozmyślał nad tym, kiedy po raz kolejny stanie się przedmiotem drwin. Żadnej utraty panowania nad sobą, czegokolwiek by Sammael nie uczynił. Jak już zakończy metodyczne gromadzenie wojsk w Łzie, zacznie ciskać błyskawice. Jedno

miażdżące uderzenie, którym raz na zawsze wykończy Sammaela, a jednocześnie wrzuci do swojego worka Illian. Pospołu z Illian, Łżą, Cairhien oraz armią Aielów dostatecznie wielką, by podporządkować sobie dowolny kraj w kilka tygodni. . .

— Nie miałbyś chęci popływać? Sama nie pływam najlepiej, ale ty z pewnością mnie nauczysz.

Westchnął. Przez chwilę żałował, że nie ma tu Aviendhy. Nie. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, była posiniaczona Selande, uciekająca z wrzaskiem w strzępach odzienia.

Ośloniwszy dłonią oczy, spojrział na nią z góry i przemówił cicho, nie wyjmując fajki z ust.

— Ja przenoszę. — Zamrugła, cofając się bez drgnienia choćby jednego mięśnia. Nigdy nie pojmowały, po co przywoływał ten temat; dla nich było to coś, co należało tuszować albo w miarę możliwości ignorować. — Powiadają, że czeka mnie obłąd. Ale ja jeszcze nie jestem obłąkany. Jeszcze nie. — Zaśmiał się serdecznie, po czym umilkł zniemacka, z nieprzeniknioną twarzą. — Nauczyć cię pływać? Podtrzymam cię na powierzchni wody za sprawą Mocy. Wiesz, że *saidin* jest skażony. Dotykam Czarnego. Ty jednak nie poczujesz skazy. Otoczy cię, a ty nic nie poczujesz. — Znowu śmiech, nieznacznie rżężący tym razem. Jej ciemne oczy nie mogły już bardziej się rozszerzyć; uśmiech przemienił się w chorobliwy grymas. — A zatem później. Chcę być sam, chcę pomyśleć o. . .

Nachylił się, jakby zamierzał ją pocałować; pisnęła i dygnęła tak nagle, iż z początku wydało mu się, że nogi jej odmówiły posłuszeństwa.

Cofała się, przy każdym kroku dygając, paplała o wielkim zaszczycie, jakim jest służenie mu, o swej najszczerzej chęci bycia jego służką, wszystko to głosem na skraju hysterii, dopóki nie zderzyła się plecami z jednym z kanciastych łuków. Ostatnie ugięcie kolan i zniknęła we wnętrzu.

Skrzywił się i odwrócił z powrotem do balustrady. Straszenie kobiet. Gdyby ją poprosił, żeby zostawiła go w spokoju, to zaczęłaby uciekać się do wymówek, rozkaz przyjęłaby jedynie jako chwilowe niepowodzenie, o ile nie wiązałby się ze zniknięciem z jego obecności, a nawet wtedy. . . Może tym razem wieść się roznieście. Musi trzymać temperament na krótkiej wodzy; ostatnimi czasy zbyt łatwo wyrwał się na swobodę. To ta susza, z którą nic nie mógł zrobić, te problemy, które wybijały niczym chwasty, gdziekolwiek nie spojrział. Jeszcze kilka chwil spędzanych wyłącznie w towarzystwie fajki. Kto by zgodził się władać jakimś narodem, gdyby w zamian mógł wykonywać jakieś lżejsze zajęcie, na przykład nosić wodę w przetaku na szczyt wzgórza?

Za ogrodem, między dwoma stopniami wspinającymi się ku niebu wieżami Królewskiego Pałacu, roztaczał się widok na Cairhien, spowite w wyraziste światła i cienie, które jakby bardziej ujarzmiło wzgórze, gdzie je pobudowano, miast łagodnie się po nich roztaczać. Nad jedną z tych dwu wież zwiisał bezwładnie jego purpurowy sztandar ze starożytnym symbolem Aes Sedai; nad drugą podłużna

replika Sztandaru Smoka. Ten powiewał w kilkunastu punktach miasta, włączywszy najwyższą z wielkich, nie ukończonych wież, która wyrastała tuż przed nim. Pokrzykiwania odniosły tyleż samo skutku co rozkazy; ani Tairenianie., ani Cairhienianie nie dali wiary, że naprawdę życzył sobie, by sztandar pozostał tylko jeden, Aielów zaś sztandary nie obchodziły.

Nawet teraz, gdy przebywał głęboko w labiryncie pałacu, docierał doń pomruk miasta, które lada chwila mógł rozsadzić panujący w nim ścisk. Uchodźcy z każdego zakątka kraju, bardziej przerażeni wizją powrotu do domu niżli swoją obecnością w pobliżu Smoka Odrodzonego. Wśród nich kupcy, którzy sprzedawali wszystko, na kupno czego ludzie mogli sobie pozwolić i kupowali wszystko, czego ludzie nie mogli zatrzymać. Lordowie i uzbrojeni mężczyźni, którzy zbierali się pod jego albo innym jakimś sztandarem. Myśliwi polujący na Róg, którym się zdawało, że znajdują go gdzieś blisko niego; kilkunastu, może nawet i stu mieszkańców Foregate było gotowych sprzedać go każdemu z tego towarzystwa. Ogirowie, budowniczy ze Stedding Tsofu, którzy przybywali sprawdzić, czy przypadkiem na ich osławione umiejętności nie czekają jakieś zadania. Awanturnicy, w tym tacy, którzy jeszcze przed tygodniem zaliczali się do bandytów, którzy przybywali sprawdzić, czy nie da się czegoś ukraść. Zjawiło się nawet stu, może i więcej Białych Płaszcz, które jednakże umknęły z miasta galopem, kiedy stało się jasne, że stan oblężenia został zniesiony. Czy fakt, że Pedron Niall zwoływał ku sobie Białe Płaszcze miał stać się przedmiotem jego troski? Egwene dawała mu znać o różnych dziejących się sprawach, ale ona patrzyła na nie z perspektywy Białej Wieży, gdziekolwiek akurat by się nie znajdowała. Jemu punkt widzenia Aes Sedai był obcy.

Przynajmniej karawany wozów wypełnionych ziarnem zaczęły przybywać z Łzy z niejaką regularnością. Głodni mogli wszcząć zamieszki. Żałował, że nie może poprzestać na prostym zadowoleniu, iż już nie są głodni, ale fakt pozostał faktem. Ubyło bandytów. A wojna domowa nie wybuchła na nowo. Na razie. Więcej dobrych wieści. Musiał nabrać pewności, że taki stan rzeczy utrwali się na dobre, zanim będzie mógł wyjechać. Sto różnych spraw, którymi należało się zająć, nim ruszy na Sammaela. Spośród tych wodzów, którym naprawdę ufał, tych, którzy maszerowali wraz z nim od samego Rhuidean, pozostali tylko Rhuarc i Bael. Skoro jednak nie można było wówczas ufać tym czterem klanom, które przyłączyły się do niego na końcu, to czy mógł im zawierzyć w wolnym Cairhien? Indirian i inni uznali go jako *Car'a'carna*, jednakże znali go równie słabo jak on ich. Wieść otrzymana tego ranka oznaczała być może nowy kłopot. Berelain, Pierwsza z Mayene, znajdowała się w odległości zaledwie kilkuset mil od miasta, zamierzając przyłączyć się do niego wraz z jej niewielką armią; nie miał pojęcia, jakim cudem przeprowadziła ją przez terytorium Łzy. Co dziwniejsze, w liście pytała go, czy jest z nim Perrin. Bez wątpienia obawiała się, że Rand mógłby zapomnieć o jej małym państewku, jeśli ona mu się sama nie przypomni. Byłaby to

wręcz przyjemność przyglądać się, jak wymienia szturchańce z Cairhienianami, ostatnia z długiej linii Pierwszych, którym dzięki udziałowi w Grze Domów udało się nie dopuścić, by Łza połknęła ich kraj. Może gdyby tak przekazał jej tutaj władzę... Kiedy nadejdzie czas, zabierze z sobą Meilana i pozostałych Tairenian. O ile ten czas kiedykolwiek nadejdzie.

Tak wcale nie było lepiej od czekania w środku. Wypukawszy nie dopalony tytoń z fajki, zagasił butem ostatnie iskierki. Lepiej pamiętać o ryzyku pożaru w ogrodzie; zająłby się ogniem jak pochodnia. Ta susza. Nienormalna pogoda. Uświadomił sobie swoje rozdrażnienie. Pierwsza rzecz, z którą z całą pewnością mógł coś zrobić. Z wysiłkiem zapanował nad twarzą, zanim wszedł do środka.

Asmodean, odziany równie dostatnio jak lord, z kaskadami koronki przy kołnierzu, wygrywał jakąś kojącą melodię, siedząc na taborecie ustawionym w kącie, wsparty o ciemną, surową boazerię, jakby właśnie korzystał z chwili odpoczynku. Pozostali, którzy również siedzieli, na widok Randa chcieli już poderwać się ze swoich krzesel, ale rozkazujący gest sprawił, że natychmiast opadli z powrotem na siedzenia. Meilan, Torean i Aracome zajmowali rzeźbione i ozdobione złoceniami krzesła, ustawione z jednego boku dywanu w barwach głębokiej czerwieni i złota, przy czym za plecami każdego siedział jakiś młody taireniański lord; stanowili lustrzane odbicie Cairhienian uszeregowanych tak samo po przeciwnej stronie. Także za Dobraine i Maringilem siedzieli młodzi lordowie, z których każdy miał na podobieństwo Dobraine wygolony i upudrowany przód czaszki. Selande ze zbielałą twarzą stała u boku Colavaere; zatrzęsa się, kiedy Rand na nią spojrział.

Przywoławszy na twarz wyraz zdecydowania, przeszedł energicznymi krokami po dywanie do swojego krzesła. Już samo krzesło stanowiło powód, dla którego musiał kontrolować swe emocje. Był to dar od Colavaere i pozostałych dwóch, utrzymany w stylu, który oni uważali za wybitnie taireniański. On na pewno uwielbia taireniańską wystawność; władał wszak Łzą, przysłał ich tutaj. Rzeźbione Smoki podtrzymywały siedzenie, całe iskrzące się złotem i czerwienią emalii, z wielkimi słonecznymi kamieniami osadzonymi w oczodołach. Dwa inne tworzyły poręcze, a jeszcze kolejne wspinały się po wysokim oparciu. Niezliczeni rzemieślnicy musieli zapewne harować bez snu, by od czasu jego przybycia wykonać ten mebel. Siedząc na nim, czuł się jak dureń. Muzyka Asmodeana zmieniła się; pobrzmiwała w niej teraz jakaś doniosła nuta, triumfalny marsz.

A mimo to w ciemnych oczach obserwujących go Cairhienian czaiła się jakaś dodatkowa czujność, czujność, która niczym w lustrze odbijała się w twarzach Tairenian. Była tam, jeszcze zanim wyszedł na zewnątrz. Może zaświtało im, że w swych próbach nadskakiwania popełnili jakiś błąd. Wszyscy starali się ignorować to, kim był, udawać, że jest po prostu młodym lordem, który ich podbił, którego jakoś sobie podporządkują i poddadzą manipulacjom. To krzesło — ten tron — mówiło im, kim i czym jest tak naprawdę.

— Czy wymarsz żołnierzy postępuje zgodnie z planem, lordzie Dobraine? —

Dźwięki harfy przycichły nieco, ledwie otworzył usta, Asmodean najwyraźniej nawykł pysznić się swą grą.

Mężczyzna o skórzastej twarzy uśmiechnął się ponuro.

— Postępuje, Lordzie Smoku.

I nic więcej. Rand nie żywił złudzeń, że Dobraine przepadał za nim bardziej niż pozostali, ani nawet, że nie będzie próbował zyskać czegoś dla siebie, gdzie się tylko da, niemniej jednak zdawał się gotów dotrzymać złożonej przez siebie przysięgi. Kolorowe rozcięcia przez pierś kaftana wyzierały spod spiętego na nim napierśnika.

Maringil podał się do przodu w krzesło, szczupły niczym bat i wysoki jak na Cairhienianina, z siwymi włosami sięgającymi niemalże ramion. Nie golił przodu czaszki, jego kaftan zaś, z paskami rozcięć prawie sięgającymi kolan, nie nosił śladów zużycia.

— Potrzebujemy tych ludzi tutaj, Lordzie Smoku. — Jastrzębie oczy zamrugały w stronę pożądanego tronu, po czym na powrót skupiły się na osobie Randa. — Na terytorium całego kraju jeszcze wielu bandytów przebywa na wolności.

Znowu zmienił pozycję, dzięki czemu nie musiał patrzeć na Tairenian. Meilan i pozostali dwaj uśmiechali się blado.

— Posłałem Aielów, by polowali na bandytów — odparł Rand. Istotnie, otrzymali rozkazy zgarniania wszelkich przestępców, jakich spotkają na swej drodze. Ale równocześnie nie mieli w żadnym razie z tej drogi zbaczać, przynajmniej nie po to, by ich szukać. Nawet Aielowie nie mogli robić tego i jednocześnie przemieszczać się szybko. — Mówiono mi, że trzy dni temu Kamienne Psy zabiły blisko dwustu w okolicy Morelle.

Było to blisko granicy najdalej wysuniętej na południe, jaką Cairhien zagarnęło ostatnimi laty, w połowie drogi do rzeki Iralell. To towarzystwo nie musi się dowiadywać, że ci Aielowie mogli już dotrzeć do samej rzeki. Potrafili pokonywać dalekie dystanse szybciej od koni.

Maringil ciągnął swoje, marszcząc czoło z niepokojem.

— Jest jeszcze jeden powód. Połowa naszego kraju na zachód od Alguenyi znajduje się w rękach Andoru. — Zawahał się. Wszyscy oni wiedzieli, że Rand wychował się w Andorze; kilkanaście plotek czyniło go synem tego czy innego andorańskiego Domu, nawet synem samej Morgase, który został odrzucony, bo potrafił przetranszować albo który sam uciekł, zanim zdążono go poskromić. Szczupły mężczyzna kontynuował, jakby stąpał boso, z zawiązanymi oczyma, po sztyletach. — Morgase jak dotąd nie zdaje się sięgać po więcej, ale trzeba jej odebrać to, co do tej pory zagarnęła. Heroldzi obwieścili jej roszczenia do...

Urwał raptownie. Żaden z nich nie wiedział, dla kogo Rand przeznaczył Tron Słońca. Może tą osobą miała być Morgase.

Mrocznym spojrzeniem Colavaere ponownie jakby kładła Randa na szalach wagi; niewiele tego dnia mówiła. I nie powie, dopóki nie będzie wiedziała, dla

czego twarz Selande jest taka blada.

Rand poczuł nagle, że jest zmęczony, zmęczony tymi sprzeciwami arystokratów, knowaniami dyktowanymi przez reguły *Daes Dae'mar*.

— Andorańskimi roszczeniami względem Cairhien zajmę się, kiedy będę gotów. Ci żołnierze pomaszerują do Łzy. Weźmiecie przykład ze znakomitego posłuszeństwa Wysokiego Lorda Meilana i nie usłyszycie nic więcej na ten temat. — Odwrócił się szybko w stronę Tairenian. — Twój przykład jest godzien naśladowania, nieprawdaż, Meilan? A twój, Aracome? Jeżeli wyjadę jutro, to nie znajdę w odległości dziesięciu mil na południe obozowiska tysiąca Obrońców Łzy, którzy dwa dni temu mieli wyruszyć w drogę powrotną do Łzy, mam rację? Względnie obozowiska dwóch tysięcy zbrojnych z Taireniańskich Domów?

Niewyraźne uśmiechy bladły z każdym jego słowem. Zesztywniałemu Meilanowi zalśniły oczy, a wąska twarz Aracome pobladła, czy z gniewu, czy ze strachu, trudno było orzec. Torean przykładał do kluchowatej twarzy jedwabną chusteczkę wyciągniętą z rękawa. Rand sprawował władzę w Łzie i naprawdę zamierzał tego dowieść; *Callandor* wbity w posadzkę Kamienia Łzy stanowił tego symbol. Dlatego właśnie nie protestowali przeciwko wystąpieniu cairhieniańskich żołnierzy do Łzy. Zamierzali wykroić dla siebie nowe majątki, może królestwa, tutaj, z dala od miejsca, gdzie on władał.

— Nie znajdziesz, Lordzie Smoku — powiedział w końcu Meilan. — Jutro wyjadę z tobą, dzięki czemu będziesz mógł osobiście się przekonać.

Rand w to nie wątpił. Jeździec zostanie wysłany na południe tak szybko, jak Meilan zdoła to zaaranżować, i do jutra ci żołnierze pokonają szmat drogi w stronę Łzy. To wystarczy. Na razie.

— Skończyłem zatem. Możecie mnie zostawić.

Kilka bezgłośnych oznak zdziwienia, maskowanych tak szybko, że mogły być jedynie wytworem wyobraźni i już wstawali, kłaniając się i dygając, Selande i młodzi lordowie wycofywali się pierwsi. Spodziewali się czegoś więcej. Audiencja u Lorda Smoka w ich mniemaniu była zawsze długa i mordercza; w jej trakcie zwykł popychać ich w narzuconym przez siebie kierunku, czy szło o zadeklarowanie, że żaden Tairenianin nie zagarnie ziem w Cairhien, jeśli nie wżeni się w jakiś cairhieniański Dom, czy o odmowę przegnania mieszkańców Foregate, czy o narzucenie arystokratom praw, jakie wcześniej nie miały się nikogo prócz gminu.

Przez chwilę odprowadzał wzrokiem Selande. Nie była pierwsza w ciągu tych ostatnich dziesięciu dni. Nawet nie dziesiąta albo dwudziesta. Kuszono go, przynajmniej z początku. Kiedy odrzucał szczupłą, natychmiast zastępowała ją pulchna, tak jak wysoka albo ciemna, w przypadku Cairhienianek w każdym razie, pojawiała się w ślad za niską albo jasną. Stałe poszukiwanie kobiety, która by go zadowoliła. Panny dawały odpór tym, które usiłowały zakraść się nocą do jego komnat, stanowczo — aczkolwiek znacznie delikatniej niżli Aviendha zajęła

się tamtą, którą osobiście przyłapała. Aviendha najwyraźniej traktowała prawo Elayne do niego ze śmiertelną powagą. Niemniej jednak jej typowe dla Aielów poczucie humoru zdawało się sprawiać, że torturowanie go przynosiło jej moc satysfakcji; widział zadowolenie na jej twarzy, kiedy zaczynała się rozbierać do nocnego spoczynku, a on wzdychał głęboko i krył twarz. Dlatego byłby się oburzył tą jej śmiertelną powagą, gdyby nie pojął prędko, co kryje się za tym szeregiem młodych piękności.

— Lady Colavaere.

Zatrzymała się natychmiast, kiedy wymówił jej imię, chłodnooka i spokojna pod zdobną wieżycą ciemnych pukli. Selande nie miała innego wyboru, jak tylko pozostać wraz z nią, aczkolwiek wyraźnie nie miała najmniejszej ochoty, gdy zaś pozostali nie chcieli odejść. Meilan i Maringil złożyli pożegnalne ukłony jako ostatni, tak mocno zainteresowani Colavaere i próbami odgadnięcia, dlaczego kazano jej zostać, że nie zorientowali się, iż stanęli obok siebie. Ich oczy doskonale upodobniły się wzajem, ciemne i drapieżne.

Kryte ciemnymi panelami drzwi zamknęły się.

— Selande to bardzo urodziwa, młoda kobieta — rzekł Rand. — Są jednak tacy, którzy wolą towarzystwo kobiety bardziej dojrzałej... dysponującej głębszą wiedzą. Spożyjesz wieczerę w moim towarzystwie tego wieczora, kiedy wybije Druga Parzysta. Już nie mogę się doczekać tej przyjemności.

Gestem nakazał jej odejść, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, o ile w ogóle potrafiła. Twarz jej się nie zmieniła, za to dygnęła jakby nieco chwiejnie. Na twarzy Selande malowało się czyste zaskoczenie. A także bezbrzeżna ulga.

Kiedy drzwi zamknęły się za dwiema kobietami, Rand odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. Oстрыm sarkastycznym śmiechem. Był zmęczony Grą Domów, więc nie myśląc, wziął w niej udział. Brzydził się sobą za to, że nastraszył jedną kobietę, więc nastraszył drugą. To był dostateczny powód do śmiechu. To Colavaere stała za tym szeregiem młodych kobiet, które rzucały mu się na szyję. Znaleźć dla Lorda Smoka partnerkę do łoża, młodą kobietę, marionetkę, której sznurki ona pociągała i tym samym uwiązać do siebie samego Randa. Ale to nie siebie, lecz inną kobietę zamierzała umieścić w łożu Smoka Odrodzonego, może nawet z nim ożenić. Teraz będzie pociła się przez te wszystkie godziny do Drugiej Parzystej. Musiała wiedzieć, że jest ładna, niemalże. piękna, i skoro on odrzucił wszystkie te młode kobiety, które do niego przysłała, to być może dlatego, że marzył o niej od, powiedzmy, jakichś piętnastu lat. I z pewnością wiedziała, że nie odważy się powiedzieć „nie” człowiekowi, którzy trzymał Cairhien w garści. Do wieczora powinna nabrać rozsądku, położyć kres tym idiotyzmom. Aviendha najprawdopodobniej poderżnęłaby gardło każdej kobiecie., którą znalazłaby w jego łożu; poza tym nie miał czasu na te wszystkie lekkie turkawki, którym się zdawało, że poświęcają się dla Cairhien i Colavaere. Ze zbyt licznymi problemami należało się uporać, a czasu dla odmiany było za mało.

„Światłości, a jeśli Colavaere stwierdzi, że warto się poświęcić?”

Mogła. Dość łatwo odzyskiwała zimną krew.

„No to będę musiał dopilnować, by ta krew była zastygła w niej ze strachu”.

Co nie będzie trudne. Wyczuwał *saidina* niczym coś tuż poza granicą pola widzenia. Czuł jego skazę. Czasami zdawało mu się, że to, co czuje, to skaza w nim samym, osad pozostawiony przez *saidina*.

Zorientował się, że patrzy groźnie na Asmodeana. Zdawał się przyglądać mu badawczo, z twarzą całkiem pozbawioną wyrazu. Ponownie zabrzmiała muzyka, niczym kojące szemranie wody na kamieniach. A więc to tak! Potrzebował ukojenia?

Drzwi otworzyły się bez pukania, do izby weszły razem Moiraine, Egwene i Aviendha, Aielowe odzienie dwu młodszych kobiet podkreślało blade błękity Aes Sedai. Kogoś innego, nawet Rhuarka alba jakiegoś innego wodza nadal przebywającego w okolicy miasta czy kolejną delegację Mądrych, poprzedziłoby wejście zapowiadającej ich przybycie Panny. Tylko te trzy Panny przepuszczały nawet wtedy, gdy brał kąpiel. Egwene zerknęła na „Nataela” i skrzywiła się; melodia nabrała barwy i przez chwilę brzmiała zawile, wręcz tanecznie, po czym przycichła, upodabniając się niejako do westchnień wiatru. Mężczyzna przyoblekł na usta krzywy uśmiech, wzrok skierował na harfę.

— Zaskoczony jestem twoim widokiem, Egwene — rzekł Rand. Przerzucił nogę przez oparcie krzesła. — Cóż to? Od sześciu dni mnie unikasz? Przyniosłaś mi może więcej dobrych wieści? Czy Masema złupił Amador w moim imieniu? A może te Aes Sedai, które, jak twierdzisz, mnie popierają, okazały się Czarnymi Ajah? Zauważ, nie pytam, ani kim są ani gdzie są. Ani nawet, skąd o nich wiesz. Nie proszę, byś wyjawiała mi sekrety Aes Sedai alba sekrety Mądrych, czy czyjekolwiek, do kogo by tam należały. Po prostu ofiaruj mi te okruchy wiedzy, którymi skłonna jesteś się podzielić, i pozwól, że sam będę się zamartwiał, czy to, o czym nie raczysz mi powiedzieć, przyjdzie mnie nocą zasieć.

Spojrzała na niego spokojnie.

— Wiesz to wszystko, co powinieneś wiedzieć. I ja nie powiem ci niczego, czego wiedzieć nie musisz. — To samo oznajmiła mu przed sześcioma dniami. W każdym calu była Aes Sedai, tak sama jak Moiraine, mimo iż jedna nosiła odzienie Aielów, a druga bładoniebieskie jedwabie.

Aviendha natomiast nie była ani w calu spokojna. Podeszła, by stanąć ramię w ramię z Egwene, błyskając zielonymi oczyma, z plecami tak prostymi, jakby były z żelaza. Na poły zdziwił się, że Moiraine nie przyłączyła się do nich, dzięki czemu teraz wszystkie trzy mogłyby piorunować go wzrokiem. Jej obietnica posłuszeństwa pozostawiła, jak się zdawało, zaskakującą ilość przestrzeni, a ponadto zbliżyły się jakby na powrót do siebie od czasu jego kłótni z Egwene. Co wcale nie znaczyło, że była ta kłótnia poważna; trudna się raczej kłócić z kobietą, która cię obserwuje zimnymi oczyma, ani razu nie podnosi głosu i po jednej odmowie

udzielenia odpowiedzi, nie chce nawet przyjąć do wiadomości twojego pytania.

— Czego chcecie? — zapytał.

— Przysłano je dla ciebie niespełna godzinę temu — powiedziała Moiraine, podając mu dwa listy. Jej głos zdawał się dobrze harmonizować z wygrywaną przez Asmodeana melodią, przywodzącą na myśl małe dzwoneczki.

Rand wstał, by z podejrzliwością je odebrać.

— Jeśli one są dla mnie, to jak się znalazły w twoich rękach? — Jeden został zaadresowany na „Randa al’Thora”, równymi, kanciastymi literami, drugi na „Lorda Smoka Odrodzonego”, pismem zdobnym, a jednak nie mniej precyzyjnym. Pieczęcie nie były przełamane. Przy drugim spojrzeniu zamrugął. Obie pieczęcie zdawały się z tego samego, czerwonego wosku i na jednej widniał odcisk Płomienia Tar Valon, na drugiej wieży na tle figury, w której rozpoznał wyspę Tar Valon.

— Może stało się to za sprawą miejsca, z którego je wysłano — odparła Moiraine — a także osób, które je wystosowały.

Nie było to wprawdzie wyjaśnienie, ale tyle tylko mógł uzyskać, chyba że stanowczo zażąda czegoś więcej. A nawet wtedy musiałyby ją nakłaniać przy każdym kolejnym kroku. Dotrzymywała przysięgi, ale na swój sposób.

— W pieczęciach nie ma żadnych zatrutych igieł. Ani też żadnych wplecionych pułapek.

Znieruchomiał z kciukiem ułożonym na Płomieniu Tar Valon — a żadnych igłał albo pułapkach nawet nie pomyślał — po czym przełamał pieczęć. Jeszcze jeden Płomień z czerwonego wosku zastał odcisnięty obok podpisu: „Elaida da Avriny a’Roihan”, złożonym pospiesznymi gryzmołami nad jej tytułami. Resztę napisano kanciastym charakterem pisma.

Nie da się zaprzeczyć, iż to ty jesteś tym, którego zapowiedziały Proroctwa, niemniej jednak wielu będzie usiłowało cię zniszczyć za wszystko inne, czym jesteś. Dla dobra świata nie wolna do tego dopuścić. Dwa narody ugięły już przed tobą kalana, a także dzicy Aielowie, a jednak władza tronów jest niczym pył obok Jedynej Mocy. Biała Wieża udzieli ci schronienia i ochrony przed tymi, którzy nie chcą dostrzec tego, co musi nadejść. Biała Wieża dopilnuje, byś dożył Tarmon Gai’don. Nikt inny nie może tego uczynić. Przybędzie do ciebie eskorta Aes Sedai, która sprowadzi cię do Tar Valon z honorami i szacunkiem, na jakie zasługujesz. Zobowiązuję się do tego pod słowem honoru.

— Ona nawet nie prosi — skwitował kąśliwym tonem. Dobrze pamiętał Elaidę, mimo iż widział ją tylko raz jako kobietę tak twardą, że przy niej Moiraine mogła uchodzić za małego kotka. Te „honory i szacunek”, na jakie zasługiwał.

Gotów był iść o zakład, że liczba Aes Sedai wchodzących w skład tej eskorty będzie wynosiła właśnie trzynaście.

Oddawszy Moiraine list Elaidy, otworzył drugi. Stronicę zapełniła ta sama ręka, która go zaadresowała.

Z całym szacunkiem, pokornie dopraszam się, by mi wolno było przedstawić się Lordowi Smokowi Odrodzonemu, którego Światłość błogosławi jako zbawcę świata.

Cały świat winien patrzeć na ciebie z przestachem, ty bowiem w jeden dzień podbiłeś Cairhien, tak samo jak Łzę. A mimo to strzeż się, zaklinam cię, twój splendor bowiem wywoła zazdrość nawet u tych, którzy nie są skalani przez Ciebie. Nawet tutaj, w Białej Wieży są ślepe, które nie dostrzegają twej prawdziwej świetlistości, która oświeci nas wszystkich. Wiedz jednak, że są też takie, które radują się twym przybyciem i z rozkoszą będą służyły twej chwale. My nie jesteśmy tymi, które skradłyby twój blask dla siebie, lecz raczej z tych, które ukłękną, by skapać się w twej promienności. Ty zbawisz świat, zgodnie z Proroctwami, i świat będzie należał do ciebie.

Z wielkim wstydem muszę prosić cię, byś nikomu nie pokazywał tych słów i zniszczył je zaraz po przeczytaniu. Nie mam twojej ochrony, a otoczona jestem takimi, które uzurpowałyby sobie prawo do twej potęgi i nie umiem orzec, kto w twym otoczeniu jest ci równie wierny jak ja. Mówiono mi, iż jest z tobą Moiraine Damodred. Być może służy ci z oddaniem, posłuszna twym słowom niczym prawu, co i ja będę czyniła. Nie mogę jednak być niczego pewna, pamiętam bowiem ją jako kobietę tajemniczą, żywiącą wielkie upodobanie do knowań, co jest typowe dla wszystkich Cairhienian. Niemniej jednak, nawet jeśli ty uznasz, że jest ona tak samo twoim stworzeniem jak ja, to błagam, zachowaj to tajemne posłanie w sekrecie nawet przed nią.

Moje życie spoczywa
w twoich dłoniach, Lordzie; Smoku Odrodzony, jestem Twoją służką.

Alviarin Freidhen

Przeczytał to raz jeszcze, mrugając, po czym wręczył Moiraine. Ledwie przeleciała stronicę wzrokiem i oddała ją Egwene, która wspólnie z Aviendhą studiowała właśnie drugi list. Może Moiraine wiedziała wcześniej, co oba zawierają?

— Dobrze, że złożyłaś swoją przysięgę — powiedział. — Przez sposób, w jaki kiedyś się zachowywałaś, zatrzymując wszystko dla siebie, mógłbym już nabrać względem ciebie podejrzeń. Dobrze, że jesteś teraz bardziej otwarta. — Nie zareagowała. — Co z tego wszystkiego rozumiesz?

— Ona musiała słyszeć o tej pysze, w jaką się wbiłeś — rzekła cicho Egwene. Nie sądził, by było to przeznaczone dla jego uszu. Kręcąc głową, dodała znacznie głośniej: — To wcale nie przypomina mi Alviarin.

— To jej ręka — odparła Moiraine. — A co ty z tego rozumiesz, Rand?

— W Wieży jest rysa, czy Elaida o tym wie, czy nie. Zakładam, że Aes Sedai nie jest wcale łatwiej napisać kłamstwo niż powiedzieć? — Nie czekał, aż przytaknie. — Gdyby Alviarin wyrażała się mniej kwiecicie, mógłbym pomyśleć, że one współpracują, by mnie wciągnąć w pułapkę. Nawet w połowie tego, co napisała Alviarin, nie dostrzegam sposobu myślenia Elaidy i nie wyobrażam sobie, by godziła się na Opiekunkę zdolną napisać coś takiego wbrew jej wiedzy.

— Nie zrobisz tego — powiedziała Aviendha, mnąc list Elaidy w dłoni. To nie było pytanie.

— Nie jestem głupcem.

— Czasami nie jesteś — odparła zrzędliwym tonem i jeszcze to pogorszyła, gdy uniosła pytająco brew w stronę Egwene, która zastanawiała się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

— Widzisz coś jeszcze? — spytała Moiraine.

— Widzę szpiegów Białej Wieży — odparł sucho. — One wiedzą, że ja zdobyłem miasto. — Przez co najmniej dwa albo trzy dni po bitwie Shaido mieli zatrzymywać wszystko z wyjątkiem gołębi, co udawało się na północ. Nawet jeździec, który wiedział, gdzie może zmienić konie, rzecz niepewna w drodze między Cairhien a Tar Valon, nie dotarłby do Wieży w takim czasie, by te listy mogły tu przybyć dzisiaj.

Moiraine uśmiechnęła się.

— Szybko się uczysz. Poradzisz sobie. — Przez chwilę wyglądała niemalże na rozczuloną. — Co z tym zrobisz?

— Nic, tyle że dopilnuję, by „eskorta” Elaidy nie dotarła do mnie na odległość bliższą niż mila. — Trzyście najstarszych Aes Sedai mogło go pokonać, gdyby się połączyły, a nie sądził, by Elaida wysłała po niego najstarsze. — Tyle, a poza tym zapamiętam, że Wieża wie, co ja zrobię już następnego dnia. I nic ponadto, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Czy Alviarin należy może do twoich tajemniczych przyjaciółek, Egwene?

Zawahała się, a jemu nagle przyszło do głowy, czy ona przypadkiem nie powiedziała Moiraine więcej niż jemu. Czy dochowywała sekretów Aes Sedai czy Mądrych?

— Nie wiem — odparła wreszcie.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i do izby wsunęła płową głowę Somara.

— Matrim Cauthon przybył, *Car'a'carnie*. Powiada, że posłałeś po niego.

Cztery godziny temu, kiedy się dowiedział, że Mat wrócił do miasta. Jaka tym razem będzie wymówka? Czas skończyć z wymówkami.

— Zostańcie — przykazał kobietom. W obecności Mądrych Mat robił się równie niespokojny jak przy Aes Sedai; te trzy wytrąca go na pewno z równowagi. Na moment się nie zastanawiał, czy ma prawo je wykorzystać. Mata też zamierzał wykorzystać. — Każ mu wejść, Somara.

Mat wszedł spacerowym krokiem, uśmiechając się szeroko, jakby to była wspólna izba jakiejś gospody. W rozchełstanym zielonym kaftanie i z połową tasiemek przy koszuli rozsznurowaną, demonstrował medalion ze srebrną głową lisa, wiszący na owłosionej piersi, ale mimo upału szyję miał owiniętą ciemną jedwabną chustą, która kryła bliznę po stryku.

— Przepraszam, że tak długo to trwało. Znaleźli się Cairhienianie, którym się zdawało, że potrafią grać w karty. Czy on nie zna nic żywszego? — zapytał, wskazując głową Asmodeana.

— Doszły mnie słuchy — zaczął Rand — że każdy młody mężczyzna, który potrafi podjąć miecz, chce się przyłączyć do Legionu Czerwonej Ręki. Talmanes i Nalesean muszą ich odganiać całymi stadami. A Daerid podwoił liczbę swej piechoty.

Mat znieruchomiał w trakcie siadania na krzesło, które przedtem zajmował Aracome.

— To prawda. Całkiem sporo młodych... jegomości pragnie stać się bohaterami.

— Legion Czerwonej Ręki — mruknęła Moiraine. — *Shen an Calhar*. Legendarna grupa bohaterów. prawda, aczkolwiek mężczyźni, którzy ją tworzyli, musieli się po wielokroć zmieniać podczas wojny, która trwała dobre trzysta lat. Powiadają, że oni byli ostatnimi, którzy ulegli trollokom, strzegąc samego Aemona, kiedy padło Manetheren. Legenda mówi, że wszędzie tam, gdzie padali, wybijało źródło, by naznaczyć miejsce ich zgonu, ja jednak skłonna jestem uważać, że takie źródło już tam było.

— Ja bym o niczym nie wiedział. — Mat dotknął medalionu i jego głos nabrał siły. — Jakiś dureń wygrzebał gdzieś tę nazwę i wszyscy zaczęli jej używać.

Moiraine spojrzała obojętnie na medalion. Mały, błękitny kamyk na jej czole zdawał się jarzyć pochwyconym światłem, aczkolwiek kąty odbicia tego światła były niewłaściwe. — Jesteś bardzo odważny, jak się zdaje, Mat.

Zostało to powiedziane nieodgadnionym tonem, a cisza, która po tym zapadła, jeszcze to uwypukliła. Matowi aż zeszywniała twarz.

— Bardzo odważny — dodała na koniec — skoro miałbyś poprowadzić *Shen an Calhar* przez Alguenyę i na południe przeciwko Andoranom. A nawet jeszcze odważniejszy, krążą bowiem pogłoski, jakobyś samotnie udał się na zwiady w tamtą stronę; Talmanes i Nalesean musieli jechać co koń wyskoczy, by cię dogonić. — W tle rozległo się głośnie prychnięcie Egwene. — Raczej mało roztropne posunięcie. jak na młodego lorda, który dowodzi swymi ludźmi.

Mat wydał wargę.

— Nie jestem żadnym lordem. Mam do siebie więcej szacunku, by przedstawiać się takim mianem.

— Ale jesteś bardzo odważny — powiedziała Moiraine, jakby w ogóle się nie odezwał. — Andorańskie wozy dostawcze spalone, forpoczty rozbite. I trzy bitwy. Trzy bitwy i trzy zwycięstwa. Z niewielkimi stratami wśród twoich ludzi, nawet jeśli mieli przeciw sobie przewagę liczebną.

Kiedy przejechała palcem po rozdarciu w rękawie jego kaftana, rozsiadł się na krześle, najwygodniej jak mógł.

— Czy to ciebie wciąga wir bitwy, czy to bitwy ciągną do ciebie? Jestem niemalże zdziwiona, że wróciłeś. Z opowieści, gdyby ich słuchać, wynika, że mógłbyś przepędzić Andoran za Erinin, gdybyś został.

— Myślisz, że to śmiesznie? — warknął Mat. — Jeśli chcesz coś powiedzieć, to powiedz to. Możesz udawać kota, jeśli tak ci się podoba, ale ja nie jestem myszą. — Na krótki moment jego oczy pomknęły ku Egwene i Aviendzie, obserwujących całą scenę z założonymi rękoma, po czym znowu obwiodł palcem srebrny łeb lisa. Musiał się pewnie zastanawiać. Medalion sprawił, że przenosząca go kobieta nie potrafiła dotknąć go Mocą. Czy powstrzyma aż trzy?

Rand tylko patrzył. Patrzył, jak zmiękczają mu przyjaciela przed tym, co zamierzał z nim zrobić.

„Czy zostało mi coś jeszcze prócz tego, co konieczne?”

To była nagła myśl, pojawiła się i odeszła. Zrobi, co musi.

Głos Aes Sedai nabrał brzmienia kryształowego szronu, kiedy się odezwała, prawie jak echo jego słów.

— Wszyscy robimy to, co musimy, zgodnie z ustaleniami Wzoru. Dla jednych swobody jest mniej niż dla innych. Nieważne, czy to my wybieramy, czy zostajemy wybrani. Będzie, co musi być.

Mat bynajmniej nie wyglądał na zmiękczonego. Czujnego, owszem, i z pewnością bardzo rozzłoszczonego, ale nie na zmiękczonego. Przypominał kocura zagnanego w kąt przez trzy psy. Kocura, który zamierzał drogo sprzedać swoją skórę. Jakby zapomniał, że w izbie jest jeszcze ktoś prócz niego i trzech kobiet.

— Zawsze musisz zagnać człowieka tam, gdzie chcesz go mieć, prawda? Posłać go tam kopniakiem, jeśli nie da się zawieść za nos. Krew i krwawe popioły! Nie patrz na mnie takim wzrokiem, Egwene, będę mówił, co mi się podoba. A że bym szczeł! Jeszcze tu tylko brakuje Nynaeve, żeby sobie wyszarywała warkocz z głowy i Elayne, która patrzyłaby z góry. No cóż, cieszę się, że tej tu nie ma, bo by się dowiedziała, ale nawet, gdybyście tu miały Nynaeve, to nie dałbym się zagnać...

— Czego by się dowiedziała? — wtrącił ostro Rand. — Czego nie powinna wiedzieć Elayne?

Mat spojrział na Moiraine.

— Czy to ma znaczyć, że jest coś, czego nie wywęszyłaś?

— Co to za wieści? — spytał ostro Rand.

— Morgase nie żyje.

Egwene jęknęła głośno, przycisnąwszy obie dłonie do ust; jej oczy zogniały niczym młyńskie koła. Moiraine wyszeptała coś, co mogło być modlitwą. Palce Asmodeana na moment się nie potknęły na strunach harfy.

Rand miał wrażenie, że wypruto mu żołądek.

„Elayne, przebacz mi”.

I odległe echo, zmienione.

„Ilyeno, przebacz mi”.

— Jesteś pewien?

— Na tyle pewien, na ile mogę być, nie widziawszy ciała. Jak się zdaje, Gaebriel został koronowany na Króla Andoru. I Cairhien także, skoro już o tym mowa. Rzekomo uczyniła to sama Morgase. Że niby czasy wymagają silnej, męskiej ręki czy coś takiego, jakby kto mógł mieć silniejszą rękę od samej Morgase. Tyle, że ci Andoranie z południa słyszeli pogłoski, jakoby nie widziano jej od tygodni. Więcej niż pogłoski. Sami powiedzcie, o czym to świadczy. Andor nigdy dotąd nie miał króla, a teraz ma, i królowa zniknęła. Gaebriel to ten, który chciał, żeby zabić Elayne. Próbowałem jej o tym powiedzieć, ale wiecie dobrze, że ona zawsze wie lepiej niżli farmer ze stopami ubabranymi w błocie. Moim zdaniem, on by się nie zaważał nawet sekundy przed poderżnięciem gardła królowej.

Rand zorientował się, że siedzi na jednym z krzeseł naprzeciwko Mata, choć wcale nie pamiętał, żeby się ruszał z miejsca. Aviendha położyła dłoń na jego ramieniu. Troska zmarszczyła jej czoło.

— Nic mi nie jest — powiedział szorstko. — Nie trzeba posyłać po Somarę. — Twarz jej poczerwieniała, ale on ledwie to zauważył.

Elayne nigdy mu nie wybaczy. Wiedział, że Rahvin — Gaebriel — trzyma Morgase w niewoli, ale ignorował to. Przekłęci bowiem mogli się spodziewać, że on jej przyjdzie z pomocą. Powędrował własną drogą, robił to, czego się nie spodziewali. A na koniec ścigał Couladina, zamiast robić to, co zaplanował. Wiedział, a skupił całą uwagę na Sammaelu. Bo ten człowiek go judził. Morgase mogła czekać, aż on zmiecie Sammaelową pułapkę i Sammaela wraz z nią. I przez to Morgase nie żyła. Matka Elayne nie żyła. Elayne będzie go za to przeklinać aż do śmierci.

— Powiem ci jedno — ciągnął Mat. — Jest tu siła ludzi królowej. Nie są tacy pewni, czy chcą się bić za jakiegoś króla. Znajdź Elayne. Połowa z nich zleci się do ciebie, żeby usadzić ją na...

— Zamknij się! — warknął Rand. Trząśnięcie z furii tak mocno, że aż Egwene cofnęła się i nawet Moiraine uważnie zmierzyła go wzrokiem. Dłoń Aviendhy zacisnęła się na jego ramieniu, ale on strząsnął ją, kiedy wstawał. Morgase nie żyła, bo on nic nie zrobił. Jego ręka tak samo dzierżyła ten nóż jak ręka Rahvina. Elayne.

— Ona zostanie pomszczona. Rahvin, Mat. Nie Gaebriel. Rahvin. Dobiorę mu się do skóry, choćbym już nigdy nie miał zrobić nic innego!

— Och, krew i krwawe popioły! — jęknął Mat.

— To obłąd. — Egwene wzdrygnęła się, jakby do niej dotarło, co powiedziała, ale zachowała ten sam stanowczy, spokojny głos. — Ciągle jeszcze masz ręce pełne Shaido, nie wspominając nawet Shaido na północy i tego wszystkiego, co zaplanowałaś w Łzie. Masz zamiar wszcząć kolejną wojnę, mimo że na talerzu masz już dwie inne i zniszczony kraj na dokładkę?

— To nie wojna. To ja. Mogę się znaleźć w Cairhien w ciągu godziny. Rajd... racja, Mat? ...raid, nie wojna. Wydrę Rahvinowi serce. — Jego głos brzmiał jak młot. Miał wrażenie, że żyłami popłynął kwas. — Mógłbym wręcz żałować, że nie mam trzynastu siostr Elaidy, bo bym je zabrał z sobą, żeby go utemperować i doprowadzić w ręce sprawiedliwości. Osądzić i skazać za morderstwo. To byłaby sprawiedliwość. Ale on będzie musiał zwyczajnie umrzeć, nieważne jakim sposobem go zabiję.

— Jutro — rzekła cicho Moiraine.

Rand spiorunował ją wzrokiem. Ale ona miała rację. Jutro będzie lepiej. Noc ostudzi wściekłość. Musiał być chłodny, kiedy zmierzy się z Rahvinem. Teraz miał ochotę objąć *saidina* i młócić nim wokół, niszcząc wszystko. Muzyka Asmodeana znowu się zmieniła w melodię, którą uliczni muzykanci w tym mieście wygrywali podczas wojny domowej. Nadał się ją czasami słyszało, kiedy przejeżdżał jakiś arystokrata. *Głupiec, który uważał się za króla.*

— Wynoś się, Natael. Wynoś się!

Asmodean powstał zwinnie, z ukłonem, aczkolwiek z twarzą, która przywodziła na myśl śnieg, i przeszedł przez izbę szybko, jakby niepewien, co może przynieść następna sekunda. Zawsze sobie pozwalał na zbyt wiele, ale tym razem posunął się za daleko. Kiedy otwierał już drzwi, Rand odezwał się ponownie.

— Zobaczą się z tobą wieczorem. Albo zobaczą cię martwego.

Ukłon Asmodeana nie był tym razem pełen gracji.

— Jak Lord Smok rozkaże — odparł ochryple i pospiesznie zatrzasnął za sobą drzwi.

Trzy kobiety patrzyły na Randa z nieodgadzionymi minami, nawet nie mrużąc.

— Niech pozostali też stąd odejdą. — Mat skoczył ku drzwiom. — Nie ty. Tobie mam jeszcze kilka rzeczy do powiedzenia.

Mat zatrzymał się jak wryty, głośno wzdychając i majstrując nerwowo przy medalionie. Był jedyną osobą, która się poruszyła.

— Nie masz trzynastu Aes Sedai — powiedziała Aviendha — ale masz dwie. I mnie również. Może nie wiem tyle, co Moiraine Sedai, ale jestem równie silna jak Egwene i taniec nie jest mi obcy. — Miała na myśli taniec włóczy, czyli to, czym dla Aielów była bitwa.

— Rahvin jest mój — powiedział jej cicho. Może Elayne będzie skłonna mu wybaczyć choć odrobinę, jeśli przynajmniej pomści jej matkę. Może nie, ale wówczas może sam sobie wybaczy. Odrobinę choć. Przymusił dłonie, by zwiślały w miarę swobodnie po bokach, by nie zaciskać ich w pięści.

— Czy wyrysujesz na ziemi linię, przez którą ma przestąpić? — spytała Egwene. — Walczył do pierwszej krwi? Czy nie pomyślałeś, że Rahvin może nie być sam, skoro mieni się teraz Królem Andoru? Dużo z tego dobrego, jeśli ty się tam pojawisz i jeden z jego gwardzistów przeszyje ci serce strzałą.

Pamiętał jeszcze, jak kiedyś życzył sobie, by przestała na niego pokrzykiwać. Okazało się ostatecznie, że tak jest o wiele łatwiej.

— Myślałaś, że zamierzam pójść sam? — Zamierzał; przez moment nie pomyślał, by ktoś mógł strzec jego pleców, aczkolwiek teraz słyszał cichy szept: „On lubi atakować od tyłu albo od flank”. Prawie nie potrafił myśleć jasno. Gniew zdawał się wieść odrębny żywot, wzniecając ogniska, przy których stale się podsycał. — Ale nie z wami. To niebezpieczne. Moiraine może, jeśli sobie tego życzy.

Egwene i Aviendha nie popatrzyły wzajem na siebie, nim zrobiły krok do przodu, za to ruszyły jednocześnie, nie zatrzymując się, dopóki nie były tak blisko, że nawet Aviendha musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w twarz.

— Moiraine może, jeśli sobie życzy — powtórzyła Egwene.

O ile jej głos brzmiał niczym gładki lód, to głos Aviendhy miał barwę stopionego kamienia.

— Ale to dla nas zbyt niebezpieczne.

— Czy ty się stałeś moim ojcem? Czy ty się nazywasz Bran al’Vere?

— Jak masz trzy włócznie, to odkładasz dwie na bok, bo są nowsze?

— Nie chcę narażać was na ryzyko — odparł sztywno.

Egwene wygięła brwi w łuk.

— Ach tak? — I to było wszystko.

— Ja nie jestem dla ciebie *gai’shain*. — Aviendha obnażyła zęby. — Nigdy nie będziesz decydował za mnie, na jakie ryzyko mam się poważyć, Randzie al’Thor. Nigdy. Dowiedz się o tym już teraz.

Mógł... Co? Opakować je w *saidina* i tak zostawić? Nadal nie potrafił odgrażać ich tarczą. Więc równie dobrze mogły złapać go w zamian we własne sidła. Niezły bałagan, a wszystko dlatego, że zdecydowały się na upór.

— O gwardzistach pomyślałeś — powiedziała Moiraine — a co, jeśli z Rahvinem jest Semirhage albo Graendal? Albo Lanfear? Tych dwoje można pokonać z osobna, ale czy w pojedynkę dałbyś radę stawić czoło jej i Rahvinowi razem?

W jej głosie coś zadrżało, kiedy wymówiła imię Lanfear. Czy ona się bała, że Lanfear tu jest, że on mógłby się ostatecznie z nią sprzymierzyć? Co by zrobił, gdyby Przekłeta znajdowała się gdzieś blisko? Co mógłby zrobić?

— Mogą pójść — rzekł przez zaciśnięte zęby. — Zechciecie teraz odejść?

— Jak rozkażesz — odparła Moiraine, ale nie było im do tego spieszno. Aviendha i Egwene zajęły się ostentacyjnym poprawianiem szali, nim ruszyły w stronę drzwi. Lordowie i lady mogli podrywać się do biegu pod wpływem jego słów, one nigdy.

— Nie próbowałaś mnie od tego odwieść — powiedział nagle.

Przeznaczył to dla Moiraine, ale pierwsza odezwała się Egwene, uśmiechając się do Aviendhy i do niej kierując słowa:

— Powstrzymanie mężczyzny od tego, co postanowił zrobić, przypomina odbieranie dziecku łakoci. Bywa, że musisz to zrobić i bywa też, że nie warto zwracać sobie tym głowy.

Aviendha przytaknęła.

— Koło obraca się, jak chce — brzmiała odpowiedź Moiraine. Stała w drzwiach, najpełniejsze uosobienie wszystkich cech Aes Sedai, jakie kiedykolwiek u niej dojrzał, nie zdradzająca żadnych znamion upływu lat, z ciemnymi oczyma, które zdawały się gotowe połknąć go, drobna i szczupła, a przy tym tak królewska, że równie dobrze mogła wydawać rozkazy izbie pełnej królowych, nawet gdyby nie potrafiła przenieść bodaj iskierki. Błękitny kamyczek na czole znowu chwycił światło. — Poradzisz sobie, Rand.

Wpatrywał się w drzwi jeszcze długo po tym, jak zamknęły się za nimi.

Szuranie butów przypomniało mu o obecności Mata. Mat usiłował zakraść się do drzwi, poruszając się powoli, żeby go nie zauważono.

— Muszę z tobą pogadać, Mat.

Mat skrzywił się. Dotknąwszy lisiej głowy niczym talizmanu, obrócił się na pięcie i spojrzał Randowi w twarz.

— Jeżeli myślisz, że ja położę głowę na pieńku katowskim tylko dlatego, że uczyniły to te głupie kobiety, to już teraz możesz zapomnieć o tym pomysle. Nie jestem żadnym przeklętym bohaterem i nie chcę nim być. Morgase była piękną kobietą... nawet ją lubiłem, na tyle, na ile da się lubić królową... ale Rahvin to Rahvin, żebyś szczeł, a ja...

— Zamknij się i posłuchaj. Musisz przestać uciekać.

— A żebyś szczeł, jeśli przestanę! To nie jest gra, którą sam wybrałem i nie...

— Powiedziałem, zamknij się! — Rand wbił twardym palcem medalion w pierś Mata. — Ja wiem, skąd ty to masz. Byłem tam, pamiętasz? To ja przeciąłem sznur, na którym zawisałeś. Nie wiem dokładnie, co ci wpakowano do głowy, ale cokolwiek to jest, ja tego potrzebuję. Wodzowie klanów wiedzą, co to wojna, ale z jakichś powodów ty też to wiesz, a wręcz nawet i lepiej. Ja tej wiedzy potrzebuję! Oto więc, co zrobisz, ty i Legion Czerwonej Ręki...

— Bądźcie jutro ostrożne — przestrzegła Moiraine.

Egwene zatrzymała się obok drzwi do swej izby.

— To oczywiste, że będziemy ostrożne. — Żołądek zaczynał jej fikać koziółki, ale mówiła pewnym głosem. — Wiemy, jak niebezpieczne będzie starcie z jednym z Przeklętych.

Sądząc z wyrazu twarzy Aviendhy, mogły dyskutować o tym, co będzie na kolację. Ale dla odmiany ta nigdy niczego się nie bała.

— I pamiętajcie o tym teraz — mruknęła Moiraine. — Ale bądźcie ostrożne zawsze. czy wam się zdaje, że jeden z Przeklętych jest blisko, czy nie. Rand będzie was obie potrzebował w nadchodzących dniach. Panujecie nad jego usposobieniem. . . aczkolwiek muszę stwierdzić, że posługujecie się niezwykle metodami. Będzie potrzebował ludzi, którzy nie dadzą się odegnąć albo zastraszyć jego napadami wściekłości, takich, którzy będą mu mówić, co powinien usłyszeć, a nie to, co ich zdaniem on chce wiedzieć.

— Przecież robisz to, Moiraine — powiedziała jej Egwene.

— Ma się rozumieć. Ale on potrzebuje również was. Wyśpijcie się. Jutrzejszy dzień będzie. . . trudny dla nas wszystkich. — Oddaliła się posuwistym krokiem w głąb korytarza, prze chodząc od jednej plamy mroku przez kałużę światła lampy do kolejnego skupiska ciemności. Noc już wdzierała się do tych cienistych komnat, a zapasy oliwy były niewielkie.

— Czy zostaniesz ze mną trochę, Aviendho? — spytała Egwene. — Bardziej mam ochotę pogadać, niż jeść.

— Muszę powiedzieć Amys, co obiecałam jutro zrobić. I muszę znaleźć się w sypialni Randa al'Thora, zanim on się tam zjawi.

— Elayne nie będzie mogła się nigdy poskarżyć, że nie pilnowałaś dla niej Randa. Czyś ty naprawdę powlokła lady Berewin za włosy przez korytarz?

Policzki Aviendhy okryły się bladym rumieńcem.

— Czy sądzisz, że te Aes Sedai w. . . Salidarze. . . pomogą mu ?

— Strzeż tej nazwy, Aviendho. Randowi żadną miarą nie wolno ich znaleźć nie przygotowanych.

Przez wzgląd na stan, w jakim się aktualnie znajdował, najprawdopodobniej zamiast mu pomóc, poskromiłyby go albo przynajmniej przysłały swoich trzynastie sióstr. Musiałyby stanąć między nimi w *Tel'aran'rhiod*, ona, Nynaeve i Elayne, z nadzieją, że te Aes Sedai zaangażowały się w sprawę zbyt głęboko, by wycofać się, zanim odkryją, jak blisko przepaści on się znalazł.

— Będę jej strzegła. Wyśpij się. I najedz się do syta. Rankiem nic nie jedz. Źle się tańczy włącznie z pełnym żołądkiem.

Egwene odprowadziła ją wzrokiem i dopiero wtedy przycisnęła dłonie do brzucha. Nie sądziła, że zje cokolwiek tego wieczora albo nazajutrz. Rahvin. I może Lanfear albo któreś z pozostałych. Nynaeve zmierzyła się z Moghedien i wygrała. Ale Nynaeve była silniejsza od niej i od Aviendhy, kiedy mogła przenosić. Może też nikogo tam nie być. Rand twierdził, że Przekłęci nie ufają sobie wzajem. Niemalże wolałyby, żeby się mylił, albo przynajmniej nie był taki pewny. To

było przerażające, kiedy zdawało jej się, że widzi innego mężczyznę wyzierającego z jego oczu oraz kiedy słyszała padające z jego ust słowa innego mężczyzny. Tak nie powinno być; każdy się odradzał na nowo wraz z przeznaczonym obrotem Koła. Ale Smok Odrodzony to nie każdy. Moiraine nie chciała o tym rozmawiać. Co by Rand zrobił, gdyby Lanfear tu była? Lanfear kochała Lewsa Therina Telamona, ale co Smok do niej czuł? Do jakiego stopnia Rand był wciąż jeszcze Randem?

— Tym sposobem jeszcze dorobisz się gorączki — powiedziała sobie stanowczo. — Nie jesteś dzieckiem. Zachowuj się jak kobieta.

Kiedy służąca przyniosła jej wieczną złożoną z groszku, ziemniaków i świeżo upieczonego chleba, zmusiła się, by to wszystko zjeść. Smakowało popiołem.

Mat przemaszerował przez ciemno oświetlone korytarze pałacu i z rozmachem otworzył drzwi wiodące do komnat przydzielonych młodemu bohaterowi bitwy stoczonej z Shaido. To wcale nie znaczyło, by spędzał tu dużo czasu; właściwie wcale. Słudzy zapalili dwie stojące lampy. Bohater! Nie jest żadnym bohaterem! Co taki bohater dostaje? Aes Sedai pogłaszcze cię najpierw po głowie i dopiero wtedy pośle niczym psa, byś wszystko powtórzył. Arystokratka wkradnie się w twoje łaski pocałunkiem albo położy kwiat na twym grobie. Krążył tam i z powrotem po przedsionku, tym razem nie szacując wartości kwiecistego illiańskiego dywanu albo krzesel, komód i stołów pozłacanych i inkrustowanych kością słoniową.

Burzliwe spotkanie z Randem przeciągnęło się aż do zachodu słońca. Mat się wykręcał, odmawiał, natomiast Rand dążył do celu równie wytrwale niczym Hawking po pogromie na Przełęczu Cole. I co miał zrobić? Gdyby znowu wyjechał, Talmanes i Nalesean z pewnością ścigaliby go z taką liczbą ludzi, ilu tylko zdołaliby posadzić na siodło, przekonani, że on znajdzie im kolejną bitwę. I prawdopodobnie znalazłby ją; to w tym wszystkim było najbardziej przygnębiające. Choć za nic nie chciał tego przyznać, Aes Sedai miała rację. Ciągnęło go do bitwy albo bitwę ciągnęło do niego. Nikt po tej stronie Alguenyi nie starał się bardziej jej unikać. Nawet Talmanes tak to skomentował. Dopóki następnym razem jego ostrożne odczołgiwanie się z dala od jednej grupy Andoran nie zawiodło ich do miejsca, gdzie nie było innego wyboru, tylko walczyć z drugą. I za każdym razem czuł kości toczące się w jego głowie, niczym ostrzeżenie, że walka toczy się tuż za następnym wzgórzem, właśnie teraz.

Zawsze czekał albo mógł czekać jakiś statek w porcie, obok barek z ziarnem. Trudno znaleźć się w samym środku bitwy na statku, na rzece. Z tym wyjątkiem, że połowę albo i więcej brzegu Alguenyi poniżej miasta opanowali Andoranie. Sądząc po sposobie, w jaki dopisywało mu szczęście, statek zaryłby w ziemię zachodniego brzegu, w miejscu, gdzie obozuje połowa andorańskiej armii.

Czyli pozostawało zrobić to, czego chciał Rand. Sam to zresztą rozumiał.

— Dzień dobry, Wysoki Lordzie Weiramonie i wszyscy pozostali Wysocy Lordowie i Lady. Jestem hazardzistą, chłopcem z farmy, mam przejąć dowodzenie nad waszą przeklętą armią! Cholerny Lord Smok Odrodzony przyłączy się do nas, jak tylko się upora ze swym przeklętym, niewielkim strapieniem.

Porwawszy włócznie z czarnym drzewcem z kąta, cisnął ją przez całą długość izby. Przeszyła jeden z gobelinów — przedstawiający scenę myśliwską — i uderzyła w kamienną ścianę z głośnym szczękiem, po czym zsunęła się na posadzkę, równo przepołowiwszy polujących. Zaklął i pospieszył ją podnieść. Dwustopowe ostrze miecza nie wyszczerbiło się ani nie wygięło. To oczywiste, że nie. Dzieło Aes Sedai.

Przejechał palcem po krukach wytrawionych w ostrzu.

— Czy ja się kiedykolwiek uwolnię od dzieł Aes Sedai?

— Co to było? — spytała od drzwi Melindhra.

Mierzył ją wzrokiem, kiedy stawiał włócznie pod ścianą, ale to nie o tych włosach utkanych przez słońce, nie o tych czysto błękitnych oczach albo mocnym ciele myślał tym razem. Zdawało się, że każdy Aiel musiał się przejść, prędzej czy później, nad rzekę, by milcząco zapatrzeć się w płynącą wodę, ale Melindhra chadzała tam co dnia, właśnie stamtąd wróciła.

— Czy Kadere znalazł już statki? Kadere nie uda się do Tar Valon na barkach ze zbożem.

— Wozy handlarza ciągle jeszcze tam są. Nie wiem nic o... statkach. — Niezdarnie wymówiła obce jej słowo. — Czemu chcesz wiedzieć?

— Wyjeżdżam na trochę. Z polecenia Randa — dodał pospiesznie. Jej twarz zastygła natychmiast. — Zabrałbym cię z sobą, gdybym mógł, ale ty zapewne nie zechciałabyś opuścić Panien.

Statek czy własny koń? I dokąd? Oto pytanie. Szybkim statkiem dotarłby do Tar Valon szybciej niż na Oczku. Czy będzie tak głupi, by dokonać takiego wyboru, jeśli miał w ogóle wybór.

Melindhra na moment zacisnęła usta. Ku jego zdziwieniu nie chodziło wcale o to, że ją zostawiał.

— A więc wślizgujesz się znowu w cień Randa al'Thora. Zdobyłeś moc honoru na własną rękę, zarówno pośród Aielów jak i mieszkańców mokradeł. To twój honor, nie honor odbity od *Car'a'carna*.

— On może sobie zatrzymać swój honor i zabrać go do Caemlyn albo Szczeliny Zagłady, jeśli o mnie idzie. Nic się nie martw. Znajdę mnóstwo honoru. Napiszę ci o tym. Z Łzy. — Łza? Nigdy nie ucieknie od Randa ani Aes Sedai, jeśli dokona takiego wyboru.

— Czy on się wybiera do Caemlyn?

Mat opanował grymas. Miał nikomu o niczym nie mówić. Niezależnie od tego, co postanowi zrobić z resztą spraw, tu mógł dotrzymać obietnicy.

— To tylko nazwa, którą na chybił trafił wyciągnąłem z kieszeni. Pewnie przez tych Andoran na południu, jak mi się zdaje. Ja nie wiedziałbym, dokąd on. . .

Nie otrzymał ostrzeżenia. W jednej chwili stanęła obok niego, w następnej jej stopa trafiła w jego brzuch, odbierając dech i zginając w pół. Z wytrzeszczonymi oczyma zmuszał się, by ustać, wyprostować się i pomyśleć. Dlaczego? Okręciła się na pięcie w tył niczym tancerka, a on zachwiał się, gdy druga stopa wylądowała na jego skroni. Nie zatrzymawszy się, podskoczyła, wyrzucając nogę; cios miękkiego podbicia dzielił go z całej siły w twarz.

Kiedy odzyskał wzrok w stopniu dostatecznym, by coś widzieć, leżał na plecach, połowę długości izby od niej. Czuł krew na twarzy. Głowę miał jakby wypełnioną wełną, a izba zdawała się kołysać. Wtedy właśnie zobaczył, jak wyciąga nóż z pochwy, cienkie ostrze niewiele dłuższe od jej głowy, połyskujące w świetle lampy. Jednym szybkim ruchem omotała głowę *shoufa*, podnosząc czarną zasłonę na twarz.

Zamroczony poruszał się instynktownie, nie myśląc. Z rękawa wyłoniło się ostrze, opuściło jego dłoń, wolno, jakby dryfowało w galarecie. Dopiero wtedy uświadomił sobie, co zrobił i desperacko pochylił się do przodu, jakby chciał za-trzymać je w locie.

Rękojeść wykwitła między jej piersiami. Padła bezwładnie na kolana, po czym runęła w tył.

Mat podźwignął się z posadzki, stając chwiejnie na czworakach. Nie ustałby, choćby od tego zależało jego życie, ale podczołgał się do niej, mamrocząc jak oszalały.

— Dlaczego? Dlaczego?

Zerwał zasłonę z jej twarzy i czyste, niebieskie oczy skupiły się na nim. Uśmiechała się nawet. Nie patrzył na rękojeść swojego noża. Dokładnie wiedział, w którym miejscu znajduje się serce.

— Dlaczego, Melinhra?

— Zawsze lubiłam twoje piękne oczy — wydyszała tak cicho, że musiał się wyteńczyć, by usłyszeć.

— Dlaczego?

— Niektóre przysięgi są ważniejsze od innych, Macie Cauthon. — Nóż z cienkim ostrzem szybko uniósł się w górę, wiedziony resztą siły, jaka w niej jeszcze została; czubek wbił się w głowę lisa dyndającą na jego piersi. Srebrny medalion nie powinien był powstrzymać ostrza. jednak kąt uderzenia był niewłaściwy i za sprawą jakiejś ukrytej wady stali ostrze rozpołowiło się dokładnie przy rękojeści, kiedy chwycił ją za rękę. — Masz szczęście samego Wielkiego Władcy.

— Dlaczego? — spytał. — A żebyś szeszła, dlaczego?

Wiedział, że odpowiedzi już nie pozna. Usta pozostały otwarte, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale oczy zaczynały już zachodzić szklistą powłoką.

Zaczął zaciągać zasłonę z powrotem, chcąc zakryć tę twarz i wytrzeszczone oczy, po czym odjął rękę. Zabijał już mężczyzn i trolloki, ale nigdy dotąd kobiety. Nigdy żadnej kobiety, aż do teraz. Kobiety były zadowolone, kiedy wkraczał w ich życie. To nie były przechwałki. Kobiety uśmiechały się do niego; nawet kiedy je zostawiał, uśmiechały się, jakby chciały go powitać z powrotem. Tego, tak naprawdę, chciał od kobiet; uśmiechu, tańca, pocałunku i bycia wspomnianym z czułością.

Dotarło do niego, że bredzi w myślach. Wyszarpnął pozbawioną ostrza rękojeść z dłoni Melindhry — wykonano ją z oprawionego w złoto jadeitu, inkrustowanego złotymi pszczołami — i cisnął ją do marmurowego kominka z nadzieją, że się roztrzaska. Miał ochotę płakać, wyć.

„Ja nie zabijam kobiet! Ja je całuję, ja nie...!”

Musiał pomyśleć jasno. Dlaczego? Nie dlatego, że wyjeżdżał, to pewne. Na to prawie nie zareagowała. Poza tym ona uważała, że udaje się w pogoń za honorem; to zawsze pochwałała. Coś, co powiedziała, nie dawało mu spokoju, potem wróciło i przeniknęło go dreszcz. Szczęście Wielkiego Władcy. Słyszał to już wiele razy, rozmaicie formułowane Szczęście Czarne.

— Sprzymierzeniec Ciemności... .

Pytanie czy pewność? Żałował, że pod wpływem tej myśli wcale nie zrobiło mu się lżej. Jej twarz miał nosić w pamięci aż po sam grób.

Łza. Powiedział jej tylko, że wybiera się do Łzy. Sztylet. Złote pszczoły osadzone w jadeicie. Nawet nie patrząc, poszedłby o zakład, że jest ich dziewięć. Dziewięć złotych pszczoł na zielonym tle. Godło Illian. Tam gdzie władał Sammael. Czyżby Sammael bał się go? Skąd w ogóle Sammael mógł wiedzieć? Minęło zaledwie kilka godzin, odkąd Rand poprosił Mata — rozkazał mu — i sam nie był pewien, co ostatecznie zrobi. Może Sammael nie chciał ryzykować. Racja. Jeden z Przeklętych, w strachu przed hazardzistą, nieważne, że z głową napchaną wiedzą o bitwach, będącą własnością innych ludzi. To było niedorzeczne.

Wszystko na to wskazywało. Mógł starać się przekonać siebie, że Melindhra nie była Sprzymierzeńcem Ciemności, że postanowiła go zabić dla kaprysu, że nie istniał związek między jadeitową rękojeścią inkrustowaną złotymi pszczołami a jego wyjazdem do Łzy, gdzie miał stanąć na czele armii udającej się na Illian. Mógłby uwierzyć, gdyby był dumny jak byk albo gęś. Lepiej grzeszyć ostrożnością, co sam zawsze zwykł powtarzać. Jeden z Przeklętych go przyuważył. Z pewnością teraz już nie stał w cieniu Randa.

Siedział wsparty plecami o drzwi, wpatrzony w twarz Melindhry, starając się coś postanowić. Kiedy zapukała służąca, która mu przyniosła kolację, zawołał, że ma odejść. Jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Co on miał teraz zrobić? Żeby przynajmniej nie widział tych kości toczących się w jego głowie.

WYBORY

Rand odłożył brzytwę i stał z twarzy ostatnie plamki piany, a potem zabrał się do tasiemek przy koszuli. Promienie słońca wczesnego poranka wsączały się pod kanciastymi łukami, wychodzącymi na balkon przy jego sypialni; wisiały na nich wprawdzie ciężkie, zimowe zasłony, ale podwiązano je sznurkami, by wpuszczały świeże powietrze. Godnie będzie wyglądał, jak już zabije Rahvina. Ta myśl uwolniła bańkę wściekłości, która urodziła się w brzuchu i popełzła ku gardłu. Zdusił ją. Będzie wyglądał godnie i będzie spokojny. Zimny. Żadnych błędów.

Kiedy odwrócił się od lustra w złoczonej ramie, Aviendha siedziała na zrolowanym sienniku pod ścianą, na której wisiał obraz przedstawiający nieprawdopodobnie wysokie, złote wieże. zaproponował, że każe wstawić do izby drugie łóżko, ale ona stwierdziła, że materace są zbyt miękkie, by dało się na nich spać. Obserwowała go z napięciem, zapomniawszy o bieliźnie, którą trzymała w ręku. Przy goleniu bardzo się starał nie oglądać, żeby dać jej czas na ubranie się, a jednak jeszcze nie włożyła nic prócz białych pończoch.

— Nie naraziłabym cię na wstyd przy innych — powiedziała nagle.

— Mnie na wstyd? O czym ty mówisz?

Powstała jednym, gładkim ruchem, zadziwiająco biała w miejscach, gdzie nie tknęło jej słońce, szczupła, umięśniona, a mimo to pełna tych kragłości i miękkości, które uparcie nawiedzały jego sny. Pierwszy raz dopiero pozwolił sobie spojrzeć na nią otwarcie, gdy tak przed nim paradowała, czego ona jakby nie zauważała. Wielkie, niebiesko-zielone oczy utkwiła w jego twarzy.

— Ja nie prosiłam Sulin, by zabrała Enailę, Somarę albo Lamelle tamtego pierwszego dnia. Nie prosiłam ich też, żeby cię obserwowały albo cokolwiek zrobiły, gdy się zachwiejesz. To był całkowicie ich pomysł.

— Ty mi tylko dałaś do zrozumienia, że wyniosą mnie niczym niemowlę, jeśli się zachwieję. Wielka mi różnica.

Puściła ten kąśliwy ton mimo uszu.

— Dzięki temu uważałeś, kiedy musiałeś.

— Ach, już rozumiem — odparł sucho. — No cóż, dziękuję ci w każdym razie za obietnicę nie zawstydzania mnie.

Uśmiechnęła się.

— Tego nie powiedziałam, Randzie al'Thor. Powiedziałam: nie w obecności innych ludzi. Jeśli domagasz się tego, to w imię twojego dobra. . . — Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Masz zamiar iść tak ubrana? — Ogarnął ją od stóp do głów zirytowanym gestem.

Nigdy dotąd nie zdradziła cienia zażenowania, kiedy stawała przed nim naga — daleka była od tego — ale tym razem zerknęła po sobie i twarz jej poczerwieniała. Nagle otoczyła ją zamieć ciemnobrązowej wełny i bieli *algode*; wskakiwała w swe odzienie tak szybko, że mogło mu się wydać, jakoby przeniosła je na siebie Mocą.

— Zorganizowałeś już wszystko? — padło z samego środka tego kłębowiska. — Rozmawiałeś z Mądrymi? Późno przyszedłeś ubiegłej nocy. Kto jeszcze idzie z nami? Ilu możesz zabrać? Żadnych mieszkańców mokradeł, mam nadzieję. Im ufać nie możesz. A zwłaszcza zabójcom drzew. Czy naprawdę możesz nas przenieść do Caemlyn w godzinę? Czy to przypomina to, co ja zrobiłam tamtej nocy. . . ? Chciałam spytać, jak ty to zrobisz? Ja sama niechętnie ufam czemuś, czego nie znam i nie rozumiem.

— Wszystko załatwione, Aviendha.

Czemu ona tak trajkocze? I czemu unika jego wzroku? Spotkał się z Rhuarikiem i tymi wodzami, którzy nadal przebywali w okolicy miasta; jego plan specjalnie im się nie spodobał, ale patrzyli na to zgodnie z nakazami *ji'e'toh* i żaden nie stwierdził, że ma inny wybór. Krótko wszystko omówili, wyrazili zgodę i natychmiast skierowali rozmowę na inne tematy, które nie miały nic wspólnego z Przekłętymi, z Illian ani w ogóle z bitwą. Kobiety, polowanie czy cairhieniańska brandy da się porównać z *oosquai* albo tytoń z mokradeł z tym, który rósł w Pustkowiu. Przez godzinę niemalże nie pamiętał o tym, co ich czeka. Miał nadzieję, że Proroctwo Rhuidean w jakiś sposób jest nieprawdziwe, że on jednak nie zniszczy tego narodu. Przyszły do niego Mądre, delegacja złożona z ponad pięćdziesięciu, zaalarmowane przez samą Aviendhę i kierowane przez Amys, Melaine i Bair, a może przez Sorileę; w przypadku Mądrych niekiedy trudno było stwierdzić, która przewodzi. Nie przyszły, żeby go od czegoś odwieść — znowu *ji'e'toh* — tylko żeby się upewnić, że jego zobowiązanie wobec Elayne nie przeważy nad tym, które miał wobec Aielów i tak długo trzymały go w izbie obrad, aż wreszcie były zadowolone. Miał do wyboru albo to, albo kazać je przemocą usunąć z drogi, by móc podejść do drzwi. Te kobiety, jak już czegoś chciały, potrafiły ignorować okrzyki równie skutecznie, jak obecnymi czasy Egwene.

— Okaże się, ilu mogę zabrać dopiero wtedy, gdy spróbuję. Samych Aielów.

Jeżeli szczęście dopisze, to Meilan, Maringil i reszta dowiedzą się, że on zniknął dopiero po fakcie. Skoro Wieża miała swoich szpiegów w Cairhien, i być może mieli ich również Przekłęci, to jak mógł uwierzyć, że sekretów dochowają ludzie, którzy nie umieli nawet oglądać zwyczajnie wschodu słońca, tylko od razu starali

się wykorzystać ten fakt w *Daes Dae'mar*?

Zanim narzucił na siebie czerwony kaftan haftowany złotem, z przedniej węłny wybitnie nadającej się do królewskiego pałacu, czy to w Caemlyn, czy to w Cairhien — ta myśl rozbawiła go, w dość ponury sposób — Aviendha była prawie ubrana. Nie mógł się nadziwić, jak ona to robi, że potrafi wbić się w swoje odzienie tak szybko i że wszystko trafia na swoje miejsce.

— Wczoraj wieczorem, kiedy cię nie było, przyszła tu jakaś kobieta.

Światłości! Całkiem zapomniał o Colavaere.

— I co zrobiłaś?

Znieruchomiła w trakcie zawiązywania tasiemek przy bluzce, z oczyma, które zdawały się wiercić mu w głowie dziurę; przemówiła bezceremonialnym tonem.

— Odprowadziłam ją z powrotem do jej komnat, gdzie sobie trochę porozmawiałyśmy. Już nigdy żadna rozpustna zabójczyni drzew nie będzie drapała w płótno twojego namiotu, Randzie al'Thor.

— Jeszcze mi tylko tego brakowało, Aviendho. Światłości! Mocno ją poraniłaś? Nie wolno ci bić dam. Ci ludzie sprawiają mi dość kłopotów, żebyś ty jeszcze miała przysparzać nowych.

Głośno pociągnęła nosem i wróciła do swoich koronek.

— Dam! Kobieta to kobieta, Randzie al'Thor. Chyba że jest Mądrą — dodała przytomnie. — Ta tego ranka musi wprawdzie siadać lekko, ale jej siniaki da się ukryć, a po całym dniu spędzonym na odpoczynku, będzie z pewnością mogła opuścić komnaty. I teraz wie już, jak się sprawy mają. Powiedziałam jej, że jeśli jeszcze raz spróbuje ci się w jakikolwiek sposób naprzykrzać... w jakikolwiek... to ja jeszcze raz przyjdę do niej na rozmowę. O wiele dłuższą rozmowę. Ona zrobi, co rozkażesz, kiedy wydasz rozkaz. Jej przykład nauczy innych. Zabójcy drzew nie rozumieją nic innego.

Rand westchnął. Nie była to wprawdzie metoda, którą on by wybrał, ale rzeczywiście mogła poskutkować, albo też mogła sprawić, że Colavaere i inni staną się odtąd jeszcze bardziej przebiegli. Aviendha mogła się nie obawiać represji skierowanych przeciwko niej samej — w rzeczy samej byłby zdumiony, gdyby w ogóle przyjęła do wiadomości taką ewentualność — jednakże kobieta, która jest Głową jakiegoś potężnego Domu, to nie to samo co młoda szlachcianka pomniejszej rangi. Niezależnie od skutków, jakie ten epizod mógł wyrzucić na nią, Aviendha mogła zostać zapędzona do jakiegoś ciemnego korytarza i oberwać po dziesięciokroć mocniej, niżli Colavaere oberwała od niej, o ile nie gorzej.

— Na przyszłość pozwól, że ja sam będę załatwiał wszystko swoimi metodami. To ja jestem *Car'a'carnem*, pamiętaj.

— Masz pianę od golenia na uchu, Randzie al'Thor.

Mrucząc do siebie, porwał pasiasty ręcznik i krzyknął:

— Wejść! — w odpowiedzi na pukanie do drzwi.

Do izby wszedł Asmodean, z jasną koronką przy szyi i mankietach czarnego kaftana, z harfą w futerale zarzuconą na plecy i mieczem przypasanym do biodra. Chłód na jego twarzy mógł przywieść na myśl zimę, ale w czarnych oczach kryła się czujność.

— Czego chcesz, Natael? — spytał podniesionym tonem Rand. — Dałem ci twoje instrukcje ubiegłej nocy.

Asmodean zwilżył wargi językiem i zerknął raz na Aviendhę, która patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem.

— Mądre instrukcje. Przypuszczam, że mógłbym wywieść się czegoś dla ciebie przydatnego, gdybym pozostał tutaj i obserwował, ale dziś rano rozmawia się tylko o przeraźliwych wrzaskach, jakie ubiegłej nocy dobiegały z apartamentów lady Colavaere. Powiadają, że naraziła się tobie, aczkolwiek, jak się zdaje, nikt nie wie, w jaki sposób. Ta niepewność sprawia, że wszyscy stąpają na palcach. Wątpię, czy w ogóle ktokolwiek odważy się oddychać w ciągu najbliższych kilku dni, nie zastanowiwszy się pierwej, co mógłbyś mu w zamian uczynić.

Twarz Aviendhy stanowiła obraz samozadowolenia, które z trudem dawało się znieść.

— A zatem chcesz iść ze mną? — spytał cicho Rand. — Chcesz stać za moimi plecami, kiedy zmierzę się z Rahvinem?

— A gdzie lepsze miejsce dla barda Lorda Smoka? A jednak jeszcze lepsze to takie, gdzie twoje oko będzie mnie widziało. Gdzie mógłbym się wykazać swoją lojalnością. Nie jestem silny. — Grymas na twarzy Asmodeana wydawałby się dość naturalny u każdego człowieka czyniącego takie wyznanie, a jednak Rand wyczuł *saidina*, który na ułamek chwili przepełnił drugiego mężczyznę, poczuł skazę, która wykrzywiła mu usta. Tylko przez ułamek chwili, dostatecznie jednak długi, by mógł to oszacować. Jeśli Asmodean zaczerpnął tyle, ile mógł, to przyparty do muru dorówna jednej z tych Mądrych, które umiały przenosić. — Nie jestem silny, ale może jednak mógłbym się w jakiś sposób przydać.

Rand żałował, że nie może zobaczyć utkanej przez Lanfear tarczy. Twierdziła, że ona z czasem się rozpuści, niemniej jednak Asmodean wyraźnie nie potrafił przenosić. Obecnie nie szło mu lepiej niż tamtego pierwszego dnia, kiedy wpadł w ręce Randa. Być może Lanfear kłamała, by narobić Asmodeanowi fałszywych nadziei, by wmówić Randowi, że ten człowiek stanie się kiedyś dostatecznie silny, i nauczyć go więcej niż w istocie był zdolny.

„To do niej podobne”.

Nie miał pewności, czy to jego myśl, czy też Lewsa Therina, ale wiedział, że jest prawdziwa.

Przedłużające się milczenie sprawiło, że Asmodean znowu oblizał wargi.

— Dzień czy dwa spędzone dłużej w tym miejscu nie będą miały znaczenia. Wrócisz albo zginiesz. Pozwól mi dowieść mej lojalności. Może mogę coś zrobić. Odrobina więcej ciężaru ujętego po twojej stronie może przechylić szalę. — Raz

jeszcze wlał się weń *saidin*, tylko na chwilę. Rand poczuł coś na kształt wysiłku, a mimo to strumień nadal był słaby. — Znasz mój wybór. Przywarłem do kępki trawy na samym skraju urwiska i modłę się do niej, by wytrzymała jeszcze jedno uderzenie serca. Jeśli ty przegrasz, ze mną będzie jeszcze gorzej, niż gdybym umarł. Muszę dbać o to, byś wygrał i żył.

Wbił nagle wzrok w Aviendhę, jakby zdał sobie sprawę, że mógł powiedzieć za dużo. Jego śmiech zabrzmiał głucho.

— Bo inaczej jak mógłbym komponować pieśni ku chwale Lorda Smoka? Bard musi mieć coś, nad czym będzie mógł pracować.

Upał nigdy nie działał na Asmodeana — sztuczka umysłu, twierdził, nie Moc — ale teraz z jego czoła ściekały paciorki potu.

Przed oczyma czy pozostawiony za plecami? Może po to, by uciec w poszukiwaniu kryjówki, kiedy on będzie się zastanawiać, co się dzieje w Caemlyn. Asmodean stanie się tym samym człowiekiem, jakim był, zanim umarł i odrodził się na nowo, i może nawet później.

— W zasięgu mego wzroku — rzekł cicho Rand. — I jeśli tylko nabiorę podejrzeń, że strona, którą obciąża ta odrobina, budzi moje niezadowolenie. . .

— Zdaję się na łaskę i niełaskę Lorda Smoka — mruknął Asmodean, kłaniając się. — Za pozwoleniem Lorda Smoka, zaczekam na zewnątrz.

Kiedy mężczyzna wycofywał się w stronę wyjścia, nadal zgięty w półukłonie, Rand rozejrzał się po wnętrzu. Na obrzeżonej złoceniami szkatule u stóp łoża, w pochwie owiniętej pasem ze sprzączką przedstawiającą Smoka, leżał jego miecz oraz kikut seanchańskiej włóczni. Tego dnia nie będzie zabijania za pomocą stali, w każdym razie nie z jego strony. Dotknął kieszeni, poczuł twardy kształt figurki małego, tłustego człowieczka z mieczem, jedynym mieczem, jakiego dzisiaj potrzebował. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie Przemknąć do Łzy, żeby zabrać *Callandora*, albo nawet do Rhuidean po to, co zostało tam ukryte. Mógł zniszczyć Rahvina na różne sposoby, zanim ten człowiek się dowie, że w ogóle jest w Caemlyn. Mógł również zniszczyć samo miasto. Ale czy mógł sobie ufać? Taka potęga. Tyle Jedynej Mocy. *Saidin* czekał tuż poza granicą pola widzenia. Skaza była jakby jego częścią. Wściekłość pieniała się tuż pod powierzchnią, gniew na Rahvina. Na siebie samego. Jeśli się uwolni, a on będzie dzierżył bodaj tylko *Callandora*. . . Co by zrobić? Stałby się niewidzialny. Z tym drugim mógłby Przemknąć do samego Shayol Ghul, położyć kres temu wszystkiemu, zakończyć to teraz w taki czy inny sposób. W taki czy inny. Nie. Nie on jeden w tym tkwił. Nie mógł sobie pozwolić na nic innego prócz zwycięstwa.

— Świat cwałuje na moich barkach — mruknął. Nagle jęknął głośno i klepnął się dłonią po lewym pośladku. Miał wrażenie, że ukłuła go igła, ale nie musiał czekać, aż gęsia skórka, która mu wypełzła na ramiona, zniknie, by wiedzieć, co się stało. — Za co to było? — warknął do Aviendhy.

— Żeby sprawdzić, czy Lord Smok nadal składa się z krwi i kości tak jak my

wszyscy, śmiertelnicy.

— Nie zmieniłem się — odparł obojętnie. Objął *saidina* — całą tę słodycz; wszystkie nieczystości — na dostatecznie długo, by przenieść.

Wytrzeszczyła oczy, ale nie wzdrygnęła się, tylko popatrzyła na niego tak, jakby nic się nie zdarzyło. A mimo to podczas mijania przedśionka ukradkiem potarła siedzenie, kiedy jej się zdawało, że patrzy w inną stronę. Wychodziło na to, że ona też składa się z krwi i kości.

„Ażebym szczeł, już myślałem, że nauczyłem ją jakichś manier”.

Otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się jak wryty z wytrzeszczonymi oczyma. W niewielkiej odległości od Asmodeana stał Mat wsparty o swą dziwną włócznię, w kapeluszu z szerokim rondem nasuniętym nisko na czoło, ale to nie jego widok tak go poraził. Za drzwiami nie było ani jednej Panny. Powinien był coś przeczuć, kiedy Asmodean wszedł do izby nie zapowiedziany. Aviendha rozglądała się dookoła zdumiona, jakby spodziewała się je znaleźć za którymś gobelinem.

— Melindhra usiłowała mnie zabić ubiegłej nocy — oznajmił Mat i Rand przestał myśleć o Pannach. — W jednej minucie rozmawialiśmy, w następnej usiłowała pozbawić mnie kopniakiem głowy.

Mat opowiedział cały epizod krótkimi zdaniem. Sztylet ze złotymi pszczołami. Jego wnioski. Zamknął oczy, kiedy kończył opowieść — prostym, niczym nie ubarwionym „zabiłem ją” — i szybko je na powrót otworzył, jakby pod powiekami zobaczył coś, czego wolał nie oglądać.

— Przykro mi, że musiałeś to zrobić — rzekł cicho Rand i Mat apatycznie wzruszył ramionami.

— Chyba lepiej dla niej niż dla mnie. Była Sprzymierzeńcem Ciemności. — Powiedział to takim tonem, jakby niczego fakt ten nie zmieniał.

— Porachuję się z Sammaelem. Jak tylko będę gotów.

— Ilu ich wtedy zostanie?

— Przeklętych tu nie ma — zachnęła się Aviendha. — I ani jednej Panny Włóczni. Gdzie one są? Coś ty zrobił, Randzie al’Thor?

— Ja? Było ich tutaj dwadzieścia, kiedy ubiegłej nocy przyszedłem się położyć i od tego czasu nie widziałem ani jednej.

— Może to dlatego, że Mat. . . — zaczął Asmodean i urwał, kiedy Mat spojrzał na niego, wyrażając w zaciśniętych ustach ból i gotowość do zadania ciosu.

— Nie zachowujcie się jak głupcy — upomniała ich stanowczym głosem Aviendha. — Z tego powodu *Far Dareis Mai* nie ogłoszą *toh* przeciwko Mato-wi Cauthonowi. Ona próbowała go zabić, więc on zabił ją. Nie zrobiłyby tego nawet jej prawie-siostry, gdyby jakieś miała. I nikt by nie ogłosił *toh* przeciwka Randowi al’Thorowi za to, co zrobił ktoś inny, chyba żeby to on wydał mu rozkaz. Zrobiłeś coś, Randzie al’Thor, coś potężnego i ciemnego, bo inaczej byłyby tutaj.

— Nic nie zrobiłem — zaprzeczył jej ostrym tonem. — I nie zamierzam tu stać i dyskutować o tym. Czy jesteś ubrany do jazdy na południe, Mat?

Mat wsunął dłoń do kieszeni kaftana, wymacał coś. Zazwyczaj trzymał w kieszeni kości i kubek do ich rzucania.

— Caemlyn. Już mnie to męczy, że zakradają się do mnie bez pozwolenia. Tym razem to ja zakradnę się do nich dla odmiany. liczę po prostu, że zostanę pogłaskany po przeklętej głowie, zamiast dostawać przeklętego kwiatka — dodał, krzywiąc się.

Rand nie zapytał, o co mu chodzi. Drugi *ta'veren*. Dwaj razem, być może po to, by naginać los. Nie sposób przewidzieć ani w jaki sposób, ani nawet czy w ogóle, ale...

— Zdaje się, że pobędziemy razem nieco dłużej.

Tym razem Mat wyglądał przede wszystkim na zrezygnowanego.

Nie uszli daleko obwieszonym gobelinami korytarzem, kiedy napotkali Moiraine i Egwene, płynnie sunące spacerowym krokiem, jakby tego dnia nie miało się zdarzyć nic prócz przechadzki po jednym z ogrodów. Egwene, chłodnooka i spokojna, z pierścieniem ze Złotym Wężem na palcu; naprawdę mogłaby podawać się za Aes Sedai, gdyby nie to odzienie Aielów, a także szal i złożona chusta na skroniach, natomiast Moiraine... Złote nitki, ledwie widocznie przytykające suknię z połyskliwego, niebieskiego jedwabiu, odbijały słońce. Mały, niebieski kamyk spoczywający na czole, zawieszony na złotym łańcuszku wplecionym w pukle ciemnych włosów, lśnił równie jasno jak wielkie, oprawione w złoto szafiry, które otaczały szyję. Przyodziewek, który nie bardzo pasował do ich zamierzeń, niemniej jednak Rand, w swym czerwonym kaftanie, nie miał prawa go skomentować.

Być może sprawił to pobyt w tym miejscu, gdzie Dom Damodred dzierżył kiedyś Tron Słońca, ale mimo to nie pamiętał, by jej pełen wdzięku chód był kiedykolwiek jeszcze bardziej władczy. Nawet obecność „Jasina Nataela” nie mogła zmącić tego królewskiego spokoju, ale o dziwo, Mata obdarzyła ciepłym uśmiechem.

— A więc ty też się wybierasz, Mat. Naucz się ufać Wzorowi. Nie marnuj życia próbami zmieniania czegoś, czego zmienić się nie da. — Sądząc po wyrazie jego twarzy, Mat zastanawiał się chyba, czy nie zmienić decyzji i czy w ogóle dalej przebywać w tym miejscu, ale Aes Sedai odsunęła się od niego bez śladu konsternacji. — To dla ciebie, Rand.

— Znowu jakieś listy? — zapytał. Na jednym jego nazwisko napisała elegancka dłoń, którą natychmiast rozpoznał. — Od ciebie, Moiraine? — Drugi był zaadresowany do Thoma Merrilina. Oba zostały zapieczętowane niebieskim woskiem, w którym odcisnęła swój pierścień, pozostawiając wizerunek węża pożerającego własny ogon. — Po co pisać do mnie listy? I pieczętować je? Nigdy nie bałaś się powiedzieć mi w twarz niczego, co chciałaś. Gdybym nawet o tym

kiedykolwiek zapomniał, Aviendha mi stale przypomina, że jestem człowiekiem z krwi i kości.

— Zmieniłeś się, już nie jesteś tym chłopcem, którego po raz pierwszy zobaczyłam przed „Winną Jagodą”. — Jej głos brzmiał jak miękkie pobrzękiwanie srebrnych dzwoneczków. — Już prawie wcale tamtego nie przypominasz. Modłę się, byś tylko dostatecznie się zmienił.

Egwene mruknęła coś cicho. Randowi wydało się, że usłyszał: „Modłę się, żebyś za nadto się nie zmienił”. Patrzyła ze zmarszczonym czołem na te listy, jakby się zastanawiała, co w nich jest. Podobnie Aviendha.

Moiraine ciągnęła dalej, jeszcze bardziej promienna, wręcz rześka.

— Pieczęcie chronią, prywatność. Ten list zawiera rzeczy, które chciałabym, żebyś przemyślał, nie teraz; kiedy będziesz miał czas na myślenie. Jeśli zaś chodzi o list do Thoma, to nie znam bezpieczniejszych rąk niż twoje, w które mogłabym go złożyć. Przekaż mu go, kiedy się znowu zobaczycie. A teraz inna sprawa. W porcie jest coś, co koniecznie musisz zobaczyć.

— W porcie? — spytał Rand. — Moiraine, to poranek poranków, nie mam czasu na...

Ale ona ruszyła już w dół korytarza, absolutnie przekonana, że on pójdzie za nią.

— Kazałam przygotować konie. Nawet jednego dla ciebie, Mat, na wszelki wypadek.

Egwene zawahała się tylko na chwilę, po czym podążyła jej śladem.

Rand otworzył usta, chcąc zatrzymać Moiraine. Przysięgła, że będzie posłuszna. Nieważne, co chciała mu pokazać, obejrzy to innego dnia.

— Czy godzina nas zbawi? — burknął Mat. Może przemyślał sprawę na nowo.

— Nie byłoby od rzeczy, gdyby cię zobaczono tego ranka — rzekł Asmodean. — Rahvin być może dowie się o tym natychmiast, gdy to się zdarzy. Jeśli nabierze jakichś podejrzeń — jeśli ma szpiegów, którzy mogli podsłuchiwać przez dziurki od klucza... wówczas być może to ich na dzisiaj uciszy.

Rand spojrzął na Aviendhę.

— Czy ty też radzisz zwłokę?

— Radzę, byś posłuchał Moiraine Sedai. Tylko głupcy lekceważą Aes Sedai.

— Cóż takiego w porcie może być ważniejszego od Rahvina? — warknął i potrząsnął głową. W Dwu Rzekach było takie powiedzenie, nie wypowiedane zresztą na głos, kiedy mogły usłyszeć je kobiety. „Stwórca stworzył kobiety, by ucieszyć oko i udęczyć umysł”. Aes Sedai z pewnością nie różniły się pod tym jednym względem od innych. — Tylko godzina.

* * *

Słońce jeszcze nie wzeszło dostatecznie wysoko, by przepędzić długi cień muru miasta z kamiennego molo, na którym stały w szeregu wozy, a mimo to Kadere bezustannie wycierał twarz wielką chustką. Pocił się tak jedynie częściowo za sprawą upału. Wielkie, szare mury, wcinające się w rzekę z obu stron portu, sprawiały, że molo przypominało ciemną skrzynię, z nim w środku niczym w pułapce. W porcie cumowały same ładowne, wypełnione ziarnem barki z zaokrąglonymi dziobami i także same stały na kotwicach w dole rzeki, oczekując swej kolejki na wyładowanie. Zastanawiał się, czy nie wślizgnąć się na którąś, kiedy będzie odpływała, ale to oznaczało porzucenie większości posiadanego dobytku. A mimo to zdecydowałby się na powolny rejs w dół rzeki, gdyby wierzył, że jego kresem może być cokolwiek innego niż śmierć. Lanfear nie zjawiła się więcej w jego snach, ale rany od oparzeń na piersi przypominały mu o otrzymanych rozkazach. Mimo potu spływającego po twarzy, na samą myśl, że mógłby odmówić posłuszeństwa jednej z Wybranych, przeszywał go zimny dreszcz.

Gdyby chociaż wiedział, komu może ufać w takim stopniu, w jakim można było ufać innym z całej braci Sprzymierzeńców Ciemności. Ostatni z tych jego woźniców, którzy złożyli przysięgę, zniknął dwa dni temu, najpewniej wsiadł na którąś barkę. Nadal nie miał pojęcia, która to z kobiet Aielów wsunęła tamten list przez szparę pod drzwiami wozu — „Nie jesteś sam wśród obcych. Droga została wybrana”. Miał jednak na uwadze kilka możliwości. W porcie kręciło się tyleż samo Aielów co robotników; przychodzili tu pogapić się na rzekę, a on niektóre z twarzy widywał częściej, niż to się zdawało uzasadnione, inne zaś przypatrywały mu się znacząco. Przychodziło także kilku Cairhienian, a także jeden taireniański lord. Samo w sobie to nic nie oznaczało, rzecz jasna, ale gdyby tak znalazł kilku ludzi, z którymi mógłby nawiązać współpracę...

W jednej z bram pojawiła się grupa konnych z Moiraine i Randem al'Thorem na czele, a także Strażnikiem Aes Sedai; torowali sobie drogę między furami wywożącymi wory z ziarnem. Towarzyszyła im fala wiwatów.

— Wszelka chwała Lordowi Smokowi! Witaj, Lordzie Smoku! — A także, co jakiś czas: — Chwała lordowi Matrimowi! Chwała Czerwonej Ręce!

Aes Sedai przynajmniej tym razem skrzyła w stronę, gdzie kończył się szereg wozów, nawet nie spojrzawszy na Kadere. Z czego był tylko zadowolony. Nawet gdyby nie była Aes Sedai, nawet gdyby nie patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby znała wszystkie, najmroczniejsze zakamarki jego umysłu, to doprawdy nie miał ochoty przyglądać się zbyt dokładnie niektórym przedmiotom, którymi wypełniła wozy. Poprzedniego wieczora kazała mu odsłonić płótno z dziwacznie wykrzywionej framugi, ustawionej na wozie, który stał tuż za jego wozem. Zdawała

się czerpać perwersyjne zadowolenie ze zmuszania go do pomocy za każdym razem, gdy chciała coś zbadać. Zakryłby tę framugę, gdyby umiał się zmusić, by podejść do niej blisko, albo gdyby zmusił się do wydania takiego rozkazu swoim woźnicom. Żaden z towarzyszących mu teraz nie był świadkiem, jak w Rhuiden an wpaść do niej do połowy Herid i do połowy zniknąć — Herid był pierwszy, który uciekł, gdy tylko zeszli z Przełęczy Jangai; ten człowiek miał już nie po kolei w głowie po tym, jak Strażnik go wyciągnął — ale potrafili na to patrzeć, patrzeć na te nieprawidłowe połączenia rogów, patrzeć, mimo iż nie dawało się tego obwieść wzrokiem bez mrugania i zawrotów głowy.

Kadere zignorował pierwszych trzech jeźdźców, podobnie jak zignorowała go Aes Sedai i niemalże w równym stopniu Mat Cauthon. Ten człowiek nosił jego kapelusz; nie znalazł potem niczego w zamian. Ta dziewczka, Aviendha, jechała za siodłem młodej Aes Sedai, obie pokazywały nogi spod podkasanych spódnic. Gdyby potrzebował potwierdzenia, że ta kobieta Aiel dzieli łożę z al'Thorem, to wystarczyło mu, że dostrzegł sposób, w jaki na niego patrzyła; kobieta, która wzięła sobie mężczyznę do łóżka, spoglądała potem na niego z rozpalonym światłem posiadania w oczach. Bardziej się jednak liczyło to, że towarzyszył im Natael. Natael, który zajmował wysokie stanowisko w szeregach Sprzymierzeńców Ciemności. Kadere po raz pierwszy znalazł się tak blisko niego, odkąd przekroczyli Grzbiet wiata. Gdyby tak udało mu się przedrzeć przez kordon Pannien i dotrzeć do Nataela. . .

Kadere zamrugął nagle. Gdzie są Panny? Al'Thora zawsze otaczała eskorta złożona z kobiet z włóczyniami. Marszcząc brwi, uświadomił sobie, że nie zauważył ani jednej Panny wśród Aielów zebranych na mola, w ogóle w całym porcie.

— Spojrzysz wreszcie na starą przyjaciółkę, Hadnan?

Dźwięk melodyjnego głosu sprawił, że Kadere gwałtownie obrócił się na pięcie i zagapił wytrzeszczonymi oczyma na haczykowaty nos, na ciemne oczy niemalże niewidoczne wśród zwałów tłuszczu.

— Keille?

To było niemożliwe. Tylko Aiel potrafiłby przeżyć samotnie w Pustkowiu. Na pewno zginęła. A jednak stała tam, w białym jedwabiu opinającym cielsko, z grzebieniami z kości słoniowej wystającymi z ciemnych loków.

Z bladym uśmiechem na ustach odwróciła się z gracją, która wciąż zaskakiwała w kobiecie tak opasłej, i lekko wspięła się po stopniach do jego wozu.

Wahał się przez chwilę, po czym pospieszył za nią. Wolałby, żaby Keille Shaogi naprawdę zginęła w Pustkowiu — ta kobieta była apodyktyczna i nieznośna; nie miała nawet co marzyć, że dostanie choćby grosik z tego, co jemu udało się uratować — ale zajmowała równie wysokie stanowisko co Jasin Natael. Być może odpowie na kilka pytań. A przynajmniej będzie miał kogoś, z kim będzie mógł pracować. A w najgorszym razie kogoś, kogo będzie mógł obarczyć winą. Wyssokie stanowisko wiązało się z potęgą, ale i też z odpowiedzialnością za porażki

tych, którzy stali niżej ciebie. Nie raz, kiedy chciał się osłonić, karmił swymi zwierchnikami tych, którzy stali jeszcze od nich wyżej.

Starannie zamknął drzwi, odwrócił się — i byłby przeraźliwie krzyknął, gdyby gardło nie ścisnęło mu się zbyt mocno, by mógł dobrać się zeń krzyk.

Kobieta, która tam stała, miała na sobie biały jedwab. ale wcale nie była gruba. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział, z oczyma jak ciemne bezdenne górskie stawy, o wąskiej talii objętej pasem utkanym ze srebra, ze srebrnymi półksiężycami w połyskliwych ciemnych włosach. Kadere znał tę twarz ze snów.

Oddech wyzwolił się, kiedy kolana łupnęły głucho o podłogę.

— Wielka Pani — wychrypiał — jak mogę ci służyć?

Lanfear równie dobrze mogłaby patrzeć na insekta, takiego, jakiego bez trudu da się zmiażdżyć trzewikiem, mogłaby, ale nie musiała.

— Będąc posłusznym rozkazom. Pilnowanie Randa al'Thora pochłania mi za dużo czasu. Opowiedz, co on z wyjątkiem podbicia Cairhien zrobił ostatnio, jakie są jego plany.

— To trudne, Wielka Pani. Takiemu jak ja nie wolno podchodzić zbyt blisko do takiego jak on. — Insekt, mówiły te chłodne oczy, pozwalając żyć dopóty, dopóki jest użyteczny. Kadere zaczął łamać sobie głowę, usiłując przypomnieć wszystko, co usłyszał albo sobie wykoncypował. — On posyła wielkie rzesze Aielów na południe, Wielka Pani, aczkolwiek ja nie znam powodu. Tairenianie i Cairhienianie zdają się tego nie zauważać, ale nie sądzę, by oni potrafili odróżnić jednego Aiela od drugiego. — On zresztą również tego nie potrafił. Nie odważyłby się jej okłamać, ale gdyby uznała, że wie coś więcej... — Założył coś w rodzaju szkoły, w pałacu w mieście, stanowiącym niegdyś własność Domu, z którego nikt nie przeżył...

Z początku trudno było ocenić, czy jej się podoba to, co słyszy, ale w miarę, jak mówił dalej, twarz jej powoli ciemniała.

* * *

— Co chciałaś, żebym zobaczył, Moiraine? — spytał zniecierpliwionym głosem Rand, uwiązując wodze Jeade'ena do koła wozu zamykającego szereg.

Stała na palcach, by ponad burtą rzucić okiem na dwie faski, które wyglądały jakby znajomo. O ile się nie mylił, zawierały dwie pieczęcie, dwa *cuendillary*, zawinięte dla ochrony w bawełnę, teraz, kiedy już w każdej chwili mogły popękać. Tu silnie poczuł skazę pozostawioną przez Czarne; zdawała się niemalże dobywać z tych fasek, słaby miazmat, jaki bije od czegoś, co zgniło gdzieś w piw-

nicznym miejscu.

— Tu będzie bezpiecznie — mruknęła Moiraine. Ruszyła wzdłuż linii wozów, z gracją unosząc spódnice. Lan deptał jej po piętach, podobny do na poły oswojonego wilka, w powiewającym mu z ramion płaszczu, całym w niepokojących fałdach mieniących się kolorami i nicością.

Rand błysnął groźnym spojrzeniem.

— Czy ona ci powiedziała, co to takiego, Egwene?

— Tylko tyle, że musisz coś zobaczyć. Że niezależnie od wszystkiego musisz tutaj przyjść.

— Powinieneś ufać Aes Sedai — powiedziała Aviendha, niemal równie obojętnym tonem, ale ze śladem powątpiewania. Mat parsknął.

— No cóż, zaraz się dowiem. Natael, idź i powiedz Baelowi, że dołączę do niego za...

Na przeciwległym krańcu szeregu eksplodował bok wozu Kadere, odłamki skosiły Aielów i mieszkańców miasta. Rand wiedział; nie musiał czekać, aż na skórze wystąpi mu gęsia skórka, by wiedzieć. Co sił w nogach pobiegł w stronę wozu za Moiraine i Lanem. Czas zwolnił, jakby wszystko działo się jednocześnie, jakby powietrze zamieniło się w galarete, która oblepiała każdy moment.

W tę ciszę osłupienia, przerywaną jedynie jękami i krzykiem rannych, wstąpiła Lanfear. Z ręki zwisało jej coś bezwładnego, białego, z pasmami czerwieni, wlokąc się za nią, kiedy zstępowała w dół po niewidzialnych schodach. Twarz Przeklętej przekształciła się w maskę wyrzeźbioną z lodu.

— On mi powiedział, Lewsie Therinie — wrzasnęła niemalże, ciskając biały strzęp w powietrze. Coś pochwyciło go, rozděło, na moment ukazując zakrwawiony, przezroczysty posąg Hadnana Kadere; jego skórę, zdartą w całości. Pękła i upadła w momencie, gdy głos Lanfear spotęgował się do przeraźliwego skrzeku. — Pozwalasz, by dotykała cię inna kobieta! Znowu!

Oblepione chwile, wszystkie zdarzenia równocześnie.

Nim Lanfear zdążyła sięgnąć do kamieni porzucanych na molo, Moiraine uniosła jeszcze wyżej spódnice i zaczęła biec prosto na nią. Była szybka, lecz Lan, który zignorował jej okrzyk: „Lan, nie!” był jeszcze szybszy. Pojawił się miecz, długie nogi wyniosły go przed nią, za nim łopotały poły mieniącego się płaszcza. Nagle jakby wbiegł na niewidzialny mur, bo odbił się i chwiejnymi krokami spróbował znowu biec. Jeden krok i jakby jakaś gigantyczna dłoń cisnęła go z całej siły w bok, przeleciał dziesięć kroków przez powietrze i rozbił się o kamienie.

Kiedy jeszcze leciał, Moiraine wyrwała do przodu, sunąc stopami niemalże ponad chodnikiem, aż znalazła się twarzą w twarz z Lanfear. Tylko na chwilę. Przeklęta patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby się zastanawiała, co zagrodiło jej drogę, po czym ciało Moiraine zostało ciśnięte w bok z taką siłą, że aż poturlało się po bruku i zniknęło pod wozami.

Na nabrzeżu wybuchła panika. Zaledwie kilka chwil po wybuchu w wozie Kadere tylko ślepy mógł się nie zorientować, że kobieta w bieli włada Jedyną Mocą. Na nabrzeżach doków zamigotały topory przecinające liny, uwalniające barki, które ich załogi rozpaczliwie spychały na otwarte wody z zamiarem ucieczki. Dokerzy z obnażonymi torsami i mieszkańcy miasta w ciemnych odzieniach usiłovali wskakiwać na pokłady. W innym kierunku roili się rozkrzyczani mężczyźni i kobiety, którzy walczyli z sobą o wejście przez bramy do miasta. Wśród nich odziane w *cadinsor* postacie osłaniały twarze i rzucały się na Lanfear z włóczniami, nożami albo gołymi dłońmi. Nie mogło być wątpliwości, że to ona jest przyczyną zamieszania; żadnych wątpliwości, że w walce korzysta z Mocy. A jednak nie zważając na to, biegli, by tańczyć włócznie.

Ogień przetoczył się po nich wielkimi falami. Ogniste strzały przeszywały ciała nacierających, ich ubrania stawały w płomieniach. Wcale to nie wyglądało tak, jakby Lanfear toczyła z nimi walkę, albo w ogóle zwracała na nich jakąś uwagę. Równie dobrze mogła odganiać się od gzów albo bitemów. Płonęli zarówno ci, którzy uciekali, jak i ci, którzy usiłovali walczyć. Ona zaś sunęła w stronę Randa, jakby poza nim nikt inny nie istniał.

Uderzenia serca, tylko...

Zrobiła trzy kroki od momentu, gdy Rand pochwycił męską połowę Prawdziwego Źródła, stopioną stal i lód, zdolny roztrzaskać stal, słodycz miodu i stertę nieczystości. W głębinach Pustki walka o przetrwanie stała się odległą, tocząca się przed nim bitwa niewiele bardziej rzeczywista. Kiedy Moiraine zniknęła pod wozem, przeniósł Moc, zabierając żar z ogni Lanfear i zatapiając go w rzece. Płomienie, które jeszcze chwilę wcześniej pochłaniały ludzkie sylwetki, pogasły. W tym samym momencie na nowo splótł strumienie i powstała z nich mglista, szara kopuła, podłużny owal, który otoczył jego, Lanfear i większą część wozów, niemalże przezroczysty, odcinając ich szczelnie od wszystkich, którzy nie znaleźli się w środku. Już tkając splot, nie był pewien ani czym on jest, ani też skąd się wziął — być może z jakiegoś wspomnienia Lewsa Therina — ale ognie Lanfear uderzyły w niego i zamarły. Widział mętne sylwetki ludzi, którzy pozostali na zewnątrz, zbyt wielu rzucało się i miotało na wszystkie strony — odjął płomienie, ale nie oparzenia ciała; swąd wciąż jeszcze wisiał w powietrzu — ale nie groziły już oparzenia tym, którzy ich jeszcze nie doznali. We wnętrzu kopuły też leżały ciała, kopczyki zwęglonych ubrań; niektóre ruszały się słabo, pojękując. Jej to nie obeszło; przeniesione przez nią płomienie: zagasły; gzy zostały odegnane; ani razu nie spojrzęła w bok.

Uderzenia serca. Był zimny pod skorupą Pustki i nawet jeśli żałował zmarłych, umierających i poparzonych, uczucie to było tak odległe, że równie dobrze mogło nie istnieć. Stał się samym zimnem. Samą Pustką. Wypełniała go jedynie furia *saidina*.

Ruch po drugiej stronie. Aviendha i Egwene z oczyma utkwionymi w Lanfear.

Chciał je od tego odgrodzić. Widocznie musiały pobiec za nim. Mat i Asmodean na zewnątrz; mur nie objął kilku ostatnich wozów. Z lodowatym spokojem przeniósł Powietrze, by pochwycić Lanfear w sidła; Egwene i Aviendha mogły odgrodzić ją tarczą, kiedy odwróci jej uwagę.

Coś przecięło jego strumienie; pękały z taką siłą, że aż głośno stęknął.

— Czy to któraś z nich? — warknęła Lanfear. — Która to Aviendha?

Egwene odrzuciła głowę w tył i zawyla z wytrzeszczonymi oczyma, z jej ust dobywał się wrzask agonii całego świata.

— Która?

Aviendha uniosła się na palcach, drżąc, z wyciem, które ścigało wycie Egwene, kiedy unosiły się coraz to wyżej i wyżej.

Pod skorupą Pustki pojawiła się nagle ta myśl: „To splot Ducha, razem z Ogniem i Ziemią. Tutaj”.

Rand poczuł, że coś zostaje przecięte, coś czego nie mógł dostrzec, i Egwene zwała się na znieruchomiały stos, Aviendha padła na czworaki, ze zwieszoną głową, ślaniając się.

Lanfear zachwiała się, jej oczy wędrujące od kobiet ku niemu przypominały ciemne stawy czarnego ognia.

— Jesteś mój, Lewsie Therinie! Mój!

— Nie. — Własny głos zdawał się docierać do uszu z przeciwległego krańca tunelu długości mili: „Odciągnij jej uwagę od dziewcząt”.

Nie przestawał posuwać się naprzód, nie oglądając się za siebie.

— Nigdy nie byłem twój, Mierin. Będę zawsze należał do Ilyeny. — Pustka zadrżała od smutku i poczucia straty. I od rozpaczki, kiedy zmagał się z czymś jeszcze prócz wartkiego strumienia *saidina*. Przez chwilę wisiał, balansując.

„Jestem Rand al'Thor.” I: „Na wieki wieków, moje serce”.

Balansował na ostrzu brzytwy.

„Jestem Rand al'Thor!”

Inne myśli próbowały wybić się na powierzchnię, cała ich fontanna, myśli o Ilyenie, o Mierin, o tym, co mógłby zrobić, żeby ją pokonać. Tłumił, nawet tę ostatnią. Gdyby stanął po złej stronie...

„Jestem Rand al'Thor!”

— Na imię masz Lanfear i prędzej zginę, niżli pokocham Przekłątą.

Przez jej twarz przemknęło coś, co mogło być udręką, po czym na powrót stała się marmurową maską.

— Jeśli nie jesteś mój — powiedziała chłodno — to w takim razie jesteś martwy.

W piersi rozwyła się agonía, jakby serce zaraz miało eksplodować, w głowie rozgrzane do białości gwoździe wbijały się w mózg, ból tak silny, że nawet otoczony Pustką miał ochotę krzyczeć. Była tam śmierć i on o tym wiedział. Jak oszalały — oszalały nawet w Pustce; jej skorupa załśniła, skurczyła się — utkał

Ducha, Ogień i Ziemię, dziko młóćąc splotom niczym cepem. Serce przestało bić. Pustkę zmiażdżyły palce ciemnego bólu. Na oczy opadła szara zasłona. Czuł, jak jego splot tnie, szarpiąc jej splot. Pożoga oddechu w pustych płucach, skoki serca na powrót zaczynającego tłoczyć krew. Odzyskał wzrok, srebrne i szare cętki unosiły się między nim a kamiennolicą Lanfear, nadal odzyskującą równowagę po tym, jak ją odrzuciło od własnych strumieni. Głowę i pierś, wciąż niby rany, przepełniał ból, niemniej jednak Pustka umocniła się i ból fizyczny osłabł.

I dobrze, że tak się stało, Rand bowiem nie miał czasu na odzyskiwanie sił. Zmuszając się do wykonania ruchu naprzód, zaatakował ją Powietrzem, niczym pałąką, która miała ją pozbawić przytomności. Lanfear przecięła splot, a on uderzył ponownie, i jeszcze raz, i znowu; za każdym razem, gdy ona przecinała jego ostatni splot, spadał na nią wściekły grad ciosów, które w jakiś sposób widziała i potrafiła odparować, za każdym razem podchodząc coraz bliżej. Gdyby dał radę zając ją jeszcze chwilę dłużej, gdyby jedna z tych niewidzialnych maczug wylądowała wreszcie na jej głowie, gdyby zdołał podejść dostatecznie blisko, by móc dzielić ją pięścią. . . Nieprzytomna byłaby bezradna jak każdy człowiek.

Nagle jakby do niej dotarło, co robi. Nadal blokując jego ciosy z równą łatwością, jakby każdy z nich widziała, cofała się tanecznymi krokami, dopóki barkami nie dotknęła ściany wozu. A wtedy uśmiechnęła się, uśmiechem prosto z serca zimy.

— Będziesz umierał powoli i będziesz mnie błagał, bym ci pozwoliła mnie pokochać, zanim umrzesz — powiedziała.

Tym razem nie uderzyła bezpośrednio w niego. Uderzyła w jego połączenie z *saidinem*.

Pod wpływem pierwszego, ostrego jak nóż dotknięcia, panika rozbrzmiała w Pustce niczym gong, Moc kurczyła się, wsuwając coraz głębiej między niego a Źródło. Przeciął ostrze tego noża Duchem, Ogniem i Ziemią; wiedział, gdzie go szukać; wiedział, gdzie jest to połączenie, poczuł pierwsze nacięcie. Tarcza, którą Lanfear próbowała utkać, zniknęła i pojawiła się na nowo, powracała tak samo szybko, jak on ciął, ale zawsze towarzyszyło temu chwilowe cofanie się *saidina*, który prawie go wtedy zawodził, przez co jego kontruderzenie ledwie udaremniało jej atak. Władanie dwoma splotami na raz powinno być łatwe — potrafił władać dziesięcioma i więcej — ale nie wtedy, gdy jeden służył do rozpaczliwej obrony przeciwko czemuś, o istnieniu czego nie wiedział, dopóki prawie nie było za późno. Nie wtedy, gdy myśli innego człowieka stale usiłowały wypłynąć na powierzchnię we wnętrzu Pustki, podpowiadając mu, jakim sposobem mógłby ją pokonać. Gdyby usłuchał, to wówczas być może to Lews Therin Telamon odszedłby z tego miejsca z Randem al'Thorem — głosem czasami odzywającym się w jego głowie, o ile w ogóle.

— Obie te ladacznice będą musiały patrzeć, jak błagasz — powiedziała Lanfear. — Ale czy to one powinny patrzeć, jak umierasz, czy raczej ty powinienes

patrzeć, jak one umierają?

Kiedy zdążyła wejść na otwartą platformę wozu? Musi ją obserwować, czyhać na najbliższą oznakę, że się zmęczyła, że traci koncentrację. Płonna to była nadzieja. Stała obok wykrzywionej framugi *ter'angrealu* i patrzyła na niego z góry niczym królowa, która zaraz wyda wyrok, a mimo to mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu na chłodne uśmiechy kierowane na bransoletę z ciemnej kości słoniowej, którą bez końca obracała w palcach.

— Co zrani cię najbardziej, Lewsie Therinie? Chcę cię zranić. Chcę, byś poznał ból, jakiego żaden człowiek nigdy dotąd nie zaznał!

Im grubszy stawał się strumień płynący ku niemu od Źródła, tym trudniej było go przeciąć. Dłoń zacisnęła się na kieszeni kaftana, kamienny posążek tłustego człowieczka wpił się z całej siły w piętno czapli odciśnięte w jej wnętrzu. Wciągnął *saidina* najgłębiej jak mógł, dopóki skaza nie zaczęła dryfować po Pustce, a on nie upodobił się do rzadnego we mgle deszczu.

— Ból, Lewsie Therinie.

I ból pojawił się, agonia pochłonęła świat. Nie w sercu albo w głowie tym razem, ale wszędzie, w każdej jego cząstce, gorące igły wkłuły się w Pustkę. Zdawało mu się niemalże, że słyszy syk przy każdym ukłuciu, a każde wnikało jeszcze głębiej niż poprzednie. Nie zaniechała prób otoczenia go tarczą; były coraz szybsze, potężniejsze. Nie potrafił uwierzyć, że jest taka silna. Przywarłszy do Pustki, do przepalającego na wskroś, do zamarzającego na lód *saidina*, bronił się jak szalony. Mógł położyć temu kres, mógł z nią skończyć. Mógł przywołać błyskawicę albo omotać ją ogniem, którego sama użyła do zabijania.

Przez ból pomykały obrazy. Kobieta w ciemnej sukni handlarki, spadająca z konia, on ze światłem czerwonego jak ogień miecza w dłoniach; przybyła z garstką innych Sprzymierzeńców Ciemności, żeby go zabić. Ponure oczy Mata: „Zabiłem ją”. Złotowłosa kobieta leżąca w zrujnowanym korytarzu, gdzie, jak się zdawało, ściany same stopiły się i rozplynęły.

„Ilyeno, przebacz mi!”

To był okrzyk rozpaczny.

Mógł to zakończyć. Tyle że nie potrafił. Umrze, być może świat cały umrze, ale on nie mógł się zmusić do zabicia jeszcze jednej kobiety. Z niewiadomych powodów brzmiało to jak najlepszy dowcip, jaki świat kiedykolwiek słyszał.

* * *

Moiraine otarła krew z ust, wypełzła spod wozu i wstała niepewnie na nogi, słysząc ciągle męski śmiech. Oczy same, wbrew woli, omiotły otoczenie, poszu-

kując Lana; znalazły go leżącego tuż przy mglistym, szarym murze kopuły, która sklepiała się nad nimi. Targały nim drgawki, może szukał siły, dzięki której mógłby wstać, może umierał. Zmusiła się, by przestać o nim myśleć. Ratował jej życie tyle razy, że po sprawiedliwości powinno już było przejść na jego własność, ale ona od dawna robiła wszystko, co mogła, by on przeżył swą samotną wojnę z Cieniem. Tym razem musi żyć albo umrzeć bez niej.

To Rand, który klęczał na kamieniach nabrzeża, tak się śmiał. Śmiał się i łzy ściekały mu po twarzy wykrzywionej w grymas człowieka poddanego przesłuchaniu. Moiraine poczuła dreszcz. To przekraczało jej siły, jeśli owaładnęło nim szaleństwo. Mogła zrobić tylko to, co potrafiła zrobić. Co musiała zrobić.

Widok Lanfear uderzył ją niczym cios. Nie stanowił niespodzianki, tylko szok, gdy zobaczyła to, co od Rhuidean pojawiało się jakże często w jej snach. Lanfear stojąca na platformie wozu, płonąca *saidarem* tak jasno jak słońce, ujęta w ramy wykrzywionego *ter'angreala* z czerwonego kamienia, patrzy z góry na Randa, z bezlitosnym uśmiechem na ustach. W dłoniach obraca jakąś bransoletę, jakiś *angreal*. Jeśli Rand nie miał własnego *angreala*, to zapewne mogła go nim zgruchotać. Albo miał *angreal*, albo Lanfear bawiła się nim niczym zabawką. To było bez znaczenia. Moiraine nie podobał się ten krążek wyrzeźbiony z pociemniałej ze starości kości słoniowej. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to ciało akrobaty, który wygięty do tyłu chwycił się za kostki u nóg. Dopiero bliższe zbadanie ujawniało, że przeguby i kostki ma związane. Nie podobał jej się, ale sama go zabrała z Rhuidean. Wczoraj wyjęła tę bransoletę z worka wypełnionego rupieciami i położyła pod framugą.

Moiraine była drobną, niską kobietą. Ciężar jej ciała nie wstrząsnął wozem, kiedy podciągnęła się do góry. Skrzywiła się, gdy jej suknia zahaczyła o jakąś drzazgę i rozdarła, ale Lanfear nawet się nie obejrzała. Tamta potrafiła dać sobie radę z każdym zagrożeniem z wyjątkiem Randa; on był jedynym zakątkiem świata, którego istnienie przyjmowała do wiadomości, przynajmniej w tym momencie.

Tłamsząc niewielki płomyk nadziei — nie mogła sobie pozwolić na taki luksus — Moiraine utrzymała równowagę, stanawszy prosto na buforze wozu, po czym objęła Prawdziwe Źródło i skoczyła w stronę Lanfear. Przeklęta chwilę wcześniej otrzymała ostrzeżenie, dzięki czemu zdążyła się odwrócić, kiedy Moiraine ją zaatakowała, wyrywając bransoletę z rąk. Twarzą w twarz runęły do wnętrza *ter'angreala*. Wszystko utonęło w powodzi białego światła.

ZAMIERAJĄCE SŁOWA

Pograżony w odmętach kurczącej się Pustki, Rand zobaczył Moiraine, która wypadła jakby z nicości, by stanąć do walki wręcz z Lanfear. Atak skierowany przeciwko niemu ustał, kiedy kobiety skoczyły głowami naprzód do wnętrza *ter'angreal*, otoczone nie zamierającym błyskiem białego światła; wypełniło ono lekko wykrzywioną framugę z czerwonego kamienia, jakby usiłowało przelać się przez nią i uderzyć w jakąś niewidzialną barierę. Wokół *ter'angreal* rodziły się coraz gwałtowniejsze łuki srebrnych i niebieskich błyskawic; powietrze zaskwierczało chropawym zgrzytem.

Rand wyprostował się chwiejnie. Ból nie ustał do końca, ale czuł ucisk, który stanowił obietnicę jego kresu. Wzrok nie chciał się oderwać od *ter'angreal*.

„Moiraine”.

Jej imię zawisło we wnętrzu głowy, sunęło przez Pustkę.

Obok niego słaniał się Lan, wczepiony w ścianę wozu, pochylając się, jakby jedynie ruch do przodu mógł go uchronić przed upadkiem.

W danej chwili Rand nie potrafił zrobić nic więcej, tylko stać. Przeniósł, pochwyił Strażnika w strumienie Powietrza.

— Nic... nic nie zrobisz, Lan. Nie możesz iść za nią.

— Wiem — odparł bezradnie Lan. Pochwycony w pół kroku, nie wyrwał się, tylko wpatrywał w *ter'angreal*, który pochłonał Moiraine. — Oby Światłość zesłała mi pokój, wiem.

Wóz zajął się ogniem. Rand usiłował zdusić płomień, ale ledwie odsączył żar od jednego skupiska ognia, błyskawice wnet rozpałały następne. Sama framuga, mimo iż zbudowana z kamienia, zaczynała już dymić białym gryzącym dymem, który gromadził się gęstymi kłębami pod szarą kopułą. Lekki podmuch wystarczył, by poparzyć mu nozdrza i wywołać kaszel; skóra szczypała i piekła tam, gdzie otarł się o nią ogień. Pospiesznie rozwiązał sploty kopuły, rozegnał ją, zamiast czekać aż sama się rozwieje i utkał wokół wozu wysoki komin z Powietrza, lśniący niczym szkło, by jak najwyżej odprowadzić wyziewy. Dopiero wtedy puścił Lana. Nie wykluczał możliwości, że Strażnik i tak pójdzie śladem Moiraine, jeśli uda mu się dotrzeć do wozu. Wszystko już płonęło, łącznie z framugą z czerwonego kamienia, topniejącą niczym wosk, ale dla Strażnika mogło to nie

mieć znaczenia.

— Ona zginęła. Nie czuję jej obecności. — Te słowa brzmiały tak, jakby ktoś je wydzierał z piersi Lana. Odwrócił się i zaczął iść wzdłuż szeregu wozów, nie oglądając się za siebie.

Kiedy odprowadzał Strażnika wzrokiem, zauważył Aviendhę; klęczała, tuląc do siebie Egwene. Wypuściwszy *saidina*, puścił się biegiem w dół nabrzeża. Fizyczny ból, dotąd odległy, runął na niego z całą swoją mocą, ale mimo to biegł dalej niezdarnymi susami. Był tam również Asmodean, rozglądał się dookoła, jakby się spodziewał, że Lanfear zaraz wyskoczy zza jakiegoś wozu albo przewróconej fury z ziarnem. A także Mat, który przykucnął z włócznią wspartą o ramię, wachlował Egwene kapeluszem.

Rand zatrzymał się z poślizgiem.

— Czy ona...?

— Nie wiem — odparł ponuro Mat.

— Jeszcze oddycha. — Głos Aviendhy wskazywał, że nie jest pewna, jak długo to potrwa, ale Egwene otworzyła gwałtownie oczy, kiedy Amys z Bair przechnęły się brutalnie obok Randa, razem z nimi Melaine i Sorilea. Mądre przyklekły ciasną gromadką wokół młodszych kobiet i mruczac coś pod nosem i wzajem do siebie, zabrały się za badanie Egwene.

— Czuję... — zaczęła słabym głosem Egwene i urwała, by przełknąć ślinę. Jej twarz przybrała barwę bezkrwistej bieli. — Boli... mnie. — Z jednego oka pociekła łza.

— I nie dziwota, że boli! — rzekła żwawym głosem Sorilea. — Tak to się właśnie kończy, gdy dajesz się wciągnąć w knowania jakiegoś mężczyzny.

— Ona nie może iść z tobą, Randzie al'Thor. — Słonecznowłosa, piękna Melaine była jawnie rozzłoszczona, ale nie patrzyła na niego; mógł to być gniew na niego albo gniew na to, co się stało.

— Będę... będę zdrowa jak źródłana woda... niech tylko trochę odpocznę — wyszeptała Egwene.

Bair zwilżyła szmatkę wodą z worka i ułożyła ją na czole Egwene.

— Wyzdrowiejesz, jednakże musisz długo odpoczywać. Obawiam się, że tej nocy nie spotkasz się z Nynaeve i Elayne. Przez kilka dni nie wolno ci wchodzić do *Tel'aran'rhiod*, dopóki nie nabierzesz sił. Nie rób takiej zaciętej miny, dziewczyno. W razie konieczności, będziemy pilnowały twoich snów, ale oddamy cię pod opiekę Sorilei, jeśli tylko pomyślisz o okazaniu nieposłuszeństwa.

— Nie okażesz mi nieposłuszeństwa więcej niż raz, czy jesteś Aes Sedai czy nie — dodała Sorilea, ale z odrobiną sympatii w głosie, która kontrastowała z ponurym wyrazem zmarszczonego oblicza. Na twarzy Egwene odmalowała się wyraźna frustracja.

— Ja przynajmniej czuję się na tyle dobrze, by zrobić to, co trzeba — oznajmiła Aviendha. Prawdę powiedziawszy, wyglądała wcale nie mniej mizernie niż

Egwene, ale zdobyła się na to, by butnie spojrzeć na Randa, najwyraźniej spodziewając się kłótni. Jej buta przyblakła nieco, kiedy zorientowała się, że cztery Mądre na nią patrzą. — Nic mi nie jest — mruknęła.

— Ma się rozumieć — odparł głucho Rand.

— Nic mi nie jest — powtórzyła uparcie. Na jego użytek starannie unikała wzroku Mądrych. — Lanfear trzymała mnie chwilę krócej niż Egwene. To wystarczyło, by teraz każda z nas znajdowała się w innym stanie. Mam *toh* wobec ciebie, Randzie al'Thor. Gdyby to potrwało kilka chwil dłużej, to już byśmy, moim zdaniem, nie żyły. Ona była bardzo silna. — Wzrok Aviendhy pomknął w stronę płonącego wozu. Gwałtowne płomienie sprowadziły go do bezkształtnego stosu zwęglonego drewna we wnętrzu szklanego komina; *ter'angreal*a z czerwonego kamienia w ogóle już nie było widać. — Nie widziałam wszystkiego, co zaszło.

— One są... — Rand kaszlnął. — One obie zniknęły. Lanfear nie żyje. Podobnie Moiraine. Egwene wybuchnęła płaczem, wstrząsana spazmami w objęciach Aviendhy. Aviendha położyła głowę na ramieniu przyjaciółki, jakby i ona również miała się zaraz rozpłakać.

— Jesteś głupcem, Randzie al'Thor — powiedziała Amys, wstając. Zdziwiająco młodzieńcza twarz pod szarfą opasującą skroń, okolona siwymi włosami, była twarda jak kamień. — Odnośnie do tej i wielu innych rzeczy jesteś głupcem.

Odwrócił się, by nie patrzeć na oskarżenie w jej oczach. Moiraine nie żyła. Nie żyła, bo on nie umiał się zmusić do zabicia Przeklętej. Nie wiedział, czy pragnie zapłakać, czy raczej śmiać się jak szalony; gdyby zaczął obojętnie co, to chyba, jak mu się zdawało, nie mógłby przestać.

* * *

Nabrzeże, które opustoszało, kiedy stworzył kopułę, na nowo wypełnili ludzie, aczkolwiek mało kto podchodził blisko mglistego, szarego muru. Mądre zajęły się opatrywaniem poparzonych, udzielaniem pociechy umierającym, w asyście odzianych na białą *gai'shain* i mężczyzn w *cadin'sor*. Pojękiwania i krzyki dosięgały go niczym ciosy noża. Nie był dostatecznie szybki. Moiraine nie żyła; żadnego Uzdrawiania nawet dla najciężej rannych. Bo on...

„Ja nie mogłem. Światłości, dopomóż mi, nie mogłem!”

Coraz więcej Aielów go obserwowało, niektórzy teraz dopiero odsłaniali twarze; nadal nie widział ani jednej Panny. Byli tam nie tylko Aielowie. Dobraine z gołą głową na czarnym wałachu, nie odrywający wzroku od Randa, i niewiele dalej Talmanes. Nalesean i Daerid, którzy siedzieli na koniach i obserwowali Mata niemal równie bacznie jak Randa. Na szczytach murów miasta stali ludzie,

obrysowani i spowici przez cień rzucający przez słońce, jeszcze ich więcej stało pod ścianami z zasłon. Dwie z tych ocienionych sylwetek odwróciły się, kiedy zadarł głowę, spostrzegły się wzajem z tej odległości zaledwie dwudziestu kroków i jakby odrzuciło je ze wstrętem. Gotów był iść o zakład, że to Meilan i Maringil.

Lan wrócił z końmi, czekał przy ostatnim wozie w szeregu, gładząc biały pysk Aldieb, klaczy Moiraine.

Rand podszedł do niego.

— Przykro mi, Lan. Gdybym był szybszy, gdybym... — Ciężko wypuścić powietrze z płuc.

„Nie mogłem zabić jednej, więc zabiłem inną. Światłości, odbierz mi wzrok!”

Gdyby Światłość to uczyniła, właśnie w tym momencie, naprawdę by się nie przejął.

— Koło się obraca. — Lan podszedł do Mandarba, aby sprawdzić popręg czarnego ogiera. — Była żołnierzem, wojowała na własny, odrębny sposób, podobnie jak ja. Przez te ostatnie dwadzieścia lat mogło już do tego dojść ze dwieście razy. Ona o tym wiedziała i ja też. To był dobry dzień, żeby umrzeć. — Mówił głosem twardym jak zawsze, jednak wokół chłodnych niebieskich oczu wykwitły czerwone obwódki.

— A mimo to jest mi przykro. Powinienem był... — Tego człowieka nie pocieszą żadne „powinienem” i dlatego właśnie wgryzały się one tak mocno w duszę Randa. — Mam nadzieję, że wciąż pozostaniesz moim przyjacielem, Lan, mimo... cenię sobie twoje rady i twoje lekcje miecza... będę potrzebował i jednego, i drugiego w najbliższych dniach.

— Jestem twoim przyjacielem, Rand, ale zostać nie mogę. — Lan wskoczył na siodło. — Moiraine zrobiła ze mną coś, czego nie robiono od setek lat, czego nie robiono od czasów, gdy Aes Sedai wciąż jeszcze łączyły więzią zobowiązania Strażnika niezależnie od tego, czy on tego chciał, czy nie. Ona zmieniła moje zobowiązanie w taki sposób, że wraz z jej śmiercią przeszło na inną. Teraz muszę tę inną odnaleźć, zostać jednym z jej Strażników. Już nim jestem. Czuję ją słabo, gdzieś daleko na zachodzie i ona czuje mnie. Muszę jechać, Rand. To część tego, co zrobiła Moiraine. Powiedziała, że nie da mi czasu na to, bym umarł, mszcząc ją.

Ścisnął wodze, jakby powstrzymywał Mandarba, jakby hamował samego siebie przed spięciem go ostrogami.

— Jeśli jeszcze kiedyś zobaczysz Nynaeve, powiedz jej... — Na krótką chwilę kamienna twarz wykrzywiła się w udręce; na chwilę, po czym na powrót zmieniła się w granit. Mruknął coś pod nosem, ale Rand i tak usłyszał. — Czysta rana goi się najszybciej i boli najkrócej.

A potem głośno dodał:

— Powiedz jej, że znalazłem inną. Zielone siostry bywają tak bliskie swym Strażnikom, jak inne kobiety są bliskie swym mężom. Pod każdym względem.

Przekaż jej, że zniknąłem, by stać się kochankiem i mieczem jakiejś Zielonej siostry. Takie rzeczy się zdarzają. Dużo czasu minęło, odkąd widziałem ją po raz ostatni.

— Powiem jej, co zechcesz, Lan, ale nie wiem, czy mi uwierzy.

Lan wychylił się z siodła, by ścisnąć silnie ramię Randa. Rand pamiętał, że tego człowieka nazywano na poły oswojonym wilkiem, ale w porównaniu z tymi oczyma, ślepie wilka równie dobrze mogłyby należeć do salonowego pieska.

— Na wiele sposobów jesteśmy do siebie podobni, ty i ja. Jest w nas czern. Czern, ból, śmierć. One z nas promieniają. Jeżeli kiedykolwiek pokochasz jakąś kobietę, Rand, porzuć ją i daj jej poszukać kogoś innego. Lepszego podarunku jej nie ofiarujesz. — Wyprostowawszy się, uniósł jedną rękę. — Oby pokój był przychylny twemu mieczowi. *Tai'shar* Manetheren. — Starożytny salut. Prawdziwa krew Manetheren.

Rand podniósł rękę.

— *Tai'shar* Malkier.

Lan uderzył piętami boki Mandarba i ogier skoczył naprzód, przepędzając Aielów i innych ze swej drogi, jakby zamierzał galopować do samego końca, do tego miejsca, gdzie kierował się ostatni z Malkier.

— Oby ostatni uścisk matki powitał cię w domu, Lan — mruknął Rand i zadrżał. Tak brzmiała formuła ceremonii pogrzebowej w Shienarze i na całych Ziemiach Granicznych.

Aielowie, ludzie na murach nadal go obserwowali. Wieża pozna przebieg wydarzeń tegoż dnia albo jakąś jego wersję tak szybko, jak dotrze do niej gołąb. Jeżeli Rahvin miał również jakiś sposób na prowadzenie obserwacji — wystarczył jeden kruk w mieście, jeden szczur tu, nad rzeką — to z pewnością nie będzie się tego dnia niczego spodziewał. Elaida pomyśli, że jest osłabiony, być może bardziej podatny na wpływy. Rahvin natomiast. . .

Dotarło do niego, co robi, i skrzywił się.

„Przestań! Przynajmniej na jedną minutę, przestań i opłakuj!”

Nie pragnął tych wszystkich utkwionych w nim spojrzeń. Aielowie cofali się przed nim równie skwapliwie jak przedtem przed Mandarbem.

Biuro komendanta portu składało się z pojedynczej kamiennej izby, obwieszanej w krąg półkami pełnymi ksiąg, pergaminów i dokumentów; jej wnętrze oświetlały dwie lampy ustawione na prostym stole, na którym leżały pieczęcie podatkowe i plomby celne. Rand zatrzasnął za sobą drzwi, żeby odgradzić się od tych oczu.

Moiraine nie żyła, Egwene była ranna, a Lan odjechał. Wysoka cena, którą mu przyszło zapłacić za śmierć Lanfear.

— Opłakuj, a żebyś szczęśliwy! — warknął. — Zasłużyła na tyle! Czy nie zostało w tobie już żadnych uczuć? — Przede wszystkim jednak czuł się odrętwiały. Czuł w ciele ból, ale pod bólem była martwota.

Zgarbiwszy ramiona, wepchnął ręce do kieszeni i wymacał listy Moiraine. Wyciągnął je powoli. Jakież sprawy, które powinien przemyśleć, powiedziała. Wepchnąwszy list do Thoma z powrotem, przełamał pieczęć na drugim. Stronice były gęsto zapisane eleganckim pismem Moiraine.

Te słowa zblakną w kilka chwil po tym, kiedy ten list opuści twoje dłonie — zabezpieczenie przywiązane do ciebie — więc postępuj z nim ostrożnie. Czytasz to, a zatem wydarzenia w porcie rozegrały się tak, jak się spodziewałam. . .

Przerwał na chwilę, wytrzeszczając oczy, i szybko powrócił do lektury.

Od pierwszego dnia, kiedy dotarłam do Rhuidean, wiedziałam — nie musisz zachodzić w głowę, skąd miałam tę informację; niektóre tajemnice należą do innych i ja ich nie zdradzę — że któregoś dnia do Cairhien dotrą wieści o Morgase. Nie wiedziałam, co to będzie — czy to, co do nas dotrze, jest prawdą, oby Światłość zlitowała się nad jej duszą; samowolna i uparta, niekiedy zdradzała usposobienie Iwicy, ale nade wszystko była dobrą i łaskawą królową — jednakże za każdym razem te wieści wiodły nas następnego dnia do portu. Od portu wiodły trzy odgałęzienia, ale skoro ty to czytasz, to znaczy, że nie ma mnie już i Lanfear podobnie. . .

Rand zacisnął list w dłoniach. Ona wiedziała. Wiedziała, a mimo to sprowadziła go tutaj. Pospiesznie wygładził zmięty papier.

Pozostałe dwie ścieżki były znacznie gorsze. Na końcu jednej Lanfear zabijała ciebie. Na końcu drugiej uprawiała ciebie, a kiedy znowu mieliśmy cię zobaczyć, nazywałeś się Lews Therin Telamon i byłeś jej wiernym kochankiem. Mam nadzieję, że Egwene i Avien-dha wyszły z tego cało. Widzisz, ja nie wiem, co się stanie w świecie potem, z wyjątkiem być może jednej drobnostki, która ciebie nie zainteresuje.

Nie mogłam ci powiedzieć z tego samego powodu, z jakiego nie mogłam powiedzieć Lanowi. Nawet gdybyś wiedział, co masz do wyboru, nie mogłam być pewna, na co się zdecydujesz. Mężczyźni z Dwu Rzek, jak się zdaje, przechowują w sobie Manetheren, wątki, które dzielą z mężczyznami z Ziemi Granicznych. Powiadają, że mieszkaniec Ziemi Granicznych przyjmie cios sztyletu, by uchronić kobietę przed krzywdą i uzna to za szlachetny postępek. Wolałam nie ryzykować, że postawisz moje życie ponad swoim, pewna, że w jakiś sposób mógłbyś ominąć swe przeznaczenie. Nie ryzyko, obawiam się, ale głupia pewność, czego z pewnością dowiódł ten dzień. . .

— Mój wybór, Moiraine — mruknął. — To był mój wybór.

Kilka ostatnich uwag.

Jeśli Lan jeszcze nie odjechał, to przekaz mu, że to, co mu zrobiłam, zrobiłam w imię wyższego dobra. Zrozumie to któregoś dnia i, mam nadzieję, będzie mnie za to błogosławił.

Nie ufaj bezgranicznie żadnej kobiecie, która jest Aes Sedai. Nie mówię tu wyłącznie o Czarnych Ajah, aczkolwiek tych zawsze winieś się strzec. Bądź równie podejrzliwy względem Verin, jak jesteś względem Alviarin. Od trzech tysięcy lat świat tańczy tak, jak my mu śpiewamy. Trudno zerwać z tym nałogiem, o czym sama się przekonałam, tańcząc do twojej pieśni. Ty musisz być wolny w tańcu, a nawet te moje siostry, którym przyświecają jak najlepsze intencje, mogą próbować kierować twoimi krokami tak, jak ja to kiedyś czyniłam.

Proszę, postaraj się dostarczyć mój list Thomowi Merrilinowi, kiedy go znowu zobaczysz. Jest taka jedna sprawa, o której kiedyś mu opowiedziałam i teraz muszę mu ją wyjaśnić, żeby odzyskał spokój umysłu.

Na koniec, strzeż się pana Jasina Nataela. Nie mogę w pełni aprobować, ale rozumiem. Być może był to jedyny sposób. Mimo to uważaj na niego. On jest obecnie takim samym człowiekiem, jakim był zawsze. A ty zawsze o tym pamiętaj.

Oby Światłość cię opromieniała i chroniła. Poradzisz sobie.

List był podpisany po prostu „Moiraine”. Prawie nigdy nie używała nazwy swego Domu.

Jeszcze raz przeczytał uważnie przedostatni fragment. W jakiś sposób dowiedziała się, kim jest Asmodean. Musiało tak być. Wiedziała, że stoi przed nią jeden z Przeklętych, a nawet nie mrugnęła. Znała też przyczynę, o ile odczytał jej słowa prawidłowo. Mógłby pomyśleć, że w liście, który miał wyblaknąć, kiedy go odłoży, powinna była zdobyć się na szczerą i jasno sformułować, co miała na myśli. Nie tylko w związku z Asmodeanem. O tym, jak się tego wszystkiego dowiedziała w Rhuidean — czegoś, co miało coś wspólnego z Mądrymi albo on źle zgadywał, a szans, że wyciągnie coś z nich, miał tyle samo co w liście — na temat Aes Sedai, czy istniał powód, dla którego wymieniła Verin? I dlaczego Alviarin zamiast Elaidy? — nawet na temat Thoma i Lana. Z jakiegoś powodu nie wierzył, by zostawiła list dla Lana; Strażnik nie był jedynym, który wierzył w czyste rany. Niewiele brakowało, a byłby wyjął i otworzył list do Thoma, ale mogła go otoczyć takimi samymi zabezpieczeniami, jakimi otoczyła jego list. Aes Sedai i Cairhienianka otaczała się tajemnicą i manipulowała do samego końca. Do samego końca.

Tego właśnie próbował uniknąć mimo całej jej paplaniny o tym, że dochowuje tajemnic. Wiedziała, co się stanie, a mimo to poszła, odważna jak Aiel. Poszła na śmierć, wiedząc, co ją czeka. Umarła, bo on nie mógł się zmusić do zabicia Lanfear. Nie umiał zabić jednej kobiety, więc zginęła inna. Jego wzrok padł na ostatnie zdanie.

... Poradzisz sobie”.

Cięło niczym zimna brzytwa.

— Dlaczego płaczesz tu samotnie, Randzie al’Thor? Słyszałam, że niektórzy mieszkańcy mokradeł uważają, że to wstyd, jak ktoś zauważy, że płaczą.

Spojrzał spode łba na stojącą na progu Sulin. Była w pełnym uzbrojeniu, z łukiem na plecach, kołczanem u pasa, okrągłą skórzaną tarczą i trzema włóczniami w ręku.

— Ja wcale nie... — Miał wilgotne policzki. Otarł je. — Gorąco tutaj. Poce się jak... Czego chcesz? Myślałem, że wszystkie postanowiłyście opuścić mnie i wrócić do Ziemi Trzech Sfer.

— To nie my cię porzuciłyśmy, Randzie al’Thor. — Zamknawszy za sobą drzwi, usiadła na podłodze, układając obok tarczę i włócznie. — To ty porzuciłeś nas. — Przydepnęła stopą ostatnią włócznię, którą jeszcze trzymała w dłoniach, przycisnęła ją i krótkie drzewce pękło na pół.

— Co ty wyprawiasz? — Odrzuciła szczątki na bok i podniosła drugą włócznię. — Co ty wyprawiasz, pytam? — Na widok twarzy siwowłosej Panny nawet Lan byłby się zawahał, ale Rand pochylił się i wyrwał włócznię z jej rąk; obuta w miękkie kamasz stopa spoczęła na jego dłoni. Nie lekko.

— Ubierzesz nas w spódnice, zmusisz do zamażpójścia i doglądania paleniska? Czy raczej mamy leżeć obok twojego ognia i lizać cię po ręce, kiedy nam rzucisz ochłap mięsa? — Napięła się i włócznia pękła, kalecząc mu drzazgami wnętrze dłoni.

Cofnął gwałtownie uwolnioną dłoń, z przekleństwem strząsając kropelki krwi.

— Niczego takiego nie zamierzam. Myślałem, że zrozumiecie. — Wzięła ostatnią włócznię, przydepnęła ją, a wtedy przeniósł, tkając Powietrze w unieruchamiający ją splot. Wpatrywała się weń bez słowa. — A żebyśmy szczeł, nic nie mówiłyście! Dlatego odsunąłem Panny od bitwy z Couladinem. Nie wszyscy walczyli tamtego dnia. A wy ani razu nie powiedziałyście ani jednego słowa.

Oczy Sulin rozszerzyły się z niedowierzaniem.

— Ty nas trzymałeś z dala od tańca włóczni? To my cię trzymałyśmy z dala od tańca. Byłeś jak dziewczyna świeżo poślubiona włóczni, żądny pognać i zabić Couladina, w ogóle nie myśląc, że jakaś włócznia może cię trafić od tyłu. Jesteś *Car’a’carnem*. Nie masz prawa niepotrzebnie ryzykować własne życiem. — Głos jej zubożał. — Teraz wyprawiasz się do walki z Przeklętymi. Ta tajemnica jest dobrze strzeżona, ale ja słyszałam dość od tych, którzy dowodzą innymi społecznościami.

— I od tej walki też chcecie mnie odsunąć? — spytał cicho.

— Nie bądź głupcem, Randzie al'Thor. Z Couladinem każdy mógłby tańczyć włącznie; rozumowałeś jak dziecko, ważąc się na takie ryzyko. Jednak z Poświęconym Cieniowi nikt nie może się zmierzyć, nikt prócz ciebie.

— No to dlaczego...? — Urwał, bo już znał odpowiedź. Po całym tym krwawym dniu bitwy przeciwko Couladinowi wmówił sobie, że one nie będą mu miały tego za złe. Chciał wierzyć, że tak będzie.

— Wybrano już tych, którzy pójdą z tobą. — Słowa te padały z jej ust niczym kamienie ciskane z wielką siłą. — Mężczyźni ze wszystkich społeczności. Mężczyźni. Nie ma żadnych Panien, Randzie al'Thor. W rękach *Far Dareis Mai* spoczywa twój honor, a ty nam odbierasz nasz.

Zrobił głęboki wdech, gorączkowo szukając słów.

— Ja... ja nie mogę patrzeć na umierającą kobietę. Nie cierpię tego widoku, Sulin. Cały się w środku skręcam. Nie mógłbym zabić kobiety, choćby od tego zależało moje życie. — W rękę zaszeleściły mu stronice listu Moiraine. Martwej, bo nie umiał zabić Lanfear. Nie zawsze tylko jego życie. — Sulin, wolałbym sam ruszyć na Rahvina, niż patrzeć, jak jedna z was umiera.

— To głupota. Każdy potrzebuje kogoś, kto będzie strzegł jego pleców. A więc tu idzie o Rahvina. Nawet Roidan z Wędrowców Burzy i Turol z Kamiennych Psów zachowali to w tajemnicy. — Zerknęła na swoją uniesioną stopę, przywarła do włóczni za sprawą tych samych splotów, które unieruchomiły jej rękę. — Uwolnij mnie, to porozmawiamy.

Po chwili wahania odwiązał splot. Był w razie potrzeby gotów znowu ją unieruchomić, ale ona tylko skrzyżowała nogi i nadal siedziała, podrzucając włócznię w dłoniach. — Czasami zapominam, że zostałeś zrodzony z naszej krwi, Randzie al'Thor. Posłuchaj mnie. Ja jestem, czym jestem. A oto, czym jestem. — Uniosła włócznię.

— Sulin...

— Posłuchaj, Randzie al'Thor. Ja jestem włócznie. Kiedy kochanek wkra-
cza między mnie a włócznię, wybieram włócznię. Niektóre wybierają inną drogę. Stwierdzają, że już dostatecznie długo biegały z włócznie, chcą mieć męża, dziecko. Ja nigdy nie chciałam niczego innego. Żaden wódz nie wahałby się posłać mnie tam, gdzie taniec jest najzagorzalszy. Gdybym tutaj umarła, moje pierwsze-siostry opłakiwałyby mnie, ale nawet na paznokiec bardziej, niż kiedy poległ mój pierwszy-brat. Zabójca drzew, który wbiłby mi podczas snu nóż w serce, uczyniłby mi większy honor niż ty. Rozumiesz teraz?

— Rozumiem, ale... — Naprawdę rozumiał. Ona nie chciała, żeby robił z niej kogoś, kim w rzeczywistości nie była. Wystarczy, jeśli zechce patrzeć, jak ona umiera. — Co się stanie, gdy złamiesz ostatnią włócznię?

— Jeśli nie będę miała honoru w tym życiu, to może będę go miała w następnym. — Powiedziała to takim tonem, jakby to było tylko kolejne wyjaśnienie.

Potrzebował chwili, żeby to pojąć. Wystarczy tylko... jeśli zechce patrzeć, jak ona umiera.

— Nie pozostawiasz mi żadnego wyboru, prawda? — Nie więcej niż Moiraine.

— Zawsze jest jakiś wybór, Randzie al'Thor. Ty masz jakiś wybór i ja też mam jakiś. *Ji'e'toh* nie pozwala na nic innego.

Miał ochotę warknąć na nią, przekląć *ji'e'toh* i każdego, kto go wyznawał.

— Wybierz swoje Panny, Sulin. Nie wiem, ile ich mogę zabrać, ale *Far Dareis Mai* będzie tyle samo co przedstawiciele innych społeczności.

Przemaszerował obok niej; na jej twarzy nagle rozbłysł uśmiech. Nie uśmiech ulgi, ale zadowolenia. Zadowolenia, że będzie miała szansę umrzeć. Powinien ją był zostawić opakowaną w *saidina*, zostawić tak i zająć się nią dopiero po powrocie z Caemlyn. Otworzywszy z trzaskiem drzwi, wyszedł na nabrzeże — i stanął jak wryty.

Enaila stała na czele szeregu Panien, wszystkich bez wyjątku z trzema włóczniami w ręku, szeregu, który wiódł od drzwi i znikał w najbliższej z bram miasta. Niektórzy z Aielów zgromadzonych na nabrzeżu mierzyli je zaciekawionym wzrokiem, ale była to sprawa między *Far Dareis Mai* a *Car'a'carnem*, w którą żadna inna społeczność nie miała prawa wtykać nosa. Amys i trzy albo cztery inne Mądre, które kiedyś były Pannami, obserwowały je znacznie uważniej. Większość nie Aielów odeszła, z wyjątkiem kilku mężczyzn nerwowo stawiających przeciwko furze z ziarnem i usiłujących patrzeć w inną stronę. Enaila zrobiła krok w kierunku Randa, po czym zatrzymała się i uśmiechnęła, kiedy zobaczyła wychodzącą Sulin. Nie z ulgą. Z zadowoleniem. Uśmiechy zadowolenia przebiegły po całym szeregu Panien. Uśmiechy wykwitły także na twarzach Mądrych, Amys zaś ostro skinęła głową, jakby on wreszcie położył kres jakiemuś idiotycznemu zachowaniu.

— Już myślałam, że będą tam wchodzić jedna po drugiej i całować, żeby ci ująć frasunku — powiedział Mat.

Rand spojrzął na niego spod zmarszczonego czoła; stał sobie tam, wsparty a włócznię, szczerze uśmiechnięty, w kapeluszu z szerokim rondem zsuniętym na tył głowy.

— Jak możesz się tak cieszyć?

W powietrzu nadal unosiła się woń spalonego ciała, wciąż było słychać jęki poparzonych mężczyzn i kobiet, opatrywanych przez Mądre.

— Bo żyję — warknął Mat. — A co mam twoim zdaniem robić? Płakać? — Zawstydzony wzruszył ramionami. — Amys twierdzi, że Egwene naprawdę wydobrzeje za kilka dni. — I wtedy się wreszcie rozejrzył, ale sprawiał wrażenie, jakby nie chciał widzieć tego, na co patrzył. — Niech szczenę, jeśli mamy to zrobić, to zróbmy to. *Dovie'andi se tovyo sagain*.

— Co?

— Powiedziałem, że czas rzucić kości. Czy Sulin zatkała ci uszy?

— Czas rzucić kości — zgodził się Rand. Płomienie w szklanym komi-
nie z Powietrza zgasły, ale biały dym jeszcze się kłębił, jakby nadal trawiły
ter'angreal.

„Moiraine”.

Powinien był... Co się stało, już się nie odstanie. Panny gromadziły się tłum-
nie wokół Sulin, tyle, ile ich mogło się zmieścić na nabrzeżu. Co się stało, to się
nie odstanie, i on będzie z tym musiał żyć. Od tego, z czym musiał żyć, uwolni go
dopiero śmierć.

— Zróbmy to.

DO CAEMLYN

Pięćset Panien, z Sulin na czele, towarzyszyło Randowi w drodze powrotnej do Pałacu Królewskiego, gdzie na wielkim dziedzińcu przednich bram oczekiwał go Bael razem z Wędrowcami Burzy, Czarnymi Oczami, Poszukiwaczami Wody oraz przedstawicielami wszystkich społeczności; ich rzesze wypełniły po brzegi dziedzińiec i wszystkimi drzwiami, wliczywszy najskromniejsze wejścia dla służby, wdzierali się tłumnie do pałacu. Niektórzy obserwowali z niższych okien, czekając na swoją kolej, by wyjść na zewnątrz. Na otaczających dziedzińiec kamiennych balkonach było pusto. Tylko jeden człowiek wśród oczekujących nie był Aielem; Tairenianie i Cairhienianie — zwłaszcza Cairhienianie trzymali się z dala od wszelkich zgromadzeń Aielów. Odszczepieniec stał nad Baelem, na szerokich, szarych stopniach wiodących do pałacowych wnętrz. Pevin, z purpurowym sztandarem obwisłym martwo z drzewca, nie wyrażał swoją twarzą nic więcej niż przy innych okazjach, mimo iż zewsząd otaczali go Aielowie.

Aviendha, za siodłem Randa, przywarła do niego całym ciałem, przyciskając piersi do jego pleców, aż do momentu, kiedy zsiadł z konia. Między nią a kilkoma Mądrymi doszło w porcie do wymiany zdań, jego zdaniem nie przeznaczony dla jego uszu.

* * *

— Podążaj w Światłości — powiedziała Amys, dotknąwszy twarzy Aviendhy. — I strzeż go mocno. Wiesz, ile od niego zależy.

— Wiele zależy od was obojga — dodała Bair, niemal w tym samym momencie, kiedy Melaine rzekła z irytacją: — Byłoby łatwiej, gdyby ci się nareszcie powiodło.

Sorilea zachnęła się głośno.

— Za moich czasów nawet Panny wiedziały, jak radzić sobie z mężczyznami.

— Powiodło jej się lepiej, niż wam wiadomo — powiedziała im Amys. Aviendha potrząsnęła głową; bransoleta z kości słoniowej, rzeźbiona w róże i ciernie,

zsunęła jej się z ramienia, kiedy podniosła rękę, by ubiec drugą kobietę, ale Amys ciągnęła dalej, niweczając jej próbę protestu. — Czekałam, aż sama nam to powie, ale ponieważ. . .

W tym momencie zauważyła go, stojącego w odległości zaledwie dziesięciu stóp, z wodzami Jeade'ena w ręku, i umilkła raptownie. Aviendha odwróciła się, by sprawdzić, na co Amys tak patrzy. Kiedy odszukała go wzrokiem, jaskrawa purpura zalała jej twarz, po czym wyciekła tak nagle, że nawet opalone policzki wydały się blade. Cztery Mądre utkwily w nim beznamietne, nieodgadnione spojrzenia.

Asmodean i Mat zaszli go od tyłu, prowadząc konie.

— Czy kobiety uczą się tego spojrzenia w kołysce? — mruknął Mat. — Czy raczej uczą je tego ich matki? Można by rzec, że nawet możnemu *Car'a'carnowi* opalą uszy, jeśli jeszcze dłużej będzie się tu kręcił.

* * *

Kręcąc głową, Rand wyciągnął rękę w górę, kiedy Aviendha przerzuciła nogę, by zsunąć się na ziemię, i zszedł ją z grzbietu jabłkowitego wierzchowca. Przez chwilę obejmował ją w talii, patrząc prosto w te czyste niebieskozielone oczy. Nie odwróciła wzroku, a wyraz jej twarzy na moment nie uległ zmianie, za to powoli zacisnęła dłonie na jego przedramionach. Cóż takiego niby miało jej się powieść? Myślał dotąd, że miała go szpiegować na rzecz Mądrych, ale wszystkie pytania, jakie dotychczas zadała odnośnie do rzeczy, które utrzymywał w tajemnicy przed Mądrymi, wypowiadała w jawnym gniewie, który odczuwała, wiedząc, że coś przed nimi ukrywa. Nigdy ukradkiem nie próbowała niczego wywęszyć. Walała pałką, jak najbardziej, ale nigdy nie węszyła. Zastanawiał się, czy ta możliwe, by upodobniła się do jednej z tych młodych kobiet Colavaere, ale tylko przez krótką chwilę, kiedy ten pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy. A poza tym, nawet gdyby tak rzeczywiście było, to dać mu się poznać, by wiedział, jak smakuje, a potem, po wszystkim, odmawiać mu nawet pocałunku, nie wspominając już o zmuszaniu, by ją ścigał przez połowę świata. To nie sposób, w jaki należało do tego podchodzić. Nawet jeśli była bardziej niż beztraska przy rozbieraniu się w jego obecności, to ostatecznie Aielowie hołdowali innym obyczajom. Zadowolenie, które czerpała z jego zakłopotania, wynikało zapewne z tego, że w jej mniemaniu robiła sobie z niego wspaniały żart. W czym więc miała odnieść powodzenie? Wszędzie otaczały go spiski. Czy każdy bez wyjątku coś knuł? Widział swoją twarz w jej oczach. Kto jej dał ten srebrny naszyjnik?

— Ja tam lubię się pomigdalić, tak jak każdy — powiedział Mat — ale czy

nie sądzisz, że za wielu ludzi wam się przygląda?

Rand puścił talię Aviendhy i zrobił krok w tył, ale wcale nie szybciej niż ona. A ona pochyliła głowę, udając, że coś robi ze spódnicami, mrużąc, że strasznie się zmięty od jazdy konnej, wcześniej jednakowoż zdążył zauważyć, że jej policzki zachodzą rumieńcem. Cóż, on wcale nie zamierzał jej zawstydząć.

Rozejrzawszy się chmurnym wzrokiem po dziedzińcu, powiedział:

— Mówiłem ci, że nie mam pojęcia, ilu mogę zabrać, Bael. — Kiedy Panny zaczęły wylewać się z bramy z powrotem na rampę, na dziedzińcu prawie nie można się było ruszyć. Pięciuset z każdej społeczności oznaczało sześć tysięcy Aielów; na wszystkich korytarzach w pałacu musiało być tłoczno.

Górujący nad nim wzrostem wódz wzruszył ramionami. Jak każdy Aiel w tym miejscu miał na głowie udrapowaną *shoufę*, gotów w każdej chwili zasłonić twarz. Nie miał jednak skroni przewiązanych purpurową przepaską, aczkolwiek zdawało się, że czarno-białe dyski nosi co najmniej połowa zgromadzonych.

— Pójdzie za tobą każda włócznia, która jest odpowiednia. Czy dwie Aes Sedai pojawią się niebawem?

— Nie. — Dobrze, że Aviendha dotrzymała obietnicy i więcej nie pozwoliła mu się tknąć. Lanfear próbowała zabić ją i Egwene, bo nie wiedziała, która z nich jest Aviendhą. Jak ta dotarło do Kadere, skoro jej o tym powiedział? Nieważne. Lan miał rację. Kobiety czekał ból — albo śmierć — kiedy zanadto się do niego zbliżyły. — One nie przyjdą.

— Krążą wieści o... kłopotach... nad rzeką.

— Wielkie zwycięstwo, Bael — odparł zmęczonym głosem Rand. — I zyskały wielki honor.

„Ale nie przeze mnie”.

Pevin wyminął Baela, by stanąć za ramieniem Randa ze sztandarem. Jego pościągła, pokryta bliznami twarz, była całkiem bez wyrazu.

— Czy to znaczy, że wiadomo już o tym w całym pałacu? — spytał Rand.

— Ja słyszałem — rzekł Pevin. Poruszył szczęką, przeżuując dalsze słowa. Rand wyszukał dla niego kaftan z dobrej, czerwonej wełny w zastępstwie tego połatanego, wieśniaczego i mężczyzna miał na nim wyhaftowane Smoki, wspinające się po obu stronach piersi. — Że się gdzieś wybrałeś. — Tymi słowami, jak się zdawało, wyczerpał cały swój zasób informacji.

Rand przytaknął. Plotki wyrastały w pałacu niczym grzyby po deszczu. Ale tylko tak długo, aż Rahvin się nie dowie. Omiótł wzrokiem kryte dachówkami dachy i szczyty wież. Żadnych kruków. Od jakiegoś czasu nie widział ani jednego kruka, ale słyszał, że inni je zabijali. Może te ptaszyska unikały go obecnie.

— Bądźcie gotowi. — Objął *saidina*, dryfując w Pustce, pozbawiony emocji.

U stóp schodów pojawiła się brama, z początku w postaci jasnej kreski, która zdawała się obracać, po czym otworzyła się prostokątnym otworem o szerokości czterech kroków. Z gardeł Aielów nie wydarł się nawet pomruk. Ci tuż za

nim widzieli go jakby za zadymionym szkłem, ciemnym iskrzeniem w powietrzu, ale równie dobrze mogli spróbować przejść przez jedną ze ścian pałacu. Z boku brama była niewidoczna, wyjąwszy tych kilku stojących najbliżej, którzy mogli zobaczyć coś, co wyglądało jak długi i napięty cienki włos.

Te cztery kroki stanowiło granicę tego, do czego Rand był zdolny. Człowiek działający w pojedynkę ma swoje ograniczenia, twierdził Asmodean; zdawało się, że jakieś ograniczenia istniały zawsze. Ilość zaczerpniętego *saidara* nie miała znaczenia. Jedyna Moc miała w rzeczy samej niewiele wspólnego z bramami; jedynie z ich tworzeniem. Dalej już szło o coś innego. Sen o śnie, tak to Asmodean nazywał.

Przestąpił przez bramę i stanął na czymś, co wyglądało jak kamień brukowy przeniesiony z dziedzińca, lecz tutaj szara kostka zawisała w samym środku niezgłębionej ciemności, sprawiając wrażenie, że we wszystkich kierunkach rozciąga się nicość. Nic, już przez całą wieczność. To nie przypominało nocy. Doskonale widział siebie samego i kamień. Ale poza tym wszystko, wszędzie, było czernią.

Nadszedł moment sprawdzenia, jak dużą platformę potrafi stworzyć. Wraz z tą myślą pojawiło się jeszcze więcej kamieni, duplikujących w każdym calu dziedzińca. Mimo to wyobraził go sobie jako większy. Szary kamień natychmiast rozciągnął się tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Wzdrygnąwszy się, zauważył, że jego wysokie buty zaczynają się zatapiać w kamiennym podłożu pod jego stopami; nie wyglądało inaczej, a mimo to ustępowało powoli niczym błoto, rozlewając się wokół podeszew. Pośpiesznie ściągnął wszystko na powrót do rozmiarów dziedzińca, który znajdował się za bramą — platforma widocznie stwardniała — po czym zaczął go znowu powiększać, dodając na brzegu po jednym rzędzie kamieni za jednym razem. Dość prędko uświadomił sobie, że nie powiększy platformy o powierzchnię wiele większą niż ta, która powstała przy pierwszej próbie. Kamień nadal wyglądał właściwie, nie zapadał się pod stopami, ale już przy drugim, dodanym rzędzie, sprawiał wrażenie... niematerialnego, niczym cienka skorupa, która mogła popękać, jeśli się na nią źle stąpnie. Czy to dlatego, że platforma osiągnęła już maksymalną, możliwą wielkość?

„Sami stwarzamy nasze własne ograniczenia”.

Ta myśl zaskoczyła go; nie wiadomo, skąd się wślizgnęła.

„I potem je poszerzamy, bardziej, niż mamy prawo”.

Rand poczuł, że przenika go dreszcz. W Pustce odczuwało się to tak, jakby to dygotał ktoś inny. Dobrze, że mu przypomniano, iż Lews Therin nadal tkwi w jego wnętrzu. Musi uważać, by nie dać się wciągnąć do bitwy o własną jaźń w trakcie konfrontacji z Rahvinem. Gdyby nie to, to mógłby... Nie. To, co się stało na nabrzeżu, stała się już; nie będzie podnosił z tego powodu larum w porze śniadania.

Zredukował platformę o jeden zewnętrzny pierścień kwadratowych kamieni i odwrócił się. Bael czekał na coś, co wyglądało jak ogromne, kwadratowe drzwi

prowadzące do światła dziennego, ze schodami z drugiej strony. Stojący u jego boku Pevin nie wyglądał wcale na bardziej poruszonego tym, co zobaczył niż wódz Aielów, innymi słowy, wcale. Pevin poniósłby sztandar wszędzie, dokądkolwiek Rand by się udał, nawet do Szczeliny Zagłady, i nawet by nie mrugnął. Mat zsunął kapelusz na tył głowy, żeby się w nią podrapać, po czym znowu nasunął go głęboko na czoło, mrużąc coś o kościach w głowie.

— Imponujące — rzekł cicho Asmodean. — Doprawdy imponujące.

— Pochlebstwa będziesz mu prawić kiedy indziej, harfiarzu — skarciła go Aviendha.

Ona pierwsza przeszła przez bramę, obserwując Randa, zamiast patrzeć, gdzie stawia stopę. Pokonała całą drogę do niego, ani razu nie spojrzawszy na nic prócz jego twarzy. Niemniej jednak, kiedy już do niego dotarła, nagle odsunęła się tanczącym ruchem, opuściła szal na łokcie i zbadła wzrokiem ciemność. Kobiety zachowywały się niekiedy dziwniej niż jakiekolwiek inne istoty stworzone przez Stwórcę.

Bael i Pevin przeszli tuż za nią, potem Asmodean, jedną dłonią przyciskając rzemyk od futerału harfy do piersi, drugą zaciskając na rękojeści miecza tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie, oraz Mat, z wyzywającą miną, ale odrobinę niechętny i burcząc coś pad nosem, jakby spierał się sam z sobą. W Dawnej Mowie. Sulin twierdziła, że honor jest pierwszy, ale wkrótce podążył za nią szeroki strumień, nie tylko Panien Włóczni, ale *Tain Shari*, Prawdziwej Krwi oraz *Far Aldazar Din*, Braci Orła; za nimi tłoczyły się Czerwone Tarcze i Biegacze Świtu, Kamienne Tarcze i Dłonie Noża, a także przedstawiciele wszystkich społeczności.

Ich rzesze rozrastały się, a tymczasem Rand przeszedł na przeciwległą stronę platformy. Nie musieli wiedzieć, dokąd się udaje, ale chciał tego. Co prawda mógł pozostać na tym drugim końcu albo przejść na bok. Kierunek tutaj był zmienny, którąkolwiek drogę by obrał, ta go zawsze miała zabrać do Caemlyn, jeśli wykona to poprawnie.. I w bezkresną czerń nicości, jeśli wszystko pójdzie źle.

Z wyjątkiem Baela i Sulin — i Aviendhy, rzecz jasna — Aielowie odsunęli się, pozostawiając niewielką przestrzeń wokół niego oraz Mata, Asmodeana i Pevina.

— Odejdźcie od skraju — powiedział Rand. Aielowie stojący najbliżej niego cofnęli się o całą stopę. Nic nie widział ponad barierą ze spowitych w *shoufy* głów. — Czy jest pełna? — Platforma mogła pomieścić połowę tych, którzy chcieli się wyprawić, ale niewiele więcej. — Czy jest pełna?

— Tak — odpowiedział mu wreszcie jakiś kobiecy głos z wyraźną niechęcią. Wydało mu się, że usłyszał głos Lamelle, ale w bramie nadal kłębił się tłum Aielów przekonanych, że musi starczyć miejsca na jeszcze jedną osobę.

— Dosyć! — krzyknął Rand. — Już nikogo więcej! Opróżnijcie bramę! Niech się wszyscy odsuną! — Nie chciał, żeby to, co stało się z seanchańską włóczęgą, powtórzyło się z jakimś żywym ciałem.

Chwila przerwy, po czym:

— Jest pusta. — To była Lamelle. Postawiłby ostatniego miedziaka, że Enaila i Somara też tam gdzieś są.

Brama zdawała się obracać w bok, kurcząc się, aż wreszcie zniknęła wraz z jednym, ostatnim błyskiem światła.

— Krew i popioły! — mruknął Mat, wspierając się z obrzydzeniem na swej włóczni. — To gorsze niż przeklęte Drogi! — Czym ściągnął na siebie zaskoczone spojrzenie Asmodeana, a także jedno pełne namysłu ze strony Baela. Mat nie zauważył; był zbyt zajęty wyężaniem wzroku w ciemnościach.

Nie czuło się żadnego ruchu, najłżejszy powiew nie poruszył sztandarem w rękach Pevina. Równie dobrze mogli stać nieruchomo. Rand jednak wiedział, jak jest naprawdę; niemalże czuł, że miejsce, do którego się wyprawili, jest coraz bliżej.

— On cię wyczuje, jeśli wyłonisz się zbyt blisko. — Asmodean oblizwał wargi i unikał patrzenia na kogokolwiek. — Tak przynajmniej słyszałem.

— Wiem, dokąd się wybieram — odparł Rand. Nie za blisko. Ale i nie za daleko. Dobrze zapamiętał to miejsce.

Brak ruchu. Bezkresna czerń, w której zawiśli. Minęło być może pół godziny.

* * *

Lekkie poruszenie przebiegło przez Aielów.

— Co się dzieje? — spytał Rand.

Przez platformę przeszedł pomruk.

— Ktoś spadł — wyjaśnił mu wreszcie jakiś zwalisty mężczyzna stojący blisko niego. Rand rozpoznał go. Meciar. Należał do *Cor Darei*, Włóczni Nocy. Nosił czerwoną opaskę.

— Chyba nie któraś z. . . — zaczął Rand, po czym pochwycił utkwione w nim, zimne spojrzenie Sulin.

Odwrócił się, by spojrzeć w ciemność, z gniewem, który niczym plama przywarł do pozbawionej emocji Pustki. A więc miało go to nie obchodzić, jeśli to jedna z Panien spadła, czy tak? A jednak obchodziło. Wieczne spadanie przez bezkresną czerń. Czy umysł przetrwa, zanim nadejdzie śmierć, z głodu, pragnienia albo strachu? W takim upadku nawet Aiel musiał poznać strach dostatecznie silny, by zatrzymał serce. Niemalże miał nadzieję, że tak będzie; taki koniec musiał być bardziej miłosierny.

„A żebyśmy szczeł, co się stało z całą tą twardością, z której taki byłem dumny? Panna czy Kamienny Pies, włócznia to włócznia”.

Tyle że samym myśleniem niczego się nie działa.

„Będę twardy!”

Pozwoli Pantom tańczyć włócznie, gdzie im się tylko zachce. Pozwoli. I wiedział, że będzie szukał imienia każdej, która polegnie, że każde imię będzie wycięte niczym nożem w jego duszy.

„Będę twardy. Światłości, dopomóż, będę. Światłości, dopomóż”.

Pozorny bezruch, zawisanie w czerni.

Platforma zatrzymała się. Trudno było orzec, skąd o tym wiedział, dlaczego wcześniej wiedział, że ona się rusza, a jednak wiedział.

Przeniósł i otworzyła się brama, taka sama jak na dziedzińcu w Cairhien. Kąt padania słońca prawie się nie zmienił, ale tutaj światło wczesnego ranka oświetlało brukowaną ulicę i zbocze upstrzone brązem przez zeschniętą od suszy trawę i dzikie kwiaty; zbocze zwieńczone kamiennym murem wysokości dwóch piędi albo i więcej, z kamieni ociosanych tak grubo, że sprawiały wrażenie konstrukcji stworzonej przez naturę. Nad murem zobaczył złote kopuły Królewskiego Pałacu Andoru z kilkoma jasnymi iglicami, na szczycie których powiewały na wietrze sztandary Białego Lwa. Za tym murem znajdował się ogród, gdzie po raz pierwszy spotkał Elayne.

Zza Pustki napłynęły, stanęły mu przed oczyma przepelnione oskarżeniem niebieskie oczy, umykające wspomnienie pocałunków skradzionych w Łzie, wspomnienie listu, w którym złożyła swe serce i duszę u jego stóp, wyznań miłości doręczanych przez Egwene. Co by powiedziała, gdyby się kiedykolwiek dowiedziała o Aviendzie, o tamtej wspólnej nocy w śnieżnej chacie? Wspomnienie innego listu, w którym odrzucała go z lodowatą wzdrgą, niczym królowa, która skazuje świniopasa na pobyt w ciemnicy. To nie miało znaczenia. Lan miał rację. Ale on chciał... Czego? Kogo? Niebieskie oczy, zielone oczy i te ciemnobrązowe. Elayne, która być może go kochała i być może nie umiała się zdecydować? Aviendha, która zadreżczała go zapewnieniami, że nie pozwoli mu się dotknąć? Min, która go wyśmiewała, uważała za wełnianogłowego głupca? Wszystko to błyskało na granicach Pustki. Usiłował ignorować, ignorować pełne udreki wspomnienia o innej niebieskookiej kobiecie, leżącej martwo na pałacowym korytarzu, tak dawna temu.

Musiał tak stać, gdy tymczasem Aielowie wypadali biegiem w ślad za Baelem, osłaniając po drodze twarze, rozdzielając się na lewo i prawo. Platforma istniała tylko za sprawą jego obecności; zniknie w tym samym momencie, gdy on przestąpi przez bramę. Aviendha czekała z niemalże takim samym spokojem jak Pevin, aczkolwiek co jakiś czas wystawiała głowę na zewnątrz, by lekko mrugając oczy, spojrzeć to w jedną, to w drugą stronę ulicy. Asmodean gładził palcami miecz i oddychał trochę nazbyt szybko; Rand zastanawiał się, czy ten człowiek w ogóle wie, jak się nim należy posługiwać. Co wcale nie znaczyło, że będzie do tego zmuszony. Mat wpatrywał się w mur, jakby to było jakieś złe wspomnienie. On też już kiedyś wszedł tą drogą do pałacu.

Ostatni Aiel z osłoniętą twarzą przeszedł przez bramę i Rand nakazał gestem pozostałym, by wyszli na zewnątrz, po czym sarn powędrował za nimi. Brama zamigotała i przestała istnieć, a on znalazł się w samym środku wielkiego pierścienia utworzonego przez czujne Panny. Aielowie biegli w dół zakręcającej ulicy — wytyczono ją zgodnie z linią wzgórza; wszystkie ulice Wewnętrznego Miasta dostosowywały się do ukształtowania terenu — znikając za kolejnymi zakrętami, pospiesznie szukając każdego, kto mógł podnieść alarm. Więcej ich wspinało się w górę zbocza, a niektórzy nawet jęli wdzierać się na mur, używając maleńkich wyrzuseń i szczelin jako zaczepów dla palców rąk i nóg.

Rand nagle wytrzeszczył oczy. Z jego lewej strony ulica zstępowała w dół i biegła po łuku, ginąc z pola widzenia, przy czym otwierała widok na pokryte dachówkami wieże. iskrzące się w porannym słońcu setkami zmiennych barw ponad dachami domostw aż po ogromny zespół parków Wewnętrznego Miasta, jego białe chodniki i posągi tworzące pospołu łeb lwa, jeśli się na nie spojrzęło z tej perspektywy. Po jego prawej stronie ulica wznosiła się nieznacznie, po czym przechodziła w zakręt; nad dachami widać było kolejne wieże zwieńczone iglicami albo kopułami najrozmaitszych kształtów. Ulicę wypełniał tłum Aielów, rozbiegających się szybko ku bocznym uliczkom, które odchodziły spiralnie od pałacu. Aielowie, a poza nimi ani żywej duszy. Słońce stało dostatecznie wysoko, by ludzie wyszli już z domów i jęli się krzątać wokół swoich spraw, nawet w takiej bliskości pałacu.

Mur nad nimi niczym w sennym koszmarze zawalił się na zewnątrz w kilku miejscach. Aielowie i kamienie roztrzaskiwali tych, którzy jeszcze się wspinali. Nim ta lawina podskakujących kawałów gruzu zetknęła się z ulicą, w powstałych otworach pojawiły się trolloki, które ciskały z góry grube jak pnie drzew tarany i dobywały sierpowatych mieczy — coraz ich więcej, z toporami zakończonymi szpikulcem i kolczastymi włóczniami, monstrualne, człekokształtne sylwetki w czarnych kolczugach z kolcami na ramionach i łokciach, z ogromnymi, ludzkimi twarzami zniekształconymi przez pyski i ryje, dzioby, rogi i pióra, dawały nura w dół zbocza z bezocznymi Myrddraalami pośrodku, podobnymi do nocnych węży. Na całej długości ulicy hordy wyjących trolloków i milczących Myrddraali wylewały się z wszystkich drzwi, wyskakiwały z każdego okna.

Rand splótł Ogień z Powietrzem, by odpowiedzieć na Ogień i Powietrze, tworząc wolno rosnącą tarczę, która stała w zawody z ulewą błyskawic. Zbyt wolno. Jedna uderzyła w tarczę tuż nad jego głową, rozpryskując się w oślepiającym blasku, ale pozostałe nakłuwały ziemię, a jemu wszystkie włosy stanęły dęba, gdy samo powietrze zdało się go do niej przygwałdząć. Omal nie wypuścił splotu, samej Pustki, ale tkął dalej to, czego nie mógł widzieć z powodu roziskrzonego światła, które nadal wypełniało mu oczy. Poszerzał tarczę wbrew błyskawicom opadającym niczym młoty z nieba, których uderzenia czuł przynajmniej. On był ich celem, ale to się mogło zmienić. Czerpiąc *saidina* za pomocą ukrytego

w kieszeni *angreal*, tkął tarczę tak długo, aż się nie upewnił, że nakryła połowę Wewnętrznego Miasta, po czym związał ją. Kiedy poderwał się na nogi, wzrok zaczął mu powracać, łzawy i bolesny z początku. Musiał działać szybko. Rahvin wiedział, że on tu jest. Musiał. . .

O dziwo, najwyraźniej upłynęło niewiele czasu. Rahvin nie dbał o to, ilu własnych ludzi zabije. Na zboczu zaskoczone trolloki i Myrddraale padały od włóczni w rękach Panien; także wśród nich wiele poruszało się chwiejnie. Część Panien, te najbliższej Randa, dopiero teraz podnosiła się z miejsc, na które je cisnęło z wysokości, a Pevin stanął z rozkraczonymi nogami, prostując się z pomocą drzewca czerwonego sztandaru; jego pobliżniona twarz była nadal równie pusta jak kawał łupka. Kolejne trolloki kipiały z otworów w murze, zgiełk bitwy zaś wypełnił ulice we wszystkich kierunkach, ale to wszystko równie dobrze mogło się dziać w jakimś innym kraju, jeśli chodziło o Randa.

W tym pierwszym gradzie padła więcej niżli jedna błyskawica, ale nie wszystkie były wycelowane w niego. Dymiące buty Mata leżały w odległości kilkunastu kroków od miejsca, gdzie sam Mat wyłożył się na plecach. Wąsy dymu unosiły się także od czarnego drzewca jego włóczni, od kaftana, nawet od srebrnej lisiej głowy, wystającej mu zza koszuli, głowy, która wcale go nie uchroniła przed przenoszeniem mężczyzny. Asmodean przemienił się w wykrzywiony, zwęglony kształt, rozpoznawalny jedynie po poczerniałym futerale harfy, wciąż przypasanym do pleców. Aviendha zaś. . . Całkiem nietknięta, jakby się położyła, żeby odpocząć — o ile rzeczywiście odpoczywałaby, wpatrzona nie mrugającymi oczyma w słońce.

Rand pochylił się, by dotknąć jej policzka. Już stygnącego. W dotyku. . . Nie przypominał ciała.

— Raaaahviiiiin!

Ten dźwięk dobywający się z jego gardła, jego samego zaskoczył. Miał wrażenie, że tkwi gdzieś głęboko w zakamarku własnej głowy. że otaczająca go Pustka jest coraz to rozleglejsza, coraz bardziej próżna, bardziej niż kiedykolwiek. *Saidin* wrzał w nim wściekle. Nie dbał o to, czy wypali go do cna. Skaza przesączała się przez wszystko, pokrywając wszystko swą śniedzią. Nie dbał o to.

Obok Panien przedarły się trzy trolloki z wielkimi toporami i dziwacznie zakrzywionymi włóczniami we włochatych dłoniach, z zanadto ludzkimi oczyma utkwionymi w nim, który tam stał, ewidentnie nie uzbrojony. Ten z kłami dzika padł od włóczni Enaili, która przeszła mu kręgosłup. Orli dziób i niedźwiedzi pysk nadal pędzili w jego stronę, jeden w wysokich hutach, drugi na łapach.

Rand poczuł, że się uśmiecha.

Ciała obu trolloków stanęły w ogniu, z każdego pora skóry buchnął płomień, przenikający czarne kolczugi. Ich usta dopiero otworzyły się do przeraźliwego wrzasku, gdy w miejscu, gdzie stały, otworzyła się brama. Zlane krwią połowy płonących, równo przeciętych ciał trolloków padły; Rand wbił wzrok w powstały

otwór. Wypełniony nie czernią, lecz wielką, otoczoną kolumnami komnatą, której ściany wyłożono kamiennymi panelami z wyrzeźbionymi łbami lwów, gdzie jakiś rosły mężczyzna z pasmami bieli w ciemnych włosach wstawał właśnie zdumiony z poślaczanego tronu. Kilkunastu mężczyzn, niektórzy odziani jak lordowie, niektórzy w zbrojach, odwróciło się, by sprawdzić, na co patrzy ich władca.

Rand ledwie ich zauważył.

— Rahvin — powiedział. Albo ktoś inny to zrobił. Nie był pewien, kto.

Posławszy przed sobą ogień i błyskawicę, przestąpił przez próg i pozwolił, by brama za nim się zamknęła. Był śmiercią.

* * *

Nynaeve nie miała trudności z podtrzymaniem nastroju, który pozwalał jej przynosić strumień Ducha do bursztynowej rzeźby kobiety leżącej w sakiewce. Nawet wrażenie, że śledzą ją czyjeś niewidzialne oczy, nie mogło jej tego ranka poruszyć za sprawą przepelniającego ją gniewu. Na jednej z ulic Salidaru, w *Tel'aran'rhiod*, stała przed nią Sivan. Na ulicy nie było nikogo z wyjątkiem ich dwóch, kilku much i jednego lisa, który przystanął, by przypatrzeć im się z ciekawością, po czym potruchtał dalej.

— Musisz się skupić — warknęła Nynaeve. — Za pierwszym razem miałaś więcej kontroli niż teraz. Skup się!

— Skupiam się, ty głupia dziewczyno! — Prosta suknia Sivan z niebieskiej wełny przemieniła się znienacka w jedwabną. Na szyi zawisła siedmiobarwna stuła Zasiadającej na Tronie Amyrlin, na palcu złoty wąż ugryzł własny ogon. Mierzyła Nynaeve wzrokiem spod uniesionej brwi, jakby nie zdawała sobie sprawy z tej zmiany, mimo iż pięć razy już tego dnia wdziewała ten strój.

— Wszelkie trudności należy przypisać temu obrzydliwemu odwarowi, którym mnie nakarmiłaś! Faj! Nadal czuję jego smak. Jak zółc płastugi. — Stuła i pierścień zniknęły; wysoki karczek jedwabnej sukni opuścił się nisko, odsłaniając skręcony, kamienny pierścień, który dyndał jej między piersiami na cienkim, złotym łańcuszku.

— Gdybyś tak się nie uparła, że mam cię uczyć wtedy, kiedy potrzebujesz czegoś na sen, to byś tego nie chciała. — Stąd ta odrobina baraniego języka i kilku innych rzeczy, które nie były aż takie niezbędne w tej mieszance. Ta kobieta zasłużyła sobie na to, żeby zwarzył jej się język.

— Prawie nie masz okazji mnie uczyć, bo nauczysz Sheriam i pozostałe. — Jedwab przyblakł; karczek znowu był wysoki, otoczony kryzą z białej koronki, włosy Sivan oblekł zaś ciasno czepek z pereł. — Czy raczej wolałabyś, żebym

przychodziła tuż po nich? Twierdzisz, że potrzebujesz trochę niczym nie zakłóconego snu.

Nynaeve dygotała, zaciskając pięści z wściekłości. Sheriam i pozostałe nie były tą najgorszą rzeczą, która rozpałała jej gniew. Ona i Egwene na zmianę zabierały je do *Tel'aran'rhiod*, po dwie za jednym zamachem, niekiedy wszystkie sześć podczas jednej nocy, i mimo iż to ona była nauczycielką, ani na moment nie dawały jej zapomnieć, że jest Przyjętą, one zaś Aes Sedai. Jedno ostre słowo, gdy popełniły jakiś głupi błąd... Elayne tylko raz odesłano do szorowania garnków, natomiast dłonie Nynaeve całkiem spierzchły od gorącej, mydlanej wody; przynajmniej tam, gdzie leżało jej uśpione ciało. Ale nie to było najgorsze. Ani też fakt, że ledwie miała chwilę, by to zbadać, co, o ile w ogóle., można zrobić z ujarzmianiem i poskramianiem. Logain był w każdym razie bardziej skłonny do współpracy niż Sivan i Leane, a przynajmniej okazywał więcej chęci. Dzięki Światłości rozumiał, że należy to trzymać w tajemnicy. Albo tak mu się wydawało; prawdopodobnie wierzył, że ona go ostatecznie Uzdrowi. Nie, gorszy od tego był fakt, że Faolain została poddana sprawdzianom i wyniesiona... nie do godności Aes Sedai — nie mogła, bez Różdżki Przysiąg, niedostępnej teraz w Wieży — ale do czegoś więcej niż Przyjętej. Faolain rosła taraz każdą suknię, jaką chciała i nawet jeśli nie mogła ani nosić szala, ani wybrać sobie Ajah, to dano jej inne uprawnienia. Nynaeve uznała, że podczas całego swojego pobytu w Wieży nie przeniosła tylu kubków z wodą, książek — pozostawionych specjalnie, tego była pewna! — szpilek, kałamarzy i innych, równie bezużytecznych rzeczy, co podczas tych ostatnich czterech dni. A jednak Faolain to jeszcze nie było to najgorsze. Tego najgorszego nawet nie chciała pamiętać. Swoim gniewem mogłaby ogrzać zimą cały dom.

— Skąd tego ranka haczyk w twoich skrzelałach, dziewczyno?

Sivan miała na sobie suknię podobną do tych, które nosiła Leane, ale tak przejrzystą, że nawet Leane nie odważyłaby się takiej włożyć publicznie, tak cienką, że trudno było wręcz określić, jaka to barwa. Nie włożyła jej zresztą po raz pierwszy tego dnia. Co też się kołatało w zakamarkach umysłu tej kobiety? W Świecie Snów tego typu rzeczy, jak na przykład zmiana ubioru, zdradzały myśli, z których człowiek sam nie zdawał sobie sprawy.

— Do dzisiaj stanowiąś względnie przyzwoite towarzystwo — ciągnęła z irytacją Sivan, po czym urwała. — Do dzisiaj. Teraz to widzę. Wczorajszego popołudnia Sheriam wyznaczyła Theodrin do pomocy w obalaniu tego bloku, którym się otoczyłaś. Czy to dlatego twoja nocna koszula tak ci się przekręciła? Nie lubisz, jak Theodrin mówi ci, co masz zrobić? Ona też jest dzikuską, dziewczyno. Jeśli ktoś może ci pomóc w nauce przenoszenia, tak, byś nie musiała pierwej zjadać pokrzyw, to...

— A co ciebie tak jątrzy, że nie umiesz utrwalić sukni? — Theodrin... to naprawdę bolało. Porażka. — Może to coś, co słyszałam ubiegłej nocy?

Theodrin była zrównoważona, pogodna, cierpliwa; uprzedziła, że tego nie da się zrobić podczas jednej sesji; u niej obalanie bloku trwało wiele miesięcy i ostatecznie zdała sobie sprawę, że przenosiła dużo wcześniej, zanim udała się do Wieży. A mimo to porażka bolała, a już najgorsze z wszystkiego, gdyby ktoś kiedykolwiek odkrył, że płakała jak dziecko w kojących ramionach Theodrin, kiedy się przekonała, że jej nie wychodzi. . .

— Słyszałam, że ustawiłaś na głowie Garetha Bryne'a jego buty, kiedy kazał ci usiąść i porządnie je wypastować. . . on do teraz nie wie, że pastowanie to robota Min, nieprawdaż. . . ? po czym to on postawił cię na głowie i. . .

Od policzka, który Siuan wymierzyła otwartą dłoń, zadzwoniło jej w uszach. Przez chwilę potrafiła się tylko gapić na drugą kobietę, coraz to większymi oczyma. Z bezgłośnym wrzaskiem próbowała uderzyć Siuan w oko. Spróbowała tylko, Siuan bowiem w jakiś sposób wplątała pięść w jej włosy. Chwilę później leżały w błocie zalegającym ulicę, tarzając się i krzycząc, zapalczywie młócąc rękoma.

Mocno zadyszana, Nynaeve sądziła, że ma przewagę, mimo iż przez połowę czasu nie wiedziała, czy jest na górze, czy na dole. Siuan usiłowała wyrwać jej warkocz razem ze skórą jedną ręką, drugą jednocześnie okładając zebra albo cokolwiek, co jej akurat pod tę rękę podeszło, ale ona odpłacała drugiej kobiecie tym samym, więc szarpnięcia i kuksańce Siuan zdecydowanie słabły, sama zaś zamierzała lada chwila pozbawić ją przytomności i potem wydrzeć wszystkie włosy z głowy. Głośno jęknęła, kiedy tamta uderzyła ją stopą z całej siły w goleń. Ta kobieta kopaa! Nynaeve usiłowała zdzielić ją kolaniem, ale w spódnicach to nie było łatwe. Kopanie to chwyt poniżej pasa!

Nagle Nynaeve zauważyła, że Siuan się trzęsie. Z początku myślała, że tamta płacze. Potem zorientowała się, że to śmiech. Odepchnąwszy się, odgarnęła kosmyki włosów z twarzy — warkocz całkiem się rozplótł — i spiorunowała przeciwniczkę wzrokiem.

— Z czego się tak śmiejesz? Ze mnie? Jeśli sądzisz. . . !

— Nie z ciebie. Z nas. — Nadal podrygując z uciechy, Siuan zepchnęła z siebie Nynaeve. Włosy miała w dzikim nieładzie, kurz pokrywał prostą, wełnianą suknię, którą teraz miała na sobie, znoszoną i w kilku miejscach schludnie zacerowaną. Poza tym była bosa. — Dwie dorosłe kobiety, a tarzają się jak. . . nie robiłam tego, odkąd skończyłam. . . dwanaście lat, jak mi się zdaje. Już zaczynałam myśleć, że tylko nam tego brakuje, by gruba Cian chwyciła mnie za ucho, żeby mi wyjaśnić, że dziewczynki się nie biją. Słyszałam, że kiedyś powaliła na ziemię pijanego drukarza; nie wiem, za co. — Na chwilę opanował ją atak czegoś, co brzmiało jak chichot, ale zaraz potem opanowała się i wstała, otrzepując kurz z ubrania. — Jeśli coś nas poróżniło, to możemy to przecież załatwić jak dorosłe kobiety. — Po czym, bardziej ostrożnym tonem, dodała: — Ale to chyba dobry pomysł, żeby nie rozmawiać o Garecie Brynie.

Wzdrygnęła się, kiedy znoszona suknia przemieniła się w szatę czerwonej

barwy, z czarno-złotym haftem przy rąbku i śmiałym dekoltem.

Nynaeve nadal siedziała, wytrzeszczając na nią oczy. Co ona by zrobiła jako Wiedząca, gdyby napotkała dwie kobiety tarzające się tak w błocie? Odpowiedź, jeśli nie co innego, doprowadziła jej gniew do wrzenia. Do Suan nadal wyraźnie nie docierało, że w *Tel'aran'rhiod* nie trzeba otrzępywać kurzu. Oderwawszy palce, które naprawiały warkocz, Nynaeve wstała szybko; z ramienia zwisał perfekcyjnie zapleciony warkocz, a dobre wełniane ubranie z Dwu Rzek wyglądało na świeżo wyprane.

— Zgadzą się — powiedziała.

Zanim by zawlokła obie te kobiety przed oblicze Koła Kobiet, każda z nich by pożałowała, że się w ogóle urodziła. Co ona wyprawia, tak wymachując pięściami niczym jakiś głupi mężczyzna? Najpierw Cerandin — o tym epizodzie nawet nie chciała myśleć, ale proszę bardzo, oto przykład — potem Latelle, a teraz to. Czy ona kiedykolwiek opanuje ten swój blok, jeśli będzie się tak wiecznie złościła? Niestety — a może na szczęście — ta myśl w żaden sposób nie wpłynęła na jej usposobienie.

— Jeśli coś nas poróżni, to... możemy o tym porozmawiać.

— Co, jak przypuszczam, oznacza, że będziemy na siebie krzyczeć — odparła sucho Suan. — No cóż, lepsze to, niż to drugie.

— Nie musiałybyśmy krzyczeć, gdybyś ty...! — Zrobiwszy głęboki wdech, Nynaeve oderwała wzrok; rozpoczynanie wszystkiego od nowa to żadne wyjście. Wdech uwiązał jej w gardle, odwróciła głowę w stronę Suan tak szybko, jakby nią tylko potrząsnęła. Miała nadzieję, że tak to wyglądało. Na ułamek sekundy w oknie po drugiej stronie ulicy pojawiła się jakaś twarz. A w żołądku coś zatrzępotowało, bańka strachu, płomień gniewu, co oznaczało, że się czegoś boi. — Chyba powinnyśmy już wracać — powiedziała.

— Wracać! Powiedziałaś, że ta obrzydliwa mikstura uśpi mnie na dobre dwie godziny, a nie byliśmy tutaj nawet połowy tego czasu.

— Tutaj czas biegnie inaczej. — Czyżby Moghedien? Twarz zniknęła tak nagle, że mogła należeć do kogoś, kto się wśnił do tego miejsca na krótką chwilę.. Jeśli to była Moghedien, to nie wolno im — pod żadnym pozorem nie wolno — dać jej do zrozumienia, że została zauważona. Muszą uciekać. Bańka strachu, wrzenie gniewu. — Mówiłam ci przecież. Dzień w *Tel'aran'rhiod* może być godziną w świecie jawy albo na odwrót. My...

— Lepiej wyleźmy z tej zęzy, dziewczyno. Nie myśl sobie, że się wykręcisz, jak mnie będziesz oszukiwać. Nauczysz mnie wszystkiego, czego uczysz innych, jak uzgodniono. Odejdziemy, kiedy się obudzę.

Nie było czasu. Jeśli to była Moghedien. Suknia Suan zmieniła się teraz w zielone jedwabie, poza tym wróciły stuła Amyrlin i pierścień z Wielkim Wężem, ale, o dziwo, dekollet był teraz równie nisko wycięty jak we wszystkim, co do tej pory nosiła. Pierścień *ter'angrealu* zawisał nad piersiami, w jakiś sposób stanowiąc

element naszyjnika z kwadratowych szmaragdów.

Nyaneve wykonała ruch, nie myśląc. Wyrzuciła dłoń, chwyciła naszyjnik tak silnie, że aż zerwała go z szyi Siuan. Siuan wytrzeszczyła oczy, ale zapinka pękła i natychmiast zniknęła, a naszyjnik i pierścień stopniały w dłoni Nyaneve. Przez chwilę wpatrywała się w puste palce. Co działo się z kimś, kogo w taki sposób odesłano z *Tel'aran'rhiod*? Czy odesłała Siuan z powrotem do jej śpiącego ciała? Czy dokądś indziej? Donikąd?

Ogarnęła ją panika. Stoi tam i nic nie robi. Szybka jak myśl, uciekła, Świat Snów zdawał się zmieniać wokół niej.

Stała na błotnistej ulicy w małej wiosce drewnianych domków, wśród których ani jeden nie miał więcej jak tylko jedno piętro. Z wysokiego masztu powiewał na wietrze Biały Lew Andoru, pojedyncza zaś, kamienna przystań wcinała się w szeroką rzekę, nad wodami której łopotało skrzydłami stado ptaków z długimi dziobami lecących na południe. Miejsce wyglądało jakby znajomo, ale dopiero po chwili zorientowała się, gdzie właściwie jest. W Jurene, w Cairhien. A ta rzeka to Erinin. To tutaj właśnie razem z Egwene i Elayne wsiadła na pokład „Kormorana”, statku opatrzonego równie niestosowną nazwą jak „Rzeczny Wąż”, by kontynuować ich podróż do Łzy. Tamten epizod zdawał się równie odległy w czasie, jakby wyczytała o nim w jakiejś książce.

Po co przeniosła się do Jurene? Odpowiedź była prosta i znalazła ją, ledwie to pytanie przyszło jej do głowy. Jurene było jedynym miejscem, które znała dostatecznie dobrze, by móc się doń przenieść w *Tel'aran'rhiod*, wiedząc z całą pewnością, że Moghedien go nie zna. Spędziły w nim godzinę, w czasie gdy Moghedien w ogóle jeszcze nie wiedziała o jej istnieniu, i była przeświadczona, że ani ona, ani Elayne nigdy więcej o nim nie wspomniły czy to w *Tel'aran'rhiod*, czy na jawie.

Ale ta odpowiedź nie zadowoliła jej do końca. To samo, do pewnego stopnia. Dlaczego Jurene? Dlaczego nie wystąpiła ze Snu, nie obudziła się we własnym łóżku, takim, jakim było naprawdę, nawet jeśli zmywaniem naczyń i szorowaniem podłóg tak się zmęczyła, że z miejsca zasnęła?

„Jeszcze mogę stąd wyjść”.

Moghedien widziała ją w Salidarze, o ile to rzeczywiście była Moghedien. Moghedien wiedziała już o Salidarze.

„Mogę powiedzieć o wszystkim Sheriam”.

Jak? Przyznać się, że uczyła Siuan? Miała nie dotykać *ter'angreali*, chyba że w obecności Sheriam i pozostałych Aes Sedai. Nyaneve nie miała pojęcia, w jaki sposób Siuan je zdobywa, kiedy tylko zechce. Nie, nie bała się kolejnych godzin spędzonych rękoma zanurzonymi po łokcie w gorącej wodzie. Bała się Moghedien. Gniew tak niemiłosiernie wżerał jej się w żołądek, że aż pożałowała, iż nie ma przy sobie odrobiny gęsiej mięty ze swej torby z ziołami.

„Jestem taka... taka cholernie zmęczona banieniem się”.

Przed jednym z domostw stała ławka, ustawiona przodem do przystani i rzeki. Usiadła na niej i zastanowiła nad swoją sytuacją ze wszelkich możliwych punktów widzenia. To wszystko było niedorzeczne. Prawdziwe Źródło tliło się blade. Przeniosła i nad jej głową zatańczył płomyk. Sama mogła wyglądać solidnie — we własnych oczach przynajmniej — ale przez ten strzępek ognia widziała rzekę. Podwiązała go i wraz z powstaniem supła płomyk rozwiął się niczym mgła. Jak mogła się zmierzyć z Moghedien, skoro najśłabsza nowicjuszka w Salidarze mogła jej dorównać albo nawet górowała nad nią siłą? Dlatego właśnie uciekła tutaj, zamiast się wynieść z *Tel'aran'rhiod*.

Wyjdzie ze Snu. Niezależnie od planów Siuan, na tym koniec; musiałyby ryzykować razem z Nynaeve. Na myśl o kolejnych godzinach spędzonych na szorowaniu podłóg, dłoń sama zacisnęła się na warkocz. Zapewne całe dni, być może w towarzystwie różgi Sheriam na dodatek. Mogą jej już nigdy nie dopuścić do *ter'angreali* zawiadujących snami, w ogóle do żadnych *ter'angreali*. Na miejsce Theodrin wyznaczają Faolain. Koniec badania Siuan i Leane, nie mówiąc już o Logainie; może koniec z uczeniem się Uzdrawiania.

Przepełniona furia przeniosła kolejny płomyk. Nawet jeśli był odrobinę silniejszy, to i tak tego nie zauważyła. To tyle z próbowaniem rozdmuchania w sobie gniewu w nadziei, że coś pomoże.

— Nie ma innego wyjścia, tylko trzeba im powiedzieć, że widziałam Moghedien — mruknęła, szarpiąc warkocz tak mocno, że aż ją zabolalo. — Światłości, one mnie oddadzą Faolain. Niemalże wolałabym już umrzeć!

— Ależ najwyraźniej lubisz biegać dla niej na posyłki.

Dźwięk drwiącego głosu poderwał Nynaeve z ławki niczym ręce ułożone na ramionach. Moghedien stała na środku ulicy, cała w czerni, kręcąc głową na widok tego, co widzi. Korzystając z wszystkich zasobów swojej siły, Nynaeve utkała tarczę z Ducha i wrzuciła ją między kobietę i *saidara*. A raczej próbowała ją wrzucić; przypominało to rąbanie drzewa papierowym toporkiem. Moghedien w rzeczy samej uśmiechnęła się, zanim przecięła splot Nynaeve, a zrobiła to tak zwyczajnie, jakby odganiała bitema z twarzy. Nynaeve gapiała się na nią tak, jakby ją kto ogłuszył pałką. Jednak doszło do tego. Jedyne Moc, bezużyteczna. Cały ten wrzący w niej gniew, bezużyteczny. Wszystkie plany, wszystkie nadzieje, na nic. Moghedien nawet nie raczyła oddać ciosu. Nawet nie raczyła sama utkać tarczy. To było właśnie miarą jej pogardy.

— Już się bałam, że mnie zauważyłaś. Zrobiłam się beztroska, kiedy ty i Siuan zaczęłyście się wzajem mordować. Własnymi rękoma. — Moghedien zaśmiała się lekceważąco. Coś tknęła, leniwie, bo nie istniał żaden powód do pośpiechu. Nynaeve nie wiedziała, co to takiego, a mimo to miała ochotę krzyknąć. W jej wnętrzu szalała furia, ale snach przytępił rozum, ukorzenił stopy w ziemi. — Czasami wydaje mi się, że jesteście zbyt głupie, żeby was szkolić, ty, ta była Amyrlin i cała reszta. Ale nie mogę dopuścić, żebyś mnie zdradziła.

Splot zaczynał ją powoli dosięgać.

— Chyba już najwyższy czas, żeby cię uciszyć

— Stój, Moghedien! — krzyknęła Birgitte.

Nynaeve zaniemówiła. To była Birgitte, taka jak kiedyś, w kusym, białym kaftanie i szerokich, żółtych spodniach, z warkoczem o skomplikowanym splocie przerzuconym przez ramię, ze srebrną strzałą naciągniętą na cięciwę srebrnego łuku. To było niemożliwe. Birgitte już nie była częścią *Tel'aran'rhiod*, znajdowała się w Salidarze, pilnując, by nikt nie odkrył, że Nynaeve i Siuan śpią, mimo słońca na niebie, i nie zaczął zadawać pytań.

Moghedien była tak zszokowana, że sploty, które utkała, zniknęły. Szok jednak trwał krócej niż chwilę. Lśniaca strzała oderwała się od łuku Birgitte — i wyparowała. Łuk wyparował. Coś jakby chwyciło łuczniczkę, gwałtownie prostując jej rękę, odrywając od ziemi. I niemalże natychmiast przytarto jej rogow, gdy z ciasno związanymi rękoma i nogami zawisła w odległości stopy nad ziemią.

— Powinam była wziąć cię pod uwagę. — Moghedien odwróciła się plecami do Nynaeve, by podejść do Birgitte. — Lubisz swoje ciało? Bez Gaidala Caina?

Nynaeve zastanawiała się, czy przenosić. Ale co? Sztylet, który mógłby nawet nie przebić skóry kobiety? Ogień, który nawet by nie osmalił jej spódnic? Moghedien wiedziała, jaka ona jest bezsilna; nawet na nią nie patrzyła. Jeśli przerwie strumień Ducha biegnący do śpiącej kobiety w bursztynie, to obudzi się w Salidarze; mogłaby wtedy ostrzec tamte. Twarz jej wykrzywiła się, bliska łez, kiedy spojrzała na Birgitte. Złotowłosa kobieta wisiała w jednym miejscu, wpatrując się butnie w Moghedien. Moghedien kontemplowała ją niczym rzeźbiarz kloc drewna.

„Tylko ja tu jestem — pomyślała Nynaeve. — Równie dobrze mogłabym w ogóle nie być zdolna do przenoszenia. Tylko ja”.

Uniesienie pierwszej stopy przypominało wyciąganie jej z błota sięgającego kolan, drugi chwiejny krok też nie był łatwiejszy. W stronę Moghedien.

— Nie rób mi krzywdy — załkała Nynaeve. — Proszę, nie rób mi krzywdy.

Przeszył ją dreszcz... Birgitte zniknęła. W jej miejscu stało dziecko, trzy- może czteroletnie, w kusym białym kaftaniku i szerokich żółtych spodenkach, bawiło się srebrnym łukiem-zabawką. Dziewczynka, przerzuciwszy złoty warkocz na plecy, wycelowała łuk w Nynaeve i zachichotała, po czym włożyła palec do ust, jakby nie była pewna, czy przypadkiem nie zrobiła czegoś złego. Nynaeve opadła na kolana. Pełznięcie w spódnicach było trudnym zadaniem, ale nie sądziła, by dała radę ustać. Jakoś jej się udało, wyciągnęła błagalnie rękę i zaskomlała:

— Proszę, nie rób mi krzywdy. Błagam. Nie rób mi krzywdy.

Włókła się bez końca w stronę Przeklętej niczym zdepięty żuk gramolący się po błocie.

Moghedien obserwowała ją chwilę w milczeniu, aż wreszcie powiedziała:

— Kiedyś uważałam cię za silniejszą. Teraz stwierdzam, że doprawdy podoba mi się widok ciebie na kolanach. Bliżej już nie podchodź, dziewczyno. Nie żebym uważała, że nie masz dość odwagi, by spróbować wydrzeć mi włosy... — Ta wizja wyraźnie ją rozbawiła.

Dłoń Nynaeve zachwiała się w odległości piędzi od Moghedien. Musiała być dostatecznie blisko. Była tylko ona. I *Tel'aran'rhiod*. W głowie uformował się obraz i stało się; na wyciągniętym nadgarstku pojawiła się bransoleta połączona srebrną smyczą ze srebrną obręczą na karku Moghedien. Utrwaliła w umyśle obraz nie tylko samej *a'dam*, lecz także noszącej ją Moghedien, Moghedien i *a'dam*, element *Tel'aran'rhiod* ujęty w taki kształt, jaki sama wybrała. Wiedziała mniej więcej, czego należy się spodziewać; sama przelotnie nosiła kiedyś *a'dam*, w Falmie. W jakiś dziwny sposób była świadoma Moghedien, tak jak była świadoma własnego ciała, własnych emocji; dwa komplety, oba różne, ale oba znajdowały się w jej głowie. Na to tylko liczyła, bo Elayne uparła się, że właśnie w ten sposób wszystko się dzieje. To coś rzeczywiście stanowiło połączenie; wyczuwała Źródło za pośrednictwem drugiej kobiety.

Dłoń Moghedien skoczyła ku obręczy, szok zaokrąglił oczy. Wściekłość i śmiertelne przerażenie. Większa wściekłość niż lęk, z początku. Nynaeve wyczuwała je nieomal tak, jakby to były jej własne odczucia. Moghedien musiała wiedzieć, czym jest smycz i obręcz, a mimo to i tak usiłowała przenieść; Nynaeve jednocześnie poczuła jakby lekkie przesuwanie się czegoś w sobie, w *a'dam*; druga kobieta próbowała nagiąć *Tel'aran'rhiod* do swej woli. Udaremnienie tych usiłowań było łatwe; *a'dam* stanowiła połączenie, które ona kontrolowała. Było łatwe pod warunkiem, że się o tym wiedziało. Nynaeve nie życzyła sobie przenieść tych strumieni, więc nie zostały przeniesione. Moghedien równie dobrze mogła próbować podnieść górę gołymi dłońmi. Paniczny lęk zapanował nad wściekłością.

Podnosząc się, Nynaeve utrwałała w umyśle odpowiedni obraz. Nie tylko wyobrażała sobie Moghedien pojmaną na smycz *a'dam*; ona wiedziała, że Moghedien została pojmana, była tego tak pewna, jak tego, jak się nazywa. Wrażenie przesuwania, skóry, która usiłowała ścierpnąć, nie odeszło jednak.

— Przestań — rozkazała ostrym tonem. *A'dam* nie poruszyła się. Pomyślała o czarnych pokrzywach, lekko pocierających drugą kobietę od ramion po kolana. Moghedien zadygotała, konwulsyjnie wypuściła oddech. — Przestań, powiedziałam, bo inaczej zrobię coś gorszego. — Przesuwanie ustało. Moghedien obserwowała ją czujnie, nadal kurczowo ściskając srebrną obręcz opinającą jej kark, i stanęła na palcach, jakby zaraz miała pofrunąć.

Birgitte — to dziecko, którym Birgitte była teraz albo kiedyś — przyglądała im się z ciekawością. Nynaeve utworzyła jej obraz jako dorosłej, skupionej kobiety. Mała dziewczynka włożyła palec do ust i zaczęła przyglądać się łukowizabawce. Nynaeve sapnęła ze złością. Trudno było zmienić coś, co już komuś udało się utrwalić. I na domiar wszystkiego Moghedien twierdziła, że potrafi zmie-

niać coś na stałe. Ale to, co ona mogła zrobić, ona mogła teraz odkręcić.

— Przywróć ją do normalnego stanu.

— Jeśli mnie uwolnisz, to...

Nynaeve znowu pomyślała o pokrzywach i tym razem nie była to lekka miotełka. Moghedien zassała powietrze przez zaciśnięte zęby, zatrzepotała się niczym prześcieradło na porywistym wietrze.

— To była najbardziej przerażająca rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła — powiedziała Birgitte. Znowu we własnej osobie, ubrana w kusy kaftan i obszerne spodnie, ale nie miała ani łuku, ani kołczana. — Byłam dzieckiem; ale jednocześnie to, co było mną... tą prawdziwą stanowiło jakiś wybryk wyobraźni unoszący się w dziecięcym umyśle. I ja o tym wiedziałam. Wiedziałam, że będę tylko patrzeć na to, co się dzieje i bawić się... — Przerzuciwszy złoty warkocz przez ramię, obrzuciła Moghedien twardym spojrzeniem.

— Jak się tutaj dostałaś? — spytała Nynaeve. — Jestem ci wdzięczna, rozumiesz, ale... jak?

Birgitte jeszcze raz zmierzyła Moghedien lodowatym wzrokiem, po czym rozchyliła kaftan, by wyłować zza dekoltu bluzki skręcony, kamienny pierścień na rzemyku.

— Siuan się obudziła. Tylko na chwilę i nie do końca. Na tyle, by wymamrotać, że wyrwałaś jej go z rąk. Kiedy nie budziłaś się po niej, zrozumiałam, że stało się coś złego, więc wzięłam pierścień i resztkę tego, co przyrządziłaś dla Siuan.

— Tam prawie nic nie zostało. Sam osad.

— Dość, by mnie uspić. Smakuje koszmarnie, tak nawiasem mówiąc. Potem już to było tak łatwe jak odszukanie uczestników tańca piór w Shiota. Do pewnego stopnia to jest prawie tak, jakbym ja była ciągle... — Birgitte urwała, znowu piorunując wzrokiem Moghedien. W jej dłoni ponownie pojawił się srebrny łuk, a u biodra kołczan pełen srebrnych strzał, ale po chwili znowu zniknęły. — Przeszłość należy do przeszłości, a przed nami przyszłość — powiedziała stanowczym głosem.

Nie byłam specjalnie zaskoczona odkryciem, że to wy dwie wiecie, że jesteście w *Tel'aran'rhiod*. Pojęłam, że to ona musi być tą drugą, a kiedy tu przybyłam i zobaczyłam was obie... Wyglądało na to, że ona już cię zniewoliła, ale miałam nadzieję, że jeśli odwrócę jej uwagę, to może coś wymyślisz.

Nynaeve poczuła ukłucie wstydu. Zastanawiała się przecież, czy nie porzucić Birgitte. Tyle właśnie wymyśliła. Ta myśl tam była tylko przez chwilę, odrzucona równie prędko jak się pojawiła, ale pojawiła się. Ale z niej tchórz. Z pewnością Birgitte nigdy, nawet przez chwilę, nie dopuściła, by strach wziął nad nią górę.

— Ja... — Słaby smak gotowanej kociiej narecznicy i sproszkowanego liścia mawinii. — Omal nie uciekłam — powiedziała słabym głosem. — Tak byłam przerażona, że język przyrósł mi do podniebienia. Omal nie uciekłam i nie zostawiłam cię.

— Ach tak? — Nynaeve skręcała się wewnątrz, kiedy Birgitte jej się przyglądała. — Ale nie uciekłaś, prawda? Powinnaś była uwolnić strzałę, zanim zawołałam, ale nigdy nie było mi w smak strzelać komuś w plecy. Nawet jej. A mimo to udało się. Ale co my z nią teraz poczniemy?

Moghedien z całą pewnością miała taką minę, jakby pokonała strach. Ignorując srebrną obręcz, która opasywała jej gardło, obserwowała Nynaeve i Birgitte, jakby to one były jej więźniarkami, a nie ona, i teraz się zastanawiała, co z nimi zrobić. Z wyjątkiem sporadycznych drgań dłoni, jakby chciała się podrapać tam, gdzie skóra zachowała wspomnienie o pokrzywach, stanowiła wcielenie odzianego w czerń spokoju. Jedynie dzięki *a'dam* Nynaeve wiedziała, że ta kobieta skrywa strach, niemalże słyszała jego mamrotanie, zduszone do głuchego szumu. Żałowała, że ta rzecz jej nie powie, o czym myśli Moghedien, przekazując tylko to, co tamta czuje. Potem dla odmiany poczuła zadowolenie, że nie znalazła się we wnętrzu umysłu ukrytego za tymi zimnymi, ciemnymi oczyma.

— Zanim wymyślisz coś... drastycznego — powiedziała Moghedien — przypomnij sobie, że wiem dużo rzeczy, które mogłyby okazać się dla ciebie przydatne. Obserwowałam innych Przeklętych, podpatrywałam, jak spiskują. Czy nie jest to coś warte?

— Powiedz mi, to się zastanowię, czy jest jak mówisz — odparła Nynaeve. Co ona ma zrobić z tą kobietą?

— Lanfear, Graendal, Rahvin i Sammael spiskują wspólnie.

Nynaeve pociągnęła za smycz, podcinając jej nogi.

— Wiem o tym. Powiedz mi coś nowego. — Ta kobieta była tutaj jej więźniem, ale *a'dam* istniała tylko tak długo, dopóki znajdowały się w *Tel'aran'rhiod*.

— Czy wiesz, że oni starają się podpuścić Randa al'Thora, żeby zaatakował Sammaela? A kiedy to zrobi, natknie się na innych, zaczajonych, by schwytać go w swoją pułapkę. W każdym razie natknie się na Graendal i Rahvina. Sądzę, że Lanfear uprawia jakąś inną grę, taką, o której pozostali nic nie wiedzą.

Nynaeve zamieniła z Birgitte zmartwione spojrzenia. Rand musi się o tym dowiedzieć. Dowie się, kiedy tylko jej i Elayne uda się tego wieczora porozmawiać z Egwene. O ile uda im się na dostatecznie długi czas dopaść *ter'angreaLa*.

— Pod warunkiem — wymamrotała Moghedien — że będzie dostatecznie długo żył, żeby ich znaleźć.

Nynaeve złapała srebrną smycz w miejscu, gdzie łączyła się z obręczą, i przyciągnęła twarz Przeklętej blisko swojej. Ciemne oczy obojętnie spotkały jej spojrzenie, ale czuła przez *a'dam* gniew i strach, które wyrzywały się z tamtej, bezustannie tłumione.

— A teraz ty mnie posłuchaj. Czy tobie się wydaje, że ja nie wiem, dlaczego udajesz taką chętną do współpracy? Wydaje ci się, że jeśli dostatecznie długo będziesz mówiła, to ja popełnię jakiś błąd i zdołasz uciec. Wydaje ci się, że im dłużej będziemy rozmawiały, tym trudniej będzie mi ciebie zabić. — Co było

prawdą. Zabicie kogoś z zimną krwią, nawet jednej z Przeklętych, byłoby trudne, może wręcz ją przerastało. Co ona zrobi z tą kobietą? — Ale zrozum jedno. Nie pozwolę na żadne niedomówienia. Jeśli będziesz starała się coś przede mną ukryć, to zrobię wszystko, co kiedykolwiek ty zamierzałaś zrobić ze mną.

Strach pełził przez smycz, niczym zamrażające na kość wrzaski z głębi umysłu Moghedien. Może ona nie wiedziała tyle o *a'dam*, jak się Nynaeve zdawało. Może ona wierzyła, że Nynaeve będzie potrafiła odczytać jej myśli, jeśli się postara.

— A teraz, jeśli wiesz o czymś, co zagraża Randowi, coś o planach Sammaela i pozostałych, to powiedz mi. Natychmiast!

Z ust Moghedien polały się słowa, język stale wymykał się na zewnątrz, obliżując wargi.

— Al'Thor zamierza zaatakować Rahvina. Dziś rano. Bo on uważa, że Rahvin zabił Morgase. Nie wiem, czy to zrobił czy nie, ale al'Thor w to wierzy. Ale Rahvin nigdy nie ufał Lanfear. Nigdy nie ufał nikomu. Niby czemu? Uznał, że to może być jakaś pułapka zastawiona na niego, więc zastawił własną pułapkę. Otoczył Caemlyn Pasem Zabezpieczeń, dzięki czemu będzie wiedział, jeśli jakiś człowiek przeniesie bodaj iskierkę. I al'Thor w to wdepnie. Najprawdopodobniej już wdepnął. Sądzę, że zamierzał udać się do Caemlyn tuż po wschodzie słońca. Ja nie miałam w tym żadnego udziału. To nie była moja robota. Ja. . .

Nynaeve miała ochotę zamknąć jej usta; mdliło ją na widok kropelek potu strachu połyskującego na twarzy kobiety, ale jeśli miałyby dłużej słuchać tego błagalnego głosu. . . Zaczęła przenosić, zastanawiając się, czy będzie dość silna, by unieruchomić język Moghedien, po czym uśmiechnęła się. Była połączona z Moghedien i miała nad nią kontrolę. Moghedien wybałuszyła oczy, kiedy utkała strumień, którym zamknęła i zasznurowała własne usta. Dodała też zatyczki do uszu, zanim zwróciła się do Birgitte.

— Co ty na to?

— Elayne pęknie serce. Kocha swoją matkę.

— Wiem o tym. — Nynaeve zrobiła wdech. — Będę płakała razem z nią i każdą łzę wyleję szczerze, ale w danej chwili musimy się martwić o Randa. Sądzę, że ona mówiła prawdę. Niemalże to czułam. — Złapała za srebrną smycz tuż pod bransoletą i potrząsnęła nią. — Może to dzięki temu, a może tylko dzieło wyobraźni. A jak ty myślisz?

— Że to prawda. Ona nigdy nie była specjalnie odważna, dopóki nie miała przewagi albo jej się wydawało, że ją zdobędzie. A ty z pewnością dałaś jej lekcję strachu przed Światłością.

Nynaeve skrzywiła się. Każde słowo Birgitte dodawało kolejną bańkę gniewu w jej brzuchu. Nigdy nie była specjalnie odważna, chyba że miała przewagę. Taki opis pasował do niej samej. Ona nauczyła Moghedien strachu przed Światłością. Nauczyła i każde słowo wypowiedziała szczerze. Wytarganie kogoś za uszy, kiedy tak trzeba, to jedno; grożenie torturami, pragnienie torturowania, nawet Moghe-

dien, to całkiem coś innego. A tutaj ona unika czegoś, wiedząc, że i tak musi to zrobić. Nigdy specjalnie odważna, chyba że miała wyraźną przewagę. Tym razem bańkę gniewu wytworzyła sama.

— Musimy się wyprawić do Caemlyn. Przynajmniej ja muszę. Razem z nią. Być może nie uda mi się przenieść dostatecznie silnie, by bodaj rozdrzeć papier, ale dzięki *a'dam* będę mogła wykorzystać jej siłę.

— *Z Tel'aran'rhiod* nie będziesz mogła mieć wpływu na nic, co się znajduje w świecie jawy — powiedziała cicho Birgitte.

— Wiem! Wiem, ale ja muszę coś zrobić.

Birgitte odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

— Och, Nynaeve, jakież to kłopotliwe być związanym z takim tchórzem jak ty. — Nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdurnienia. — Tej twojej mikstury nie było dużo. Ja się chyba bu. . . — I w pół słowa już jej tam zwyczajnie nie było.

Nynaeve zrobiła głęboki wdech i rozwiązała strumienie otaczające Moghedien. Albo zmusiła ją do tego; dzięki *a'dam* trudno było to rozróżnić. Żałowała, że Birgitte już nie ma. Jeszcze jedna para oczu. Ktoś, kto zapewne posiadał taką wiedzę o *Tel'aran'rhiod*, jakiej ona nigdy nie zdobędzie. Ktoś, kto był odważny.

— Wybieramy się na wycieczkę, Moghedien, i ty pomożesz mi każdym swoim strzępkiem. Jeśli coś mnie zaskoczy. . . Dość powiedzieć, że cokolwiek stanie się z tą, która nosi tę bransoletę, dzieje się także z tą, która nosi obręcz. Tyle że po dziesięciokroć silniej.

Wyraz przerażenia na twarzy Moghedien świadczył, że jej uwierzyła. Co miało sens, bo to była prawda.

Jeszcze jeden głęboki wdech i Nynaeve zaczęła formować obraz jedyne miejsca w Caemlyn, które poznała na tyle dobrze, by je zapamiętać. Pałac Królewski, dokąd zabrała ją Elayne. Tam musi być Rahvin. Ale w świecie jawy, nie w Świecie Snów. Mimo to musiała coś zrobić. Oblicze *Tel'aran'rhiod* wokół niej zmieniło się.

WĄTKI PŁONA

Rand znieruchomiał. Długi wypalony pas, który biegł wzdłuż ściany korytarza, szczególnie widoczny był tam, gdzie pół tuzina kosztownych gobelinów przemieniło się w popiół. Płomienie wpełzały już na kolejne tkaniny; po wielu inkrustowanych komodach i stołach pozostały teraz jedynie zwęglone szczątki. Nie jego dzieło. Trzydzieści kroków dalej, na białych płytkach posadzki, leżeli wykrzywieni w uścisku śmierci mężczyźni w czerwonych kaftanach, napierśnikach i hełmach z okratowanymi zasłonami na twarzach, z bezużytecznymi mieczami w dłoniach. Też nie jego dzieło. Rahvin okazał się rozrzutny, jeśli szło o życie jego własnych ludzi, w swych usiłowaniach dopadnięcia Randa. Sprytnie atakował, sprytnie uciekał, ale od chwili, kiedy uciekł z sali tronowej, nie wdał się z Randem w bezpośrednią walkę na dłużej niż chwilę, jakiej potrzebował, by zadać cios i umknąć. Rahvin był silny, być może równie silny jak Rand, i więcej posiadał wiedzy, ale Rand miał w kieszeni małego człowieczka, *angreal*, Rahvin zaś nie dysponował żadnym.

Korytarz wyglądał znajomo z dwu względów, raz, że widział go już kiedyś, dwa, że widział kiedyś coś podobnego.

„Szedłem tędy z Elayne i Gawynem tamtego dnia, kiedy poznałem Morgase”.

Ta myśl wiła się boleśnie na granicach Pustki. W jej wnętrzu był zimny, nie czuł żadnych emocji. *Saidin* szalał i płonął, ale on był lodowato spokojny.

I jeszcze jedna myśl, niczym ukłucie ostrza.

„Leżała na posadzce, z rozpuszczonymi włosami, jakby spała. Ilyena Złotowłosa. Moja Ilyena”.

Elaida też tam była, tamtego dnia.

„To ona Przepowiedziała ból, który przyniosę. Ona rozpoznała tę ciemność we mnie. Jej część. Dość.

Ilyeno, nie wiedziałem, co robię. Byłem obłąkany! Jestem obłąkany. Och, Ilyeno!

Elaida wiedziała... część... ale nie powiedziała wtedy wszystkiego. Lepiej by zrobiła, gdyby powiedziała.

Och, Światłości, czy nie ma żadnego przebaczenia? Zrobiłem to, co zrobiłem, w obłądnie. Czy nie ma żadnej litości?

Gareth Bryne zabiłby mnie, gdyby wiedział. Morgase wydałaby rozkaz pozabawienia mnie życia. Morgase żyłaby. Mat. Moiraine. Ilu by żyło, gdybym ja umarł?

Zarobiłem sobie na tę udrękę. Zasługuję na ostateczną śmierć. Och, Ilyeno, zasługuję na śmierć.

Zasługuję na śmierć”.

Kroki za nim. Odwrócił się.

Wyszli z szerokiego korytarza, który w odległości niecałych dwudziestu kroków przecinał ten, na którym on stał; dwa tuziny ludzi w napierśnikach, hełmach i czerwonych kaftanach z białymi kołnierzykami Gwardii Królowej. Tyle że Andor nie miał teraz żadnej królowej, a ci ludzie wcale nie służyli jej, kiedy jeszcze żyła. Prowadził ich Myrddraal, z bladym, bezokim obliczem podobnym do larwy znalezionej pod kamieniem, w zbroi z nakładających się płytek, za sprawą której podczas marszu jeszcze bardziej przywodził na myśl węża, i w płaszczu, który nawet w ruchu zwisał z jego ramion nieruchomo. Spojrzenie Bezokiego budziło strach, ale strach był w Pustce czymś odległym. Na jego widok zawahali się; po chwili Półczłowiek uniósł w górę miecz z czarnym ostrzem. Ci, którzy jeszcze nie dobyli mieczy, ułożyli dłonie na rękojeściach.

Rand — zdawało mu się, że tak właśnie ma na imię — przeniósł; nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej przenoślił w taki sposób.

Ludzie i Myrddraal zeszytywnieli tam, gdzie akurat się znajdowali. Pokrył ich gruby nalot szronu, szronu, który dymił tak, jak dymiły buty Mata. Uniesiona ręka Myrddraala odłamała się z głośnym trzaskiem. Przy zetknięciu się z płytkami posadzki rozpadła się na kawałki, razem z mieczem.

Rand poczuł zimno — tak, tak rzeczywiście brzmiało jego imię; Rand — zimno tnące niczym nóż, kiedy ich mijał i skręcał w kierunku, z którego nadeszli. Zimno, cieplejsze jednak od *saidina*.

Pod ścianą przycupnęli mężczyzna i kobieta, para służących w czerwono-białych liberiach, niedawno przekroczyli wiek średni; chronili się wzajem w objęciach. Zobaczywszy Randa — na imię składało coś jeszcze; nie tylko sam Rand — mężczyzna zaczął się podnosić z miejsca, do którego przywarł, uciekając przed wiedzioną przez Myrddraala grupą, ale kobieta pociągnęła go z powrotem za rękaw.

— Odejdźcie w pokoju — rzekł Rand, wyciągając rękę. Al’Thor. Tak, Rand al’Thor. Kobieta upadłaby bezwładnie, gdyby mężczyzna jej nie podtrzymał; jego usta poruszały się tak gwałtownie, jakby się modlił, niezdolny dobrać słów na głos.

Rand spojrział w kierunku, w którym patrzył mężczyzna. Jego ręka wysunęła się z kaftana na dostateczną długość, by obnażyć złotogrzywy łeb Smoka, stanowiącego część jego skóry.

— Nic wam nie zrobię — powiedział i poszedł dalej, zostawiając ich tam. Musiał jeszcze przyprzeć do muru Rahvina. Zabić Rahvina. A co potem?

Żadnego dźwięku prócz postukiwania butów na płytach posadzki. I cichy głos, w głębi głowy, żałobnie mrużący o Ilyenie i przebaczeniu. Wytężył siły, by wyczuć przenoszenie Rahvina, by poczuć mężczyznę przepelnionego Prawdziwym Źródłem. Nic. *Saidin* przepalał go do kości, mroził mu ciało, warzył duszę, jednakowoż bez niego niełatwo byłoby cokolwiek zobaczyć, jeśli nie podeszło się blisko. Lew w wysokiej trawie, powiedział kiedyś Asmodean. Lew chory na wściekliznę. Czy Asmodean winien się zaliczać do tych, którzy nie powinni byli umrzeć? Albo Lanfear? Nie. Nie...

Ostrzeżenie nadeszło zaledwie na moment wcześniej; zdążył tylko przypaść płasko do posadzki, w cienkim jak włos płatku czasu, który dzielił wrażenie nagłe tkanych strumieni od pręgi białego światła grubości ramienia, płynnego ognia, tnącego ścianę, rozdzierającego niczym miecz to miejsce, w którym moment wcześniej znajdowała się jego pierś. Tam gdzie smagnęła linia ognia, po obu stronach korytarza, ściana i gzymsy, drzwi i gobeliny, wszystko przestało istnieć. Na posadzkę lunął grad pociętych strzępów tkanin, odłamków kamienia i sztukaterii.

To tyle, jeśli chodzi o obawę Przeklętych przed użyciem ognia stosu. Kto mu o tym powiedział? Moiraine. Ta z pewnością zasłużyła, by żyć.

Z jego rąk skoczył ogień stosu, oślepiająco biały promień sunący w stronę miejsca, w którym powstała tamta pierwsza pręga. Tamta zanikła w momencie, gdy jego płomień stosu przebił ścianę, zadrżał w polu widzenia purpurowym powidokiem. Uwolnił swój strumień. Udało się wreszcie?

Niezdarnie podniósł się z posadzki i przeniósł Powietrze, otwierając zniszczone drzwi z taką siłą, że ich szczątki oderwały się od zawiasów. Wnętrze komnaty za nimi było puste. Bawialnia, z krzesłami ustawionymi przed wielkim, marmurowym kominkiem. Jego ogień stosu wyrwał fragment jednego z łuków wychodzących na niewielki dziedziniec z fontanną. I jeszcze jeden z kaneluowanej kolumny, których cały rząd stał przy chodniku.

Rahvin jednakie nie oddalił się tą drogą i nie zginął także w tamtym wybuchu ognia stosu. W powietrzu unosił się osad, blaknące pozostałości utkanego *saidina*. Rand rozpoznał splot. Różny od bramy, którą otworzył, by Przemknąć do Caemlyn, bądź takiej, która służyła do Podróżowania — wiedział teraz, czym było to, co zrobił — wiódł do sali tronowej. Niemniej jednak widział już kiedyś coś podobnego w Łzie, sam to zresztą stworzył.

Utkął jeszcze jedną. Bramę, czy raczej otwór, dziurę w rzeczywistości. Tym razem po drugiej stronie nie było czerni. W rzeczy samej, gdyby nie wiedział o tym przejściu, gdyby nie był w stanie zobaczyć jego splotu, to wówczas mógłby w ogóle nie zdawać sobie sprawy z jego istnienia. Przed nim znajdowały się takie same łuki otwierające się na ten sam dziedziniec i fontannę, identyczny chodnik otoczony kolumnadą. Na ułamek chwili idealnie równe otwory, które jego ogień stosu wyciął w łuku i kolumnie, zadygotały, wypełniły się i na powrót stały się otworami. Brama wiodła do jakiegoś innego miejsca, do odbicia Królewskiego

Pałacu, tak jak kiedyś do odbicia Kamienia Łzy. Odlegle żałował, że nie porozmawiał o tym z Asmodeanem, kiedy była po temu okazja, jednakże tego dnia nie rozmawiał jeszcze z nikim. To jednak nie miało znaczenia. Tamtego dnia dzierzył w ręku *Callandora*, dzisiaj jednakże *angreal* w jego kieszeni dowiódł, iż nawet dzięki niemu potrafi skutecznie nękać Rahvina.

Przestąpił prędko przez próg, poluźnił splot i w trakcie, gdy brama znikwała, pospiesznie przebiegł na drugą stronę dziedzińca. Rahvin wyczułby bramę, gdyby znajdował się dostatecznie blisko. Posiadanie grubego człowieczka z kamienia jeszcze nie oznaczało, że mógł sobie pozwolić na stanie w miejscu i oczekiwanie na atak.

Śladu życia, wyjąwszy niego samego i jakąś zbłąkaną muchę. W Łzie też tak było. Lamy w korytarzach stały nie zapalone, sterczały z nich białe knoty, które nigdy nie widziały płomienia, a jednak nawet korytarz, który z pozoru powinien być z nich najciemniejszy, rozjaśniało światło, które dochodziło zewsząd i znikąd jednocześnie. Ponadto lamy, a także inne przedmioty zdawały się niekiedy poruszać. Między jednym a drugim spojrzeniem taka wysoka lampa potrafiła przemieścić się na odległość stopy, wazon w wykuszu o cal. Tylko drobiazgi, jakby ktoś je przestawiał, w czasie gdy jego wzrok padał na coś innego. To miejsce, gdziekolwiek się znajdowało, było doprawdy dziwne.

Dotarło do niego, kiedy biegł wolnym truchtem przez kolumnadę, szukając zmysłami Rahvina, że od czasu, kiedy przeniósł ogień stosu, nie słyszał głosu opłakującego Ilyenę. Może jakimś sposobem przegnał Lewsa Therina ze swej głowy.

„Dobrze”.

Zatrzymał się na skraju jednego z pałacowych ogrodów. Róże i krzewy białych gwiazd wyglądały na równie znępane suszą, jak mogłyby wyglądać w prawdziwym świetle. Ze szczytu jednej z białych iglic wznoszących się nad dachami marszczył się na wietrze sztandar Białego Lwa, ale iglica mogła się zmienić w mgnieniu oka.

„Dobrze, że nie muszę dzielić własnej głowy z. . .”

Dziwnie się czuł. Niematerialnie. Podniósł rękę i wytrzeszczył oczy. Widział ogród przez rękaw kaftana i własne ramię jakby przez mgłę. Mgłę, która rzedła. Kiedy zerknął w dół, widział przez własne ciało kamienie, którymi wybrukowany był chodnik.

„Nie!”

To nie była jego myśl. Obraz zaczął się scalać. Wysoki, ciemnooki mężczyzna, z twarzą pobrużdżoną od zmartwień i z przewagą bieli we włosach niżli brązu.

„Jestem Lews Ther. . .”

„Jestem Rand al'Thor” — przerwał mu Rand. Nie rozumiał, co się dzieje, ale z ręki, którą trzymał tuż przed twarzą, zniknął wyblakły Smok. Ręka poczęła ciemnieć, palce wydłużały się.

„Jestem sobą.”

To rozniosło się echem po Pustce

„Jestem Rand al'Thor”.

Walczył, by odtworzyć obraz samego siebie w umyśle, zmagał się, by przywołać wizję tego, co każdego ranka oglądał przy goleniu w lustrze, tego, co widział w stojącym lustrze podczas ubierania się. To były szaleńcze zmagania. Nigdy tak naprawdę nie przyjrzał się sobie. Każdy z dwu obrazów to stawał się bardziej intensywny, to nikł, starszy, ciemnooki mężczyzna i młodszy od niego, o szaroniebieskich oczach. Powoli obraz tego młodszego umocnił się, tego starszego zbladł. Powoli jego ręka stawała się coraz bardziej materialna. Jego ręka, opleciona Smokiem, z piętnem czapli odcisniętym w dłoni. Bywały kiedyś takie chwile, kiedy nienawidził tego piętna, ale teraz, nawet otoczony pozbawioną emocji Pustką, niemalże się uśmiechnął na jego widok.

Dlaczego Lews Therin usiłował nim zawładnąć? Żeby przekształcić go w Lewsa Therina. Był przekonany, że ten ciemnooki mężczyzna z twarzą naznaczoną cierpieniem to był właśnie Lews Therin. Czemu teraz? Bo w tym miejscu, gdziekolwiek ono było, mógł to zrobić? Zaraz. To Lews Therin wykrzyknął tamto twarde „nie”. To nie napaść Lewsa Therina. To Rahvin go zaatakował i wcale nie korzystał z Mocy. Jeśli ten człowiek będzie zdolny to powtórzyć w Caemlyn, prawdziwym Caemlyn, to na pewno to zrobi. To musiała być jakaś umiejętność, którą nabył tutaj. A skoro Rahvin ją nabył, to może i jemu się uda. Tym, co go uchroniło, tym, co go sprowadziło z powrotem, był jego własny wizerunek.

Skupił się na najbliższym różanym krzewie, wysokości całej piędy, i wyobraził go sobie, jak rzednieje, upodabnia do mgły. Roślina posłusznie rozwiła się bez śladu, ale ledwie obraz w jego umyśle stał się niczym, krzew różany powrócił nagle, taki sam jak przedtem.

Zrezygnowany pokiwał głową. A zatem i tu istniały ograniczenia. Zawsze obowiązywały jakieś ograniczenia i zasady, ale jakie działały tutaj, nie wiedział. Ale znał Moc, wiedział o niej tyle, ile nauczył go Asmodean, ile nauczył się sam, a poza tym nadal przepelniał go *saidin*, cała ta słodycz życia, cały rozkład śmierci. Rahvin musiał go widzieć, jak atakował. Przy korzystaniu z Mocy należało widzieć to, na co oddziaływała, albo wiedzieć dokładnie, co do włosa, gdzie to jest w odniesieniu do ciebie. Może tu było inaczej, ale trudno było w to uwierzyć. Niemalże żałował, że Lews Therin ponownie zamilkł. Ten człowiek mógł znać miejsce, gdzie się znalazł, i obowiązujące w nim zasady.

Balkony i okna, w niektórych miejscach dochodzące do czwartego piętra, wychodziły na ogród. Rahvin próbował go... przekonstrować. Zaczerpnął wściekłego prądu *saidina* za pomocą *angrealu*. Z nieba spadły błyskawice, sto rozszczępionych, srebrnych grotów, coraz więcej; uderzały w każde okno, w każdy balkon. Huk grzmotów przepelnił ogród, wywołując grad kamiennych odłamków. Samo powietrze zaskwierczało, włosy na rękach i na piersi, ukryte pod koszulą usiłowa-

ły się podnieść. Pozwolił błyskawicom zamrzeć. Tu i tam odłamywały się kawałki roztrzaskanych, kamiennych framug i balkonów, huk ich upadku zagłuszało echo grzmotu, nadal dźwięczące w uszach.

W tych miejscach, gdzie kiedyś były okna, ziały teraz dziury na przestrzał. Przypominały oczodoły monstrualnej czaszki, a z kolei zrujnowane balkony — rozplątane usta. Jeśli Rahvin znajdował się na którymś z nich, to teraz z pewnością już nie żył. Rand nie uwierzy, dopóki nie zobaczy trupa. Chciał zobaczyć Rahvina martwego.

Z bezwiednym grymasem wkroczył z powrotem do pałacu. Chciał zobaczyć, jak Rahvin umiera.

* * *

Nyaneve przypadła błyskawicznie do posadzki i dalej gramoliła się niezdarnie na czworakach, gdy tymczasem coś rozpruwało najbliższą ścianę. Moghedien pełzła w tym samym tempie, ale gdyby tego nie robiła, to powlokłaby ją za sobą dzięki *a'dam*. Czy to Rand, czy Rahvin? Widziała pręgi białego ognia, płynnego światła, identyczne jak tamte w Tanchico, i zupełnie nie miała ochoty znaleźć się blisko nich. Nie miała pojęcia, co to takiego, i nie chciała wiedzieć.

„Ja chcę Uzdrawiać... żeby ci obaj głupi mężczyźni szczęśli... a nie uczyć się jakichś fikuśnych metod zabijania!”

Podźwignęła się do przysiadu, ostrożnie obejrzała w stronę, gdzie mogło znajdować się źródło białego ognia. Nic. Pusty pałacowy korytarz. Z długim, głębokim cięciem szerokości dziesięciu stóp, które rozplątało obie ściany tak równo, jakby wykonał je kamieniarz, prócz tego kawałki dekoracyjnych tkanin walające się po posadzce. Ani śladu po którymkolwiek z mężczyzn. Jak dotąd żadnego nie zobaczyła, nawet przelotnie. Tylko ich rękodzieło. Omalże sama nie stała się tym rękodziełem. Dobrze, że mogła sycić się gniewem Moghedien, odfiltrowywać go z panicznego strachu, który pazurami usiłował utorować sobie drogę do wolności, i pozwalać, by wsączał się do jej wnętrza. Własny gniew był czymś godnym pożalowania; ledwie pozwalał wyczuwać Prawdziwe Źródło, a w jeszcze mniejszym stopniu przenosić strumień Ducha, który trzymał ją w *Tel'aran'rhiid*.

Moghedien kuliła się na czworakach, wymiotując. Nyaneve zacisnęła usta. Ta kobieta znowu próbowała pozbyć się *a'dam*. Chęć do współpracy szybko ją opuściła, gdy odkryły, że Rand i Rahvin są rzeczywiście w *Tel'aran'rhiid*. No cóż, ten, kto próbuje odpiąć obręcz, która opina mu szyję, sam siebie karze. Przynajmniej tym razem Moghedien nie zostało już nic w żołądku.

— Błagam. — Moghedien uchwyciła się rąbka spódnicy Nyaneve. — Powia-

dam ci, musimy uciekać. — Panika bliska szaleństwu nadała jej głosowi bolesny ton. Twarz odzwierciedlała wyrywające się na wolność śmiertelne przerażenie. — Oni są tutaj ciałem! Ciałem!

— Cicho bądź — skarciła ją nieobecnie Nynaeve. — Jeśli mnie nie okłamałaś, to wynika z tego pewna korzyść. Dla mnie.

Tamta twierdziła, że przebywanie w Świecie Snów ogranicza kontrolę nad Snem w fizycznym sensie. Czy raczej, przyznała to, kiedy wymknęła jej się odrobina wiedzy. Przyznała także, że Rahvin nie zna *Tel'aran'rhiod* tak dobrze jak ona. Nynaeve miała nadzieję, że w takim razie nie znał go tak dobrze jak ona sama. W to, że wiedział więcej niż Rand, nie wątpiła. Ten wełnianogłowy mężczyzna! Niezależnie od powodów, z jakich ścigał Rahvina, nigdy, pod żadnym pozorem, nie powinien był pozwolić, by tamten sprowadził go tutaj, gdzie nie znał zasad, gdzie myśli potrafiły zabijać.

— Dlaczego nie rozumiesz tego, o czym ci mówię? Nawet jeśli oni tylko wśnili się tutaj, to i tak każdy z nich jest silniejszy od nas. Będąc tutaj ciałem, mogą nas zmiążdżyć, nie mrugnawszy okiem. Ciałem mogą zaczerpnąć więcej *saidina* niż my *saidara* podczas snu.

— Jesteśmy połączone. — Nie zwracając na nią uwagi, Nynaeve mocno szarpnęła swój warkocz. Nie sposób orzec, w którą stronę poszli. I żadnej możliwości wcześniejszego ostrzeżenia, dopóki ich nie zobaczy. To było niesprawiedliwe, że oni mogli przenosić, a ona nie będzie w stanie ani zobaczyć, ani poczuć splotów. Stojąca lampa, przecięta na pół, nagle stała się na powrót całością, potem znowu rozpadła, równie szybko. Tamten biały ogień musi być nadzwyczaj potężny. *Tel'aran'rhiod* zazwyczaj natychmiast uzdrawiał się sam, czego z nim nie zrobiono.

— Ty bezmózga idiotko — wyłkała Moghedien, potrząsając spódnicą Nynaeve, jakby chciała potrząsnąć samą Nynaeve. — Nie ma znaczenia, ile masz odwagi. Jesteśmy połączone, ale ty nie przeniesiesz niczego w takim stanie, w jakim się znajdujesz. Ani strzępka. Ja daję siłę, ale ty szaleństwo. Oni są tutaj ciałem, oni wcale nie śnią! Oni używają rzeczy, o jakich tobie nigdy się nie śniło! Zniszczą nas oboje, jeśli tu zostaniemy!

— Mów ciszej — wściekła się Nynaeve. — Chcesz któregoś tu z nich ściągnąć?

Pośpiesznie spojrzała w obie strony, ale w korytarzu było nadal pusto. Czy to były czyjeś kroki? Stukot wysokich butów? Rand czy Rahvin? Do jednego trzeba było podejść równie ostrożnie jak do drugiego. Mężczyzna, który walczył o życie, mógł zaatakować, zanim zauważy, że atakuje przyjaciół. Cóż, ona w każdym razie była przyjaciółką.

— Musimy iść — upierała się Moghedien, ale zniżyła głos. Powstała, z ustami zaciśniętymi w zaciętym uporze. Kłębiły się w niej strach i gniew, ten pierwszy silniejszy, ale niewiele. — Dlaczego miałabym ci dalej pomagać? To szaleństwo!

— A chcesz znowu poczuć pokrzywy?

Moghedien wzdrygnęła się, ale w jej ciemnych oczach nadal czaił się upór.

— Myślisz, że wolę pozwolić, żeby mnie zabili, niż żebyś ty mi zrobiła krzywdę? Jesteś szalona. Nie ruszę się z tego miejsca, dopóki nie będziesz gotowa zabrać nas stąd.

Nynaeve znowu szarpnęła warkocz. Jeśli Moghedien nie będzie chciała iść, to ona będzie musiała ją wlec. Nie najszybszy sposób na szukanie, skoro zostały jeszcze do przejścia całe, jak się zdawało, mile pałacowych korytarzy. Szkoda, że nie zareagowała ostrzej, kiedy ta kobieta po raz pierwszy próbowała się stawiać. Będąc na miejscu Nynaeve, Moghedien zabiłaby bez wahania, albo, gdyby uznała, że to przyniesie jej większą korzyść, utkała tę sztuczkę polegającą na odbieraniu komuś jego woli, sprawiając, by ją wielbiła. Nynaeve posmakowała już kiedyś tego, w Tanchico, i nawet gdyby wiedziała, jak to się robi, to nie sądziła, by była w stanie zrobić to komuś drugiemu. Gardziła tą kobietą, nienawidziła jej całym swoim jestestwem. Ale nawet gdyby jej tutaj nie potrzebowała, to i tak nie mogłaby jej zabić. Kłopot polegał na tym, że Moghedien też teraz o tym wiedziała.

Niemniej jednak Wiedząca kierowała Kołem Kobiet — nawet jeśli Koło Kobiet nie zawsze się z nią zgadzało — a Koło Kobiet wymierzało kary kobietom, które złamały prawo albo za mocno obraziły obyczaje, a także mężczyznom, za niektóre wykroczenia. Mogła nie mieć nerwów Moghedien, żeby zabijać, żeby dewastować komuś umysł, ale...

Moghedien otworzyła usta i Nynaeve wypełniła je kneblem z Powietrza. Albo raczej zmusiła Moghedien, by sama się zakneblowała; dzięki łączącej je *a'dam* przypominało to samodzielne przenoszenie, ale Moghedien wiedziała, że to jej umiejętności są wykorzystywane niczym narzędzie w rękach Nynaeve. Ciemne oczy zalśniły oburzeniem, kiedy własne sploty przywiązały jej ręce do boków i obwiązały ściśle spódnice wokół kostek. Na koniec Nynaeve wykorzystowała *a'dam*, tak samo jak w przypadku pokrzyw, stwarzając takie wrażenie, jakie chciała, by ta kobieta poczuła. Nie rzeczywistość; poczucie rzeczywistości.

Moghedien zeszywniała w swoich pętach, kiedy skórzany rzemień jakby uderzył ją po siedzeniu. Tak właśnie miała to poczuć. Przez smycz przelały się wściekłość i upokorzenie. A także pogarda. W porównaniu z jej wyrafinowanymi metodami krzywdzenia ludzi, coś takiego przystawało raczej dziecku.

— Kiedy będziesz znowu gotowa do współpracy — powiedziała Nynaeve — tylko kiwnij głową. — To nie mogło trwać długo. Nie mogła tu tylko stać, w czasie gdy Rand i Rahvin próbowali się wzajem zabić. Jeśli umrze nie ten, co trzeba, dlatego że unikała niebezpieczeństwa, pozwalając, by Moghedien zatrzymywała ją tutaj...

Nynaeve przypomniał się dzień, kiedy miała szesnaście lat, tuż po tym, jak orzeczono, że jest dostatecznie dorosła, by splatać włosy w warkocz. Podjudzona

przez Nelę Thane ukradła pudding śliwkowy Corin Ayellin i wyszła z kuchni prosto na panią Ayellin. Pokłosie tego epizodu, posłane przez smycz w jednorazowej dawce, sprawiło, że oczy Moghedien omal nie wyskoczyły z czaszki.

Nynaeve, zawzięta, zrobiła to jeszcze raz.

„Ona mnie nie zatrzyma o krok od celu!”

Jeszcze raz.

„Pomogę Randowi, czego by sobie nie myślała!”

Jeszcze raz.

„Choćby to miało nas obie zabić!”

Jeszcze raz.

„Och Światłości. ona mogła mieć rację; Rand może nas zabić obie, zanim mnie rozpozna.”

Jeszcze raz.

„Światłości, nienawidzę się bać”.

Jeszcze raz.

„Nienawidzę jej!”

Jeszcze raz.

„Nienawidzę jej!”

Jeszcze raz.

Nagle dotarło do niej, że Moghedien miota się jak oszalała w swych pętach, kiwając głową tak gwałtownie, że mogła jej zaraz odpaść. Nynaeve przez chwilę gapiła się na zalaną łzami twarz, po czym przestała robić to, co właśnie robiła, i pospiesznie odwiązała sploty Powietrza. Światłości, co ona zrobiła? Przecież nie jest Moghedien.

— Jak rozumiem, nie sprawisz mi więcej kłopotów?

— Oni nas zabijają — wymamrotała kobieta ledwie słyszalnie i niemalże niezrozumiale wśród spazmów łkania, ale jednocześnie gorliwie kiwała głową, pospiesznie dając do zrozumienia, że się zgadza.

Nynaeve z premedytacją postanowiła okazać się twarda. Moghedien zasługiwała na to, żeby tak oberwać, i na znacznie, znacznie więcej. W Wieży, jako jedna z Przeklętych zostałaaby ujarzmiona i stracona natychmiast po procesie, a dowodów oprócz tego, kim była, nie trzeba było wiele.

— Znakomicie. To teraz. . .

Grzmot, albo coś bardzo podobnego do grzmotu, wstrząsnął całym pałacem, ściany zatrzęśły się, z posadzek podniósł się kurz. Nynaeve na poły upadła na Moghedien i obie zatańczyły, starając się utrzymać w pozycji pionowej. Wstrząs jeszcze nie ustał całkowicie, gdy zastąpił go ryk, jakby jakiś monstrualny ogień poszybował w górę komina wielkości góry. To trwało tylko chwilę. Cisza, która po tym zapadła, zdawała się głębsza niż przedtem. Nie. Słychać było buty. Jakiś mężczyzna biegł. Odgłos rozległ się echem w głębi korytarza. Z północy.

Nynaeve odepchnęła drugą kobietę.

— Ruszaj.

Moghedien zaskomlała, ale nie opierała się, gdy została pociągnięta w głąb korytarza. Oczy miała jednak ogromne i przyspieszony oddech. Nynaeve uznała, że to dobrze, iż ma ze sobą Moghedien i nie tylko ze względu na dostęp do Jedynej Mocy. Po tych wszystkich latach ukrywania się w cieniach, Pajęczycza okazała się takim tchórzem, że w porównaniu z nią Nynaeve niemalże czuła się odważna. Niemalże. Jedyne gniew wobec własnego strachu pozwalał jej utrzymywać ten jedyne splot Ducha, dzięki któremu pozostawała w *Tel'aran'rhiod*. Moghedien stanowiła wcielenie strachu przenikającego do kości.

Wlokąc za sobą Moghedien za pomocą lśniącej smyczy, Nynaeve przyspieszyła krok. Ściagała cichnące odgłosy tamtych kroków.

* * *

Rand wyszedł na owalny dziedziniec, przezornie się rozglądając. Połowa brukowanego białymi kamieniami kręgu wciniała się w trzypiętrową budowlę, wznoszącą się za jego plecami; drugą połowę ograniczało kamienne półkole wsparte na jasnych kolumnach o wysokości pięciu kroków, które wychodziło na kolejny ogród, ocieniając zwirowane chodniki pod niskimi gałęziami rozłożystych drzew. Marmurowe ławki otaczały staw z liliami. Pełen ryb, złotych, białych i czerwonych.

Ławki nagle poruszyły się, zafalowały, zmieniły w pozbawione twarzy ludzkie kształty, nadal równie twarde i białe jak kamień. Wiedział już, jak trudno zmienić coś, co uprzednio zmienił Rahvin. Błyskawica, która wytrysnęła z czubków jego palców, roztrzaskała kamiennych ludzi na tysiące odłamków.

Powietrze stało się wodą.

Krzusząc się, usiłował dopłynąć do kolumn; widział rozciągający się za nimi ogród. Musiała istnieć jakaś bariera, która zatrzyma wylewającą się wodę. Nim udało mu się przenieść, złote, czerwone i białe kształty pomknęły ku niemu, większe od ryb w stawie. Uzbrojone w zęby. Walczyły między sobą o dostęp do niego; w czerwonej mgłę zakłębiła się czerwień krwi. Instynktownie odpędzał ryby, gwałtownie młócąc rękoma, ale jego zimna część, w głębinach Pustki, przeniosła. Rozjarzony ogień stosu uderzył w barierę, o ile taka istniała, w jedyne miejsce, z którego Rahvin mógł widzieć ten dziedziniec. Woda kłębiła się, bezlitośnie miotając jego ciałem we wszystkie strony, pędząc wartko, by wypełnić puste tunele wyrzeźbione przez ogień stosu. Mknęły ku niemu błyski złota, bieli i czerwieni, w wodzie pojawiały się kolejne pasma purpury. Miotany we wszystkie strony, nie widział, w co celować błyskawicami; uderzały na wszystkie strony. Zabrakło

oddechu. Usiłował myśleć a powietrzu albo o wodzie będącej powietrzem.

I nagle woda stała się powietrzem. Całym ciężarem runął na kamienie bruku, pośród miotających się wokół ryb, przetoczył i podparł, by wstać. To było znowu powietrze; nawet ubranie miał suche. Kamienny krąg migotał, to nietknięty, to obrócony w ruinę, z połową kolumn obalonych. Część drzew padała, splatając się wzajem koronami, po czym prostowały się na powrót i znowu padały. Białe ściany pałacu za jego plecami znaczyły otwory, wybite nawet w wysokiej kopule, a na wskroś okien biegły cięcia, niektóre przez maswerkowe ekrany na oknach. Zniszczenia migotały, to znikając, to pojawiając się na nowo. Nie te powolne, sporadyczne zmiany jak przedtem; tak działo się cały czas. Zniszczenia, potem żadnych, znowu jakieś, znowu żadnych i tak bezustannie.

Krzywiąc się, przycisnął rękę do boku, do starej, w połowie zaleczonej rany. Piekła, jakby wysiłek ją otworzył. Piekło go całe ciało, od kilkunastu albo i więcej krwawiących ukąszeń. To się nie zmieniło. Krwawe rozcięcia w kaftanie i spodniach nadal tam były. Czy udało mu się przemienić wodę w powietrze? Albo czy jedna z tych jego dzikich strzał ognia stosu przepędziła albo wręcz zabiła Rahvina? Wszystko bez znaczenia, wyjąwszy to ostatnie.

Otarłszy krew z oczu, przyjrzał się oknom i balkonom otaczającym ogród, wysokiej kolumnadzie po przeciwległej stronie. Albo raczej zaczął tylko, gdyż coś innego przykuło jego uwagę. Pod kolumnadą dostrzegł blaknące resztki splotu. Z tego miejsca potrafił stwierdzić, że to była brama, ale żeby sprecyzować, jakiego rodzaju i dokąd wiodła, musiał podejść bliżej. Przeskoczywszy przez galimatias obrobionego kamienia, który zniknął w momencie, gdy znajdował się ponad nim, pomknął przez ogród, lawirując między drzewami, które leżały na chodniku. Resztką bramy niemalże zniknęła; musi znaleźć się bliżej, zanim zdąży zniknąć bez śladu.

Upadł nagle, raniąc wnętrze dłoni na żwirze. Nie zauważył niczego, o co mógł się potknąć. Poczłł zawrót głowy, zupełnie jakby coś uderzyło go w głowę. Niezdarnie usiłował podnieść się na nogi, dotrzeć do tego osadu. Poczłł, że z jego ciałem coś dziwnego się dzieje. Ręce porastały długim włosem; palce zdawały się kurczyć, cofać do wnętrza dłoni, upodabniając się niemalże do zwierzęcych łap. Pułapka. Rahvin wcale nie uciekł. Ta brama była pułapką i on w nią wpadł.

Desperacja przywarła do Pustki, kiedy mocował się, by przywrzeć do siebie. Jego ręce. Były jego rękami. Prawie. Wstał z wysiłkiem. Nogi zdawały się uginać w niewłaściwy sposób. Prawdziwe Źródło cofało się; Pustka kurczyła. Za pozbawioną emocji skorupą Pustki rozjarzyły się pasma paniki. W cokolwiek próbował go przemienić Rahvin, to coś nie przenosiło. *Saidin* wylizgiwał się, rzedł strumień Mocy, rzedł mimo iż wzmacniany był przez *angreal*. Otaczające go balkony wpatrywały się w niego, puste, w kolumnadzie nie było nikogo. Rahvin musiał stać w jednym z tych okien przesłoniętych kamienną koronką, ale w którym? Tym razem nie miał już sił na sto błyskawic. Jeden wybuch. Tyle się uda. O ile

zrobi to szybko. Które okno? Walczył, żeby być sobą, walczył, by przyjąć w siebie *saidina*, witał każdą plamę skazy jako dowód, że nadal trzyma Pustkę. Słaniając się, błakał w krąg, szukając próżno, donośnym rykiem wykrzyknął imię Rahvina. Zabrzmiało jak ryk bestii.

* * *

Nynaeve skręciła za róg, wlokąc za sobą Moghedien. Przed nią, za następnym zakrętem zniknął jakiś mężczyzna, ciągnąc za sobą echo kroków. Nie miała pojęcia, od jak dawna już idzie za ich odgłosem. Niekiedy milkły, a czasami musiała czekać, aż rozlegną się ponownie, w przeciwnym razie nie miałyby pojęcia, w którą stronę ruszyć. Czasami, kiedy się zatrzymywały, działy się różne rzeczy; niczego niby nie widziała, ale pałac rozbrzmiewał niczym uderzony dzwon, a innym razem włosy usiłowały jej stanąć dęba, kiedy powietrze zdawało się trząskać, a innym. . . To nie miało znaczenia. Tym razem po raz pierwszy dostrzegła przelotnie człowieka, którego wysokie buty wydawały ten odgłos. Jej zdaniem mężczyzna odziany w czarny płaszcz nie mógł być Randem. Wzrost się zgadzał, ale był za duży, zbyt rozrośnięty w barkach.

Pobiegła, w ogóle nie myśląc. Mocne grube buty dawno temu stały się aksamitnymi trzewikami. Skoro ona mogła słyszeć jego, to i on mógł słyszeć ją. Oszałamiałe dyszenie Moghedien rozlegało się głośniejsze niż jej kroki.

Nynaeve dotarła do zakrętu i zatrzymała się, wyglądając ostrożnie za róg. Obejmowała *saidara* — przez Moghedien, ale to był jej *saidar* — gotowa przenosić. Nie musiała. W korytarzu było pusto. Po przeciwległej stronie, w ścianie z maswerkowymi arabeskami, znajdowały się jakieś drzwi, ale nie sądziła, by tamten zdążył do nich dojść. Bliżej, w prawo odchodził inny korytarz. Podbiegła do niego pospiesznie, znowu czujnie wyjrzała. Pusto. Ale nieco dalej od miejsca styku dwóch korytarzy odchodziła kręta klatka schodowa.

Wahała się chwilę. Szedł dokądś pospiesznie. Korytarz wiódł z powrotem w tę samą stronę, z której przyszły. Czy po to biegłby, żeby zawrócić? A zatem na górę.

Ciągnąc za sobą Moghedien, powoli wspięła się po schodach, wyważając słuch, by usłyszeć coś więcej prócz bliskiego hysterii oddechu Przeklętej i krwi dudniącej we własnych uszach. Gdyby znalazła się twarzą w twarz z nim. . . Wiedziała, że tam jest, gdzieś przed nimi. To ona sprawi niespodziankę.

Na pierwszym podejściu zatrzymała się. Korytarze tutaj stanowiły lustrzane odbicie znajdujących się poniżej. Równie puste, równie nieme. Czy on wspiął się jeszcze wyżej?

Stopień zadrżał nieznacznie pod jej stopą, jakby pałac został uderzony jakimś

ogromnym taranem, po chwili jeszcze raz. I jeszcze, a jednocześnie pręga białego ognia przebiła szczyt okna przesłoniętego kamiennym ażurem, po czym ukośnie pomknęła w górę, zamigotała i zniknęła w momencie, gdy zaczęła już ciąć sklepienie.

Nynaeve przełknęła ślinę, mrugając w próżnym wysiłku pozbycia się jasnofioletowego wachlarza lśnień, który przesłonił jej pole widzenia. To musiał być Rand, starający się trafić Rahvina. Jeśli znajduje się zbyt blisko, to Rand może zahaczyć o nią przypadkiem. Jeśli on tak młócił na oślep — a jej zdaniem tak to wyglądało — to mógł ją trafić, nawet o tym nie wiedząc.

Drżenia ustały. Oczy Moghedien rozbuły się panicznym strachem. Sądząc po tym, co Nynaeve czuła przez *a'dam*, dziw brał, że ta kobieta nie wiała się na posadzce z przeraźliwym piskiem i pianą na ustach. Nynaeve sama miała ochotę piszczeć. Zmusiła się, by postawić stopę na następnym stopniu. Z równym powodzeniem można było iść w górę, jak w każdym innym kierunku. Drugi stopień okazał się niemalże równie trudny. Powoli, ale się jednak udało. Nie należało podchodzić do niego zbyt nerwowo. To ona powinna go zaskoczyć. Moghedien szła za nią jak zbity pies, cała dygocząc.

Nynaeve wspinała się, objawszy *saidara*, tyle, ile mogła, taką ilość, z jaką mogła sobie poradzić Moghedien, do momentu, kiedy jego słodycz stała się niemalże bólem. To było ostrzeżenie. Trochę więcej i dojdzie do punktu, kiedy będzie go za dużo, do punktu, kiedy mogła się sama ujarzmić, wypalić z siebie zdolność do przenoszenia. Albo z Moghedien, biorąc pod uwagę okoliczności. Może też z obu naraz. Każda z tych ewentualności byłaby teraz równoznaczna z katastrofą. Utrzymała jednak pobraną porcję Mocy... życia... wypełniającego ją z lekkim naciskiem, jak igła zanim przebije skórę. Tyle sama była w stanie objąć, gdyby sama przenosiła. Ona i Moghedien władały Mocą mniej więcej z równą siłą; Tanchico tego dowiodło. Czy to wystarczy? Moghedien upierała się, że mężczyźni są silniejsi. Rahvin przynajmniej — jego Moghedien znała — a jakoś nie wydawało się prawdopodobne, by Rand mógł to długo przetrzymać, chyba że był równie silny. To było niesprawiedliwe, że mężczyźni dysponowali nie tylko mięśniami, lecz również większą siłą we władaniu Mocą. Aes Sedai w Wieży zawsze powtarzały, że im dorównują. To zwyczajnie nie było...

Z tego wszystkiego zaczęła bredzić. Zrobiwszy głęboki wdech, wyciągnęła Moghedien za sobą z klatki schodowej. To był najwyższy poziom, do jakiego dochodziły schody.

W korytarzu było pusto. Doszła do miejsca, gdzie przecinał się z innym, wyjrzała. I on tam stał. Wysoki, odziany w czerń mężczyzna, potężnie zbudowany, ze skrzydełkami bieli w ciemnych włosach; wyglądał przez jedną z zakrzywionych szczelin w kamiennych parawanach okien na coś, co znajdowało się na dole. Na twarzy lśnił pot wysiłku, ale zdawał się uśmiechać. Przystojna twarz, równie przystojna jak twarz Galada, ale nie spowodowała przyspieszenia jej oddechu.

To, na co patrzył — na Randa może? — przykuło jego uwagę całkowicie, ale Nynaeve nie dała mu szansy, by ją zauważył. Nie umiała orzec, czy Rahvin przenosi. Wypełniła korytarz ogniem, od jednej ściany do drugiej, od posadzki po sufit, wlewając w tę przestrzeń całego zgromadzonego *saidara*, ogień był tak gorący, że aż kamień zadymił.

Rahvin wrzasnął przeraźliwie z samego środka płomienia — płomień był tylko jeden — i chwiejnie cofnął się, z powrotem do miejsca, w którym korytarz przechodził w otoczony kolumnadą chodnik. Jedno mgnienie oka, krócej nawet, kiedy się wciąż jeszcze cofała, i znieruchomiał, w samym środku płomienia, a mimo to otoczony czystym powietrzem. Każdy strzęp *saidara*, jaki potrafiła przemieścić, wnikał w to inferno, ale on trzymał je na uwięzi. Widziała go przez ogień; oblewał wszystko czerwoną łuną, a jednak widziała go. Ze zwęglonego kaftana unosił się dym. Twarz zmieniała się w wypalone zgliszcza, jedno oko zaszło mleczną bielą. A mimo to w spojrzeniu czaiła się wrogość, kiedy zwrócił je w jej stronę.

Przez smycz *a'dam* nie docierały do niej żadne emocje, jedynie ołowiana ociężałość. W żołądku Nynaeve zatrzepotało. Moghedien się poddała. Poddała, bo tutaj czekała je już tylko śmierć.

* * *

Ogień przeciskał się przez ażurowe parawany w oknach ponad Randem, palce pożogi wypełniały każdy otwór, płasząc sunęły w stronę kolumnady. W samym środku tego wszystkiego zorientował się, że walka w jego wnętrzu ustała zniemacka. On sam znieruchomiał tak nagle, że aż wywołało to w nim szok. Desperacko czerpał *saidina*, starając się zatrzymać przynajmniej część. Teraz runął na niego, lawina ognia i lodu, od której ugięły się pod nim nogi, od której Pustka zdrząła w bólu masakrującym jej powierzchnię niczym maszyna.

A Rahvin zatoczył się w tył, w głąb kolumnady, z twarzą zwróconą ku czemuś, co znajdowało się w jej wnętrzu. Wił się w ogniu, a mimo to jakoś stał, jakby wcale nietknięty. Skoro teraz zdawał się nietknięty, to wcześniej musiało przecież być inaczej. Jedynie rozmiar postaci, czysta niemożliwość, by mógł to być ktoś inny, powiedział Randowi, że to on. Przeklęty przemienił się w kształt z węgla i skwierczącego czerwonego ciała, którego naprawa wyczerpałaby siły każdego Uzdrawiciela. Śmiertelny ból musiał być obezwładniający. Z tym wyjątkiem, że Rahvin znajdował się we wnętrzu Pustki, w środku spalonego szczątka człowieka, otulony w próżnię, gdzie ból ciała jest odległy, *a saidin* tuż pod ręką.

Saidin zawrzał wściekle we wnętrzu Randa i wtedy wszystko uwolnił. Nie po

to, żeby Uzdrawiać.

— Rahvin! — krzyknął przeraźliwie i z jego rąk wyskoczył płomień stosu, topniejącym światłem, potężniejszy od tułowia człowieka, napędzany całą Mocą, jaką mógł zaczerpnąć.

Trafił Przeklętego i Rahvin przestał istnieć. Psy Ciemności w Rhuidean zmieniły się w ćmy, zanim zniknęły, niezależnie od rodzaju żywota, jaki usiłowały kontynuować, być może to Wzór starał się zachować coś nawet po nich. Tutaj, zanim tak się stało, Rahvin zwyczajnie... przestał istnieć.

Rand pozwolił ogniowi stosu zamrzeć, odepchnął odrobinę *saidina*. Mrugając, starał się pozbyć powidoku, potem zagapił na wielką dziurę w marmurowej balustradzie, szczątki jednej kolumny podobne do kła, zapatrzył na równy wielkością otwór w dachu pałacu. Nie migotały, jakby nawet pałac nie mógł ich naprawić. Po wszystkim to zdawało się jakby za łatwe. Może tam na górze jest coś, co go przekona, że Rahvin naprawdę nie żyje. Pobiegł w stronę drzwi.

* * *

Owładnięta szaleństwem Nynaeve użyła wszystkiego w próbie zaciśnięcia płomiennego kręgu wokół Rahvina raz jeszcze. Pojawiła się myśl, że mogła przecież użyć błyskawicy. Zaraz umrze. Te straszne oczy były utkwione w Moghedien, nie w niej, ale ona też umrze.

Płynny ogień wciął się w kolumnadę, tak gorący, że w porównaniu z nim jej ogień wydawał się zimny. Pod wpływem szoku wypuściła splot i wyrzuciła rękę w górę, by osłonić twarz, jednak nie zdążyła jej podnieść nawet do połowy; ogień zniknął. Podobnie Rahvin. Nie wierzyła, by uciekł. Był taki moment, tak krótki, że równie dobrze mogła go sobie tylko wyobrazić, kiedy ta biała sztaba dotknęła go i wtedy stał się... mgłą. Tylko chwila. Mogła to sobie wyobrazić. Ale nie wierzyła. Z trudem zaczerpnęła powietrza.

Moghedien ukryła twarz w dłoniach, płakała, trzęsła się. Jedyłą emocją, jaką Nynaeve wyczuwała przez *a'dam*, była ulga, tak ogromna, że pochłonęła wszystko inne.

Na schodach poniżej zadudniły czyjeś pospieszne kroki.

Nynaeve obróciła się błyskawicznie na pięcie, zrobiła krok w stronę spiralnej klatki schodowej. Zaskoczona zdała sobie sprawę, że czerpie z samych głębin *saidara*, że staje w pogotowiu.

Zaskoczenie znacznie osłabło, kiedy na szczycie schodów stanął Rand. Nie był taki, jakim go zapamiętała. Rysy miał niby takie same, ale twarz wyrażała niezłomność. Niebieski lód wypełniał oczy krwawe rozcięcia w kaftanie i spodniach,

krw na twarzy zdawały się pasować do tego oblicza.

Patrząc na niego, nie byłaby zaskoczona, gdyby zabił Moghedien na miejscu, dowiedziawszy się, kim ona jest. Nynaeve chciała ją jeszcze wykorzystać. On rozpozna *a'dam*. Nie myśląc więcej, zmieniła to, pozwoliła smyczy zniknąć, pozostawiając jedynie srebrną bransoletę na swoim nadgarstku i obręcz na szyi Moghedien. Nastąpił moment paniki, kiedy do niej dotarło, co zrobiła, po czym westchnęła z ulgą, pojawiwszy, że nadal wyczuwa drugą kobietę. Zadziałało dokładnie tak, jak twierdziła Elayne. Może nie zauważył. Znajdowała się między nim a Moghedien; smycz wlokła się za jej plecami.

Ledwie spojrzął na Moghedien.

— Zastanawiała mnie te płomienie, które dobywały się właśnie stąd. Pomyślałem, że to mogłaś być ty albo... Co to za miejsce? Czy właśnie tutaj spotykacie się z Egwene?

Podniósłszy na niego oczy, Nynaeve starała się nie przełykać nazbyt wyraźnie śliny. Taka zimna twarz.

— Rand, Mądre mówią, że to, co zrobiłeś, że to, co robisz, jest niebezpieczne, wręcz złe. Powiadają, że utracisz coś z siebie, jeśli będziesz tu przychodził we własnej osobie, zagubisz jakąś część, która czyni cię człowiekiem.

— Czyżby Mądre znały się na wszystkim? — Przepisnął się obok niej i stanął zapatrzonej na kolumnadę. — Kiedyś myślałem, że Aes Sedai wiedzą wszystko. To bez znaczenia. Nie wiem, na ile ludzki może być Smok Odrodzony, na ile może sobie pozwolić.

— Rand, ja... — Nie wiedziała, co powiedzieć. — Chodź, pozwól, że przynajmniej cię Uzdrawię.

Czekał nieruchomo, aż podejdzie bliżej i ujmie jego głowę w swoje ręce. Ze swej strony musiała ukryć grymas. Świeże rany nie były poważne, jedynie liczne — ciekawe, co go tak pokąsało; była pewna, że większość to ślady ukąszeń — ale ta stara, w połowie zaleczona, nigdy się nie gojąca rana w jego boku, to była cała sztolnia ciemności, studnia wypełniona czymś, co sobie wyobrażała jako skazę pochodzącą od *saidina*. Przeniosła skomplikowane strumienie, Powietrza i Wody, Ducha, nawet Ognia i Ziemi w niewielkich ilościach, z których składało się Uzdrawianie. Nie zawył, ani też nie zaczął machać rękoma. Nawet nie mrugnął. Zadygotał. I to wszystko. Potem ujął ją za nadgarstki i odsunął jej ręce od swej twarzy. Nie stawiała oporu. Nowe obrażenia zniknęły, każde ugryzienie, zadrapanie czy siniec, ale nie stara rana. W niej nic się nie zmieniło. Wszystko, z wyjątkiem śmierci, dawało się Uzdrawić, nawet to. Wszystko!

— Czy on nie żyje? — spytał cicho. — Widziałaś, jak umierał?

— On nie żyje, Rand. Widziałam.

Skinął głową.

— Ale są jeszcze inni, prawda? Inni... Wybrani.

Nynaeve poczuła kłującą drzazgę strachu pochodzącą od Moghedien, ale nie obejrzała się.

— Rand, musisz stąd odejść. Rahvin nie żyje, a to miejsce jest niebezpieczne dla ciebie w takiej postaci, w jakiej tu przebywasz. Musisz odejść i nie wolno ci tu wracać cieleśnie.

— Odejdę.

Nie zrobił nic, co mogłaby zobaczyć albo poczuć — to oczywiste — ale przez chwilę miała wrażenie, że korytarz za jej plecami... w jakiś sposób się zmienił. Ale wcale nie wyglądał inaczej. Tyle że... Zamrugła. W kolumnadzie za nim nie brakowało ani kawałka kolumny, nie było ani jednej dziury w kamiennej balustradzie.

A on mówił dalej, jakby nic się nie zdarzyło.

— Powiedz Elayne... Poproś ja, żeby mnie nie nienawidziła. Poproś ją...

Ból wykrzywił mu twarz. Przez chwilę widziała tego chłopca, którego kiedyś знаła, który miał taką minę, jakby mu przemocą odebrano coś cennego. Wyciągnęła rękę, chcąc go pocieszyć, a on odsunął się, z twarzą na powrót kamienną i pustą.

— Lan miał rację. Powiedz Elayne, żeby o mnie zapomniała, Nynaeve. Powiedz, że znalazłem sobie inną do kochania i że dla niej nie zostało już miejsca. On chciał, żebym ci powiedział to samo. Lan też sobie kogoś znalazł. Powiedział, że masz o nim zapomnieć. Lepiej nigdy się nie narodzić, niż nas kochać.

Znowu się odsunął, na trzy długie kroki, sala zdawała się obracać wraz z nim, powodując zawrót głowy — przynajmniej część komnaty — i zniknął.

Nynaeve wbiła wytrzeszczone oczy w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał, nie na boleśnie powracające w bolesnym migotaniu zniszczenia, jakich doznała kolumnada. Lan kazał mu to powiedzieć?

— Mężczyzna... godny uwagi — rzekła cicho Moghedien. — Bardzo, bardzo niebezpieczny.

Nynaeve zagapiła się na nią. Coś nowego szło ku niej przez bransoletę. Strach był tam nadal, ale zagłuszony przez... Wyczekiwanie stanowiło być może najlepsze słowo, żeby to opisać.

— Okazałam się pomocna, nieprawdaż? — spytała Moghedien. — Rahvin nie żyje, Rand al'Thor uratowany. Nic z tego nie byłoby możliwe bez mojego udziału.

Nynaeve zrozumiała teraz. Więcej nadziei niż wyczekiwania. Nynaeve, prędzej czy później, będzie musiała się obudzić. *A'dam* zniknie. Moghedien starała się przypomnieć jej o swym wsparciu — jakby nie trzeba było go wymóc na niej przemocą — tak na wypadek, gdyby Nynaeve zbroiła się, by móc zabić, zanim odejdzie.

— Na mnie też już czas — powiedziała Nynaeve. Twarz Moghedien nie zmieniła się, ale strach się utrwalił, wzmocnił, podobnie i nadzieja. W rękę Nynaeve pojawił się duży, srebrny kubek, wypełniony jakimś naparem. — Wypij to.

Moghedien cofnęła się ukradkiem.

— Co...?

— To nie trucizna. Mogłabym zabić cię z łatwością i bez niej, gdyby to było moim celem. Ostatecznie to, co dzieje się tutaj, jest równie rzeczywiste w świecie jawy. — Nadzieja znacznie teraz silniejsza niż strach. — To cię wprawi w sen. Głęboki sen; zbyt głęboki, byś mogła dotknąć *Tel'aran'rhiod*. To się nazywa widłokorzeń.

Moghedien powoli ujęła kubek.

— Żeby nie mogła cię ścigać? Nie będę się więc sprzeczać. — Odchyliła głowę i przełknęła całą zawartość kubka.

Nynaeve obserwowała ją. Taka ilość powinna ją szybko załatwić. A mimo to podszept okrucieństwa kazał jej mówić dalej. Wiedziała, że to okrutne, ale nie dbała o to. Moghedien bynajmniej nie powinna zaznać spokojnego odpoczynku.

— Wiedziałaś, że Birgitte nie umarła. — Oczy Moghedien zwęziły się nieznacznie. — Wiedziałaś, kim jest Faolain. — Oczy drugiej kobiety rozszerzyły się, ale tylko odrobinę, już była śpiąca. Nynaeve już czuła działanie widłokorzenu. Skupiła się na Moghedien, trzymanej tutaj w *Tel'aran'rhiod*. Niełatwy sen dla jednej z Przeklętych. — I wiedziałaś, kim jest Siuan, że była kiedyś Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Nigdy o tym nie wspomniałam w *Tel'aran'rhiod*. Nigdy. Spotkamy się niebawem. W Salidarze.

Moghedien przewróciła oczyma. Nynaeve nie była pewna, czy to widłokorzeń czy omdlenie, ale to nie miało znaczenia. Puściła ją i ciało Moghedien zamigotało, a potem zniknęło. Srebrna obręcz upadła z brzękiem na płytki posadzki. Choć coś uszczęśliwi Elayne.

Nynaeve wystąpiła ze Snu.

* * *

Rand biegł wolnym truchtem przez korytarze pałacu. Jakoś zdawało się, że zniszczeń jest mniej, niż zapamiętał, ale specjalnie się im nie przyglądał. Wyszedł na wielki dziedziniec przed pałacem. Eksplozje Powietrza wytrąciły wysokie bramy z zawiasów. Za nimi rozpościerał się wielki, owalny plac i to, czego szukał. Trolloki oraz Myrddraale. Rahvin nie żył, inni Przekłęci przebywali gdzie indziej, ale w Caemlyn były trolloki i Myrddraale, które należało pozabijać.

Walczyli, wirująca masa złożona z setek, może tysięcy, otaczająca coś, czego nie widział przez odziane w czarne kolczugi rzesze, równie wysokie jak Myrddraal na koniu. Ledwie wyróżnił własny purpurowy sztandar pośrodku.

A mimo to zatrzymał się jak wryty. Kule ognia toczyły się po upakowanej,

odzianej w czarne kolczugi masie i wszędzie, jak okiem sięgnął, leżały martwe trolloki. To niemożliwe.

Nie odważywszy się na choćby iskrę nadziei, ani nawet na chwilę zastanowienia, przeniósł. Drzewce ogni stosu skakały z jego rąk tak szybko, jak potrafił je tkać, cieńsze od małego palca, precyzyjne; odcinał je, ledwie uderzyły w cel. Były znacznie słabsze od tych, których użył przeciwko Rahwinowi, ale nie mógł ryzykować, że któryś przebije się do uwięzionych w samym środku gęstwy trolloków. Zdawało się to czynić doprawdy niewielką różnicę. Pierwszy uderzony Myrddraal zmienił barwy, stał się odzianym w biel kształtem, a potem zostały już po nim tylko wirujące ómy, które natychmiast zniknęły, jego koń rzucił się do szaleńczej ucieczki. Trolloki, Myrddraale, wszystkie te, które odwracały się w jego stronę, zniknęły tak samo, a potem zaczął się wcinać w grzbiety tych, które jeszcze zwracały się w drugą stronę, dzięki czemu powietrze zdawało się wypełniać jednostajną mgiełką roziskrzonego pyłu, która wyparowywała i natychmiast powstawała na nowo.

Nie mogły się obronić przed czymś takim. Bestialskie okrzyki wściekłości przemieniły się w wycie strachu i stwory jeły uciekać we wszystkich kierunkach, omijając tylko miejsce, gdzie stał. Widział, jak jeden Myrddraal starał się ich zawrócić, lecz został stratowany razem z koniem, reszta spinała ostrogami wierzchołce, rzucając się do ucieczki.

Rand pozwolił im uciec. Wpatrzył się w zasłoniętego Aiela, który wybił się z okrażenia, uzbrojony w nóż o masywnym ostrzu. To był ten, który trzymał sztandar; Aielowie nie nosili sztandarów, ale ten, z fragmentem czerwonej opaski wystającym spod *shoufy*, dzierżył go. Gdzieniegdzie na ulicach dalej trwała bitwa, jej centrum stanowił wielki plac. Aielowie przeciwko trollokom. Lud miasta przeciwko trollokom. Nawet uzbrojeni ludzie w mundurach Gwardii Królowej. Najwyraźniej niektórzy z tych, co chcieli zabić królową, nie byli zdolni ścierpieć widoku trolloków. Rand ledwie to zauważał. Szukał wśród Aielów.

Tutaj. Jakaś kobieta w białej bluzce, jedną ręką przytrzymując baniaste spodnice, siekła uciekającego trolloka krótkim nożem; mgnienie oka później płomień ogarnęły postać obdarzoną niedźwiedzim pyskiem.

— Aviendha! — Rand sam nie zdawał sobie sprawy, że biegnie, dopóki nie wydał okrzyku. — Aviendha!

I był tam też Mat, w rozdartym kaftanie i z krwią na ostrzu włóczni przypominającym miecz, wsparty na czarnym drzewcu obserwował ucieczkę trolloków, zadowolony, że na tyle, na ile może, zwała walkę na kogoś innego. I Asmodean, który niezdarnie dzierżył miecz i rozglądał się na wszystkie strony, na wypadek gdyby jakiś trollok zdecydował się zawrócić. Rand wyczuł w nim *saidina*, słabo; nie sądził, by Asmodean wziął znaczący udział w walce z pomocą tego miecza.

Ogień stosu. Ogień stosu; który wypala wątek z Wzoru. Im silniejszy był ogień stosu, tym głębiej to wypalenie sięgało. I było tak, jakby nigdy nie wydarzyło się

to, co dany człowiek zrobił. Nie obchodziło go, czy wybuch skierowany przeciwko Rahvinowi spruł połowę Wzoru. Nie, jeśli efekt był właśnie taki.

Dotarło do niego, że policzki ma zalane łzami, wypuścił *saidina* i Pustkę. Chciał poczuć łzy.

— Aviendha! — Pochwyciwszy ją, zawirował z nią w objęciach, a ona patrzyła na niego z góry, jakby zwariował. Pragnął ją tak trzymać, nie chciał postawić na ziemi, ale zrobił to. Żeby móc uściskać Mata. Albo spróbować przynajmniej.

Mat odepchnął go.

— Co z tobą? Czyżbyś sobie pomyślał, żeśmy zginęli? Co wcale nie znaczy, że omal tak się nie stało. Bycie generałem jest znacznie bezpieczniejsze!

— Wy żyjecie! — zaśmiał się Rand. Odgarnął włosy Aviendhy z twarzy; podtrzymująca je chusta spadła i teraz zwisała luźno na szyi. — Jestem taki szczęśliwy, że żyjecie. To wszystko.

Raz jeszcze ogarnął wzrokiem plac i jego radość przybladła. Nic jej nie mogło zabić, ale ciała leżące na stertach tam, gdzie Aielowie trwali na swoich stanowiskach, przygasiła ją. Drobną budową wielu ciał wskazywała, że nie należały do mężczyzn. Była tam Lamelle, bez zasłony i połowy gardła; już nigdy nie ugotuje mu zupy. Pevin, oburącz ścisnął grube jak przegub dłoni drzewce włóczni trolloka, która przebiła mu pierś; na jego twarzy po raz pierwszy odmalował się jakikolwiek wyraz. Zdziwienie. Ogień stosu oszukał śmierć w przypadku jego przyjaciół, ale nie w przypadku innych. Zbyt wielu. Zbyt wiele Panien.

„Bierz, co możesz. Raduj się tym, co uda ci się uratować, i nie oplakuj zbyt długo strat”.

To nie była jego myśl, ale zaakceptował ją. Zdawało się, że to dobry sposób, by nie popaść w obłąd, zanim wpędzi go w niego skaza *saidina*.

— Gdzieś ty był? — spytała podniesionym tonem Aviendha. Nie gniewnym. Jeśli cokolwiek, to czuło się w nim ulgę. — W jednej sekundzie byłeś tutaj, w następnej zniknąłeś.

— Musiałem zabić Rahvina — odparł cicho. Otworzyła usta, ale on przyłożył do nich palce, żeby je uciszyć, po czym delikatnie ją odepchnął. Bierz, co możesz. — Niech tak pozostanie. On nie żyje.

Przykuśtykał Bael; głowę nadal spowijała mu *shoufa*, ale zasłona obwisła na pierś. Udo, a także grot ostatniej włóczni, jaka mu została, plamiła krew.

— Jeźdźcy Nocy i Wykoślawieni Cieniem uciekają, *Car'a'carnie*. Niektórzy z mieszkańców bagien przyłączyli się do tańca przeciwko nim. Nawet niektórzy z tych ludzi w zbrojach, aczkolwiek pierwsi tańczyli przeciwko nam.

Za nim stanęła Sulin, z odsłoniętą twarzą, z paskudnym, krwawym cięciem biegnącym przez policzek.

— Polujcie na nich, jakby to długo nie miało trwać — rzekł Rand. Ruszył z miejsca, nie bardzo wiedząc, dokąd iść, byle by to było jak najdalej od Aviendhy. — Nie chcę, żeby uganiały się swobodnie po okolicy. Trzymajcie oko na

gwardzistów. Dowiem się później, którzy to byli ludzie Rahvina, a którzy...

Szedł dalej, gadając i nie oglądając się za siebie. Bierz, co możesz...

ROZŻARZONE WĘGLE

W wysokim oknie było dość przestrzeni, by Rand mógł w nim swobodnie stać, wyprostowany, mając po obu stronach jeszcze na dwie stopy miejsca. Z podwiniętymi rękawami koszuli patrzył na jeden z pałacowych ogrodów. Aviendha przebiegała palcami w wykutym z czerwonego kamienia zbiorniku jednej z fontann, nadal zaintrygowana taką ilością wody, której jedynym przeznaczeniem było cieszyć oko i podtrzymywać przy życiu ozdobne ryby. Z początku była bardziej niż oburzona, kiedy jej powiedział, że nie może ścigać trolloków na ulicach. W rzeczy samej nie był pewien, czy byłaby tu teraz, gdyby nie dyskretna eskorta Pannien, której, zdaniem Sulin, nie powinien zauważyć. Miał także nie usłyszeć, jak siwowłosa Panna ją napominała, że nie jest już *Far Dareis Mai*, a jeszcze nie jest Mądrą. Mat, bez koszuli, a za to w kapeluszu dla ochrony przed słońcem, siedział na zwieńczeniu zbiornika, pogrążony w rozmowie z nią. Bez wątpienia badał, czy ona wie coś na temat tego, jakoby Aielowie nie pozwalali ludziom odejść; Mat raczej nie umiał nie narzekać na swój los, nawet jeśli postanowił się z nim pogodzić. Asmodean siedział na ławce w cieniu czerwonego mirtu i grał na harfie. Rand zastanawiał się, czy ten człowiek wie, albo choćby podejrzewa, co się stało. Nie powinien nic pamiętać... z jego perspektywy nic się nie stało... ale kto mógł orzec, co wiedział albo potrafił wykoncypować jeden z Przeklętych?

Uprzejme kaślanie kazało mu odwrócić wzrok od ogrodu.

Okno, w którym stał, znajdowało się na wysokości półtorej piędzi nad posadzką, w zachodniej ścianie sali tronowej, tak zwanej Wielkiej Sali, w której Królowe Andoru przyjmowały ambasadorów i ogłaszały swe wyroki od blisko tysiąca lat. Było to jedyne miejsce, z którego mógł nie zauważony obserwować Mata i Aviendhę, pewien, że im nie przeszkodzi. Po obu bokach sali ciągnęły się rzędy białych kolumn wysokości dwudziestu kroków. Światło wpadające przez te wysokie okna mieszało się z kolorowym światłem wysokich okien osadzonych w sklepieniu, okien, które ukazywały wizerunki Białego Lwa na przemian z portretami pierwszych królowych i scen wielkich zwycięstw odniesionych przez Andor. Na Enaili i Somarze najwyraźniej nie wywarły wrażenia.

Rand opuścił się na posadzkę, pomagając sobie rękoma.

— Czy są jakieś wieści od Baela?

Enaila wzruszyła ramionami.

— Polowanie na trolloki trwa. — Sądząc po tonie jej głosu, ta drobna kobieta z chęcią wzięłaby w nim udział. Postać stojąca obok Somary sprawiała, że zdawała się jeszcze niższa. — Część mieszkańców miasta udzieliła pomocy. Większość się ukryła. Bramy miasta są pilnowane. Żaden z Wykoślawionych Cieniem nie

ucieknie, jak sądzę, ale obawiam się, że uda się to niektórym Jeźdźcom Nocy.

Myrddraala trudno było zabić i równie trudno przyprzeć w walce do muru. Niekiedy łatwo było uwierzyć w dawne opowieści, że jeżdżą na cieniach niczym na koniach i że potrafią zniknąć, jeśli ustawią się bokiem do patrzącego.

— Przyniosłam ci trochę zupy — oznajmiła Somara, kiwnąwszy płową głową w stronę srebrnej tacy nakrytej pasiastą ściereczką, ustawionej na podium Tronu Lwa. Rzeźbiony i pozłacany, z nogami zakończonymi łapami lwa, tron był masywny, ustawiony na szczycie czterech marmurowych stopni, wiódł do niego pas czerwonego dywanu. Lew Andoru, wytłoczony księżycowymi kamieniami na tle z rubinów, wieńczył głowę Morgase za każdym razem, gdy zasiadła na tronie. — Aviendha twierdzi, że jeszcze dzisiaj nic nie jadłeś. To zupa, którą zwykła sporządzać dla ciebie Lamelle.

— Przypuszczam, że nie wrócił jeszcze nikt ze służby — westchnął Rand. — Może któryś kucharz? Jakiś pomocnik?

Enaila z pogardą potrząsnęła głową. Chętnie odsłuży swoje niczym *gai'shain*, jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, ale pomysł spędzania całego życia na usługiwaniu przepęlniał ją obrzydzeniem.

Wspiąwszy się po stopniach, przykucnął; by odrzucić ściereczkę. I zmarszczył nos. Sądząc po zapachu, ta, która to ugotowała, wcale nie była lepszą kucharką od Lamelle. Odgłos męskich kroków zbliżających się z przeciwległego krańca sali dał mu wymówkę, by odwrócić się od tacy. Przy odrobinie szczęścia, w ogóle nie będzie musiał tego jeść.

Mężczyzna, który szedł w jego stronę po długiej, krytej białymi i czerwonymi płytkami posadzce, z pewnością nie był mieszkańcem Andoru, sądząc po krótkim, szarym kaftanie i workowatych spodniach, wepchniętych w buty z cholewami wywróconymi przy kolanach. Szczupły i zaledwie głowę wyższy od Enaili, miał haczykowaty nos i ciemne, skośne oczy. Czarne włosy przetykały mu pasemka siwizny, gęste wąsy, podobne do skierowanych w dół rogów, okalały szerokie usta. Zatrzymał się, by skłonić się nieznacznie, z gracją manipulując zakrzywionym mieczem u biodra, mimo iż w jednym ręku niósł srebrne kielichy, a w drugiej zapieczętowany, porcelanowy słoje.

— Wybacz to wtargnięcie — powiedział — jednak nie było nikogo, kto mógłby mnie zaanonsować.

Strój być może miał prosty, zniszczony od podróży, ale z za jego pasa wystawało coś, co wyglądało jak pręt z kości słoniowej zakończony złotym wilczym łbem.

— Jestem Davram Bashere, generał-marszałek Saldaei. Przybywam, by rozmówić się z Lordem Smokiem, który jak głoszą plotki, przebywa rzekomo w mieście, czyli w Królewskim Pałacu. Zakładam, że to do niego właśnie się zwracam? — Na moment jego oczy powędrowały ku Smokom, które połyskliwą czerwienią i złotem oplatały ręce Randa.

— Jestem Rand al'Thor, lordzie Bashere. Smok Odrodzony. — Enaila i Somara stanęły między nim a przybyszem, każda z ręką wspartą na rękojeści noża z długim ostrzem, gotowa do osłonięcia twarzy. — Z zaskoczeniem widzę saldaeańskiego lorda w Caemlyn, jeszcze bardziej dziwi mnie, że ów chce ze mną rozmawiać.

— Po prawdzie to jechałem do Caemlyn, żeby rozmawiać z Morgase, ale sługusy lorda Gaebрила mnie nie dopuściły... króla Gaebрила, może winienem rzec? A tak nawiasem mówiąc, to czy on jeszcze żyje? — Ton Bashere mówił, że w to wątpi i że nie dba o to, czy jest tak czy inaczej. — W mieście powiadają też, że Morgase nie żyje.

— Oboje nie żyją — wyjaśnił obojętnie Rand. Usiadł na tronie, wspierając głowę na utworzonym z kamieni księżycowych Lwie Andoru. Tron został zbudowany dla kobiet. — Zabiłem Gaebрила, ale on wcześniej zdążył zabić Morgase. Bashere uniósł brew.

— Czy winienem zatem powitać Randa, króla Andoru?

Rand gniewnie podał się do przodu.

— Andor miał zawsze królową i nadal ją ma. Dziedziczką Tronu jest Elayne. Po śmierci swej matki ona jest królową. Może musi pierwaj zostać koronowana... nie znam się na tutejszym prawie... ale o ile o mnie idzie, to ona jest królową. Ja jestem Smokiem Odrodzonym. Tyle tylko, ale i tak za dużo. A czego ty chcesz ode mnie, lordzie Bashere?

Mężczyzna nie dal po sobie poznać, czy jego gniew wprawił tamtego w zakłopotanie. Skośne oczy obserwowały uważnie Randa, jednak nie było w nich niepokoju.

— Biała Wieża pozwoliła Mazrimowi Taimowi uciec. Temu fałszywemu Smokowi. — Urwał, a kiedy Rand nic nie powiedział, ciągnął dalej. — Królowa Tenobia nie chciała ponownych kłopotów dla Saldaei, więc kazała na niego zapolować i zgładzić. Od wielu tygodni jadę jego śladem na południe. Nie musisz się obawiać, że sprowadziłem do Andoru obcą armię. Z wyjątkiem dziesięcioosobowej eskorty pozostałych zostawiłem w lesie Braem, dobrze na północ od wszelkich granic, do jakich przez ostatnie lat rościł sobie prawo Andor. Ale Taim jest w Andorze. Nie mam w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

Rand z wahaniem opadł z powrotem na oparcie.

— Nie możesz go dostać, lordzie Bashere.

— A czy wolno mi spytać, dlaczego, Lordzie Smoku? Jeśli zyczysz sobie wykorzystać Aielów do ścigania go, to ja nie wyrażę sprzeciwu. Moi ludzie pozostaną w Lesie Braem do mojego powrotu.

Tej części planu nie zamierzał ujawniać tak szybko. Zwłoka będzie kosztowna, ale zamierzał najpierw umocnić władzę nad narodami. Ale równie dobrze to mogło się zacząć już teraz.

— Ogłaszam amnestię. Ja potrafię przynosić, lordzie Bashere. Dlaczego mia-
no by ścigać, zabijać albo poskramiać innego mężczyznę za to, że umie to, co ja?
Ogłoszę, że każdy mężczyzna, który może dotknąć Prawdziwego Źródła, że każdy
mężczyzna, który chce się uczyć, może przyjść do mnie, a cieszyć się będzie moją
ochroną. Zbliży się Ostatnia Bitwa, lordzie Bashere. Być może żadnemu z nas nie
starczy czasu, by popaść w obłęd, a ja ze swojej strony nie chcę stracić żadnego
mężczyzny, nawet mimo istniejącego ryzyka. Podczas Wojen z trollokami wyru-
szyły one z Ugoru pod dowództwem Władców Strachu, mężczyzn i kobiet, którzy
władali Mocą w imię Cienia. Staniemy w obliczu tego samego podczas Tarmon
Gai'don. Nie wiem, ile Aes Sedai stanie u mego boku, ale ja nie odrzucę żadnego
mężczyzny, który przynosi, jeśli ten opowie się po mojej stronie. Mazrim Taim
jest mój, lordzie Bashere, nie twój.

— Rozumiem — padło obojętnym tonem. — Zająłeś Caemlyn. Słyszę, że
Łza jest twoja i niebawem będzie do ciebie należeć Cairhien, o ile już nie należy.
Czy zamierzasz podbić cały świat z pomocą twoich Aielów i armii mężczyzn
przenoszących Jedyną Moc?

— Jeżeli będę musiał — odparł równie spokojnie Rand. — Powitam każde-
go władcę jako sojusznika, jeśli on tego zechce, ale jak dotąd napatrzyłem się
tylko na manewry, których celem jest władza, albo wręcz na otwartą wrogość.
Lordzie Bashere, w Tarabon i Arad Doman panuje anarchia, jak również w nie-
dalekim od nich Cairhien. Amadicia obserwuje Altarę. Seanchanie... być może
słyszałeś pogłoski o nich w Saldaei; te najgorsze bywają zazwyczaj prawdziwe...
Seanchanie po drugiej stronie świata obserwują nas wszystkich. Ludzie toczą swe
własne, małostkowe bitwy, mimo iż Tarmon Gai'don czai się tuż za horyzontem.
Potrzebujemy pokoju. Czasu, zanim nadejdą trolloki, zanim Czarny wyrwie się
na wolność, czasu koniecznego, by się przygotować. Jeśli jedynym sposobem na
znalezienie czasu i pokoju dla świata jest narzucenie go mu, ja to uczynię. Nie
chcę, ale zrobię to.

— Czytałem *Cykl Karaethon* — powiedział Bashere. Na chwilę włożywszy
kielichy pod pachę, zerwał woskową pieczęć z dzbana i napełnił je winem. — Co
ważniejsze, królowa Tenobia też je czytała. Nie mogę mówić za Kandor, Arafel
albo Shienar. Wierzę, że oni opowiedzą się po twojej stronie... nie znajdziesz
w całych Ziemiach Granicznych ani jednego dziecka, które by nie wiedziało, że
Cień czeka w Ugorze, by na nas spaść... ale nie mogę przemawiać w ich imieniu.

Enaila zmierzyła podejrzliwym wzrokiem kielich, kiedy jej go podał, ale
wspięła się z nim po stopniach i wręczyła Randowi.

— Po prawdzie — ciągnął Bashere — nie mogę mówić nawet za Saldaeę.
To Tenobia sprawuje władzę; ja jestem tylko jej generałem. Ale myślę, że kiedy
już poślę do niej szybkiego jeźdźca z posłaniem, to w odpowiedzi usłyszysz, że
Saldaea maszeruje w szeregach Smoka Odrodzonego. Tymczasem ofiarowuję ci
swoje usługi wraz z dziewięcioma tysiącami saldaeńskiej konnicy.

Rand obrócił w palcach puchar, wpatrując się w ciemnoczerwone wino. Samael w Illian i inni Przekłęci, Światłość wiedziała gdzie. Seanchanie zaczajeni po drugiej stronie Oceanu Aryth i ludzie tutaj gotowi skakać sobie do gardeł dla własnej korzyści i zysku, niezależnie od kosztów, jakie mógł ponieść świat.

— Pokój jest jeszcze daleki — rzekł cicho. — Krew i śmierć wypełnią najbliższy czas.

— Zawsze tak jest — odparł cicho Bashere i Rand nie wiedział, na które z jego oświadczeń. Może na obydwa.

* * *

Wetknąwszy harfę pod pachę, Asmodean oddalił się od Mata i Aviendhy. Lubił grać, ale nie dla pary, która go nie słuchała, a w jeszcze mniejszym stopniu podziwiała. Nie był pewien, co się zdarzyło tego ranka i nie był pewien, czy chce to wiedzieć. Zbyt wielu Aielów wyraziło zdumienie na jego widok, twierdziło, że widziało go zmarłym; nie chciał poznawać szczegółów. Przez ścianę korytarza przed nim biegło długie cięcie. Wiedział, czego skutkiem jest ten ostry ścieg, ta powierzchnia śliska niczym lód, gładsza, niżli jakakolwiek dłoń mogłaby wypo-
lerować przez sto lat.

Jałowo — ale też i z dreszczem podniecenia — zastanawiał się, czy odrodzenie się w taki sposób uczyniło go nowym człowiekiem. Nie sądził. Nieśmiertelność odeszła. Była darem Wielkiego Władcy; tego tytułu używał, mówiąc do siebie, niezależnie od wymogów, jakie al'Thor nakładał na rozmowy z sobą. To był dostateczny dowód na to, że pozostał sobą. Nieśmiertelność odeszła — wiedział, że to musi być wyobraźnia, ale czasami zdawało mu się, że czuje czas wlokący się ku niemu, ciągnący go w stronę grobu, o którym dotąd sądził, że nigdy go nie pozna — a czerpanie tej odrobiny *saidina*, na jaką go było stać, przypominało picie ze ścieku. Nie było mu specjalnie przykro, że Lanfear nie żyje. Rahvina również nie żałował, ale Lanfear szczególnie, za to, co mu zrobiła. Śmiałby się, gdyby wszyscy pozostali też zginęli, nad ostatnimi najgłośniej. Wcale nie było tak, jakby się narodził jako nowy człowiek, przylgnie wszakże do tej kępki trawy na skraju urwiska na tak długo, jak będzie musiał. Korzenie ostatecznie się poddadzą, po nich już tylko upadek, ale do tego czasu będzie żył.

Otworzył niewielkie drzwi, z zamiarem odszukania drogi do spiżarni. Tam powinno być jakieś dobre wino. Jeden krok i zatrzymał się, krew odpłynęła mu z twarzy.

— Ty? Nie!

To słowo jeszcze wisiało w powietrzu, kiedy utuliła go śmierć.

* * *

Morgase otarła pot z twarzy, po czym wsunęła chusteczkę do rękawa i poprawiła nieco sfatygowany słonkowy kapelusz. Przynajmniej udało jej się zdobyć porządną suknię do jazdy konnej, aczkolwiek w tym upale nawet cienka szara wełna była niewygodna. W rzeczy samej zdobył ją Tallanvor. Pozwoliwszy koniowi iść stępą, mierzyła okiem wysokiego młodzieńca, jadącego na przedzie wśród drzew. Tusza Basela Gilla podkreślała, jaki wysoki i zgrabny jest Tallanvor. Wręczył jej tę suknię — ze słowami, że pasuje na nią lepiej niżli ten gryzący strój, w którym uciekła z pałacu — patrząc na nią z góry, nawet nie mrugając, ani jednym słowem nie wyrażając szacunku. Rzecz jasna, ona sama zadecydowała, że nie byłoby bezpiecznie, gdyby ktokolwiek wiedział, kim ona jest, zwłaszcza po odkryciu, że Gareth Bryne opuścił Źródła Kore; po co ten człowiek uparł się ścigać podpalaczki stodoł, kiedy ona go potrzebowała? Nieważne; znakomicie poradzi sobie bez niego. Jednak w oczach Tallanvora było coś niepokojącego, kiedy tytułował ją zwyczajnie — Morgase.

Westchnąwszy, obejrzała się przez ramię. Zgarbiony w siodle Lamgwin obserwował las, Breane, u jego boku, obserwował jego równie pilnie jak wszystko pozostałe. Jej armia nie rozrosła się nawet odrobinę, odkąd opuścili Caemlyn. Zbyt wielu słyszało o arystokratkach skazanych na wygnanie bez przyczyny, mocą niesprawiedliwego prawa, by zrobić coś więcej prócz szyderczej miny na najwyklejszą wzmiankę o udzieleniu wsparcia ich prawowitej władczyni. Wątpiła, by coś się zmieniło, gdyby nawet wiedzieli, kto do nich przemawia. Tak więc jechała przez Altarę, trzymając się możliwie jak najbliżej lasu, ponieważ wszędzie, jak się zdawało, kręciły się grupy uzbrojonych mężczyzn. Jechała przez las z ulicznym zabijaką o poblížnionej twarzy, z ogłupiałą arystokratką, uciekinierką z Cairhien, z krzepkim karczmarzem, który ledwie potrafił się powstrzymać przed klękaniem przed nią za każdym razem, gdy na niego zerknęła, oraz młodym żołnierzem, który czasami patrzył na nią tak, jakby miała na sobie jedną z tych sukien, które wkładała dla Gaebriła. I z Lini, rzecz jasna. Nie należało zapominać o Lini.

Jakby myślenie o niej równało się przywołaniu, stara piastunka podjechała bliżej.

— Lepiej patrz przed siebie — powiedziała cicho. — „Młody lew szarżuje najszybciej i wówczas, kiedy się tego najmniej spodziewasz”.

— Sądysz, że Tallanvor jest niebezpieczny? — odparła ostrym tonem Morgase, a Lini spojrzała na nią znacząco z ukosa.

— Tylko w taki sposób, w jaki każdy mężczyzna może być niebezpieczny. Zgrabny to chłopiec, nie sądzisz? Bardziej niż dostatecznie wysoki. Silne dłonie, jak mi się zdaje. Nie należy pozwalać, by miód się starzał, skoro można go zjeść.

— Lini — powiedziała ostrzegawczym tonem Morgase. Ostatnimi czasy starszka zbyt często mówiła takie rzeczy. Tallanvor był przystojnym mężczyzną, jego dłonie rzeczywiście wyglądały na silne i łydki też miał kształtne, ale on był młody, a ona była jego królową. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, to zacząć na niego patrzeć jak na mężczyznę, miast jak na poddanego i żołnierza. Już miała przypomnieć o tym Lini. . . oraz że chyba postradała rozum, jeśli uważała, że ona będzie się zadawała z jakimkolwiek mężczyzną młodszym od niej o dziesięć lat; różnica musiała mniej więcej tyle wynosić. . . ale Tallanvor i Gill właśnie się odwrócili. — Pilnuj swojego języka, Lini. Jeśli nabijesz głowę tego młodzieńca jakimś głupimi pomysłami, to cię gdzieś zostawię.

Za parsknięcie, jakie wydała z siebie Lini, choćby najwyższy rangą arystokrata w czasach Andoru zarobiłby sobie wyrok skazujący na medytacje w celi. Gdyby jeszcze miała swój tron, tak by się właśnie stało.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, dziewczyno? Za późno zmieniać zdanie, jak już się skoczyło z urwiska.

— Poszukam swoich sojuszników tam, gdzie będę mogła ich znaleźć — odparła sztywno Morgase.

Tallanvor ściągnął wodze, siedząc wysoko w swoim siodle. Z jego twarzy ściekał pot, ale zdawał się ignorować upał. Pan Gill szarpnął za karczek przy swej kurcie z ponaszywanyymi metalowymi krążkami, jakby chciał ją zdjąć.

— Za tym lasem zaczynają się farmy — rzekł Tallanvor — ale mało prawdopodobne, że ktoś cię tam rozpozna.

Morgase spojrzała mu obojętnie w oczy; z każdym dniem coraz trudniej przychodziło jej odwracać wzrok, kiedy na nią patrzył.

— Kolejne dziesięć mil i powinniśmy dotrzeć do Cormaed. Jeśli ten człowiek w Seharze nie kłamał, powinien być tam prom, więc jeszcze przed zmierzchem znajdziemy się na brzegu należącym do Amadicii. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Morgase?

Sposób, w jaki wymawiał jej imię. . . Nie. Pozwala, by niedorzeczne wymysły Lini brały nad nią w górę. To przez ten przeklęty upał.

— Zdecydowałam się, młody Tallanvorze — odparła chłodno — i nie spodziewam się z twojej strony kwestionowania moich decyzji.

Brutalnie spięła swego wierzchowca, pozwalając mu wyrwać do przodu. Nie zwracając uwagi na spojrzenia, wyprzedziła go. Dogoni ją. Znajdzie sojuszników, gdzie się da. Odzyska tron, wtedy biada Gaebriłowi albo jakimkolwiek mężczyźnie, któremu się wydało, że może zająć jej miejsce.

I opromieniła go Chwałą Światłości.
I dał ludziom Światłości Pokój.
Wiążąc z sobą narody. Tworząc jeden z wielu.
Jednak odpryski serc spowodowały rany.

I to, co było kiedyś, wróciło
— w ogniu i w burzy.
Rozszczepiając wszystko na dwie połowy. Jego pokój bowiem...
— jego pokój bowiem...
...był pokojem...
...był pokojem...
miecza.
I opromieniła go Chwała Światłości.

Z Chwały Smoka
autorstwa Meane sol Ahelle,
Czwarty Wiek

GLOSARIUSZ

Nota o datach w poniższym glosariuszu

Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty około dwu wieków po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upływały Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami, z takim skutkiem, że pod koniec Wojen wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Opracowany zatem został nowy kalendarz, autorstwa Tiama z Gazar, którego początkiem był koniec Wojen i który uświetniał wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Hawkwing starał się ponownie wprowadzić nowy kalendarz datujący swój początek od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po tym, jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Farede, Parnarch Tarabon. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stu Lat, jest obecnie w powszechnym użytku.

A'dam (AYE-dam): Seanchański instrument służący do podporządkowania kobiety, która potrafi przenosić; składa się z kołnierza i bransolety, połączonych smyczą ze srebrzystego metalu. Bezużyteczny względem kobiety, która nie jest w stanie przenosić. Patrz również: damane; Seanchanie; sul'dam.

Aes Sedai (EYEZ seh-DEYE): Władający Jedyńą Mocą. Od Czasu Szaleństwa jedynymi pozostałymi przy życiu Aes Sedai są kobiety. Budzące powszechną nieufność, strach, a nawet nienawiść, są przez wielu ludzi obwiniane za Pęknięcie Świata, uważa się powszechnie, iż mieszają się do polityki poszczególnych państw. Jednocześnie niewielu władców obywateli żyje bez rad Aes Sedai, nawet w tych krajach, w których istnienie takich koneksji musi

być utrzymywane w tajemnicy. Po latach przenoszenia Jedynej Mocy twarze Aes Sedai zyskują wygląd nie pozwalający się domyśleć ich wieku, tak że Aes Sedai, która jest wystarczająco stara, by mogła być prababką, może nie posiadać znamion wieku, wyjąwszy kilka siwych włosów. Patrz również: Ajah; Tron Amyrlin; Czas Szaleństwa.

Aiel (eye-EEL): Lud żyjący na Pustkowiu Aiel. Waleczny i odważny. Zanim zabiją, osłaniają twarz woalem, stąd powiedzenie: „zachowuje się jak zamaskowany Aiel”, które odnosi się do człowieka postępującego gwałtownie. Wojownicy, którzy walczą na śmierć i życie, za pomocą broni albo nawet gołych rąk, nie dotykają jednak mieczy. Przed bitwą ich dudziarze grają im taneczne melodie, Aielowie nazywają bitwę „Tańcem” oraz „Tańcem włóczy”. Patrz również: Pustkowie Aiel; Społeczności Wojowników Aiel.

Ajah (AH-jah): Siedem społeczności wśród Aes Sedai, których nazwy biorą się od poszczególnych barw: Błękitne Ajah, Czerwone Ajah, Białe Ajah, Zielone Ajah, Brązowe Ajah, Żółte Ajah i Szare Ajah. Wszystkie Aes Sedai oprócz Zasiadającej na Tronie Amyrlin należą do jednej z owych grup, których członkinie wyznają odrębne filozofie korzystania z Jedynej Mocy i inny im też przyświeca cel, służąc Aes Sedai. Czerwone Ajah całą swoją energię koncentrują na wyszukiwaniu i poskramianiu mężczyzn, którzy próbują władać Mocą. Brązowe Ajah, dla odmiany, odmawiają zaangażowania się w świat i przeznaczają swój czas na poszukiwanie wiedzy, natomiast Białe Ajah rezygnują nie tylko ze spraw świata, lecz także z jego wiedzy, poświęcając się pytaniom filozoficznym oraz ogólnej teorii prawdy. Zielone Ajah (nazwane Bojowymi Ajah podczas Wojen z Trollokami) trwają w gotowości, oczekując Tarmon Gaidon, Żółte oddają się studiom nad uzdrawianiem, Błękitne siostry zaś uczestniczą aktywnie w sprawach polityki i sprawiedliwości. Szare są mediatorami, poszukującymi harmonii i wzajemnego zrozumienia. Pogłoski o istnieniu Czarnych Ajah, które poświęciły się służbie dla Czarnego, są oficjalnie dementowane.

Alviarin (ahl-vee-AH-rihn): Aes Sedai z Białych Ajah.

Amadicia (ah-mah-DEE-cee-ah): Państwo położone na południe od Gór Mgły, między Tarabonem a Altarą. Jej stolica, Amador (AH-mah-door), jest siedzibą Synów Światłości; Lord Kapitan Komandor ma tam, nawet jeśli nie z tytułu, więcej władzy niż król. W Amadicii każdy, kto posiada umiejętność przenoszenia Mocy, zostaje wyjęty spod prawa, zgodnie z nim takie osoby winny być skazywane na więzienie względnie wygnanie, jednakże w rzeczywistości często są zabijane przy „stawianiu oporu podczas aresztowania”. Sztandar Amadicii przedstawia sześcioramienną gwiazdę oplecioną

czerwonym ostem na niebieskim tle. Patrz również: Przenosić Jedyńą Moc; Synowie Światłości.

Amys (ah-MEESE): Mądra z Siedziby Zimnych Skał i wędrująca po snach. Kobieta Aiel ze szczepu Dziewięciu Dolin, Taardad Aiel. Żona Rhuarca, siostra-żona Lian (Iec-AHN) pani dachu Siedziby Zimnych Skał oraz siostra-matka Aviendhy.

Andor (AN-door): Bogate państwo, którego terytorium rozciąga się od Gór Mgły po rzekę Erinin, przynajmniej na mapach, aczkolwiek od kilku pokoleń władza królowej nie sięgnęła dalej na zachód niż do rzeki Manetherendrelle. Patrz również: Dziedziczka Tronu.

Angreal (ahn-gree-AHL): Pozostałość Wieku Legend, dzięki któremu każdy, kto jest zdolny do przenoszenia Jedynej Mocy, może bezpiecznie zaczerpnąć większą jej ilość, niż to jest możliwe bez wspomagania. Niektóre tworzono z myślą o mężczyznach, inne dla kobiet. Pogłoski o *angrealach*, których mogliby używać zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nie zostały nigdy potwierdzone. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Pozostało ich również niewiele. Patrz również: przenoszenie, *sa'angreal*; *ter'angreal*.

Arad Doman (AH-rad do-MAHN): Lud żyjący na wybrzeżu Oceanu Aryth. Obecnie rozrywany wojną domową, a równocześnie walkami z tymi, którzy opowiedzieli się po stronie Smoka Odrodzonego oraz za wojną z Tarabon. Większość kupców Domani stanowią kobiety, a powiedzenie: „niech mężczyzna handluje z Domani” oznacza robienie czegoś wyjątkowo głupiego. Kobiety Domani sławne są lub niesławne — ze swojego piękna, uwodzicielstwa i skandalicznego ubioru.

Aram (AH-rahm): Przystojny młodzieniec Tuatha'anów.

Artur Hawkwing: Legendarny król Artur Paendrag Tanreall (AHR-tuhr PAY-ehn-DRAG tahn-REE-ahl). Panował w latach WR 943–994. Zjednoczył wszystkie ziemie na zachód od Grzbietu Świata, a także niektóre krainy położone za Pustkowiec Aiel. Wysłał nawet wojska za Ocean Aryth (WR 992), jednakże po jego śmierci, która wywołała Wojnę Stu Lat, utracono z nimi wszelki kontakt. Jego godłem był złoty jastrząb w locie. Patrz również: Wojna Stu Lat.

Avendesora (Ah-vehn-deh-SO-rah): W Dawnej Mowie Drzewo Życia. Wymieniane w wielu opowieściach i legendach, które podają rozmaicie jego lokalizację.

Avendoraldera (AH-ven-doh-ral-DEH-rah): Drzewo, które wyhodowano w mieście Cairhien z sadzonki *Avendesory*. Sadzonka ta stanowiła dar od Aielów, przekazany przez nich w roku 566 NE, pomimo że żadne zapisy nie wskazują na jakikolwiek możliwy związek między Aielami oraz *Avendesora*. Patrz również: *Wojny z Aielami*.

Aviendha (ah-vee-EHN-dah): Kobieta ze szczepu Gorzkiej Wody z Taardad Aiel; *Far dareis Mai*, Panna Włóczni.

Bair (BAYR): Mądra ze szczepu Haido, Shaarad Aiel. Wędrująca po snach.

Bard: Wędrowny gawędziarz, muzyk, żongler, akrobata i wszechstronny artysta. Rozpoznawani dzięki swym tradycyjnym płaszczom uszytym z kolorowych łątek, bardowie dają swe przedstawienia głównie po wsiach i mniejszych miejscowościach.

Berelain sur Paendrag (BEH-reh-lain suhr PAY-ehn-DRAG): Pierwsza z Mayene, Błogosławiona Światłością Obrończyni Fal, Zasiadająca na Wysokim Tronie Domu Paeron (pay-eh-ROHN). Piękna i zdecydowana młoda kobieta, nadto utalentowana władczyni. Zdobywa zawsze to, czego pragnie, niezależnie ile miałoby to ją kosztować, i zawsze dotrzymuje słowa. Patrz: *Mayene*.

Białe Płaszcze: Patrz: *Synowie Światłości*.

Birgitte (ber-GEST-teh): Złotowłosa heroina legend i opowieści bardów, sławna ze swej urody w tym samym stopniu niemalże jak z odwagi i talentów łuczniczych. Ma srebrny łuk i srebrne strzały, którymi nigdy nie chybia celu. Należy do bohaterów, którzy stawiają się na wezwanie Rogu Valere. Zawsze występuje u boku bohatera-szermierza, Gaidala Caina. Patrz również: *Cain*, *Gaidal*; *Róg Valere*.

Breane Taborwin (bree-AN tah-BOR-wihn): Dawniej wysokiej rangi arystokratka z Cairhien, obecnie uciekinierka bez grosza przy duszy. Znalazła szczęście u boku człowieka, którego w przeszłości kazałaby swym sługom przegnać batogami.

Cadin'sor (KAH-dihn-sohr): Ubiór wojowników Aiel; kaftan i spodnie w barwach szarości i brązu, łatwo wtapiających się w skaliste lub cieniste otoczenie oraz miękkie sznurowane buty sięgające kolan. W *Dawnej Mowie*: „ubiór roboczy”.

Caemlyn (KRYM-lihn): Stolica Andoru.

Cairhien (KEYE-ree-EHN): Nazwa kraju położonego przy Grzbiecie Świata i jednocześnie nazwa jego stolicy. Miasto zostało spalone i złupione podczas Wojen z Aielami, podobnie jak wiele innych miast i wsi. W konsekwencji wojen opuszczone zostały tereny uprawne w pobliżu Grzbietu Świata, co z kolei zmusiło kraj do importu ogromnych ilości ziarna. Zabójstwo króla Galldriana (998 NE) wtrąciło Cairhien w wojnę domową o sukcesję Tronu Słońca, spowodowało przerwę w dostawach zboża i głód. Godłem Cairhien jest złote słońce o licznych promieniach, wschodzące na samym dole tła, którym jest niebo.

Callandor (CAH-lahn-DOOR): Miecz Który Nie Jest Mieczem, Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Kryształowy miecz ongiś przechowywany w Kamieniu Łzy. Potężny *sa'angreal*. Jego usunięcie z komnaty zwanej Sercem Kamienia, ma, obok upadku Kamienia Łzy, stanowić jeden z głównych znaków Odrodzenia Smoka oraz rychłego nadejścia Tarmon Gai'don. Patrz także: Smok Odrodzony; *sa'angreal*; Kamień Łzy.

Colavaere (COH-lah-veer) z Domu Saighan (sye-GHAN): Wysokiej rangi lady z Cairhien, skora do manipulacji i spisków, co zresztą przypisuje się całej cairhieniańskiej arystokracji, która dysponuje taką władzą, iż zdarza jej się czasem zapomnieć o swej podległości względem stojących od niej wyżej.

Couladin (COO-lah-dihn): Ambitny mężczyzna ze szczepu Domai, Shaido Aiel. Należy do społeczności wojowników *Seia Doon*, Czarnych Oczu.

Cuendillar (CWAIN-der-yar): Niezniszczalna substancja stworzona podczas Wieku Legend. Wszelka znana energia użyta w próbie jego rozbicia zostaje wchłonięta, sprawiając, że staje się jeszcze mocniejszy. Zwany również prakamiem.

Czarny: Powszechnie używane we wszystkich krajach imię Shai'tana: źródło zła, antyteza Stwórcy. Uwięziony przez Stwórcę w momencie Stworzenia w więzieniu Shayol Ghul. Próba uwolnienia go z tego więzienia wywołała Wojnę o Cień, skażenie *saidina*, Pęknięcie Świata i koniec Wieku Legend.

Czas Szaleństwa: Nazwa okresu, który nastąpił po tym, jak przeciwuderzenie Czarnego skaziło męską połowę Prawdziwego Źródła. Aes Sedai mężczyźni popadli wówczas w obłęd i spowodowali Pęknięcie Świata. Dokładny czas trwania tego okresu nie jest znany, uważa się jednak, iż było to około stu lat. Jego całkowity koniec nastąpił dopiero po śmierci ostatniego Aes Sedai mężczyzny. Patrz również: Stu Towarzyszy; Prawdziwe Źródło; Jedyna Moc; Pęknięcie Świata.

Damane (dah-MAH-nee): W Dawnej Mowie: „wzięta na smycz”. Seanchański termin dla oznaczenia kobiet, które potrafią przenosić i które, jak uważają, należy kontrolować przy użyciu *a'dam*. Na całym terytorium Seanchan każdego roku wszystkie młode kobiety są poddawane testom, aż nie osiągną wieku, w którym wrodzona zdolność do przenoszenia powinna się ujawnić sama. Tak jak się to dzieje w przypadku młodych mężczyzn zdolnych do przenoszenia (których natychmiast czeka egzekucja), imiona *damane* są wymazywane z kronik rodzinnych i usuwane ze spisów obywateli; w rezultacie przestają istnieć jako jednostki ludzkie. Kobiety, które potrafią przenosić, a które jeszcze nie zostały uczynione *damane* zwane są *marath 'damane*, czyli: „te, które muszą być wzięte na smycz”. Patrz również: *a'dam*; Seanchan; *sul'dam*.

Dawna Mowa: Język, którym mówiono w Wieku Legend. Jego znajomości oczekuje się zazwyczaj od ludzi szlachetnie urodzonych i wykształconych, większość jednak zna zaledwie kilka słów. Tłumaczenia częstokroć sprawiają wiele trudności ze względu na to, że jego słowa mają wiele subtelnych znaczeń.

Dobraine (doh-BRAW) z Domu Taborwin (tah-BOHR-wihn): Wysokiej rangi arystokrata z Cairhien, który wierzy w dotrzymanie litery złożonej przez siebie przysięgi.

Dziedziczka Tronu: Tytuł nadawany spadkobierczyni tronu Andoru. Najstarsza córka Królowej dziedziczy po niej prawo do zasiadania na tronie. Jeżeli nie ma żadnej córki, wówczas sukcesja przechodzi na najbliższą krewną Królowej.

Dzikuska: Kobieta, która zupełnie sama nauczyła się przenosić Jedyną Moc, przeżywając kryzys, co udawało się tylko jednej na cztery. Takie kobiety zazwyczaj budują bariery mentalne wokół wiedzy dotyczącej tego, co rzeczywiście robią, ale kiedy uda się przełamać owe bariery, wówczas taka kobieta może znaleźć się wśród najpotężniejszych z przenoszących. Przydomku tego używa się często w pogardliwy sposób.

Egwene al'Vere (eh-GWAIN al-VEER): Młoda kobieta z Pola Emonda, stanowiącego część dystryktu Dwie Rzeki w Andorze. Obecnie jedna z Przyjętych, pobiera nauki u kobiet Aiel, które potrafią wędrować po snach; najprawdopodobniej jest Śniącą. Patrz również: Śniący; Talenty.

Enaila (eh-NYE-lah): Panna Włóczni ze szczepu Jarra Aiel. Drażliwa na punkcie swojego wzrostu, odnosi się w wybitnie osobliwy sposób do Randa

al'Thora, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż jest odeń starsza zaledwie o rok.

Faile (fah-EEL): W Dawnej Mowie oznacza „sokoła”. Imię przyjęte przez Zari-ne Bashere (zah-REEN bah-SHEER), młodą kobietę z Saldaei.

Fałszywy Smok: Imię nadawane rozmaitym mężczyznom, którzy utrzymywali, że są Smokiem Odrodzonym. Kilka takich postaci było powodem wybuchu wojen, wciągających wiele narodów. Na przestrzeni stuleci większość z nich nie potrafiła korzystać z Jedynej Mocy, niemniej jednak niektórzy rzeczywiście byli w stanie to osiągnąć. Wszyscy albo znikali, albo brano ich do niewoli i zabijano, zanim spełnili którekolwiek z prorocत्व dotyczących Odrodzenia Smoka. Do najpotężniejszych, spośród tych, którzy potrafili przenieść, zaliczali się Raolin Darksbane (335–362 OP), Yurian Stonebow (ok. 1300–1308 OP), Davian (WR 351), Guaire Amalasan (WR 939–43) i Logain (997 NE). Patrz także: Smok Odrodzony; Wojna Drugiego Smoka.

Faolain Orande (FOW-lain oh-RAN-deh): Przyjęta, która nie lubi dzikusek.

Far Dareis Mai (FAHR DAH-rize MY): Dosłownie „Panny Włóczni”. Jedna ze społeczności wojowników Aiel; w odróżnieniu od innych przyjmuje w swe szeregi tylko i wyłącznie kobiety. Żadna Panna nie może wyjść za mąż i po zostać członkinią społeczności, nie może także walczyć, jeśli spodziewa się dziecka. Każde dziecko urodzone przez Pannę jest oddawane na wychowanie innej kobiecie, w taki sposób, by nikt się nie dowiedział, kim była matka dziecka. („Nie będziesz należała do żadnego mężczyzny ani żaden mężczyzna nie może należeć do ciebie. Włócznia jest twym kochankiem, twym dzieckiem i twym życiem”). Patrz także: Aiel; Społeczności Wojowników Aiel.

Gaidal Cain (GAY-dahl KAIN): Szermierz, bohater legend i opowieści, zawsze występujący u boku Birgitte, o którym powiada się, iż jest równie przystojny jak ona piękna. Jeden z bohaterów, którzy stawiają się na wezwanie Rogu Valere. Patrz również: Birgitte; Róg Valere.

Gaidin (GYE-deen): Dosłownie „Brat Bitew”. Tytuł, który Aes Sedai nadają Strażnikom. Patrz również: Strażnik.

gai'shain (GYE-shain): W Dawnej Mowie „Zaprzysiężony Pokojowi w Bitwie”. Aiel wzięty do niewoli podczas rajdu albo bitwy przez innego Aiela, który zgodnie z wymogami *ji'e'toh*. musi służyć temu lub tej, którzy go pojмали, pokornie i posłusznie przez jeden rok i jeden dzień, nie dotykając

broni i nie stosując przemocy. Nie można uczynić *gai'shain* z Mądrej, z kowala, z dziecka, względnie z kobiety, która ma dziecko poniżej dziesięciu lat.

Galad (gah-LAHD): Patrz: Damodred, lord Galadedrid. Gaul (GAHWL): Aiel ze szczepu Imran, Shaarad Aiel, *Shae'en M'taal*, którzy pozostają w waśni krwi z Goshien. Kamienny Pies.

Gawyn (GAH-wihn) z Dynastii Trakand (trak-KAND): Syn Królowej Morgase i brat Elayne, który będzie Pierwszym Księciem Miecza, gdy Elayne zasiądzie na tronie. Jego gołdem jest biały dzik.

Gra Domów: Nazwa nadana knowaniom, spiskom i manipulacjom uprawianym przez arystokratyczne domy. Wysoko ceni się wyrafinowanie polegające na dążeniu do jednej rzeczy pod pozorem, że dąży się do innej, a także osiągnięcie celu przy użyciu najskromniejszych, niedostrzegalnych dla innych środków. Określana także Wielką Grą, a czasami nazwą wziętą z Dawnej Mowy: *Daes Dae'mar* (DAH-ess day-MAR).

Grzbiet Świata: Wysokie pasmo górskie z bardzo niewielką liczbą przełęczy, które dzieli Pustkowie Aiel od ziem położonych na zachodzie.

Illian (IHL-lee-ahn): Wielkie miasto portowe położone nad Morzem Burz, stolica kraju o tej samej nazwie.

Isendre (ih-SEHN-dreh): Piękna i tajemnicza kobieta podróżująca po Pustkowie Aiel.

Jedyna Moc: Moc przenoszona z Prawdziwego Źródła. Przeważająca większość ludzi jest całkowicie niezdolna do przenoszenia Jedynej Mocy. Niewielu z nich można nauczyć przenoszenia jej, a zupełnie nieznana liczba ma tę zdolność wrodzoną. Tych nielicznych nie trzeba uczyć, dotyczą Prawdziwego Źródła i przenoszą Moc, czy tego chcą czy nie, być może nawet sobie nie uświadamiając, co robią. Ta wrodzona zdolność objawia się zazwyczaj pod koniec okresu dojrzewania lub tuż po osiągnięciu dojrzałości. Jeżeli taki człowiek nie zostanie nauczony kontroli albo uczy się sam (co jest niezwykle trudne, sukces osiąga jedynie jedna na cztery osoby), jego śmierć jest pewna. Od Czasu Szaleństwa żaden mężczyzna nie potrafił przenosić Mocy i nie popaść w rezultacie w straszliwy obłąd, a następnie, nawet jeśli nabył odrobinę umiejętności kontrolowania, to umierał na wyniszczającą chorobę, która powoduje, że cierpiący na nią gnije za życia — chorobę, podobnie jak obłąd, powodowała skaza, jaką Czarny dotknął *saidina*. Patrz również: Przenosić Jedyne Moc, Czas Szaleństwa, Prawdziwe Źródło.

ji'e'toh (jih-eh-toh): W Dawnej Mowie „honor i zobowiązanie” albo „honor i obowiązek”. Skomplikowany zbiór zasad, zgodnie z którymi żyją Aielowie, jego objaśnienie wymagałoby napisania całego szeregu ksiąg. Oto skromny przykład: istnieje wiele sposobów zyskania honoru w bitwie. Najmniejszym jest zabicie, zabić bowiem może każdy; największym — dotknięcie uzbrojonego i żywego wroga bez narażenia się na jakikolwiek uszczerbek. Gdzieś pośrodku znajduje się uczynienie z wroga *gai'shain*. Inny przykład: hańba, która ma również wiele poziomów w *ji'e'toh*, jest uważana na wielu tych poziomach za coś gorszego od bólu, okaleczenia albo nawet śmierci. Po trzecie, istnieją rozliczne stopnie *toh* względnie zobowiązania, ale nawet najdrobniejsze z nich należy wypełnić w całości. *Toh* góruje nad innymi sprawami do tego stopnia, iż Aiel wielokrotnie zgodzi się w razie konieczności na hańbę, ale dopełni zobowiązania, które obcemu mogłoby się wydać czymś nieznacznym. Patrz również: *gai'shain*.

Juilin Sandar (JUY-lihn sahn-DAHR): Łowca złodziei z Łzy.

Kadere, Hadnan (kah-DEER, HAHD-nahn): Handlarz podróżujący po Pustkowiu Aiel. Człowiek oferujący na sprzedaż wiedzę, pod warunkiem otrzymania odpowiedniej ceny.

Kamień Łzy: Wielka forteca w mieście Łza, o której powiada się, iż wzniesiono ją wkrótce po Pęknięciu Świata, a do jej zbudowania użyto Jedynej Mocy. Była oblegana i atakowana bardzo wiele razy, zawsze jednak bez powodzenia; padła w ciągu jednej nocy, zdobyta przez Smoka Odrodzonego i kilka setek Aielów, tym samym wypełniając dwa Proroctwa Smoka. W Kamieniu mieści się kolekcja *an'grali* oraz *ter'angreali*, która śmiało może rywalizować ze zbiorami Białej Wieży.

Koło Czasu: Czas jest Kołem wyposażonym w siedem szprych, każda szprycha to Wiek. Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą, a potem mitem, i są zapomniane wraz z ponownym nadejściem tego Wieku. Wzór Wieku zmienia się nieznacznie za każdym razem, gdy ten Wiek nastaje, i za każdym razem ulega większym zmianom, aczkolwiek jest to zawsze ten sam Wiek.

Lamgwin Dorn (lam-GWIHN DOHRN): Uliczny zabijaka i awanturnik, który jest lojalny wobec swojej królowej.

Lan, al'Lan Mandragoran (AHL-LAN man-DRAG-or-an): Strażnik połączony więzią z Moiraine. Niekoronowany król Malkier, Dai Shan i ostatni pozostały przy życiu malkierski lord. Patrz również: Malkier; Moiraine; Strażnik.

- Lanfear (LAN-fear):** W Dawnej Mowie „Córka Nocy”. Jedna z Przeklętych, być może najpotężniejsza po Ishamaelu. W odróżnieniu od pozostałych Przeklętych, sama wybrała dla siebie to imię. Twierdzi się, że Lanfear była zakochana w Lewsie Therinie Telamonie. Patrz również: Przekłęci; Smok.
- Laras (LAH-rahS):** Mistrzynie Kuchni w Białej Wieży, w ośrodku władzy Aes Sedai, w Tar Valon. Kobieta o zaskakującej wiedzy i szokującej przeszłości.
- Lews Therin Telamon; Lews Therin Kinslayer:** Patrz: Smok.
- Liandrin (lee-AHN-drihn): Aes Sedai niegdyś z Czerwonych Ajah, rodem z Tarabonu. Obecnie należąca do Czarnych Ajah.
- Lini (LIHN-nee):** Opiekunka do dzieci lady Elayne, a przed nią jej matki, Morgase.
- Logain (loh-GAIN):** Człowiek, który ongiś proklamował się Smokiem Odrodzonym, obecnie poskromiony i uwięziony w Białej Wieży.
- Lugard (LOO-gahrd):** Nominalnie stolica Murandy, aczkolwiek kraj ten opiera się na skomplikowanej strukturze związków lennych wobec miast oraz poszczególnych lordów i Lady; ten, kto zasiada na tronie, rzadko ma jakąś realną władzę nad miastem. Lugard to główne centrum handlowe, a jednocześnie synonim złodziejstwa, rozwiązłości i ogólnie złej reputacji.
- Łza:** Kraj położony nad Morzem Burz, a także stolica tego kraju, wielki port. Na sztandarze Łzy widnieją trzy białe półksiężyce na polu w połowie czerwonym, a w połowie złotym. Patrz również: Kamień Łzy.
- Macura, Ronde (mah-CURE-ah, rohn-deh):** Szwaczka z Amadicii, która starała się służyć zbyt wielu panom i paniom, nie wiedząc wcale, kim oni są.
- Maighande (mye-GHAN-deh):** Jedna z największych bitew w Wojnach z trollokami. Zwycięstwo, które odnieśli podczas niej ludzie, rozpoczęło długi marsz, w wyniku którego trolloki zostały z powrotem przegnane do Wielkiego Ugóru. Patrz również: Wielki Ugór; Wojny z trollokami.
- Malkier (mahl-KEER):** Kraina, niegdyś należąca do Ziem Granicznych, obecnie wchłonięta przez Ugór. Godłem Malkier był złoty żuraw w locie.
- Manetheren (malm-EHTH-ehr-ehn):** Jeden z dziesięciu krajów, które utworzyły Drugie Przymierze, a także stolica tego kraju. Zarówno miasto, jak i kraj zostały całkowicie zniszczone podczas Wojen z Trollokami.

Mat Cauthon: Młody mężczyzna z Pola Emonda w Dwu Rzekach, będący *ta'veren*. Pełne imię i nazwisko: Matrim (MAT-trim) Cauthon.

Mayene (may-EHN): Miasto-państwo nad Morzem Burz, historycznie zależne od Łzy. Bogactwo i niezależność zawdzięcza wiedzy o ławicach ryb olejowych, dzięki której jego produkty rywalizują ekonomicznie z oliwnymi gajami Łzy, Illian oraz Tarabon. Z ryby olejowej i drzew oliwnych pochodzi niemal cała oliwa do lamp. Władcą Mayene jest „Pierwsza z Mayene”. Pierwsze utrzymują, iż są bezpośrednimi spadkobiercami Artura Hawkwinga. Godłem Mayene jest złoty jastrząb w locie na niebieskim tle.

Mazrim Taim (MAHZ-rihm tah-EEM): Fałszywy Smok, który wszczął zamieszki w Saldaei; ostatecznie pokonany i pojmany do niewoli. Nie tylko zdolny przenosić, ale również dysponujący znaczną siłą. Patrz również: Fałszywy Smok.

Mądra: Wśród Aielów Mądre są kobietami wybranymi przez inne Mądre i wyczynami leczenia, stosowania ziół itp. mniej więcej tak jak Wiedzące. Zazwyczaj każda siedziba klanu czy szczepu ma jedną Mądrą. O niektórych powiada się, iż posiadają niezwykle zdolności uzdrawiania i potrafią robić rzeczy zdające się cudem. Cieszą się wielkim autorytetem, ale również spoczywa na nich znaczna odpowiedzialność; ich wpływ na wodzów klanów i szczepów jest niemały, chociaż mężczyźni często oskarżają je o wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Meilan (MYE-lan) z Domu Mendiana (mehn-dee-AH-nah): Wysoki Lord Łzy. Kompetentny generał, ale człowiek słabego charakteru — wiedziony ambicjami i nienawiściami. Patrz również: Wysocy Lordowie Łzy.

Melaine (meh-LAYN): Mądra ze szczepu Jhirad, Goshien Aiel. Wędrująca po snach. Patrz również: wędrująca po snach.

Melindhra (meh-LIHN-dhrah): Panna Włóczni, ze szczepu Jumai Shaido Aiel. Kobieta o dwoistej lojalności. Patrz również: Społeczności wojowników Aiel.

miary odległości: 10 cali = 3 dłonie = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4 mile = 1 liga. miary wag: 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

Min (MIN): Młoda kobieta, która potrafi widzieć. poświęty otaczające ludzi i czytać z nich.

Moiraine (mwah-RAIN): Aes Sedai z Błękitnych Ajah. Pochodzi z Dynastii Damodred, aczkolwiek nie z linii spadkobierców tronu, wychowała się w Pałacu Królewskim w Cairhien.

Morgase (moor-GAYZ): Z Łaski Światłości Królowa Andoru, Obrończyni Królestwa, Opiekunka Ludu, Dziedziczka Dynastii Trakand. Jej godłem są trzy złote klucze. Godłem Dynastii Trakand jest srebrny klucz sklepienia.

Mur Smoka: patrz: Grzbiet Świata.

Myrddraal (MUHRD-draal): Twory Czarnego, dowódcy trolloków. Pomiot trolloków, w którym ujawniły się cechy ludzkiej rasy, użyte do stworzenia trolloków, lecz skażone przez zło, dzięki którym powstały trolloki. Fizycznie przypomina człowieka, tyle że nie posiada oczu, ma jednak sokoli wzrok zarówno przy świetle, jak i w mroku. Dysponuje pewnymi mocami wywodzącymi się od Czarnego, między innymi zdolnością do paraliżowania samym swoim widokiem i umiejętnością znikania wszędzie tam, gdzie jest cień. Jedną z jego nielicznych, poznanych słabości jest niechęć do zanurzania się w płynącej wodzie. W różnych krajach nadano mu różne przydomki, między innymi Półczłowiek, Bezoki, Zaczajony, Człowiek, Cień i Pomor.

Natael, Jasin (nah-TAYL, JAY-sihn): Bard podróżujący po Pustkowiu Aiel.

Niall, Pedron (NEYE-awl, PAY-drohn): Lord Kapitan Komandor Synów Światłości. Patrz również: Synowie Światłości.

Nynaeve al'Meara (NIGH-neev ahl-MEER-ah) : Była Wiedząca z Pola Emonda, należącego do prowincji Dwie Rzeki w królestwie Andor. Obecnie Przyjęta.

ogirowie (OH-gehr): Rasa niehumanoidalna, charakteryzująca się wysokim wzrostem (dorosły mężczyzna liczył sobie przeciętnie dziesięć stóp), szerokimi nosami, przypominającymi niemalże pyski, oraz długimi uszami, zakończonymi pędzelkami. Żyją na obszarach zwanych *stedding*. Po Pęknięciu Świata (w czasie zwanym przez ogirów Tułaczką) ich separacja od *stedding* wywołała zjawisko zwane Tęsknotą. Ogir, który zbyt długo pozostaje poza *stedding*, choruje i umiera. Szeroko znani jako wspaniali murarze, którzy po Pęknięciu zbudowali wielkie miasta ludzi, sami uważają pracę w kamieniu za zwykłe rzemiosło, którego nauczyli się podczas Tułaczki, nawet w małej części nie tak istotne, jak opieka nad drzewami w *stedding*, a szczególnie nad wyniosłymi Wielkimi Drzewami. Kiedy nie mają zleconych prac kamieniarskich, rzadko opuszczają *stedding* i zazwyczaj nie utrzymują żywszych kontaktów z ludzkością. Wśród ludzi wiedza na

ich temat jest niewielka i wielu wierzy, iż ogirowie są jedynie legendą. Chociaż uważa się ich za lud miłujący pokój i niezwykle trudno wpadający w gniew, niektóre dawne opowieści głoszą, iż walczyli przy boku ludzi w Wojnach z Trollokami, te same opowieści przedstawiają ich jako nieubłaganych w boju dla swych wrogów. Ogólnie rzecz biorąc, miłują wiedzę, a ich księgi i opowieści często zawierają informacje stracone dla ludzkości. Średni czas życia ogirów jest przynajmniej trzy- lub czterokrotnie dłuższy od ludzkiego. Patrz również: Pęknięcie Świata; *stedding*; Śpiewak Drzew.

Pęknięcie Świata: Podczas Czasu Szaleństwa mężczyźni Aes Sedai, którzy popadli w obłąd i potrafili władać Jedyłą Mocą w stopniu obecnie nie znanym, zmienili oblicze ziemi. Spowodowali wielkie trzęsienia, zrównanie górskich łańcuchów, wypiętrzenie nowych gór, powstanie suchych łądów w miejscach, gdzie przedtem były morza, zalanie przez morza dawnych łądów. Wiele części świata uległo całkowitemu wyludnieniu, a ocalali rozproszyli się jak pył na wietrze. O tych zniszczeniach wspomina się w opowieściach, legendach i historii jako o Pęknięciu Świata. Patrz również: Czas Szaleństwa; Stu Towarzyszy.

Pięć Mocy: Jedyłą Moc splatają wątki, których nazwy pochodzą od tego, co można z nimi zrobić — Ziemia, Powietrze (czasami nazywane Wiatrem), Ogień, Woda i Duch — i nazywa się je Pięcioma Mocami. Każdy władający Jedyłą Mocą sprawniej posługuje się jedną z nich, ewentualnie dwoma, natomiast mniejsze kompetencje ma w przypadku pozostałych. W Wieku Legend Moce Ducha były w równym stopniu własnością mężczyzn jak i kobiet, wielkie zdolności operowania Ziemią i/lub Ogniem właściwe były raczej mężczyznom, a Wodą i/lub Powietrzem kobietom. Zdarzają się wyjątki, jednak Ziemię i Ogień zasadniczo uważa się za Moce męskie, natomiast Powietrze i Wodę za żeńskie.

Płomień Tar Valon: Symbol Tar Valon, Tronu Amyrlin i Aes Sedai. Stylizowany wizerunek ognia, biała łąza ustawiona czubkiem do góry.

Poskramianie: Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania mężczyzny, który potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Jest on niezbędny, ponieważ każdy mężczyzna, który nauczy się to robić, popada w obłąd pod wpływem skaży na *saidinie* i w swoim szaleństwie nieuchronnie będzie dokonywał straszliwych rzeczy z Mocą. Mężczyzna, który został poskromiony, nadal może wyczuwać Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Wszelkie oznaki szaleństwa, które dają się zauważyć przed poskromieniem, zostają powstrzymane przez akt poskramiania, mimo że samo szaleństwo nie zostaje uleczone, jednak jeśli wykona się ten akt dostatecznie szybko, można

zapobiec śmierci. Patrz również: Jedyna Moc; Ujarmianie.

Poszukujący Prawdy: Policyjno-szpiegowska organizacja Imperialnego Tronu Seanchan. Chociaż większość jej członków jest własnością rodziny imperialnej, posiadają szeroki zakres władzy. Nawet przynależący do Krwi (Seanchańskiej szlachty) może być aresztowany za odmowę udzielenia odpowiedzi na pytanie Poszukującego lub pełnej współpracy z nim; zakres tej ostatniej definiowany jest przez samych Poszukujących i podlega wyłącznie kontroli Imperatorowej.

Prawdziwe Źródło: Siła napędzająca świat, która obraca Kołem Czasu. Jest podzielona na męską połowę (*saidin*) i żeńską połowę (*saidar*), które jednocześnie pracują razem i przeciwko sobie. Jedynie mężczyzna może czerpać moc z *saidina*, kobieta zaś z *saidara*. Na początku Czasu Szaleństwa *saidin* został skażony przez dotknięcie Czarnego. Patrz również: Jedyna Moc.

Proroctwa Smoka: Niewiele wiadomo i niewiele się mówi o Proroctwach, podanych w *Cykle Karaethon*. Przepowiadają one, że Czarny ponownie się uwolni i wtedy dotknie świat, oraz że Lews Therin Telamon, Smok, Sprawca Pęknięcia Świata, odrodzi się, by stoczyć Tarmon Gai'don, Ostatnią Bitwę z Cieniem. Patrz również: Smok.

Przekłęci: Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai Wieku Legend, jednym z najpotężniejszych jacy kiedykolwiek żyli, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny z Cieniem w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Zgodnie z legendą, a także szczątkowymi zapisami, zostali uwięzieni razem z Czarnym, kiedy na mury jego więzienia ponownie nałożono pieczęcie. Nadane im imiona do dziś wykorzystuje się w celu straszenia dzieci. Oto one: Aginor (AGH-ih-nor), Asmodean (ahs-MOH-dee-an), Balthamel (BAAL-thah-mell), Be'lal (BEH-lahl), Demandred (DEE-man-drehd), Graendal (GREHN-dahl), Ishamael (ih-SHAH-may-EHL), Lanfear (LAN-feer), Mesaana (meh-SAH-nah), Moghedien (moh-GHEH-dee-ehn), Rahvin (RAAV-ihn), Sammael (SAHM-may-EHL) oraz Semirhage (SEH-mih-RHAHG).

Przekłete Ziemie: Bezludne tereny otaczające Shayol Ghul, za Wielkim Ugozem.

Przenosić Jedyną Moc: (*czasownik*) kontrolować przepływ Jedynej Mocy. Patrz również: Jedyna Moc.

Przyjęta: Młoda kobieta, studiująca i ćwicząca w celu zostania Aes Sedai, która osiągnęła już pewien stopień opanowania Mocy i przeszła określone próby. Normalnie wyniesienie z nowicjatu do godności Przyjętej zajmuje pięć

do dziesięciu lat. Przyjęte są do pewnego stopnia mniej ograniczone regułą niżli nowicjuszki, pozwala im się również, w pewnych granicach, samym dobierać przedmioty studiów. Przyjęte mają prawo do noszenia pierścienia z Wielkim Wężem, ale jedynie na środkowym palcu lewej dłoni. Kiedy Przyjęta wynoszona jest do godności Aes Sedai, wybiera swoje Ajah, uzyskuje prawo do noszenia szala i może nosić pierścień na każdym palcu lub nie nosić wcale, jeśli usprawiedliwiają to okoliczności.

Przymierze Dziesięciu Narodów: Unia powstała po Pęknięciu Świata (około 300 OP), gdy na nowo tworzyły się kraje, w celu pokonania Czarnego. Przymierze rozpadło się po Wojnach z Trollokami. Patrz również: Wojny z Trollokami.

Przysięgi, trzy: Przysięgi składane przez Przyjętą wynoszoną do godności Aes Sedai. Podczas ceremonii Przyjęta trzyma w dłoni Różdżkę Przysięg, *ter'angreal*, który czyni przysięgę wiążącą. Sens przysięg jest następujący: (1) Nie wypowiadać żadnych innych słów prócz prawdy. (2) Nie wytwarzać żadnej broni, za pomocą której jeden człowiek mógłby zabić drugiego. (3) Nigdy nie używać Jedynej Mocy jako broni, z wyjątkiem sytuacji, kiedy kieruje się ją przeciwko Pomiotowi Cienia, albo w ostateczności zagrożenia własnego życia, życia Strażnika lub innej Aes Sedai. Druga przysięga, która jest historycznie pierwsza, była efektem Wojny z Cieniem. Pierwsza przysięga, jeżeli traktować ją literalnie, daje się częściowo przynajmniej ominąć, dzięki ostrożnemu dobieraniu słów. Sądzi się jednak, iż pozostałe dwie są nienaruszalne.

Pustkowie Aiel: Dzika, nierówna i zupełnie pozbawiona wody kraina na wschód od Grzbietu Świata. Przez Aielów zwana Ziemią Trzech Sfer. Niewielu ludzi z zewnątrz odważa się zapuszczać w głąb Pustkowia, nie tylko dlatego, że ktoś, kto się tam nie urodził, nie jest w stanie znaleźć wody, lecz również dlatego, że Aielowie uważają, iż prowadzą wojnę z innymi narodami i niechętnie witają obcych. Wkraczać tam bezpiecznie mogą jedynie handlarze, bardowie oraz Tuatha'nowie, ale kontaktu z tymi ostatnimi Aielowie unikają, określając ich mianem „Zatraconych”. Nic nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek map Pustkowia.

Rand al'Thor (RAND ahl-THOR): Młody mężczyzna z Pola Emonda, który jest *ta'veren*. Były pasterz. Obecnie okrzyknięty Smokiem Odrodzonym, jest także Tym Który Przychodzi Ze Świtem, który zgodnie z prorocत्वami ma zjednoczyć i zniszczyć Aielów. Wydaje się również prawdopodobne, iż to on jest Coramoorem, inaczej Wybranym, poszukiwanym przez Lud Morza. Patrz również: Aiel; Smok Odrodzony.

Rhuarc (R HOURK): Aiel, wódz klanu z Taardad Aiel.

Rhuidean (RHUY-dee-ahn): Miejsce na Pustkowie Aiel, do którego udać się musi każdy mężczyzna pragnący być wodzem klanu i każda kobieta, która chce zostać Mądrą. Mężczyźni mogą wejść tam jedynie raz, kobiety co najwyżej dwukrotnie. Tylko jednemu mężczyźnie na trzech udaje się przeżyć taką wyprawę. W przypadku kobiet odsetek ten jest za każdym razem znacznie wyższy. Położenie Rhuidean jest tajemnicą ściśle strzeżoną przez Aielów. Przewidzianą karą dla każdego nie-Aiela, który wejdzie do doliny Rhuidean, jest śmierć, chociaż w przypadku faworyzowanych na Pustkowie ludzi (jak handlarze czy bardowie) może się skończyć zwyczajnie na tym, iż zostaną rozebrani do naga, wyposażeni w worek z wodą i puszczeni wolno, by na własną rękę spróbowali wydostać się z Pustkowie.

Róg Valere (vah-LEER): Legendarny cel Wielkiego Polowania na Róg. Uważa się, iż można nim wezwać z grobu legendarnych bohaterów, aby walczyli z Cieniem. Obecnie w Illian ogłoszono nowe Polowanie na Róg i zaprzysiężono Myśliwych.

sa'angreal (SAH-ahn-GREE-ahl): Pozostałości Wieku Legend, które pozwalają posiadającej je osobie korzystać ze znacznie większej ilości Jedynej Mocy niż to w innym przypadku możliwe albo bezpieczne. *Sa-angreal* jest podobny, lecz znacznie potężniejszy od *angreala*. Ilość Mocy, którą można zaczerpnąć za pomocą *sa'angreala*, jest porównywalna z ilością Mocy, z której można korzystać za pomocą *angreala* w takim samym stopniu, w jakim ilość Mocy, którą można władać za pomocą *angreala* ma się do ilości Mocy, którą można władać bez wspomaganie. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Egzemplarzy *sa'angreali* pozostała już jedynie garstka, znacznie mniej jeszcze niż *angreali*.

sa'asara (sah-S AHR-rah): Nieprzyzwoity taniec saldaeański, wyjęty spod prawa przez szereg królowych, jednakowoż bezskutecznie. Historia Saldaei notuje trzy wojny, dwie rebelie i niezliczoną liczbę unii oraz/lub waśni pomiędzy domami szlacheckimi, nie wspominając już o nieprzeliczonych pojedynkach wywołanych przez kobiety tańczące sa'asare. Powiada się, że jedna z rebelii została stłumiona, kiedy pokonana królowa zatańczyła przed zwycięskim generałem; on ożenił się z nią i przywrócił jej tron. Opowieści tej jednak próżno szukać w oficjalnej historii Saldaei, jej prawdziwość negują również kolejne królowe.

saidar, saidin (sah-ih-DAHR, sah-ih-DEEN): patrz: Prawdziwe Źródło.

Seanchan (SHAWN-CHAN): Kraina, z której przybyli Seanchanie.

Seanchanie: Potomkowie armii wysłanych przez Artura Hawkwinga na drugi brzeg Oceanu Aryth, którzy powrócili, by ponownie przejąć we władanie ziemie swych przodków.

Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOL): Góra w Ziemiach Przeklętych, za Wielkim Ugorem, teren więzienia Czarnego.

Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOL): Góra w Ziemiach Przeklętych, teren więzienia Czarnego.

Siuan Sanche (SWAHN SAHN-chay): Córka taireńskiego rybaka, która zgodnie z taireńskim prawem, została wsadzona na statek płynący do Tar Valon przed drugim zachodem słońca po tym, jak odkryto, że posiada umiejętność korzystania z Mocy. Należała do Błękitnych Ajah. Wyniesiona na Tron Amyrlin w 985 roku NE.

Smok: Przydomek, pod jakim Lews Therin Telamon był znany podczas Wojny z Cieniem. Kierowany obłędem, jaki ośwładnął wszystkimi mężczyznami Aes Sedai, Lews Therin zabił wszystkich, w żyłach których płynęła choć kropla jego krwi, a także wszystkich, których kochał, zyskując sobie w ten sposób miano Zabójcy Rodu. Patrz również: Smok Odrodzony; Fałszywy Smok, Proroctwa Smoka.

Smok Odrodzony: Zgodnie z Proroctwami Smoka, człowiek który jest Odrodzonym Lewsem Therinem Zabójcą Rodu. Patrz również: Smok, Fałszywy Smok: Proroctwa Smoka.

społeczności wojowników Aiel: Wszyscy wojownicy Aiel są członkami społeczności, takich jak Kamienne Psy (*Shae'en M'taal*), Czerwone Tarcze (*Aethan Dor*) albo Panny Włóczni (*Far Dareis Mai*). Każda społeczność posiada własne obyczaje, niekiedy poświęca się wypełnianiu specyficznych obowiązków. Na przykład Czerwone Tarcze funkcjonują jako rodzaj policji. Kamienne Psy często pełnią rolę tylnej straży podczas odwrotu, Panny zaś wykorzystywane są jako zwiadowcy. Klany Aielów często walczą między sobą, jednakże członkowie tej samej społeczności nie prowadzą z sobą walki, nawet jeśli robią to ich klany. Dzięki temu klany zawsze utrzymują z sobą kontakt, mimo otwartej waśni. Patrz również: Aiel; Pustkowia Aiel; Far Dareis Mai.

Sprzymierzeńcy Ciemności: Wyznawcy Czarnego, którzy wierzą, że zdobędą wielką władzę i nagrody, a nawet nieśmiertelność, po tym, jak on zdoła uwolnić się ze swego więzienia.

Strażnik: Wojownik połączony zobowiązaniem z Aes Sedai. Zobowiązanie zostaje utrwalone za pomocą Jedynej Mocy, dzięki czemu Strażnik jest obdarzony zdolnością szybkiego odzyskiwania zdrowia, długiego obywatelstwa bez jedzenia, wody albo wypoczynku, a także wyczuwania z dużej odległości skazy Czarnej. Dopóki dany Strażnik żyje, dopóty Aes Sedai, z którą jest połączony zobowiązaniem, wie, że on żyje, niezależnie od tego, jak duża dzieli ich odległość, gdy zaś umiera, Aes Sedai zna dokładnie moment i sposób, w jaki umarł. Więź zobowiązania nie mówi jej natomiast, jak daleko od niej znajduje się Strażnik, ani też w której stronie świata. Większość Aes Sedai jest zdania, że mogą być połączone zobowiązaniem z tylko jednym Strażnikiem, przy czym Czerwone Ajah nie chcą więzi z żadnym, natomiast Zielone Ajah uważają, że Aes Sedai może być połączona więzią z tyloma Strażnikami, z iloma tylko zechce. Zgodnie z etyką Strażnik winien wyrazić zgodę na połączenie go zobowiązaniem, znane są jednak przypadki, gdy czyniono to wbrew woli. To, co Aes Sedai zyskują dzięki więzi zobowiązania, jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Patrz również: Aes Sedai.

sul'dam (SOOL-dam): Literalnie: „trzymająca smycz”. Termin seanchański na oznaczenie kobiety, która zdolna jest kontrolować za pomocą *a'dam* kobietę zdolną przenosić. W seanchańskim społeczeństwie *sul'dam* zajmują zaszczytną pozycję. Nielicznym wiadomo, iż *sul'dam* to w rzeczywistości kobiety, które można nauczyć przenoszenia. Patrz także: *a'dam*; *damane*; Seanchan.

Synowie Światłości: Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, powstała w celu pokonania Czarnej i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Założona podczas Wojny Stu Lat przez Lothaira Mantelara (LOHthayr MAHN-tee-LAHR) w celu nawracania rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności, przekształciła się podczas wojny w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł, zrzeszającą ludzi całkowicie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywa się ich Białymi Płaszczami, ich godłem jest promieniste słońce na białym tle. Patrz również: Śledczy.

Śniący: Patrz: talenty.

Talenty: Zdolności używania Jedynej Mocy w różnych dziedzinach. Najlepiej spośród nich znanym jest, oczywiście, uzdrawianie. Niektóre, takie jak Podróżowanie, zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez koniecz-

ności pokonywania dzielącej je przestrzeni, zostały utracone. Inne, jak wróżenie (zdolność przepowiadania przyszłych wydarzeń, ale w sposób ogólny i wysoce abstrakcyjny), występują obecnie niezwykle rzadko. Kolejnym talentem, o którym długo myślano, iż został zapomniany, jest śnienie, które zawiera w sobie, między innymi, zdolność przepowiadania przez Śniącego przyszłości w sposób znacznie bardziej szczegółowy niż podczas wróżenia. Niektórzy Śniący posiadają umiejętność wejścia do *Tel'aran'rhiod*, Świata Snów oraz (jak się twierdzi) w sny innych ludzi. Ostatnią znaną Śniącą była Corianin Nedeal, która zmarła w roku 526 NE.

Tallanvor, Martyn (TAL-lahn-vohr, mahr-TEEN): Porucznik Gwardii Królowej, który kocha swoją królową bardziej niż własne życie albo honor.

Ta'maral'aillen (tah-MAHR-ahl-EYE-lehn): W Dawnej Mowie „Splot Przeznaczenia”. Wielka zmiana we Wzorze Wieku, której ośrodkiem jest jeden lub kilku ludzi będących *ta'veren*. Patrz również: *ta'veren*; Wzór Wieku.

Tanchico (tan-CHEE-coh): Stolica Tarabon. Patrz: Tarabon. Tarabon (TAH-rah-BON): Kraina na brzegu Oceanu Aryth. Stolica: Tanchico (tan-CHEE-coh). Ongiś bogaty naród kupiecki, dostawca dywanów, barwników i fajerwerków produkowanych przez Gildię Iluminatorów, aby wymienić choć kilka. Obecnie niewiele wieści dociera z tego kraju zniszczonego wojną domową oraz równoległe prowadzonymi wojnami z Arad Doman i ludźmi zaprzysiężonymi Smokowi Odrodzonemu.

Tarmon Gai'don (TAHR-mohn GAY-dohn): Ostatnia Bitwa. Patrz również: Smok; Proroctwa Smoka; Róg Valere.

ta'veren (tali-VEER-ehn): Osoba, wokół której Koło Czasu oplata wątki losów otaczających ją ludzi, a może nawet wątki losów wszystkich ludzi, tworząc w ten sposób Splot Przeznaczenia. Patrz również: Wzór Wieku.

Telamon, Lews Therin (TEHL-ah-mon, LOOZ THEH-rihn): Patrz: Smok.

Tel'aran'rhiod (tel-AYE-rah-rhee-ODD): W Dawnej Mowie „Niewidzialny Świat” albo „Świat Snów”. Realność dostępna jedynie fragmentarycznie w snach, o której starożytni sądzili, że przenika i otacza wszystkie pozostałe możliwe światy. W przeciwieństwie do zwykłych snów, to, co przydarza się żywym istotom w Świecie Snów, jest najzupełniej rzeczywiste, otrzymana tam rana nie zniknie po przebudzeniu, a ktoś, kto umrze w *Telaran'rhiod*, nie obudzi się wcale.

Ter'angreal (TEER-ahn-GREE-ahl): Jedna z kilku pozostałości po Wieku Legend, służących do korzystania z Jedynej Mocy. W odróżnieniu od *angreala* i *sa'angreala*, każdy *ter'angreal* został wykonany w specyficznym celu. Istnieje na przykład taki, który sprawia, iż przysięgi, składane przez osobę wprowadzoną do jego wnętrza, stają się wiążące. Niektóre są używane przez Aes Sedai, aczkolwiek ich pierwotne przeznaczenie jest zasadniczo nie znane. Są też takie, które mogą zabić zdolność do przenoszenia Mocy u kobiety, która ich użyje. Patrz również: *angreal*; *sa'angreal*.

Thom Merrilin (TOM MER-rih-lihn): Nie tak zwyczajny bard. Patrz również: bard.

trolloki (TRAHL-lohks): Istoty stworzone przez Czarneego podczas Wojny o Cień. Potężnego wzrostu, nadzwyczaj podstępne, stanowią skrzyżowanie zwierząt z rasą ludzką i zabijają dla czystej przyjemności zabiwania. Przebiegłe, zakłamate i zdradzieckie, nieufne tylko wobec tych, których się boją. Dzielią się na podobne do plemion bandy, główne to Ahf'frait, Al'ghol, Bhan'sheen, Dha'vol, Dhaj'mon, Dhjin'nen, Ghar'ghael, Ghob'hlin, Gho'hlem, Ghraem'lan, Ko'bal i Kno'mon.

Tron Amyrlin (AHM-ehr-lin): (1) tytuł przywódczyni Aes Sedai. Przyznawany dożywotnio przez Komnatę Wieży, najwyższą Radę Aes Sedai, w skład której wchodzi po trzy przedstawicielki wszystkich siedmiu Ajah (zwane zasiadającymi). Tron Amyrlin dzierży, przynajmniej w teorii, nieomal nadrzędną władzę nad wszystkimi Aes Sedai. Rangą dorównuje tytułowi królewskiemu. (2) tron, na którym zasiada przywódczyni Aes Sedai.

Ugór: Patrz: Wielki Ugór.

Ujarzmianie: Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania kobiety, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Kobieta, która została ujarzmiona, nadal wyczuwa Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Robi się to tak rzadko, że nowicjuszkom każe się uczyć na pamięć imion oraz zbrodni popełnionych przez kobiety, które zostały ujarzmione. Oficjalnie ujarzmienie jest następstwem procesu i wyroku za popełnioną zbrodnię. Kiedy zdarza się przypadkowo, zwane jest wypaleniem. W praktyce jednak termin ujarzmienie stosuje się do obu sytuacji.

Verin Mathwin (VEHR-ihn MAH-thwihn): Aes Sedai należąca do Brązowych Ajah.

wędrująca po snach: Nazwa, którą Aielowie określają kobietę zdolną do wejścia do *Tel'aran'rhiid*.

Wiedząca: Kobieta wybierana w wioskach przez Koło Kobiet za jej wiedzę o takich sprawach, jak leczenie i przepowiadanie pogody, jak również za ogólny, zdrowy rozsądek. Stanowisko połączone z wielką odpowiedzialnością i autorytetem, zarówno rzeczywistym, jak i domniemanym. Wiedzącą uważa się na ogół za równą burmistrzowi, podobnie jak Koło Kobiet za równe Radzie Wioski. W odróżnieniu od burmistrza, Wiedząca jest wybierana dożywotnio i rzadko kiedy pozbawia się ją stanowiska. W zależności od kraju może używać innego tytułu, na przykład Prowadząca, Uzdrawiająca, Mądra Kobieta albo Wieszcza.

Wiek Legend: Wiek zakończony Wojną o Cień i Pęknięciem Świata. Czasy, w których Aes Sedai czyniły cuda, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni. Patrz również: Koło Czasu; Pęknięcie Świata; Wojna z Cieniem.

Wielki Ugór: Obszar położony na dalekiej północy, całkowicie zniszczony przez Czarnego. Kryjówka trolloków, Myrddraali i innych stworzeń Czarnego.

Wielki Wąż: Symbol czasu i wieczności, starszy niż początek Wieku Legend, przedstawiający węża pożerającego własny ogon. Pierścień w kształcie Wielkiego Węża dawany jest tym kobietom, które Aes Sedai wyniosły do godności Przyjętej.

Wielki Władca Ciemności: Przydomek, którego Sprzymierzeńcy używają, mówiąc o Czarnym, i twierdzą, że używanie jego prawdziwego imienia byłoby bluźnierstwem.

Wielkie Polowanie na Róg: Cykl opowieści na temat legendarnych poszukiwań Rogu Valere w latach od zakończenia Wojen z Trollokami do początku Wojny Stu Lat. Opowiedzenie całego cyklu zabrałoby wiele dni. Patrz również: Róg Valere.

Władcy Strachu: Ci mężczyźni i kobiety, którzy, zdolni do korzystania z Jedynej Mocy, przeszli na stronę Cienia podczas Wojen z Trollokami, prowadząc działalność jako dowódcy wojsk trolloków.

Wojna o Moc: Patrz: Wojna z Cieniem.

Wojna Stu Lat: Ciąg nakładających się w czasie wojen między wiecznie zmieniającymi się sojuszami, których wybuch przyspieszyła śmierć Artura Hawkwinga i wynikła z niej walka o jego imperium. Trwała od WR 994 do WR 1117. Wojna ta była przyczyną wyludnienia dużych obszarów ziem położonych między Oceanem Aryth i Pustkowiec Aiel, od Morza Burz do Wielkiego Uguru. Zasięg zniszczeń był tak ogromny, iż ocalały jedynie fragmentaryczne zapiski z tamtych czasów. Imperium Artura Hawkwinga zostało

rozdarła na mniejsze części podczas tych wojen, dając początek krainom istniejącym obecnie. Patrz również: Artur Hawkwing.

Wojna z Aielami: (976-978 NE) Kiedy król Cairhien, Laman ściał *Avendora de-rę*, kilka klanów AieL przekroczyło Grzbiet Świata. Złupili i spalili stolicę Cairhien, podobnie zresztą jak wiele innych miast i miasteczek, a konflikt rozszerzył się na tereny Andoru i Łzy. Powszechnie mówi się, że Aielowie zostali na koniec pokonani w Bitwie pod Lśniącymi Murami, pod Tar Valon, ale w rzeczywistości w tej bitwie zginął Laman, a spełniwszy swój zamiar, Aielowie wrócili za Grzbiet Świata. Patrz również: *Avendoraldera*; Cairhien; Grzbiet Świata.

Wojna z Cieniem: Znana również jako Wojna o Moc, zakończyła Wiek Legend. Zaczęła się krótko po próbie wyzwolenia Czarnego i wkrótce ogarnęła cały świat. W świecie, w którym całkowicie zapomniano o wojnie, odkryto na nowo każde jej oblicze, często wypaczone przez dotknięcie Czarnego spoczywające na świecie, jako broni użyto Jedynej Mocy. Wojna zakończyła się przez ponowne zapieczętowanie Czarnego w jego więzieniu. Patrz również: Stu Towarzyszy; Smok.

Wojny z Trollokami: Wiele wojen, które rozpoczęły się około 1000 OP i trwały ponad trzysta lat, w trakcie których armie trolloków siały zniszczenie po całym świecie. Ostatecznie trolloków wybito albo zapędzono z powrotem na Ugór, jednak kilka krajów przestało istnieć, inne zaś zostały całkowicie wyludnione. Wszystkie zapisy z tamtych czasów są jedynie fragmentaryczne. Patrz również: Przymierze Dziesięciu Narodów.

Wysocy Lordowie Łzy: Działając jako rada, Wysocy Lordowie Łzy stanowią naczelną władzę narodu Łzy, który nie posiada ani króla, ani królowej. Ich liczba nie jest ściśle określona i zmieniała się przez lata od dwudziestu do jedynie sześciu. Nie należy mylić tego tytułu z Lordami Prowincji, którzy stanowią pomniejszą arystokrację tairańską.

Wzór Wiek: Koło Czasu wplata wątki ludzkich losów we Wzór Wiek, często zwany po prostu Wzorem, który tworzy istotę rzeczywistości dla danego Wiek. Patrz również: *ta'veren*.

Wzywanie Czarnego: Wypowiedzenie prawdziwego imienia Czarnego (Shai'tan) powoduje ściągnięcie jego uwagi, nieuchronnie będąc w najlepszym przypadku przyczyną nieszczęścia, w najgorszym klęski. Z tego powodu używa się rozlicznych eufemizmów, takich jak: Czarny; Ojciec Kłamstw; Ten Który Odbiera Wzrok; Władca Grobu; Pasterz Nocy; Zmora

Serc; Jad Serca; Zguba Traw; Ten Który Zabija Liść. O kimś, kto zdaje się kusić los, mówi się, że „wzywa Czarnego”.

Ziemie Graniczne: Kraje graniczące z Wielkim Ugorem: Saldaea, Arafel, Kandor i Shienar.

Związki pokrewieństwa u Aielów: Związki krwi u Aielów są wyrażane w skomplikowany sposób, zdaniem Aielów precyzyjnie, aczkolwiek obcy uważają je za nieporęczne. Do ich zademonstrowania musi wystarczyć kilka przykładów, jako że pełne wyjaśnienie wymagałoby napisania całego tomu. Pierwszy-brat i pierwsza-siostra mają tę samą matkę. Drugi-brat i druga-siostra odnoszą się do dzieci pierwszej-siostry albo pierwszego-brata czyjejś matki, natomiast siostry-matki i siostry-ojcowie to pierwsze-siostry i pierwsi-bracia czyjejś matki. Dziadek albo babka odnoszą się do ojca albo matki czyjejś matki, natomiast rodzice ojca to drugi dziadek albo druga babka; więź krwi jest bliższa z matką niż z ojcem. Dalej komplikacje zaczynają się piętrzyć i dodatkowo wikłają je takie czynniki, jak możliwość dokonywania wzajemnej adopcji jako pierwszego-brata albo pierwszej-siostry w przypadku bliskich przyjaciół. Problemy stają się jeszcze bardziej wyraźne, gdy wziąć pod uwagę, iż kobiety Aiel, które są bliskimi przyjaciółkami, poślubiają niekiedy tego samego mężczyznę, stając się tym samym siostrami-żonami, i jednocześnie poślubiają także siebie wzajem.